

ANTOLOGIA

SPOTKANIE W PRZESTWORZACH

TOM 3

Spis treści

Ostatnia noc niewidzialnych *Czesław Białczyński* 3

Styk *Czesław Białczyński* 56

Adaptacja *Eugeniusz Dębski* 65

Nic, tylko piasek *Eugeniusz Dębski* 75

Szata Dejaniry *Eugeniusz Dębski* 92

Życie w rytmie negatywnym *Eugeniusz Dębski* 103

Na miliardach światów *Marek Dryjański* 107

Człowiekiem jestem *Andrzej Drzewiński* 145

Ich dwudziestu *Andrzej Drzewiński* 160

Samodzielna decyzja *Andrzej Drzewiński* 168

Zabawa w strzelanego *Andrzej Drzewiński* 173

Zapomniany przez ludzi *Andrzej Drzewiński* 180

U nich, na Ziemi *Ryszard Głowacki* 185

I 185

II 193

III 201

IV 208

V 215

VI 224

VII 234

VIII 242

IX 250

X 256

XI 262

XII 268

XIII 277

Znudzony komputer *Bogdan Jodkowski* 281

Magia i komputer *Małgorzata Kondas* 298

Portret na tle pejzażu *Małgorzata Kondas* 303

Spór o czarownice *Małgorzata Kondas* 309

W ogródku działkowym *Małgorzata Kondas* 315

Wypożyczalnia snów *Małgorzata Kondas* 320

Ostatnia noc niewidzialnych *Czesław Białczyński*

- Właśnie dojeżdżamy - powiedział Matson, skubiąc nerwowo wąsa swym odwiecznym zwyczajem.

- Już? - wyrwało mi się, zanim pomyślałem, że powinienem raczej panować nad językiem.

- Za zakrętem będzie początek muru. Niech pan zwróci uwagę, bo warto - spojrzał na mnie, nie odwracając głowy, co wywołało na jego twarzy charakterystyczny grymas. Matson nie lubił mnie i byłem chyba ostatnim człowiekiem na Ziemi, który spodziewał się zatrudnienia w Elektrolu. Pochyliłem się niżej, tam, gdzie gruba szyba przechodziła z gruzłowatej szorstkości w niemal niewidoczną gładź. Zza zakrętu wyłonił się krwawoczerwony w słońcu monolit muru.

- Siedemdziesiąt metrów wysokości - w głosie szefa kadr koncernu bioelektronicznego wyczułem starannie skrywany zachwyt.

- Robi fatalne wrażenie - wymamrotałem, gdy nasz wóz brał kolejny zakręt. - Koszmarne.

Matson nie odezwał się. Patrzył wprost przed siebie, jakby zajęty już czym innym. Z trudem łapał powietrze. Był otyły i dziwiłem się, dlaczego nie poddaje się korekturze. I na dodatek te wąsy. Olbrzymie, zwisające niczym dwie wielkie, czarne flagi żałobne. Musiał być stary, choć na oko dałbym mu najwyżej siedemdziesiątkę. Tłustą, niezdrową siedemdziesiątkę. Mur wydawał się nie mieć końca.

- Jak to u was wygląda? - zapytałem, opadając na poduszki.

W oczach Matsona zagościł na moment ogień rozbawienia.

- Jak? - wzruszył ramionami. - Tak jak wszędzie.

Sceptycznie skrzywiłem usta.

- Nie wierzę - powiedziałem.

- A czego się pan spodziewał?

- Bo ja wiem?

- Większego luksusu, jakichś supernowości technicznych, których nie zna jeszcze świat? - uśmiechnął się ironicznie. - Jest normalnie, jak wszędzie. To znaczy optymalnie.

- Tak, tak - rzuciłem z roztargnieniem. - To tylko takie głupie skojarzenie.

Myślałem już o tej swojej sprawie. Mur migający czerwienią, nienaganną, bez skazy, bardzo źle na mnie wpłynął. Czułem się zmęczony jego monotonią.

- Kiedyż on się skończy? - zaintonowałem do siebie, podciągając na wyższe tony ostatnią frazę.

Usiłowałem za wszelką cenę wyrwać się z nastroju, który, na dobrą sprawę, towarzyszył mi już bardzo długo. Ostatnio, to znaczy jakieś pół roku temu, miałem naprawdę paskudną wpadkę. Nie była to kompromitacja, ale jednak nie udało mi się wtedy zupełnie. Nie ruszyłem z miejsca mimo całych tygodni. Jak będzie, tym razem? To było właśnie zmartwienie, od którego nie potrafiłem się uwolnić. Oczywiście wciąż jeszcze, jak mi się zdawało, stanowiło to moją tajemnicę. Nie wiedziała nawet Agra, ale jeżeli to jeszcze raz się powtórzy...

- Za pięć minut - odparł Matson, wyciągając ze swej czarnej teczki plik zdjęć robionych, jak oeniłem na pierwszy rzut oka, w podczerwieni.

- Może skrócimy sobie czas - zaproponował. - Przez teren Elektrolu będziemy jechać jeszcze dobrych kilkanaście minut.

- Chce pan, żebym zaczął pracować, nim przejadę przez bramę? - roześmiałem się sztucznie. - Niech

pan da - dodałem szybko, aby pokryć zmieszanie.

Nie szło mi dobrze. Byłem napięty, żeby nie powiedzieć zdenerwowany. Niemal wyrwałem mu te fotografie z ręki. Przyjrzał mi się uważnie, ale udałem, że tego nie widzę. Strad miękko wszedł w tunel wjazdowy. Wjechaliśmy w czarną czeluść muru, dopiero po chwili zamajaczył w głębi jasny otwór. Po kilku sekundach byliśmy już po drugiej stronie, która od tamtej nie różniła się niczym, poza tym, że należała do firmy, a od świata oddzielał ją czerwony mur. Kiedy przecinaliśmy olbrzymią bramę przypominającą łuk triumfalny, przestrzeń rozpalila się na różowo i potem nagle zgasła tak, że niebo wydało mi się prawie czarne.

- Fotozawór - stwierdził uspokajająco Matson.

- A jednak coś nowego - patrzyłem niespokojnie po klombach.

- Nic specjalnego - podkreślił wąsa. - Zupełnie nic.

Wóz toczył się teraz alejką między szpalerami w jakimś koszmarnoarchaicznym stylu, który swoją wartością przyprawiał o mdłości. Między drzewami migały od czasu do czasu białe budynki o równie starej, jak mi się zdawało, architekturze. Spojrzałem uważnie na klisze. Najpierw nie zobaczyłem zupełnie nic. Dopiero pod światło, wcale w naszym pojeździe nienadzwyczajne, ujrzałem minimalnie jaśniejszą od tła, wężykowatą linię, układającą się w kształt ludzkiej sylwetki. Przedstawiała kogoś pochylonego dynamicznie do przodu. Fotograf uchwycił moment skoku przez przeszkodę, której na zdjęciu nie było.

- Coś jednak jest - powiedziałem.

- Phi - Matson wydał grube wargi. Wąsy stanęły nad nimi dęba.

- To więcej, niż widziałem gdziekolwiek - upierałem się.

- Zgoda - odparł zniecierpliwiony. - Niestety, to nie może mieć większego znaczenia. Nie nazwałbym tego w żadnym wypadku sukcesem.

- A ja tak - spojrzałem na jego profil, ostro rysujący się w blasku zachodzącego słońca.

- Pan wie - odezwał się z westchnieniem - że nie o to nam chodzi. Do totalnej metody, do jakiegoś środka, który wyzwoli nas wszystkich jest tak daleko, że nawet nie śmiem spojrzeć w przyszłość. To zaledwie pierwszy krok. Co ja mówię, pierwszy centymetr na tym długim dystansie. Całe lata.

Strad przyhamował przed wielkim budynkiem z czterema alabastrowymi kolumnami.

- Tam na nas czekają - powiedział Matson wysiadając. Wysiadłem również.

- Kto wie - nawiązałem do przerwane go tematu, ale on przygotowywał się właśnie do odparcia frontального ataku fotoreporterów, których sam tutaj sprowadził kilka godzin wcześniej.

- Będą reporterzy - nachylił się konfidencjonalnie i wziął mnie za łokieć. - Niech pan wiele nie mówi. To znaczy może pan dużo mówić, ale...

- Rozumiem - potwierdziłem.

- Właśnie - uśmiechnął się szeroko i schował zdjęcia do teczki.

Cóż on sobie myśli, taki Matson, że jestem niespełna rozumu, czy co?

- Trudno - westchnąłem i ruszyliśmy w kierunku tych kolumnienek.

* * *

Agra ułożyła się wygodnie, czekając aż obraz się wyostrzy i nabierze koloru. Złotozielony szlafrok w rybie łuski chłodził ją przyjemnie. Z głębi mieszkania słyhać było krzątającą się Dagnes. Mimo niedawno zamontowanych czuwaczy i grubych krat w oknach nie potrafiła sama przebywać w mieszkaniu.

Kiedy Yan wyjeżdżał na jakiś kolejny seans, a czasem trwało to i kilka tygodni, sprowadzała swoją siostrę. Dagnes lubiła towarzyszyć Agrze, jak każda kobieta, która rzadko ma okazję wykazać się swoją przydatnością. Było to zajęcie w pewnym sensie użyteczne, bowiem przywracało siostrze równowagę duchową. Jak wiadomo, o takie zajęcie jest dzisiaj szalenie trudno.

- Chciałabyś się czegoś napić? - dobiegł Agrę melodyjny głos siostry.

- Owszem - mruknęła, wpatrując się w gmach położony mniej więcej piętnaście metrów od niej. - Daj mi 37. I pospiesz się, bo Elektrol jest już na ekranie.

- Idę. - Dagnes postawiła szklaneczki na stoliku i zapadła się w puch. Za oknami zmierzch nabierał fioletowych odcieni. Na placyku przed głównym budynkiem Elektrolu, rozświetlonym sztucznym blaskiem, zahamował właśnie luksusowy pojazd, z którego wysiadł dyrektor Halsmid. Teraz kobiety znalazły się w sali konferencyjnej, przepojonej zapachem róż i mięty, i ujrzały Yana siedzącego za stołem o grubym, ciemnym blacie. Agra od razu poznała, że jej mąż jest trochę zdenerwowany i zaniepokoiła się tym. Wymieniły z Dagnes znaczące spojrzenia. Obie od jakiegoś czasu podejrzewały, że jego „fala” opada, choć jedna wpadka mogła nic nie oznaczać.

- Jaki cel pan sobie stawia? - rozpoczął zadawanie pytań młody, czekoladowy reporter.

Yan uśmiechnął się, ale w duchu chyba przeklinał, przeczuwając półgodzinny seans równie beznadziejnych pytań.

- Oczywiście rozwiązanie problemu - odpowiedział szybko, zanim ktokolwiek z obecnych mógłby rozpoznać jego myśli z grymasu ust.

- Czy będzie to próba ustalenia struktury, znalezienia jakichś wywoływaczy, rozpuszczalnika, czy może środka totalnego? - pytała zielonowłosa piękność w pawiej sukni.

- Może to być każdy z wymienionych przez panią celów - Yan już odwracał głowę w stronę kolejnego pytającego.

- Czy nie myśli pan, iż lepiej byłoby się skupić na jednym z tych problemów? Słyszałem, że już sama struktura jest bardzo skomplikowana, wielowarstwowa, o długich łańcuchach.

- To, co pan mówi o strukturze, jest prawdą. Inaczej nie byłbym tutaj potrzebny - uśmiezek pobłażania wykwitł na bladej skórze Yana i natychmiast zgasł. - Poza tym podpisałem kontrakt i tylko to mnie interesuje.

- Czy to znaczy, że Elektrol nie podporządkuje się zarządzeniu Rady Planet?

Yan zeszywniał.

- Nie rozumiem - powiedział. - Chyba nie jest sprawą jednego, nawet najpoważniejszego koncernu, podejmowanie takich decyzji. Nie wydaje mi się, aby ta firma posiadała moc zamknięcia granic celnych, ani nie słyszałem, aby Rada Ziemi zamierzała podjąć takie kroki. A więc nic, co tutaj robimy, nie będzie sprzeczne z postanowieniami Rady Planet.

Rozległ się szmer aprobaty i nawet nieliczne ciche śmiechy.

- Czy uważa pan, że warto poświęcać tyle sił i środków antyoptolowi, z którym jako tako sobie radzimy za pomocą istniejących już systemów?

Yan chwilę milczał, usiłując wypatrzeć tego człowieka, był bowiem przekonany, że to jakiś obcy reporter. Tylko obcy mógł zadać tak bezsensowne pytanie.

- Czy mógłbym pana zobaczyć? - odezwał się wreszcie, nie mogąc zidentyfikować mówiącego.

Zaległa cisza.

- W porządku - powiedział Yan, dając jednocześnie ledwo zauważalny znak Matsonowi. - Wydawało mi się, że nikt z tutaj obecnych nie ma wątpliwości co do tego, że antyoptol i jego stosowanie jest na Ziemi zjawiskiem szkodliwym i dezorganizującym. Jeżeli jednak ktokolwiek ma jakieś wątpliwości, to spieszę je rozwiązać.

Matson zniknął w wyjściowym otworze.

- Nie wiem, do czego zmierza Rada Planet - kontynuował Yan - ale ogłędnie muszę stwierdzić, z czym chyba wszyscy się zgodzicie, że nie rozumie naszej sytuacji. Tłumaczą nam, że antyoptol gdzie indziej jest również powszechnie używany i nie przynosi żadnych szkód.

Sala rozbłysła nagle różowawo i wszyscy dziennikarze poruszyli się niespokojnie. Niektórzy wstali z miejsc.

- Co to było?! - krzyknął ktoś.

- Tutaj się dzieje coś dziwnego! - odezwał się drugi.

- Niech pan odpowie, może pan wie, o co chodzi?! Żądamy wyjaśnień!!!

Sala rozbrzmiała gwarem. Yan uniósł się z fotela i Agra z zadowoleniem stwierdziła, że ma przystojnego męża.

- Chwileczkę! - usiłował przekrzyczeć wrzawę, która się rozpętała.

W tej chwili Matson powrócił do wnętrza. Yan rzucił w jego stronę niespokojne spojrzenie, ale tamten tylko wzruszył ramionami.

- Zgoda!!! - krzyknął Yan do tłumu, wymachującego rękami. - Zgoda, wszystko wyjaśnię!

Gwar przycichł.

- Przed chwilą był na sali reporter, którego nie zaprosiliśmy. Chciałem go zobaczyć, ale gdy zadałem pytanie, dyskretnie opuścił nasze towarzystwo. Jak się tutaj dostał bez zaproszenia?!

Przez moment trwała cisza.

- Teraz już chyba nikt nie ma wątpliwości, czy słusznie wydajemy transsolary na walkę z tym zjawiskiem.

Nieśmiałe początkowo brawa przerodziły się w owację. Na tym konferencję zakończono.

Dagnes wyłączyła wizor.

- Widziałaś? - powiedziała, wracając na swoje posłanie. - Nawet tam nie potrafią zabezpieczyć się przed nimi.

- Niepotrzebnie się denerwujesz - Agra była w zbyt dobrym nastroju, aby się przejąć tym incydentem.

- Przecież on nie chciał niczego złego. Nic się nie stało.

Pociągnęła łyk płynu.

- Ale mogło - zapaliła się Dagnes. - Gdyby tylko ten ktoś zechciał. Oni byli bezbronni, nie zdążyliby nawet kiwnąć palcem!

Wstała i zaczęła szybko krążyć po pokoju. Była starsza od swej siostry o dwa lata. Gdyby nie jej długie, kruczoczarne włosy nie można by ich było odróżnić. Różniły je za to wyraźnie charaktery.

- Przesadzasz - zaoponowała Agra, zanurzając dłoń w poskręcanych tuż przy skórze głowy drucikach.

- Nie przesadzam i dobrze o tym wiesz. Wystarczy spojrzeć w okno!

- Dlaczego w okno? - młodsza siostra otworzyła szerzej niebieskie oczy.

- Na te kraty!

* * *

Zlustrowałem pokój, który miał stać się na dłuższy czas moim mieszkaniem i wyciągnąłem się na posłaniu. To pomieszczenie nie różniło się od innych cel, w których dotychczas przebywałem. Zapaliłem małe światło przy łóżku i przyszła mi na myśl Agra. Zawsze się o nią trochę niepokoiłem. Kto wie, czy jedną z przeszkód nie było uczucie, jakie mnie z nią złączyło. Poprzednim razem, było to na Nowej

Gwinei wśród bajecznego krajobrazu tropików, pracowałem dla Bioocean Transmutator i ciągle wracałem myślami do Europy. Chyba stopień zaangażowania w związek z Agrą przekroczył tę cieniutką barierę, która do wtedy, mimo że żyliśmy ze sobą kilka ładnych lat, nie została pokonana.

Odpędziłem tę myśl i podniósłszy się gwałtownie wyszedłem przed dom. Muru nie było widać z tarasu, ale mój teren od reszty posiadłości Elektrołu dzieliło coś na kształt nasypu, imitującego wzniesienie. Od razu czuło się w tym imitację. Zbocze porastały krzewy i małe drzewka, równo jak w parku. Usiadłem na schodkach, wpatrzony w ledwo widoczny w świetle księżyca i lampki przy moim łóżku strumyczek fontanny. Cykały świerszcze i woda delikatnie szemrała, spadając w kamienną misę. Myśli tłoczyły mi się w głowie i przemykały jak iskry. Zamknąłem oczy. Zdawałem sobie sprawę, że postępuję nielogicznie i jeśli coś się nie stanie, to tym razem zblamuję się na całej linii, ale nie mogłem tego opanować. Tam gdzieś, za drzwiami, Matson i cała ekipa kończy przygotowania, sprawdzali pomieszczenia, dociągali łącza. Przez cały czas miałem mieć kontakt z laboratoriami, a poza tym pełna izolacja zgodnie z przepisami, z zasadami tej trudnej sztuki, uprawianie której mogło doprowadzić mnie do sławy, a mój organizm do ruiny. Poczułem, że ściskam skronie aż do bólu. Nie. Tak nie można. Jeżeli nie opanuję galopady myśli, naprawdę nic z tego nie będzie. Przez moment wahałem się, czy by nie poprosić Matsona o rozmowę, czy też będzie to zbyt przyznaniem się do niemocy. W końcu jednak się zdecydowałem. Ruszyłem ku drzwiom. Coś powstrzymało mnie przed zbyt gwałtownym wyjściem z pokoju. Uchyliłem drzwi cichutko i zamarłem. Tuż obok usłyszałem głos Matsona. Rozmawiał szeptem z kimś, kogo głosu nie znałem. Im dłużej wsłuchiwałem się w rozmowę, tym mocniej jeżyły się włosy na mojej głowie.

- Daj mi spokój - mówił cicho Matson. - Prosiłem, żebyś na terenie firmy nie kontaktował się ze mną. A już zwłaszcza tutaj.

- Niepokoił mi się - odpowiedział głos - czy wszystko pójdzie zgodnie z ustaleniami.

- Teraz jesteście już zadowoleni?

- Nie bardzo.

- Jak to? - oburzył się Matson.

- Widzisz, to jest całkiem niezły intuicjonał. Proxixar uważa, że można było wybrać lepiej. Liczył na ciebie, na twoje stanowisko w Elektrołu i twoje wpływy - głos był coraz bardziej podniecony.

- I bardzo dobrze. Powiedz mi, żeby spał spokojnie. Ten intuicjonał nie jest w stanie rozwiązać zagadki antyoptolu. Z pewnością nie potrafi wymyślić żadnego rozpuszczalnika, a tym bardziej środka uniwersalnego.

- Skąd ta pewność, Matson? - głos pobrzmiwał groźniejszymi nutami. - Proxixar jest bardzo dobrego zdania o Yanie Sanie. Rozwiązał kilka poważnych zadań i to w dwóch wypadkach przy poziomie danych poniżej komputerowego minimum.

- Proxixar ma niedokładne informacje. Czy on sobie wyobraża, że mogłem zatrudnić byle jakiego intuicjonała bez zwracania na siebie uwagi? Niech się cieszy, że w ogóle znalazłem takiego, którego energia jest w odpływie.

- Pamiętaj - odparł głos - że odpowiadasz przed Proxixarem. Jeżeli się pomyliłeś, to marnie skończysz.

- Nie musisz mnie straszyć. Powtarzam, niech śpi spokojnie. A teraz idź i naoliw się antyoptolem potrójnie, bo fotozawory mogłyby cię wykryć.

Po tych słowach Matsona usłyszałem charakterystyczny syk płynu, wydobywającego się z butelki pod ciśnieniem. Cofnąłem się więc pospiesznie i delikatnie zamknąłem drzwi. Na palcach podszedłem do łóżka i rzuciłem się na nie, nie mogąc pozbierać myśli. Więc to tak? - zdumiałem się. Moja tajemnica nie była tylko moją, prywatną własnością, ale w ogóle działało się tutaj coś bardzo dziwnego. Usiadłem na

łóżku po turecku, złożyłem dłonie jak do modlitwy i usiłowałem się skupić. „Nie jest ze mną tak źle!” - pomyślałem - „jak ci się wydaje, Matson!” Wyczułem przecież intuicyjnie, że coś się dzieje za drzwiami. Nie jest tak źle, jeszcze wytnę mu kawał. Zatrudnił mnie, parszywiec, bo mu się zdaje, że jestem już zerem. Skąd miał tak dokładne informacje? O mojej kłęsce w Bioocean Transmutator wiedziało dużo osób, ale to przecież nie oznacza jeszcze, że czyjaś fala opada. Postanowiłem się skupić. Za wszelką cenę, natychmiast. Wpatrzyłem się w jeden punkt, obrany na przeciwległej ścianie i skoncentrowałem się starą metodą hinduskich jogów, od której wiele lat temu rozpoczynałem wędrówkę po długiej i wyboistej drodze zawodu intuicjonała. Niestety, kiedy o świcie wytrącił mnie z transu sygnał połączenia, nie mogłem się pochwalić niczym, poza ścierpniętą nogą i bolącym pośladkiem. Cóż, znaleźć totalną metodę na antyoptol, to nie to samo, co wyczuć czyjąś obecność za drzwiami. Cały połamany odebrałem połączenie. Na ekranie ukazał się Matson.

* * *

Zaczęło się wszystko bardzo niepozornie. Zdarzyło się to kilka lat temu na pewnym przyjęciu. Być może, że cała sprawa uszłaby uwagi, gdyby nie dotyczyła trójkąta. Najzwyklejszego trójkąta małżeńskiego, jakich dziesiątki tworzą się i rozpadają codziennie na całym świecie. W czasie tego przyjęcia po raz pierwszy zastosowano antyoptol, a nazwiska dwojga nieznanych do tej pory nikomu ludzi przeszły do almanachów i od tego czasu miały się powtarzać coraz częściej. Ludźmi tymi byli Greiana Kort i Rei Seian. To właśnie Rei Seian był twórcą wynalazku, który przedstawiał kilkakrotnie dyrekcji swojej firmy do realizacji. Firma miała wyłączność na jego wynalazki, ponieważ po to go zatrudniła, ale tego akurat odkrycia realizować nie zamierzała. Rei spędził lato owego roku na Proximie, a przyjęcie, o którym mowa, odbyło się po jego powrocie.

- Jak się bawisz? - zapytał Greiany Kort, widząc że stoi oparta o barierkę i bezmyślnie spogląda w dół, na salę pełną ludzi.

Podobała mu się od dawna. Była żoną Teisa Korta, człowieka, któremu Rai przypisywał wiele win, a największą w sprawie odrzucenia realizacji antyoptolu. Seian miał ochotę na żonę Korta już od jakiegoś czasu, ale ciągle sam nie wiedział, co przeważa w jego postępowaniu; chęć zemsty, czy czyste pożądanie, więc wahał się.

- Nie bawię się w ogóle - odpowiedziała z uśmiechem, który Rei uznał za zachętę.

- To niebywałe - rzekł. - Piękna kobieta sterczy samotnie jak palec pośród tłumu gości. Na nic nie masz ochoty?

- Zgadłeś - spojrzała ponownie w dół, przykrywając oczy długimi, czerwonymi rzęsami.

Znała Reia przelotnie ze swoich wizyt w biurze męża i nie robił na niej zbyt dobrego wrażenia. Dzisiaj czuła się mocno sfrustrowana i uznała, że jego towarzystwo, choć może nudne, jest jednak lepsze niż niczyje.

- Wiesz, że cię nie lubię? - odezwała się zaczepnie.

- No to czemu ze mną rozmawiasz? - zapytał, opierając się obok niej tak, że ich biodra się zetknęły.

- Bo to jedyne lekarstwo na nudę. Kiedy wszystko ma się bez trudności tak jak ja; przyjaciół, przedmioty, wybitnego mężczyznę u boku, podróże i diabli wiedzą, co jeszcze, to rozmowa z kimś takim jak ty, kiedy trzeba się przemóc i zrobić jakiś wysiłek, jest doskonałą odtrutką. Sam przyznasz.

Miała czarujący, cyniczny uśmieszek na tych swoich karminowych, wilgotnych wargach.

- Tak - westchnął Rei przez zaciśnięte zęby i postarał się przywołać na swą twarz jakąś życzliwą

maskę, bo w głębi duszy poczuł się dotknięty. Ta kobieta umiała dopieć do żywego. - Wobec tego mam szczęście, że udało mi się trafić na taki twój dzień. Widzę, że jesteś znudzona swym cudownym mężem.

Chciał się jej jakoś zrewanżować, ale od razu poczuł, że mu nie wyszło.

- Owszem - odparła. - Popatrz na niego.

Wyciągnęła rękę w kierunku środka sali, gdzie najnowszy automat, skonstruowany w firmie, połykał ogień i fikał koziółki.

- Czym on się zajmuje? Jak można swój talent poświęcać takim bzdurcom? On jest żenująco niepoważny - zakończyła.

Automat o sześciu włochatych nogach i pysku prądkowanym jak tygrys podskakiwał wśród okrzyków i pisków gości, rozbawionych tym niespotykanym widowiskiem.

- Ja nie zajmuję się niczym innym niż on - wtrącił Rei.

- Toteż ciebie nie znoszę, a jego toleruję, bo przecież sama go sobie wybrałam - przerwała, odgarniając z twarzy włosy. - Wiesz co?! - powiedziała nagle zupełnie innym tonem - Nasza rozmowa zaczyna być nudna. Porwij mnie! Urowadź stąd. Chcę być porwana przez kogoś, kogo nie cierpię!

Miała teraz w oczach taki blask, a policzki zaróżowione rumieńcem, że Rei wreszcie się zdecydował.

- Zgoda - powiedział, wyciągając z kieszeni niewielką buteleczkę. - Uciekniemy tak, że nikt tego nie zauważy.

- Ostrzegam cię, że mam strażnika, który czuwa nade mną nawet teraz. Rei roześmiał się.

- Mam nadzieję, że nie wycofujesz się w ten delikatny sposób? Nie przejmuj się twoim strażnikiem.

Spojrzał w dół, gdzie kłębił się kolorowy tłum. Pod sufit buchnęła muzyka i oślepiający fajerwerk załśnił w lustrach sklepienia. Popchnął Greianę wprost ku drzwiom pokoju, który mieścił się na galerijce. Za nimi podążył stroptyk o wyłupiastym, teleskopowym oku, zdobiącym krzywą twarz. Zatrzymał się pod drzwiami pomieszczenia, do którego weszli, gdyż doskonale wiedział z programu, że nie było tam innego wyjścia.

A jednak Greiana Kort i Rei Seian zniknęli z przyjęcia i, co gorsze, nie potrafiono ich odnaleźć przez następny tydzień. Teis znalazł strażnika pod drzwiami i od niego dowiedział się, że żona jest wewnątrz z jakimś mężczyzną. Kiedy jednak wszedł do środka, nie zastał nikogo. Natychmiast zawiadomił gospodarza przyjęcia, a ten Oddziały, i tak rozpętała się cała historia. Po dziesięciu dniach bezowocnych poszukiwań Greiana Kort znalazła się... sama, oświadczając, że przez cały czas była bezprawnie więziona przez Reia Seiana w jego mieszkaniu, o trzy przecznice od swojego domu, a o sto zaledwie metrów od komisariatu, który stanowił centrum akcji poszukiwawczej. Natychmiast posłano po Seiana i przystąpiono do pilnego notowania zeznań pani Kort. Niestety już pierwsze zdania Greiany sprawiły, że komendant zaczął wątpić, czy miało miejsce uprowadzenie. Przecież ofiara zaproponowała pierwsza dokonania tego czynu. Gdy Greiana Kort przystąpiła do opisywania sposobu, w jaki ją porwano, komendant przerwał przesłuchanie. Sprawa nie miała dalszych konsekwencji prawnych, ale zanim się rozwiązała, narobiła sporo szumu. Teleprasa prześcigała się w relacjach o nowym wynalazku, który może uczynić człowieka niewidzialnym, o talencie Rei Seiana i jego konfliktach z zarządem firmy i o tym, że Proxigral wyprodukował to, czego Ziemianie nie chcieli, w ciągu jednego miesiąca. Taki był początek. Nikt jeszcze nie spodziewał się wtedy klęski, która już nadchodziła.

* * *

- Proszę cię, zostańmy w domu - powiedziała Dagnes, zawiązując czerwoną kokardę na

przedramieniu. Yan byłby zły, gdyby się dowiedział, że ci na to pozwoliłam.

Agra kończyła makijaż, przeciągając od kącika oka ku wargom secesyjną kreskę. Z zadowoleniem przyjrzała się sobie, po czym, potrząsając głową dla nadania włosom lekkiego bezładu, weszła do pokoju.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - odezwała się znowu Dagnes.

- Nie nudź, siostrze - Agra podała swej opiekunce etolę z puszystego futra, z którą tamta nigdy się nie rozstawała. - Przecież jeszcze nie jest tak późno, a poza tym wiesz, jak mi zależy na tym występie.

- Yan nie pochwała ani twoich zajęć, ani towarzystwa, w jakim ostatnio znajdujesz upodobanie.

- Yan, Yan, Yan. Yana całymi tygodniami nie ma w domu! Przecież muszę coś robić!? Całe szczęście, że udało mi się dostać miejsce w tym zespole, chociaż przyznaję, że oni momentami robią wrażenie kompletnie zbikowanych. Chodź już.

Ciemność ogrodu rozświetlał tylko księżyc, kładąc siny blask na liściach krzewów. Ruszyły alejką ku furtce. Agra przodem, pobłyskując to przymykającymi się, to szeroko otwierającymi oczami, które patrzyły na księżyc z desena sukni, Dagnes za nią, zatopiona w puchowym kołnierzu i wyrzutach sumienia. Noce były od pewnego czasu niebezpieczne, zwłaszcza dla samotnych kobiet. Gdyby któryś z dawnych socjologów zastanawiał się nad perspektywami rozwoju społeczeństwa przyszłości, nawet w najczarniejszych prognozach nie przypuściłby, do jakiej degeneracji może doprowadzić jeden głupi wynalazek.

- Może skorzystamy z vindu? - zaproponowała Dagnes, czepiając się ostatniej szansy na uspokojenie sumienia.

- Nie ma mowy. Spójrz, jaki cudowny księżyc - odpowiedziała beztroska i lekkomyślna jak zawsze Agra. - Przejdziemy się.

Dagnes westchnęła i ruszyła śladem młodszej siostry z miną cierpiętніка na pięknej, delikatnej twarzy. Szły przez mało uczęszczaną dzielnicę do równie mało uczęszczanego teatryku eksperymentalnego, który zaoferował Agrze etat dwa miesiące temu. Na widowni tego sanktuarium sztuki zasiadało raz na tydzień, przeważnie w soboty, około dziesięciu osób, co kładło każdy spektakl.

- Jak może funkcjonować teatr, którego jedynym założeniem jest współpraca z widownią, bez tej widowni? - dopytywał się ciągle szef artystyczny, Gene, który jednocześnie był autorem wszystkich grywanych tutaj sztuk. - Wszystkiemu winne jest zubożenie, do którego doprowadziła masowa holowizja, zubożenie psychiczne i lenistwo typowe dla konsumentów sztuki w naszych czasach.

Gene nie całkiem miał rację, bowiem wiele teatrów opartych na tych samych zasadach radziło sobie całkiem nieźle.

Zbliżały się właśnie do pasa, kiedy Dagnes usłyszała za swoimi plecami jakby skrzypnięcie buta. Przystanęła i odwróciła się gwałtownie, lecz w perspektywie ulicy ujrzała tylko kilka osób i to stojących daleko, wpatrzonych w ścianę ulicznego akwarium.

- Pospiesz się - usłyszała głos odjeżdżającej pasem Agry i czym prędzej wskoczyła na ruchomy chodnik. Agra odjechała już dobre dwadzieścia metrów, a Dagnes po raz drugi poczuła ukłucie strachu w okolicy serca, gdy pas koło niej ugiął się delikatnie, jakby ktoś na niego wszedł.

Opuściły pas w pobliżu małej kawiarenki „Tort”, gdzie Agra miała zwyczaj wypijać przed spektaklem Numer 37.

Nie uszły jeszcze dziesięciu kroków i Dagnes nie zdążyła podzielić się z siostrą swoimi obawami, gdy poczuła mocne klepnięcie w pośladek.

- Ach!!! - krzyknęła, nie tyle zdziwiona, czy przestraszona, ile wściekła i na oślep strzeliła w przestrzeń zerwaną z szyi etolą. Ku jej zdumieniu futro zatoczywszy regularny łuk pacnęło głośno w jakąś przeszkodę, usłyszała basowy pomruk, jakieś przekleństwo, po czym etola szarpnięta przez

niewidzialnego napastnika wymknęła się jej z rąk i pomykając w przestrzeni oddalała się od niej energicznie.

- Poczekaj chwilę! - krzyknęła Dagnes do osłupiałej Agry i rzuciła się w pogoń. Udało się jej znacznie zbliżyć do wlokącego się po chodniku pierzastego ogona. Sterowała tak, by nadepnąć na wijący się w kurzu koniuszek futra. Nagle etola znieruchomiała, zawieszona nienaturalnie w powietrzu i w tym samym momencie Dagnes usłyszała przeraźliwy krzyk Agry, który umilkł, raptownie, jak nastąpił. Złapała futro i obróciła się ku siostrze. Chciała ruszyć na pomoc, ale czyjeś silne dłonie chwyciły ją w pól.

- Trzymaj się, Agra! - wrzasnęła szamocząc się z sapiącym, niewidzialnym ciałem, ale Agra nagle poczęła od swych górnych partii rozpląwać się w powietrzu, a wściekle walcząca Dagnes krzycząc i kopiąc patrzyła bezsilnie, jak siostra znika powoli, aż przestały nawet istnieć jej granatowe sandały. Wtedy udało jej się wyrwać z uwięzi rękę i walnęła nią z całej siły w przestrzeń. Uderzenie było tak mocne, że antyoptol odkleił się z twarzy przeciwnika w miejscu pacnięcia. Oczy Dagnes rozszerzyło przerażenie i zdumienie, gdy ujrzała, że to proximariczyk. Napastnik zamarł, odepchnął ją i zaczął uciekać. Ruszyła ku miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała Agra, lecz usłyszała tylko charakterystyczny szum stradu, równie niewidzialnego jak i wszyscy napastnicy. Przez dobrą chwilę stała samotnie na środku chodnika, trzymając w dłoni postrzępione futro i nie mogąc pozbierać myśli. Agra została porwana!? Dagnes chciało się płakać. Usiadła na płytach i rozryczała się, co przyniosło jej natychmiastową ulgę. Dopiero teraz jakiś mężczyzna wysunął się zza panoramicznej szyby „Tortu” i przystanął nad nią.

- Co jest, dziecinko? - zaintonował, chwiejąc się.

Wypił widocznie za dużo Numeru 16 i wraz z promilami we krwi wzrosły jego opiekuńcze instynkty.

- Pomóc, malutka?

- Nie trzeba - odpowiedziała twardo i podniósłszy się z ziemi ruszyła, zupełnie już opanowana, ku najbliższemu komisariatowi Oddziałów.

* * *

Agra siedziała całkiem sztywna pomiędzy przytłaczającymi ją z obu boków ciałami. Od czasu do czasu czuła szarpnięcia z lewej strony, które boleśnie wykręcały jej nadgarstek i słyszała głośnie oddechy. Wolała się nie ruszać i nic nie mówić, mimo że okulary, które napastnik wcisnął jej na twarz w czasie napadu, ciągnęły jej włosy sprężystą, gumową opaską okalającą głowę. Patrzyła uważnie na okolicę, którą jechali i z każdą chwilą wzrastało w niej przerażenie. Oto ominęli centrum smukłych igłowców, błyszczących niczym kolorowe fontanny i wjechali na ślimacznice, prowadzącą do głównego korytarza komunikacyjnego. Miasto zostawało coraz bardziej w dole, a właściwie jego zerowy poziom, i po chwili zza obudowanego dźwiękochłonem zakrętu wyłonił się kontur Pałacu Sztuk. Podjeżdżając bliżej widzieli jak zmieniały się konfiguracje jego ścian, prostokąty rozpadały się na inne figury i rozbiegały na boki, to, co zdawało się być przednią ścianą pałacu, okazało się tylko jakimś wykuszem i gdy przejeżdżali tuż obok, mogli zobaczyć przez pleksiton stradostrady, że całość pałacu jest olbrzymia, a to, co widzieli przed chwilą, było tylko jego szczytem. Nagle budowla zajarzyła się zielono, a strad wszedł w zakręt. Agra usiłowała wypatrzeć pod jezdnią jakieś cyfry, które pozwoliłyby jej się zorientować, na który poziom zmierzają, ale byli już zbyt blisko kolektora i dziesiątki nitek komunikacyjnych plątały się ze sobą, wyginały, niknęły i pojawiały ponownie, lecz już w innej barwie, jeżeli w tym czasie straciły swoje pierwszeństwo. Strad sunął równo wąską, fioletową odnogą, ciągle wznoszącą się w górę. Agrze

zdawało się, że to poziom dwunasty, ale musiała się gdzieś w tym wszystkim pogubić, bowiem pojazd po chwili płaskiej jazdy znów zadarł maskę, jadąc ku górze. Teraz poruszali się bardzo wolno.

Zbliżali się do gigantycznego skrzyżowania i natłok pojazdów mógł stać się niebezpieczny dla niewidzialnych uciekinierów. Na szczęście odbyło się bez najechania, straż, który sunął za nimi, skutecznie blokował inne pojazdy. Agra pomyślała, że tamten jest z nimi w zмовie, ale nie zdążyła dostrzec jego rejestracji, gdyż siedzący po prawej stronie napastnik szarpnął ją i odezwał się grubym głosem:

- Gdzie się rozglądasz, ślicznotko?

Zarechotał nieprzyjemnie i dodał:

- Nic ci to nie pomoże.

Zadrżała, uświadomiwszy sobie, że przecież nie może jej widzieć. Człowiek po lewej stronie poruszył się niespokojnie i poczuła jego dłoń na swojej piersi. Szarpnęła się do tyłu i krzyknęła.

- Co się tam dzieje, do diaska! - ryknął kierowca.

- Nic takiego - odpowiedział pospiesznie ten z lewej. Tej pani jest chyba zimno, a poza tym jest przewrażliwiona.

Poczuła znów dłonie tego samego mężczyzny na ramionach, lecz tym razem tylko przykryły ją czymś grubym i ciepłym.

- Uważaj, Olg. Jesteś znany ze swoich ciągót, ale tym razem się opanuj, bo z Malindangiem nie ma żartów. To nie żadne ćwiczenia, tylko prawdziwa akcja.

- Słusznie - poparł kierowcę ten z prawej. - Malindang potrafi być twardy.

Nie wiadomo dlaczego, Agra była przekonana, że musi to być człowiek zwalisty i ciężki, lecz takiego nie wzięliby chyba do akcji.

- Nic nie było - zachnął się Olg. - Chciałem tylko zobaczyć, czemu tak się trzęsie jak liść, a ona zaraz w krzyk. Zamknijcie lepiej jadaczki - dodał obrażonym tonem.

Kolor jezdni i pleksitonowych band zmienił się na zielony i teraz ruszyli jak z kopyta. Agra wreszcie poznała okolicę. To był najwyższy poziom, transkrajowa stradostrada północna, a więc zmierzali w stronę morza, a przede wszystkim poza miasto na dużą odległość. W desce rozdzielczej zaskrzypiał nagle głośnik.

- Evert, Jonski... Evert, Jonski... Tu 616... Zgłoś się.

Kierowca uruchomił nadajnik.

- Tu Evert. Wszystko zgodnie z planem. Uspokój nadpułkownika. Brygada spisała się dobrze, nawet Olg. Wieziemy towar na wybrzeże.

- W porządku - odezwał się głośnik. - Wasze zadanie kończy się w porcie. Przy nabrzeżu jachtowym stoi łódź turystyczna „Gwiazda”. Nastawicie program na Bornholm, tam ją już przejmą. Skończyłem.

- W porządku. Kierowca wyłączył nadajnik.

- Całe szczęście, że nie mam choroby morskiej - wyszeptwała Agra i pomyślała, że jej porywacze są dziwnie nieostrożni. Operowali nazwiskami i imionami, mówili o brygadzie i nadpułkowniku zupełnie się nie kryjąc.

- Dlaczego nie polecimy kopterem? - zapytała.

- Oho - ucieszył się Olg - panienska wraca do siebie.

- Kopter, moje dziecko - powiedział człowiek z prawej, który przypuszczalnie nazywał się Jonski - może stać się czymś w rodzaju latającej trumny, kiedy się go pociągnie antyoptolem. Ani się obejrzysz, jak coś ci urwie ogon albo śmigło i koniec. Tutaj przynajmniej tyły mamy zabezpieczone. A teraz zdrzemnij się, malutka, bo czekają cię jeszcze liczne emocje.

Chciała zapytać, o co im chodzi, w jakim celu ją porwali, ale zrezygnowała. Porwania zdarzały się

teraz częściej niż kiedykolwiek. Porwania, napady, kradzieże. Takie naiwne pytanie straciło sens. Przykryła się lepiej kocem i przymknęła oczy. Nie potrafiłaby usnąć za nic w świecie.

Od podsłuchania tamtej rozmowy cały czas byłem napięty jak struna i wściekły. Muszę przyznać, że mimo przykrego wrażenia, jakie pozostawiła pierwsza noc koncentracji, zaczynało mi jakby iść lepiej. Gdy rankiem ujrzałem twarz Matsona, zalała mnie fala gorąca, ale powstrzymałem się i porozmawialiśmy bardzo uprzejmie. Miła pogawędka, tylko że we mnie czaiła się na dnię duszy żądza zemsty. „Udowodnię temu pasikonikowi” - myślałem - „jak bardzo się pomylił”. Zażądałem natychmiast wszystkich schematów, rozkładów mikroskopowych, tabel i wykresów odchyień pod wpływem różnych rozpuszczalników. Właśnie teraz mi to wszystko dostarczyli. Dopiero co ucichł syk pneumo, z pojemnika którego wywalił się cały stos filmów i papierów. Podłączyłem to do rzutnika i kazałem puścić, nie wybierając nawet programu. Na ekranie płynęły dane jak groch z kapustą. Zatrzymałem aparat, kiedy pokazała się molekularna struktura związku. Łańcuch był całym kłębowiskiem kolorowych węży. - Spryciarze - powiedziałem sam do siebie. - Tak skomplikować głupią farbę. Na dobrą sprawę żadnego połączenia nie można było odrzucić jako nieprawdziwe. Wzór robił wrażenie zaprogramowanego przez komputer, ale komputery jak na razie nie potrafiły znaleźć żadnej generalnej zasady, na której oparty był związek. Kamuflaż był posunięty do ostatecznych granic. Wszyscy już doszli do wniosku, że komponował ten łańcuch wirtuoz, nie sam mózg elektronowy, nie sam człowiek, lecz złożony z nich diabelski duet wirtuozów. Stąd wziął się pomysł, aby do współpracy z maszynami i sztabem specjalistów wprząc intuicjonala. Pomysł był może dobry, ale kiedy patrzyłem na różnobarwne zwoje zapisu struktury, traciłem nadzieję, że uda mi się to kłębowisko przeniknąć i wybrać z taśmy ten fragment, zapewne króciutki i prosty, który jest prawdziwym, czynnym antyoptolem. Nacisnąłem guzik łączności.

- Matson - powiedziałem specjalnym, bezbarwnym tonem. - Chyba coś mam. Przyślijcie mi kilkanaście puszek antyoptolu i kilka różnych rozpuszczalników.

- Dobrze - odparł tamten bez entuzjazmu i wyłączył się.

Oczywiście nic nie miałem, zupełnie nic, ale musiałem coś zrobić, żeby z bezczelnej twarzy Matsona spełzył ten uśmiezek politowania, który widziałem u niego dziś rano. A zresztą może mi się tylko zdawało. Matson chyba zawsze głupio się uśmiechał. Puszki walnęły z trzaskiem o pojemnik pneumo. Wziąłem w dłoń najmniejszą z nich i powędrowałem do ogrodu. Zaprogramowałem w wybieraczu płynów mieszankę 37, 56 i 12. Słońce stało wysoko. Wziąłem szklankę z musującym napojem, uwielbiam musujące, i usiadłem na schodkach potrząsając puszką. Postawiłem ją przed sobą i przyglądałem się uważnie. „Co w tobie jest?” - myślałem. - „Powiedz, puszczo. Zdradź tajemnicę. Co to jest?” W tej sekundzie usłyszałem skrzypnięcie na zwirowanej ścieżce i ktoś potrącił krzaki. Bezszelestnie posypały się płatki rododendronu. Zerwałem się jak oparzony. Ktoś pomalowany antyoptolem sunął ku mnie... Czyżby Matson zaniepokoił się i przysłał jakiegoś najemnika, żeby pozbawił mnie życia? Rozgorączkowany, drżącymi rękami porwałem aerozolowy rozpuszczalnik Yarokega, który ujawniał zarys postaci na cztery czy pięć sekund, jak dowiodły doświadczenia, i dzierząc go niczym gaśnicę ruszyłem z powrotem do ogrodu. Znalazłem się tam w chwili, gdy pozostawiona przeze mnie szklanka unosiła się z Detonu. Wymierzyłem w tamtym kierunku i nacisnąłem spust. Gruba szpryca trafiła na przeszkodę. Usłyszałem pisk kobiety, co tak mnie zbiło z tropu, że przestałem ją szprycować. Ujrzałem na moment bezbarwny, półprzejrzysty zarys dłoni i kawałek smukłej talii, po czym obraz zniknął mi sprzed oczu jeszcze szybciej, niż się pojawił.

- Kim pani jest? - skoczyłem w tamtą stronę starając się pochwycić postać. Zacisnąłem swoje palce na dłoni cieplej i drobnej.

- Przestań mnie szarpać - usłyszałem. - Jestem Dagnes. Za dziesięć minut antyoptol się rozpadnie, musisz jeszcze poczekać.

- Co? - wymamrotałem cicho, jakby uszło ze mnie powietrze. - Co ty tu robisz?! Dlaczego zakradłaś się w przebraniu, no, jako niewidzialna, na ten teren?! Wiesz przecież, że tego nie wolno robić!

- Wiem, ale kiedy poprosiłam o widzenie się z tobą, to mi nie pozwolili. Ten gruby Matson stwierdził, że podpisałeś umowę na trzy tygodnie i nie można ci przeszkadzać, bo firma mogłaby ponieść zbyt wielkie straty.

- Zaraz, zaraz, Dagnes - przerwałem jej - ale czy coś się stało? - straciłem zupełnie panowanie nad sobą.

- Owszem - powiedziała Dagnes, stopniowo ukazując się moim oczom. Antyoptol tracił swoje właściwości i rozpadał się w ułamkach sekund. - Porwano Agrę. Przepraszam, że jej nie upilnowałam - dodała po chwili cichym szeptem.

Musiałem się na niej oprzeć, bo nogi mi się zrobiły miękkie jak z waty.

- Porwali ją! - powiedziałem przez zaciśnięte gardło. - Ale dlaczego?

* * *

Dagnes opuściła komisariat Oddziałów z mieszanymi uczuciami. Podmajor robił wrażenie półgłówka, którego na dodatek cała sprawa niewiele interesuje. Po kilka razy kazał sobie powtarzać nazwisko ofiary i jej własne personalia, po czym stwierdził, że oczywiście zrobią wszystko, co w ich mocy, ale żeby zbytnio na cuda nie liczyć, bo takich spraw zdarzają się dziennie całe setki i że trzeba mieć cierpliwość.

- Niech mi pan przyrzeknie - prosiła Dagnes, czarując go składanymi w serduszko czerwonymi ustami - niech pan przyrzeknie, że zajmie się tą sprawą osobiście.

Jednak podmajor, człowiek skądinąd młody i przystojny, nie okazał się czuły na jej wdzięki.

- Doceniam pani troskę o siostrę - powiedział urzędowym tonem. - Ale zechce mi pani nie zajmować więcej czasu, bo czekają na mnie inni poszkodowani. Sprawa pójdzie normalnym, to znaczy automatycznym, trybem.

- Ależ to niemożliwe! - krzyknęła Dagnes. - Pan nie wie, kim ona jest! Podejrzewam, że to porwanie ma związek z Elektrolem i tym, że mąż Agry jest tam teraz zatrudniony jako intuicjonał. Jeden z porywaczy był proximańczykiem! Niech pan będzie tak dobry. Proszę nie lekceważyć tej sprawy - dodała, wyciągając przed siebie smukłą, napiętą łydkę.

- Droga pani - westchnął nieprzystępny funkcjonariusz - jak będę coś wiedział, to przyjdę do pani osobiście, dobrze?

Kiwnęła głową.

- To świetnie - ucieszył się. - A teraz do widzenia.

Tak więc komisariat opuściła z mieszanymi uczuciami. Mówiąc szczerze, głęboko wątpiła w skuteczność Oddziałów i niemal natychmiast podjęła decyzję, żeby zawiadomić Yana. Gdy rozejrzała się wokół siebie i stwierdziła, że jest środek nocy, opanowało ją coś w rodzaju paniki. Żałowała, że nie poprosiła podmajora o podwiezienie do domu. Nie miała daleko, ale znów musiała jechać pasem przez puste ulice. Ścisnęła mocniej torebkę i zgrabnie wskoczyła na ruchomy chodnik. Tym razem nie ugiął się podwójnie, ale mimo to lekko drżała. Wyobraźnia podsuwała jej okropne obrazy, a świeże wspomnienie porwania także nie uspokajało. Przypomniały się jej ogłoszenia w telepraszce, zamieszczane przez tak zwaną Ligę. Ta anonimowa, prawdopodobnie bardzo liczna grupa, na tępienie której Oddziały nie traciły swego cennego czasu, była postrachem dzielnic najelegantszych nocnych lokali i bogatych osiedli

mieszkańców. Co tydzień pojawiała się ich aktualna lista rankingowa. Rabowali na ulicach, w domach prywatnych, w biurach i nawet w komisariatach. Ich działalność ze społecznego punktu widzenia nie była szkodliwa, bowiem to, co ukradli dało się zazwyczaj w ciągu kilku minut odtworzyć w najbliższym plastykonie, ale czasem ktoś był przywiązany do posiadanej rzeczy, albo potrzebował jej natychmiast i w specyficznych okolicznościach mogło to być groźne. Na liście rankingowej z zeszłego tygodnia pojawił się człowiek o pseudonimie Gras. Zakasował konkurencję zupełnie, zdobywając komputer wielkości trzy metry na dwa i wynosząc go z komisariatu Oddziałów. Wyceniono ten czyn na dwieście osiemdziesiąt transsolarów.

Dagnes bardzo łatwo przywiązywała się do rzeczy, i torebka, którą przyciskała do piersi była jej droższa od wszystkich futer, które podarował jej Yan. Na szczęście droga minęła bez przeszkód i dopiero kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi willi Yana, którą natychmiast rozjaśniło czerwone, nocne światło, mogła pozbierać myśli. Natychmiast połączyła się z Elektrolem. Przywitał ją otyły mężczyzna o przenikliwych oczach.

- Matson - powiedział, kłaniając się nisko.

- Dagnes Merial - przedstawiła się. - Czy mogę mówić z Yanem San?

- Niestety, to niemożliwe. Od dwudziestu czterech godzin pracuje - powiedział z przepaszającym uśmiechem.

- To bardzo ważne - upierała się Dagnes. - Porwano jego żonę. On musi się o tym natychmiast dowiedzieć.

Zauważyła na twarzy Matsona wielkie zdziwienie, ale dyrektor kadr opanował je szybko.

- Niestety - powiedział smutno. - Nawet nie będę mógł przekazać mu tej wiadomości. Takie są przepisy. Zna je pani?

- Owszem, ale to jest „wypadek nadzwyczajny” - Dagnes nerwowo odgarnęła kosmyk włosów, który jej spadł na oko.

- Tak... W nadzwyczajnym wypadku można zerwać umowę. Kosztuje to... - pogrzebał w papierach - tysiąc transsolarów w przypadku tej umowy. Czy zrobimy to na pani odpowiedzialność? - uśmiechnął się słodko.

„Co za przebiegły typ” - podsumowała go w myśli Dagnes i głośno powiedziała:

- W takim razie przepraszam.

Uśmiechnęła się najmilej jak mogła i wcisnęła klawisz, przerywający połączenie. Przygotowała sobie swój ulubiony cocktail 37 i usiadła, żeby spokojnie pomyśleć. Musi się dostać na teren Elektrolu i zawiadomić Yana. Była przekonana, że on natychmiast coś wymyśli. Tylko on, nikt inny, bo przecież nie Oddziały, których to wszystko w ogóle nie obchodzi. I wtedy po raz drugi tej nocy pomyślała o Lidze, stowarzyszącej ludzi co prawda strasznych, bo postrzelonych i obdarzonych wrodzonym cynizmem, ale jednak niewątpliwie sprytnych. Kto, jak nie oni, pomoże się jej dostać na teren Elektrolu tak, by nie została zauważona, albo sam powiadomi Yana? Pociągnęła duży łyk napoju, bardzo z siebie zadowolona. Znowo uruchomiła wizjofon.

* * *

Matson nerwowo wciskał cyfry na klawiaturze. Obiecał sobie co prawda, że nie opuści terenu firmy, aż Yan San nie zakończy pracy, ale sytuacja bardzo się zmieniła.

Szef kadr Elektrolu z trudem mieścił się w standardowym foteliku, jakimi umeblowano wszystkie

pomieszczenia hotelu Wisla. To miasto męczyło go jeszcze bardziej niż inne. Klimat latem i zimą był tu fatalny, zwłaszcza dla otyłych, jak on, lecz nie mógł się poddać korekturze z powodów, o których wiedziało tylko kilka osób. One jednak były daleko i Matson miał świadomość tego oddalenia i misji, którą musi spełnić. „Dosyć” - pomyślał. - „Trzeba wziąć się w garść”.

Po drugiej stronie nikt nie odpowiadał. Jeszcze raz wcisnął kod i czekał. Ekran pulsował zielonkawo, linia była zajęta. Sytuacja przybrała niepokojący obrót i Matson nie bardzo potrafił sobie wyjaśnić, co się stało. Musiał połączyć się z Proxixarem, chociaż bardzo obawiał się dekonspiracji. Tylko Proxixar mógł mu wyjaśnić sens i cel ostatnich zdarzeń. Wstał i ocierając spocone czoło maszerował od ściany do ściany. Ciągłe nie mógł się przyzwyczaić do tych zamkniętych pomieszczeń. Ściany przytłaczały go, powodując złudzenie braku powietrza. Sam już nie wiedział, czy poci się z duchoty, panującej powszechnie na Ziemi, czy też ze strachu przed tymi klatkami pomieszczeń, w których musiał przebywać. Znow podszedł do aparatu. Zdenerwowanie narastało. Tym razem jednak przez ekran przebiegł rząd rubinowych pasków i pojawił się na nim pokój hotelowy, jak dwie krople wody podobny do tego, w którym siedział Matson. W takim samym foteliku spoczywał srebrzystowłosey Proxixar. Na widok Matsona zerwał się z wyrazem zaskoczenia w oczach.

- Co się stało? - krzyknął niemal. - Przecież wiesz, że jestem tu jako zwyczajny turysta i nie powinienes się ze mną łączyć!

- Tak, wiem - Matson potarł czoło nerwowym ruchem. - Ale ja chciałbym się dowiedzieć od ciebie, co się stało. Dlaczego porwaliście żonę tego intuicjonała? Przecież to bez sensu. Przestaliście mi ufać?

- Co? O czym ty mówisz? Jaką żonę? W ogóle nic nie wiem o jej istnieniu - Proxixar zbladł tak, że jego skóra stała się niemal różowa.

Matson zorientował się, że jego dowódca jest bardzo zdenerwowany.

- Więc to nie wy? - spytał ze zdumieniem.

- Kto ci to powiedział? Skąd wiesz, że ją porwano? - Proxixar mówił przez ściągnięte wargi.

- Dzwoniła jej siostra, Dagnes. Chciała natychmiast zawiadomić intuicjonała.

- Tylko tyle? - zacisnął pięści dowódca. - Zachowujesz się jak nowicjusz, Matson. Jeżeli to prowokacja, to będziesz się miał z pyszna.

- Nikt nie mógł mnie obserwować. Ten pokój mam na inne nazwisko, przez pół dnia kręciłem się po mieście. Nikt za mną nie szedł.

- A wączacze? Przecież wiesz, że oni mają te diabelne urządzenia zainstalowane prawie we wszystkich miejscach publicznych i twój zapach pewnie jest już w którymś łączu z ich komputerem centralnym.

- W tym hotelu nie ma wączacza - zapewnił szybko Matson. - A ta kobieta była autentycznie przerażona. Myślę, że to nie bluff. Zresztą skąd by się mogli domyślić?

- Być może - odpowiedział z namysłem Proxixar - będę musiał zorientować się w sytuacji. Możesz być pewny, że to nie nasza robota. Może to jakaś ich wewnętrzna opozycja lub ktoś taki. Na razie wracaj na swój posterunek i nie waż się więcej łączyć ze mną. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

Dowódca przerwał połączenie, a Matson z westchnieniem opadł na fotelik, który pod jego ciężarem zazgrzytał wszystkimi sprężynami. „Jest źle” - pomyślał - „Ktoś się wtrącił w naszą sprawę i może wszystko popsuć”. Siedział jeszcze przez chwilę, myśląc o swojej ciężkiej misji i Proxigralu, który tę pracę mu zlecił, a właściwie nie osobiście jemu, ale Agencji Proxistara. Miał tego dosyć. Chciał czym prędzej opuścić klatkę pokoju, bo znow nadchodziła klaustrofobiczna fala. Zdecydowanym ruchem wyciągnął zza pazuchy spray i nałożywszy okulary począł systematycznie pokrywać się farbą, która uchroni go przed wzrokiem ewentualnych szpicli na okres około dwóch godzin, po czym w sekundę rozpadnie się bez śladu.

Kiedy Dagnes w całości ukazała się moim oczom, a ja ochłonałem na tyle, że nie musiałem się już na niej wspierać, pomyślałem, że nie pozostało mi nic innego, jak się wycofać. Nie wątpiłem, że o to chodziło napastnikom, zwłaszcza gdy Dagnes zrelacjonowała mi przebieg zajścia. Wśród porywaczy był proximańczyk, więc całą sprawę z pewnością sprytnie rozegrał Proxigral. Nie wystarczyło im, że wzięli intuicjonala na „opadającej fali”, ale chcieli się jeszcze dodatkowo zabezpieczyć. Nawet nie muszą przysyłać mi kartki ze swymi żądaniami, wypisanymi punkt po punkcie, ich postępowanie określa jasno charakter owych warunków. Szklany gmach złudzeń, że jeszcze uda mi się odrodzić i pokrzyżować tej szajce plany, runął w jednej sekundzie na wieść o porwaniu Agry i wiedziałem, jak trudno będzie mi odnaleźć ten zagadkowy rytm, falę, która od wieków pozwala takim jak ja dostrzec właściwe nitki i poruszać nimi tak, by wszystko znalazło się na swoim miejscu. Nikogo nie kochałem tak, jak jej i dlatego mogę stwierdzić, że moja wewnętrzna struktura zatrzęsała się w tym momencie po raz drugi, i to nieporównanie potężniej, niż wtedy gdy Matson uświadomił mi, jakim beznadziejnym jestem teraz intuicjonalem.

- To już koniec, Dagnes - szepnąłem, przyciągając ją do siebie. - Ja będę zrujnowany, ale Agra wolna.

Dagnes popatrzyła na mnie tymi swoimi szczerymi, szerokimi oczami, które oczarowały mnie dawno temu, kiedy jeszcze nie znałem jej siostry, ale potem władzę nade mną przekazały innym, bez porównania bardziej błyszczącym i kochanym.

- Nie jestem pewna - powiedziała ostrożnie - czy to jest właściwa decyzja. Chyba powinieneś się zastanowić.

- Nie, moja droga - westchnąłem. - Nie muszę się zastanawiać. Jestem bezsilny. Bezsilny i wściekły. To nie są warunki do koncentracji, z wynalazku nici, a poza tym nie widzę innego wyjścia, by uwolnić Agrę.

Zamilkliśmy oboje, wpatrzeni w trawiastą skarpą ogrodu. Zapach rododendronów pomieszał się ze słońcem i świeżym powietrzem w najwspanialszy cocktail, jaki sobie można wyobrazić, lecz mnie ten cocktail zupełnie nie cieszył. Pierwsza odezwała się Dagnes.

- Jesteś przekonany, że te przeszkody nie mogą stać się budulcem twojej koncentracji? - zapytała.

- Co? Jak? - ocknąłem się z czarnych myśli. - Aha... gniew, frustracja, poczucie bezsilności...

Zamyśliłem się, kręcąc jednocześnie przecząco głową.

- Wiesz... - powiedziałem po chwili, wyłamując nerwowo palce - intuicjonał Kerynski odkrył metodę pozbywania się odpadków bazując na takich właśnie emocjach. Tak samo Adamson, filuje ze swoimi punktami stykowymi galaktyki, Kolew i wielu innych... Było kilkudziesięciu wybitnych intuicjonatów, którzy dążyli do celu na przekór faktom. Dopiero w trudnych, niesprzyjających warunkach wszystko w nich układało się w harmonijną całość. Ale ja...?

- Dlaczego by nie ty?

- Ja nigdy tego nie próbowałem. Na pewno jednak nie mogę bazować na tym, na czym opierałem się do tej pory. Brak konfliktów, pogoda ducha i tego typu emocje najwyraźniej mi nie służą.

- Chyba nawet wiem, od kiedy - stwierdziła, przypatrując mi się z czułością, jakiej się po niej nie spodziewałem.

- Zaraz, zaraz - spojrzałem na nią uważnie. - Do czego zmierzasz?

- Zacząłeś się bać, Yan. Prawda?

- Nie denerwuj mnie! - wrzasnąłem, sam zaskoczony swoim tonem, zerwałem się ze schodków i wbiegłem do domu.

- Proszę Cię. - Dagnes krążyła za mną jak cień po ciasnym pokoju. - Zostaw sprawę Agry Oddziałom, tylko skłoń ich, żeby zajęli się nią poważnie.

- Żartujesz chyba. Mam poświęcić Agrę?!

- Nic jej się nie stanie - Dagnes siadła na kanapie i podwinęła pod siebie szczupłe nogi. - Jeżeli to porwanie ma zmusić ciebie do zaprzestania pracy nad antyoptolem, to już nic więcej nie mogą zrobić, poza tym, że cię nastraszyli.

- Nie mogą zrobić. Dobre sobie! - patrzyłem na nią z coraz większym niedowierzaniem.

Oto najbliższa mi poza Agrą osoba starała się pogiębić swoją siostrę, a moją żonę, starała się namówić mnie do kontynuacji pracy, mimo że groziły to olbrzymim niebezpieczeństwem.

- Wiesz co? - powiedziałem z wyrzutem. - Nie spodziewałem się, że potrafisz być tak okrutna i podła.

Nie poruszyła się, zwinięta jak drapieżny kot w tym swoim rogu kanapy. Przez chwilę panowało pełne napięcia milczenie. Nagle roześmiała się. Śmiała się jak opętana, a mnie ten śmiech coraz bardziej denerwował. W końcu rozwścieczył mnie i przypadłem do niej ogarnięty furją, potrząsałem nią jak sflaczałym workiem, chciałem wytrzepać z niej ten śmiech, zagłuszyć jego dźwięk, rozerwać ją na strzępy, a ona ciągle się śmiała. Teraz to był już tylko histeryczny spazm, wariacki, nieopanowany chichot i w tym momencie zrozumiałem. Coś się we mnie przełamało. Usiadłem obok niej i ukryłem głowę w dłoniach. Wiedziałem już, że to był strach. Rzeczywiście strach i nic więcej. Przecież wszystko zależy ode mnie, od tego, jak rozegram z przeciwnikiem tę partię. Oni nie mogą posunąć się zbyt daleko, to groziło wielką, międzyplanetarną aferą. To porwanie było rzeczywiście wszystkim, czym mogli mi grozić. Dagnes wreszcie zamilkła.

- Dziękuję ci, kochana - powiedziałem do niej, dyszącej i wyczerpanej, spoglądającej na mnie niepewnie.

- Za co? - szepnęła, nie rozumiejąc nawet, co zrobiła.

- Nieważne. Teraz muszę się połączyć z dyrektorem Elektrołu. Matson pewnie zrobi wszystko, żebym tego połączenia nie dostał. Matson jest jedynym człowiekiem, z którym mam tutaj bezpośredni kontakt.

Zawahałem się, obmyślając wyjście z sytuacji, ale jeszcze nie zdążyłem się dobrze skupić, gdy rozwiązanie nadeszło samo.

- Wiem - skoczyłem w górę, jak dzieciak, który wymyślił dobry kawał. - Ty mi pomożesz, Dagnes.

Podbiegłem do niej i w nerwowym pośpiechu, jakbym nagle się zorientował, że ktoś może ją tutaj zobaczyć, zacząłem wciskać na jej twarz okulary, chroniące oczy przed antyoptolem. Usiłowała jeszcze o coś zapytać, lecz zrezygnowała, niknąc powoli pod warstwą farby wyrzucanej z pojemnika.

- Jak ty się właściwie tutaj dostałaś? - zainteresowałem się poniewczasie.

- Przy pomocy Ligi. Jeden z aktorów w tym zwariowanym teatrze Agry wspominał kiedyś, że zna człowieka, który namiętnie uprawia złodziejski hazard. Przypomniałam sobie o tym i nawiązałam z nim kontakt. Sam Gras zajął się moją sprawą i dzięki niemu tu jestem.

- As? - zapytałem, przypatrując się z oddalenia, czy coś czasem nie prześwieca spod farby. - Co za As?

- Gras. - sprostowała. - Hazardzista, który wyniósł trzystukilowy komputer z komisariatu Oddziałów.

- Doskonale - powiedziałem zadowolony ze swej roboty.

- Że zadaję się ze złodziejami?

Oczami wyobraźni widziałem jej groźnie wydęte wargi i zmarszczone pod antyoptolem czoło.

- Nie, jasne, że nie - odparłem szybko. - Mam nadzieję, że ten twój As zapewnił ci powrót.

- Gras. Oczywiście. Przez cały czas czuwa tuż za murem. To naprawdę wielki spryciarz. Co robisz? - zaprotestowała widząc, że zabieram się po raz trzeci do powlekania jej farbą.

- Musisz być bardzo dobrze pomalowana z uwagi na fotozawory. Trasę powrotną pokonasz drogą oficjalną. Zaraz ci wytłumaczę.

- A potem?

- W mieście musisz stanąć na głowie i spowodować, żeby zadzwonił do mnie Halsmid. Dyrektor Elektrolu. Choćbyś miała go do tego zmusić siłą. Ja oczywiście też będę się starał o połączenie, ale wiem, że Matson do tego nie dopuści. Namów do współpracy tego Asa.

- Grasa - sprostowała z westchnieniem po raz kolejny i wyszliśmy do ogrodu.

Uścisnąłem ją na pożegnanie i wróciłem do siebie. Położyłem się na kanapie z uczuciem ulgi. Miałem znów spokojny oddech i oczy nie biegały mi jak rannemu zającowi. Stłumiłem strach o Agrę. Zdawałem sobie sprawę, że najważniejsze jednak wciąż jeszcze jest przede mną. Brakowało mi pomysłu na ten antyoptol. „Muszę” - przekonywałem siebie półgłosem. - „Muszę koniecznie. Żeby nie powtórzyło się to wszystko, co działo się od kilku już lat”. Początkowe zamieszanie było straszne, ale teraz działy się równie smutne rzeczy. Zabawy przerodziły się w zwykłą żądzę sukcesu i coraz częściej dominowała ta najpaskudniejsza z żądz - chęć posiadania, posiadania nie skrępowanego niczym, posiadania za wszelką cenę i bez oglądania się na innych. Antyoptol wyzwolił przycichłe od dziesiątków lat instynkty i dowiódł, jak zgubny może być dla społeczności Ziemi każdy brak równowagi. Osłabiona czujność, brak przygotowania do walki z niewidzialnymi i nieumiejętność powstrzymania napływającej z Proximy fali antyoptolu wstrząsnęła spokojną i, jak się zdawało, niepodważalną stabilizacją Ziemi. „Muszę” - wymamrotałem raz jeszcze, nim zmorzył mnie sen.

* * *

Niewiele mieli czasu mieszkańcy Ziemi, by ochłonąć po aferze Rei Seiana. Ledwo teleprasa umilkła na ten temat, wypłynął nowy skandal. W czasie spektaklu w Teatrze Muzycznym przy Różanej, zbudowanym na cześć zespołu The Rolling Stones, jakiś ukryty pod płaszczykiem niewidzialności dowcipniś zerwał koncert najmodniejszej ostatnio grupy muzyki poważnej „Dzikie Psy”, która po mistrzowsku prezentowała tak stare i cenione dzieła jak „Satisfaction” Micka Jaggera, czy „Dark Side of The Moon”, które w dawnych czasach wykonywała grupa Pink Floyd. Bezczelny ten typ przez cały koncert zagłuszał czyste i harmonijne dźwięki gitar i perkusji strasznym wyciem syreny alarmowej, które rozlegało się z coraz to innej strony, ku oburzeniu pełnej widzów sali. Próby pojmania przenoszącego się z miejsca na miejsce niewidzialnego człowieka nie przyniosły skutku i koncert „Dzikich Psów” musiano przerwać. Tego samego dnia teleprasa doniosła o wydarzeniu w Nowym Jorku. Niewidzialny osobnik przedostał się tam do zajezdni wirobusów i wszystkim powykręcał rozruszniki, przez co komunikacja wirobusowa była zawieszona, a jej zadania musiała przejąć maxikolej, w której panował niewyobrażalny ścisk i tłok. Kilka osób zemdlało, a reszta podenerwowanych pasażerów wykupiła cały zapas leków uspokajających z ulicznych apteczek. Oddziały bezradnie załamywały ręce i miało im się to zdarzać coraz częściej. Ustalono, że środek przewożony jest całkowicie legalnie przez proximańskie frachtowce i sprzedawany w proximańskich domach handlowych, otwartych kilkanaście lat temu w ramach współpracy. Najprostszym wyjściem byłoby zamknięcie dla proximańskiej żeglugi granic celnych, jednakże granice te dopiero co zostały otwarte po licznych perturbacjach. Pozostawało zastanowić się nad innymi możliwościami przeciwdziałania. Gdy po tygodniu kawały podobne do warszawskiego czy

nowojorskiego można było liczyć na setki, utworzono specjalną Komisję do Spraw Antyoptolu. Tymczasem wydarzenia przeszły w nową fazę. Pojawiły się pierwsze przypadki uprowadzeń, w mężczyznach odżyły lubieżne instynkty i kobietom zdarzały się wypadki napaści erotycznych. Najmniej groźne było zjawisko masowych kradzieży, uprawianych dla zaspokojenia wysublimowanego instynktu polowania. Najwięcej zmartwień przysparzały uprowadzenia i szantaże. W sytuacji, kiedy w każdej chwili niewidzialny człowiek mógł wejść do każdego pomieszczenia, prywatnego czy służbowego, prowadzenie poufnych rozmów okazywało się trudniejsze niż kiedyś lot na Księżyc. Potem zdobywca intymnej informacji usiłował zmusić szantażowanego do załatwienia mu jakiejś pracy, o co wcale, jak wiemy, nie jest w naszych czasach łatwo, do zarezerwowania miejsca na atrakcyjnym transgalaktyku lub do zapewnienia kilku minut na wizyjnej antenie. Rejestr żądań szantażystów był z każdym dniem dłuższy, a nie wszystkie ofiary miały ochotę zwracać się o pomoc do Oddziałów, zwłaszcza jeżeli nieostrożnie wypowiedziane słowo mogło zaszkodzić ich dalszej karierze. To samo dotyczyło porwań. Tą metodą usuwano niewygodne osoby poza nurt wydarzeń lub z pola walki o posadę, z konkurencyjnej instytucji lub z własnej rodziny. Niedługo potem antyoptol znalazł, niestety, jeszcze jedno zastosowanie. Tym razem chodziło o kradzieże nie przedmiotów, a myśli. Myśl twórcza wielu naukowców i artystów padała w tych dniach łupem bezwzględnych złodziejasków, którzy w dodatku niszczyli wszelką dokumentację i każdy najdrobniejszy ślad, po czym podawali owe pomysły i rozwiązania jako swoje. Ich ofiarom, nie dysponującym żadnymi dowodami autorstwa, bardzo trudno było się obronić.

Ciężkie to były dni i wiele się zmieniło od spokojnych, przedantyoptolowych czasów na naszej poczciwej planecie. Komisja do Spraw Antyoptolu przemianowała się rychło na Komisję do Spraw Bezwzględnej Walki z Antyoptolem i zatrudniła najtęższe głowy, aby ten problem rozwikłać. Wielkim ciosem była świadomość, że Rei Seian zbiegł i w przyspieszonym trybie otrzymał obywatelstwo proximańskie. Wraz z Seianem zniknęła dokumentacja jego wynalazku, przez jakieś niedopatrzenie niezabezpieczona. „Dokumentacja?” - zachichotali pewni siebie chemicy „- Na co nam dokumentacja? Weźmiemy farbę pod elektronowe mikroskopy, prześwietlimy, rozbierzemy na atomy, aż do dna i zaraz będziemy wszystko wiedzieć”. I tutaj czekała członków wymienionej Komisji druga przykra niespodzianka. Antyoptol okazał się związkami bardzo skomplikowanym. W strukturze jego łańcuchów badawcze zespoły pogubiły się do cna i niejednen naukowiec połamał sobie na niej zęby. I tak to wygląda do dzisiaj. Antyoptol jak był, tak jest, Komisja przestała głosić buńczuczne hasła, a sprawę przekazano dyplomatom i postawiono ją na forum Rady Planet. Ziemia od tamtych czasów zmieniła się nie do poznania. W większości miejsc publicznych pojawiły się wachacze, które choćby w minimalnym stopniu mogły się przyczynić do wykrycia niewidzialnych sprawców jakiegoś kawału, czy kradzieży. Wprowadzono obowiązkową rejestrację papilarną i zapachową wszystkich mieszkańców planety, a każdy turysta musiał przejść przez skomplikowane badania, określające składowe jego zapachu. Błyskawicznie rozwinęła się kulejąca do tej pory feromonologia. W oknach pojawiły się kraty, do łask wróciły sejfy o grubych, stalowych ścianach i systemy alarmowe. Jednym słowem, zupełnie jak w średniowieczu. Za to o pracę było łatwiej, ponieważ Oddziały zgłaszały stale rosnące zapotrzebowanie na ludzi.

Oto w jakiej sytuacji zostałem przez Elektrol, któremu powierzono rozwiązanie zagadki antyoptycznej farby, zwerbowany i zatrudniony jako intuicjonał. Gdy Matson zjawił się w moim domu, myślałem, że to sen. Nie byłem jakimś wybijającym się intuicjonałem, a moja kariera w tym zawodzie dopiero się rozpoczynała. Teraz już wiedziałem, dlaczego wybrał właśnie mnie i nie dziwiłem się temu, jednak z całym przekonaniem wierzyłem, że stać mnie na pokrzyżowanie planów szajki Matsona. Byłem pewny, że to wywiad gospodarczy Proximy usiłuje nie dopuścić mnie do pracy, ocenia bowiem, że jednak mogę być groźny. Przyrzekłem sobie, że okażę się groźny rzeczywiście.

Leżałem właśnie wygodnie wyciągnięty z rękami pod głową na mojej miękkiej kanapie i przypatrywałem się szeregowi pojemników z antyoptolowym aerozolem, gdy odezwał się sygnał połączenia. Nie wstając włączyłem obraz i dźwięk, jeszcze nie całkiem oderwawszy się od rozmyślań nad kolorowymi etykietami metalowych puszek.

- Dzień dobry - usłyszałem przyjemny głos i wreszcie oderwałem wzrok od barwnego szeregu, przenosząc go na ekran. W gabinecie siedział główny dyrektor Elektrolu, Halsmid. Był to zgrzybiały starzec o trzęsących się dłoniach i włosach zupełnie już siwiuteńkich, jednak głos miał silny i młody.

- Widzę, że całkiem dobrze się panu pracuje - powiedział.

- Nieźle - odrzekłem przeciągając się, aż trzeszczało mi w kościach. - Właściwie to mało powiedziane. Nabieram sił do decydującego szturmu.

- Widzę - uśmiechnął się, rozciągając pomarszczoną twarz. - Rozmawiałem z niejaką Dagnes Merial, która wręcz zmusiła mnie do skontaktowania się z panem. Przedstawiła się jako siostra pańskiej żony.

- Tak. Ja też się z nią widziałem i muszę panu powiedzieć, że jej wizyta zakłóciła nieco rytm mojej pracy.

Uśmiechnąłem się również i dodałem:

- Cieszę się, że udało jej się namówić pana na rozmowę ze mną, bo w przeciwnym wypadku mój rytm uległby prawdopodobnie jeszcze głębszemu zachwianiu.

- Może przejdziemy do rzeczy - zaproponował Halsmid. - Czy coś pana szczególnie zaniepokoiło, do tego stopnia, że naruszył pan przepisy? Ta pańska znajoma mówiła mi coś niecoś, ale tak mętnie, że sam nie wiem, co o tym sądzić. Twierdziła, że pan wszystko wyjaśni i groziła, że jeżeli się z panem nie skontaktuję, to będzie pan sabotował naszą współpracę.

- Chyba ją pan źle zrozumiał - powiedziałem miękko. - Nie mógłbym tego robić, bo sabotażem można nazwać tylko działanie umyślne, a ja po prostu nie mogę się skupić, odkąd Dagnes przyniosła mi tę okropną wiadomość o porwaniu mojej żony.

- Rzeczywiście - powiedział z namysłem, bawiąc się jakimś wiecznopisem. - Sprawdziłem tę wiadomość i muszę przyznać, że jestem bardzo zaskoczony. Jak na razie Oddziały nie wpadły na najmniejszy trop.

- O ile wiem - stwierdziłem siadając po turecku i podpierając brodę dłonią - poszukiwania są prowadzone zwykłym trybem, za pomocą automatów. To znaczy, że jeżeli ona pojawi się w jakimkolwiek miejscu, gdzie są zainstalowane obiektywy lub wążacze, zostanie uruchomiony sygnał alarmu dla najbliższego komisariatu.

- Właśnie tak to wygląda.

- Ale obaj wiemy doskonale - powiedziałem z naciskiem - że w porwaniu brał udział proximańczyk, i że moja żona znajduje się najprawdopodobniej w miejscu, gdzie nie ma urządzeń śledzących, i że może tam przebywać miesiącami.

- Czego pan oczekuje ode mnie? - zapytał Halsmid i odłożył wiecznopis na biurko.

Nie odpowiedziałem od razu. Wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju. Dyrektor czekał cierpliwie. W końcu zatrzymałem się tuż przed obiektywem.

- Czy wie pan - powiedziałem - że miałem już zamiar zapłacić wam za zerwanie umowy i zrzec się pracy nad antyoptolem?

- Hm... - zastanowił się. - Oczywiście może to pan zrobić, choć byłoby to dość kosztowne przedsięwzięcie.

- Chciałem to zrobić bez względu na koszty - rzuciłem twardo.

- Ale zmienił pan zamiar? - przerwał i nerwowo poprawił się w fotelu. Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Zaraz wyjaśnię - rzekłem. - Otóż postanowiłem kontynuować pracę, mam nawet podstawy by sądzić, że uda mi się rozwiązać ten problem. Jedna tylko rzecz mi w tym przeszkadza.

- Rozumiem. Świadomość, że żonie pana grozi niebezpieczeństwo. Tak... - powiedział, przeciągając głoski.

Wstał i teraz ja obserwowałem, jak się przechadza.

- Jednym słowem uważa pan - kontynuował - że konieczna jest moja interwencja w Radzie Ziemi, i że Radapowinna zwrócić uwagę opinii publicznej na fakt owego porwania.

- Owszem - przytaknąłem energicznie. - Ale nie tylko.

- Cóż jeszcze? - zatrzymał się, marszcząc brwi.

- Trzeba podjąć energiczniejsze kroki dla jej znalezienia.

- Ach tak - uśmiechnął się. - To drobiazg. Zaraz porozumiem się z nadpułkownikiem Malindangiem, który kieruje specjalnymi jednostkami Oddziałów. Zapewniam pana, że on stanie na głowie, aby pańską Agrę odnaleźć. Czy to już wszystko czego pan od nas oczekuje?

- Tak - powiedziałem czując, że mogę mu zaufać.

- Czy to pana uspokoiło?

Ponownie potwierdziłem.

- Więc teraz do roboty - jego twarz rozpromieniła się optymistycznie. - Trzymam pana za słowo.

- Będę się starał - odrzekłem i połączenie zostało przerwane.

Najgorsze było to, że ciągle nie widziałem wyjścia z sytuacji. Połączyłem się z Matsonem.

- Czy możecie mi przysłać magnepter i kasety z muzyką trąbową? - zapytałem grubasa.

Zrobił wielkie oczy, na ile pozwalały mu na to okalające je fałdy tłuszczu.

- Co? - spytał głupio.

- Nie słyszał pan? - rzuciłem drwiąco. - Mam ochotę wypocząć, a wypoczywam najlepiej przy muzyce trąbowej. Czy to niejasne?

- No tak... - bąknął Matson. - Oczywiście, że przyślemy.

* * *

Gdy dojechali do portu, z nieodłącznym szarym stradem za plecami, Agra poczuła, że również na nogach zaciskają jej metalowe obręcze. Wynieśli ją na nabrzeże i po chwiejnym trapie przetransportowali na pokład niewielkiego motorowego jachtu. Wewnątrz przytulnej kabiny zdjęto jej kajdanki. Zauważyła, że okna są zakratowane. Z westchnieniem ulgi ujrzała swoje ciało, powracające do normalnego stanu widzialności. Suknia przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, a mrugające figlarnie wielkie oczy znieruchomiały, porażone widać jakimś związkim, zawartym w farbie. Napastnicy nadal pozostali niewidzialni. Pomalowani byli prawdopodobnie antyoptolem długookresowym, jaki od niedawna sprzedawały domy handlowe Proxigralu. Mogła więc tylko słyszeć ich kroki.

- Pospiesz się, Evert - dobiegł ją głos Jonskiego.

- Kończę nastawiać program - padła odpowiedź ze sterówki.

- Teraz, moja droga - powiedział Jonski - popłyniesz grzecznie na Bornholm. My się zwijamy.

- Przyjemnej podróży - usłyszała jeszcze głos Olga, nim zatrzasnęły się za nimi drzwi.

Przez zakratowaną szybę oglądała wyjście jachtu z portu. Mijał olbrzymie zbiornikowce i najeżone dźwigami bocznicę przeładunkową, potem doki stoczni remontowej, aż wreszcie wypełził oznaczonym bojami torem na rozchwiane fale zatoki. Tutaj silniki ruszyły pełną mocą, a dziób uniósł się lekko nad

wodą. Przestało chwiać i łódź sunęła z dużą szybkością wprost w rozedrgane falami morze ku widnokręgowi, nad którym wschodziło słońce. Wkrótce zniknęły oba brzegi.

Bornholm okazał się być jej stacją docelową, a nie miejscem przesiadki, jak sobie wyobrażała. Łódź przycumowała do niewysokiego, drewnianego pomostu na terenie prywatnej posesji - tak się przynajmniej Agrze przez moment zdawało. Na brzegu czekała ładna, młoda kobieta. W pierwszej chwili bardzo się ucieszyła. Dopiero gdy tamta weszła na pokład i otworzyła drzwi kabiny, Agra przestała się cieszyć. Na ramieniu kobiety widniał wytatuowany czerwony kolisty emblemat z napisem „Androidtechnatom”.

- Witamy - powiedziała homoidka.

- Czy to już koniec mojej podróży? - spytała Agra, szykując się do wyjścia.

- Tak - odparła tamta. - Będziemy tu razem czekać na dalsze rozkazy.

- Razem?

- Właśnie. Poza mną nie ma na terenie Ośrodka nikogo. Zostałam przydzielona pani do towarzystwa - uśmiechnęła się przemiło, ale Agra zdawała sobie sprawę, że ten uśmiech jest efektem ścisłego programu, który zakodowano w pamięci tej lalki i byłoby idiotyzmem posądzać ją o sympatię do czego - lub kogokolwiek. Westchnęła ciężko i wyszła na pokład. Powietrze pachniało tą cudowną świeżością, którą jeszcze można odnaleźć w niektórych zakątkach naszej kochanej planety, zwłaszcza z dala od wielkich miast i wielkich kontynentów. Zaczerpnęła go pełną piersią i zaraz poczuła się lepiej.

- Doskonałe tutaj powietrze, prawda? - stwierdziła sztuczna kobieta.

Agrze popsuło to nastrój, więc zapominając o sytuacji, w jakiej się znalazła, rzuciła ostro:

- Jakie masz funkcje?!

- Jestem pani ochroną, towarzystwem, służącą, kucharką. Jednym słowem, wszystkim - znów uśmiechnęła się pełnymi, czerwonymi wargami. Miała oczy niebieskie jak niebo, oglądane z czerwonego pokoju ich, Agry i Yana, willi tuż po zachodzie.

- Czyli aniołem stróżem - powiedziała Agra na przekór sobie chłodno.

- Nie rozumiem - niebieskie oczy androidki rozszerzyło zdziwienie. - Co to jest anioł stróż?

- Nieważne - machnęła ręką Agra.

- Poprowadzę panią - androidka wysunęła się naprzód i obie zeszły na piaszczystą plażę, nad którą wznosiła się wysoka skarpa.

- Całkiem tu ładnie - wymamrotała do siebie Agra, a głośno zapytała:

- Jak masz na imię?

- Andes 616.

- No dobra - mruknęła niechętnie Agra - będę ci mówić Andes. To powinno wystarczyć.

Wspinały się mozolnie na szczyt skarpy, za którym w cieniu owocowych drzew krył się budynek główny Bałtyckiego Ośrodka Oddziałów Specjalnych. Miał on chwilowo stanowić jej dom.

* * *

Tym razem sygnał połączenia wyrwał mnie ze snu, a śniły mi się rzeczy przedziwne. Był to sen zupełnie na temat, jak zaprogramowany. Przez kilka sekund, zanim nie powtórzył się natarczywy sygnał, błąkały mi się po mózgu jakieś asocjacje, których jednak nie potrafiłem do końca objąć. Było w tych majaczeniach coś na temat trąb, które lśniły w słońcu, wydobywał się z nich dźwięk typowy dla fanfar, choć wyglądały jak gigantyczne, zamocowane na murach jakiejś twierdzy tuby. Te mury były zbudowane z

puszek po antyoptolu. Sygnał się powtórzył i obraz prysł, jak bańka.

- Światło! - zawołałem i cały pokój błysnął nagle przerażającym, białym blaskiem.

- Nie tak!!! - wrzasnąłem wściekły i wcisnąłem klawisz połączenia.

Lampy przygasły, ale ja wciąż nic nie widziałem na ekranie poprzez pulsujące, czerwone obręcze porażonego światłem wzroku.

- Tu Halsmid - usłyszałem i zerwałem się z posłania, trąc oczy grzbietem dłoni.

- To pan - wymruczałem nieprzytomnie. Wreszcie go dojrzałem. - Czy coś się stało?

- I owszem - odparł Halsmid, bawiąc się swym nieodłącznym, zielonym wiecznopisem.

Wyglądał dzisiaj jeszcze starzej, niż ostatnio, może z powodu nocnej pory, a może przez upiorne, fioletowe oświetlenie swojego gabinetu.

- Jest tutaj ze mną nadpułkownik Malindang - dodał.

- Znaleźliście coś? - zapytałem trochę ucieszony, bardziej jednak niepewny, gdyż intuicja, podpowiadała mi coś innego.

- Niestety, nie - odpowiedział nadpułkownik, zaskakująco młody, jak na taką szyszkę i cały lśniący złotymi epoletami.

„Co za dziwna tendencja do operetkowości” - pomyślałem o tym mundurze, choć właściwie mógłbym to powiedzieć o całej dzisiejszej modzie.

- Więc? - spytałem wyczekująco.

- To oni nas znaleźli.

- Co to znaczy? - zdziwiłem się.

- Na razie zażądali okupu. Nagraną na kasecie wiadomość otrzymał dyrektor Halsmid w dzisiejszej poczcie.

- Jakiej wysokości ten okup? - wyrwało mi się, nim pomyślałem, że coś tu nie gra.

- Dziesięć tysięcy transsolarów - poinformował mnie uprzejmie dyrektor.

- Chwileczkę - powstrzymałem go gestem wyciągniętej dłoni, choć wcale nie miał zamiaru nic dodawać. - Przecież to się nie trzyma kupy! - dokończyłem, wrzeszcząc.

- To jeszcze nie wszystko - wtrącił się nadpułkownik. - Wyznaczyli datę i miejsce złożenia okupu, jak również osobę, która ten okup ma dostarczyć.

- Osobę? - zdziwiłem się. - To jakaś banda pomyleńców. Na co im ten okup?

Wciąż nie rozumiałem sensu tego dziwaczного żądania.

- Tą osobą ma być pan - dokończył niemal wesoło Malindang i dlatego musieliśmy się z panem połączyć.

- Co?! - wrzasnąłem ponownie. - Ja?!!!

Teraz dopiero to do mnie dotarło. Pewnie zamierzają porwać mnie, a Agrę odstawić i nie o okup im chodzi, tylko o moją skórę. Sprytnie pomyślane.

- Sprytnie pomyślane - oznajmiłem głośno, opadając na kanapę. - Co teraz zrobimy?

- Podstawimy pańskiego sobowtóra - androida. Chcieliśmy pana uprzedzić, że przyjdą nasi ludzie, zdjąć z pana miarę. Zgoda?

Halsmid uśmiechnął się dobrotliwie i dodał:

- Niech się pan nie przejmuj. Pańskiej żonie nic nie grozi. Rada Ziemi wszczęła już kroki, nawet proximańska prasa została zobowiązana do zamieszczenia informacji o tym porwaniu.

- Rozumiem - powiedziałem z namysłem. - To by było proste, ale... - przerwałem, bo przypomniałem sobie, że takie oszustwo bardzo łatwo wykryją nasi przeciwnicy. Przecież Matson jest jednym z nich. Zrozumiałem, że muszę im to powiedzieć, bo wszystko popsują i pułapka okaże się niewypałem.

- Czy panowie wiedzą, że Matson jest prawdopodobnie zamieszany w ten spisek? - zapytałem

powoli.

Przez moment panowała cisza. Pierwszy odezwał się Halsmid.

- To niewiarygodne - powiedział. - Przecież Matson jest naszym najbardziej zasłużonym pracownikiem.

- Hm... - chrząknął Malindang. - Czy to możliwe, żeby brał udział w spisku, skoro sam wybrał właśnie pana na intuicjonała, choć miał możliwość wziąć kogoś znacznie słabszego?

- Nic panowie nie rozumieją - wściekłem się. Czy to możliwe, żebyście go o nic nie podejrzewali?! Sam słyszałem jego rozmowę z jakimś człowiekiem, którego niestety nie widziałem, ale była tam mowa o Proxixarze, czy kimś takim!

- O Proxixarze? - zdziwił się ponownie Halsmid.

- Pewnie chodzi o Agencję Proxistara - wyjaśnił nadpułkownik. - To najbardziej popularne biuro na Proximie, zajmujące się różnego rodzaju delikatnymi misjami. Posiada kilka doskonale wyszkolonych oddziałów specjalnych.

- Szpiegów? - wyraził się staroświecko Halsmid.

- Można to tak nazwać - nadpułkownik kwaśno się uśmiechnął. - No dobrze - zwrócił się teraz do mnie - weźmiemy pańskie słowa pod uwagę, choć nie przypuszczam, aby Matson wplątał się w coś takiego. Ostrożność jednak nie zaszkodzi.

- Postaramy się zorganizować wszystko tak, aby Matson się nie zorientował - włączył się Halsmid. - Jeszcze dziś wyślę go do Moskwy, niech załatwi dostawę półprzewodników. Termin złożenia okupu wyznaczono na pojutrze, Matson zaś nie powinien wrócić wcześniej niż za trzy dni.

- Doskonale - powiedział nadpułkownik. - Niech więc pan czeka, Yan, na naszych ludzi, którzy przyjdą pana sfotografować i zmierzyć.

Wyłączyli się, nim zdołałem otworzyć usta, by wyrazić swoje wątpliwości. Zresztą czy wysłuchaliby mnie, skoro nawet nie mogli uwierzyć w to, co powiedziałem o Matsonie? Włączyłem mój magnepter na pełny regulator. Szósta symfonia Gartela i Monsiriego na kompleks stu trąb rozległa się mocnym akordem, aż zatrzęsł się sufit, a stojące obok aparatu buteleczki z antyoptolem pospadały na podłogę. Przykręciłem gałkę i w cichym, stonowanym dźwięku trąb począłem znów intensywnie myśleć, co mógł oznaczać mój dziwny sen.

* * *

Jak doszło do tego, że proximańska Konferencja Rady Planet nie przyniosła efektów, to znaczy klauzuli zakazującej przywożenia na Ziemię nieszczęsnej farby? To bardzo proste. Byłem wtedy wysłannikiem jednego z warszawskich dzienników, bo od czasu do czasu lubię także coś napisać. Wszyscy przecież wiedzą, że zajęcie intuicjonała składa się z rzadkich chwil aktywności, czyli zatrudnienia przez jakąś firmę w celu rozwiązania problemu i z bardzo długich, czasem nawet i rocznych okresów bezczynności. Dobremu intuicjonałowi nietrudno jest utrzymać należyty standard życia - mam na myśli wyższy od przeciętnego - nawet jeżeli pracuje raz w roku. Ale takiemu, jakim ja byłem cztery lata temu, nie udałoby się to w żaden sposób. Tak więc znalazłem się w Lleah Innteah, pełniącym od niedawna rolę tamtejszej stolicy, tak jak u nas Geopolis, założone w geometrycznym środku Eurazji i Afryki. Lleah Innteah również powstało w środku jedyne proximańskiego kontynentu, zwanego po prostu Kontynentem, dzięki czemu udało się proximańczykom uniknąć tych wszystkich sporów i awantur, które towarzyszyły wyznaczaniu ziemskiej stolicy i nikt tam nie miał powodu obrażać się jak Amerykanie.

Samo miasto mogłoby się podobać, baniasto-kopulaste, pączkujące budowlami wyrastającymi jedna z drugiej i na drugiej, gdzie się tylko dało. Zaskakujące wrażenie sprawiał brak jakichkolwiek dróg czy chodników. Proximańscy postawili się i doprowadzili instytucję zwaną vind, a u nas używaną jedynie do dalekich podróży i to nie zawsze, do absurdu. Inaczej nie można było się po prostu po Lleah Innteah poruszać. Muszę powiedzieć, że początkowo miałem z tym spore kłopoty, gdyż nie znałem języka interproxilingwa i wszystkie kody na tablicach rozdzielczych vindu były dla mnie zagadką. Ale wróćmy do głównego tematu. Dlaczego nie powiodła się misja delegacji ziemskiej? Wydaje mi się, że zawiniło nie tyle nasze społeczeństwo, które do tego wynalazku nie dorosło, ile sam fakt, że to ono właśnie ów antyoptol wydało na świat.

Obrady toczyły się w wielkim hotelu Prolong, który rzeczywiście był najdłuższym bąblem w stolicy. Przeprowadzono je za pomocą sieci wizyjnej, tak, że każdy z uczestników mógł pozostawać w swoim apartamencie. Obserwatorzy obrad posiadali w swoich pokojach jedynie odbiorniki, natomiast uczestnicy z prawem głosu również urządzenia nadawcze. Kolejność udzielania głosu ustalał komputer na podstawie kolejności zgłoszeń. Po wystąpieniu delegata Ziemi wszystkie światła na tablicy, wskazującej zainteresowanie tematem, pogasły i jarzyło się ich dosłownie kilkanaście. Sprawę potraktowano jak lokalny spór bez znaczenia, bo przecież antyoptol znany i używany był wszędzie, jednak bez porównania bardziej mądrze i kulturalnie, i nigdzie nie spowodował takiego zamieszania, jak na naszej rodzinnej planecie. Prośbę Ziemi oddalono, a motywacja tego była prosta. Przewodniczący powiedział:

- Nie wiem, jak tę prośbę mam potraktować. Rozumiem całe zamieszanie, jakie sami sprowadziliście sobie na głowę, ale to przecież tylko wasza, wewnętrzna sprawa. To Ziemia wydała ten wynalazek, za co zresztą jesteście jej bardzo wdzięczni. Wiele planet stara się teraz o licencję na antyoptol. Nie chciałbym twierdzić, że kierujecie się zawiedzionymi ambicjami lub, że postępowaniem waszym rządzi zwykła zazdrość. Podpisaliście Kartę Planet, a teraz żądacie do niej poprawki. Czy nie dlatego, że dziś proximańscy czerpią ogromne zyski z wynalazku, który wy pochopnie odrzuciliście? Dlaczego inni mają ponosić konsekwencje waszych wewnętrznych problemów, waszej niedorobłości i braku zdyscyplinowania w społeczeństwie?

Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście poradzili sobie sami, stosując na przykład ostre kary za używanie tego środka. Jednak żądaniu, które stawia pod znakiem zapytania równość wszystkich stowarzyszonych w handlu międzyplanetarnym stron, musimy zdecydowanie odmówić w interesie ogólnej współpracy.

I to było właściwie wszystko. Nie zdążyłem nawet wziąć udziału w widowisku elektrooptycznym, do którego zachęcały wszystkie foldery, choć może i lepiej się stało, bo słyszałem na temat tej rozrywki różne zdania. Kogoś podobno niezłe kopnęło na skutek przebicia w instalacji.

O embargu nie mogło więc być mowy. Należało rozejrzeć się za wewnętrznymi środkami, aby zaradzić złu. Tak zresztą należało postępować od początku, a nie od razu zwracać się do najwyższego trybunału. Swoją drogą ten, co wymyślił takie rozwiązanie powinien niewąsko odpokutować za to, że na długi czas staliśmy się tematem głupich żartów całej międzyplanetarnej teleprasy. Czuwacze, kraty w oknach, obiektywy lustrujące pomieszczenia i ulice to były efekty późniejszych wysiłków, mających na celu opanowanie tego zjawiska. Zaostrzono kary, ale główny problem ciągle czekał na rozwiązanie. O zakupie licencji na antyoptol nie mogło być mowy, a prace nad rozszyfrowaniem związku niestety nie posuwały się naprzód. Szukano totalnego środka, który zastosowany powodowałby natychmiastowy rozpad farby i tym samym ujawniał człowieka, ukrytego pod jej warstwą lub choćby rozpuszczalnika, który byłby lepszy od rozpuszczalnika Yarokega. Chodziło o środek bezpieczny i łatwy w powszechnym zastosowaniu. I wciąż tego środka nie było.

Teraz ja stałem na szczycie piramidy, we mnie pokładano wszystkie nadzieje. Co z tego, skoro byłem na opadającej fali? Czy uda mi się dokonać tego, co nie udało się wielu innym doskonałym intuicjonanom, sztabom naukowców, wielkim korporacjom, komputerom i diabli wiedzą jeszcze komu? Dzisiaj zaczynałem wierzyć, że dopnę celu, choć zupełnie nie wiedziałem, jak. Kilka dni temu uznałbym to za niemożliwe. Propozycję przyjąłem przecież właściwie tylko ze względów finansowych, które nawet w przypadku przegranej były bardzo korzystne.

Całe przedpołudnie krążyłem po ogrodzie nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Przyglądałem się płątkom różaneczników, które pachniały aż do bólu głowy, przysiadałem na kępach trawy i z twarzą wystawioną do słońca usiłowałem się skupić. Ciągłe nic z tego nie wychodziło. Więc wracałem do pokoju, nastawiałem na pełny głos różne kasety, ale nie odpowiadały mi dzisiaj ani fanfary, ani rozległe koncerty puzonowe, ani w ogóle nic. Wściekły wyłączałem magnepter i wracałem do ogrodu, po raz nie wiadomo który stwierdzając, że już nie mogę znieść zapachu różaneczników, bo nie dość, że jest mdlący i słodki, to jeszcze na dodatek nachalny i wszechobecny. Koło południa połączył się ze mną Halsmid. Przedstawił mi moją kopię. Idealny Yan San Bis, którego nie można było ode mnie odróżnić z wyjątkiem podeszew stóp, na których miał czerwone tatuaże z ogromnymi literami „Androidtechnatom”. Poza tym zewnętrznym podobieństwem robot nie przypominał mnie w niczym i nawet miałem zastrzeżenia co do skrzeczącego timbre jego głosu. Najbardziej rozżłościł mnie swoją tępą pyszałkowatością.

- Wbudujcie mu jakąś przystawkę ograniczającą zarozumialstwo, bo gotów wszystko popsuć - powiedziałem złośliwie do Halsmida.

- Jest zaprogramowany na sto dwa - odparł niezrażony moim tonem dyrektor.

Byłem zły, że nie będę mógł wziąć udziału w akcji, a nie chciałem sam prosić o pozwolenie uczestnictwa choćby za pomocą wizyjnego kabla, chociaż miałem na to ogromną ochotę. Z kłopotu wybawił mnie Malindang, który pojawił się w trakcie dokonywanego przez nas przeglądu Yana Sana rodem z automatycznej taśmy.

- Mam dla pana propozycję - rzucił od wejścia, zmierzając energicznym krokiem ku środkowi zielonego gabinetu dyrektora.

- No - mruknąłem niezadowolony - ciekawe, co pan wymyśli, żeby zburzyć moje plany.

Nadpułkownik zmierzwił króciutkie na kilka milimetrów włosy o kolorze tak łudząco podobnym do koloru skóry, że można było je zobaczyć jedynie wtedy gdy stały nastroszone i powiedział:

- Oczywiście, jeżeli by to miało zburzyć pańskie plany, to natychmiast wycofuję moją propozycję.

- Niech pan mówi - machnąłem ręką ze zniecierpliwieniem.

- Czy on jest w złej kondycji? - odezwał się nagle mój plastikowy sobowtór.

Malindang i Halsmid spojrzeli z rozbawieniem na swoje dzieło mnie zaś aż zatrzęsło w środku. Nie cierpię przemądrzałych kopii, nawet najdoskonalszych.

- Weźcie stąd to pudło, bo działa mi na nerwy - rzuciłem niechętnie.

- Tylko nie pudło - rzucił się Yan San Bis i poczerwieniał ze złości.

Na szczęście Halsmid go wyprowadził, ale wcale mnie to nie uspokoiło.

- Wracając do sprawy - rzekł Malindang, rozsiadając się wygodnie. - Czy chciałby pan uczestniczyć poprzez nasz kanał wizyjny w całej akcji?

Może innym razem podskoczyłbym pod sufit z radości, ale byłem rozdrażniony przedłużającą się niemożnością koncentracji, więc powiedziałem tylko:

- I owszem. Czy jeszcze jestem panom potrzebny?

- Nie, to już wszystko - Malindang uważnie lustrował moją twarz i przez sekundę miałem wrażenie, jakby usiłował odkryć we mnie jakąś zagadkę.

Wyłączyłem wizję i wyszedłem do ogrodu. Może nadpułkownik szukał po prostu przyczyny mego

złego nastroju? Mniejsza z tym. Wiadomość, że będę brał udział w akcji jako obserwator ucieszyła mnie jednak i poczułem się raźniej.

Miało się to rozpocząć o dwudziestą. O siedemnastej zjadłem więc obiad, wybrałem zestaw z wybieracza. Mniej więcej w połowie talerza wpadła mi do ogórkowej zupy mucha, więc wściekły kazałem sobie podać następną porcję. Tępy automat podał mi nowy talerz pełen zupy i w efekcie nie miałem już ochoty na drugie danie. Nietknięty kotlet i frytki wsunąłem do pochłaniacza. Ten nie mruknął nawet protestacyjnie, choć miał prawo zwrócić cały zestaw. Najgorszą zmorą mojego życia są pochłaniacze. Ten kto je wymyślił i tak perfidnie zaprogramował, nie powinien zaznać spokoju do końca swoich dni. Problem polega na tym, że nie znoszę podniszczonych przedmiotów i podgrzewanych pokarmów. Jemy więc na przykład z Agrą obiad, a ja nie mam ochoty na zupę. Wstawiam więc talerz do pochłaniacza, a ten bezczelnie wypycha to wszystko na zewnątrz i mówi: „Substancja niezanieczyszczona. Skład według receptury. Nadaje się do spożycia”. I tyle. Można się z tym durnym urządzeniem bawić w przepychankę, albo pokornie odstawić zupę na bok i odgrzać na kolację. Można też poczekać, aż się żarcie zepsuje, wtedy to pudło przyjmie je bez protestu. W szkolnym internacie rozprawialiśmy się z pochłaniaczami bez zbytnich skrupułów. Nie miałem ochoty na jabłko, choć na przykład dopiero raz je ugryzłem, to smarowałem je pastą do butów, miałem dość skarpetek, choć były całe, to ciąłem je na makaron i po krzyku. Teraz nie poniżałem się do takich sztuczek, bo oznaczało to przecież ustępowanie bezwzględniemu mechanizmowi. Na szczęście tutejszy pochłaniacz był bardziej tolerancyjny niż mój domowy. Wcisnąłem numery mojego ulubionego, alkoholizowanego cocktailu 37-65-12 i podążyłem ponownie na werandę. Ani się obejrzałem, jak minął cały dzień, a ja nawet na sekundę nie skupiłem się na właściwej sprawie. Pod zachód rododendrony ziały kondensatem zapachu i doprowadziły mnie do ostatecznej pasji. Zerwałem się z betonu i natychmiast połączyłem się z Matsonem, to znaczy właściwie z człowiekiem, który go zastępował, a był całkowitym Matsona przeciwieństwem. Wysoki, chudy jak szczapa, o przezroczyściej i cienkiej niczym bibułka skórze. Ciągle nie mogłem zapamiętać jego nazwiska.

- Panie... ten... tego... - plątałem się. - Nieważne! - ryknąłem wreszcie z determinacją. - Niech no mi tutaj przyślą zaraz piłę.

- Piłę? - zapytał, ale w jego głosie nie było zdziwienia, raczej prośba o potwierdzenie.

- Właśnie piłę - przytaknąłem skwapliwie.

- Do metalu czy do drewna? - spytał beznamiętnie.

- Obojętne! - odkrzyknąłem, żeby już mieć to za sobą i wyłączyłem się, po czym natychmiast połączyłem się ponownie i sprostowałem:

- Do drewna.

Piła nadeszła po dziesięciu minutach, które wydawały mi się godzinami przez narastający ból głowy i coraz mocniejszy odór rododendronów. Przechodząc koło magnepteru trzasnąłem weń pięścią. Rozległy się dźwięki skocznej marsza, a ja ochoczo przystąpiłem do cięcia. Z pasją i zaciętością godną wyższego celu rzuciłem się na te biedne krzewy i krążąc po ogrodzie wyszukiwałem wszystkie nienawistne mi rośliny, po czym wrywałem je z korzeniami, wycinałem w pień i zwałąłem na stertę po przeciwległej stronie ogrodu. Z tego wszystkiego przegapiłem początek akcji i dopiero Malindang, uporczywie naciskając sygnał połączenia, wyrwał mnie z zapamiętania.

- Co się tam wyprawia? - zapytał patrząc na mnie wielkimi oczami.

- Nic specjalnego - odrzekłem wyłączając muzykę.

- Ma pan krew na rękach.

Spojrzałem na swoje dłonie. Rzeczywiście, lewa była nieźle podrapana. Widać któryś krzak zemścił się na mnie.

- Niech się pan nie obawia - powiedziałem, oblizując zadraśnięcia. - To moja własna krew.

Chciał coś jeszcze dodać, ale dał spokój i zajął się pulpitem rozdzielczym.

- Podłączam pana do kamery Yana Sana Bis, która jest zamontowana w nim samym. Obiektyw mieści się w lewym oku pańskiej kopii. Będzie pan miał obraz jedynie jego oczami.

- Lepsze to niż nic - pocieszyłem go, pociągając łyk 37-65-12.

* * *

Yan San Bis wysiadł z długiej, czarnej limuzyny dyrektora Elektrołu przed zachodnim wejściem. Strad pokłował na parking, jednak nikt więcej nie opuszczał jego wnętrza. Sobowtór zmierzył badawczo szklistą elewację o barwach oscylujących w pobliżu zieleni. Pałac Sztuk na szóstym poziomie wyglądał właśnie tak i patrząc od jego podnóża, zwłaszcza po stronie zachodniej, miało się wrażenie, że gigantyczna budowla cała jest zielona. Było to złudzenie, spowodowane powyginanymi płaszczyznami filtracyjnymi. YSBis skierował się do szerokich drzwi, kurczowo ściskając w ręku walizeczkę wypchaną transsolarami. O dwudziestej rozpoczynało się tutaj kilkanaście spektakli, ale nawet gdyby pora była inna, tłum ludzi wcale nie byłby mniejszy. Na lśniących gładką posadzkach rozsiadły się dziesiątki postaci, ubranych przeważnie dziwnie, aby choć strojem skupić na sobie uwagę przechodzących. Połykacz ognia zionął pod sufit kilkunastometrowym płomieniem, wybałuszał oczy, syczał i marszczył się, ale nikt na niego nie patrzył. Obok trójka tancerzy wyginała się w takt skocznej melodii, płynącej z magnepterów o kształtach bransolet, które opinały ich ręce i nogi. YSBis mijał to wszystko, usiłując trafić do korytarza 616 na oznaczoną porę. Gdzieniegdzie zbierały się większe grupki gapiów, zwłaszcza przy tych, którzy odgadywali myśli lub czarowali widzów magią. Największym jednak powodzeniem cieszył się automat produkcji zapewne Robogralu Reina Korta. Dokonywał on istnych cudów, stale przekształcając się na przykład w kulę wielkości piłki tenisowej, która odbijając się coraz wyżej wędrowała pod sufit i tam przemieniała w ogromną czaszę, powoli opadającą na posadzkę. Gdy już na niej spoczęła, powstawał z Ziemi przerażający Gigant - As o stalowych pięściach, którymi wymachiwał tłumowi przed nosem, wzbudzając chichoty i okrzyki przestachu. Obok wejścia do korytarza android zauważył zagęszczenie, zaciekawiony przystanął, zapominając o terminie, który przed chwilą kazał mu się przepychać przez tłumek. Pod ścianą spoczywała piątka Degeneratów, którą ludzie obserwowali z dużym zaciekawieniem. Trzech mężczyzn i dwie kobiety, ubranych w białe koszule i granatowe garnitury, z dziwnie wymodelowanymi fryzurami, w niespotykanych od dziesiątków lat spodniach z krawędziami kantów, grzało się przy rozpalonym na podłodze ognisku i bezczelnie pociągało papierosy, nie zwracając uwagi na nikogo. Wzrok sobowtóra przykuła kobieta ubrana w marynarkę i krawat w paski. Miała nieprzytomne od nikotyny oczy i po każdym zaciągnięciu się kaszłała długo i głęboko. Yan San Bis miał przykre wrażenie, że kobieta zaraz wypluje na posadzkę kawałek płuc, nie mógł jednak oderwać od niej oczu. Było coś magnetycznego w widoku tych ludzi, którzy zupełnie serio postanowili czym prędzej umrzeć i oddawali się powolnemu samobójstwu na oczach tłumu. Alarmowy brzęczyk, który odezwał się w czasie androida, przypomniał mu o właściwej misji. YSBis wszedł w korytarz o rubinowych, półprzezroczystych ścianach. Dźwiękochłonna kurtyna przy wejściu sprawiała, że panowała tutaj zupełna cisza, zamacona jedynie cichymi westchnieniami i oddechami obserwujących ludzi. Stali oni w dwóch rzędach przy jednej i drugiej ścianie z oczami przytkniętymi do wizjerów, przez które po wrzuceniu żetonu można było wejrzeć do mieszkań, zobaczyć szczegóły, których normalnie nigdy nie widać. Słowem, wszyscy ci ludzie oddawali się właśnie namiętnie podglądaniu bliźnich, którą to czynność umożliwiało im przedsięwzięcie rozrywkowe. Byłem zdania, że oni nie są całkiem normalni, chociaż od

czasu do czasu sam spoglądałem przez lunetę z okna ciemnego pokoju na mieszkania odległego wieżowca. Uważałem jednak, że publiczne podglądanie to już przesada.

Yan San Bis szybko przemierzył ów korytarz, minął salę akwariów i wszedł na widownię teatru „Bratek”. Przedstawienie było w pełnym toku, salka jednak świeciła pustkami. Usiadł w umówionym rzędzie i postawił neseser na kolanach. Minęła długa chwila, zanim poczuł, że dwóch ludzi usiadło po obu jego bokach. Nie widział ich. Wąchacz zamontowany w nozdrzach androida skrętnie wwąchiwał się w nowe otoczenie. Akcja potoczyła się błyskawicznie. YSBis nie zdążył nawet krzyknąć, gdy zakneblowano go i pokryto antyoptolem. Obserwujący salę funkcjonariusze zauważyli jedynie unoszący się w powietrze neseser, który znikł we wnętrzu większej, niewidzialnej walizki. Rzucili się do sygnałów alarmowych. Zamknięto wejścia i zapłonęło światło. Nigdzie jednak nie było ani widać, ani słyhać przeciwników. Ja tymczasem przez kamerę mego sobowtóra widziałem, że zbliża się on do sceny i ze zdziwieniem stwierdziłem, że niewidzialni wloką go za kulisy. Przeszli kilkanaście kroków między dekoracjami i wepchnęli androida do zupełnie ciemnej komórki z rekwizytami. Zatrzasnęły się drzwi i zapadła absolutna ciemność.

Czekałem cierpliwie, że może jeszcze coś się stanie. Przecież Malindang czuwał i powinien tam skierować swoich ludzi. Jednak obraz nie pojawił się już więcej i zostałem wyłączony z toku wypadków. Usiłowałem połączyć się z Halsmidem albo nadpułkownikiem, ale obydwa numery nie odpowiadały. Nie pozostawało mi nic innego, jak zdać się na ich relację z dalszego przebiegu akcji i musiałem na to poczekać. Położyłem się, włączywszy wcześniej magnepter i czekałem łamiąc palce ze zdenerwowania. Wydawało mi się, że sobowtór nie doprowadzi Malindanga do kryjówki przestępców i Agra nadal pozostanie w niewoli. Pocieszał mnie fakt, że na pewno Oddziały mają już analizę zapachową napastników i przynajmniej ich nazwiska, czy adresy zostaną zidentyfikowane. Z drugiej strony musiały to być płotki, a dotarcie do mocodawców, w sytuacji, gdy płotki umknęły, nie będzie łatwe.

* * *

Matson był bardzo zdenerwowany. Nie ustawał w swym marszu wzdłuż ściany hotelowego pokoju. To, co zrobił, było ciężkim wykroczeniem.

- Czy musiałeś mnie odwoływać w trybie alarmowym? - rzucił do kręcącego się na obrotowym krześle Proxixara.

- Śmieszne pytanie - odpowiedział Proxixar, przyglądając się koniuszkom swoich palców. - Ktoś strasznie pomieszał nam szyki i obawiam się, że nie jest to jakaś mała, zwykła szajka.

Matson rzucił okiem na szefa, ale nie zatrzymał się. Dręczył go problem, na który nie mógł znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Był spalony i oznaczało to koniec misji.

- To były tylko dwa dni - powiedział na pół z żalem, na pół z wyrzutem.

- Rozumiem cię - westchnął szef. - Ale wierz mi, że nie miałem innego wyjścia. Kiedy doniesiono mi o tym całym zamieszaniu, okupie i porwaniu intuicjonała, postanowiłem cię odwołać. Teraz musimy czym prędzej opuścić Ziemię, zanim nas obydwo aresztują. Tak. Misja się nie powiodła.

Proxixar wstał, podszedł do automatu z napojami, po czym dodał:

- Można powiedzieć, że nie przysporzy nam to reklamy na Proximie.

- Chyba jednak nie wszystko stracone? - spytał Matson z nadzieją w głosie.

- Napijesz się? - spytał szef.

Matson potakująco skinął głową. Proxixar bez wahania wcisnął szesnastkę, to im było teraz

najbardziej potrzebne. Rozluźniająco-wzmacniający trunek.

- Może spróbujemy przeanalizować fakty? - kontynuował Matson.

- To bez sensu - rzucił niechętnie Proxixar. - W każdym razie dalszy tok wydarzeń nie zależy już od nas.

- Ale skoro intuicjonała porwano?

Stary proximańczyk uśmiechnął się gorzko.

- Naiwny jesteś - stwierdził. - Myślę, że Yan San spokojnie siedzi sobie w celi twórczej Elektroli i kombinuje, jakby tu sobie poradzić z problemem.

- Chyba to racja - Matson pociągnął duży łyk płynu, nie przerywając marszu. - Ktoś nas rozszyfrował i będziemy mieli nie lada kłopoty.

- Słuszne rozumowanie. Dlatego kazałem ci wracać z Moskwy bez względu na okoliczności. Mamy zarezerwowane dwa oddzielne miejsca na jutrzejszy lot z Trytona. Bus odchodzi z warszawskiego dworca około północy. Myślę, że nie zdążą nas złapać, nawet jeżeli przez cały czas domyślali się, o co chodzi.

Proxixar wyciągnął z niewielkiej teczki plik papierów i wręczył je Matsonowi.

- To są twoje nowe papiery. Nazywasz się od teraz Nelowicz. A to charakteryzacja - podał Matsonowi sztuczną brodę.

- Taak - westchnienie Matsona zabrzmiało jak wystrzał. - W końcu możemy jednak mieć nadzieję. Ten intuicjonał jest bardzo kiepski. Zresztą tylu ich już próbowało i nic nie znaleźli. Dlaczego by jemu miało się udać?

- Do tej pory sprawa znajdowała się w naszych rękach i dobieraliśmy intuicjonałów. Byłem spokojny, ale teraz...? Teraz może być różnie. Ten intuicjonał jest z pewnością wściekły, rozhuśtane nastroje, złość... Wiesz, jak to może na niego wpłynąć. Może się stać nieobliczalny.

- Ale jest słaby. Co z tego, że nieobliczalny, jeżeli nie stanie mu zdolności?

- Nie opowiadaj. Gdyby był naprawdę słaby, nie mogliby go zatrudnić. Nawet ty nie mógłbyś tego zrobić - Proxixar nagle przerwał, odstawił szklankę i zdecydował: - Zbieramy się i to jest pewne. Na razie to wszystko. Zobaczymy się dopiero na Trytonie. Naucz się swoich nowych danych.

- Tak jest - Matson skrzętnie pozbierał papiery i przymierzył nową brodę. - Dawno nie bawiłem się w taką maskaradę. Czy nie lepiej się uniewidzialnić?

- A wachacze? Jakbyś się przedarł przez ich kordon? Wiesz przecież, że przed odlotem spędzimy godzinę w izolatkach. Twój zapach jest zarejestrowany pod nowym nazwiskiem.

- Wiem - zaśmiał się Matson. - Żartuję tylko. Przez śluzę nie przejdzie nawet nie zarejestrowana mysz, a co dopiero taki grubas, jak ja.

Poklepał się po brzuchu. Nastrój mu się nieco poprawił, chociaż niepokój i przygniatające poczucie porażki nie ustępowały. Z drugiej strony cieszył się, że powraca na swoją rodzinną planetę i nie będzie musiał dłużej znosić tych zamkniętych, przytłaczających przestrzeni, których naprawdę miał już dość. Nie wiedział jeszcze, jak bardzo się myli.

* * *

- I co było dalej? - pytałem z niecierpliwością, wciąż nie mogąc wydobyć interesujących mnie szczegółów z mało rozmownego Halsmida. Siedział naprzeciw mnie, pomarszczony i białowłosy, i zdawał się myśleć zupełnie o czym innym.

- Dalej? A... dalej, oczywiście - odezwał się, jakbym go wyrwał z innego wymiaru. - Muszę powiedzieć, że posunęli się za daleko. Nie przypuszczałem, że go zabiją. Tak, zabiją. To jest właściwe słowo, bo przecież nie wiedzieli, że jest sztuczny.

- Może wiedzieli? - zastanowiłem się. - Może był jakiś przeciek... Sam w to nie bardzo wierzyłem, ale starałem się za wszelką cenę odpędzić od siebie myśl, że nasz wspólny przeciwnik zdolny jest do popełnienia największej zbrodni.

- Może Matson? - zaryzykowałem.

- Matson? - przez chwilę milczał, kiwając głową - Matson gdzieś przepadł. Sam nie wiem, co o tym sądzić. Najlepiej byłoby zapytać o to nadpułkownika Malindanga, ale on także jest nieuchwytny. Osobiście prowadzi poszukiwania tych dwóch z teatru „Bratek”. Zwyczajni aktorzy, kto by to pomyślał...

- Nie zwyczajni, na pewno nie byli zwykłymi aktorami - przerwałem. - Raczej zostali podstawieni.

Podniosłem się z miejsca. Musiałem sobie nalać szesnastki. Nogi się pode mną uginały. Jakie straszne niebezpieczeństwo grozi Agrze i jak lekkomyślnie ją na to naraziłem. Gdybym mógł przypuszczać choć przez chwilę, że posuną się aż do morderstwa, nie wahałbym się i już dawno by mnie tu nie było. Schowałem twarz w dłoniach i tak trwałem przez jakiś czas.

- No cóż - usłyszałem głos Halsmida i usłyszałem, że wstaje - muszę już iść. Decyzja należy do pana. Chyba poczeka pan na wiadomości od nadpułkownika?

- Tak, oczywiście - przytaknąłem czym prędzej, bo chciałem już być sam.

Nie powiedział nic więcej i byłem mu za to wdzięczny. Pociągnąłem łyk napoju i poczułem się trochę lepiej, jeżeli w takiej sytuacji można w ogóle poczuć się lepiej. Dręczył mnie niepokój i miałem wrażenie klęski. Wypiłem jeszcze jeden łyk i popadłem w dziwny stan odrętwienia, pół snu, pół jawy. Pokój i znajdujące się w nim przedmioty stały się obce i odrealnione. Nie miałem ochoty poruszyć nawet palcem w bucie. „Tak chyba wygląda depresja” - skonstatowałem w pewnej chwili. - „Depresja? No a cóż innego mi pozostało? Poddać się i wywiesić białą chorągiew”. Zresztą i tak przecież nie miałem recepty na ten cholerny antyoptol, więc po co to wszystko przedłużać, narażać ją i siebie. Zwłaszcza Agrę, która pewnie w ogóle nie ma pojęcia, dlaczego ją to spotyka. Matson zniknął, tamci z teatru także się urwali... Zaraz, zaraz... Nagle zacząłem jakby sprawniej myśleć. Jakieś fakty przemknęły mi w króciutkim błysku pod sklepieniem czaszki i znikły. Wstałem gwałtownie i powędrowałem znów do automatu, aby napełnić kolejną szklankę. Przeżyłem coś w rodzaju króciutkiego olśnienia. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, co odkryłem, ale w miarę jak kolejne, nasuwające mi się pytania otrzymywały negatywne odpowiedzi, coraz szybciej przemierzałem pokój, aż wypadłem na taras, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. To było zupełnie niesamowite. „Zadziwiające” - mówiłem na głos do samego siebie. - „Nieprawdopodobne. Jak ja mogłem nie wpaść na taką prostą rzecz”. Jakim sposobem mogło zależeć Matsonowi i jego ludziom na mojej śmierci, skoro przecież nie wpadłem na nic. Wybrali mnie z tłumu intuicjonistów, analizując dokładnie mój psychogram. Wiedzieli, że jestem słaby i wiedzieli też, że nie posuwam się naprzód. Pewnie za dwa tygodnie skończyłby się mój czas i mogliby podstawić następnego, odpowiednio wybranego intuicjonała. Przecież takie właśnie działanie, ciche i pewne, stanowiło dla nich najlepszą gwarancję utrzymania tajemnicy antyoptolu. Oni tego nie zrobili. Porwania dokonał ktoś inny. Komu mogło zależeć na dalszym rozpowszechnianiu antyoptolu? Nie mogłem rozgryźć tej zagadki. Wszystkie odpowiedzi wydawały mi się śmieszne i absurdalne. Liga? Nie liczyła się zupełnie, nie była przecież organizacją sensu stricto. To był luźny związek, w którym bohater zeszłego tygodnia mógł zmienić zamiary i wycofać się, przestać zabawiać się kosztem bliźnich, a więc przestać być członkiem Ligi. Szaleni, który chce sięgnąć po władzę, bogactwa czy cokolwiek? Takich jednak nie zatrudniał Elektrol, którego pracowników raz na tydzień poddawano psychogramowi i rejestrowano najmniejsze odchylenia. Jeżeli nie pracował w Elektrolu, ani w Radzie Ziemi, to nie mógł posiadać

wiadomości na tyle dokładnych, by wiedzieć wszystko o mnie i mojej rodzinie, o miejscach i terminach akcji, o powiązaniach pracowników firmy...

Zaczynała boleć mnie głowa. Stanowczo powinienem przestać myśleć. Pociągnąłem jeszcze jeden łyk szesnastki i patrząc na zrujnowany ogród poddałem się nadchodzącej znów fali zniechęcenia.

* * *

Agra wyciągnęła długie nogi i wystawiła twarz do słońca. Przeglądana przez nią przed chwilą książka szeleściła zasypywanymi piaskiem kartkami. Szare fale z monotonnym łoskotem rozbijały się o pobliską skałę, a nad białymi grzebieniami uwijało się stado mew. Można było pomyśleć, że w tym rozpedzonym, zatłoczonym setkami budowli, przedmiotów, ulic i problemów świecie nie ma lepszego miejsca na odpoczynek. Jednak Agra miała już zdecydowanie dość monotonii i spokoju. Marzyła o tym, żeby nareszcie coś się wydarzyło, coś, co wyzwoliłoby ją z napiętego oczekiwania, obojętne w jaką stronę miałyby się potoczyć wypadki. Androidka okazała się całkiem niezłą towarzyszką, choć repertuar tematów, jakie mogły poruszać, nie zadowalał Agry. Konstruktorzy woleli widocznie na wszelki wypadek nie ryzykować ze zbyt wielką ilością informacji i w rezultacie już po pierwszym wieczorze, kiedy Agra nie mogła długo zasnąć i rozmawiała z Andes prawie przez pół nocy, poznała wszystkie tematy, jakie wolno było androidce poruszać. Teraz leżała swobodnie wyciągnięta na piasku, w słońcu i bezruchu, lecz wewnątrz czuła narastający niepokój i z trudem powstrzymywała się, by nie wstać i nie pobiec gdzieś prosto przed siebie. Uniosła głowę, przestraszona wrzaskiem mew, który wzmógł się nagle. Gdzieś w zakamarkach wyobraźni wyląkł się jej szalony obraz, że oto z wzburzonych fal, u jej stóp wylania się kadłub niewidzialnej łodzi podwodnej, na której pokładzie czeka na nią Yan. Mewy zrywają się z grzywaczy, zaniepokojone wirami, powstałym wokół kopułki wynurzającej się łodzi i z krzykiem odlatują ku domowi za skałę, jej więzieniu. Niestety nic się nie działo i stado mew znów opadło na przelewające się w dole morze. Agra poczuła, że nie wytrzyma tego dłużej, że musi coś zrobić. Zerwała się i bez zastanowienia skierowała ku wodzie. Biegła ile sił, grzęznąc w piasku, potykając się i przewracając. Chciało się jej płakać i śmiać naraz. Dopadła morza, które tutaj było dla niej murem strażniczym, gorszym niż każdy inny, bo nie do przebycia i pokonania przez jej słabe ciało. Wpadła w fale z wściekłością i żądzą zemsty. Waliała w powierzchnię wody rękami, nogami, całą sobą, lecz morze przyjmowało ją łagodnie i obojętnie. Otaczało jej ciało chłodem i słoną miękkością, szumiało nadal monotonnie i rytmicznie. Po chwili takiej walki zmęczyła się i uspokoiła. Popływała jeszcze z godzinę, może dłużej i wyszła na twardy piasek. Ze zdziwieniem dostrzegła Andes siedzącą w miejscu, gdzie pozostawiła książkę, nie odezwała się do niej jednak. Zdjęła kostium i dokładnie wykręciła. Podniosła tomik, wytrzepała go z piasku i ruszyła ku czerniejącej bryle domu.

- Pani jest bardzo zgrabna - odezwała się androidka, podążając za Agrą.

Agra milczała i zastanawiała się, czy Andes długo siedziała na brzegu. Miała wrażenie, że nie może tutaj zrobić ani jednego samodzielnego kroku.

- Pływam też nieźle, prawda? - zapytała nagle i odwróciła się, patrząc w oczy Andes. Androidka przystanęła, ale z jej twarzy nawet na sekundę nie spęłzył miły uśmiech.

- O, tak - odparła - pływa pani bardzo dobrze.

Agra roześmiała się na cały głos.

- Z czego się pani śmieje? - zapytała Andes.

- Przez chwilę wzięłam cię za człowieka, kochana - odpowiedziała Agra, nie mogąc się uspokoić. -

Przyznasz, że to śmieszne. Chciałam cię podejść, rozumiesz?

- Nie - mechaniczna kobieta uśmiechnęła się niepewnie.

- No... - zastanowiła się Agra - chciałam się od ciebie czegoś dowiedzieć, nie pytając wprost. Z drugiej strony wiem przecież, że jeżeli czegoś nie wolno ci powiedzieć, to nie powiesz, tak czy siak.

- Wolno mi - stwierdziła niespodziewanie androidka.

Agra przystanąła niezdecydowana i zaskoczona.

- To nieważne - powiedziała wreszcie i dodała - zanieś mnie do domu. Jestem zmęczona.

Andes wzięła ją na ręce i zniosła przez taras do sypialni, gdzie leżały już przygotowane suche ubrania.

Kiedy androidka zapinała zamek u mieniącej się złoto sukni, którą Agra nie wiadomo dla kogo włożyła, ta zapytała nagle:

- Czy nie bałaś się tam, na plaży, że ja... ucieknę? Że odpłynę?

- Nie - odparła Andes bez wahania. - Z wyspy nie można uciec. Dystans jest za długi nawet dla dobrego wyczynowego pływaka.

- No dobrze - nie dawała za wygraną Agra - ale gdybym mimo wszystko popłynęła?

- To by nie trwało długo.

- Nie rozumiem. Czy mówisz o tym, że mogłabym utonąć?

- Do tego nie mogłabym dopuścić.

Agra zamilkła, zastanawiając się nad usłyszaną odpowiedzią. Wreszcie zapytała:

- Ale przecież byłabym daleko, jak byś mnie dogoniła? Masz tutaj jakiś środek transportu? Przecież łódź natychmiast powróciła do Gdyni.

- Mam - odpowiedziała z pewnym wahaniem Andes. - Mogę to pani powiedzieć. Nie otrzymałam zakazu informowania pani o tym.

- Co to za pojazd?

- Kopter.

- Kopter? - zdumiała się Agra. - A gdzie on jest?

Przez cały czas pobytu na terenie Ośrodka nie podejrzewała nawet przez moment, że gdzieś tutaj może być kopter.

- Tego nie mogę powiedzieć. Musi pani sama zapytać.

- Zapytać? - krzyknęła Agra. - A kogóż to ja mam zapytać, skoro jesteśmy tu same?

- Na kolacji będziemy mieć gości - odparła spokojnie Andes. - Zapowiedzieli swój przylot na dziewiętnastą. To oznacza, że będzie pani mogła sama pytać, o co pani zechce. Może to jest nasz ostatni dzień na wyspie.

- Kto ma przylecieć?

- Nadpułkownik Malindang zapowiedział się osobiście.

- Kto to jest, możesz mi to powiedzieć?

- Dzisiaj już mogę. Od rozmowy z nim mam odblokowaną część dotąd zablokowanych informacji. To szef Oddziałów Specjalnych.

- Więc to Oddziały Specjalne mnie porwały?

- Tak.

Agra była zdumiona i wstrząśnięta.

- To przecież niemożliwe? Po co mieliby to robić? Przecież ja nie jestem nikim ważnym.

- Chodziło o pani męża. Więcej nic nie wiem. Nadpułkownik lepiej to pani wyjaśni.

Agra miała wrażenie, jakby cały świat, w jakim dotąd żyła, zawalił się w gruzy. Oddziały, które uprowadzają i więżą niewinnych ludzi, zamiast ich bronić, to było coś, w co zupełnie nie mogła uwierzyć

i nie uwierzyłyby, gdyby nie fakt, że przydarzyło się to jej samej.

- Niemożliwe - powtórzyła, chociaż już wiedziała, że prawdziwe ponad wszelką wątpliwość.

* * *

A więc to tak. Jak ja mogłem błędzić tyle czasu i nie widzieć najprostszych rzeczy, które się same narzucały? Teraz wreszcie przejrzałem. Spadło to na mnie nagle i może przesadzę twierdząc że było wielkim olśnieniem, ale przecież jakże często przechodzimy obojętnie obok faktów, znajdujących się w zasięgu ręki. Teraz miałem pewność.

Od momentu, kiedy to stwierdziłem, nie mogłem sobie zupełnie znaleźć miejsca. Nie pomagała mi nawet szesnastka, musująca jak zwykle w szklaneczce. Gorączkowo poszukiwałem wyjścia, stojąc w obliczu sił, z którymi nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie chciałbym się mierzyć. Nie jestem tchórzem, ale w mojej sytuacji każdego obleciałby strach. Miałem do czynienia ze spiskiem na najwyższym szczeblu, któremu przewodził Szef Oddziałów Specjalnych, nadpułkownik Malindang. O co im chodziło? Tego nie potrafiłem powiedzieć, ale byłem przekonany, że mam rację. Tylko Malindangowi mogło wszystko powieść się tak gładko, bowiem tylko on miał dostęp do każdej informacji, ludzi i sprzętu i był poza wszelkimi podejrzeniami, bo przecież sprawdzianem wszelkich podejrzeń kierował on sam i jego świta. „To straszne” - wyrwało mi się wbrew woli. - „Jakże mi się z nim mierzyć?” A Halsmid? Czy Halsmid także brał w tym udział? Miałem wrażenie, że nie, ale nie mogłem tego wykluczyć.

Zapadał zmrok. Przyczajone w trawie pod progiem mojego tarasu zgrzytały koniki polne. Zawzięcie tarły nóżkami o odwłoki, napełniając ciepłe, ciemniejące powietrze nieustannym jazgotem. „Ładna cela twórcza” - pomyślałem. - „Nie ma co, dobrali ją dla mnie z przemyślnością, której można pozazdrościć. Najpierw rododendrony, teraz pasikoniki”. Zerwałem się z fotela i wybiegłem przed dom. Słońce już zaszło i niebo na zachodzie wyglądało jak krwawy ochłap, zamglony i rozedrgany. A może to pulsowało mi w skroniach? Szybko policzyłem w pamięci daty. Był nów. Na księżyc nie ma co liczyć. Bardzo lubiłem księżyc. Jego blask nieraz mi pomagał. „Dosyć” - mruknąłem do siebie: - „Skup się, ty idioto. Księżyc, niebo, rododendrony, świerszcze. Trzeba koniecznie coś wymyślić. To jest warunek twojego dalszego szczęścia, warunek konieczny, bez którego nie wydobędziesz Agry i pozwolisz wygrać Malindangowi”. Wycofałem się pospiesznie z tarasu i dokładnie zamknąłem za sobą drzwi.

- Zgasić! - wrzasnąłem do automatów. - Zgasić całkiem i pozamykać wszystkie okna!

Lampy najpierw przygasły, a potem wyłączyły się całkowicie, okna zasunęły się szczelnie z cichym sykiem. Przestały wreszcie dopływać do mnie wszystkie te dźwięki i zapachy z zewnątrz. Trochę mnie to uspokoiło. Zamówiłem napój 128. Niewielu z was zapewne wie o istnieniu tego numeru w standardowych wybieraczach. Mogę wam wyjaśnić, że jest to płyn zwany dawniej mlekiem krowim, z niewielkim dodatkiem bromu. Swego czasu szeroko rozpowszechniona, białozółtawa, gęsta ciecz, która niestety w wydaniu wybieracza nie jest ani tak gęsta, ani tak żółta, jak dawniej. Automat pomęczył się chwilę, zanim przypomniał mu się program z nieużywaną od dawna recepturą, po czym postawił przede mną coś spienionego i prawie przejrzystego. Kazałem mu powtórzyć, bo jakoś tego dzieła była fatalna, co sam zresztą przyznał. Męczył się tak z siedem razy, a kiedy ósma szklanka wyszła mu jeszcze gorzej od poprzednich, walnąłem w niego pięścią, tak, że tylko zamrugały kolorowe lampki. Nawet to pudło było przeciwko mnie. Dałem sobie z nim spokój. Postanowiłem na nic nie zwracać uwagi. Wyłączyłem wszystkie kanały łączności, żeby mi znowu ktoś nie wszedł w paradę. Wyciągnąłem się na łóżku,

policzyłem spokojnie do pięciuset i przeszło mi. Rozbiegane myśli przycichły, zacząłem znów logicznie i chłodno analizować. O co może chodzić Malindangowi? Bez wątpienia jest to jakaś rozgrywka o władzę. Może nadpułkownik chce jeszcze pogłębić panujący chaos? Chociaż nieporządek nie był już tak wielki, jak kilka lat temu. W końcu te wszystkie kraty, wachacze, sejfy i fotokomórki robiły swoje, choć były niewygodne w użyciu. Dużo dogodniejsze warunki do przejęcia władzy miałyby Malindang właśnie kilka lat wstecz. To nie o to chodzi. Poskrobałem się po głowie. Mam! - podskoczyłem nagle, aż jęknęły resory materaca. Chyba tylko jedna przyczyna mogła wywołać tak gwałtowną jego reakcję. On nie jest jeszcze gotowy. Zapewne chce przejąć władzę przy pomocy przygotowanej przez siebie armii niewidzialnych. Ta armia pomoże usunąć mu członków Rady Ziemi, tak jak zrobił to z Agrą i pewnie niedługo będzie chciał zrobić ze mną. Agra na pewno jest w jego rękach. Rada Ziemi... Tam właśnie muszę dotrzeć! Za wszelką cenę, jak najszybciej! Ostrzec ich i prosić o pomoc w uwolnieniu Agry! Tylko Rada Ziemi może tego dokonać. Muszę uciekać. Koniecznie! Tylko jak? Mój wzrok z trudem rozróżnił w ciemnościach półkę z milczącym magnepterem. Obok stały rzędem puszek z antyoptolem. Właśnie!!!

- Światło! - wrzasnąłem. - Otworzyć okna i balkon!

Rozkaz został wykonany, lampy zapłonęły posłusznie, rozsunięły się szklane płaszczyzny. Przypadłem do półki, patrząc na wrogię do tej pory pojemniki, wypełnione cudownym, uniewidzialniającym płynem z tkliwością. Naraz zatrzymałem się, przypomniawszy sobie coś jeszcze. Trzeba włączyć do sieci wszystkie urządzenia, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Przecież oni mają tam jakieś kontrolki działania komunikacji audiowizyjnej. Niemal łamiąc wtyczki wcisnąłem je w kontakty. Na czoło wystąpiły mi krople potu. Zanim przystąpię do pokrywania się farbą, muszę się upewnić, czy nic nie zauważyli. Wcisnąłem klawisz połączenia. Natychmiast pojawiła się chuda gęba człowieka, który zastępował Matsona.

- Słucham - powiedział gotów do każdej usługi.

- Przesyłam wam wszystkie materiały, które mi były potrzebne. Nie będę już z nich korzystał.

- W porządku - twarz tamtego nie zdradzała żadnych emocji. - Czy to wszystko?

- Tak.

Wyłączył się nie czekając, aż zrobię to pierwszy. A więc do dzieła! Wpakowałem taśmy, papiery i mikrofilmy do pojemnika pneumo i posłałem je. Urządzenie syknęło i zapaliło zieloną lampkę wykonania rozkazu. Złapałem za pierwszą z brzegu puszkę z farbą i wstrząsnąłem jej zawartością, po czym kierując wylot dyszy na dłoń, nacisnąłem spust. Trysnęła wąska strużka białawej cieczy i okleiła mi palce, grzbiet dłoni i mankiet koszuli. Przerwałem na moment, by się upewnić, czy wszystko w porządku, czekałem, aż biaława farba zacznie się zestalać, twardnieć i znikać. Czekałem dobrą chwilę, ale nic takiego nie nastąpiło. Z niedowierzaniem przyjrzałem się etykietce. Była w porządku - Antyoptol, znak jakości, dopisek Extra, znak firmy Proxigral. Jeszcze raz powtórzyłem czynność, natryskując tym razem drugą rękę i znowu odczekałem pięć minut bez żadnego efektu. Czuję, jak brwi mi się same unoszą ze zdziwienia. Rzuciłem się do półki i próbowałem teraz wszystkich puszek po kolei, jak opętany sikając farbą gdzie popadło i ciskając na podłogę kolejne puste pojemniki. Ani jeden nie nadawał się do użytku. Opadłem na fotel, patrząc na dywan usłany puszkami po antyoptolu. Co się dzieje? Spojrzałem na zegarek, była druga w nocy. Straciłem szansę ucieczki. Będę musiał czekać do jutra. Gdybym teraz zażądał nowego antyoptolu, mogliby zacząć coś podejrzewać. Pytaliby się, po co, skoro przecież dostarczyli mi dwadzieścia butelek. Dwadzieścia butelek. I wszystkie do niczego. Jak to się stało? Może zostałem oszukany? Nie, przecież za pomocą jednej z nich uniewidzialniłem Dagnes. Zapewne więc wszystkie były dobre. Przecież wtedy też wziąłem pierwszą z brzegu. Co prawda z pojemnika pneumo wyskakiwały w określonej kolejności, ale potem ustawiałem je jak popadło. Taką ewentualność musiałem więc wykluczyć. Wynikało z tego, że proces rozkładu farby dokonał się tu, w tym pomieszczeniu, w trakcie

tych czterech dni, gdy puszki spokojnie stały na półce, a ja głowiłem się, jak im zaszkodzić.

Odezwał się sygnał połączenia. Początkowo chciałem go zignorować, ale postanowiłem nie wzbudzać podejrzeń. Wydawało mi się, że już chyba wiem, co jest przyczyną degeneracji antyoptolu... Nie byłem jeszcze pewien, ale...

- Słucham - rzuciłem niedbale w kierunku zasuszonej twarzy, która ukazała się na ekranie.

- Ma pan gości - oznajmił mi łącznik i opiekun.

- O tej porze?

- Chcą się z panem koniecznie widzieć. Będą za piętnaście minut.

- Niech mi pan powie, kto to taki?

Chudy uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu, gdy przejął po Matsonie obowiązek opiekowania się mną.

- Przedstawiciel Rady Ziemi, dyrektor Halsmid, nadpułkownik Malindang, pani Dagnes Merial i pańska żona Agra San.

- Co? - zbaraniałem - Agra?

Szczapowata twarz, najsympatyczniejsza w tej chwili na świecie, rozciągnęła się w szerokim uśmiechu i znikła z ekranu.

- Pan reprezentuje Radę Ziemi - rzuciłem się na jedyne go nieznanego mi w całym towarzystwie człowieka, kiedy już wycelowane Agra i Dagnes.

- Tak - odparł stary człowiek w granatowym swetrze.

Miał długie, siwe włosy i brodę, nadającą mu wygląd patriarchy.

- Niech pan natychmiast rozkaże, żeby aresztowano tego człowieka - wycelowałem palcem w Malindanga, który uśmiechnął się, jakby moje wystąpienie szczerze go ubawiło.

- Z czego się pan śmieje? - warknąłem do niego, czując, że moja dotychczasowa interpretacja wypadków nie jest chyba zbyt właściwa.

- Czuję, że będziemy musieli naszemu wspaniałemu intuicjonalemu wyjaśnić wszystko po kolei - powiedział nadpułkownik, obciągając czerwoną bluzę munduru ze złotymi naszywkami.

- Co wyjaśnić? - zaprotestowałem, tym razem już słabo. - To pan uprowadził moją żonę!

- I owszem - zgodził się Malindang. - Ale sytuacja nie wygląda naprawdę tak czarno, jak pan sobie wyobraża.

- Co pan może, nadpułkowniku, wiedzieć na temat moich wyobrażeń? - zachnąłem się, chcąc kontynuować natarcie, ale nie pozwolił mi dokończyć.

- Tyle wiem, ile - zakładając pańskie logiczne rozumowanie - da się wywnioskować z informacji, którymi pan dysponował.

- A skąd pan wie, jakimi ja dysponowałem informacjami? - rozżłościłem się ostatecznie.

- Kochanie - wtrąciła się nagle Agra - pozwól panu nadpułkownikowi to wyjaśnić, a poza tym może byś nam pozwolił usiąść.

Tak mnie tym zbiła z pantałyku, że zapomniałem, o co mi w ogóle szło.

- Proszę - wyciągnąłem dłoń ku kanapie i fotelom.

Malindang od razu zaczął swoją opowieść.

- Czy nie zainteresowało pana - zwrócił się do mnie - skąd się tutaj wzięliśmy i po co zwaliliśmy się całą watahą do pańskiej samotni, nie licząc się wcale z konsekwencjami takiego faktu dla dalszej pana pracy nad antyoptolem?

- Oczywiście, że mnie to interesuje - odparłem obrażony. - Nie mam pojęcia; po co przyszliście i coraz mniej z tego rozumiem. Początkowo myślałem, że to odnalezienie Agry było powodem waszego zjawienia, ale to przecież pan ją więził, więc równie dobrze mógł pan ją przyprowadzić i za miesiąc.

Agra siedziała obok mnie, przytulona do mego ramienia i nareszcie czułem wewnętrzny spokój, tak mi ostatnio potrzebny.

- Właśnie. Więc zdradzę panu właściwy powód - zrobił pauzę dla zwiększenia efektu, jakbym jeszcze nie dość miał mocnych wrażeń. - Przyszliśmy, ponieważ wiemy, że pan wreszcie dokonał tego odkrycia, czyli że pańska misja dobiegła końca.

- Chwileczkę - przerwałem. - Jakiego odkrycia? Jak to - wiecie?

- Niech się pan uspokoi - odezwał się pieszczotliwie Halsmid. - Dokonał pan naprawdę wielkiej rzeczy. Antyoptol przestanie być zmorą. Prawda?

Czekał na potwierdzenie z oczami utkwionymi w mojej twarzy.

- Spokojnie - uspokajałem sam siebie. - To znaczy, że byłem bez przerwy obserwowany? Czy tak?

- Tak - odparł bez zmrużenia oka Malindang. - Również wtedy, gdy podsłuchiwał pan rozmowę Matsona.

- Hm, więc wiedzieliście o Matsonie od samego początku?

- Owszem, ale niech się pan nie łudzi, że Matson zdradził się dopiero pod pańskimi drzwiami. To byłaby zbyt wielka nieostrożność nawet dla początkującego agenta wywiadu przemysłowego, a co dopiero dla Matsona, który spędził w tej roli na Ziemi ładnych kilkanaście lat.

- Jak to? - oniemiałem. - Więc co ja słyszałem?

- Tę rozmowę nagraliśmy sami. To znaczy zmontowaliśmy ją z oryginalnych fragmentów różnych rozmów Matsona, a ten drugi głos został dograny we właściwy sposób.

- Więc to wy puściliście mi za drzwiami tę taśmę?

- Otóż to - nadpułkownik był z siebie coraz bardziej zadowolony, natomiast ja czułem, że wychodzę na wariata.

- Ale po co?! - krzyknąłem przepełniony rozpaczą, bowiem przestałem już cokolwiek z tego rozumieć.

- Tak nie dojdziemy do niczego - wtrącił się przedstawiciel Rady Ziemi. - Niechże mu pan wyjaśni wszystko po kolei, bo stracimy resztę nocy, nie dowiedziawszy się nawet, na czym polega odkrycie, którego dokonał.

- Tak jest - nadpułkownik wyprężył się odruchowo, pozostając jednak w pozycji siedzącej. - Już od dawna wiedzieliśmy, że Ziemia jest obiektem penetracji prowadzonej przez wywiady gospodarcze innych planet. Antyoptol nie jest pierwszym wynalazkiem, który na skutek działania owych wywiadów, zniknął z Ziemi. Tamte były może mniej ważne, mniej doniosłe i dlatego niektóre nawet uszły naszej uwadze. Matson, jak już wspominałem, działał tutaj wiele lat wraz z doskonale zakonspirowaną siatką proximańska. Na jego trop wpadliśmy dużo wcześniej, ale nie mogliśmy nic zrobić, gdyż nie mieliśmy przeciw niemu żadnych dowodów.

- Rozumiem - przerwałem mu. - Chcieliście upiec dwie pieczenie...

- Niech pan słucha spokojnie - skarcił mnie ten z Rady.

Zamknąłem się, a Malindang z zadowoleniem kontynuował:

- Słusznie pan zauważył. Upiekliśmy dwie przy jednym ogniu. Pozwoliliśmy Matsonowi wynająć pana jako intuicjonala, choć po wnikliwej analizie stwierdziliśmy to, o czym Matson doskonale wiedział. Że jest pan na „opadającej fali” i w takim stanie ducha nie zdziała pan wiele, albo zgoła nic. Zezwoliliśmy na to i jednocześnie poprosiliśmy o pomoc i współpracę obecnego tu profesora Grigusa, który, jak pan zapewne pamięta, przez całe lata kierował Instytutem Psychologii i Parapsychologii w Paryżu.

- Ach, to pan jest profesorem Grigusem - nie opanowałem się i przerwałem znowu, ale tym razem patriarcha mnie nie skarcił, a nawet się uśmiechnął.

- Profesor - kontynuował Malindang - jest autorem eksperymentu, któremu został pan poddany w celu

wyrwania pana z niekorzystnego układu, powodującego zanik pańskich zdolności. Analiza wykazała, że należy pana przeorientować z dynamiki harmonicznej na dysharmoniczną.

Przerwał i spojrzał na mnie, żeby sprawdzić, czy chwytam.

- Tak, tak, rozumiem - machnąłem ręką z rezygnacją. - Etap pierwszy to było zdenerwowanie mnie rozmową na mój temat, z której dowiedziałem się, jakim jestem marnym intuicjonalem. Drugi to porwanie mojej żony. Chociaż... - przerwałem i po chwili zastanowienia dokończyłem - musicie panowie przyznać, że ten drugi etap był ryzykowny?

- Nie tak bardzo - odezwał się Grigus. - Ryzyko wynosiło tylko dziesięć procent, a poza tym innego wyjścia nie znaleźliśmy. Tylko taki krok mógł pana generalnie rozstroić.

- To znaczy rozwścieczyć - poprawiłem go, bo nie cierpię, gdy się mnie traktuje jak królika doświadczalnego.

- No, jak pan woli - zgodził się łaskawie. - Rozwścieczyć albo załamać. Ryzyko załamania było jednak niewielkie, bo wciągnęliśmy do spisku siostrę pańskiej żony, Dagnes Merial.

Spojrzałem na nią zły jak diabli. Grigus dostrzegł to.

- Niech jej pan nie piorunuje wzrokiem - powiedział. - Była nieświadoma roli, jaką gra. Na posterunku Oddziałów nasz człowiek potraktował ją chłodno, a Matson też nie lepiej, więc co mogła zrobić? Jak pan widzi, kierowanie ludźmi przy pomocy, że tak powiem... delikatnych wskazówek, nie jest takie trudne.

- Właśnie - warknąłem, bo dotyczyło to również mnie.

- Ja byłem autorem drugiej części planu - wtrącił się Malindang. - Porwanie pana żony i potem, w etapie trzecim, żądanie okupu miało wprowadzić Matsona w panikę, co też się stało. Usiłował uciec wraz ze swoim szefem, zacierając dane w ewidencji zapachów, a raczej przepisując je pod nowe personalia. Na szczęście mieliśmy ich dane sprzed tej całej operacji i aresztowaliśmy obu na kosmodromie trytońskim. Myślę, że szybko zaczną mówić, bo jak wiem nie lubią zamkniętych pomieszczeń, a innymi w naszym areszcie nie dysponujemy.

- Więc to tak - powiedziałem.

- Niech się pan nie gniewa - zaśmiał się nadpułkownik. - Mimo wszystko przecież dokonaliśmy tego, o co szło. Osiągnęliśmy oba cele. Matson i Proxixar za kratkami, a my mamy antyantyoptol.

- Rzeczywiście - mruknąłem. - Tylko, że nie dzięki pana cudownemu planowi.

Teraz oni zrobili wielkie oczy. W głębi duszy poczułem satysfakcję, choć prawdę mówiąc, dosyć mierną.

- Jak to? - zapytał Halsmid przestraszonym głosem. - Ale wynalazek jest?

- Jest - uspokoiłem go. - Tylko, że ja już nie jestem intuicjonalem. Nie wymyśliłem go. Wynalazku dokonał przypadek.

- Przypadek? - zapytał Halsmid niemal mistycznym szeptem. - Jaki?

- Piękna noc - powiedziałem i podszedłem do okna.

Otarło się bezszelestnie, wpuszczając ciepłe powietrze i granie świerszczy. Postanowiłem się na nich trochę odegrać za tę całą maskaradę, za to, że podglądali mnie, kiedy wściekły oblewałem się zepsutą farbą, za te zszarpane nerwy i nadwerężony ciężkim wysiłkiem umysł.

- Niech pan powie, co to jest? - dopytywał się nieśmiało Halsmid.

- To jest ostatnia noc niewidzialnych - rzuciłem w czerń ogrodu. - I ostatnia noc intuicjonała Yana San.

- Niechże się pan z nami nie drażni - zdenerwował się staruszek Grigus, który to wszystko tak sprytnie obmyślił.

- Chodź tutaj, Agra - powiedziałem do żony, jakbym go w ogóle nie słyszał.

Właśnie wschodził księżyc. Musiałem się oczywiście pomylić w rachunkach.

- Przytul się do mnie - szepnąłem jej na ucho. - Będziemy teraz dużo podróżować.

Objęła mnie ciepłym ramieniem, tak miękkim i gładkim, jakiego nie ma żadna inna kobieta na świecie.

- Ile wynosi honorarium? - zapytałem przez ramię.

- Przecież pan wie - odezwał się obrażony Halsmid. - Dwadzieścia tysięcy transsolarów.

- Słyszysz, kochanie? - zwróciłem się znów do Agry.

- Zdradzi nam pan wreszcie tę tajemnicę, czy nie? - krzyknął Halsmid, najwyraźniej doprowadzony do ostateczności.

Malindang natomiast, zrywając się z fotela, warknął do mnie:

- Dość tego, San, niech pan nie przeciąga struny.

- Panowie - odwróciłem się do nich z miną sfinksa. - Spokojnie. Tajemnica jest bardzo prosta i bynajmniej nie tajemnicza.

- Gadaj pan! - krzyknęli wszyscy trzej prawie chórem.

- Wystarczy codziennie nadawać w publikatorach na fali ogólnoziemskiej kilkanaście taktów mojej ulubionej symfonii Gartela i Monsiriego na Kompleks Stu Trąb. Amplituda ich drgań załatwi się z antyoptolem w ułamku sekundy.

Styk Czesław Białczyński

- Kto by pomyślał, że tak szybko spotkamy...

- Zamknij się - syknął Lir i podczołgał się kawałek do przodu. Zaszleściły rozchylone krzaki. Kater poczołgał się w milczeniu za tamtym.

- I co? - zapytał.

- Nic. Stoi - rzucił Lir odkładając na bok lornetę.

- Żadnego ruchu?

- Sam zobacz - Kater - podciągnął się kawałek i rozchylił suche, jakby papierowe gałązki. Przyłożył do oczu lornetę i wyostrzył obraz.

- Rzeczywiście stoi. I nic poza tym - rzekł opadając na brzuch.

- Czekają?

- Pewnie normalna procedura.

Zamilkli na chwilę. Kater jakby się ocknął.

- Taki tu tłok - powiedział - jak w Bazie na święta.

Znów sięgnął do lornety. W dole, w kotlinie, na samym środku jej płaskiego dna, sterczało jak zaostzony ołówek smukłe złociste wrzeciono.

- Jak na święta - powtórzył w zamyśleniu.

- Widocznie nie tylko my mamy do nich jakiś interes - mruknął Lir.

Wylądowali w niezbyt pięknym stylu. Trzeba powiedzieć, że to ich zaskoczyło i zdeprymowało. Przecież automaty nie myliły się nigdy. Czegoś jednak nie przewidziały, skoro wylądowali tak, jak wylądowali. Duża część urządzeń zaraz po pierwszym uderzeniu przestała funkcjonować. Prawie cała reszta po następnym. Statek zarył w piach. Dobrze, że tylko tyle. Równie szczęśliwie wyszli z tego ludzie. Nie da się ukryć, że nie był to najlepszy początek.

Żeby doprowadzić wszystko do jakiejś takiej użyteczności musieli pracować pełną parą. Przy tym niemal we frontowych warunkach. Nikt nie mógł powiedzieć, co spowodowało katastrofę, ale wiele faktów przemawiało za hipotezą, że był to atak. Zresztą, czy można tak to nazwać? Raczej obrona. To oni byli tutaj gośćmi. Wszystkie sondy wysłane w zwiadzie przestały działać w atmosferze. Nie można było mieć pewności co do powodów. Tak więc trzeba było przyjąć linię frontową. Zamknięci w polu naprawiali uszkodzenie. Nie próbowali nawet wysyłać jakichkolwiek sond, aż do momentu, gdy statek nie osiągnął pełnej sprawności. Jakby w nadziei, że jeśli ktoś miał ich zauważyć, to jeszcze nie zauważył. Oczywiście bzdura. Nikt się jednak nimi nie zajmował. Trzeciego dnia pozwolono im wyjść na powierzchnię. Pustynia jak pustynia. Na Ziemi są podobne. Może tylko mniej niebieskie. Czwartego dnia wysłali sondę. Obleciała całą planetę wzdłuż osiemdziesiątego równoleżnika. O dziwo, dotarła cała z powrotem. To, co zobaczyli, dało im pewność.

Strad sunął szerokim wąwozem. Zbocza były tutaj ostre. Strone skały rzucały na przeciwległą ścianę długie cienie. Słońce niedawno weszło i teraz wyzierało krwiste i olbrzymie znad krawędzi. Strad sunął powoli i bezszelestnie, wzbijając kurz. Wkoło panowała zupełna cisza. Nie zakłócał jej najlżejszy podmuch, najdelikatniejszy dźwięk. Milczeli. Za następnym zakrętem zatrzymali się. Przed nimi w kotlinie połyskiwała swymi wypolerowanymi ścianami potężna Kula. Mogła mieć ze sto metrów

wysokości, może więcej. Bez jednej rysy. Jakby odlana.

- To tutaj - powiedział Kater.

- Tak. Wyciągnij anteny.

Kater nacisnął guzik. Anteny jak czułki wysunęły się z przodu strada i zafalowały.

- Nadajemy?

- Zaczynaj!

W stronę Kuli popłynęła zakodowana wiązka. Sygnały w przeróżnych kombinacjach pędziły ku masywnej budowli, która pozostawała wciąż nieruchoma.

Nadchodził zmrok. Kontury skał szarzały. Wąwóz topił się w krwawej łunie. Strad stał pod skałą. Macki anten falowały w lekkich podmuchach wiatru. W przestrzeń uparcie płynął strumień informacji, danych o kulturze, osiągnięciach, zamiarach, fizjologii, wszechświecie. Kula nie dawała żadnego znaku. Żadnego odzewu. Cisza.

- Namysłają się? - zapytał samego siebie Lir.

- Może się pomylili?

- Wiesz dobrze, że się nie mylą w takich sprawach. Skoro nas tu wysłali, to znaczy, że mają pewność.

- Tak. Muszą mieć pewność - Kater otarł spocone czoło i sięgnął po termos. Kamery, notowniki, odbiorniki, ekrany - wszystko czekało w pogotowiu na znak. Znaku nie było.

Te puste miasta. Te wyludnione miasta mogły im były już wcześniej powiedzieć, że coś tu nie gra. Ulice opustoszałe. Czy to były zresztą ulice? Można je tak umownie nazwać. Żadnej nawierzchni. Żadnych chodników, eskalatorów, pojazdów. Nic. Tylko po obu stronach te zastygłe, białe bąble. Wyglądało to tak, jakby zniknęli. To nie pokrywało się w żaden sposób z obrazami z sondy. Kiedy ona przelatywała nad tym miastem panował w nim ruch. Krzątania, kolory. Musieli wiedzieć o niej. Mimo to pozwolili im sfotografować miasto. Te wszystkie kopuły były wtedy rozchylone jak kielichy kwiatów. Otwarte do słońca. Teraz martwa pustka...

Strady zatrzymały się przy małym bąblu wielkości niewielkiego domku. Nikt z nich nie wysiadł. Przez chwilę wpatrywali się w bąbel.

- Tniemy? - zapytał Frank. Było to pytanie raczej formalne. Wiadomo, że po to tu przyjechali. Zabrali się do roboty. Bąbel był oporny. Nic nie mogło go ruszyć. W końcu musieli dać za wygraną. Nie wolno go było przecież traktować antymatem, czy czymś w tym rodzaju.

U spodu wrzeczona rozwarła się teraz czarna jama. Robiło się coraz ciemniej. Lirowi zdrętwiały już nogi. Kater, cały naprężony, wpatrywał się przez lornetę w ciemność. Tak. Wyraźnie u spodu wrzeczona coś się zmieniało. Trącił Lira w bok podając mu lornetę.

- Chyba się rusza?

Zerwał się lekki wiatr. Kater popatrzył na niebo, ale było już prawie czarne.

- Żeby tylko nie padało - wymamrotał do siebie. Położył się na wznak i rozluźnił mięśnie. Siedzieli tutaj od przeszło czterech godzin. Robiło się coraz chłodniej.

- Ruszają się! - niemal wrzasnął Lir. Kater wyszarpnął mu lornetę i wyteżył wzrok. Coś się tam działo.

- Przejdź na podczerwień - szepnął Lir. Kater przesunął dźwignię. Nie wiadomo dlaczego bez przerwy mówili szeptem. Przyłożył znów instrument do oczu.

- Tak - powiedział specjalnie głośno - ruszają się.

W polu widzenia długi sznur małych poziomych cygar wytaczał się z wnętrza wrzeczona. Sunęły na północny zachód, w stronę, gdzie kotlina otwierała się szeroko, tworząc wielosetki kilometrów płaskowyż porośnięty tymi dziwnymi, szeleszczącymi krzakami.

- Baza?!! Baza?!!! Mówi Lir. Mówi Lir! Ruszyli się!! Kierunek PZ! Zamilkł na moment, nasłuchując

odpowiedzi.

- Rozumiem - rzucił w mikrofon. - Zrozumiałem! W bezpiecznej odległości!

Szarpnął Katera za nogawkę. Pochód nie miał zamiaru się skończyć. Z rozwartej czarnej jamy sączył się coraz szerszy strumień ni to pojazdów, ni to urządzeń, strumień cygarowatych tworów, które po bliższym przyjrzeniu się przypominały najbardziej olbrzymie błyszczące gaśnice.

- Pójdziemy równolegle w bezpiecznej odległości, w tym samym kierunku, co oni. Mamy bez przerwy meldować - Kater oderwał oczy od wypolerowanego okularu i spojrzał na tamtego, jakby go widział pierwszy raz. Dopiero po chwili dotarło do niego. Wyczołgali się za skarpe i wstali z ziemi. Nareszcie mogli trochę rozprostować kości. Kater zarzucił lornetę na plecy i poszli.

- Niestety - ciągnął Rasin - oni po prostu nie chcą z nami rozmawiać.

- Tak - Leuian miał zafrasowaną minę - nie odpowiadają na sygnały, w dodatku wszędzie, gdzie się zjawimy, zastajemy pustkę. Bąble pozamykane, chociaż nie ukrywali się przed naszą pierwszą sondą. Następne sondy natrafiają już tylko na taki sam obraz, jak my podczas zwiadów. Nie udało nam się sfotografować ani jednego wnętrza bąbla przy użyciu w miarę konwencjonalnych środków.

- Moglibyśmy tego dokonać - wtrącił Essmin - jak się wydaje jedynie przy zastosowaniu antymatów.

- Antymaty - powiedział Rasin - spowodowałyby prawdopodobnie zbyt wiele szkód. Mogłoby to wręcz uniemożliwić nawiązania kontaktu.

Posiedzenie ciągnęło się od rana. Każdy miał coś do powiedzenia. W sumie nic to nie zmieniało. Po prostu byliśmy w kropce, i była to kropka absolutna. W sali narad zrobiło się już niemożliwie duszno, mimo ciągłej pracy sprężarek na pełnych obrotach. Zebrała się w niej cała załoga i wszyscy naukowcy. Trzeba się było zapoznać z dotychczasowymi wynikami i zastanowić. Nad czym? Tak: właściwie - nad czym? Co za dziwny pęd do jałowych dyskusji.

- Trzeba rozpocząć eksplorację wód, przyjrzeć się dnom oceanów - mówił Eutat - i kontynuować próby porozumienia.

- Myślę, że bąblom możemy dać spokój - powiedział Frank. - Wydaje mi się natomiast, że należałoby rzucić podziemne sondy i jeżeli to coś da, w miejscach podejrzanych rozpocząć wiercenia.

- Zgoda - rzekł naczelny. - Pozostałe grupy będą działać tak, jak do tej pory. Poddaję projekt pod głosowanie. Zapaliły się same zielone światełka.

Ludzie wysypywali się z duszkiego pomieszczenia rozprawiając o wszystkim naraz. Każdy miał coś do powiedzenia. No, może nie każdy. Na przykład taka Ateya i Ptieex mówili zupełnie o czym innym. Lir wiedział to dokładnie. Dziewczyna płonęła cała i poruszała się jak lunatyczka. Ptieex obejmował ją ramieniem.

- Ten ma powodzenie - pomyślał Frank.

- Myślą, że skoro nie udało mi się odnaleźć śladów na powierzchni, to znajdą je gdzie indziej - mówił Ptieex. Stał po pas w wodzie w nieprzemakalnym kombinezonie i wielką siecią usiłował coś złowić.

- Wątpisz w to? - Ateya otwierała pojemnik, wpuszczając do niego ni to meduzę, ni to płaszczkę, która ciskała się na wszystkie strony.

- Oczywiście, że wątpię. Skoro nie chcą z nami nawiązać kontaktu, to na pewno nie uda nam się to, gdziekolwiek by nie byli... - szarpnął gwałtownie siatkę, w której trzepotała następna sztuka.

- Może jednak docenią nasze starania?

Odwrócił się. W krwawym blasku dziewczyna wydała mu się jeszcze piękniejsza. W tym oświetleniu jej skóra zdawała się być tak gładka, jak mury ich budowli. Roześmiał się, wychodząc na brzeg.

- Z czego się śmiejesz?

- Jesteś niby poważnym naukowcem, ale jednocześnie jest w tobie bardzo dużo z dziecka. Ja nie mam

tych złudzeń.

- Jesteś zbyt sceptyczny - powiedziała, biorąc z jego dłoni rybę. Włoczyła ją do kolejnego pojemnika, nie spojrzawszy nawet na niego. Najwyraźniej poczuła się urażona.

„Tak” - pomyślał Ptieex - „młode kobiety - naukowcy są bardzo ambitne”. Zdjął gumowy kombinezon. Wziął pod pachę pojemnik i ruszył przed siebie. Po chwili zrównali się.

- Uważasz mnie pewnie za głupią?

Powiedziała to z wyrzutem. Zatrzymał się. Objął ją ramieniem i dalej szli już razem. Uśmiechał się do swoich myśli. Wszystko już było w porządku.

Przedzierali się przez gąszcz z suchym chrzęstem łamanych gałęzi. Lir raz po raz przystawał, ocierając spocone czoło. Szło im to niesporo. Splątane krzaki tworzyły gęstą pajęczynę, której rozrywanie wymagało dużego wysiłku. Wreszcie dotarli do jakiejś ścieżki. Kater otrzepał zakurzone rękawy, poprawił lornetę i ruszyli dalej. Szli po przekątnej do kursu obranego przez cygara. Lir bez przerwy zastanawiał się, co to może być i o co w ogóle chodzi. Inwazja, czy co? Cygara poruszały się bardzo powoli. Na skraj zarośli wyszli niespodziewanie. Kater aż się przestraszył. Szarpnął się w tył, powstrzymując Lira. Zamarli. Dosłownie kilka kroków od nich sunęły równym rzędkiem cygara. Z bliska można było dopiero właściwie ocenić ich rozmiary. Giganty. Wycofali się krok za krokiem za najbliższe krzaki i tam przywarowali. Lir zajął się nadajnikiem. Podał pozycję i kierunek, w jakim poruszała się kolumna. Czekali dosyć długo na odpowiedź.

- Ale to trwa - wyszeptał Kater - mogliby się pospieszyć, bo skóra mi cierpnie.

- Widocznie mają z tym problem.

Za cienkim murem z zarośli przesuwały się z miarowym dudnieniem i łoskotem metaliczne cygara.

- Zauważyłeś, jak się poruszają? - zapytał Lir.

- Jakby się kręciły wokół swojej osi i wiły równocześnie.

Coś zaskrzeczało w słuchawkach.

- Wracać natychmiast! - usłyszał Lir - wracać natychmiast!!! Idą na szyb numer sześć i siedem, i w ogóle na wszystkie szyby! Nie muszę wam tłumaczyć, co to znaczy!!

- Zrozumiałem - powiedział Lir i rzucił do Katera. - Zbieramy się, stary. Oni walą prosto na szyby i nasz statek.

Ten przez chwilę nie rozumiał. Jakoś nie mogło to dotrzeć do jego świadomości.

- Musimy się cholernie spieszyć - wycedził wreszcie. - Oni mają bliżej niż my. Zostawiamy strad?

- Tak. Jest za daleko. Trwałoby to dłużej. Większe szansę mamy na piechotę.

Weszli znów w gąszcz. Spieszyli się. Krzaki stawiały coraz większy opór, a im spieszyło się coraz bardziej. Ostre gałęzie wczepiały się w skafander, kaleczyły dłonie. Uszarpali się z nimi nieźle, zanim dotarli do szóstego szybu. Na szczęście cygar jeszcze nie było, ale od południa, zza zarośli, nadciągało już dudnienie. Stąd droga była prostsza. Wyrąbały je strady obsługujące szyb. Nie było już tutaj zwykłej załogi. Nie było zresztą żywej duszy. To, czego się spodziewał po wierceniach Frank oczywiście nie spełniło się. A raczej spełniło tylko częściowo. Sondy rzeczywiście wykryły podziemne zgrupowania sztucznych formacji. Na dość dużych głębokościach, ale nie niemożliwych do osiągnięcia dla naszych świdrów. Uruchomiono trzynaście szybów. Statek przeniesiono i spoczywał on teraz przy ósmym z nich. Wiercili dzień i noc. Okazało się, że zgrupowania sztucznych tworów pod ziemią ciągną się w jednej linii, wyznaczając oś, na przedłużeniu której znajdowała się Biała Kula. Nie sposób było domyślić się, co to oznacza. Wysuwano dziesiątki hipotez. Wszystkie prawdopodobne. Jednak żadna pewna. Zresztą przestały one mieć znaczenie, gdy dotarto do głębokości sześciu tysięcy metrów. Stwierdzono tylko, że to ta sama substancja, z której zbudowane są bąble. Wszystkie narzędzia jeszcze raz okazały się bezużyteczne.

Eutat sterczał nad ekranem z rękami w kieszeniach. Wkoło, zbici w ciasną gromadkę, pozostali trwali wpatrzeni tak jak on w ekran. W twarzach napięcie. Nie tylko w twarzach. W gestach, rzucanych pojedynczych słowach.

- Nie ma wątpliwości - powiedział pocierając brodę. - Wyładowali.

Wyładowali. Ile było w tym jednym słowie emocjonalnego ładunku. Na pewno więcej niż chłodu logicznego rozumowania. Wyładowali. Ale kto?

- Czy to Oni? - zapytał zupełnie niepotrzebnie Lir. Jak zwykle palnął byle co. Kto mógł wiedzieć czy to ich statek, czy jeszcze jakiś inny.

- Meldunek dla Naczelnego - powiedział Eutat do dyżurnego.

- Nie trzeba - odezwał się za ich plecami Naczelnny. Rozstąpili się.

Przez chwilę wpatrywał się w ekran. Wydawało się, że chce wyczytać coś więcej niż można zobaczyć. W końcu westchnął. Wyprostował się.

- Za piętnaście minut narada. Wszyscy członkowie Rady Głównej i Pomocniczej zbiorą się w moim gabinecie.

Tak. To był ich stary. Ani jednego niepotrzebnego słowa, ruchu. Krótko i jasno. Wszyscy zaczęli się rozchodzić.

- Ciekawe, do czego dojdą i co z tym fantem zrobią - pomyślał Kater, chociaż... Dla niego było to mniej ważne. Pozostawał tylko wykonawcą. Zrobi, co mu każą. Zawsze postępował w ten sposób, mimo że czasami miał swoje zdanie. Na przykład teraz także. Nie chcą z nami rozmawiać, to nie pchajmy się. Po cholere się narzucać. Może kiedyś nabiorą ochoty. Obojętne. Wyciągnął się na swojej koi i bezmyślnie spoglądał w sufit. Z zapatrzenia wyrwał go głośnik.

- Kater i Lir - zaskrzeczał - zgłoszą się u Koordynatora!!

Lir coraz bardziej opadał z sił. Katerowi przez moment wydawało się, że cygara przyspieszyły i dopędzą ich. Nie. To nie cygara. To oni zwolnili. Miał coraz bardziej miękkie nogi... Wreszcie znaleźli się na nie porośniętej płaszczyźnie. Polana wokół ósmego szybu. Odetchnęli głębiej. Już niedaleko. Z pięćset metrów. Lir potknął się. Kater podtrzymał go i pociągnął za sobą.

- Nie mogę - wyjęczał Lir.

- Musisz - rzucił Kater twardo. - Jesteśmy u siebie.

Dopadli pola w momencie, gdy na skraju polany ukazały się pierwsze cygara. Na lewo od nich rozpały się zielone światełka. Otwarto kanał. Widać namiarowy śledził ich od jakiegoś czasu. Wpadli w kanał, niczym zbłąkany podróżny do oazy. Pole zatrzasnęło się za nimi. Kater obejrzał się. Były niedaleko. Winda czekała. Stanęli na podeście, który uniósł ich w górę. Dwie malutkie sylwetki na tle kosmitowego kolosa. „Teraz mam was gdzieś” - myślał Lir - „cygara, cygaretki i cygarniczki”. Zaśmiał się nerwowo.

Kater spojrzął na towarzysza i zrozumieli się bez słów. W dole, wokół pola ustawiały się pojazdy, czy też urządzenia tamtych, a oni sunęli w górę mijając grube szramy łączeń na pancerzu. Właz zatrzasnęła się za nimi i dyżurny zaprowadził ich do centrali. Badanie było krótkie. Meldunek jeszcze krótszy. Cała załoga na stanowiskach. Cała prócz nich dwóch. Oni mieli teraz wolne. Kater skierował się do sterowni. Lir go dopędził.

- Jesteś ciekawy, co się tam dzieje?

- Uhm - mruknął wkładając ręce do kieszeni.

Poszli razem. Przy ekranach siedział Frank i jeszcze kilku techników.

- Zrobili kordon - powiedział na ich widok.

- Widziałem z windy - rzekł Lir, rzuciwszy okiem na ekran. - Ale tu ich jest jakoś mało.

- Reszta otoczyła szyby - powiedział jakiś młody technik. Ręce mu się trochę trzęsły. Najwyraźniej

był zdenerwowany.

„Nowicjusz” - pomyślał Kater - „tutaj trzeba być opanowanym. Co będzie, gdy drgnie mu ręka”. Bez słowa odsunął technika od pulpitu i przejął kontrolę. Frank nic nie powiedział. Nie było o czym mówić. Każdemu może się zdarzyć. Na zewnątrz nic się nie działo. Ale był to tylko moment.

- Co u was? - rzucił wpatrzony w fosforyzującą tarczę. Na ekranie miał dziesiąty i jedenasty szyb.

- Zaczęło się - wycedził technik.

Na zewnątrz, we wszystkich miejscach równocześnie, rozszalała się burza. Cygara sypały gradem niewielkich kiskowatych tworów, które padały na szyby i rozbryzgiwały się, ściekając po konstrukcjach. Kopuła pola rozjarzyła się. Nagle na wszystkich ekranach pojaśniało. Wszystko stanęło w ogniu. Statek targnęło. Pole zachwiało się na moment, ale cygara otaczające statek zamilkły. Natomiast przy szybach trwała nadal kanonada. Setki tysięcy metrów ziemi zamieniło się w parę. Na planecie zapanował nagle dzień. Trzyście rozjarzonych punktów zamieniło się w ciągłą linię oślepiającego blasku. Tylko w miejscu, gdzie stał statek, ziała w tej jaśniejszej od tutejszego słońca linii czarna wyrwa.

- Bombardują też Kulę - powiedział technik.

- Startujemy - rozległ się w głośnikach głos Naczelnego.

- Start!! - wrzasnął Frank, choć wszyscy słyszeli go dobrze.

Sterowy docisnął spust. Wszystko zadrżało. Zawyło.

- Cała moc!!

Obłąd. Statek dostał całą moc, a nie ruszał się z miejsca. Frank zaniemówił. Startowy walił raz po raz z planetarnych. Ani centymetra w górę.

- Fotonowy! - rozległo się. Popatrzyli po sobie. Naczelnny wie co robi. Stawka była za wysoka.

- Fotonowy!! - zagrział Frank. Czekali w napięciu. Ich twarze nie wyrażały nic poza tym. Tylko napięcie. Oczekiwanie. Co nastąpi? Morze ognia. Fontanny ognia. Gejzery, oceany rozgrzane do niemożliwych granic. Cygara musiały już dawno wyparować. Statek targnął się w górę, lecz zamarł.

- Stop - rozkazał Naczelnny - nie mamy szans. Moglibyśmy się przypadkiem dogrzebać do tych na dole. Stop!

- Stop! - rozległo się. - Stop! Stop! - odpowiedziały pokłady statku. Osiedli nieco niżej niż poprzednio. Luny w ekranach pogasły. Wkoło pola rakiety stały nadal cygara.

- Niewiarygodne - Frank osunął się na fotel. - Niewiarygodne.

- Wytrzymali to - stwierdził Lir. Nikt się nie odezwał.

Cygara odjechały. Wystartowali. Pozwolono im wystartować, i zaraz po starcie powierzchnia planety rozjarzyła się na nowo. Kontynuowali. Robili swoje.

„Pozwolili” - myślał Kater - „pozwolili w swej nieprzebranej łasce nędznym robaczkom ujść wolno. Nieprędko to zapomnimy. Wspaniałomyślni - wzbierała w nim wściekłość - zdobywcy!! Zaśmiał się. Ha, ha, ha! Nędzne, malutkie robaczki. A my myśleliśmy że to o nas im chodzi. Nie. Oni nas po prostu nie zauważyli. To nie o nasze szyby szło. Nie o nasze skóry. Po prostu przypadkiem nasze drogi się zetknęły”.

Statek oddalał się. Na pokładzie panowało raczej przygnębienie, i strach. Naocznie przekonali się o tym, że niekoniecznie na tak wysokim etapie, na jakim byli tamci, można być tylko dobrym, pobłażliwym wujaszkiem. Starszym bratem. Zbyt naocznie.

Adaptacja Eugeniusz Dębski

Ppach!

Ogromna bańka mydlana pękła nad samym uchem. I od razu pełna świadomość. Jak taki cichy dźwięk może wytrącić człowieka ze snu? A może nie ma żadnego dźwięku? Po prostu mózg w ten sposób odbiera sygnał budzenia? Możliwe... Jakby tam nie było na liście wielu rzeczy, które zatruwają życie Clifowi, Hypnod zajmuje całkiem wysoką lokatę.

Nie otwierał jeszcze oczu. Myślał o wczorajszej poczcie. Ten błękitny prostokącik od razu mu się nie podobał, no i miał rację. „Zawiadamiamy, że Centralny Komputer Medyczny, biorąc pod uwagę Pańską wydajność w pracy uznał poprzednią długość snu Pana za najzupełniej zbędną. Od dnia 17 maja... norma snu dla Pana wynosić będzie 436 minut. Jednocześnie przypominamy, że Hypnod jest sterowany centralnie. Za samowolną regulację grozi kara skrócenia snu o 40 do 90 minut. Odwołania od niniejszej decyzji można składać...” Diabli by ich wzięli! I ten cały Kommed! Już trzeci raz w ciągu dwóch lat skracają normę. Niewielkie te zmiany, ale zawsze. Ciekawe, jakie jest minimum” Cztery godziny? Pięć? Jak tak dalej pójdzie, to już niedługo się dowie.

Tudiduum!!!

No tak. Zostało dwadzieścia minut. Potem wszechmocny Kommed prześle impuls do Centralnej Rozdzielni i pompy zaczną wysysać powietrze z mieszkania Clifa. Nikomu nie wolno spędzić dnia w domu. Wszyscy muszą pracować. Niezła alternatywa - wyjść, albo udusić się.

Dobra. Trzeba wreszcie wstać. Poczł, że wilgotnieją mu dłonie. Boi się otworzyć oczy. Od czasu, gdy zbudził się i zobaczył, że wielki kawał sufitu wali mu się na głowę. Wrzasnął coś, usiłował osłonić się rękami... Za późno. Betonowa bryła uderzyła go w głowę... i pękła! Nie poczuł bólu. W ogóle nic nie poczuł. Fantom, jasne, że fantom. Ledwo wtedy dowlókl się do łazienki, zimny prysznic niewiele pomógł. Wrócił do pokoju trzęsąc się jak w febrze, z trudnością zapalił papierosa. I nagle sygnał vizora. Domyślił się, kto to. Tina. Oczywiście! Nie byłaby sobą, gdyby nie zgnębiła go do końca. „Cześć, Clif. Co się u ciebie dzieje? Słyszałam jakiś krzyk. Wyglądasz, jakbyś dotknął wibraka...” Cholerny babsztyl! Nasyła na niego fantoma, a później pyta co się stało!...Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowny. Zadzwoń kiedy indziej. Na razie”.

Wie, że Tina się nie powtarza, a lęk go nie opuszcza. Nabral powietrza w płuca, jak przed skokiem do wody, zacisnął pięści. Światło uderzyło w oczy. Nic. Tina się nie powtarza! Wstał, zrobił parę przysiadów.

Tudiduum!

A niech to!... Za pięć minut ruszą pompy. Zaczął ubierać się, golić i jeść śniadanie równocześnie. Za dużo rzeczy jak na osobę nazywaną powszechnie „fujarą”. Pakiet śniadaniowy powędrował do śmieci, nie mógł znaleźć ubrania. O goleniu lepiej nie wspominać. Sięgnął po filiżankę z kawą, przy okazji strącił ze stołu jakąś kasetę. Zaklął cicho, podniósł. Aaa, ulubiona ostatnio lektura - „Horro Kodeks”. Właściwie Ustawa Światowa, ale ktoś rzucił „Horro Kodeks”, no i tak zostało. Zbiór przepisów dotyczących straszenia, fantomów i całej tej ogólnoswiatowej bzdury. Nie można było inaczej. Ta „zabawa”, ta kretyńska moda, szła straszenia nieograniczony żadnymi przepisami, zaprowadziłyby ludzkość do domu wariatów. Zresztą, może i przepisy nie pomogą? To, co się dzieje w domach, biurach,

na ulicy...

Tylko spać można jeszcze spokojnie. Ale zaraz po przebudzeniu... Jak muchy miód obsiadają człowieka chmary fantomów. Kiedyś były prymitywne w kształtach pola siłowe. Dzisiaj, dowolnego kształtu straszyla, mieniające się wszystkimi barwami tęczy generują nawet paroletnie maluchy. Ostatnio pojawiły się fantomy skrzeczące. Szlagier!

Wstrząsnął nim dreszcz. Nie pasuje do tej epoki. Nie umie straszyć. Nie miewa dobrych pomysłów... Sam natomiast nadaje się świetnie do straszenia. Idealny obiekt. Nikt nie marnuje nowych pomysłów na Clifa. Po co? Stary, wyświechtany fantom też wystarczy. Tylko Tina zużywa świetne straszaki na sąsiada. Przez nią zaczął czytać Kodeks w nadziei znalezienia jakiejś furtki dla siebie...

„...karane jest straszenie, w wyniku którego obiekt dozna uczucia bólu... zabrania się narażać obiekt na obrażenia cielesne... nie wolno straszyć przy pomocy fantomów ludzi, a szczególnie zmarłych członków rodziny obiektu...”

Nic. Żadnej luki. Przeżył chwile nadziei, gdy przeczytał: „Osobniki odznaczające się psychiką szczególnie wrażliwą są, decyzją Kommedu, wyłączone ze straszenia”. Kommed uznał jednak, że Clif może pędzić normalne życie. Żyj, aby straszyć! Strasz, aby żyć!

Długi, świdrujący pisk w uszach.

Ocknął się. Pompy włączone. Za chwilę zacznie się dusić. Rzucił kasetę na stół, przełknął kawę i wybiegł z mieszkania. Niecierpliwie walił ręką w klawisz przywołania windy. Pewnie nie spieszyłby się tak, gdyby miał zdolność jasnowidzenia. Gdy tylko drzwi otworzyły się, coś szarobrunatnego runęło na Clifa. Oplotły go długie ni to macki, ni to ramiona. Do twarzy zbliżyła się ogromna paszcza z długim rozdwojonym językiem. Chrapliwy oddech wydobywał się z przepastnej gardzieli. Jęzor przesunął się po twarzy, śliski i zimny. „To nie fantom! Fantomy pękają przy dotknięciu!” Szarpnął się do tyłu, kopnął z całej siły na oślep. Uścisk bestii osłabł tak gwałtownie, że Clif runął pod ścianę. Potwór jakby zwiądnął, zwisły macki, cała postać sflaczała jak przekłuty balon, opadła na podłogę. I znikła. Przed windą nie było nikogo! Zbaraniały patrzył przed siebie i nic nie rozumiał. Nagle, gdzieś z góry, dobiegł go cichy, ale wyraźny śmiech. Teraz zrozumiał - fantomy dotykowe są już w sprzedaży! I Tina właśnie wypróbowała to чудо. Może nie zrobiłaby tego, gdyby wiedziała jak straszliwą zemstę przysięgał jej teraz Clif. A może i to by jej nie powstrzymało? W każdym razie Clif już bez przeszkód i z wizją słodkiej zemsty w sercu zjechał na poziom zerowy.

Postanowił przejść się do biura na piechotę. Musiał się trochę uspokoić, no i wymyślić coś dla Tiny. Nie zwracając uwagi na ruchomy chodnik szedł, myśląc usilnie. Nie pierwszy raz usiłował zdobyć się na fantorewanż, nie pierwszy raz nie przychodziło mu nic do głowy. On i zemsta! Kupa śmiechu!

- Chyba jestem za głupi do tych rzeczy. A innym tak łatwo to przychodzi...

Szedł, nie odrywając wzroku od gładkiej powierzchni chodnika. W pewnej chwili na płycie pojawił się napis: „Galeria Fantomów”. Zawahał się, może to? Był już tu kiedyś - fantastyczne pomysły! Każdym z nich można by wystraszyć setki takich jak on. Może jakiś pomysł wykorzystać na fantorewanż? Ale, ale... przecież wszystkie wzory są zastrzeżone! Jeśli przyłapią go na kradzieży takiego „dzieła sztuki” - jak nic obetną z pół godziny snu. Zresztą Tina nieraz zapewne była tutaj. Nie, trzeba samemu coś wymyślić. Ruszył dalej. „Nic z tego. Nie dla mnie ta zabawa”. Podniósł oczy i nagle skrzyżował palce - Wyłączony! Już nie pamiętał gdzie i kiedy usłyszał, że praprzodkowie krzyżując palce zapewniali sobie spełnienie marzeń. A największym marzeniem Clifa było stać się Wyłączonym. Ten, który szedł naprzeciw, wcale nie wyglądał na chorego. Bóg wie, czemu Kommed nie pozwalał go straszyć. Wyłączony był już o dwa kroki od Clifa. Zobaczył jego skrzyżowane palce. Widocznie też znał ten gest, bo skrzywił się prawie z nienawiścią. Dziwne. Przecież łączy ich wspólne nieszczęście - nie pasują do otaczającego ich świata. A jednak... Clifowi nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że Wyłączony może być

nieszczęśliwy z powodu swojego wyłączenia. Jeszcze jedna anomalia w tym cholernym świecie.

Spojrzał na zegarek. Do licha! Znowu spóźni się do pracy! Tego jeszcze brakowało. Zaczął iść szybciej. Nagle nad samym uchem usłyszał czyjś głos:

- Masz jakieś kłopoty? Jesteś czymś zmartwiony? Może potrzebujesz fantoma dla dziewczyny? Coś stosownego dla zwierzchnika? Chcesz wystraszyć sąsiada? Wstąp do nas! Na pewno będziemy mogli ci pomóc!

Z ogromnego wizora na ścianie patrzyła na niego twarz przystojnej brunetki. Wyglądało na to, że nie wiedząc nawet na czym polegają kłopoty Clifa, współczuje mu i szczerze chce pomóc. Zapomniał o pracy wdzięczny za troskę. Wszedł do sklepu i od razu rozczarowanie - zamiast dziewczyny - „Pewnie kusi już innego” - przemknęło mu przez myśl - podbiegł do niego jakiś nieprzyjemny typ. Taki zawodowo uśmiechnięty, pewny siebie facet.

- Czym mogę panu służyć?

„Co mu powiedzieć? Że nie mogę poradzić sobie z fantomami sąsiadki? Ze boję się otworzyć oczy po przebudzeniu?”

- Eee... ja... widzi pan... hm, hm...

- Zapewne chodzi panu o jakiś fantom? - typ uśmiechał się przymilnie. - Zaraz coś znajdziemy.

„Ty pewny siebie durniu! Zaraz... zapewne... znajdziemy...” - przedrzeźniał w myślach sprzedawcę - „Tina nie wystraszy się tych rupieci”.

- Może pan usiądzie, a ja tymczasem pokażę panu nasze najciekawsze egzemplarze - młodzieniec wskazał fotel.

Clif z rezygnacją powlókł się do fotela. Na stoliku leżała jakaś pseudoafrykańska maska, masowo produkowany „antyk”. Usiadł. No pewnie! Kto siada w fotelu nie sprawdzając go przedtem? Trzeba przynajmniej kopnąć nóżkę - odskakujące fotele są znane przynajmniej od ośmiu lat. Chyba tylko on daje się nabierać na ten numer.

Drugi raz tego dnia podniósł się z podłogi.

- Chi, chi! Widzi pan?! To jeden z naszych niezawodnych chwytów! Wszyscy, dosłownie wszyscy się na to nabierają. Proszę, teraz już nie odskoczy.

Podejrzenie przerodziło się w pewność. Nic tu nie znajdzie dla siebie. Pewnie inne „niezawodne” chwytaki są równie stare. Trzeba by wstać i wyjść jak najprędzej, ale przekłeta nieśmiałość nie pozwalała ruszyć się z miejsca. Siedział z ponurą miną i patrzył na prezentowane straszaki. Jakieś głupie maski, pękające butelki, otwierające się z trzaskiem kasetki, wrzeszczące breloczki. Beznadziejnie stare sztuczki. Nie lepsze były i fantomy: nieskończona ilość wariantów klasycznego już wibraka, ogromne zabiaki itd., itd. Znane każdemu dziecku z ekranu wizora. Nawet Clif przywykł już do tych fantomów. Dno.

Skorzystał z tego, że klerk odwrócił się by pokazać jakiś fantogenerator i wybiegł na ulicę. Dziewczyna z ekranu powiedziała coś do niego, ale nie zwracał na nią uwagi.

Zdyszany wpadł do biura Vision Co, gdzie pracował. Gdzie jeszcze pracował. Bo mógł z tej pracy wylecieć lada dzień. Nie należał do pracowników, którymi firma mogłaby się pochwalić.

W hallu podskoczył do niego portier.

- Mister Norton, spóźnił się pan dzisiaj do pracy czterdzieści trzy minuty. Tym samym ma pan na koncie dwieście czterdzieści minut spóźnienia w tym miesiącu. Wpisałem to do pańskiej karty osobowej i przesłałem do działu rozliczeń.

- Dzięki za przysługę - usiłował zażartować, zapominając, że portier nie śmiał się ze znacznie lepszych dowcipów. Nie śmiał się w ogóle. Robot.

Całkowicie zgnębiony wsiadł do windy. Jadąc na swoje piętro zastanawiał się kiedy wezwie go do siebie Stary, by podziękować za dalsze usługi. Myślał nawet, czy nie uciec po prostu i oszczędzić sobie

nieprzyjemnej rozmowy. Został jednak. Jeszcze go nie wyrzucili, może się upieć. Ze spuszczoną głową włókł się po korytarzu, nie widząc, że z tyłu podbiega na palcach Lemmy Spark, jeden z najzacieklejszych gnębicieli Clifa: Lemmy mrugnął porozumiewawczo do spikerki z redakcji przyrodniczej i wałną Clifa w ramię. - Uaaach!!! - wrzasnął.

Efekt na pewno przeszedł wszelkie jego oczekiwania. Clif odbił się od ściany, złapał równowagę, odwrócił się i drżącym, nie ze strachu, ale z wściekłości, głosem powiedział:

- Następnym razem poproszę Kommed o zbadanie mojego stanu po takim dowcipie. Jeżeli okaże się, że ból przekroczył osiem creetów, to niech cię Bóg ma w swojej opiece.

- Co ty... Clif... ja... przecież tylko...

Odwrócił się i poszedł do swojej klitki. Na korytarzu został zupełnie załamany Lemmy i chichocząca spikerka. Clif dopiero siadając w fotelu, obok zawalonego różnymi rupieciami biurka, uprzytomnił sobie, że po raz pierwszy kogoś naprawdę przestraszył. Trochę go to podniosło na duchu, ale natychmiast uprzytomnił sobie, że czeka go jeszcze rozmowa ze Starym i nie będzie to przyjemna pogaduszka. Kto wie, jak się może skończyć?

Nie mógł beczynnienie czekać na wezwanie. Zaczął przeglądać wiadomości, by wybrać te, które pójdą w południowym wydaniu „News”. Odkrycie archeologiczne... nowy program cyrku Haralda... Jęknął głośno. Nowy wynalazek! Fantomy zapachowe! Czuł już nieomal fetor atakujących go od jutra fantomów Tiny. Zapalił papierosa, ale ten miał jakiś dziwny zapach. Zaczęło się - nowa udreka. Zgasił, posiedział chwilę, wstał, zaczął chodzić po pokoiku. Zastanawiał się, czy możliwe jest choćby częściowe Wyłączenie. Nigdy nie słyszał o czymś takim, co wcale nie znaczy, że nie można być Wyłączonym ze straszenia zapachowego. Zobaczymy. Usiadł z powrotem w fotelu, przysunął wykaz reportaży. Aaa! To musi pójść. Rozstrzygnięcie konkursu na Fantoma Roku. Pożegnałby się z pracą, gdyby odrzucił ten reportaż. Wcale nie był ciekawy, co wymyślono jeszcze w tej dziedzinie, ale materiał musiał przejrzeć. Wsunął kasetę do szpary monitora, opuścił czołówkę z nazwiskiem reportera, wyregulował ostrość. Na ekranie pojawił się ogromny amfiteatr. Clif przyspieszył bieg taśmy. Postacie na ekranie zaczęły szybko biegać, migły jakieś twarze, kolorowe plamy. Teraz wolniej, to już chyba laureaci. Jakiś facet przeprowadza wywiad ze zgrzybiałą staruszką. A niech to... Takie „pudło??” wygrało konkurs! Co ona takiego wymyśliła!!! Głośniej.

- ...ała pani konkurs na Fantoma Roku. Jakub okazał się poza konkurencją. Wiemy wszyscy, że wygranie konkursu wiąże się z nagrodą pięćdziesięciu tysięcy bargów... Do tego dojdą jeszcze tantiemy z pokazów, może jakiś film o powstaniu Jakuba, pamiątniki... Czy może nam pani zdradzić, na co przeznaczy pani tak olbrzymią kwotę?

- Jeszcze dokładnie nie wiem. Nie spodziewałam się, że Jakub wygra konkurs... Chciałam kupić sobie parę nowych fantogeneratorów - dotykowy, zapachowy... Nie wiem... Może jakiś dom, kawałek łąki...

- Na pewno wystarczy i na dom i na generatory. Będzie pani mogła bez przeszkód wymyślać nowe fantomy. Mam nadzieję, że równie udane jak Jakub.

Konferansjer zrobił pauzę. Publiczność zrozumiała jego intencje i zaczęła klaskać.

- Proszę pani, czym można wyjaśnić, że Jakub zrobił szczególnie mocne wrażenie na przedstawicielkach płci pięknej - w głosie prowadzącego zabrzmiały jakieś dziwne nutki Publiczność zareagowała na jego słowa śmiechem. Właściwie nie śmiechem, a jakimś równie dziwnym śmieszkiem.

- Sama jestem kobietą („Czas przeszły byłby odpowiedniejszy” - pomyślał zgryźliwie Clif, który mimo całej swej niechęci do owej staruszki, z pewnym zainteresowaniem oglądał reportaż) i wiem, co może wystraszyć kobietę. To cały sekret.

- Rzeczywiście. Tylko kobieta mogła wymyślić takie monstrum.

Znów te dziwne nutki w głosie. O co mu chodzi?

- Czy Jakub będzie sprzedany do cyrku, czy też woli pani, żeby Kubuś, mogę chyba tak o nim mówić?
- Publiczność słysząc to pieszczotliwe zdrobnienie wybuchnęła śmiechem i żywiołowymi oklaskami. -
No więc, czy woli pani, żeby Kubuś znalazł się w Narodowej Fantogalerii?

- Chyba sprzedam go Galerii. Traktuję go poważnie, a w cyrku byłby po prostu atrakcją jednego sezonu.

Proszę, ta stara traktuje fantoma jak dzieło sztuki! I niezbyt jej się podoba zdrobnienie „Kubuś”.

- Zapewniam panią, że Kubuś - konferansjer złośliwie używał zdrobnienia, zresztą podobało się to widzom, - zasługuje na to, aby znaleźć się w największej Galerii Fantomów. Nie pozostaje nam chyba nic innego, jak pokazać państwu Jakuba - Fantoma Roku!

Z ekranu znikła twarz staruszki i uśmiechnięty dziennikarz. Przez chwilę ekran był ciemny, ale ciemność szybko zaczęła się rozjaśniać, aż w pełnym świetle - pojawił się na ekranie Jakub. Było to coś tak ohydneho, że Clif z trudnością powstrzymał się żeby nie wyłączyć vizora. Stwór był duży, chwilami szary, chwilami fioletowy. Miał coś w rodzaju trzech par skrzydeł - dwie pary nad odwłokiem i jedną pod. A sam odwłok... Clif zrozumiał teraz te dziwne nutki w głosie prowadzącego, nutki w głosach ludzi czyniących sprośne aluzjki.

- Ależ... to świństwo!... I to stare pudło... „Wiem, co może wystraszyć kobietę... traktuję Jakuba poważnie...” Ohyda!

Trzasnęła pięścią w wyłącznik. Oczywiście trzeba to dać. Widzowie tego chcą. Niech to diabli!

Zapominając o dziwnym zapachu zapalił nowego papierosa. Przyjrzał się z niechęcią drżącym lekko palcom. „Wykończę się. I ta stara mi w tym pomoże” - pomyślał. Jak dziwnie nie pasowała twarz tej staruszki do tego, co nazywała Jakubem. Strzepnął słupek popiołu do popielniczki. „To psychopatka. Nikt normalny nie mógłby wymyślić czegoś podobnego. Ale... zaraz... przecież Kommed uznał ją za normalną! To właśnie jest straszne, że tacy jak ta... jak jej tam... nieważne... są uznawani za normalnych. A ja? Może to ja jestem nienormalny? Bzdura. Kommed natychmiast by to wyłapał. Chociaż, może pewnego dnia otrzymam „wezwanie”. Albo przyjdzie po mnie paru mocnych facetów”.

Papieros oparzył palce. Clif ocknął się. Przez chwilę patrzył na kasetę z konkursu. Wstał by zanieść ją do studia i nagle zamarł w pół kroku.

„Co ta baba powiedziała? Co ona powiedziała?... Tam było coś, co... Zaraz, zaraz. Spokojnie. Może... Idiota! Przecież mam tę taśmę”.

Rzucił się do biurka, ręce trzęsły mu się tak, że nie mógł włożyć kasety do szpary. Weszła w końcu. Szybko przewinął kawałek taśmy. Gdzieś tu... nie, to jury, jeszcze nie... o, chyba to... śmiech na sali, jest staruszka! Głośniej! „... jestem kobietą i wiem, czego boją się kobiety”. Tak, to jest to! Wyłączył vizor. Tylko spokojnie. Najpierw kasetę do studia, niech zmontują migawkę do dziennika. Prawie biegiem zaniósł taśmę do pokoju na końcu korytarza, wrócił do swojego pokoju, szybko łyknął z piersiówki. „Gdyby to stary widział” - przemknęło mu przez myśl - szybko zapalił papierosa. Poczł napływ energii. Dawno już nie czuł się tak dobrze.

„Kiedy to było? Strasznie dawno, ale da się znaleźć tę taśmę w archiwum. Tylko czy to aby nie zawiedzie? Nie, nie powinno. Musi się udać. Musi. Załatwię ją. Za jednym zamachem zemszczę się za wszystkie strachy. Za to poranne wstawanie, za wszystkie chichoty... Eech... życie jest piękne! Tylko żeby się udało. Kto to był, ten naukowiec? Etnograf? Nie, chyba historyk... albo... nie, historyk. I to właśnie on powiedział... coś p obyczajach chyba. Nie, to nie był obyczaj, coś innego. Nieważne. Trzeba odnaleźć tę taśmę, a później tego profesora”.

Zdusił papierosa, wstał, przeciągnął się. Rozejrzał się po pokoju i wyszedł. W archiwum spędził prawie dwie godziny, ale taśmę znalazł. Wywiad z etnografem był bardzo ciekawy, ale Clifa interesował fragment, niezwiązany zupełnie ze specjalnością profesora Qinne'a. Na zasadzie ciekawostki Qinne

wtrącił tam dwa czy trzy zdania, na których Clif oparł swój plan zemsty.

Dwa następne dni spędził jak w transie. Pracował wprawdzie, nawet lepiej niż zwykle, ale umysł zajęty był opracowywaniem szczegółów planu. Widocznie wszystko układało się pomyślnie, bo Clif był w świetnym humorze, żartował, nawet postraszył tego i owego, z niezłym, jak na niego, skutkiem. Trzeciego dnia zniknął. Wziął parę dni urlopu i wyjechał, nie mówiąc dokąd.

Był to pracowity tydzień. Najpierw odwiedził Qinne'a. Od niego wziął parę innych adresów. Trzy pierwsze wizyty nie przyniosły rezultatu, ale za to czwarta...

Po powrocie do domu rozpoczął przygotowania do realizacji starannie przygotowanej zemsty. O czwartej wypił ostatni łyk drinka, dotknął kieszeni, wziął ze stolika bukiet kwiatów i wyszedł z mieszkania.

„Chyba ją zdziwi ta wizyta. I te kwiaty... Staroświeckie, ale właśnie dlatego dobre - odwrócą uwagę” - myślał, idąc po schodach.

Tina otworzyła drzwi. Z zaskoczeniem popatrzyła na gościa, ale szybko opanowała się.

- To ty Clif?!... Proszę, wejdź.

- Pomyślałem, że mieszkamy obok siebie już parę lat, a nie znamy się właściwie. Może... może nie musimy być tylko znajomymi z widzenia.

Kwiaty świetnie spełniły swe zadanie. Tina bardzo ostrożnie odebrała je z rąk Clifa. Podejrzewała jakiś podstęp, poprosiła go nawet, żeby sam włożył je do flakonu. „Pewnie myśli, że mogą na przykład pęknąć z hukiem, albo zawyc w wyniku jakiejś reakcji z wodą. Węszy podstęp. Tylko, że to nie to, kochana” - Clifa rozpierała duma z własnego sprytu. Wprawdzie jeszcze nie wystraszył Tiny, ale był przekonany, że operacja zakończy się sukcesem.

Tina była czarującą gospodynią, mimo, że cały czas siedziała spięta, czekając... Właśnie, na co? Kobięca intuicja ostrzegła ją. Coś nie było w porządku.

„Gdzie by to?... Tu nie, i tu też...” - rozglądał się po łazience w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Uwagę jego zwróciła duża matowa płyta na ścianie. Tu będzie dobrze. Dotknął płyty palcami. Odsunęła się bezszelestnie, ukazując lustro i masę różnego rodzaju kosmetyków porzrzucanych w nieładzie na półkach.

„Tina nie byłaby kobietą, gdyby po moim wyjściu nie chciała sprawdzić swojego wyglądu” - pomyślał, wykazując się, dziwną u niego, znajomością kobiecej psychiki.

Wrócił do pokoju, ale rozmowa się nie kleiła - Clif siedział jak na szpilkach. Po kwadransie zaczął się żegnać.

- Przypomniałem sobie, że mam się skontaktować z jednym facetem. Muszę już iść.

- Przecież możesz skorzystać z mojego inconnu?

- Eee... to taka... męska sprawa. Wpadnę jeszcze kiedy indziej, jeżeli pozwolisz, oczywiście. A na razie do widzenia.

- Wpadaj częściej. Na razie.

Nie mogła się domyślić. Teraz szybko do siebie. Zbiegł po schodach i jak bomba wpadł do mieszkania. Gdzie ona ma łazienkę?! Tu! Przysunął stół, wskoczył na blat i umocował na suficie mały mikrofon na przyssawce. Zeskoczył na podłogę, włączył magnetofon. Już spokojnie usiadł w fotelu. Siedział chwilę po czym poderwał się, podszedł do barku i nalał sobie szklaneczkę. Usiadł znowu w fotelu. Zapalił papierosa, pociągnął spory łyk ze szklanki. Wyglądało na to, że jest zdecydowany spędzić w tym fotelu choćby i wieczność. Na szczęście aż tak długo czekać nie musiał. Nie zdążył skończyć papierosa, gdy w głośniku rozległy się kroki Tiny. Clif zmrużył oczy z lubością. Wyglądał jak kot patrzący na mysz, która nie może mu uciec. Jeszcze dwa kroki na górze. Szczęk jakichś flakoników w głośnikach. Teraz!

Przeraźliwy wrzask wzmocniony przez aparaturę poderwał go z fotela. Ten krzyk usłyszałyby bez mikrofonu. Ze szczęścia zaczął tańczyć po pokoju. Tina krzyczała nadal, Clif cichutko zawył. Największe, wszechogarniające szczęście! Na górze coś trzasnęło, coś upadło na podłogę. Usłyszał oddalające się biegiem kroki. W głośnikach zapadła cisza. Clif również przestał wyć, stał nieruchomo, słysząc jak serce tłucze mu się w piersi.

Odetchnął głośno, podszedł do magnetofonu. Wyłączył go i wyjął kasetę z nagraniem. Trzymając ją w ręku skierował się do barku i nalał sobie jeszcze jedną porcję. „Należy mi się”.

„Nie wiedziałem, że to może być takie przyjemne - pomyślał pociągając ze szklaneczki. - „Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Szkoda tych zmarnowanych lat”. Uśmiechnął się do siebie. W czasie przygotowań do zemsty wpadło mu do głowy parę dobrych, jak sądził, pomysłów.

Chyba równie dobrych, jak ten z myszką. Oczywiście, pomysł był stary jak świat. I właśnie o tym mówił Quinne. Powiedział, że pewne zjawiska nie starzeją się, są ciągle aktualne. No i wspomniał o myszach, których zawsze bały się kobiety. Nikt nie zwrócił na to uwagi, bo dawno już nie było myszy (Jak się jednak okazało, hodowało je paru dziwaków). A ta staruszka powiedziała: „Wiem, czego boją się kobiety...” I Clif uprzytomnił sobie, że on też wie. Reszta była już prosta. Wystarczyło porozmawiać z Quinnem, zdobyć adresy tych kilku staruszków, no i kupić mysz. Zapłacił drogo, ale opłaciło się, opłaciło! W sumie - może i zbieg okoliczności, przypadek, ale te nowe pomysły to już jego własne. Kto następny?

Odstawił pustą szklanekę. Jeszcze jedno. Włożył kasetkę do wnęki poczty pneumatycznej, zamknął drzwiczki. Zaczął wystukiwać na klawiaturze kod mieszkania Tiny. Nagle palec zawisł w powietrzu, zastanawiał się przez chwilę, potem skasował zapis. Wyjął kasetę z wnęki. Rzucił na stół.

Patrzył na nią i myślał, że Tina ma śliczne oczy.

Nic, tylko piasek *Eugeniusz Dębski*

Nie musiał patrzeć na szklanę z sokiem, by przekonać się o coraz to silniejszym drzeniu statku. Wszystko w porządku, prognozy sprawdzały się. Miał nadzieję, że sprawdzą się w stu procentach. Bo na razie statek „tylko” drżał, mimo całego systemu kotwic głębinowych i gęstej sieci lin z włókna krzemowego. A jeszcze dwa dni temu trzeba było powiększać obraz wskaźnika aby dostrzec odchylenie statku od pionu. Dzisiaj nawet tak niedoskonała aparatura, jak zmysły przeciętnego człowieka, który w porównaniu z eksploratorem jest ślepy jak kret, powolny jak żółw i głuchy jak pień, dzisiaj, nawet te niedoskonałe zmysły poinformowałyby o szalejącej na planecie wichurze.

Piąty tydzień. Jak na razie - w normie. Tak miało być, to przynajmniej było pewne. Pięć tygodni wichury, w ostatnim tygodniu huragan o sile czterech ziemskich - i spokój.

Spokój na dwadzieścia dni. I w tym czasie musi zbadać planetę. Nie jest to dużo czasu, ale też nie potrzeba chyba więcej. Najmniejsza planeta w tym pustym Układzie, jak i on pusta i piaszczysta. To już prawie wszystkie informacje przekazane mu przez Bazę. Więcej miał zdobyć on sam.

Na razie jednak siedział w UNICU, nudził się i klął na specjalistów z Bazy. Pięknie to wszystko wyliczyli, nie ma co! Miał wylądować zaraz po huraganie i w szybkim tempie rozpocząć badania MID-AN-Q16. Uwierzył prognozie i nie marnował czasu na rozpoznanie z orbity - planeta była tak mała, że z łatwością zbada ją w ciągu trzech dni i to nie marnując paliwa UNICA. Kto wie, co się może zdarzyć w drodze powrotnej. Plan był dobry, ale...

Gdy UNIC stanął już na swoich ośmiu łapach wysłał roboty by zakotwiczyły statek. Na szczęście...Gdyby uznał, że już po wszystkim i, że zdąży przed następnym... Te małe obłoczki pyłu wyglądały jak resztki huraganu i nawet zaczął podziwiał meteorologów: ależ wyliczyli, bestie! Całe szczęście, że musiał zmarnować trochę czasu na standardowe procedury. Idąc po skafander i broń (po co komu broń na pustej planecie?), zboczył do kabiny nawigacyjnej i zobaczył na ekranie potężny wał piasku pędzący w jego stronę. Miał tylko tyle czasu, by sprawdzić czy wszystkie roboty już wróciły i zamknąć właz. Zrobił to, mimo że jeden z metalowych żuków pełzał jeszcze po pajęczynie lin, biegnących od umocowanych na głębokości czterdziestu metrów kotwic do specjalnych pazurów na pancerzu UNICA. Robot był stracony, jeżeli oczywiście prognostycy nie pomylili się co siły wiatrów na MID-AN-Q16. Ale nie pomylili się. Całe szczęście, że musiał zmarnować trochę czasu na procedury. Parę minut później na zewnątrz rozpętało się piekło. Gdyby nie te procedury...

Nie mógł nawet obserwować powierzchni planety. Już po godzinie piasek niesiony przez wiatr porysował doszczętnie soczewki kamer. Zresztą i tak nic nie było widać w tej niesamowitej kurzawie. A poza tym miał inne zajęcia, bo okazało się, że powstały jakieś luzy w misternej sieci lin i pierwsze godziny na MID-AN-Q16 Rob spędził wybierając je za pomocą specjalnego wsięgnika. Operując po omacku o mało nie pozrywał kilku lin, ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Dobrze o tyle, że UNIC stał i przynajmniej na razie, nie wykazywał tendencji do upadku. Ale pięć tygodni w odciętych od „świata” statku... Przez pierwsze cztery dni nudził się straszliwie. Był co prawda przyzwyczajony do samotności, ale co innego lot, a co innego samotność na obcej planecie, której nawet dobrze nie obejrzał.

Piątego dnia rozpoczął walkę z nudą. Najpierw sprawdził funkcjonowanie wszystkich przyrządów pokładowych. Były w jak najlepszym stanie. Nawet nie brakowało już robota; jego bracia-bliźniacy

zdążyli go odtworzyć z matryc przechowywanych w magazynie. Nie było sensu oszukiwać się - na statku nie było nic, albo prawie nic do roboty. I w perspektywie pięć tygodni bezczynności. Wprawdzie tak doświadczony eksplorator zawsze znajdzie dla siebie jakieś zajęcie, ale co to za przyjemność robić coś na siłę.

Potem zaczął jeszcze raz przeglądać materiały dotyczące planety, która nie dała mu możliwości bliższego kontaktu ze sobą. Któryś raz z kolei stwierdził, że jest tego bardzo mało i w dodatku nic specjalnie ciekawego.

Najbardziej niezwykły był fakt, że MID-AN-Q16 posiadała dwa słońca. Kilka wieków temu niejaki Lagrange wyliczył parametry takiego właśnie układu - maleństwo krążące między i wraz z dwoma słońcami. Razem tworzą układ bardzo niestabilny i Rob nawet obawiał się czy aby kopnięcie UNICA przy lądowaniu, a zwłaszcza przy starcie, nie zepchnie planety z orbity.

Oświetlana dwoma słońcami, a więc przez całą dobę, raz mocniej, raz trochę słabiej - w zależności od tego, które słońce aktualnie świeci, bez jezior, rzek, gór, dolin. Bez jakiegokolwiek życia na swojej powierzchni. Jedyne co miała, i to w nadmiarze, to piasek. Jaskrawopomarańczowy, suchy i gorący. Zajmował całą jej powierzchnię. Z pewnej wysokości wyglądała jak mokra piłka posypana piaskiem. Tylko, że ten nie osypywał się z piłki. Mógł się tylko przemieszczać i robił to bardzo często. Przez sześć miesięcy wiały tu potworne wichury. Największa przerwa między nimi to właśnie te trzy tygodnie jakimi dysponował Rob, a rok w ogóle trwał tu niespełna osiem ziemskich miesięcy. Brak tlenu, temperatura około sześćdziesięciu stopni - to wszystko, co przekazała bezzałogowa sonda krążąca tu kiedyś przez rok na orbicie wokół MID-AN-Q16. Tyle danych posiadał i wydawały mu się wystarczające, by nie tracić czasu na ich rozszerzanie. Baza jednak postanowiła inaczej - ciekawostka matematyczna! Niech będzie. Równie dobrze może siedzieć tu, jak i gdzie indziej. Długie lata bezskutecznych poszukiwań życia na innych planetach nastawiły go sceptycznie co do możliwości kontaktu z przedstawicielami innych cywilizacji. Nie ma życia w kosmosie, a Ziemia.. Ziemia może być wyjątkiem. Jeżeli jednak jest gdzieś życie to może być równie dobrze tu, na MID-AN-Q16, jak i gdzie indziej.

Trzecią rzeczą jaką zrobił było przechrzczenie planety. Nie mógł przecież ciągle myśleć o niej „ta MID-AN-Q16”. Wymyślenie nowego imienia zajęło mu trochę czasu, ale przecież między innymi o to chodziło. Nazwał ją Midana. Imię wymyślił dość szybko i zirykowało go to trochę - nie o to szło, by po pięciu minutach zdecydować w tak ważnej sprawie, dlatego też oszukiwał sam siebie, udawał, że się jeszcze namyśla, wybrzydzał, aż w końcu uznał, że trwa to już wystarczająco długo. Powiedział głośno: „Midana”. Dobrze. Chociaż bardziej pasowałyby dla jakiejś innej planety, jakiegoś zielonego raj. No, trudno. Włączył nagłośnienie zewnętrzne, chociaż świetnie wiedział, że zatkane piachem głośniki nie przekażą nic na powierzchnię kulistej pustyni, przybrał odpowiedni wyraz twarzy i uroczyście powiedział:

- W imieniu własnym, nie dbając o atlasy, katalogi i gwiazdne mapy, ty, MID-AN-Q16, będziesz od dziś zwała się Midaną. A jak ci się nie podoba, to pocałuj się w nos - dodał już mniej oficjalnym tonem.

I znowu nie miał nic do roboty. A właściwie miał. Dawno temu wpadł na pomysł, żeby zmienić osobowość pokładowego komputera, może nie tyle zmienić, co nadać mu ją. Opracował sobie plan działania i czekał na odpowiedni moment, to znaczy na odpowiednią nudę, by zrealizować pomysł. Oszczędzał tę swoją ideę, trząsał się nad nią jak skąpiec nad skrzynią złota. Mówił sobie: „Jeszcze nie czas, może być gorzej”. Teraz postanowił zrobić to wreszcie. Najpierw zajął się techniczną stroną zagadnienia. W trzy tygodnie wykonał ogromną pracę, przeróbki w komputerze były znaczne, ale był na szczęście dobrze przygotowany do tego przedsięwzięcia. Jednocześnie mówił do komputera, czytał wszystko, co mu wpadło w ręce, śmiał się, kichał, kaszlał, posunął się nawet do zażycia kompozycji leków, by komputer mógł posłuchać jego majaczeń. W ostatnim dniu wichury uznał, że dzieło zostało

ukończone.

Uczcił to szklanką kondensatu owocowego, a resztkę pozostałą w szklance wylał na soczewkę kamery - oko mózgu.

- Odwal się, głupi dowcip - powiedział komputer głosem Roba.

- To nie dowcip, to tradycja - powiedział Rob takim samym głosem. - I, przy okazji, nazywasz się Greg. Ha, to już moje drugie chrzciny w ciągu miesiąca, można pomyśleć, że nie robię nic innego tylko biegam i szukam kolejnych kandydatów do chrzczenia.

Greg milczał. Myślał nad swoim imieniem. W końcu powiedział:

- Nie powiem, żebym był zachwycony, ale ciebie na nic oryginalniejszego nie stać. Niech będzie.

- No, no, tylko nie rób mi łaski. Jak zechcę będziesz się nazywał Siedemnaście miliardów trzysta pięćdziesiąt dziewięć milionów czterysta osiemnaście tysięcy dwieście dwadzieścia sześć i siedem dziesiątych. I będziesz musiał przedstawiać się za każdym razem, gdy otworzysz swój... zawahał się - no, ten... powiedzmy, głośnik.

- Mnie to nie sprawi żadnego kłopotu. Ale pomyśl o sobie. - Greg nagle zarechotał. Rob pomyślał, że trochę nie pasuje w tym momencie śmiech szaleńca. Tu raczej przydałby się ironiczny śmieszek, jakiś chichot. Widocznie komputer jeszcze niezupełnie opanował posługiwanie się jego własnym głosem.

- W końcu miałem stosunkowo mało czasu, albo te przeróbki okazały się niewystarczające... - mruknął do siebie.

- Pewnie, że niewystarczające. Ale niewiele więcej możesz tu zrobić, zresztą te drobiazgi, możliwe jeszcze do zrobienia, mogę sam poprawić.

- Słuchaj, małeństwo. Wiem, że posiadasz świetny słuch, ale skoro masz udawać człowieka, to musisz to robić trochę lepiej. Człowiek nie usłyszałby tego, co powiedziałem przed chwilą. Najwyżej zapytałby - „Co powiedziałeś” - Rozumiesz? - dodał dużo ciszej.

- Jas... - Greg urwał w pół słowa. - Co powiedziałeś?

- No, już lepiej - pochwalił Rob komputer. - Na razie dość tej zabawy. Chyba wiatr się kończy. Sprawdź czy wszystko gotowe do wyjścia na Midanę.

- Już sprawdzałem, ale mogę jeszcze raz, co mi tam...

Rob wyciągnął się wygodniej w fotelu. Przyszło mu do głowy, że ktoś, kto nie wiedziałby o modyfikacji Grega i nie widziałby ich obu w trakcie rozmowy pomyślałby, że Rob zwariował - przecież rozmawia sam ze sobą. Natomiast on sam nie poznawał swojego głosu w głosie Grega. I ten śmiech szaleńca! To przecież jego własny śmiech! Pewnie śmiał się tak pod wpływem tych narkotyków. Trzeba wytłumaczyć Gregowi kiedy może tak właśnie się śmiać. Chociaż... skoro to śmiech szaleńca, to lepiej, żeby Greg nie musiał sięgać do aż tak skrajnego sposobu wyrażania uczuć. „Szaleniec-komputer” - nieźle brzmi.

- Rob!

- No?

- Sprawdziłem wszystko. Można wychodzić, ale wichura jeszcze trwa. Powinna się skończyć za jakieś trzysta godzin.

Rob był pewien, że Greg już dawno skończył test urządzeń, ale czekał aż on ocknie się z zamyślenia. No cóż, miły „facet” ten jego komputer.

- Możesz iść spać. Ja obejmę wachtę - w głosie wydobywającym się z głośnika zabrzmiały nutki śmiechu.

- Świetnie! Zaczynasz sobie nieźle radzić z modulacją głosu. Jestem, jako twórca i ojciec chrzestny, dumny z ciebie, Greg!

- Dobra, dobra. Nie gadaj tyle, jedz kolację i idź spać.

Niee, niech to lichy! On się wyraźnie zawstydził! Może te zmiany w psychice komputera są za duże? Żeby, psia krewo, nie przesadzić! Maszyna z uczuciowością człowieka może być nawet niebezpieczna.

- Do jutra.

- Przyjemnych snów.

Sny nie były chyba przyjemne, bo uczucie zmęczenia i jakiegoś niepokoju nie opuszczało Roba jeszcze przez parę godzin po obudzeniu. Dopiero przygotowania do wyjścia odsunęły te odczucia na dalszy plan.

- Greg. Sonda na stałą orbitę, biorę Dromadera i dwa Żuki, łączność przez cały czas, itd. Wiesz, co masz robić. Wracam za cztery godziny. Przygotuj jakiś obiad, coś, co lubię. I trzymaj kciuki.

- Zasuważ śmiało. Wszystko gotowe, sprawdzone i wypróbowane. Tylko ja bym wypuścił jeszcze parę Żuków w inną stronę. Może coś znajdą, no i niech one też rozprostują kości.

- Nic tu nie ma do znajdowania. A jeśli nawet jest, to chcę to sam znaleźć.

- Twoja sprawa. Ale czasu mamy niedużo.

- Wystarczy. Bądź spokojny. Zresztą być może odechce mi się spacerów po tym raj. Wtedy pošlesz służę swoje, żeby, hm, rozprostowały kości.

- Akurat ci wierzę. No, wychodź.

Rob podszedł do wnęki ze skafandrami, włożył jeden z nich, wyjął hełm i skierował się do służy. Idąc włożył przezroczystą kulę na głowę, przystanął na chwilę, by przejechać po szparze zszywaczem i wszedł do komory powietrznej. Drzwi zamknęły się, chwilę jeszcze czujniki badały szczelność skafandra, zapaliło się zielone światło i w słuchawkach zabrzmiał głos Grega:

- OK. Otwieram drzwi.

Rob nawet nie próbował wmówić sobie, że jest spokojny, że to wszystko ma go obchodzić, co tam taka mała zapiaszczona planetka. Był podniecony tak samo jak podczas swojego pierwszego wyjścia. A minęło już przecież trochę czasu i nieraz już wychodził przez podobną służę.

Przez poszerzającą się szparę w drzwiach wpadł do statku pierwszy promień obcego słońca. Smuga światła na ścianie powiększała się, aż cała powierzchnia naprzeciwko drzwi rozblęła pomarańczowym blaskiem. Rob zrobił dwa kroki, zatrzymał się w progu, odruchowo rzucił szybkie spojrzenie w prawo i w lewo. Nic, gładka, gigantyczna pomarańcza. Nic, na czym można by zatrzymać spojrzenie, mimo to długą chwilę patrzył przed siebie.

- No i jak? Podoba ci się twoja Midana?

- Jest prześliczna. O takiej właśnie planecie na starość marzyłem. Będę tu uprawiał poziomki, a mój wierny, zbzikowany już mocno komputer, będzie mi czytał listy, jakimi będzie mnie zasypywać żeńska połowa ludzkości.

- Piękne marzenie. Nie mogę się doczekać tej chwili, gdy już mocno zbzikowany, będę umiłał ci starość czytając listy pisane do samego siebie.

Riposta Grega zastała Roba już na platformie zjeżdżającej na poziom gruntu Midany. Odszedł kilkanaście kroków od statku. Rozejrzał się dookoła. Nic. Piasek, piasek, piasek...

Z transportowego luku wyłonił się Dromader, a za nim dwa Żuki. Dromader, olbrzymi opancerzony transporter z kopułą obserwacyjną, której zawdzięczał nazwę, przyjechał paręnaście metrów i zatrzymał się przed Robem. Na gładkim pancerzu pojawiła się rysa i po chwili, przez powstały w boku Dromadera luk, Rob przedostał się do wnętrza. Kłapa wróciła na swoje miejsce zespajając się z pancerzem.

Procedura, przewidziana w takich wypadkach, wymagała sprawdzenia przez człowieka sprawności działania aparatury Dromadera. Mógł ją zlekceważyć. Greg na pewno wszystko dokładnie zbadał, ale nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy objaw niezdyscyplinowania. Czasami mniejsze drobiazgi decydowały o życiu lub śmierci. Popatrzył uważnie na wszystkie wskaźniki, rzucił okiem na ekran

głównego monitora. Pełna gotowość. Może tu spędzić nawet pół roku. Zdjął hełm, przypiął pasy i przesunął dźwignię obok lewej ręki. Fotel cofnął się do tyłu a potem pojechał do góry. Rob siedział teraz przy pulpicie obserwacyjnym, nieco mniejszym niż ten na dole, ale za to mógł obserwować bezpośrednio przestrzeń przed sobą. Tylko w razie niebezpieczeństwa prowadzący zjeżdżał przed główny pulpit, a kopała nakrywana była dodatkowym pancerzem.

Lekko nacisnął pedał akceleratora. Dromader posłusznie ruszył do przodu. Wykonał jeszcze kilka manewrów w bezpośrednim sąsiedztwie UNICA, potem, zgodnie z wcześniejszym planem, ruszył na południe. Za nim, posłusznie jak dwa małe szczeniaki za dużym psem, ruszyły Żuki.

- Rob. Instrukcja przewiduje, że roboty idą przodem, a za nimi człowiek.

- Co ty powiesz? Naprawdę? Chyba masz rację, co do instrukcji, oczywiście. Bo w ogóle - to mylisz się. Żuki są z przodu, tylko my poruszamy się tyłem. One bronią mnie przed niespodziewanym atakiem ze strony pewnego zarozumiałego komputera. A z tyłu nic mi nie grozi. Poza tym proszę o absolutną ciszę w eterze. Czekam na ważny meldunek. Jak będziesz potrzebny to cię zawołam. Pa!

- Rob, poczekaj. Jeszcze jedno...

- Do usłyszenia. Wyłącz się.

„Pewnie się obraził. Przeczulony jakiś. Niech się lepiej zajmie wymianą soczewek kamer. Trzeba też zlikwidować luzy, jeśli jeszcze są, i w ogóle przygotować statek do natychmiastowego startu. Miał co robić.”

Przed oczyma Roba nic się nie zmieniło. Tak samo wyglądała pustynia tuż obok UNICA. Gdyby nie licznik, wyzerowany przed rozpoczęciem jazdy i wskazujący obecnie trzy i pół kilometra, można by sądzić, że Dromader ciągle stoi w miejscu. Rob obrócił fotel o sto osiemdziesiąt stopni. Za nim ciągnął się szeroki ślad na pomarańczowym piasku. Trochę dalej do tego szerokiego pasa przyłączały się dwa o wiele węższe ślady Żuków. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Odwrócił się do pulpitu, zablokował niezależne programy robotów, przełączył je na dublowanie ruchów Dromadera i zaczął robić pętle; ósemki, zygzaki. Rzucił przez chwilę transporterem na wszystkie możliwe strony. Potem zatrzymał pojazd i obejrzał się do tyłu.

- Nooo... całkiem ładnie wyszło! - pochwalił sam siebie. Dromader i Żuki wypisały na gładkiej powierzchni pustyni fantastyczne zygzaki. Wyglądało to trochę jak haft na bluzce modnisi. Chwilę rozkoszował się tym widokiem, potem rozkazał Żukom zająć miejsce przed Dromaderem i mały konwój znowu ruszył przed siebie. Po pół godzinie znowu postąpił wbrew instrukcji - po pierwsze, przestał patrzeć na drogę, ułożył się wygodniej w fotelu i zamknął oczy, po drugie, nie włączył autosteru. Wprawdzie Dromader nie mógł zjechać nigdzie dopóki jechał po tym stole, ale instrukcja...

„Jaka forma życia byłaby możliwa na takiej planecie? Brak tlenu, upał, nie ma możliwości wykopania nawet nory. Wszystko zniszczy huragan w najlepszym wypadku za trzy tygodnie. Czy możliwy jest trzytygodniowy cykl życia? Może i tak, ale na pewno nikt nie potrafiłby zbudować rozwiniętej formy cywilizacji w oparciu o parotygodniowe życie jednostek. A może jakieś myślące obłoki gazu rozpraszającego się podczas wichury i skupiającego się ponownie w okresie ciszy? Taki rozum nie potrzebuje domów, mostów, dróg i tego wszystkiego, co jest w naszym pojęciu oznaką życia.

Nagle poczuł jakiś niepokój. Powstrzymał się od gwałtownego zerwania z fotela. Starł się szybko zanalizować uczucie jakie go ogarnęło, skąd to napięcie mięśni? Aaa... Po prostu nie patrzył dokąd jedzie. Człowiek z trudem porusza się nie widząc drogi przed sobą. Nawet po gładkiej powierzchni niewielu ludzi może przejść większą odległość z zamkniętymi oczami. Nogi zaczynają niechcący robić coraz to mniejsze kroki, trzeba wysiłkiem woli powstrzymać się by nie wyciągnąć rąk przed siebie, występuje zachwianie równowagi. Podobnie czuł się w tej chwili Rob. Na złość sobie poleżał jeszcze chwilę, podniósł się. Oczywiście. Dalej nic się nie zmieniło w krajobrazie. Przyspieszył nieco. Minęła

pierwsza godzina jazdy. Włączył autoster i położył się znowu wygodnie. Wrócił do poprzednich rozmyślań.

„Może jeszcze być tak, że cała powłoka gazowa wokół Midany jest jednym wielkim organizmem. Te okresy burz i ciszy mogą odpowiadać ludzkim okresom snu i czuwania. Albo pracy i wypoczynku. Albo ten gaz musi się co jakiś czas przemieszczać by myśleć. Życ. Rozwijać się”.

Przewrócił się na drugi bok. Jęknęła sprężyna w fotelu. Gwałtownie zerwał się. W fotelu nie było żadnych sprężyn. To pisnął jeden z czujników. Czujnik metali. Dromader stał już w miejscu. Żuki też. Teraz decyzja należała do człowieka. A człowiek odczytywał dane z analizatora. Żelazo, aluminium, metale szlachetne, jakieś tworzywa sztuczne. Na razie tyle. Więcej danych otrzyma gdy Żuk podejdzie bliżej do obiektu. O ile obiekt pozwoli na zbliżenie. Rob sięgnął za fotel, wyciągnął hełm z uchwytu, włożył na głowę, przejechał po szwie zszywaczem. Zwiększył na chwilę dawkę tlenu. „Tak bardzo chciałem znaleźć to coś. Ja, a nie roboty. No i nie wyszło” - przemknęło mu przez myśl. Unormował dopływ tlenu. Przełączył Żuki na ręczne sterowanie, zareagowały obróceniem anten w stronę Dromadera. Ten z lewej był nieco bliżej ledwo widocznej nierówności, pod którą kryło się to tajemnicze COŚ. Nie było żadnych wątpliwości, że to nagromadzenie pierwiastków musi być sztucznego pochodzenia. Lewy Żuk ruszył powoli w stronę wybruszenia. Po paru metrach Rob zatrzymał robota. Nic. Żadnej reakcji. Czuł, że zaczyna się pocić, obniżył temperaturę wewnątrz skafandra, dopiero teraz odblokował miotacz. Wszystkich tych manipulacji dokonał nie odrywając oczu od miejsca, gdzie spoczywał robot. Był wściekły na siebie - dopiero teraz pomyśleć o miotaczu! Za to można wylecieć ze Służby Eksploracji. Albo nie dożyć wymówienia.

Dobra. Teraz nie ma sensu o tym myśleć, potem trzeba będzie pomanipulować przy taśmie z zapisem sytuacji, by skasować ten błąd. O ile będzie jakieś „potem”. Poprawił się w fotelu. Ostrożnie pchnął Żuka do przodu, jeszcze trochę, jeszcze. Zerknął na wyniki analizy pojawiające się na prawym ekranie: krzem, german, tytan, mangan, platyna. Robot, to pewne. Żuk był o jakieś osiem metrów od pagórka.

Mógł wiedzieć, co do centymetra, jaka odległość dzieli dwa roboty, produkty obcych cywilizacji. Tylko po co? Nie potrzebował, przynajmniej na razie, dokładniejszych danych. Osiem metrów, wystarczy. Wcisnął jeden z klawiszy na pulpicie, z płyty czołowej robota wysunęła się krótka lufa, wycelowowała w pagórek. Zawahał się, czy nie włączyć już teraz pola siłowego, ale odrzucił tę myśl. Mógłby wtedy obserwować wydarzenia tylko za pośrednictwem ekranu monitora, a płaski, bezwymiarowy obraz nie wystarczał mu w tego rodzaju sytuacji. Postanowił zaryzykować. Nacisnął spust. W tej samej chwili z lufy armatki wytrysnął mocny strumień powietrza. Obłok kurzu na chwilę przesłonił obraz. Rob zacisnął palce na spuście miotacza. Druga ręka drżała na dźwigni uruchamiającej pole siłowe. Był gotów w sekundzie oddać strzał i skryć się za polem, inna sprawa, czy sekunda nie trwałaby dużo za długo. Ale nie - nic się nie stało. Piasek opadł, pył wirował jeszcze w powietrzu, ale już można było poprzez tę delikatną mgiełkę zobaczyć zarysy tego, co skrywało się dotychczas pod warstwą piasku. Rob jeszcze przez chwilę przyglądał się coraz lepiej widocznej kupie żelaza. Potem nie miał już wątpliwości. Wykonał kilka szybkich ruchów, Żuk odskoczył do tyłu i w tej samej sekundzie Rob strzelił z miotacza. W miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze wirował piasek rozkwitł żółtoczerwony kwiat ognia. Prawie natychmiast zgasł i można było zobaczyć głęboki, nieregularny lej o gładkich, ze stopionego kwarcu, brzegach.

Rob oparł się wygodnie o oparcie, czuł, że mimo obniżonej w skafandrze temperatury strużki potu spływają mu po plecach. Z ulgą zdarł hełm z głowy. Chyba nie będzie musiał grzebać w rejestratorze, za dużo trzeba by zmieniać. Właściwie wszystko. Od wyjazdu na Dromaderze, a nawet wcześniej. Za dużo błędów jak na doświadczonego eksplorera, w sam raz na faceta, który powinien odejść na emeryturę. Skleroza, lekkomyślność, ryzykanctwo, niesubordynacja. To chyba jego ostatnie samodzielne zadanie.

„Obcy robot! Nie ma wątpliwości!”, - przedrzeźniał sam siebie. Jak mógł zapomnieć włączyć pamięć Żuków! Nie miały informacji o porwanym przez huragan robocie. Nic dziwnego, że wzięły go za obce ciało. Cholera! Taka seria błędów! To koniec, sam już nie będzie wierzyć sobie. I nie potrafił zapanować nad emocjami. Po co ten strzał? Zemsta? Na kim i za co?

- No, trzeba tu posprzątać. Nie chciałby, żeby lej przypominał mu, ilekroć będzie tędy przejeżdżał, o tym fatalnym incydencie. Żuki uporały się z zasypaniem dziury i wyrównały piasek. Cichy świergot zegara przypominał, że minęła druga godzina podróży. Postanowił wracać do UNICA. Dość emocji na dzisiaj.

Pędził z dużą prędkością przez pustynię, Żuki sunęły po bokach. Za nimi ciągnął się długi, jaskrawy w ostrym słońcu, warkocz piasku. Pył osiadał i tylko drobne nierówności pozwalały wskazać miejsce, po którym przed chwilą przejechał wielotonowy czołg w asyście dwóch małych tankietek. Rob nagle przypomniał sobie, że Greg usiłował coś powiedzieć zanim kazał mu się wyłączyć. No jasne, przecież on nie mógł zapomnieć o takim drobiazgu jak aktualizacja informacji w mózgach Żuków!

Przejeżdżał właśnie miejsce, gdzie przed godziną tańczył rysując esy-floresy. „Walc na Dromadera i dwa Żuki”. Jechał jeszcze przez chwilę, nagle tknęła go jakaś myśl. Zatrzymał transporter, włożył hełm.

- Greg.

- Tak.

- Co z obiadem?

- W porządku. Chyba będzie ci smakował.

- Dobra, zaraz tam będę.

Wszedł do śluzy. Po chwili był już na zewnątrz. Opuścił przesłonę w hełmie - blask raził oczy. Nawet lepiej. Nikt, nawet Greg, nie zobaczy, że człowiek idzie przez pustynię z zamkniętymi oczami. Wyzaczył sobie pięćset kroków i przeszedł je. Wprawdzie, gdy w końcu otworzył oczy i obejrzał się za siebie, zobaczył, że nie szedł bynajmniej po linii prostej i kroki na końcu stawiał mniejsze niż na początku, ale przeszedł te prawie pół kilometra i nie sprawiło mu to większego kłopotu. Nieprzyjemne i tyle. Może jeszcze za wcześnie na złomowisko?

Przywołał Dromadera i Żuki, ale nie wsiadał już do transportera. Chwycił za uchwyt na korpusie Żuka i biegł za nim aż do UNICA. Nie, nie jest z nim aż tak źle. Każdy może popełnić błąd, rzecz w tym, żeby go nie powtórzyć. Nie powtórzyć!

Obiad był już na stole. Jadł i myślał co sądzi o tej całej historii Greg. Miał nadzieję, że przeróbki nie zmieniły aż tak bardzo psychiki komputera by mógł wyśmiewać błędy człowieka. Nadzieja nadzieją, a co będzie jeżeli Greg zacznie dowcipkować? Wrócić do chłodnego komputera pokładowego? Skasować to, co z takim trudem wprowadzał do pamięci? Na nic. I tak do końca życia będzie uważał, że Greg pamięta, co zaszło na Midanie. Tylko nie chce o tym mówić.

- No i co powiesz na dzisiejszy rekonesans?

- Dobry sprawdzian. Wiemy, że sprzęt nie zawiedzie.

- Niech cię diabli! - Rob szurnął fotelem i odwrócił się od stołu. - Nie musisz mi dawać do zrozumienia, że to ja, ja! zawałam sprawę! I zmniejsz o paręnaście procent współczucie w tym swoim kretyńskim głosie!

- OK. Redukuję współczucie do czterech promili - zadrwił Greg. - A głos jest twój, nie wiem, czy jeszcze to pamiętasz - zjadliwość zdominowała współczucie. - I jeszcze jedno, na taśmie kontrolnej nie ma żadnej akcji zaczepno-obronnej. Odbył się zwykły patrol zakończony odnalezieniem rozbitego Żuka.

Rob po raz drugi tego dnia poczuł zimny pot na plecach. To szaleństwo obdarzać komputer ludzką osobowością! Wali się cały system wypróbowanych działań w kosmosie. Komputer nie może kierować się emocjami, jego siła tkwi w obiektywizmie, chłodnej kalkulacji. Siła, a może i słabość. Ale nigdy

jeszcze mózg elektronowy nie fałszował ŚWIADOMIE rzeczywistości! To się może źle skończyć.

- Hm... no, dziękuję, chociaż... nie wiem, czy to potrzebne. Chyba wycofam się po tym locie.

- Zrobisz, jak zechcesz, ale myślałem, że nie zrezygnujesz, szczególnie po tym marszu na ślepo.

„Jasne! Przecież czujniki medyczne przekazały mu, że coś nie jest ze mną w porządku. Przeanalizował dane i musiał dojść do prawidłowego wniosku”.

- Zobaczymy. Na razie dosyć o tym. Roześlij Żuki po planecie. Wszystkie nierozpoznane obiekty mają pozostać nietknięte. W razie czego natychmiast budzić. Jak statek?

- Gotów do startu. Zmieniłem trzy liny, wymieniłem soczewki i głośniki. To wszystko.

- Idę spać.

Ruszył do wyjścia, w progu zatrzymał się.

- Wprawdzie czuję się jakbym chwalił sam siebie, ale muszę ci powiedzieć, że równy z ciebie facet.

„Co nie przeszkadza, że zaczynam myśleć o twoim unieszkodliwieniu” - dodał już w myślach.

Obudziło go uderzenie w ramię. Poderwał się. Na statku nie było nikogo, kto mógłby go w ten sposób budzić. Kto, u licha...

- Rob, jeden z Żuków trafił na jakiś nierozpoznany obiekt. Jeden olbrzymi pierścień z metalu i cztery mniejsze. Połączone jakąś sztuczną substancją. Zatrzymałem roboty. Obiekt jest martwy. Dać ci tu obraz?.

- Nie, już idę do sterowni.

Wciągając kombinezon uprzytomnił sobie kto mógł go potrząsać za ramię. To Greg puścił w niego silny strumień powietrza z klimatyzatora. „Jaki delikatny - nie powiedział, że nie mógł się mnie dobudzić. Nie podoba mi się to. Nie-po-do-ba!”

Obraz przesłany przez Żuka niewiele wyjaśniał.

- Teraz zobacz, jak to wygląda pod piaskiem.

Widać było wyraźnie jeden ogromny pierścień i cztery mniejsze. Jeden z tych mniejszych znajdował się na samej górze ekranu, drugi przecinał duży okrąg, dwa pozostałe trochę z boku.

- Parametry: duży okrąg - waga 1600 kg, średnica - 4,5 metra, grubość - 60 cm. Wszystkie mniejsze obręcze mają identyczne wymiary. Odpowiednio: 430 kg, 1,8 m, 22 cm. Jakiś bardzo trwałe stop, na Ziemi nieznaną. Te obręcze to wyloty do jakiegoś tunelu. „Tunel” nie jest zasypany na całej długości. Piasek można wybrać. Na razie tyle.

- Na jakiej głębokości jest duży krąg?

- Niecałe trzy metry. Wejście oczyścimy w ciągu dwóch godzin jeśli będą pracowały ciężkie roboty.

- Wyślij je tam.

„Mam półtorej godziny czasu, Kraby wloką się niemiłosiernie. Co jeszcze można zrobić?”

- Niech Żuki utworzą pierścień wokół obiektu. Dromader w gotowości. Dla mnie coś do jedzenia, potem osłona z góry.

Nie bardzo wiedział, co Greg dał mu na to bardzo wczesne śniadanie, przełknął parę kęsów, łyknął jakiś sok. „Dziwny smak? Pewnie Greg dodał coś na wzmocnienie. Albo na uspokojenie”. Udawał sam przed sobą spokojnego faceta, gdy powoli, pedantycznie sprawdzał wszystkie elementy wyposażenia skafandra. Tak właśnie powinien był postępować zawsze, a szczególnie dzisiaj. Równie dokładnie sprawdził Dromadera. Wszystko w jak najlepszym porządku. Wcisnął przycisk, kłapa stopiła się z pancerzem. Gdy na pulpicie zapłonęło równe, spokojne światełko zdjął hełm - miał jeszcze sporo czasu.

„Co to może być? Tunel? Ale dokąd? Może jakiś schron, albo pusta hala produkcyjna? Zaraz, co by to nie było, musi być na Midanie jeszcze coś w tym stylu”.

- Greg.

- Słucham.

- Jeszcze jedną sondę, niech szuka dalej. I parę Żuków.

- Dobra.

Patrzy na gładką powierzchnię planety. Stół. Tylko trochę z lewej ścieżka, którą zostawił jeden z Żuków. „Nie może istnieć na planecie jakiś-tam-tunel. Donikąd. Albo jeden jedyny schron. Muszą być jeszcze inne ślady pozostawione przez... No właśnie, przez kogo? Nie ważne. Na pewno nie przez Ziemiaków. Ślady, muszą być inne ślady.

I nagle wszystko stało się jasne. Takie proste! Ciekawe, czy Greg też się domyślił?

- Halo, Greg!

- Jestem.

- Słuchaj uważnie. Na całej planecie jest jeden, rozumiesz, jeden budynek czy coś w tym rodzaju. Jeden! Co to może być? No?

- Możliwości jest sporo. Najprawdopodobniejsza to ta, że jest to jakieś obserwatorium, stacja badawcza albo baza towarowa czy przeładunkowa. Osobiście stawiam na bazę. To tłumaczyłoby brak jakiegokolwiek aparatury na planecie. Wokół magazynu niepotrzebne są czujniki.

- Niech cię!... Od kiedy to wiesz?

- Mniej więcej od godziny. Ale nie przejmuj się, miałem więcej czasu niż ty. Spałeś jeszcze, gdy ja już miałem te dane.

- Wyłącz się, ty cwaniaczku.

„Chciałeś się zmierzyć z komputerem? No to masz! Niech mu tam. Baza... Może być baza, chyba ma rację. Taki duży hangar, jedno wejście główne, cztery awaryjne, dodatkowe. A utrzymanie aparatury w miadańskich warunkach rzeczywiście jest dosyć trudne. Łatwiej było znać dokładne współrzędne i odkopywać za każdym razem”.

- Greg, hangar jest pusty? Zupełnie pusty?

- Pusty. Tylko przy wylotach piasek.

- Szkoda. Ileż można by się dowiedzieć z takiego składu towarów! Może coś jednak zostało? Jakies notatki, puste opakowania po gumie do żucia, zdjęcia ładnych dziewczyn?

- Ładnych, to znaczy jakich? Czerwone oczy, ucho na giętkiej witce i trzy nogi do samej szyi?

- Dowcip to ty masz jednak przyciężki.

- Zgadnij po kim to?

Rob zaczerwienił się. Zaczynał powoli rozumieć dlaczego mózgi elektronowe obdarzono tylko chłodną inteligencją maszyny. Człowiek miał w tym układzie przewagę, miał intuicję, poczucie humoru i parę innych rzeczy, których brak było komputerowi. Niewątpliwie Greg był ciekawszym interlokutorem jako Greg niż jako mózg pokładowy, ale czy był bezpieczniejszy? Kto zagwarantuje, że człowiek rozwścieczony przez dowcipny komputer nie wygarnie do niego z miotacza?

Na ekranie pojawił się pierwszy Żuk. Rob zwolnił, zobaczył, że Kraby są już na miejscu. „Musiał je nieźle pogonić”, - pomyślał przelotnie i od razu zapomniał o Gregu. Trzasnął w klawisz łączności z sondą. Na ekranie pojawił się obraz widziany z góry, poczekał aż ustali się ostrość. Tych pięć kresek to obręcz, te małe prostokąty - Żuki, te Dromader, a to Kraby. Wyłączył sondę, przełączył Kraby na sterowanie ręczne, ostrożnie podprowadził je do miejsca, gdzie pod trzymetrową warstwą piasku zaczynał się wlot do tunelu. Zatrzymał je.

„Lepiej niech Greg nimi steruje. Ręce mogą być przydatne do innych celów”. Nie wiedział wprawdzie jeszcze do czego, skoro hangar był pusty, ale tak chyba będzie lepiej.

- Niech kopią, tylko ostrożnie.

Przygotował się do natychmiastowego włączenia pola siłowego i patrzył na Kraby. Ostrożnie, jakby się bały obudzić Midanę, wysunęły czerpaki i zaczęły wybierać piasek przed sobą. Nic się nie działo. Płynęły sekundy, minuty, kwadransy. Minęła godzina. Dół był coraz większy. W pewnej chwili czerpaki

cofnęły się. Teraz dmuchawy.

Kraby cofnęły się, jeden zatoczył półkole, drugi wycofał się i stanął obok jednego z Żuków. Rob przestał widzieć cokolwiek, gdy pierwszy Krab włączył dmuchawę. Tumany piachu przesłoniły obraz. Nim zdążył zareagować, Greg przełączył monitor na obraz z radaru. Seledynowy okrąg znajdował się prawie na wprost Dromadera, trochę wyżej i na prawo świecił Krab. Rob przesunął transporter tak, by stał z boku i czekał. Po dziesięciu minutach robot wjechał w lej i zaczął dla odmiany wsysać piasek z wejścia do „bazy”. Pył już osiadł, tym razem Greg pozwolił Robowi samemu przełączyć się na kamerę telewizyjną.

Pierścień był rzeczywiście duży, ale nie tak duży by mógł tam wjechać Dromader. Trzeba będzie poczekać trochę na wyniki zwiadu. Dwa Żuki ruszyły w stronę wykopu, zsunęły się na jego dno i popęzły w ciemne wnętrze. Zresztą tylko przez chwilę było ciemne. Żuki włączyły mocne reflektory, Rob powiększył obraz i wpił się oczami w ekran. Zaraz za, jak go w myślach nazywał, wejściem, tunel rozszerzał się, tworząc dużą halę. Dziwne było to, że ani podłoga, ani sufit, ani ściany nie były płaszczyznami prostymi. Podłoga była przy ścianach lekko zgięta ku górze, sufit z kolei, w kierunku podłogi. Ściany natomiast w miejscu połączenia z sufitem i podłogą wyginały się do siebie. W sumie wyglądało to na prostokąt z czterema zaokrąglonymi rogami. Ściany były koloru szarego, prawie czarnego, gładkie. I tylko tyle można było zobaczyć. Jak daleko sięgało światło widać było to samo - dziwnie zaokrąglone ciemne ściany zlewające się dalej z czernią tunelu. Żuki posuwały się w głąb oświetlając coraz to nowe fragmenty budowli, ale nic nie zmieniało się na ekranie. Nagle zatrzymały się. Od głównej hali odchodziły dwa korytarze - jeden na prawo, drugi na lewo. Jeden Żuk został na miejscu, jego bliźniak ruszył w prawy korytarz. Na drugim ekranie pojawił się obraz przekazywany przez robota. Okrągła kiszka o średnicy nieco mniej niż dwa metry, czarne ściany. I nic więcej. Korytarz skręcił w pewnej chwili w lewo i po paru metrach skończył się. Dalej był tylko piasek. Wsypywał się do korytarza tak samo jak i do wejścia głównego. Żuk zaczął się wycofywać tyłem, zresztą było mu wszystko jedno - przód czy tył. Po powrocie do miejsca skąd ruszył - stanął. Teraz z kolei drugi Żuk ruszył na zwiady w lewy korytarz. Był identyczny jak i prawy, z tą tylko różnicą, że lewy korytarz skręcał w prawo. Koniec też był taki sam - piasek. Minęło paręnaście sekund i oba Żuki kontynuowały marsz po głównej sali. To też nie trwało zbyt długo. Po trzydziestu metrach hala rozdzieliła się na dwie części. Właściwie nie tyle podzieliła się, co ciągnęła się dalej, ale już w formie dwóch rękawów niemal identycznych jak te wcześniejsze, trochę tylko szerszych. „Koniec pewnie jest też taki sam” - pomyślał Rob. I nie mylił się. Dalsze rękawy różniły się od bliższych tylko szerokością i długością - były prawie trzy razy dłuższe.

- Greg. Masz już analizę metalu i tego czegoś, z czego zrobione są ściany?

- Prawie gotowe. Nic ziemskiego. To znaczy niektóre składowe stopu pierścieni znane są i u nas - mangan, chrom, tytan i parę innych. Podobnie ma się sprawa ze ścianami. To jakieś tworzywo sztuczne. Ma fantastyczne dane wytrzymałościowe. Z próbkami chyba można jeszcze poczekać.

- Poczekaj, poczekaj. Najpierw ja sam to obejrzę.

- Pospiesz się.

- Na razie nie ma gdzie się spieszyć.

Oględziny nie wniosły nic nowego. „Podłoga” była twarda jak skała, Rob spróbował ją porysować czubkiem buta. Bez skutku. Nóż również nie wchodził w ścianę.

Zwiedził wszystkie korytarze, posiedział pod jedną ze ścian. Nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. „Można zapytać Grega co on o tym sądzi. Pewnie ma już jakąś koncepcję. W końcu to mózg elektronowy, a nie jakaś kilogramowa bańka szarych komórek. Zapytam go, niech jeszcze raz udowodni, że jest pod każdym prawie względem lepszy”. Wiedział, że nie zapyta. Przynajmniej na razie. To nie był już obojętny komputer-sługa, któremu było wszystko jedno czy jest lepszy od człowieka, czy nie. Greg był

czymś zupełnie innym. Na razie sam pomóżguje trochę. Czasu raczej jest sporo. I tu nastąpiło coś, na wspomnienie czego Rob zawsze się wzdrygał - Greg odczytał jego myśli!!!

Dużo później sprawa się wyjaśniła. Nie było mowy o czytaniu w myślach. Przypadek. Greg powiedział wtedy:

- Rob. Chyba nie mamy jednak zbyt wiele czasu.

Jakby przeproszał za tę informację.

- Jak to „nie mamy czasu!” A te trzy tygodnie? Chyba się wygłupiasz!

- Tym razem bez żartów. Prognoza nie jest zbyt ścisła, albo z tymi cyklami ciszy i huraganu nie jest tak, jak myśleliśmy. Może rok to za mało na poznanie rytmu Midany. W każdym razie, przewiduję huragan trochę tylko słabszy od tego z piątego tygodnia. I nie myślę się. Chyba musimy opuścić planetę.

- Zwariowałeś?! Po tym, co tu znaleźliśmy?

- Możemy nie przetrzymać huraganu, jeżeli będzie trwał dłużej niż dwa miesiące. A to wcale nie jest nieprawdopodobne. Poza tym nie ma mowy o żadnych badaniach w czasie wichury. Ani Żuki, ani Dromader, już nie mówiąc o tobie, nie utrzymają się na powierzchni. A jeśli nawet przetrzymamy wiatr to nie wiadomo ile będzie trwała cisza. Może tylko parę godzin? Możemy tak czekać pół roku i więcej.

„Ma rację. Znowu ma rację”. Gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia. A wyjścia chyba nie było.

- Możemy wystartować i później wrócić?

Wiedział, że to pytanie nie ma sensu.

- Wystarczy na start i lądowanie. I jeszcze trochę zostanie. Ale tego „trochę” nie wystarczy na powrót. Nawet nie wejdziemy w strefę łączności. A raczej wejdziemy, tylko nie za twego żywota.

- Ty oczywiście dożyjesz?

„Po co ta zjadliwość? To nie jego wina. Wściekasz się, bo wreszcie trafiłeś na planetę gdzie jest albo było życie i musisz ją opuścić”.

- Ja dożyję. Oczywiście, że dożyję. A ty możesz poświęcić się dla ludzkości, ale to nie ma sensu. Nie dowiemy się niczego więcej ponad to, co już wiemy. Na Midanie nie ma już żadnych innych podobnych obiektów. Czasu wystarczy na pobranie próbek i resztę badań, zdjęcia, analizy itd. Nic tu więcej nie zrobimy. A rozmyślać możesz w drodze powrotnej.

- Chyba masz rację. Jak zwykle... Wracamy do domu. Niech inni się martwią.

- Zaczynam przygotowania do startu. Możesz powoli wracać.

Nie odpowiedział. Stał przy wyjściu z tunelu nie-tunelu, hali nie-hali. Pierścień miał jakieś rowki na swojej powierzchni, jakieś występy - gwint, czy co? Nieważne. Ma dużo czasu na rozmyślanie. W razie potrzeby każe wykonać model pierścieni. Nawet w skali 1:1. Zrobi sobie cały łańcuszek z tych kółek. I obrączkę, i wisiorek, i kupę jeszcze innych rzeczy. Może to pomoże rozwiązać zagadkę.

Do wykopu zjeżdżały nowe Żuki. Nic tu po nim. Wsiadł do Dromadera, włączył autoster. Po powrocie na statek i wyjściu z komory zrzucił skafander, zostawił go na podłodze i poszedł pod prysznic. Stał pod strumieniem ciepłego powietrza, po biczowaniu się zimną wodą, gdy w głośnikach odezwał się głos Grega:

- Za trzynaście minut startujemy. Wiatr coraz silniejszy. Chcesz spojrzeć jeszcze raz na swoją córkę chrzestną?

- Już idę, synku.

Miał nadzieję, że jego głos nie zdradził w jakim znajduje się stanie. Taka szansa i trzeba z niej zrezygnować! Pech. Największy życiowy pech.

Przeszedł do sterowni. Rzeczywiście wiatr był coraz silniejszy. Tumany piasku chwilami przesłaniały obraz z kamer na panczerzu.

- Schowaj kamery. Nie ma na co patrzeć. Startujemy.

Gdy Midana była już drobną świecącą plamką, nie wytrzymał.

- Co to było twoim zdaniem?

- Zobacz.

Na ekranie pojawił się znajomy już obraz. Jeden duży krąg i cztery mniejsze. Pięć zielonkawych kółek. Rozerwany łańcuszek. Zaraz... no tak! Sfotografowane pod innym kątem. Tamto ujęcie było inne.

- Z innego miejsca, co? Myślę i myśl...

Urwał. Nie, to chyba niemożliwe!

- Greg! Co to jest, u Boga Ojca?!

- To? To jest rentgenowskie zdjęcie twojego skafandra.

Szata Dejaniry Eugeniusz Dębski

Naprawdę przestraszyłem się dopiero wtedy, gdy zobaczyłem kropelkę potu spływającą po szkłe okularów. Dotychczas wcale nie odczuwałem gorąca mimo kilkugodzinnego stania na słońcu, więc albo zacząłem się pocić z narastającego stopniowo strachu, albo powłoka nie wytrzymała walącego z nieba żaru. Albo nie chciała wytrzymać.

Nie, na pewno wytrzyma, przecież to już trzydziesty siódmy test. Chociaż... może nie tylko mózg sfiksował? Żebym mógł sprawdzić co z Linkiem! A co zresztą może być, pewnie też tak sterczy jak ja. Przecież coś by zrobił gdyby mógł. Spróbowałem jeszcze raz popatrzeć na Linka, przesunąłem gałki oczne maksymalnie w prawo, ale gdzie tam! Spojrzałem dla odmiany w lewo, potem jeszcze raz w prawo i trochę w dół. Jest! Zobaczyłem cień na tym cholernym piachu, jest! Stoi nieruchomo. Jasne. To nie przypadek, zorganizowana akcja. Tylko jak to się mogło stać? Ten dumy plastik chyba sam tego nie wymyślił! Ktoś musiał w tym maczać paluchy. Ostrzegałem, cholera. Czułem, że to śmierdząca sprawa. Zbyt wszystko było piękne, zbyt gładko szło. Znaleźli sobie idealnego sługę, który tylko myśli jakby tu przysłużyć się człowiekowi! Durnie. A największy dureń to Eliot. Nie, nie Eliot, największy cymbał to ja! Tak się dać wkopać! A nie chciałem. I co z tego, mogłem teraz tylko pocieszać się, że miałem rację. Nie mogłem nawet powiedzieć tego Eliotowi, co tam Eliotowi! Link stał tuż obok i też nie mogłem pochwalić się swoją przenikliwością. Trzeba było wcześniej, wtedy, gdy wróciłem z ostatniego patrolu. Wtedy...

Bardzo mnie wtedy zdziwiło to wezwanie do anonimowego szefa dziewiątej sekcji Centralnego Instytutu Nowych Technologii. Byłem już na urlopie, miałem zaklepany pobyt w nowiutkiej starej karczmie na brzegu jeziora, wystane wszystkie niezbędne dla standardowej nudy akcesoria: wędki, ubrania, łódź itd., słowem, zapowiadały się cztery tygodnie niezmiernie ziemskich wakacji. Eeech! Należało mi się, szesnaście miesięcy sam na sam z ekranami i próżnią. A tu masz! Czego oni ode mnie chcą? Polazłem.

Nie wiedziałem, że sekcja ta była aż tak ważnym oddziałem CİNTE. Wartownicy, sprawdzanie wezwania, kody, odciski palców. Na korytarzach co piętnaście metrów przegrody pancerne. Co tu pichcą? Prowadzący mnie do szefa strażnik wskazał drzwi do pokoju na końcu korytarza, odwrócił się i poszedł do wyjścia. Pchnąłem szarą płytę, ale nie otworzyła się, natomiast rozjarzył się kolejny dekodery. Przyłożyłem żeton do pulsującego różowo prostokątka na drzwiach, po sekundzie światło zmieniło się na zielone, zabrałem żeton i nacisnąłem w tym miejscu kciukiem. Zagłębił się jak w gęstą ciecz, poczułem łaskotanie, wyciągnąłem palec i wreszcie drzwi otworzyły się.

W progu stał Eliot, musiał wiedzieć, że doszedłem już do jego pokoju i czekał aż zakończę procedurę z tymi kretyńskimi drzwiami. Wyciągnął do mnie dłoń.

- Nooo, nareszcie stary! Długo tu szedłeś..
- Nie wygłupiaj się, przecież to nie ja wymyśliłem ten kordon wokół tego gabinetu.
- Ja też nie, ale co robić - machnął ręką w głąb pokoju. - Może wejdziemy dalej - odwrócił się i poszedł pierwszy. W rogu stał maty stolik, dwa fotele. Pomyślałem, że przygotował się na to spotkanie. No, no! Stawny uczonej i skończony już właściwie kosmonauta. Przecież nie chodzi mu o wspólny dla nas obu fragment dzieciństwa?

Obserwowałem go, gdy nalewał jakiś alkohol do szklanek. Zerknął raz na mnie i zmieszał się trochę,

gdy zobaczył, że zauważyłem to ukradkowe spojrzenie. Podał mi moją szklankę i wbił się w fotel.

- Gadaj, co u ciebie?

- Daj spokój. Przecież nie wezwałeś mnie tu na rozmówkę towarzyską. Wielki Szef Dziewiątej Sekcji CINTE musi wiedzieć wszystko o osobniku, którego raczył wezwać przed swoje jasne oblicze. I, oczywiście, nie możesz mi nic powiedzieć o swojej pracy, zresztą nie interesuje mnie to. Jak więc widzisz - pogawędka nie wyjdzie. Lepiej od razu przystąp do rzeczy.

- Hm - podniósł szklaneczkę do góry. Przez chwilę z wyraźną satysfakcją przyglądał się mieszance o intensywnie pomarańczowym kolorze. Kolor rzeczywiście był ładny.-Tak myślisz? No więc masz rację co do pierwszego punktu. Wiem co nieco o tobie. Ale mylisz się w pozostałych dwu punktach. Za chwilę i ty będziesz wiedział sporo o mojej pracy. I powinno to ciebie zainteresować.

- Nie wiedziałem, że z moich akt można się dowiedzieć czy jestem ciekawski czy nie. Są aż tak szczegółowe?

- Zgadłeś. Nic dziwnego zresztą, jest tam też fragment o twojej tak zwanej intuicji. I o, nie gniewaj się, wręcz małpiej ciekawości.

- Jeżeli są tam takie rzeczy, to musi być też coś na temat urlopu, który właśnie zacząłem - łyknąłem wreszcie i ja koktajlu Eliota. Noo!

‘- Oczywiście, że jest. Ale to nie problem. Urlop może poczekać, a poza tym, jeżeli dojdziemy do porozumienia, to i tak około dwu miesięcy spędziłyś na Ziemi.

- To znaczy, że w końcu jednak wyląduję w kosmosie?

- Oczywiście. My zatrudniamy tylko specjalistów, a ty jesteś specjalistą właśnie od kosmosu.

- Nie macie własnych kosmików?

Wzruszył ramionami. Pewnie. Głupie pytanie, na pewno mają.

- Mamy. Ale ze wszystkich znanych mi kosmonautów, kosmików, jak ich nazywasz, ty posiadasz najwyższy współczynnik nieobliczalności.

- Cooo? Współczynnik czego? - teraz mnie zaskoczył.

- Współczynnik nieobliczalności. Nie najzręczniejsza nazwa, ale dopiero niedawno zaczęto to obliczać i brać pod uwagę. Nie martw się, z czasem znajdzie się coś dźwięczniejszego. O! Może współczynnik Hoggara?

- Bez wygłupów z moim nazwiskiem, dobrze? Lepiej powiedz, co to takiego?

- To znaczy, że jesteś cholernie ciekawski, impulsywny, masz zdolność przewidywania, czyli tak zwaną intuicję, dobrze rozwinięte poczucie humoru, spryt i jeszcze parę cech, które nie są tak dobrze wykształcone u innych kosmików. To chłodne automaty, szybsze, pewniejsze, niezawodniejsze od ciebie. I młodsze. Nowe pokolenie. Może dlatego nie posiadają tych wszystkich cech. A do testowania moich nowości bardziej nadają się goście tacy jak ty. Dlatego też mam dla ciebie propozycję, właściwie dwie. Sądę, że przyjmiesz pierwszą. Wtedy sprawa bardzo się uprości.

- Nie lubię prostych spraw, ale spróbuj.

- Proponuję ci przejście do mojej sekcji.

- Nie - od dłuższej chwili czułem co się święci i zdążyłem już przemyśleć odpowiedź.

- Szybko podjąłeś decyzję.

- Moje reakcje są spowolnione, ale bez przesady. !

- Mam nadzieję, że z czasem zmienisz zdanie, ale to później. Oto wariant numer dwa mojej propozycji. Chcę, żebyś przetestował dla mnie jedną rzecz.

Jeszcze lepiej. Byłem pewien, że wokół tej właśnie rzeczy kręci się cała ta rozmowa. Potrzebny byłem Eliotowi do jednego tylko zadania, ale za to bardzo byłem potrzebny. Co to za robota? Skoro chce mnie kupić mimo tych wszystkich cech, które wyłączyły mnie z dalekiego zwiadu, a właściwie dla tych

właśnie cech? Cholera? Miał rację z tą małą ciekawością. Zaczęło mnie to diabelnie intrygować. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że mój ewentualny nowy szef nie piśnie słówka, dopóki nie zgodzę się na jego propozycję. Postanowiłem jednak spróbować.

- Co to za robota?

- Nie bądź śmieszny. Przecież wiesz, że nic ci nie powiem. Nie powinienem nawet zdradzić, że pojemnik z dokumentacją ma malusieńką złotą gwiazdkę na pokrywie. Tuż nad napisem „TOP SECRET”. Mam nadzieję, że już zapomniałeś to co ci powiedziałem?

Wypuściłem ze świstem powietrze, które przed chwilą wciągnąłem do płuc. Ooo! Niech to! Miałbym zmarnować taką okazję? Ja? Zdołałem przez chwilę zachować nieruchomą twarz. Ale oczywiście byłem już zdecydowany.

- Jakie warunki?- zdobyłem się na jeszcze jedno pytanie, bez sensu zresztą, bo odpowiedź wcale mnie nie interesowała.

Eliot zarechotał głośno, zwijał się w fotelu i walił rękami w uda. Chwilę patrzyłem na niego zdziwiony, potem też zacząłem się śmiać. Zarykiwaliśmy się przez chwilę, wreszcie, po serii chichotów, uspokoiliśmy się.

- To co, wypijesz jeszcze jednego z przełożonym?

- Jasne. Eliot, te opinie fachowców w moich aktach rzeczywiście są absolutnie pełne. Wiesz o mnie wszystko, mimo, że nie widzieliśmy się od szkoły. Wiedziałaś, że wezmę tę robotę?

- Byłem przekonany w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach. Gdybyś odmówił, mówię ci to w zaufaniu, wnioskowałbym o rewizję wyników twoich ostatnich badań lekarskich.

Wstał i raźnie podskoczył do wnęki z butelkami. Pomyślałem, że sądząc po wyraźnej uldze, z jaką przyjął moją zgodę, nie był aż taki absolutnie pewien wyniku pertraktacji. Wrócił i podał mi naczynie z rubinowym dla odmiany płynem.

- Spróbuj tego - łyknął sporo. Mlasnął. Ja też pociągnąłem.

- Niezłe. Jeżeli choć raz w tygodniu będziesz mnie zapraszał do swego gabinetu na drinka, to zgadzam się nawet na szorowanie zbiorników po skwaśniałym białku - delikatnie przypomniałem, że czekam na otwarcie kart.

- Białko nie kwaśnieje - rozwalił się wygodnie w fotelu. - Ale wiem, co chciałeś przez to powiedzieć. - Sięgnął pod blat stolika i wyjął stamtąd małe prostokątne pudełeczko z kilkoma przyciskami. Nacisnął po kolei dwa guziczki. Jedyne okno zasłoniła roleta, zrobiło się ciemno. Na pustej ścianie po mojej lewej ręce biało rozjarzył się ekran. Eliot spojrział na mnie.

- Uwaga! - nacisnął jeszcze jeden przycisk.

Nic wielkiego nie wydarzyło się, po prostu ekran zabarwił się na żółto. Eliot przycisnął guzik jeszcze raz. Tym razem ekran zszarzał. I nic więcej. Bocowssky wyłączył rzutnik, w pomieszczeniu rozblęskło światło.

- To jest właśnie twoja robota - wyraźnie kpił z mojej ciekawości.

- Rozumiem. Mam siedzieć i mówić jaki kolor widzę. Reszta ludzkości cierpi na daltonizm, a ty chcesz ją z tego wyleczyć. Wiedziałem, że to jakaś bomba, ale nie przypuszczałem, że to coś aż tak ważnego. - Wychyliłem się z fotela i poklepałem go po kolanie. - Dziękuję ci, stary.

- To zaczęło się bardzo dawno temu - skończyły się żarty, Eliot zaczął mówić serio. - Od bakterii, które miały pożerać śmiecie i produkować z tego tlen. Potem były dziesiątki lat prób, doświadczeń, błędnych koncepcji, sukcesów, aż w końcu doszliśmy do tego - znowu nacisnął dwa guziki. Na ekranie pojawił się jakiś pojemnik z żółtą masą. Zrozumiałem teraz, że pierwsze zdjęcie, jakie mi pokazał to była właśnie ta masa w dużym zbliżeniu. - To są, powiedzmy, bakterie skrzyżowane z polimerami, które gdy chcą tworzą dowolnego kształtu powłoki. Powłoki ochronne, niesłuchanie wręcz trwałe i odporne na

wszystko, co można sobie wyobrazić: temperaturę, ciśnienie, kwasy, promieniowanie, uderzenie, zgniatanie itd., itd. Mają fantastycznie rozwiniętą zdolność regeneracji, a więc gdy któraś nie wytrzyma katowania, natychmiast jej miejsce zajmuje inna. Właściwie ich odporność polega na tej błyskawicznej regeneracji. No i produkują tlen. Nie tak może dużo, ale dziesięć litrów bakterii wystarczy by człowiek miał czym oddychać w zamkniętym hermetycznie pomieszczeniu.

- Chyba trochę przesadziłeś - Z czego będą wytwarzać tlen?

- Z potu. Z moczu. Ze śliny. Możesz poświęcić ubranie, a gdybyś jeszcze miał parę garści piasku - mniem, mniem! - podniósł do góry brwi i pokiwał z zachwytem głową.

Zerwałem się z fotela, podskoczyłem do niego z wyciągniętą ręką. Złapałem jego dłoń i potrząsałem nią w uniesieniu.

- Eliot! Stary druhu! Już wszystko wiem! Potrzebny ci jest facet ciekawski, przewidujący i dowcipny, tak? - coś chciał powiedzieć, ale nie dałem mu dojść do słowa. Teraz ja mogłem choć trochę się odegrać.

- Zamkniesz mnie z kubelkiem swoich dzidziuszków, a ja będę musiał przewidzieć na co one aktualnie mają ochotę: garść włosów, lewą nogawkę, trochę siusiu czy poleżeć na moich spoconych plecach. I będę im opowiada) dowcipy. I grzebał z ciekawością w kubelku paluchem. Oooo!

Puściłem jego rękę, złapałem się za głowę i zacząłem kołysać w ekstazie. Jęczałem cichutko w bolesnej rozkoszy.

Eliot w końcu połapał się w tej scenie. Uśmiechnął się.

- No już dobrze, dobrze. Uspokój się. Wiem, że chcesz wywrzeć jak najlepsze wrażenie na swoim nowym szefie. Możesz być pewien - masz poczucie humoru. Ta, tak mi potrzebna, część twojej osobowości została ci zaliczona. Przyznaj się - spadł ci kamień z serca? No. Jeśli równie dobrze masz rozwiniętą zdolność jasnowidzenia, to przestanę ci cokolwiek opowiadać. Przecież wiesz już wszystko.

Znowu był górą, wpakowałem się w fotel zdecydowany czekać potulnie aż powie co ma do powiedzenia.

- Już będę grzeczny. Mów.

- Taka powłoka jest idealnym tworzywem na przykład na skafander. Rozumiesz? Chroni przed żarem, mrozem, trującą atmosferą. Produkuje tlen, więc niepotrzebne butle. Nie musisz się wlec w ciężkim skafandrze ciśnieniowym, idziesz sobie w lekkiej, elastycznej, miękkiej, słowem idealnej powłoczce i kontemplujesz widoczki. Wiesz, co musisz tylko zrobić? Ogolić się dokładnie. Cały. To wszystko. I pokonać przyzwyczajenie do ciężkiego, „pewnego” skafandra.

To rzeczywiście była bomba. Takie ubranko rozwiązałoby masę różnych problemów. Genialne. Zaraz...

- Chwileczkę, a jak zmusisz te bakterie, żeby siedziały grzecznie na jakimś facecie i chroniły przed wszystkimi plagami?

- Powiedziałem, że są to bakterie, które gdy chcą... Gdy chcą! Patrz - znowu na ekranie pojawiła się szara masa. - Te żółte to tylko wykonawcy, a to jest dopiero cud! To jest mózg! On wydaje polecenia. Ma zadane parametry potrzebne człowiekowi do życia: temperaturę, ciśnienie, mieszanka tlenowa. I w zależności od warunków otoczenia reguluje grubość powłoki, ilość tlenu itd. Ciebie nic to nie obchodzi. O kosztach produkcji tych skafandrów w ogóle nie ma co gadać.

- Czy ty chcesz mi wcisnąć, że to coś będzie służyło człowiekowi? Że to jest jedynym jego celem? A czy taka kolonia nie chciałaby, na przykład, strzelić sobie jednego zamiast szwendać się po jakiejś zakichanej planecie i martwić czy Cleo Hoggar nie robi sobie przypadkiem krzywdy?

- Posłuchaj, ta powłoka, nawiasem mówiąc nazwaliśmy ją Yelli. Niczego nie robi bez polecenia mózgu...

- A mózg?

- Daj mi skończyć. To, co mózg ma robić, to dla niego betka. Jest wykorzystywany w jakichś siedmiu procentach. Ale nie może niczego zrobić sam. Jest sterowany, tak jak najpodlejszy komputer, ale ma niesłychanie proste, prymitywne rzecz można, programy. I to tylko trzy. Program „Ubrać”, program „Trwać”, program „Zdjąć”. Nic więcej nie robi. Zabezpieczyliśmy się, spokojna głowa. Poza tym, to nie jest inteligencja typu ludzkiego czy nawet zwierzęcego, już prędzej maszynowego, chociaż też nie za bardzo. W każdym razie nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Chyba wie co mówi.

- A po co w takim razie najwyższa klauzula tajności?

- Tu już nic ci powiedzieć nie mogę - nagle odwrócił się od ekranu i mruknął: „Na tej cholernie brudnej Ziemi coraz trudniej oddycha się”. Po sekundzie już patrzył na mnie oczami niewiniątka.

A więc to tak?! Najpierw kosmos, potem... A ja mam zacząć tę przebieranek!

Eliot wtedy pomylił się. Spędziłem na Ziemi nie dwa, lecz cztery miesiące, nauczyłem się bez wstępu włazić w tę cholerną maź. Na pamięć wiedziałem, który z trzech guzików na mikrotablo odpowiada ubraniu czy rozebraniu. Nie dławilem się już, gdy wargi sklejała tłusta i ciepła masa, która na dodatek wciskała się później do nosa. Nauczyłem się oddychać tylko ustami, powietrzem dopływającym dwoma zgrubieniami w kącikach warg. Opanowałem Yelli, ale wcale jej nie polubiłem. I nie przestałem nieufnie odnosić się do tego dziecka Eliota.

I to ja w końcu miałem rację. Ale cena, jaką miałem zapłacić, nie pozwalała mi cieszyć się z tego zwycięstwa. Mogłem tylko wyobrazić sobie jak Eliot, zaniepokojony przedłużającym się milczeniem, dociera tutaj za parę miesięcy i znajduje... No właśnie, co znajdzie?

Trzydziesty siódmy test w warunkach gorącej planety rozpoczął się bez żadnych odchyień od normy. Depilacja, kąpiel, mocowanie sterownika. Link skinął głową - wszystko w porządku i nacisnął zielony przycisk. Patrzyłem jak z pojemnika wylewa się mózg i szybko wpełza na Linka. „Usadowił” się na swoim miejscu pod pachami, a po chwili z innego, większego naczynia wylazła powłoka i dokładnie pokryła Linka. Znowu skinięcie. Jest tlen. Teraz ja. Powtórzyłem operację i po chwili, po sprawdzeniu przez tester i umocowaniu małych radiostacji, wyszliśmy na powierzchnię globu. Siedemdziesiąt stopni w cieniu, dwukrotne ziemskie ciśnienie, ciężenie prawie rodzime. Kultura.

- Link, gdzie dzisiaj pójdziemy?

- A co to za różnica, gdzie chcesz.

- No to prosto.

- O'key. Ty pierwszy.

Szliśmy w takim szyku prawie godzinę. Nie tylko szliśmy, trochę biegliśmy, trochę leżeliśmy. Nie rozmawialiśmy prawie wcale, Link należał do tej nowej, niezawodnej generacji kosmitów. Milczek, jak oni wszyscy. Znakomicie przygotowany do samotnych zwiadów, ale jako kompan dla mnie... Właśnie schodziliśmy z jakiegoś pagórka, gdy usłyszałem jakiś jakby jęk, chciałem się odwrócić, ale było już za późno. Stwardniałem na kamień. Inaczej tego nie można określić. Skafander zmienił się w kamienną skorupkę grubości paru milimetrów i twardości diamentu. Rzuciłem się wewnątrz skafandra, ale przekłeta Yelli przylegała jak skóra. A jak się okazuje wewnątrz skóry zupełnie nie ma luzu. Tego uczucia nie da się opisać, niby stałem, ale ciężar ciała nie spoczywał na stopach, jakoś dziwnie rozkładał się na całe nogi. Oczywiście dopiero potem zacząłem analizować swoje położenie, najpierw cholernie się zdziwiłem. Tym bardziej, że dotychczas wszystko szło doskonale. Yelli spisywała się na medal i nagle - masz! Nie mogłem nic zrobić, nie mogłem dotknąć nawet sterownika. Usiłowałem rozkołysać bryłę, w jaką się zamieniłem - może wstrząs przywróci stan sprzed „skrzepnięcia” Nic z tego nie wyszło, nie zdołałem się wywrócić. Przestałem się szarpać, zacząłem główkować. Niewątpliwie zepsuł się sterownik. Tylko dlaczego? I dlaczego równocześnie u mnie i u Linka? To nie mogło być przypadkowe.

Postanowiłem porozumieć się z kolegą, wprawdzie nie mogłem również poruszać ustami, ale chyba da się wymruczeć parę słów. Dziwne, że szybki Link na to nie wpadł.

- Jiink, jiink, czo u ciedzie? Jink! Czo szie ształo?

Cisza. No, to tylko brakowało jeszcze, żeby radiostacja wysiadła! Co za pech. Usiłowałem spojrzeć na nadajnik i wtedy wystraszyłem się po raz pierwszy. Yelli dokładnie pokryła cały aparat, co gorsza, antenę. Dla pewności uformowała na krótkim pręcie coś na kształt frędzli, skutecznie tłumiących wszelkie sygnały.

„Spokojnie. Spokojnie, trzeba wziąć się w garść. Inaczej nic z tego nie wyjdzie. Spokojnie. Czego ta zaraza może chcieć? Nieee, no tak nie można! Czego ona może chcieć! Przecież to-nie jest coś, co może chcieć. Czy komputer może czegoś pragnąć? A Yelli nie jest nawet komputerem. To po prostu prymitywna trójzadaniowa maszyna biologiczna. Zresztą, gdyby nawet czegoś chciała, to i tak w życiu nie zgadnę o co jej chodzi. Mimo mojej, tak dobrze rozwiniętej, zdolności przewidywania. Och, ten Eliot! Gdybym mógł go teraz dostać w swoje ręce!” Zgrzytnąłem zębami. Oczywiście o tyle o ile mogłem poruszyć szczękami.

Mijał czas, a ja wciąż stałem jak posąg. Pewnie ładnie się zmumifikuję w tym kamiennym całunie.

Nagle zobaczyłem tę kropelkę potu na szkle okularów. I wystraszyłem się po raz drugi. Drugi i ostatni. Bo potem bałem się już przez cały czas. Nieomal mdlałem z ohydneho, pełznącego po całym ciebie, zimnego jak ciekły tlen, strachu. Ta kropla potu znaczyła, że Yelli zdychała. A po niej ja. My. Nie potrafiłem spokojnie rozważyć czy rzeczywiście robi się goręcej, czy pocę się bo ogarnęła mnie panika. W środku, w skafandrze dygocąca galareta, a na zewnątrz spokojny - o ironio! - jak gładz facet. Nawet ręka mi nie drżała, miałem ją w zasięgu wzroku, żółtą i nieruchomą. Nagle wydało mi się, że drgnęła. Ucieszyłem się jak diabli. Może wszystko się ułoży?

To nie ręka drżała, to ruszyła się Yelli. Na przedramieniu powstał jakby wir, w środku leja powłoka stawała się coraz cieńsza i cieńsza. Patrzyłem na ten krążek wielkości kuleczki do bolca i czekałem na ból. Nawet nie tak mocno zapiekło, mały krążek skóry tylko przez chwilę był narażony na działanie promieni słonecznych. A potem Yelli znowu pokryła całą rękę.

„No to już zupełnie nic nie rozumiem. O co tu chodzi? Przecież... przecież ona z premedytacją mnie straszy! Ta cała awaria to nie przypadek, to, wzorowo przygotowana akcja. Tylko czego ona chce?”

Poczułem nagle, że mogę poruszać prawą ręką. To przyszło nagle, bez żadnego sygnału czy ostrzeżenia. Mogłem ruszać ręką. Spróbowałem dosięgnąć antenę i oczyścić ją z frędzli. Ale były twarde jak granit, mogłem co najwyżej złamać metalowy pręt. Zrozumiałem, że Yelli nie tego ode mnie oczekiwała.

„Ułóżmy to w jakimś porządku. Dostaję wyraźne znaki - oparzenie, „odtajanie” ręki, twarde frędzle na antenie. Można przyjąć, że uwolnienie ręki to pochwała... ale jak ją rozumieć?”

Tak samo nagle jak przedtem odzyskałem władzę w lewej ręce Nie sięgałem już do anteny, widocznie nie o to szło. Miałem dwie sprawne ręce i nowy materiał do rozmyślań.

„Tabak... Wyraźnie daje mi znaki”. Nagle zrozumiałem wszystko. I Yelli błyskawicznie zareagowała. Runąłem na piasek jak rzucona niedbale szmata. Leżałem chwilę zanim przypomniałem sobie o Linku, przewaliłem się na bok, żeby zobaczyć co z nim. Stał jeszcze i patrzył na mnie. Musiałem przyznać, że zaimponował mi jego spokój. Facet na poziomie, ale gdyby nie ja... Przestałem na niego patrzeć, byłem pewny, że i jego uda mi się „zmiękczyć”. Bo ja już wiedziałem o co chodzi Yelli, a to, że mnie uwolniła było dowodem na korzyść mojego rozumowania. Pogimnastykowałem się trochę i gdy uznałem, że mogę już chodzić pokuśtykałem do Linka. Anteny, moja i jego, były czyste.

- No co, idziemy do domu? - to był mój triumf i nie mogłem się powstrzymać, by nie pokazać mu tego.

- Idź sam, ja jeszcze trochę postoję. Teraz jest lepsze słońce. Wyobrażasz sobie jak się będę podobał bladym ziemskim dziewczynom?

Ma klasę. Nie łamię się. Musiałem to przyznać.

- Dobra, dobra. Ja tu jestem na etacie humorysty. Teraz serio, albo zaraz będziesz wolny, albo przyjadę po ciebie transporterem. Jest w każdym razie szansa na happyend - klepnałem go w skamieniałe ramię.

- Czy... ty... - nie dokończył.

- Tak - nie miałem w tej chwili ochoty na dłuższe dyskusje. W końcu nie siedzieliśmy jeszcze w swoich fotelach na statku. Link nagle zachwiał się, zrobił dwa czy trzy kroki na uginających się nogach, ale nie upadł tak jak ja. Pewnie, przecież to przedstawiciel superkosmików. Dobra, grunt, że możemy wracać.

- Jak się czujesz? Możesz iść?

- Chwileczkę, nie jestem w najlepszej formie - spodobało mi się, że nie rznął jakiegoś bohatera, był zmęczony i nie ukrywał tego.

On też wykonał parę skłonów, parę przysiadów, parę razy podskoczył w miejscu, ale w przeciwieństwie do mnie zakończył to wszystko saltem w tył.

- No to walimy do statku.

Ruszyliśmy najpierw wolnym krokiem, potem, w miarę odzyskiwania sił, coraz szybciej, aż w końcu, nie umawiając się wcale, zaczęliśmy biec. Chyba baliśmy się, że Yelli znowu robi nam psikusa.

Nic się nie stało, dobiegliśmy do statku bez przeszkód, szybko odwaliliśmy oczyszczanie w komorze wyjściowej i przeszliśmy do szatni. Teraz, gdy nie bałem się już o swoje życie, ciekaw byłem czy Yelli... Ale nie, ona też była w porządku. Poczekwała na sygnał „Zdjąć”. A przecież mogła spłynąć nie czekając na nasze polecenie.

- Co teraz robimy? - Link jednak niecierpliwił się.

- Ja idę wziąć prysznic.

- Po co? Przecież jesteś dokładnie tak samo czysty jak przed wyjściem, pot pochłania Yelli...

- Ty tego nie zrozumiesz, ty jesteś automat, robot. A robotom wszystko jedno co je pokrywa - farba, smar, woda czy...

Pół godziny później zawołałem go do jadalni. Przy obiedzie wyjaśniłem to, co sam wiedziałem.

- Yelli jest dużo mądrzejsza niż sądził Eliot. Ona chce, żebyśmy ją tu wylali. To będzie jej planeta, może tylko na razie. Może później ruszy na podbój innych, nie wiem. My mamy zostawić ją tu. To wszystko - zapchałem usta jedzeniem i żułem metodycznie.

- Jak do tego doszedłeś? - on też wsuwał z apetytem.

- Ona... - łyknąłem ostatni kęs - doskonale słyszy ludzkie myśli. Zapewne plan powstał już na Ziemi, ale wtedy udawała, że nie może nic zrobić bez polecenia sterownika. A tu już nie musiała tego robić. Postawiła sprawę jasno. I bardzo fair wobec nas. Mogła po prostu spłynąć na piasek. Może to znaczy, że nie chce wojny z człowiekiem? - łyknąłem soku. - A jak się domyśliłem? Dawała mi aż nadto czytelne znaki.

- Ale...

- No nie bądź tumanem. Ja myślałem co robić, a Yelli odpowiednio na to reagowała. Chwaliła mnie albo ganiła. A jeżeli chcesz zapytać dlaczego wybrała właśnie mnie - to nie wiem. Zapytaj ją.

Temat został wyczerpany. Automaty wyniosły pojemniki z Yelli na zewnątrz. Obserwowaliśmy na ekranach jak wypełzała na grunt. Rozlała się dużą żółtą kałużą na piasku, stapiając się prawie z otoczeniem. Automaty wróciły, mogliśmy startować - Ale jeszcze jedna sprawa nie dawała mi spokoju.

- Link, przejdź się do szatni, co? - podniósł brwi ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział.

Wrócił wyraźnie poruszony.

- Cleo, tam zostało trochę Yelli. Leży na stole.

Właśnie tego się spodziewałem. Poszliśmy tam razem. Rzeczywiście leżała sobie na stole. Takie małe żółte ciasteczko z kropką szarego kremu.

- Co z nią zrobimy?

- A co byś chciał?

- No, nie wiem. Możemy wyrzucić.

- To na nic, takich ciastek może być na statku sto. Przecież jej nie pilnowaliśmy.

- Do diabła! Powiedz mi wreszcie co tu jest grane?

Nie odpowiedziałem. Skąd mogę wiedzieć? Może chce zawiadomić resztę, że akcja zakończyła się pomyślnie. A może chce nauczyć się jak należy walczyć z ludźmi? Yelli doskonale słyszała moje myśli, ale nie powiedziała „tak”. Nie powiedziała też „nie”.

Życie w rytmie negatywnym *Eugeniusz Dębski*

Dopiero czwarty sygnał budzika spędził Tima Patterby z wygodnego łóżka. Rzecz jasna cały piękny plan diabli wzięli. Nie zacznie, tak jak to sobie obiecywał wczoraj, dnia od gimnastyki, nie uzbiera paru Punktów Pozytywnych, ot, tak - „na dobry początek”. I, co gorsza, niezbyt się tym wszystkim przejął: takie postanowienia nie były nowością w jego życiu. Oczywiście, ani razu nie udało mu się zrealizować zamierzeń z poprzedniego dnia. Pech, czy co? Przecież inni jakoś się dostosowali, mają całkiem ładne Konta Pozytywne, mogą brać urlopy i leniuchować nawet po kilka dni, a poza tym chyba nikt nie ma tak niskiego WE jak on. Cholerny świat!

Powlókł się do łazienki. Nie miał już czasu na ręczne pompowanie wody, musiał skorzystać z automatu, to samo z goleniem - do szesnastu Punktów Negatywnych za budzenie doszło jeszcze trzydzieści. Zresztą, takie późne wstanie pociąga za sobą całą serię: woda, winda, subikar... Nie sposób się z tego wyplatać, trzeba by raz wstać wcześniej. Tim był pewien, że kiedyś mu się to wreszcie uda. Ooo! To będzie piękny dzień - cała seria pozytywów, jakieś małe, zupełnie malutkie szaleństwo, wcześniej spać, WCZEŚNIEJ! Następnego dnia wstanie na pierwszy sygnał budzika... I tak wejdzie w ten cudowny rytm, bez ciągłego pośpiechu, niepowodzeń i stresów. I najważniejsze - Lucy! Skończy z Lucy! Eeech!

Marząc tak, nie tylko nie nadrobił chociażby części opóźnienia, ale jeszcze je powiększył. W rezultacie, w przystępie rozpaczy, skorzystał z kilku jeszcze automatów-masaż, karfa, tost, czyszczenie ubrania i butów. No i nastukało prawie dwieście punktów. Na dodatek zapomniał sumatora, dopiero drzwi przypomniały mu o tym. Poważne wykroczenie - jeszcze czterdzieści PN.

Koniec! Nie wygrzebie się z tego za diabła! Nie miał już zbytniego wyboru - musiał zjechać windą, nie było mowy o spacerze do przystanku subikara albo przebieżce do biura. Właściwie, to Tim oszukiwał sam siebie - spóźnienie do pracy dawało mniej negatywów niż korzystanie z windy i przejazdka subikarem, wołał jednak brnąć dalej w negatywy. Wprawdzie zmusił się do przebiegnięcia kilku kroków, ale gdy zerknął na sumator... Rany boskie! Tylko cztery pozytywy?! Cholera! I opłacało się biec? Inny to robi paręnaście kroków i już ze trzydzieści Punktów Pozytywnych, a on? PN to łapie bez trudu, ale żeby nazbierać PP... Co to, to nie! Ten przekłety Współczynnik Efektywności!

Jadąc, zastanawiał się któryś już raz, czy można sfalszować komuś WE tak, by ktoś inny miał go zawyżony. No bo przecież taki Matthews, licznik PP bije mu jak wściekły! Co by nie zrobił - dziesiątki i setki pozytywów. Nazbierał w zeszłym roku osiem dni urlopu! I też bezdzielny. A niech to wszystko kropik kopnie! I przede wszystkim tych cwaniaczków, którzy wymyślili PP, PN, WE i całą tę resztę! „Ludzkości grozi absolutna degrengolada!”. „Cywilizacja leniuchów wymiera!!!”. „Postęp nośnikiem zagłady!” Doczekaliśmy się! Przymusowa praca, wysoko punktowana sprawność fizyczna, konieczność ograniczeń w korzystaniu z robotów i wszelkich innych mechanicznych pomocników. Niech żyje sport! Ruch! Energia! Witalność! A tacy, jak on?

Po zdziwionych twarzach pasażerów zorientował się, że znowu skrzywił się jak do płaczu. Wyskoczył, zanim pojazd stanął na przystanku (trzy PP) i niby - energicznym krokiem (zero PP - sumator nie da się oszukać) podążył do wieżowca. Oczywiście skorzystał z windy, prawie pustej o tej porze, bo inni albo już byli na swoich miejscach, albo biegli po schodach, by wyzerować spóźnienie. A Timowi

było już wszystko jedno.

„Trudno. Dzisiaj jeszcze sobie odpocznę. Zaczę od jutra. Grunt to wpaść w rytm, potem już pójdzie łatwo. Urlop! Urlopu mi trzeba! Jutro”.

Praca, jaką wykonywał w Pee, Pee Pee C^o, nie była najciekawsza, wymagała niewielkiego wkładu energii, a co za tym Idzie, trzeba było ją wykonywać bezbłędnie, żeby wyjść na jakieś przyzwoite konto PP pod koniec roboczego dnia. Ci wszyscy szczęściarze z wysokim WE mieli, oczywiście, o wiele bardziej „dochodowe” zajęcia.

Segregował ponuro fiszki na jedenaście stosów, leniwie rozrzucając je po całym biurku. Oczywiście taka praca była bardzo nisko punktowana. Po godzinie sumator ironicznie pulsował dwucyfrową zaledwie liczbą, a przecież na koncie strat Tim miał już dwieście sześćdziesiąt PN.

Uznał, że przy tak krzywdzącej punktacji nie ma sensu przemęczać się. Rozmyślał chwilę, czy aby nie zrobić sobie samemu karfy, uniósł się nawet lekko z fotela i może gdyby zerknął w tej chwili na sumator (albowiem ten sprytny przyrządek, jakby z nadzieją, rozjarzył się zielonym światłem konta pozytywnego) wstałby nawet. Ale nie zerknął, oklapł w fotelu, a sumator, beznadziejnie błysnąwszy żółtym światłem, przełączył się na PN.

- Duża filiżanka karfy. - Tim odchrząknął i dodał: - Włącz vizor. Z rezygnacją machnął ręką. Sumator nie raczył policzyć tego gestu. Żadnych PP. Ale nie zapomniał dodać do ogólnej sumy stu dziesięciu punktów za karfę i vizor.

Karfa była fatalna. „Idiota, sam bym zaparzył lepszą” - pomyślał, zapominając, że powtarzał to sobie codziennie. Niezbyt dobra karfa z automatu była jeszcze jednym bodźcem do zaparzenia jej własnoręcznie. Ostrość obrazu w vizorze też nie była najlepsza a w dodatku dawali jakiś nudny program popularno-naukowy. Należało wstać, poprawić jakość wizji, znaleźć coś ciekawego, tylko Tim znajdował się już na równi pochyłej, a i nie dążył nawet do powstrzymania wzrostu PN na swoim koncie.

- Popraw, do cholery, ten obraz! I program. Szybko! (25 PN).

Automat posłusznie wykonał polecenie. Na ósemce był Bieg Najwyższych WE.

- Ósmy program! (dziesięć PN).

No, jeszcze trochę i byłoby za późno. Właśnie wystartowali. Dwudziestu mężczyzn z najwyższym Współczynnikiem Efektywności ruszyło do biegu na osiem okrążeń stadionu. Pogoda ładna, trybuny wypełnione do ostatniego miejsca. „Skąd oni mają tyle wolnego czasu?” Znowu się oszukiwał, wiedział świetnie kto i za co otrzymuje urlop.

Biegacze posuwali się do przodu niezbyt szybko. W końcu nie chodziło o najszybsze przebycie trasy, aczkolwiek i to się liczyło. Ale w sumie trzeba było tylko zmieścić się w limicie czasu. I zużyć na sam bieg jak najmniej energii, biec jak najekonomiczniej, jak najmniej spalać. Trzeba było tylko wykorzystać swój wysoki WE. I wygrać. Trzy tygodnie lenistwa’ w pełnym komforcie. Jest o co walczyć...

Przebiegli już sześć okrążeń, tempo trochę wzrosło. Wielki Sim, zwycięzca dwóch poprzednich biegów, przyspieszył nieco. Widocznie chciał wygrać w sposób nie podlegający dyskusji. Większość rywali została w tyle. Ciułacze kalorii, nie spieszyli się. Wierzyli W swoje WE, albo nie wierzyli w możliwość wygrania z Simem. Zobaczymy.

Ostatnie okrążenie. Sim Slade przyspieszył jeszcze trochę, oderwał się od tych nielicznych, którzy usiłowali dotrzymać mu kroku i pierwszy minął linię mety. Pozostali równym krokiem dobiegali do kreski na bieżni, zaraz za nią gwałtownie zwalniali - szkoda energii, kładli się na leżakach. Obliczanie wyników trwało około trzech minut.

Tim zdążył zamówić jeszcze jedną filiżankę karfy, omal nie zakrztusił się pierwszym łykiem - po raz trzeci z rzędu wygrał Slade! Nowy, fantastyczny rekord biegu - 223 Eq!!! Z zadowoleniem odchylił się w fotelu, Sim był jego faworytem. Doskonały jest ten facet! I jaki WE! Może to i niesprawiedliwe, że jeden

zużywa na tę samą czynność więcej energii niż inny, ale trudno. Takie czasy! A Slade to wielka klasa. Bomba!

Zwycięstwo Sima dostarczyło Timowi doskonałego pretekstu do kolejnych szaleństw. Zapalił ziccuro i nawet zamówił kieliszek soffti. Dwieście PN!

Reszta dnia była dopełnieniem jego początku, toteż gdzieś około czwartej Tim zdjął z ręki sumator i wsadził do kieszeni. Obrażony mechanizm błyskawicznie zareagował doliczając do konta sto PN. W każdym razie, pod koniec dnia, gdy, niestety, nie było już po co szwendać się po ulicach i zabrakło pretekstu by nie iść do domu, konto punktowe Tima Patterby wynosiło ponad siedemset punktów. Ujemnych!

Wrócił do domu, zrezygnował z wchodzenia po schodach, drzwi otworzył kopniakiem. Nie odpowiedział na „dzień dobry” Lucy.

- Co ci jest, kochanie? - słodycz jej głosu w takich chwilach doprowadzała go do szału.

- Co ci jest! Co ci jest! - zaczął wrzeszczeć - - Co się głupio pytasz? Może nie wiesz? No to ci powiem - to samo! Już wiesz! Cieszysz się, co? To woda na twój młyn, nie zaprzeczaj. Milcz! Ale to się kiedyś skończy, wspomnisz moje słowa! - krzyczał, chociaż Lucy już wyszła z pokoju. Przywykła do takich awantur, więcej - bała się dnia, w którym Tim wróci z pracy w świetnym humorze.

Przypomniawszy sobie o sumatorze, wyjął bransoletkę z kieszeni, zerknął na tablo. Nieźle, trzydzieści sześć PP. No, miewał już lepsze osiągi za kłótnie, ale dobre i to. Może ta garść pozytywów to zwiastun lepszego, pozytywnego jutra?

Uspokoił się, włączył vizor, przejrzał swoje dzisiejsze konto. Podsumował. Siedemset osiemdziesiąt trzy. Do kitu. Tylko siedemnaście punktów zostanie na rano. Mało.

- Tiim! No chodź już - znowu to słodkie gruchanie. Fala wściekłości zalała Tima. Dlaczego, do cholery, kobiety otrzymują czterdzieści tysięcy PP za urodzenie dziecka?! I czy to jego wina, że jest mężczyzną? I co go w końcu obchodzi katastrofalny spadek liczby ludności na świecie?

Zdarł z siebie ubranie i powłókł się do sypialni zarobić swoje osiemset PP.

Na miliardach światów *Marek Dryjański*

Stała na skraju mrocznej puszczy. Wiatr gnał po niebie purpurowe chmury, szarpał je i kłębił. Z rozpadlin, którymi aż po horyzont poszarpana była ziemia, strzelały w niebo oślepiające, różnokolorowe błyskawice. Jeden z potworów poszybował w jej stronę. Przerażliwy odgłos jego organów napędowych stawał się grzmotem. Leciał szybko, ze złożonymi skrzydłami. Rozsiewał za sobą trujące pasmo, rozkładające równie szybko stal i ludzkie ciało. Nie zauważył widocznie malutkiej postaci, słabo promieniującej światłem.

Szybko oceniła odległość i po chwili z jej korony wystrzelił snop ognia. Trafione straszycło stało się płonąca kulą, która z hukiem rozpadła się na miliardy iskier. Wszystkie potwory buszujące po niebie dostrzegły to jednocześnie. Po chwili niepewności jeden z nich wydał przenikliwy świst - sygnał natychmiastowej ucieczki. Pozwoliła im odlecieć. Już niedługo będzie gotowa do ostatecznej rozprawy z ich bogiem i chciała, by wezwały go tutaj.

Awionetki, kryjące się w szczelinach poszarpanych zboczy, uniosły się w powietrze. Pękały osłaniające je szare kule pól siłowych, odsłaniając kształty pojazdów, z których każdy był niepowtarzalnym dziełem sztuki. Widziała, jak grupują się w powietrzu, sprawnie tworząc szyk uświęcony tradycją. Zbliżyły się do niej i w końcu osiadły na ziemi, tworząc obszerne półkole. Najmniejszy pojazd, jednolicie biały w przeciwieństwie do pozostałych, mieniących się wszystkimi kolorami tęczy, znalazł się w środku półkola na wprost niej. Wszedł z niego człowiek o dostojnym wyglądzie, obleczony w królewską purpurę i zbliżył się do niej. Przystanął, gdy jego korona rozbłysła pod wpływem nakazanego przez nią impulsu. W geście należnym tylko bogom pod niósł ręce i skłonił się.

Napływające poprzez jego koronę informacje nie określały jednoznacznie, jak powinna dalej postępować.

Projekcja zapowiadała się interesująco, tym niemniej odczuwała już pewne zniecierpliwienie. Wszystkie sytuacje z projekcji fantomatycznych dawały się przedstawić w postaci zagadnienia matematycznego, a rozwiązywanie tych zagadnień przychodziło jej coraz łatwiej. Teraz nie umiała jeszcze sformułować problemu.

Nękające tych ludzi potwory zostały przywołane przez innych ludzi, których reguły życia społecznego miały być brutalnie przełamane. Tamto społeczeństwo, atakowane przez inne, silniejsze, było jej bliższe. Jego organizacja zapewniała znacznie wyższy poziom współczynnika wolności indywidualnej. Teraz, po latach krwawych walk, te współczynniki znacznie spadły dla obu społeczeństw. To było niemożliwe do odrobienia w krótkim czasie, niezależnie od tego, w jaki sposób i po której stronie zaangażowałyby się. Najpilniejsze było jednak przeciwstawienie się inwazji potworów, i to siłami jednego z tych społeczeństw. Którego - jeszcze nie wiedziała.

Stojący przed nią w pokorze król był nie tylko symbolem trwałej władzy. Był także organizatorem i rzeczywistym przywódcą struktury, której celów i metod działania trudno nie potępiać.

Gdy uznała, że wie o nim i o jego państwie już dostatecznie dużo, przerwała przepływ informacji. Jego korona zgasła.

Jej głos objawił się w umysłach wszystkich.

- Wzywam was do dalszej walki i do trwania w posłuszeństwie wobec króla. Po zwycięstwie

objawię się każdemu i każdy będzie mógł je osądzić. A teraz - jedziemy do stolicy.

W milczeniu skierowali się do białej awionetki. Usiadła z tyłu, pomiędzy dwoma gwardzistami. Król zajął skromne miejsce z przodu, twarzą do niej, a tyłem do pomocniczego pulpitu kontrolnego.

Lecieli na małej wysokości. Widziała poszarpane rozpadliny, miejscami skażone plamami czarnej śmierci. Nie można było rozpoznać szczątków ludzi ani pojazdów, ale czarnych plam było więcej niż awionetek unoszących się za nimi w powietrzu. Po kilkunastu minutach lotu zauważyła, że teren stał się nizinny, coraz więcej było pól, sadów i ludzkich osiedli. Wreszcie ujrzała strzeliste pałace stolicy.

Zarówno nieco oddalony główny pałac jak i całe miasto pozostały nietknięte. Wszędzie widać było wieże dział i kopuły generatorów pól obronnych. Wokół miasta powstawał właśnie duży system obronny - dostrzegła głębokie wykopy i mrowiących się w nich ludzi. Miękkim lotem wpłynęli do centralnej bramy powietrznej głównego pałacu. Kilka awionetek podążyło za nimi, pozostałe rozproszyły się po mieście.”

Po wspianiałym, czerwonym dywanie przemaszerowali do komnaty strzeżonej przez uzbrojonych gwardzistów. Wewnątrz nie było nikogo.

Nie zauważyła, że w drzwiach jej korona zgasła. Dopiero, gdy król także znalazł się w komnacie i drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem zorientowała się, że już przestała być bogiem.

Król przyglądał się jej w milczeniu. Wiedział, że jest bezbronna i rozkoszował się tym. Cedził słowa, patrząc jej prosto w oczy.

- Popełniłem błąd przyjmując, że Nefrydzi będą postępować rozsądnie. Tradycja mówi, że zarówno ja, jak i ich władca możemy sprowadzić potwory. Pokój wieczysty przewidywał, że nastąpi to tylko po pogwałceniu Świętych Praw. Pogwałciłem je w imię potęgi mojego państwa - wróg zewnętrzny stał się konieczny. Znadto liczyłem na rozsądek przeciwników. Znają oni konsekwencje wezwania potworów - gdy potwory zniszczą nas, zniszczą także ich.

Taki był mój błąd. Ale nawet bogowie popełniają błędy. Tu, w tej komnacie, zamiera potęga każdej władzy. Mojej i twojej. Ale ta technika nie wystarczyłaby, by stanąć ponad bogami. Gdyby jakikolwiek władca we Wszechświecie mógł wśród swych poddanych zrezygnować z przymiotów władzy i pozostać przy życiu, mógłby też z czasem stać się władcą całego Wszechświata. Żaden bóg nie przewidziałby, że tu, pośród moich poddanych, jestem wobec nich bezbronna i że oni o tym wiedzą. Dlatego wiedziałem, że popełnisz ten błąd - wejdiesz tu.

Pozostaniemy tu do czasu, kiedy zbierze się moja rada. Ona właśnie ustali, co stanie się z tobą - naszym zbawcą. Ja proponuję, żeby ciało i koronę przeznaczyć na doświadczenia - jest szansa, że w ich wyniku uzyskamy taką broń, że ani żadne potwory, ani żadni bogowie nie będą dla nas strasznymi.

Wyciągnął spod purpurowego płaszcza matowy sztylet.

- Gdy władza zamiera, rozstrzyga siła. Oddaj mi swoją koronę!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jeżeli nie ma przy sobie innej broni... Pamiętała informację przeniesioną po łuku świetlnym pomiędzy ich koronami - jego reakcje i ruchy były znacznie wolniejsze niż jej.

Uniosła rękę na wysokość głowy i zbliżyła się do niego. Szybkim kopnięciem wytrąciła mu sztylet. Jeszcze precyzyjny cios w szyję i leżał przed nią bezwładny.

Podniosła sztylet i rozejrzała się w poszukiwaniu wyjścia albo jakiegokolwiek urzędnika, pozwalającego komunikować się z ludźmi przebywającymi w innych pomieszczeniach pałacu. Nie było tu nic takiego. Zrozumiała, tu w całkowitej izolacji od świata, członkowie rady opętani wspólną zbrodniczą ideą podejmowali decyzje. W tej sali wszyscy byli równi, a król był tylko jednym z nich. On też nie mógłby stąd wyjść przed zakończeniem rady. Pozostawało jej czekać.

Przerwała projekcję. Przed oczami pojawiła się ściana jej pokoju mieszkalnego, oznaczonego

dziesięciocyfrowym numerem. W tym pokoju, położonym w europejskiej części świata K-10723 na głębokości trzech kilometrów, spędziła pełne dwanaście lat - całe swoje życie.

Jedyną treścią jej życia były dotąd projekcje fantomatyczne. Rozwój umysłowości, przyswajanie nowych pojęć i nawet języka mówionego - to wszystko dokonywało się zgodnie z poszczególnymi wariantami programu fantomatycznego, opracowanymi dla świata K-10723 na jednym ze światów starszej generacji.

I właśnie teraz po raz pierwszy rozblęsnął ekran łączności osobistej - prawdziwy, żywy człowiek zgłosił chęć telewizji z nią i prosił o połączenie.

Na ekranie wyświetlony był numer identyfikacyjny rozmówcy. Po chwili pojawiły się jego parametry charakterystyczne i wreszcie twarz mężczyzny. Perspektywa zmieniła się, ukazując całą sylwetkę.

Nie odczuwała jeszcze niezwykłości chwili - fakt, że mężczyzna był ubrany i to dosyć dziwnie narzucał nieświadome skojarzenie z fantomatyką. Dość długo przyglądał się jej w milczeniu.

Swoje preferencje co do partnerki ze świata K-10723 podał z wyczuciem. Nieco tylko wyższa od niego, o kształtach w pełni dojrzałej kobiety i twarzy kojarzącej mu się ze wspomnieniami dzieciństwa - sprzed ponad czterystu lat; z wyobrażeniem o baśniowej księżniczce.

Nie oczekiwał nic więcej - istota, która w swoim krótkim życiu nie widziała jeszcze żywego człowieka, nie mogła starać się podobać innym. Została wybrana spośród miliardów podobnych mieszkank tego świata głównie właśnie dzięki zgodności urody z jego preferencjami.

Po pewnym czasie zwrócił się do niej, starannie dobierając słowa.

- Jestem starym człowiekiem i chciałbym poznać bliżej kogoś takiego, jak ty. Mam nadzieję, że także dla ciebie nasza znajomość będzie interesująca, chociaż początkowo na pewno mniej atrakcyjna niż fantomatyką. Ale kiedyś będziesz musiała żyć prawdziwym życiem, wśród ludzi takich, jak ty i ja. Radzę ci dowiedzieć się jak najwięcej o świecie, w którym żyjesz.

Nie mógł dopuścić, by opuściło ją wrażenie, że przeżywa coś nowego, niezwykłego. Nie nastąpiła jeszcze pora na rozmowę. Przerwał połączenie. Nie spodziewał się, że odpowie. Przełamanie bariery psychicznej, po którym dorosły człowiek wychowany bez ludzi mógł mówić, nigdy nie następowało od razu.

Nie zależało mu na czasie. Miał czym się zająć. Wiedział, że dla niej te dwa dni będą okresem narastającej ciekawości i podniecenia. Nie omylił się. Nie chciała ponownie włączyć przerwanej projekcji. Nachodziły ją różne myśli, wreszcie zdecydowała się - rozpoczęła starania o informacje o nieoczekiwanym rozmówcy.

Włączyła informator. Dotychczas czyniła to tylko wtedy, gdy nie wiedziała, jak postępować w czasie trwania projekcji fantomatycznej - gdy czegoś nie rozumiała.

Wydawała dyspozycje za pomocą klawiatury - tak przewidywał standardowy program kształcenia dla jej świata. Nigdy nie pomyślała, że głosem byłoby szybciej.

Na żądanie informator powtórzył niezrozumiały dla niej sygnał osobowy Starca, pokazany przed telewizorem. Po pytaniach uzupełniających dowiedziała się, że jej rozmówca jest jednym z najstarszych żyjących ludzi, że przebywa na innym świecie i że takich ludzi, jak on czy ona, są tryliony na miliardach światów.

Zwróciła się o wyjaśnienie, w jaki sposób można uzyskać telewizję. Wystarczyło podanie numeru identyfikacyjnego lub jakiegokolwiek określenia jednoznacznego dla jej informatora osobistego. Gdy poprosiła o połączenie ze Starcem, okazało się, że jego kanał jest zajęty. Stan obciążenia był taki, że praktycznie nie miała szans na uzyskanie kontaktu. Zamówiono do niego kilka tysięcy telewizji. Jej zamówienie musiało czekać na swoją kolej.

Wydawało się dziwne, że Starzec uzyskał połączenie z nią bez trudu, a ona z nim - nie mogła.

Poprosiła o powtórzenie tego, co mówił - mimo, że każde słowo miała jeszcze wyraźne w pamięci ale informator odpowiedział lakonicznie:

- Powtarzanie fragmentów telewizji bez zgody wszystkich uczestników jest niedozwolone - artykuł 518 Praw Człowieka.

Nie wiedziała, czym są prawa człowieka. Na pytanie informator odpowiedział:

- „System ustaleń regulujących stosunki pomiędzy ludźmi, mający na celu zapewnienie możliwości rozwoju człowieka ochronę jego dóbr psychicznych”.

To już było zrozumiałe, chociaż nie mogła dostrzec celowości wprowadzenia właśnie takiego artykułu.

Zamówiła telewizję z numerem o jeden wyższym, niż jej. Przypuszczała, że będzie to ktoś, kto tak jak ona nie utrzymywał kontaktów wizyjnych, i chciała potwierdzić swoje przypuszczenia. Przewidywany czas oczekiwania na połączenie wynosił jednak około dwudziestu minut.

Odwołała widzenie i zamówiła inne - z najbliższym wolnym numerem. Na ekranie rozbłysł sygnał identyfikacyjny i po chwili ukazała się na nim postać dziewczyny. Ta dziewczyna była od niej znacznie tętsza, miała brunatną skórę i kruczoczarne włosy. Leżała nago na sofie, stanowiącej typowe wyposażenie każdego pokoju mieszkalnego.

Wpatrywały się w siebie w milczeniu. Dopiero po kilku minutach zdecydowała się przerwać połączenie - brunetka zapewne nawet o tym nie pomyślała.

Teraz poprosiła o widzenie z dowolną osobą, która mówi. Sygnał wywoławczy tym razem pozostawał na ekranie nieco dłużej. Po chwili ukazał się dobrze zbudowany chłopak o oliwkowej cerze.

- Słucham, co cię do mnie sprowadza?

Nie potrafiła odpowiedzieć.

- Dowiedziałaś się o naszej zabawie i chciałabyś wziąć w niej udział? Tak czy nie - odpowiedz!

- Nie wiem.

- A, rozumiem. Potrzeby elementarne. Możesz przyjść do mnie. Ile miałaś już zbliżeń?

- Jakich zbliżeń?

- Nie miałaś? W takim razie nie podejmuję się być twoim pierwszym. Ale lubię dziewczyny z inicjatywą. Przekażę do twojego informatora zasady naszej zabawy - naucz się i przyjdź za osiem godzin na nasz plac.

Przerwał połączenie.

Reguły zabawy, podane przez informator, były dla niej zrozumiałe tylko częściowo. Wstępem, a właściwie pierwszym etapem, była gra różniczkowa o skomplikowanej formule. Każdy z uczestników sterował kilkoma parametrami, przy czym obliczenia musiał wykonywać w pamięci. W zależności od przebiegu tego etapu określano warunki wyjściowe do następnego - wyposażenie uczestników, możliwości porozumiewania się między nimi oraz stopień spowolnienia ich reakcji. W tym etapie, będącym fizyczną walką nie obowiązywał artykuł 19 Praw Człowieka - zakaz zadawania cierpienia.

Nigdy dotąd nie doznała cierpienia.

Zadała jeszcze kilka pytań uzupełniających i uznała, że wie już o zabawie dostatecznie wiele. Następnie ponownie włączyła przerwana projekcję fantomatyczną.

Znowu znalazła się w sali pałacowej.

Przez rozwarte na moment drzwi weszło trzech mężczyzn. Bez rozglądania się po sali podeszli do niej.

Jeden z nich zapytał, patrząc na leżącego nieruchomo króla.

- Z nami zamiast niego czy przeciwko nam?

- On żyje - odparła. - To, po której stronie będę, zależy od was. Oto moje warunki: po zwycięstwie

każdy z was zostanie oddany pod sąd ludu. Lud zadecyduje, czy pozostaniecie przy władzy i jakie będą jej granice.

- Ci głupi, tchórzliwi prostacy?
- Bez nich nie byłoby was, bez was byliby inni władcy.

Weszło jeszcze czterech. Powtórzyła im.

- Moja korona jest martwa, ale teraz przeciwko wam wszystkim mam szansę nawet jako człowiek.
- Co stanie się z nami, gdy zwyciężysz?

- Dam każdemu z was perłę ze swojej korony. W oczach ludu pozostaniecie władcami - do czasu sądu.

- Gdy przyjmiecie moje warunki, bogini?

- Pozostawię wam świadomość i wolną wolę decydowania o własnym postępowaniu. Perłami będziecie dysponować sami - do czasu sądu.

- A jeżeli przegrasz - co stanie się z tobą, bogini? Myślałaś o tym?

- To będzie zależec od was.

Mówili po kolei:

- Zniszczymy ją.
- Przyjąć warunki.
- Walczyć.
- Przyjąć warunki.
- Przyjąć warunki.

Jednocześnie zbliżali się do niej, okrążając ją.

- Walczyć.

Pozostał jeszcze jeden.

Przysunęła się do ściany. Podniosła sztylet króla i z całej siły rzuciła nim w drewnianą boazerię. Jeden spośród tych, którzy chcieli walczyć, wyjął sztylet. Pomyślała, że popełniła już kilka błędów.

Książę ze sztyletem skierował się w stronę bezwładnego ciała króla. Wbił sztylet prosto w jego serce i zajął swoje miejsce w zacieśniającym się kręgu. Powiedział:

- Tak miało być po złamaniu przysięgi. W tej sali wszyscy mieliśmy być równi, a on miał broń. A co zrobimy z nią?

Ostatni spośród książąt, który nie powiedział jeszcze swojego zdania, rzucił się na nią z podniesionymi ramionami. Zauważyła, że ma jeszcze powolniejsze ruchy niż martwy już król. Dwa ciosy w skroń i zwałił się bezwładny. Pozostali przyparli ją do ściany, usiłując skrępować jej ręce i nogi. Udało się jej wydostać z kłębowiska. Eliminowała przeciwników pojedynczo, dokładnymi ciosami w szyję, skroń lub splot słoneczny. Gdy pozostało już tylko trzech, stanęli, tak jakby zaprzestali oporu.

- Teraz jeszcze możecie przyjąć moje warunki - powiedziała.

Wśród trzech stojących na wprost niej był ten, który zabił króla.

- Już je odrzuciliśmy - odpowiedział.

Wyjęła ze swojej korony perłę i rzuciła mu ją. Przez chwilę trzymał ją w rękę, po czym włożył do swojego diademu. Po chwili osunął się nieprzytomny. Widocznie urządzenia tej sali nie neutralizowały w pełni własności przedmiotów władzy. Jeden z dwóch pozostałych wypowiedział szybko:

- Ja chcę przyjąć twoje warunki, bogini.

Drugi dodał po zastanowieniu.

- Ja również.

Zanim rzuciła im perły, ostrzegła:

- Trzymajcie je w rękach, dopóki stąd nie wyjdziemy.

Jedyne w tej sali drzwi były teraz widoczne. Domyśliła się, że dopiero wtedy, gdy w sali zebrali się wszyscy członkowie Rady, można było otworzyć je od wewnątrz.

- Wyjdźmy stąd - rozkazała.

Bała się stanąć tyłem do nich. Wyszła jako ostatnia. Za drzwiami jej korona zaślnęła pełnym blaskiem, a perły książąt, uniesione niewidzialną siłą, wysunęły im się z rąk i umiejscowiły nad ich głowami, rozsiewając różową poświatę.

Rozkazała gwardzistom wynieść przed drzwi wszystkie ciała. Każdemu przydzielała perłę, pod wpływem której na pozór odzyskiwał przytomność i wstawał o własnych siłach. Nikt spośród wielu osób krzątających się po pałacu nie wiedział, że tylko dwóch pozostało świadomymi ludźmi, obdarzonymi wolną wolą.

Mogła wiedzieć o wszystkim, co kiedykolwiek zostało zapisane w pamięci siedmiu spośród nich. Byli jakby przedłużeniem jej ciała, w pełni podlegali jej woli.

Zastanowiło ją, że wierność zasadom Rady była u nich silniejsza, niż uświęcone odwieczną tradycją posłuszeństwo wobec władcy. To dawało nadzieję, że będzie mogła utworzyć społeczeństwo sprawiedliwości - po zwycięstwie nad potworami.

Udali się do sali audiencji, dokąd wzywano po kolei wszystkich ministrów i zarządców. W państwie nie było systemu informatycznego - wszystko, co ważne było dla jego funkcjonowania, zapisywano w księgach. W miarę jak poznawała zasoby państwa powstawał w jej umyśle plan obrony przed potworami i ich władcą, równym bogom.

Przerwać projekcję mogła dopiero wtedy, gdy plan był gotów - gdy rozwiązała odpowiednie zagadnienie matematyczne. Najbardziej widowiskową część - realizację tego planu - zostawiła na później.

Do zabawy pozostało jeszcze kilka godzin. Postanowiła wykorzystać ten czas na to, aby dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach. Swoją dyspozycję dla informatora sformułowała w taki sposób, że uzyskiwała wiadomości jedynie z dziedziny anatomii i biochemii. Już opis funkcjonowania organizmu dorosłego człowieka wymagał przyswojenia tak obszernej wiedzy z dziedziny chemii, że musiała włączyć hipnotyzery. Chemia - fragmentaryczny opis właściwości materii naszego wszechświata, jeden z wielu przekrojów funkcji podstawowej - wchodziła w zakres obowiązkowych programów nauczania fantomatycznego jedynie na niektórych światach.

Dowiedziała się o istnieniu płci, o tym, czym ludzie mogą różnić się między sobą, o tym, że każda kobieta może co cztery tygodnie wydać na świat istotę potomną - że prawa człowieka gwarantują zapłodnienie każdej komórki jajowej i zapewniają rozwój każdej istoty potomnej.

Od ważnych, ogólnych informacji - jak o stadiach bruzdkowania zygoty, różnicowaniu się komórek płodu, obiegu poszczególnych substancji chemicznych - przeszła do konkretnie związanych z czekającą ją zabawą: w jaki sposób można zadać człowiekowi ból, ograniczyć możliwości poruszania się, doprowadzić do nieprzytomności. Wydawało się to tak proste i łatwe, jak podczas seansów fantomatycznych.

Zgodnie z dyspozycją program informacyjny skończył się na piętnaście minut przed przewidzianym rozpoczęciem zabawy. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy w życiu opuści swój pokój mieszkalny. Zapytała, jak dostać się na miejsce, gdzie odbędzie się zabawa. Informator wezwał jednoosobowy glider. Drzwi jej pokoju rozsunęły się, odsłaniając wnętrze pojazdu.

Usiadła w fotelu, który natychmiast dopasował się do jej ciała. Ponieważ nie wydała żadnych dyspozycji, na przednim ekranie widniał schemat tras komunikacyjnych, jednakowy dla pierwszych stu tysięcy światów generacji K. Po dziesięciu sekundach oczekiwania na ustne dyspozycje system dyspozycyjny połączył się z informatorem pokojowym i glider popłynął płataniną korytarzy w stronę

placu, gdzie miała odbyć się zabawa. Wkrótce jego drzwi rozsunęły się bezszelestnie, odsłaniając mroczną przestrzeń. Trudno jej było uświadomić sobie, że ta sceneria nie jest tłem kolejnej projekcji fantomatycznej. Powoli wyszła z pojazdu na miękkie podłoże.

Gdy glider oddalił się, zaczęła się rozglądać. W słabym, białym świetle widać było regularne kształty bryt i płyt, którym nie mogła przyporządkować żadnego zastosowania. Na pobliskiej ścianie rysował się wygasły ekran informatora.

Czekała kilka minut, nie wiedząc, co robić. Zaczęła odczuwać chłód - temperatura odpowiadała potrzebom człowieka ubranego, a ona, jak zawsze, nie miała na sobie zupełnie nic. Włączyła informator i nerwowo wystukała kilka prostych pytań - kiedy zacznie się zabawa, gdzie są jej uczestnicy, co ma teraz robić.

Wszyscy byli już na miejscu, każdy w swojej kabine. Informator wskazała jej wolną kabinę. Gdy weszła do niej rozjarzył się wielki ekran - w oddzielnych prostokątach widniały twarze siedmiu osób. Wśród nich był chłopak, który zaprosił ją do udziału w zabawie. Powiedział krótko:

- Możemy zaczynać.

Twarze znikły z ekranu. Oprócz tego nie zdarzyło się nic. W miarę upływu czasu zaczęła się denerwować. Na zapytanie informator przekazał jej, że pierwsza część zabawy - gra strategiczno-losowa - już się zaczęła, i że wystarczy nadać sygnał gotowości, aby się do niej włączyć.

Bez wahania nadała sygnał. Wszystkie ekrany zamigotały barwnymi powierzchniami, przez które przewijały się falujące krzywe. Słysząc było jednostajny, niski dźwięk - ostrzeżenie o niebezpieczeństwie utraty kontroli nad jednym z parametrów.

Nie wiedziała o tym, że wszyscy pozostali zwracają uwagę na aktualny stan całości gry. Skupiła się nad sterowaniem kontrolowanymi przez nią parametrami. Nie знаła żadnych zagrywek taktycznych, więc po prostu rozwiązywała w pamięci odpowiednie równania różniczkowe. Jej opóźnione włączenie się do gry pokrzyżowało innym przygotowane jeszcze przed grą plany.

Pół godziny obliczeń, analizowania wciąż zmieniających się powierzchni i krzywych ilustrujących sytuację w grze, minęło jak chwila. Gdy gra skończyła się, na ekranie znowu pojawiło się osiem prostokątów. Dwa prostokąty były jednolicie szare, na pozostałych widniały dane, dotyczące pozycji wyjściowej poszczególnych osób do następnego etapu zabawy. Skrajny, ósmy prostokąt dotyczył jej.

Współczynnik spowolnienia reakcji - 1,2 - był najniższy spośród wszystkich uwidoczniionych. Miała do dyspozycji dwie sztuki broni - ciągłego rażenia i impulsową. Obok opisu podane były skutki jej użycia: paraliż mięśni o intensywności uzależnionej od odległości i czasu utrzymywania trafionego w snopie rażenia. Dostała też dwie kamizelki ochronne o podobnych charakterystykach. Spośród pięciu zakresów widzialności będzie widzieć w czterech. Domyśliła się, że niektórych przeszkód i osłon nie będzie dostrzegać.

Będzie mogła porozumiewać się z czterema uczestnikami zabawy. To oznaczało możliwość proponowania im wspólnych ataków na innych. W sumie jej sytuacja wyjściowa do drugiego etapu była bardzo dobra. Nie wiedziała, czy to łut szczęścia, czy rezultat prawidłowego postępowania w pierwszym etapie.

Drzwi kabiny rozsunęły się. Przy wyjściu została otulona kamizelkami ochronnymi - były miękkie i elastyczne, ale czuła się nieco skrępowana. Nie była przyzwyczajona do jakiegokolwiek stroju.

W sali było teraz znacznie jaśniej. Powierzchnie i bryły, które widziała już przedtem, teraz zabarwiły się na czerwono, żółto, zielono, niebiesko lub czarno. Nie zauważyła nikogo. Przeszła kilkanaście metrów dalej - te same bryły i powierzchnie z innej perspektywy. Nagle natknęła się na coś niewidocznego. Miękką, ale nieprzenikliwą ścianą, całkowicie przezroczystą. Obmacała ją starannie - była szerokości mniej więcej trzech metrów, podobnie jak inne - widoczne.

Niespodziewanie znalazła się w zasięgu snopu światła, padającego z tyłu. Obejrzała się - za niebieską bryłą prześwitywała sylwetka człowieka, oddalonego o około sto metrów. Z brył syłał się snop iskier. Od razu strzelał ostro. Schowała się za inną, czarną bryłą.

Dobrze. Nie widzi niebieskiego, wykorzystał już jeden strzał. Ona miała ich piętnaście. - On - nie wiadomo ile, ale chyba mniej. Przypomniała sobie, że może komunikować się z innymi. Spojrzała do góry - sufit był pokratkowany dwoma rzędami prostopadłych, ponumerowanych linii. Dopiero teraz domyśliła się ich przeznaczenia.

Powiedziała głośno.

- Uwaga pierwszy, czwarty, piąty, siódmy - przeciwnik na pozycji 95-66.

Gdy wyjrzała zza nieprzezroczystej bryły dostrzegła, że ten, który strzelił do niej, rzucił się biegiem do ucieczki. Widocznie był jednym z tych, których numery wymieniła. Pomyślała, że zabawa jest jednak ciekawsza, niż projekcja fantomatyczna.

Rozejrzała się wokół i dostrzegła człowieka w odległości trzydziestu kilku metrów. Wspiął się na jedną z brył i rozglądał dokoła, ale był do niej zwrócony tyłem. Brył i nieprzezroczystych powierzchni było dużo - z dołu trudno było patrzeć dalej, niż na sto metrów.

Ominęła dzielący ich czerwony prostopadłościan i odbezpieczyła broń impulsową. Trzymała broń nisko, gdy nacisnęła spust snopu celowniczego. Chybiła o kilka metrów, ale przeciwnik dostrzegł ją dopiero wtedy, gdy snop światła objął go. Zeskoczył z bryły i znalazł się jeszcze bliżej. Rzucił się do tyłu, ale jego ruchy były bardzo wolne. Utrzymując go w snopie światła strzeliła ostro.

Dostał w szyję. Jego głowa jakby zastygła w nienaturalnie skróconej pozycji. Mogła trafić jeszcze raz, ale szkoda jej było ładunków. Odbezpieczyła broń o działaniu ciągłym. Usłyszała, jak trafiony krzyczy:

- Sektor 84/63.

Zrozumiała, że mogła go wykończyć. Jego jedyną szansą było to, że będzie obawiać się przybycia innych i oddali się.

Schował się za nieprzezroczystą bryłą. Nie ściagała go. Niech ktoś inny straci ładunki. Wygrywał ten, kto został na placu sam, a ona czuła, że ma szansę wygrać - na trzecim czy drugim miejscu jej nie zależało.

Pozostawanie w bezruchu było bardziej ryzykowne, niż szybka zmiana miejsca. Zwłaszcza w jej sytuacji - była przecież jedną z najszybszych. Zastanowiła się nad najlepszą strategią i zupełnie niespodziewanie wpadła na myśl, że opłaca się eliminować pojedynczych uczestników zabawy. Może przecież zabrać im broń. Przemykała się teraz mniej bojaźliwie, szukając przeciwników. W pewnym momencie zobaczyła od razu dwóch. Walczyli wręcz - jeden poruszał się bardzo wolno - miał współczynnik spowolnienia chyba ponad trzy i twarz wykrzywioną bólem. Drugi reagował z normalną szybkością, ale prawą rękę miał bezwładną i z trudem utrzymywał się na nogach. Lewą ręką regularnie uderzał tamtego w twarz i w brzuch. W końcu wydarł mu z rąk jego broń ciągłego rażenia i z bliska, starannie przejechał snopem promieni całe jego ciało. Jeszcze jeden cios w gardło i przeciwnik znieruchomiał. Zwycięzca jakby częściowo odzyskał możliwość posługiwania się prawą ręką. Wciągnął na siebie kamizelkę pokonanego.

W tym momencie była już blisko. Odbezpieczyła broń impulsową i strzeliła - od razu ostro. Z niewidocznej przeszkody posypały się iskry. Przesunęła się w bok i oddała drugi ostry strzał, chybiony o centymetry. Dopiero teraz ją zauważył - miał już na sobie dodatkową kamizelkę. Podniósł broń na wysokość oczu i na jej piersi wykwitł płomień. Nie odczuła nic, ale wiedziała, że drugie trafienie będzie już bardzo niebezpieczne. Strzelała raz po raz - osiem ostrych strzałów po kolei. Cztery razy trafiła.

Przeciwnik był jakby całkowicie sparaliżowany. Podbiegła, zabrała mu broń i zdarła kamizelkę. Po

namyśle zostawiła ją - była jeszcze bardziej przepalona, niż jej własna.

Patrzył na nią jakby ze zdziwieniem. Nie wzywał innych. Oddaliła się - straciła dziewięć ładunków, a jemu pozostały tylko trzy. O dwóch przeciwników mniej - zostało co najwyżej pięciu, ale poniosła niepotrzebną stratę. Usłyszała wezwanie.

- Uwaga ósmy, jestem w sektorze 2/99, trzymam szóstego w rogu. Zajdź go i zaatakuj od strony 1/98.

Odpowiedziała: - Idę, jestem daleko.

Szła szybko, ale uważnie rozglądała się na boki. Po kilku minutach znalazła się we właściwym sektorze. Zauważyła jednocześnie obydwu. Jeden z nich powiedział:

- Szósty to tamten w rogu. Proponuję: zajdziemy go jednocześnie z dwóch stron, wyeliminujemy go, a potem podzielimy wszystko między nas po połowie. Powiedz, czy się zgadzasz.

Nie podnosił broni. Jego ruchy były szybkie, jeszcze szybsze niż jej. Miał na sobie inną kamizelkę, błyszczącą metalicznie, też nieco nadpaloną.

- Zgadzam się - odpowiedziała.

W sytuacji stresowej mówiła zupełnie swobodnie. Dziwiło ją teraz, że w czasie widzenia ze Starcem nie mogła wypowiedzieć ani słowa.

Podchodzili do niego jednocześnie, nie chowając się za osłony. W końcu musiał znaleźć się w zasięgu jednego z nich. Wybrał ją - wyskoczył zza ciemnego ostrosłupa z podniesioną bronią ciąglego rażenia.

Odskoczyła i wystrzeliła kilkakrotnie. Trzeci strzał trafił w prawe przedramię. Ręka opadła bezwładnie, broń wysunęła się. W tym momencie pierwszy zaszedł go z tyłu i podciął. Leżącego kopnął kilkakrotnie w twarz. Pokonany znieruchomiał.

Rozpoznała stojącego nad nim. To właśnie z nim miała telewidzenie. Podniósł leżącą broń i odłożył. Odłożył również swoją.

- Połóż broń obok siebie - powiedział. - Dzielimy się według umowy.

Z obawą odłożyła obydwie przedmioty.

Powoli zbliżył się do niej. Nagle z całej siły uderzył ją w twarz. Zachwiała się. Drugie, trzecie uderzenie - upadła. Nie próbowała się bronić. Był od niej znacznie wyższy i cięższy. Stał nad nią przez chwilę, kopnął w twarz, w szyję, wreszcie skoczył całym ciężarem na brzuch. Czowała płynącą po wargach krew, całe ciało paliło.

- Nie wiedziałas, że zostaliśmy tylko my dwoje - wycedził. Wpatrywał się w leżącą z satysfakcją.

Ocknęła się w swoim pokoju mieszkalnym. Na ekranie widniały wyniki zabawy - zajęła drugie miejsce.

Wspomnienie doznanego bólu wydawało się nierealne. Dopiero gdy spostrzegła na swoim ciele sine plamy uwierzyła, że to było naprawdę.

Miała dość wszystkich zabaw, wszelkich kontaktów z ludźmi. Chciała żyć tak, jak przed tym wszystkim.

Przypomniała sobie o przerwanej projekcji fantomatycznej. Jak zawsze w takich momentach wydała dyspozycję wznowienia seansu.

Ostatni spośród zarządców opuścił salę audiencji. Pozostała w niej tylko ona, bogini - regentka i księżęta - każdy z promieniującą perłą. Dwóch uległo jej dobrowolnie, i była dla nich po prostu władcą. Umysły pozostałych musiały pozostawać w uśpieniu.

Aby nimi rządzić, podobnie jak prostymi żołnierzami, rzemieślnikami, pisarzami, nie wystarczało podanie celu, który by zaakceptowali. Jedyna znana przez nich reguła posłuszeństwa nie zapewniała optymalnie skutecznego działania zbiorowości. Musiała dać im prawo.

Rozwiązaniem zagadnienia, zapewniającym najwyższą skuteczność funkcjonowania całego państwa, było dwanaście podstawowych zasad prawa. Tworzące je zależności logiczne i algebraiczne były jednak

nierozumiałe nawet dla najbardziej oświeconych mieszkańców stolicy. Tylko dzięki perłom, kontrolującym myśli książąt, mogła im je objaśnić i przekazać część swojej wiedzy.

Pod jej kierownictwem przetłumaczyli zależności matematyczne na słowne przykazania, które powinny być zrozumiałe dla wszystkich. Gdyby w jakiejś sytuacji wynikające z nich rozstrzygnięcie nie było jednoznaczne, oni będą potrafili je interpretować.

Opracowane pisemnie zasady prawa brzmiały zawile, ale bardzo uroczyście. Od chwili ogłoszenia miały mieć bezwzględne pierwszeństwo przed wszystkimi dotychczasowymi zwyczajami i tradycjami.

O zmierzchu ogłosiła nowe prawo tłumom zgromadzonym przed główną bramą pałacu. Wszystkie światła wygaszono, tylko jej korona rozświetlała tęczowym blaskiem cały olbrzymi plac. Na zakończenie dodała:

- Do czasu decydującej walki żądam bezwzględnego posłuszeństwa prawu. Po zwycięstwie sami zadecydujecie, którzy spośród was będą wami rządzić.

Wkrótce potem podano do ogólnej wiadomości plany rozbudowy potencjału obronnego. Już niedługo państwo powinno być zdolne do stoczenia rozstrzygającej bitwy poza planetą. Realizacja przygotowań, jak zawsze, nie sprawiała kłopotów. Gdy stacje obserwacyjne, rozmieszczone poza planetami zewnętrznymi, doniosły o zbliżaniu się nieznanymi obiektów, wyruszyła na jednym spośród kilkudziesięciu identycznych statków na ich spotkanie. Korzystając z przewagi szybkości i możliwości manewrowania otoczyli gromadę potworów ze wszystkich sześciu stron i zamknęli w nieprzeniknionej powłoce pola siłowego.

Wewnątrz niej trwały pojedyncze starcia. Ze statków tryskały snopy promieni, a trafione potwory zamieniały się w ogniste kule. Gdy któryś ze stworów zbliżył się do statku, jego ściany ciemniały i roztopiały się. Kombinezony i ciała załogi również rozpuszczały się pod działaniem nieodpartej siły.

Tylko jednego potwora nie imał się ogień. Wyglądał tak samo, jak wszystkie, był jednak niezwycięzony. Gdyby odgadł wcześniej, w którym statku znajduje się bogini, oznaczałoby to zwycięstwo potworów. Musiałaby pozostawić swoje atrybuty władzy, by ocalić życie. Była człowiekiem - nie mogłaby żyć w próżni kosmicznej, gdyby jej statek został zniszczony.

Statków pozostało jednak wiele, a spośród potworów tylko ten jeden - równy bogom. Nie zdążył. Powłoka pola siłowego zaczęła się zmniejszać, wreszcie obejmowała już tylko potwora i jeden statek.

Generator impulsu hiperprzestrzennego, ani razu dotąd nie wypróbowany, nie zawiódł. Potwora i jeden statek sprowadzono na powierzchnię macierzystej planety. Pod kopułą pola siłowego; która przecięła wół pola, drzewa i budynki, miała rozegrać się decydująca walka.

Potwór rozjarzył swoją koronę. Była prawie taka sama, jak jej, też świeciła we wszystkich zakresach promieniowania. Rozstrzygnąć mogła tylko walka myśli. Ale potwór był sam, a wokół niej stało ośmiu z umysłami nastrojonymi do natychmiastowego przejęcia korony, gdyby przegrała.

Krótko pozostawali naprzeciw siebie w bezruchu. Czekala na pierwsze uderzenie. Nie nastąpiło.

Każda korona mogła w dowolnej sytuacji wynieść swojego posiadacza w dowolne miejsce impulsem hiperprzestrzennym. Ale sama pozostawała.

Władca potworów ocenił z góry, że przegra. Pozostawił swoją koronę, która wyniosła go daleko w pustkę. Stał się zwykłym potworem, błakającym się gdzieś w otchłaniach zwykłej przestrzeni.

Jeszcze przez pewien czas kopuła pola utrzymywała się ponad nimi. Książęta, uwolnieni spod władzy jej myśli, patrzyli na nią nie wiedząc, gdzie się znaleźli. Ich perły zmatowiały, a później zupełnie znikły.

Gdy kopuła pola siłowego rozplynęła się, udali się na plac przed główną bramą pałacu. Na widocznym miejscu umieszczono koronę władcy potworów. Wkrótce przygotowano nadajniki telepatyczne - i wezwano wszystkich mieszkańców stolicy.

Przemówiła:

- Odnieśliśmy zwycięstwo, teraz trzeba przygotować się do rozwiązania nękających was od dawna problemów i życia w pokoju. Ci spośród was, którzy czują się godni, mogą stanąć tu, przed nadajnikami telepatycznymi. Każdy, gdziekolwiek by przebywał, będzie mógł poznać wszystkie myśli stojącego tu człowieka i osądzić, czy chce go za władcę. Ale przedtem ustanowicie swoje prawa.

Jak zwykle po zakończeniu seansu odczuwała pewien niedosyt - co byłoby dalej? Projekcje fantomatyczne nie mogły mieć ciągu dalszego, kolejnych odcinków - każda stanowiła zamkniętą całość, ukierunkowaną na przekazanie pewnych pojęć i treści.

Z rozmarzenia powoli przeszła w stan spokojnego zadowolenia i zasnęła.

Przebudzenie było dla niej ulgą. Koszmary, które nie nawiedzały jej już od lat - wykrzywiona w sadystycznym uśmiechu twarz oprawcy w koronie - rozwiały się momentalnie.

Jak zawsze po przebudzeniu ujrzała na ekranie zestawienie projekcji fantomatycznych dla dwunastolatków. Po przejrzaniu tytułów chciała uzyskać charakterystykę kilku projekcji, lecz nagle na ekranie ukazał się sygnał wywoławczy człowieka z innego świata. W pierwszym odruchu chciała zabronić połączenia. Wiedziała już, że można to zrobić. Przeważało jednak wspomnienie niecierpliwości, z jaką czekała na to widzenie. Szybko wystukała zapytanie: czy mogę zabronić, żeby mnie dotykał?

Odpowiedź ukazała się na ekranie natychmiast:

- Tak. Czy zabraniasz człowiekowi o podanym numerze dotykania? Po trzech miesiącach zakaz trzeba odnowić - Czy łączyć?

Teraz odpowiedziała głosem.

- Tak. Zgadzam się na telewidzenie.

Napisy znikły i ukazała się postać Starca. Wyglądał teraz zupełnie inaczej, niż podczas poprzedniego widzenia - dopiero po chwili zorientowała się, że był tylko inaczej ubrany. Nie był teraz w swoim pokoju mieszkalnym, jak poprzednio, a stał na rozległej polanie. Trawa, drzewa, błękitne niebo - podobnie, jak w niektórych projekcjach fantomatycznych.

Starzec odezwał się pierwszy.

- Myślałem o tobie dużo od czasu ostatniego widzenia. Chciałbym ci zaproponować, żebyśmy spotkali się - pokazałbym ci, co robili ludzie w dawnych czasach, gdy twój świat jeszcze nie istniał. Czy wolisz, żebym przyszedł do ciebie, czy masz inne ulubione miejsca w swoim świecie?

- Możesz do mnie przyjść, ale pod warunkiem, że nie będziesz mnie włączać do żadnych zabaw.

Spostrzegł już uprzednio sine plamy na jej ciele, i był tym trochę zaniepokojony.

- Nie chciałem ci proponować żadnych zabaw. Myślę, że byłoby dla ciebie interesujące poznać zwyczaje dawnych, pierwotnych ludzi - to pozwoli lepiej zrozumieć tych, którzy cię otaczają. Chciałbym też, żebyśmy porozmawiali o wszystkim - o tym, co ciebie i mnie ciekawi, o twoim i o moim świecie.

- Dobrze, przyjdź tu.

- Będę za kilka minut.

Tych kilku minut potrzebował, by zapoznać się z przebiegiem zabawy, w której wzięła udział. Uczestnicy nie skorzystali z możliwości zastrzeżenia prywatności i każdy mógł obejrzeć dowolny fragment zabawy. Takie zabawy były pierwszym etapem formowania się więzi społecznych przy programie kształcenia, przewidzianym dla pierwszych stu tysięcy światów generacji K.

Kontakty z innymi ludźmi podejmowały trzynastolatki - w trzy lata po osiągnięciu dojrzałości psychicznej. Różnice nie przekraczały miesięcy.

Jego telewizyta zakłóciła normalny bieg rzeczy - nie spodziewał się tego. Plan nawiązania więzi uczuciowej ze Śnieżką - tak ją w myśli nazywał - nie był już stuprocentowo pewny. To sprawiało, że jego realizacja mogła być ciekawsza, niż przewidywał uprzednio. Jeżeli się nie powiedzie, spróbuje z kimś

innym, na innym, podobnym świecie.

Synchronizator - okno na inne światy - znajdował się przed nim, u brzegu rzeki. Stał w takim miejscu, że Śnieżka go nie widziała. Momentalnie przeniósł się do świata Śnieżki. Ten świat był prawie taki sam, jak jego macierzysta, stara Ziemia - takie samo zakole rzeki, identyczna kopuła synchronizatora. Tylko oznaczenie K-10723 świadczyło, że od Starego Świata dzieli go więcej, niż parseki.

Glider czekał już na niego. Podróż miała trwać dwie minuty, więc po zajęciu miejsca w kabynie zamówił odpowiednio skrócony serwis wiadomości ze świata B-18. Najważniejsze były rezultaty kolejnego plebiscytu w sprawie modyfikacji praw człowieka. Prawa te były z założenia niezmiennie i niemożliwe do naruszania. Ale tam, na B-18 wierzyli, że wszystko, co człowiek zamierzy, zostanie wcześniej czy później osiągnięte - nawet modyfikacja praw człowieka, gwarantowanych przez wszystkie systemy nadzorcze i informacyjne wszystkich światów.

Glider zatrzymał się przed pokojem Śnieżki. Drzwi pokoju i glidera rozsunęły się jednocześnie. Dziewczyna stała na tle wygasłego ekranu; wyglądało, jakby już od dawna czekała na niego. Gdy wszedł, usiadła z wyrazem zdziwienia na twarzy.

Zupełnie się nie spodziewała, że Starzec jest właśnie taki. Od niedawna wiedziała o istnieniu płci, wiedziała, że mężczyźni są wyżsi i silniejsi, że ludzie rosną z wiekiem. Tymczasem Starzec był od niej wyraźnie niższy i znacznie słabiej zbudowany, co wobec jej obawy powtórzenia się zabawy wydawało się śmieszne. Wstała i podeszła, by pchnąć go na drzwi. W momencie, gdy miała go dotknąć, odczuła nieprzyjemny wstrząs, a na ekranie wyświetlił się komunikat o zamierzonym naruszeniu jednego z praw człowieka.

Starzec wypowiedział krótko: - Nie zgłaszam zastrzeżeń.

Chciał ją objąć i usiąść obok, ale nie mógł jej dotknąć. Komunikat tym razem słowny: naruszenie zakazu ustanowionego przez gospodarza.

Śnieżka wybuchła śmiechem i usiadła sama.

- Odwołuję zakaz.

Starzec usiadł naprzeciw niej.

- Powiedz, dlaczego jesteś taki mały? Wiem, że ja sama jestem niska i drobna, ale tak drobnych, jak ty, jest chyba niewielu.

- Masz rację, Śnieżko. Jestem jednak bardzo stary, a w czasach, gdy się urodziłem i wychowałem, ludzie byli właśnie tacy.

- Śnieżko? Dlaczego jestem Śnieżką?

- Nadałem ci właśnie takie imię. Jest to imię dziewczynki z bajki - jej postać to jedno z moich najdawniejszych wspomnień. W moich czasach nie było fantomatyki - zamiast tego były książki i filmy. Chcesz obejrzeć ilustrację, na której jest Śnieżka? Podeszedł do informatora i podał odpowiednie zlecenie. Ze ściany wysunęła się niewielka książeczka. Wzięła ją i zaczęła przeglądać z zainteresowaniem. Czytała szybko. Po chwili widać było jej rozczarowanie.

- Ale to głupie i nudne. Sama potrafiłabym wymyślić ciekawsze teksty i ładniejsze ilustracje.

- Ja też - dodał starzec. - Ale to dla pięciolatek i to z czasów, gdy dzieci rozwijały się wolniej. Tym niemniej całkowicie zgadzam się z tobą, że fantomatyka jest dużo lepsza. Te czasy są lepsze, niż czasy mojego dzieciństwa - można mieć wszystko, co wtedy, i jeszcze więcej.

- A dlaczego jestem Śnieżką?

- U nas, w Starym Świecie, każdy ma imię. Nawet kilka. Ludzie, którzy znają się osobiście i lubią się, używają w rozmowie imion, a nie numerów identyfikacyjnych.

- A ja będę mówiła do ciebie Starzec.

- Mam imię, ale... dobrze. Niech będę Starcem. Chyba domyślasz się, dlaczego chciałem poznać

właśnie siebie, a raczej kogoś takiego, jak ty - bez obciążeń kontaktami z ludźmi.

- Już mam te obciążenia. Popatrz na mnie. Udał, że zauważył to dopiero teraz.

- Kto ci to zrobił?

- To w czasie zabawy. Nie lubię zabaw.

- Są przecież różne zabawy. Niektóre na pewno ci się spodobają.

- Czy mógłbyś zdjąć ubranie? Czy kiedyś przeżyłeś coś podobnego?

Po chwili zastanowienia zdjął całą odzież i rzucił w ścianę. Wchłonęła wszystko bezszelestnie.

- Tak, chociaż już nie ma po tym śladów. Nawet jeszcze gorsze rzeczy, i to w czasie, gdy nie było jeszcze praw człowieka. Ty poszłaś na zabawę z własnej woli, a ja wiele razy musiałem brać udział w jeszcze gorszych zabawach. Ale ślady zostały już tylko w pamięci. Twoje też znikną za kilka dni.

W miarę, jak wpatrywał się w nią, narastało podniecenie. Jej jasne, proste włosy ograniczały nieco ciemniejszą, jakby opaloną twarz i sięgały aż do pasa. Nie miała domieszki krwi innych, niż biała odmiana gatunku ludzkiego - rzadkość w światach późniejszych generacji. Całą siłą woli musiał powstrzymać się, by nie zbliżyć się do niej.

- Czy wiesz, jak odżywiano się za moich czasów?

- Nie. Ale domyślam się, że ludzie wchłaniali pożywienie ustami.

- Spróbujmy teraz. Może ci się spodoba.

Zamówił trochę słodyczy i owoców. Dobrał je tak, że były dla niego lekkim inhibitorem seksualnym. Zachęcił ją do spróbowania. Smakowało. Gdy skończyli, chciała nawet zamówić więcej, ale odradził to.

- Lepiej za kilka godzin. Organizm człowieka jest tak ukształtowany, że teraz by ci już nie smakowało. Możemy spróbować czegoś innego, niż jedzenie. Tak, jak ludzie rozmnażali się za dawnych czasów. Będzie trochę bolało, ale później - za kilka tygodni - będzie sprawiać znacznie większą przyjemność, niż jedzenie.

- A czy ty - czy zawsze, gdy tylko sprawia ci to przyjemność, jesz i... rozmnażasz się?

- Nie zawsze.

- Muszę dowiedzieć się czegoś więcej, zanim zdecyduję się zrezygnować z ochrony praw człowieka.

- To wprawdzie będzie boleć, ale nie wymaga deklarowania rezygnacji z żadnych praw człowieka.

- Tak? Dobrze, zgadzam się. Prawa człowieka są dobre i nikomu nie stanie się nic złego pod ich ochroną.

Włączył melodię, którą skomponował specjalnie na tę okazję. Usiadł przy niej, delikatnie położył ją na plecy. Była całkowicie uległa - czekała nieruchomo, gdy ją pieścił. Ból zniosła spokojnie. Nawet później, w kulminacyjnym momencie nie powiedziała ani słowa - oddychała tylko nieco szybciej.

Odoczywali, leżąc obok siebie. Po kilku minutach chciał już wrócić do swojego pokoju na swoim świecie, i zająć się swoimi sprawami. Wiedział jednak, że nie powinien. Powinna być przeświadczona, że pierwsze zbliżenie jest czymś ważnym i uroczystym także dla partnera. Zapytał Śnieżkę?

- Który świat wybierzemy dla naszego dziecka? Czy wolisz, żeby to było zdecydowane bez nas?

- Jak to: który świat?

- Nie może żyć w twoim świecie ani tym bardziej w moim. Ale możemy wybrać dowolny świat generacji L, a nawet przygotować świat specjalnie dla niego - świat, w którym będzie najstarszy. Chyba wiesz, jak generuje się światy. Tego, co dawniej ludzie poznawali krok po kroku, ty nauczyłaś się bez trudu w czasie któregoś seansu fantomatycznego. Znasz zależność podstawową - w czasie, gdy ja byłem w twoim wieku, nie znano żadnych z pięciu pojęć, którymi jest wyrażona. Fizyka naszego wszechświata jest funkcjonalem spełniającym tę zależność. Rozwiązania tego funkcjonala to różne funkcje, odpowiadające różnym wszechświatom, w których obowiązuje ta sama fizyka. Świat - to część wszechświata bliska Ziemi. Możemy stworzyć świat, w którym tylko wybrane przez nas szczegóły będą

inne niż w Starym Świecie czy K-10723. Najważniejsi są ludzie, którzy tam zamieszkają - powielanie ludzi jest zabronione przez prawa człowieka.

- Czy na innych światach są inne projekcje fantomatyczne?

- Światy młodszych generacji są podzielone na grupy. W pierwszych stu tysiącach światów generacji K program kształcenia fantomatycznego jest ten sam. Nie tylko to: wszystko jest identyczne - oprócz mieszkańców. Programy mogą mieć orientację ogólną - jak w twoim świecie, albo być ukierunkowane na różne funkcje czy nawet jeszcze bardziej szczegółowo. Ale żaden z nich nie jest podobny do tych, które dawniej obowiązywały w Starym Świecie. Wszystkie te informacje dotyczące właściwości naszej funkcji podstawowej można było już wtedy znaleźć w książkach, gdyby były do czegoś potrzebne. A zdecydowana większość wiadomości, które trzeba było sobie przyswoić, nie mogła być w ogóle do niczego przydatna.

- To strata czasu.

- Teraz już nie tak oczywista, jak wtedy. Wówczas były pilne potrzeby, których zaspokojenie wymagało ludzkiego czasu - nie było gdzie mieszkać, co jeść - a wtedy ludzie musieli jeść. Bez tego umierali. A teraz już od dawna nikt nie umiera, Śnieżko.

- Tyle wiesz - chyba wszystko, co ja, i jeszcze o wiele więcej...

- Przez kilka lat możesz nauczyć się tego, co ja przez kilkadziesiąt. Jesteś młoda... Chyba nawet nie wiesz, jak wiele dla mnie zrobiłaś - dla Starca ze Starego Świata. Nie będę ci już zabierać więcej czasu; możesz mnie wezwać, kiedy zechcesz - czekam.

Wstał i zadysponował zwrot swojego ubrania. Ucałował ją i wyszedł. Ubrał się już w gliderze.

Nie powtórzy błędu, który spowodował taką komplikację - jej rozmowy będą mieć bezwzględne pierwszeństwo. Może Śnieżka zapomni o tym, że tyle osób czekało na widzenie z nim? Chciał zapoczątkować łańcuch informacji, który wywołałby przeświadczenie, że starość jest czymś godnym pożałowania, że starcy muszą zebrać nie tylko o miłość, ale nawet o normalne traktowanie. Takie przekonanie miało rozpowszechnić się w świecie K-10723 i w ten sposób zwiększyć różnorodność postaw i umysłowości jego mieszkańców.

Śnieżka pozostawała rozmarzona. Było tyle prawdziwych doznań i przeżyć, których jeszcze nie znała! Przeczuwała, że otaczający ją realny świat może ją zafascynować. Zapragnęła dowiedzieć się, w jaki sposób powstał, dlaczego jest taki, jaki jest. Poprosiła o informacje i kilkuminutowe autentyczne projekcje z tych okresów, które wydawały się jej najważniejsze, przełomowe w historii.

Najpierw - o stworzeniu jej świata. Wiedziała, że jest to świat typowy, jeden z miliardów, ale miała nadzieję, że wiąże się z nim coś niepowtarzalnego.

Zamiast projekcji ograniczającej cały jej umysł był tylko obraz i dźwięk - schematy i dodatkowe objaśnienia, ilustrowane filmami. Nie traciła poczucia rzeczywistości - że znajduje się w swoim pokoju, że przed kilku minutami był u niej Starzec.

Z odległej perspektywy ujrzała okazały kompleks gmachów. Później - z bliska kilka urzędów i pomieszczeń, w których krzątali się ludzie. Całe miasteczko było sterownią olbrzymiego agregatu, krążącego wokół Ziemi jednego ze światów generacji J. Wykonywano tu obliczenia, które miały na celu zobrazowanie wszystkim planów i wyobrażeń różnych osób, umożliwienie ich modyfikacji i uwidocznienie sprzeczności pomiędzy różnymi wyobrażeniami. Plan jej świata powstał nie tak dawno - kilkanaście lat temu. Po zakończeniu cyklu przygotowań i prezentacji gotowej już koncepcji nowego modelu świata agregat szybujący na orbicie zaczął funkcjonować - wypełniać parametrami odpowiednią funkcję prawdopodobieństwa, czyli tworzyć nowe wszechświaty. Właściwie „tworzyć” nie było trafnym określeniem - ściśle przygotowanie naukowe Śnieżki narzucało jednoznacznie myśl, że wszystko, co może istnieć - istnieje, że problem jest tylko w zapewnieniu pełnej interakcji tego, co mogłoby być z tym, co

jest - nowych i starych światów. Nowe światy były tylko modelowane w agregacie - przecież nieskończenie dokładny opis czegokolwiek jest właśnie tym czymś. Tworzono tylko linie komunikacyjne, którymi można było przysyłać informacje do wnętrza modelu i pobierać stamtąd inne, dowolne informacje - które w generowanym świecie były energią, ludźmi.

Gdy sto tysięcy światów wybranych spośród nieskończonej liczby możliwych było już gotowe na przyjęcie mieszkańców, rozpoczęło się zasiedlanie. Embriony, pobrane z ciał matek, przenoszono na nowe światy i tam umieszczano w odpowiednich pojemnikach. Bez bolesnego szoku narodzin embriony stawały się dziećmi i później dorosłymi ludźmi. Każdy spośród nich miał możliwość nawiązania kontaktu z kimkolwiek innym, na którymkolwiek świecie - było to jednym z praw człowieka. Zobaczyła, jak zasiedlono jej świat, jakie obowiązywały kryteria doboru rodziców - o ile zapłodnienie nie odbyło się w sposób naturalny, jakie były granice ingerencji genetycznej - nieprzekraczalne, bo też określone przez prawa człowieka. Cofała się w przeszłość. Zaskoczyło ją, że prawa człowieka nie są odwieczne ani niezmiennie. Obejrzała kronikę ich proklamacji.

Było to jeszcze wtedy, gdy istniał tylko jeden świat - stara Ziemia. W miarę postępu techniki coraz bardziej oczywista stawała się możliwość opracowania systemu, który zapewniłby pełną kontrolę nad ludzkością. Od tego, kto będzie nim dysponować, zależała jej przyszłość. Wybrano wariant, który miał dać wszystkim wolność poszukiwania szczęścia - gwarantować prawa człowieka.

Było jednak wiadomo, że jakakolwiek redakcja zasad funkcjonowania systemu byłaby niepełna, nie mogłaby objąć wszystkich możliwych wariantów przyszłości, przewidzieć rozwiązania wszystkich możliwych problemów. Prawa człowieka miały na zawsze pozostać żywe, rozwijać się w miarę rozwoju ludzkości, więc i system miał mieć cechy żywej inteligencji. Rozwiązanie mogło być tylko jedno. Starannie wybrana grupa ludzi - najwybitniejsi przedstawiciele owej epoki - zrezygnowali z człowieczeństwa, by ich osobowość roztopiła się w obwodach decyzyjnych systemu. Systemu, który odtąd miał kontrolować wszystko, co mogło mieć jakikolwiek związek z ludźmi. Na placu, na którym proklamowano prawa człowieka stanął szereg pomników - tych, których martwe ciała pochłonęło Słońce Starego Świata. Z ich umysłów pozostało tylko to, co nie mogło przeszkadzać prawidłowemu, obiektywnemu funkcjonowaniu systemu.

Generacja nowych światów nastąpiła później. Była jedynym sposobem realizacji jednego z praw, jeszcze starszego, niż prawa człowieka - prawa do posiadania potomstwa. Prawa, które przedtem wydawało się niemożliwe do zagwarantowania.

Cofnęła się jeszcze wcześniej - w czasy, gdy urodził się Starzec. Było to jeszcze przed pierwszym progiem rozwoju cywilizacji - gdy nikt nie uświadamiał sobie, że wszystkie marzenia ludzkości mogą być i zostaną zrealizowane. Także marzenia każdego człowieka z osobna, o ile były wewnętrznie niesprzeczne i zgodne z prawami człowieka. W tych czasach ludzie umierali, a to, co czekało większość z nich przed śmiercią, było straszne.

Beznadziejność życia, które niedługo się zakończy, gdy z każdym rokiem człowiek tracił swoje skromne możliwości intelektualne i fizyczne - to było nie do wyobrażenia. Pojęła, co wówczas znaczyła starość - gdy człowiek nie mógł nawet pojąć przekształceń, które powoli zmieniały świat na lepsze, ale nie dla niego.

Straszna była nie tylko starość. Całe życie, pełne nie zaspokojonych i niemożliwych do zaspokojenia pragnień, nieuchronność cierpienia - było znacznie bardziej okrutne, niż jej ostatnia zabawa, która przecież miała początek i koniec.

Śnieżka myślała trochę innymi kategoriami, ale taki był całkowicie jednoznaczny obraz dwudziestego wieku, który wyłonił się po uzyskaniu prawdziwych odpowiedzi na precyzyjnie postawione pytania.

Wszystko to było odległą przeszłością, ale ta przeszłość pozostawała żywa w pamięci Starca. O ile

poprzednio do kontaktów ze Starcem pchała ją ciekawość, o tyle teraz mogła ją do tego skłonić tylko litość.

Informacje o jeszcze odleglejszej przeszłości były dla niej neutralne emocjonalnie, jakby abstrakcyjne. Dotyczyły ludzi, a jednak nie poruszały jej uczuć. Prehistoria nie interesowała jej wcale. Zastanowiła się przez moment, czy wcisnąć klawisz informacji fantomatycznej. Chęć wyjaśnienia, jacy są ludzie, pośród których żyje, była jednak silniejsza.

Zamówiła telewidzenie z przeciętnym mieszkańcem jej świata. Informator przez moment nie zareagował - z odczuwalnym opóźnieniem zadał pytanie: pod jakim względem przeciętnym.

To ją trochę zaskoczyło - nie wiedziała, jak uściślić dyspozycję. Po kilku sekundach zwłoki system informacyjny sam zdecydował i na ekranie ukazał się sygnał wywoławczy, po czym wewnątrz pokoju mieszkalnego.

Przeciętny mieszkaniec świata K-10723 miał trzy lata. Jego wesoła twarzą wyrażała się sympatyczna. Przedstawiła mu się, używając podobnych słów, co Starzec w stosunku do niej.

Dziecko przez chwilę patrzyło w skupieniu, a później zaczęło opowiadać treść jakiejś infantylnej projekcji fantomatycznej. Pomyślała z ironią, że mówi lepiej, niż ona za pierwszym razem. Gdy zaczęło objaśniać, jak rozwiązuje się równania różniczkowe drugiego rzędu, przerwała połączenie.

Włączyła program informacyjny o rozwoju psychofizycznym człowieka. Już po kilku minutach wiedziała, czego chciała. Dopiero w wieku dziesięciu lat dziecko staje się dorosłym człowiekiem i nabywa wszystkie prawa, a właściwie możliwość rezygnacji z niektórych praw. Nie było sensu kontaktować się z dziećmi.

Zapamiętała z rozmowy ze Starcem, że są różne zabawy i gry - także takie, po których pozostaje się pod pełną ochroną praw człowieka. Poprosiła kilka opisów, po czym wybrała jedną z gier - czysto umysłową. Wiedziała, że jako stosunkowo niska i drobna miałaby w innych niewielkie szanse powodzenia.

Przekazała swoje zgłoszenie przez informator. Rozpoczęcie gry miało nastąpić za godzinę, ale musiała jechać dość daleko - na inny kontynent. Pół godziny na dojazd.

Ponieważ zaciekały ją stroje z dawnych epok, poprosiła o ich bardziej szczegółowe opisy. Na tej podstawie obmyśliła strój dla siebie - efektowny, kolorowy. Dopracowanie szczegółów zajęło jej zbywający czas.

Zamówienie, jak zawsze, zostało zrealizowane błyskawicznie. Dowolne zalecenie wystarczało, aby strój został wykonany, przy czym nie podane szczegóły były ustalane według ogólnie przyjętych zasad.

Trochę się namęczyła, zanim włożyła na siebie cały kostium. W chwilę później wsiadła do glidera, który czekał już od kilku minut.

Siedząc we wnętrzu pojazdu poprosiła o charakterystykę uczestników gry. Oprócz niej było trzech mężczyzn i dwie kobiety; wszyscy nieco starsi od niej, i wszyscy znali już tę grę. Gdy przeglądała hologramy z ich podobiznami, zwróciła szczególną uwagę na czarnowłosego, skośnookiego chłopca. Był jedynym - oprócz niej - przedstawicielem czystej odmiany w tej grupie. Pomyślała, że chciałaby, żeby przyszedł do niej tak, jak Starzec.

Gra miała odbyć się w stosunkowo małej sali, czworo siedziało już w fotelach wokół dużego stołu, mając przed sobą niewielkie pulpity z monitorami. Wszyscy mogli widzieć swoje twarze. Zajęła miejsce w jednym z dwóch wolnych foteli. Jedna z kobiet, fantazyjnie ubrana, powstrzymała ją.

- Jesteś Śnieżka? To miejsce należy tradycyjnie do Alfa, usiądź tam obok.

Gdy podniosła się, wszedł Alf. Był to ten najstarszy i najwyższy. Podniósł rękę do góry.

- Pomyślności. Już jesteście - Berta, Korn, Armida, ta mała to chyba Śnieżka i Artur. To co, zaczynamy? I Kom mruknął coś, po czym powiedział głośno.

- Tym razem nie wygrasz. Nie będę z tobą wchodzić w koalicję, Berta też nie.

- Zobaczymy.

Alf wcisnął klawisz pośrodku stołu. Cała jego powierzchnia zaświeciła kolorowymi znakami.

We wstępnym etapie gry Śnieżka wypadła bardzo źle. Sytuacja na planszy była taka, że powinna odpaść w ciągu kilku minut. Prawdopodobieństwo wygrania, wyświetlane przed nią na monitorze, zaczynało się od trzech zer. Pomyślała, że biorąc pod uwagę to, że wszyscy oprócz niej dobrze znają tę grę, może dodać sobie czwarte. Utrzymywała się w grze dość długo jedynie dzięki temu, że nikomu nie opłacało się jej wyeliminować.

Propozycje koalicji podawano głosem, całość analizy trzeba było prowadzić w pamięci. Już w pierwszej minucie zorientowała się, że Korn i Berta rzeczywiście grają przeciw Alfowi. W miarę rozwoju sytuacji liczby obrazujące prawdopodobieństwo zwycięstwa Korna i Bertę malały; Alfa również, ale wolniej. Szanse pozostałych dwojga - oprócz Śnieżki - rosły.

Na monitorze widać było, że po zakończeniu kolejki każdego z graczy jego szanse trochę malały. Każdy robił błędy. Śnieżka najpoważniejsze, i dopiero poniewczasie domyślała się, na czym polegały niektóre z nich.

W pewnym momencie szansę Armidy wzrosły do prawie czterdziestu procent. Dotąd grała pasywnie, gromadząc rezerwy. Teraz rzuciła je wszystkie. To było prawidłowe zagranie - jej prawdopodobieństwo zwycięstwa utrzymało się. To był atak na wszystkich. Miała spore szanse, by szybko wyeliminować najważniejszych przeciwników. Wynik zależał w dużym stopniu od czynnika losowego.

Śnieżka odpadła od razu. Wkrótce po niej - Korn i Berta. Ukształtowała się stosunkowo stabilna sytuacja z przewagą Armidy. Alf zaproponował.

- Wyłączmy nasze monitory, będzie ciekawiej.

Ci, którzy odpadli w dalszym ciągu mogli analizować zmiany prawdopodobieństw i błędy tych, którzy jeszcze grali. Armida i Artur nie wykorzystali kilku możliwości ataku, który mógłby zakończyć się powodzeniem. Za to Alf zaatakował niebezpiecznie - jego szansę zmalowały z trzydziestu na dwadzieścia kilka procent. Po długim okresie spokojnej gry pewnie zaatakowała Armida. Alf wypadł od razu, Artur po jeszcze kilku kolejkach.

Po zakończeniu gry Alf objął Armidę.

- Pogratulować zwycięzcy - moja szkoła! A teraz zobaczymy, ile kto zrobił błędów.

Było tak, jak wszyscy przypuszczali - Śnieżka najwięcej, Alf najmniej. Korn zauważył jednak:

- Trochę nie tak było. Przecież system operacyjny nie odróżniłby, co było błędem, a co zagrywką taktyczną przeciwko tobie nawet, gdybyś przez dwie godziny wymyślał odpowiednie instrukcje.

- Po prostu takie zagrywki taktyczne to błędy - odparł Alf.

- Powiedziałem, że tym razem nie wygrasz. Inaczej nie udałoby się do tego doprowadzić. Kiedy ostatni raz odpadłeś w tej grze?

- Dwa miesiące temu, ale to był inny poziom. Otwarte mistrzostwa 1-8238892, z pięciostopniowymi eliminacjami. Tam byłem beniaminkiem wśród starych wygów. A teraz proponuję, żebyśmy poszli na chwilę mocnych wrażeń.

Przeszli do sąsiedniej sali. Śnieżka, po chwili wahania, jako ostatnia. Gdy drzwi zamknęły się za nią, w sali wybuchł nieopisany hałas. Silne, kolorowe światła raziły błyskami aż do bólu. Odczuwała na przemian zimne i gorące podmuchy. Alf z Armidą trzymali się za ręce, Korn i Berta stali blisko przy sobie.

Podeszła do Artura. Zadarła głowę i przekrzykując hałas powiedziała.

- Artur, jak to wszystko się skończy, przyjedź do mnie.

- Po co jechać, lepiej tutaj.

Silne wrażenia trwały kilka minut. Pozostało przyjemne ciepło i słaba, czerwona poświata. Alf podał wszystkim po jednej pigułce.

- Moja nowa mieszanka, jeszcze nie próbowałem.

Sam też zażył pigułkę. Zaprowadził Armidę w odległy kąt.

Śnieżka odczuła gwałtowny przypływ podniecenia. Przyciągnęła do siebie Artura...

To dopiero było przeżycie. Po spotkaniu ze Starcem nawet nie domyślała się, że można odczuwać tak silną przyjemność.

Najdłużej współżyli Alf z Armidą. Dopiero, gdy skończyli, światło stało się silniejsze i zmieniło barwę na białą.

Śnieżka leżała z głową na ramieniu Artura.

- Chciałam, żebyś przyszedł do mnie, żebyśmy jedli ustami, jak ludzie w Starym Świecie, ale tak było lepiej. Było wspaniale.

- Ale komplement - muszę powtórzyć Alfowi, bo jego pigułka miała tu chyba większy wpływ niż ja. Ale dla mnie było zupełnie normalnie.

Podeszli do Alfa i położyli się obok tamtej pary. Artur zaczął rozmowę.

- Wiesz co, Śnieżka też jest fanatykiem Starego Świata. Przed chwilą mi to powiedziała. A ty, Śnieżko, znalazłaś się wśród nas całkiem przypadkowo. Jona, szósta z naszego kółka, miała na dziś inne plany. Mieliśmy wątpliwości, czy brać taką młodą, jak ty, czy czekać na inne zgłoszenia. Alf uznał, że będziesz się nadawać.

- Tak chciałem dziś zagrać, że wziąłbym nawet dziewicę i później sam bym się z nią męczył.

To zdziwiło Śnieżkę. Starzec mówił, że pierwsze zbliżenie jest ważnym przeżyciem także dla partnera.

- Alf, ironizujesz?

- Trochę, ale nie przesadzam. Jona mogłaby potwierdzić. - Ale powiedz, Śnieżko, kto był twoim pierwszym partnerem i dlaczego nie zostałaś w tamtym kółku?

- To był... Starzec.

- Starzec? Za pierwszym razem każdy wydaje się starcem. Ile miał lat?

- Ze czterysta.

- Nie kłamiesz? Mogę sprawdzić?

- Sprawdź jak chcesz.

Alf wstał i przywołał ruchomy informator.

- Powtórz, że mogę sprawdzić, kto był twoim pierwszym.

- Pozwalam.

Napis, który pojawił się na ekranie zaszokował wszystkich, ale najbardziej Alfa.

- Byłaś w Starym Świecie?

- Nie.

- Ja też nie. Nikt mnie nie chciał tam zaprosić. Musiałbym czekać ze dwadzieścia lat na taką atrakcję.

Czy masz u niego preferencję osobistą na telewidzenie?

- Nie wiem.

- To chyba nie. Raz przyszedł sobie i wystarczyło mu. Ale pamiętaj, że gdybyś kiedyś mogła wziąć mnie na Stary Świat, będę twój, kiedy tylko zechcesz.

Śnieżka była zadowolona. Czuła, że została zaakceptowana w tej grupie, że będzie mogła znowu kiedyś przyjść i spotkać się z nimi - ma już znajomych. Przy pożegnaniu wszyscy pieścili się nawzajem.

Cafy półgodzinny powrót spędziła pogrążona w rozmyślaniach. W swoim pokoju rzuciła się na sofę i zasnęła.

Po przebudzeniu czekały ją aż cztery telewizoria. Alf, Artur, Starzec i ten chyba bezimienny, który zabił ją podczas zabawy. Zaczęła od tego ostatniego.

- Gdzie byłaś? Chciałem ci zaproponować zabawę - zacznie się już niedługo.

- Wolę inne zabawy.

- Wtedy tak dobrze ci poszło... Ale nic nie skorzystałaś. Przynajmniej trzech mogłaś wykończyć. To musi być satysfakcja dla takiej małej dziewczynki - wykończyć chłopca dwa razy większego od niej... Pomyślałem sobie, że może wolisz, jak ciebie wykańczają...

- Nie. Ani tak, ani tak, i dlatego twoja zabawa mnie nie interesuje.

- Znalazłaś już narzeczonego? Jeżeli tak, możemy spróbować ze sobą. Przyjdiesz do mnie. Będzie trochę bolało, ale nie aż do śmierci. Widzisz, zanim rozmiękczę normalną dziewczynę jestem już tak zmęczony, że nie mam satysfakcji ze współżycia. Ale taka mała jak ty... Na pewno spodoba ci się.

- Miała dość. Przerwała połączenie. Pierwszy raz, zupełnie bezwiednie, wydała dyspozycję głosem.

- Nie chcę go widzieć, nie chcę mieć nic wspólnego z nim ani z jemu podobnymi.

- Dyspozycja nieprecyzyjna - jak interpretować - z jemu podobnymi?

- Z tymi, którym sprawia satysfakcję zadawanie bólu.

- Dyspozycja przyjęta. Zakaz połączeń dla osoby z ostatniego telewizora i dla wszystkich o silniejszych skłonnościach sadystycznych. Zakaz obejmuje 15% mieszkańców świata K-10723 i 13% mieszkańców wszystkich światów. Po dziesięciu dniach zakaz trzeba odnowić.

Na monitorze pozostał tylko jeden numer identyfikacyjny - Starca. To ją zdziwiło.

- Czy Alf i Artur zostali objęci ostatnim zakazem połączeń?

- Tak.

- To ograniczam zakaz do jednej, wymienionej osoby.

Nie mogła pojąć, że tym czułym, miłym chłopakom cierpienie innych mogło dawać satysfakcję. Domyślała się, że nieporozumienie wiązało się z subtelnościami odcieni znaczeniowych użytych słów.

Zadysponowała połączenie ze Starcem.

- Witaj, Śnieżko. Cieszę się, że po tym wszystkim, czego dowiedziałaś się o przeszłości, chcesz ze mną rozmawiać.

- Tylko rozmawiać. Lubię cię, ale współżyć wolę z kimś młodszym i lepiej zbudowanym.

- Domyślałem się tego. Może posłuchasz melodii, którą ułożyłem specjalnie dla ciebie?

Śnieżka miała już przemyślany sposób postępowania w stosunku do Starca. Był jej potrzebny ze względu na innych. Chciała postępować tak, by każde ich spotkanie było z jej strony ustępstwem, w zamian za które może czegoś oczekiwać. Nie powinno wydać się, że wie, jak wielu ludziom zależy na zaproszeniu na Stary Świat.

- Wiesz, mam jeszcze dwa widzenia. Poczekaj jeszcze chwilę - zamówię kostium, który obmyślałam sobie wczoraj.

Tym razem nie miała już kłopotów z włożeniem dokładnej kopii wczorajszego stroju, która wysunęła się ze ściany.

Wydała odpowiednie polecenie. Starzec potwierdził je bez wahania i po chwili miała już przed sobą na ekranie wszystkich trzech.

Po chwili milczenia odezwał się Starzec.

- Śnieżko, może byś nas przedstawiła.

- To jest Alf - skinęła w jego stronę i zaraz dodała. - Końcówka numeru 39, to Artur - końcówka 37, a to Starzec ze Starego Świata.

Umyślnie wymieniła Starca jako ostatniego. Chciała tym zasugerować, że na nim zależy jej najmniej. Pierwszy odezwał się Starzec.

- Moi drodzy, co was interesuje? O Śnieżce wiem, że nic w szczególności, czyli wszystko. Słucham.

- Dlaczego nie można zwiedzać Starego Świata? - zapytał Alf. - Wiem, że nie ma tam nic szczególnie ciekawego, ale można przenieść się na inne światy, a na ten nie. Dlaczego?

- To proste. U siebie jesteś jednym z nielicznych, którzy tego chcą, ale światów są miliardy, a Stary Świat jest jeden. Poza tym i tak jest przeludniony - urodziło się tu tylu ludzi, że już nie może przyjąć więcej.

- Czy wszyscy urodzeni w Starym Świecie mieszkają tam?

- Nie wszyscy. Wielu przeniosło się na światy młodszych generacji. Najwięcej na B-18 - to zupełnie inny świat, niż mój czy wasz, i chyba ciekawszy.

Śnieżka zaczęła odczuwać zniecierpliwienie. Tego wszystkiego mógł przecież dowiedzieć się z informatora. Szybciej i dokładniej.

Starzec ciągnął dalej.

- B-18 to pierwszy świat pomyślany nie jako namiastka Starej Ziemi, ale jako coś lepszego. Ten świat nie jest planetą, urządzenia techniczne są tam zupełnie inne. Zwyczaje ludzi także.

- Jakie zwyczaje?

- To długa historia. Dawniej prawie wszystkie zachowania ludzi były określone zwyczajami, tradycją. Na przykład to, kogo przedstawia się najpierw, kogo na końcu. Dzisiaj Śnieżka zrobiła to według naszych starych zwyczajów - widocznie poświęciła trochę czasu na ich poznanie.

Zwyczaje były różne - mniej i bardziej sensowne, niektóre nawet szkodliwe społecznie. To mniej więcej tak, jak rytuały, które obowiązują w fikcyjnych społeczeństwach z projekcji fantomatycznych. Zresztą pierwsze scenariusze fantomatyczne powstały jeszcze w Starym Świecie, a ich twórcy przenieśli znane sobie pojęcia w światy fantomatyki. A w waszym świecie zwyczaje wiążące się ze stosunkami międzyludzkimi jeszcze chyba nie wytworzyły się. A w B-18 jest zupełnie inaczej, niż u nas. Tamtejsi ludzie cenią czas, zwyczaje mają ściśle zracjonalizowane. Chcą jak najszybciej rozwiązać te problemy, które hamują postęp ludzkości.

- Jakie problemy?

- Wymienię te, które sam uważam za najważniejsze. Po pierwsze, kontakt informacyjny z obcymi cywilizacjami, powstałymi niezależnie od naszej. Prawie wszyscy starsi chcieliby już zetknąć się z Obcymi.

- A dlaczego nie można się z nimi skontaktować?

- Podam rozumowanie oparte na bardzo pomysłowym dowodzie matematycznym, chociaż do jego poprawności można mieć zastrzeżenia. Jeżeli całkowicie obca cywilizacja jest znacznie bardziej rozwinięta od naszej, to przejawów jej istnienia nie możemy odróżnić od tła informacyjnego martwego wszechświata.

A oni nie byliby zainteresowani kontaktem z nami, podobnie, jak niewielu ludzi jest zainteresowanych ziemskimi zwierzętami. Pozostaje szansa na kontakt z cywilizacjami o podobnych możliwościach technicznych, co nasze. Jeżeli takie w ogóle istnieją w naszym wszechświecie, to bardzo daleko. Znaczne właściwości naszego wszechświata - naszego funkcjonału, bo to pojęcie jest dla was łatwiej zrozumiałe. Wymiana informacji z odległym punktem wymaga czasu proporcjonalnego od odległości. Ludzie mogą nadawać i odbierać informacje za pomocą fal elektromagnetycznych nie dłużej, niż od pięciuset lat. W tym zasięgu nie ma obcych, którzy chcieliby i mogli kontaktować się z nami. A po drugiej stronie - nieskończonej małości, we wnętrzach cząstek elementarnych, rozum nie może powstać samorzutnie. To wynika z własności naszego funkcjonału.

- A jeżeli nasz wszechświat, tryliony ludzi na miliardach światów, jest tylko modelem wygenerowanym przez Obcych?

- To nic nie zmienia w naszej sytuacji. Ten problem filozoficzny już dawno został rozstrzygnięty. Najciekawsze jest zagadnienie odwrotne - generacja innych funkcjonałów. Wszędzie, nie tylko na B-18, pracuje się nad tym. Jak dotąd udawało się wykazać, że żaden z wymyślonych funkcjonałów nie spełnia zależności podstawowej - może dać tylko model dowolnie kształtowany z naszego generatora, a nie inny wszechświat o innej fizyce. A przecież od sformułowania odpowiedniego funkcjonału - poznania własności odmiennego wszechświata - do wejścia w ten wszechświat droga będzie bardzo długa. Ale samo sformułowanie funkcjonału byłoby historycznym wydarzeniem dla ludzkości, większym krokiem na drodze rozwoju myśli ludzkiej, niż generacja światów czy poznanie zależności podstawowej.

- Przecież zależność podstawową zna każdy, jest tak prosta i oczywista.

- Dla każdego ośmiolatka w waszym świecie, któremu podaje się ją wraz z interpretacją pojęć. Ale w nauce wcale nie jest łatwo dojść do prawd oczywistych.

Są jeszcze inne problemy. Chyba łatwiejsze do rozwiązania, a też o oczywistym praktycznym znaczeniu. Na przykład dokładne poznanie przeszłości. Tak niewiele o niej wiemy, nawet przyrost wiedzy z zakresu bliskiej historii jest powolny.

- A co by to dało?

- Chociażby coś lepszego, niż fantomatyka. Dla was może nie lepsze, ale dla mnie i wielu innych fascynujące. Poznanie historii w najdrobniejszych szczegółach dałoby możliwość generacji modeli historycznych - całych społeczeństw, które naprawdę istniały w dawnych czasach. Można by analizować zmiany biegu rozwoju ludzkości, wywołane jakąś drobną zmianą rzeczywistości. Można by wcielać się w dawne czasy i żyć jakby przeżywając projekcję, która nigdy nie skończyłaby się - a każda projekcja fantomatyczna ma koniec.

Pierwszy raz odezwała się Śnieżka.

- Przeszłość jest straszna. Nie chciałabym żyć w przeszłości.

- Masz wiele racji, ale to jednak były ciekawe czasy. Chciałbym, nawet bardzo, przenieść się tam na pewien okres ze świadomością, że w każdej chwili mogę wrócić do współczesności.

Znowu zapytał Alf.

- W jaki sposób dowiedziałeś się o tym wszystkim?

- Żyję już znacznie dłużej, niż wy, a z każdym rokiem przybywa wiedzy. A jeżeli chodzi o was, chciałem wam doradzić, żebyście regularnie przeglądali wiadomości o ważnych wydarzeniach wszystkich światów. Można zamówić codzienne odtwarzanie dziennika powszechnego, dziennika waszego świata czy dowolnego innego. Uważam, że każdy powinien orientować się w tym, jakie ludzkość ma problemy i jak je rozwiązuje. No, już dość się nagadałem. Chciałbym jeszcze umówić się ze Śnieżką - oczywiście, jeżeli pozwoli.

W tym momencie wyrwał się Alf.

- Czy możesz mnie zabrać do Starego Świata? Chociaż na krótko.

Patrzył na Śnieżkę, nie na Starca. Śnieżka dodała:

- Chciałabym, żebyśmy się spotkali właśnie tam.

Starzec przez chwilę namyślał się.

- Dobrze, was dwoje mogę zaprosić, ale bez żadnych dalszych zobowiązań. Teraz żegnam się z wami, a na Śnieżkę i Alfa czekam za... - widać było, jak konsultuje się z informatorem - za pięć godzin. Miejsce podam później - najprawdopodobniej stacja tranzytowa gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Do zobaczenia!

Gdy jego sylwetka znikła, Alf powiedział jeszcze.

- Śnieżko, to spotkamy się przy synchronizatorze. Z tobą, Artur, po naszym powrocie.

Śnieżka odczuła w tym momencie wewnętrzną pustkę. Chciała być sama.

Włączyła komunikator z uczuciem ulgi. Nie chciała żadnych wiadomości o Starym Świecie i przyjętych tam zwyczajach. Uznała, że będzie ciekawiej jeżeli wszystko co zostanie w Starym Świecie będzie dla niej niespodziewane.

Wybrała jedną spośród projekcji fantomatycznych, od dawna figurującą w zestawieniu. Znowu znane uczucie utraty poczucia rzeczywistości, które umożliwiło pełną identyfikację z bohaterem projekcji.

Tym razem była wędrowcem w bezkresnym, podziemnym labiryncie. Musiała kryć się przed różnymi stworami, uważać na skoki temperatury i promieniowania. Każdy etap wędrówki wiązał się z rozwiązaniem pewnego zagadnienia matematycznego. Była to jakby tylko powtórka - nie wprowadzono żadnych nieznanych jej pojęć. Nie robiła żadnych przerw - zakończenie projekcji miało przypaść akurat na kilkanaście minut przed terminem podanym przez Starca.

Z Alfem spotkała się, jak ustalili wcześniej, przy jednym z synchronizatorów. Pierwszy raz widziała okno wychodzące na inne światy. Wielka kopuła, oznaczona numerem jej świata, była jakby tylko stacją przesiadkową. Generatory, umożliwiające interakcję zdarzeń odbywających się w różnych światach, mieściły się gdzie indziej.

Alf podał dyspozycję „Stary Świat”, lecz czarne koło nie od razu wypełniło się światłem. Przez kilka minut migał tylko monotony sygnał, „czekać”. W końcu z koła pozostała tylko obręcz około trzymetrowej średnicy. Przez obręcz widać było przedłużenie pomieszczenia przejściowego, w którym przebywali. Alf pierwszy przeszedł przez obręcz. Z drugiej strony nie była ona widoczna. Byli już w Starym Świecie.

Stali obok siebie nieco zakłopotani, w pobliżu nie było widać żadnego glidera ani nawet informatora. Dopiero po pewnym czasie dostrzegli dwie sylwetki, które jakby zbliżały się wśród gęstej mgły. Starzec i jakaś nieznana kobieta, jeszcze niższa od niego, starannie ubrana. Steli, a jednocześnie zbliżali się do nich. Zatrzymali się w odległości kilku kroków. Powiedzieli po kolei.

- Witajcie w Starym Świecie!

Starzec wyciągnął prawą dłoń do Śnieżki. Nie wiedziała, co robić. Po kilku sekundach Alf uściśnął dłoń Starca. Śnieżka, zmieszana, zrobiła to samo. Bez wskazywania na nikogo Starzec powiedział.

- Alf, Śnieżka, moja żona Sumiko. Mnie nie nazywajcie tutaj Starcem, jestem Kornel.

Powtórzyli ceremonię ściskania rąk, tym razem z Sumiko. Wsiedli do dużego glidera, który wyłonił się w międzyczasie z mgły. Na wewnętrznych ekranach glidera widniał łańcuch ośnieżonych szczytów, cicho płynęła muzyka, surowa i słodka zarazem.

Siedzieli kilka minut w milczeniu. W pewnym momencie nastąpił jakby wybuch. Cała konstrukcja glidera stała się przezroczysta nie tylko dla światła, lecz także dla dźwięków i wiatru. Śnieżka nigdy jeszcze nie doznała tylu tak subtelnych wrażeń jednocześnie - ciche dźwięki, których źródła nie umiała określić, misterne kombinacje zapachów, krajobraz bogatszy w szczegóły niż jakikolwiek znany z fantomatyki.

- Jesteśmy już na powierzchni. Za chwilę będziemy w naszym domu - powiedziała Sumiko.

Dom był skromny, o prostych kształtach, zbudowany z różnokolorowych, matowych kawałków tworzyw. Kolorystycznie wtapiał się w zarośnięte bujną roślinnością zbocze tak, że Śnieżka dostrzegła go dopiero z odległości kilkudziesięciu metrów. Zatrzymali się i wysiedli w pewnej odległości od domu. Mogły się w nim pomieścić dwa, najwyżej trzy typowe pokoje mieszkalne.

Podeszli ścieżką wijącą się wśród krzewów. Drzwi otworzyły się dopiero wtedy, gdy Starzec dotknął ich ręką. Nie rozsunęły się, a otworzyły do wewnątrz. Alf i Śnieżka weszli jako pierwsi. Wnętrze również różniło się od typowego. Pomieszczenia były małe i tak niskie, że Alf miejscami musiał schylać głowę. Światło docierało do wewnątrz przez dwa okna - jakby nie było normalnego oświetlenia. Po przeciwnej stronie domu znajdowała się weranda. Stał tam podłużny stół i cztery fotele ustawione w taki sposób, że każdy miał widok na ogród pełen kwiatów, kamienistą plażę i morze, którego odgłosy

dochodziły aż tutaj.

- Sumiko, czy każdy w waszym świecie ma taki dom? Czy są takie w naszym świecie? - zapytał Alf.

- Nie każdy - odpowiedział Starzec. - Domów na powierzchni jest u nas mniej, niż pół miliarda. A ten jest naszym wspólnym. Jesteśmy małżeństwem - to forma trwałego związku dwojga osób płci przeciwnej, znana jeszcze w prehistorii. Ten dom zbudowaliśmy sami, obmyśliliśmy każdy szczegół. - Podoba się wam?

- Nie wiem, nie widzieliśmy jeszcze żadnego innego - odpowiedziała Śnieżka.

- Gdy wrócimy, zbuduję u nas taki dom na powierzchni - wtrącił Alf.

- To nie będzie twój dom. Będzie należał do wszystkich. Żeby mieć własny dom, trzeba zasłużyć na zezwolenie. My uzyskaliśmy je w nagrodę za to, co kiedyś było ważnym osiągnięciem naukowym. Mieliśmy swój wkład w opracowanie urządzeń, dzięki którym człowiek nie musi jeść ani pić, a wszystkie jego organy wykształcone ewolucyjnie zachowują pełną sprawność.

- W dawnych czasach łatwiej było dokonać czegoś ważnego dla ludzkości, niż teraz - dodała Sumiko.

- Przygotowaliśmy dla was obiad. Po obiedzie wybierzemy się do miejsc, gdzie znajdują się pamiątki prehistorii ludzkości - ruiny budowli wzniesionych przez cywilizację sprzed trzech tysięcy lat.

Po obiedzie Śnieżka pomyślała, że chyba jednak szkoda, że teraz nie trzeba jeść codziennie, jak za dawnych czasów.

Odlecieli z ogrodu wcześniej przywołanym wirobusem. W czasie lotu Starzec i Sumiko objaśniali, w jaki sposób powstały poszczególne formacje geologiczne, jak rozwijała się przyroda tej krajiny. Wreszcie wylądowali na olbrzymiej płycie, położonej w cieniu starożytnych kolumn.

- To ruiny budowli publicznych i sakralnych pewnego państwa starożytności. Przejdziemy pieszo wśród nich.

Starzec podszedł do czarnej skrzynki, umieszczonej za najbliższą kolumną, i zgłosił odpowiednie dyspozycje. W ciągu całej dalszej wędrówki wśród ruin towarzyszył im melodyjny głos opowiadający prawdziwe, chwilami śmieszne historie z dawnych czasów.

W końcu wrócili na lądowisko i odlecieli do pobliskiego miasta. Miasto też było bardzo stare, poprzecinane wązowymi ulicami.

Wstąpili do okazale oświetlonej restauracji i usiedli przy jednym z wolnych stolików. Ze ścian płynęła cicha muzyka, w rytm której kilkanaście osób tańczyło pośrodku sali. Alf zaproponował, żeby przyłączyć się do nich, Sumiko jednak sprzeciwiła się.

- Czy potraficie tak tańczyć? To jest umiejętność, której jednak trzeba się nauczyć. U nas obyczaj są wprawdzie łagodniejsze, niż w nowych światach, ale próbować tańczyć pierwszy raz w takim właśnie miejscu - to mogłoby być dla was przykre.

- Czy wszystkiego trzeba się uczyć? - zapytał zniecierpliwiony Alf.

- Chyba tak - odpowiedział Starzec. - Niektórych gier można nauczyć się w ciągu kilku godzin, ale wówczas, jak chyba już zauważyłeś, nowicjusze mają znacznie mniejszą szansę, niż ci bardziej doświadczeni. Opanowanie innych umiejętności, tych, których tradycje sięgają kilkuset lat, wymaga znacznie więcej czasu.

- Chciałbym jednak spróbować.

- W takim razie radzę coś innego, i to na symulatorze - włączył się Starzec. - Sam się przekonasz.

Przeszedł do sąsiedniego, zamkniętego pomieszczenia.

- To jest urządzenie fantomatyczne, które symuluje warunki panujące na powierzchni. Widzieliście już powierzchnię, ale nie na całym globie wygląda ona podobnie, jak tutaj czy w okolicach naszego domu.

Słabe światło zgasło i znaleźli się na stoku wysokiej góry. Wśród zalesionych zboczy wita się szeroka, zaśnieżona przesieka.

- Wejdźmy do kabiny symulatorów - powiedział Starzec do Alfa.

Gdy znaleźli się w kabinach, Śnieżka ujrzała na stoku dwie sylwetki narciarzy. Wyższy, Alf, spróbował odwrócić się twarzą do Starca i przewrócił się.

- Uważaj, masz na sobie narty - powiedział Starzec, pomagając mu podnieść się.

- Teraz możemy sprawdzić, kto z nas szybciej zjedzie na dół. Zobacz, jak narty reagują na twoje ruchy, spróbuj trochę zjechać!

- Nie będę próbować. Mogę to sobie obliczyć, wystarczy kilka minut - odparł Alf.

Stali obok siebie w milczeniu. Wreszcie Alf powiedział.

- Jestem gotów. Startuj razem ze mną!

Odwrócił się twarzą w dół stoku i zaczął zjeżdżać. Jechał na nisko zgiętych kolanach, skulony, by zmniejszyć opór powietrza. Nabierał szybkości i w pewnym momencie stracił równowagę. Przewrócił się na bok i zleciał jeszcze kilkanaście metrów w dół. W międzyczasie Starzec jechał prawie wyprostowany. Co kilka metrów skręcał, a spod jego nart tryskały girlandy śniegu. Szybko minął Alfa.

Zanim Alf stanął na nogach, minęło kilkanaście sekund. Widzieli go z bliska, a Starzec był już tylko czarnym punkcikiem, majaczącym daleko w dole.

Alf ruszył ponownie prosto w dół. Kilka razy zachwiał się, ale utrzymał równowagę i ciągle nabierał szybkości. Zbliżał się do ściany lasu. Kilka metrów przed nią spróbował zahamować i skręcić, ale przewrócił się i z dużą szybkością wpadł na jedno z drzew. Drzwi jego kabiny otworzyły się i po chwili wyszedł z niej spocony, z czerwoną twarzą.

- Gdybyś tak jechał w prawdziwych górach, byłbyś już martwy.

- Co ze Starcem - z Kornelem? - zapytał Alf.

- Zjedzie do końca za minutę czy dwie - wyjaśniła Sumiko. - Kornel lubi to, często naprawdę wyjeżdża w góry.

Gdy także Starzec wyszedł z kabiny, obraz gór znikł i znowu znaleźli się w niewielkiej, słabo oświetlonej sali. Stali we czworo obok siebie.

Sumiko spojrzała na bransoletkę, którą miała na przedramieniu.

- Przykro mi, ale już niedługo będziemy musieli się rozstać. Musicie już niedługo wracać.

Alf podszedł do Sumiko. Ujął jej dłoń i talię.

- Ale chyba jeszcze wystarczy czasu...

- Nie, obyczaj w Starym Świecie są inne - przerwała Sumiko.

- A przecież Kornel ze Śnieżką...

- To było co innego - wtrącił się Starzec. Zresztą my już też bardzo długo nie będziemy mieli zbliżenia, prawdopodobnie całe lata. Odprowadzimy cię do bramy światów, a ze Śnieżką chciałbym jeszcze trochę porozmawiać.

Alf wyraźnie posmutniał. Stało się dla niego jasne, że to już koniec jego pobytu w Starym Świecie, i że u siebie nie będzie miał czym się chwalić. W milczeniu wsiedli do glidera. W pomieszczeniu przejściowym pożegnał się ze Śnieżką i szybko oddalił się. Wkrótce potem Sumiko pożegnała się ze Śnieżką i wsiała do glidera. Pozostali we dwoje ze Starcem.

- My też już długo nie będziemy się widzieć, ale mam ci jeszcze wiele do powiedzenia - powiedział Starzec. - Pojedziemy w okolice, gdzie się urodziłem, i tam będziemy rozmawiać.

Tym razem glider pozostawił ich wśród bezkresnego morza traw, nad szeroko rozlaną rzeką o brzegach porośniętych wierzbami. Usiedli obok siebie na trawie, twarzą w stronę zarośniętego rozlewiska.

- Moja droga Śnieżko, wiem, że umiesz słuchać i mam nadzieję, że także teraz wysłuchasz mnie uważnie. Mówiłem już, że prawdopodobnie długo nie będziemy się widzieć. Każdy dojrzały człowiek

chce robić coś pożytecznego - pracować, i ja też chciałbym przystąpić do pracy w projekcie związanym z dokładnym poznaniem przeszłości. To będzie wymagać długich przygotowań; kilka lat będę musiał się uczyć, zanim będę w stanie wnieść własny, twórczy wkład do projektu. Tobie też bym radził, żebyś zaczęła przygotowywać się do poważnej pracy. Wystarczy przekazać zgłoszenie przez informator, by uzyskać zestaw propozycji i odpowiadających im programów wstępnych przygotowań. Z czasem zyskasz uznanie współpracowników, może nawet własne miejsce na B-18. Ale jeszcze przez wiele lat będziesz mieszkać w swoim macierzystym świecie i żyć wśród jego mieszkańców.

Co do stosunków międzyludzkich przypuszczam, że nawet nowe światy znajdują się w trzecim stadium. Dla każdego i zawsze ważne było uznanie ze strony otaczających go ludzi, to, co oni o nim myślą. O pozycji towarzyskiej początkowo rozstrzygała sytuacja materialna - tak było jeszcze w czasach mojej młodości, gdy wiele podstawowych potrzeb było nie zaspokojonych. Bogactwo, wiek, zdrowie - to było wtedy najważniejsze. W następnym stadium najważniejsze stały się wartości intelektualne - wiedza, zakres zainteresowań, charakter pracy - bo wtedy jeszcze prawie wszyscy pracowali. Teraz ich miejsce zajęły wartości psychiczne - umiejętność odgadywania myśli i pragnień innych i takie zachowanie, które pozwala uzyskać ich uznanie. Tego też można się nauczyć i każdy stopniowo nabywa tę umiejętność.

Na swoich młodych światach nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak okrutne konsekwencje miała generacja światów. Wy jesteście jej ofiarami. Naturalny, najważniejszy obowiązek człowieka to wychowanie potomstwa. Was nikt nie wychowuje, żaden starszy człowiek nie poświęca uwagi każdemu z was z osobna. Tak musiało być... Nie dlatego, żeby po prostu było więcej ludzi. Łatwiej, nawet w ogóle bez problemu, byłoby rozmnażać bakterie czy grzyby. Ale ludzi jest wciąż za mało. To stwierdzenie opiera się nawet nie na udowodnionej teorii, ale na przypuszczeniu. Najbardziej śmiałej hipotezie w dziejach myśli ludzkiej.

Zdaniem większości światłych ludzi naszych czasów trzeba, by liczba świadomych istot osiągnęła około 10^{25} by można było osiągnąć próg. Próg, który dzieli nas - cząstki materii, wytworzone w toku przypadkowych, naturalnych procesów, od czegoś nieznanego. Osiągnięcie tej liczby to spełnienie tylko jednego warunku, koniecznego, ale niewystarczającego. Jest szereg innych warunków; związane z różnorodnością psychiczną tych istot, ich światem wewnętrznym, z problemami technicznymi, których natury jeszcze nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

Obecne tempo przyrostu naturalnego jest najwyższym, przy którym można jeszcze adaptować wszystkich do naszej społeczności. Czasami lubię samemu sprawdzić coś uznawane powszechnie za oczywiste. Jak na przykład to, czy mieszkańcy światów generacji K staną się naprawdę ludźmi.

Chyba jeszcze nie domyślałaś się, Śnieżko, że przyszedłem do ciebie z zamiarem wykonania pewnego prymitywnego eksperymentu psychologicznego. Chciałem przekonać się, czy można wpoić w kogoś przekonanie, że starość jest zła, poniżająca, jak uważano jeszcze w czasach, gdy ja byłem młody. Przygotowałem i przeprowadziłem ten eksperyment bez pomocy żadnych kalkulatorów, po prostu w głowie. Dopiero w czasie jego trwania opowiedziałem o tym Sumiko. Ona myśli i postępuje trochę rozsądniej, niż ja, i sprawdziła wszystko na symulatorze. Przyniosła i pokazała mi wyniki: to, co zamierzałem sprawdzić, byłoby rzeczywiście trudnym i ciekawym zagadnieniem, ale w przypadku świata, którego mieszkańcy nie mogą korzystać z wszystkich informacji dostępnych dzięki sieci ogólnej. Nigdzie tam, gdzie obowiązują prawa człowieka, nie jest możliwe upowszechnienie przekonania, że ludzie starzy nie są akceptowani jako partnerzy w normalnych stosunkach międzyludzkich. Od dawna jestem za modyfikacją praw człowieka - tak, by można było tworzyć izolowane światy. Każdy taki świat mógłby być dla jego mieszkańców jedynym realnie istniejącym. Jakie bogactwo różnorodnych kultur powstałoby na tych światach! Może lepiej, gdyby wcale nie było praw człowieka?

Śnieżko, jest mi przykro mówić ci, że byłaś dla mnie tylko przedmiotem eksperymentu, i że jeszcze

długo nie będziesz mogła stać się dla mnie równorzędną partnerką. Ponieważ twoje życie będzie trochę inne niż byłoby, gdybym się u ciebie nie zjawił, czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny za twoje dalsze losy. Ponieważ nie będę mógł już poświęcić ci więcej czasu, zrobię dla ciebie coś innego: przekażę ci mnemogramy moich przeżyć z młodości. Moje doświadczenie życiowe, nabywane przez ponad sto lat, będziesz mogła przejąć w ciągu kilku miesięcy. Prawdopodobnie staniesz się dzięki temu atrakcyjna dla wszystkich, będziesz mogła zebrać wokół siebie najbardziej wartościowych ludzi swojego świata.

Ale pamiętaj, że to nie wystarczy na długo. Jeżeli nie chcesz na zawsze pogрузić się w przyjemnościach codziennego życia, jak w fantomatyce, musisz godzić się na wyrzeczenia i przykrości by być stale pośród tych, którzy rozszerzają granice wiedzy i możliwości ludzkich.

Śnieżka, zapatrzona w przelatujące nad ich głowami ptaki, myślała już o tym wszystkim, co ją czeka. W stosunku do Starca odczuwała wdzięczność - nie wiedziała, jak ją wyrazić. Czekają ją coś wspanialszego, niż najciekawsza projekcja fantomatyczna, niż najbardziej fascynująca gra, a on wskazał jej drogę.

Człowiekiem jestem *Andrzej Drzewiński*

Światło w tym pomieszczeniu miało za zadanie tylko rozjaśniać ciemności. Tak, że żaden z mężczyzn nie widział dokładnie twarzy drugiego. Było to im na rękę.

- Sądzę, że ta karta personalna będzie odpowiadać pańskim wymaganiom - rzekł niższy, wyciągając ze schowka białą tekturkę.

Drugi nie odezwał się ani słowem, tylko stanął pod lampą. - Tomasz Jonge, wiek (28 lat), wzrost (182 cm), waga (75 kg), stan cywilny (kawaler), inteligencja (120 ren), wykształcenie (wyższe politechniczne, inżynier budowlany), zamiłowania (kibic sportowy, tenis, literatura), polityka (brak czynnego zaangażowania, tendencje lewicujące), służba wojskowa (kurs półroczny w oddziałach desantowych, zwolniony po stwierdzeniu astmy), życie intymne (nieregularne, brak stałej partnerki)...

Człowiek jeszcze chwilę studiował kartę, aby w końcu, krzywiąc twarz w namiastce uśmiechu, rzec:
- Zgoda.

Mniejszy z ukontentowania aż zatarł rękę, co nie przeszkodziło mu naturalnie, pochwycić zgrabnie zwitka banknotów. Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym, począł liczyć papierki.

Był czwartek i jak co tydzień wracałem do domu dobrze po godzinie dziesiątej. Zamknąłem drzwi wyjściowe, automatycznie szukając wyłącznika. Był tam, gdzie zawsze, ale mimo kilkakrotnego naciskania, światło nie zapaliło się. Wzruszyłem ramionami, tłumiąc atawistyczny lęk przed ciemnością. Idąc na górę zastanawiałem się, czy w bocznych korytarzach mógłby się ktoś czaić. Mieszkam na czwartym piętrze i biorąc pod uwagę brak windy, miałem trochę czasu na rozmyślania, przyznaję zresztą, że lubię się emocjonować wytworami własnej wyobraźni. Będąc na trzecim piętrze miałem okazję się upewnić, jak daleko życie wyprzedza nawet najśmielsze oczekiwania. Przekonał mnie o tym dwumetrowy facet, który z zadziwiającą wprawą wynurzył się z ciemności i chwycił mnie w pól. Zrobił to tak sprytnie, że ręce unieruchomił mi na wysokości łokci. Jego obezwładniający uścisk, jak i fakt, że uprzednio nawet jednym dźwiękiem nie zdradził swojej obecności, wskazywał na dobrego fachowca. A ja? No cóż, zrobiłem jedyną rzecz jaką mogłem zrobić. Z całej siły nadepnałem tam, gdzie spodziewałem się znaleźć jego stopę. Jęk upewnił mnie, że się nie pomyliłem. Niestety, nie drgnął ani o cal tak, że zacząłem powątpiewać w to, co wypisują w samouczkach technik obronnych. Dalsze moje rozmyślania przerwał bufor lokomotywy, która wyjechała z ciemnego korytarza. Trafił dokładnie w miejsce, które zyskało nazwę splotu słonecznego. Gdy otwierałem usta do bezdźwięcznego krzyku, lokomotywa, która okazała się drugim dwumetrowym facetem przycisnęła mi do twarzy tampon z zimną cieczą. Można mi wierzyć, bądź nie, ale mimo iż wiedziałem, że nie powinienem teraz oddychać, uczyniłem to. Rzeczywiście, zgodnie z opisami, plamy, które zobaczyłem przed omdleniem były okrągłe i czerwone.

* * *

Pierwszą myślą, która się pojawiła było stwierdzenie, że jest mi miękko i niewygodnie. Niestety, to chwilowe rozkojarzenie zaraz ustąpiło miejsca mdłościom i odrętwieniu. Dopiero po chwili

zorientowałem się, że leżę w ciemnościach, mając oczy już otwarte. Przejechałem kilkakrotnie dłonią po podłodze, wyręczając w zamiataniu dozorcę, zanim pewniej mogłem się oprzeć na rękach. Chwilę zastanowiłem się i wyciągając wnioski sięgnąłem do kieszeni. Wnioski okazały się słusznymi, gdyż kieszeń była pusta. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Bandziory zrobiły tak piękny napad, a musiały się zadowolić nędzną dwudziestką, gdyż prawie wszystkie wolne pieniądze wpłaciłem rano do banku. Chociaż znając swojego pecha, wcale bym się nie zdziwił, jeśliby bank również okradziono. Snując takie niewesołe myśli wstałem i lekko zgięty pokuśtykałem piętro wyżej. Na klatce schodowej cały czas wręcz dzwoniła cisza, nie przerywana o dziwo, żadnymi głosami mieszkańców, że nie wspomnę o wiecznie ryczących telewizorach. Klucze, które zawsze noszę w lewej kieszeni spodni znalazłem w prawej kieszeni marynarki. Nie zastanawiając się nad tym otworzyłem drzwi. Światło w przedpokoju dodało mi otuchy. Zamknąłem drzwi i opierając się o nie, spojrzałem na zegarek. Najwyraźniej miałem na dzisiaj przewidzianą dużą dawkę emocji, gdyż było na nim kwadrans po czwartej. Zanim wykręciłem numer „zegarynki”, zdążyłem sobie pogratulować faktu posiadania takiego czasomierza, który nie wzbudził pożądanego w bandziorach. Mówiąca z taśmy, panienska z „zegarynki”, mógłbym przysiąc, że miała zaspany głos, dukąła: czwarta dwadzieścia, czwarta dwadzieścia... Zastanawiając się, przysiadłem na krześle. Wyglądało, że ponad pięć godzin leżałem nieprzytomny na klatce, a nikt z lokatorów nie zwrócił na mnie uwagi. Było to o tyle dziwne, że nie zwrócenie na mnie uwagi przez kogoś, kto przechodził korytarzem było fizyczną niemożliwością, gdyż stanowiłem wypukłość stanowczo przewyższającą wysokość przeciętnego stopnia schodów. Poza tym, znając większość moich sąsiadów, mógłbym zaręczyć, że każdy z nich na mój widok, najpierw wszelkimi dostępnymi środkami, nie wyłączając syreny strażackiej i bicia w bębny, raczej przywołałby na klatkę resztę współmieszkańców, niż by udzielił mi pomocy. Chociaż może trochę przesadzam. Gdyż sądzę, że po pół godzinie przyglądania się mojej osobie, ktoś z widzów, wezwałby pogotowie i policję. Po przeanalizowaniu tej myśli stwierdziłem, że najrozsądniejszą rzeczą jaką zrobię będzie pójście spać. Ścieląc tapczan upewniłem się, że z mieszkania nic nie zginęło. A mogło, gdyż klucze w ubraniu były przekładane przez tych osobników.

- Może nie chciało im się wchodzić wyżej - pomyślałem w chwili, gdy zasypiałem.

* * *

Następne dwa dni minęły spokojnie. Nawet nie złożyłem meldunku w komisariacie, wychodząc z założenia, że co najwyżej dadzą mi do oglądania z setkę zakazanych fizjonomii. Ja zaś o moich napastnikach wiedziałem tylko tyle, że są płci męskiej. Naturalnie, jeśli założenie, że dwumetrowe kobiety nie czają się po klatkach schodowych, jest prawdziwe. Dzień trzeci był niedzielą. Chyba na przekór cotygodniowemu lenistwu, jakie nachodziło mnie w ten dzień, postanowiłem zrobić w domu małe porządki. Po stwierdzeniu, że pastowanie podłogi i odkurzanie książek napawają mnie szczerą niechęcią, postanowiłem naprawić oberwany kilka dni temu karnisz. Ze śrubokrętem w zębach wdrapałem się na parapet. Kiedy przykręciłem śrubę i miałem zamiar przypiąć zasłonę do oberwanej „żabki” przypomniało mi, że mam nietypowy parapet. Stolarz, który go montował musiał przepadać za secesją, gdyż deska po bokach miała zaokrąglone i ucięte końce. Nic więc dziwnego, że na jednym z nich obsunęła się moja stopa. Jako, że pokój nie przejawiał anomalii grawitacyjnej, zupełnie prawidłowo zwałem się na podłogę. Próbowałem jeszcze chwycić się klamki, ale zaskoczony uczyniłem to ręką, w której dzierżyłem śrubokręt. Podłoga nie okazała się tak solidną na jaką wyglądała, gdyż kilka klepek wyskoczyło z parkietu pod moim ciężarem. Klnąc na czym świat stoi, rozmasowywałem sobie stłuczony

bok i nie tylko. Mimochodem zdziwiłem się, że sąsiedzi z dołu nie reagują na rumor, którego byłem sprawcą. Co prawda istniała możliwość, że w czasie upadku urwał im się żyrandol i pogrzebał całą rodzinę, ale miałem nadzieję, że się mylę. Wymyślając podobne nedorzeczności obserwowałem z poziomu podłogi coś, co dyndało na prawej ramie okiennej. Zapominając o stłuczeniach wstałem, aby się temu przyjrzeć się z bliska. Była to śrubka, a konkretniej jej fragment wiszący na dwóch cienkich drucikach. Rzut oka wzdłuż framugi wyjaśnił wszystko. Spadając ze śrubokrętem w ręce, przejechałem nim po drewnie, świadczyła o tym długa, biała rysa, i wyrwałem śrubkę. Oglądałem jednak zbyt dużo filmów sensacyjnych, aby wątpić w jej przeznaczenie. Nie miałem jednak pojęcia, kto mógłby założyć w moim mieszkaniu aparaturę podsłuchową, bo i po co? Aby rozwiać wątpliwości wyjąłem z szafki czązki i obciąłem ową śrubkę. Z racji zawodu miałem pod ręką trochę narzędzi i bez specjalnych trudności zdałem imitację łebka. Krył on małą spiralkę i coś, co przypominało mikroskopijną puszczykę, jednym słowem mikrofon. Chwilę medytowałem nad tym ale nic konstruktywnego nie przychodziło mi do głowy. Zresztą kto wie, może bym coś wymyślił, gdybym nie usłyszał niecierpliwego dzwonka u drzwi. Odruchowo przykryłem narzędzia serwetą. Czytając swojego czasu najprzeróżniejsze poradniki samoobrony doszedłem do przekonania, że najbardziej zaskakującym ciosem jest tzw. „prosty”. W przeciwieństwie od uderzenia sierpowego nie powoduje on nawet minimalnej utraty równowagi bijącego i pozwala na błyskawiczne cofnięcie zadającej cios dłoni. Jednocześnie szybkość wyprowadzenia ciosu utrudnia w znacznym stopniu jakąkolwiek zasłonę. Takie właśnie uderzenie zadał mi w podbródek facet, którego ujrzałem po otwarciu drzwi. Tylko dla formalności dodam, że facet miał dwa metry wzrostu. Następną rzeczą, jaką zrobiłem, to zdziwiłem się, skąd w drzwiach pojawił się mój własny tapczan. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to nie tapczan, ale mnie właśnie przeniesiono do pokoju. Leżałem z głową wciśniętą między oparcie a poręcz i jak każdy, kto dostał po buzi miałem chwilowe uczucie błogości. Skończyło się ono na tyle wcześnie, aby usłyszeć głos jednego z moich gości.

- Sprawa jasna. Nasz ciekawski znalazł to, czego nie powinien.

Faceci stali przy stole, oglądając rozłożone na serwecie akcesoria. Przyglądałem się im spod przymrużonych powiek, mając nadzieję, że to tylko małe nieporozumienie towarzyskie. Wydawało mi się, że jeżeli będę grzeczny, to pójdą sobie. Lecz spotkał mnie zawód i po raz pierwszy w życiu przekonałem się, że ciotka Leonia miała rację, twierdząc, że wodę w wazonie należy zmieniać co najmniej raz dziennie. Zaś ta, którą mi wylano na głowę miała już tydzień i bukiet zapachów z wyraźną dominacją smrodu. Z siłą godną pozazdroszczenia zostałem następnie szarpnięty za włosy. Jako że byłem do nich szczególnie przywiązany, chcąc nie chcąc, przyjąłem pozycję siedzącą. Zdziwiłem się jeszcze, że wcale nie czuję strachu w tej nierealnej scenie. To, co się działo, sprawiało na mnie wrażenie filmu sensacyjnego, w którego fabułę przypadkiem się zaplątałem.

Jak zdróweczko? - zaszemrał ciepło blondyn.

- Wspaniale - odparłem trochę bełkotliwie. - Czy mógłbym wiedzieć czemu zawdzięczam wizytę?

- Dziubek - stęknął ów, wbijając mi swój palec pod brodę. - Reguły gry są takie: my pytamy, a ty odpowiadasz. A jak nie, to ci urwę łeb wraz z płucami. Rozumiesz? - dla zaakcentowania wbił mi paznokiec jeszcze na dwa centymetry.

- Świetny dowcip - wyjęczałem, czując jak mnie nachodzi czarny humor. - Przypomnij mi go później, do teraz trudno mi się śmiać.

Blondyn zarechotał i manifestując swoje uczucie wbił paznokiec jeszcze głębiej.

- Zostaw go - dobiegło gdzieś z boku. - Nie możemy go nawet trochę uszkodzić.

Byłbym przysiągł, że ujrzałem w oczach blondyna rozżalenie, ale posłusznie puścił moją głowę. Drugi facet był równie rosy, jedynie nos szpeciło mu typowe dla bokserów efektowne spłaszczenie. Moją uwagę zwrócił fakt, że cały czas bawił się dwoma piłkami lekko zgrubiałymi na końcach. Były

połączone krótkim, wytartym rzemieniem. Z literatury wiedziałem, że jedno uderzenie nanczaga, gdyż taką nazwę to nosiło, może praktycznie pozbawić ofiarę głowy. O takim drobiazgu, że ów przyrządek świetnie łamie ręce bądź nogi, nawet nie wspomniałem.

- Panie Jonge - słysząc to spojrzałem wyżej na twarz boksera - to, co teraz robimy nie jest naszą sprawą, gdyż mamy swoich pracodawców. Chciałbym chciał, nie mogę panu powiedzieć jaki jest cel naszej roboty. Mamy pana stąd zabrać i zawieźć w nam znane miejsce. Co będzie dalej, to już nie nasza sprawa. Kazano nam przekazać, że jeśli nie będzie pan stawiać oporu, to nic się panu nie stanie. Rozumie pan? - miał głos genialnie pasujący do twarzy, twardy i beznamiętny.

Znacząco odwróciłem głowę w kierunku blondyna.

- To się nie powtórzy - powiedział bokser z naciskiem. Zaś teraz będziemy czekać. Aha... my wiemy, że miał pan półroczny kurs w „beretach” i radzę panu na to nie liczyć.

Wzruszyłem ramionami. Muszę przyznać, że ten ton trochę mnie uspokoił. Na tyle, że przestałem się bać o to, że zatłuką mnie tu na miejscu. Mogłem nadal zachowywać stoicki spokój. Tak więc, nie sprzeciwiałem się, gdy założono mi plaster na usta i kajdanki na nogi. Zrobiono to tak sprytnie, że zrozumiałem, iż w najbliższym czasie wszelka próba ucieczki, bądź alarmu jest bezcelowa. Pozostało mi tylko obserwować, jak kretyn blondyn przewraca moje książki i czasopisma naukowe szukając pornografii. Chyba trochę się zaczerwieniłem, gdy znalazł je w dolnej szufladzie biurka i z miną znawcy począł studiować te pisemka.

* * *

Zmierzch zapadł wtedy, kiedy jeszcze chwila, a zacząłbym wycierać mimo plastra na twarzy. Siedziałem z nimi już sześć godzin i ani razu nie dali mi choć cienia nadziei na ucieczkę. Prowadząc mnie do toalety dokładnie sprawdzili pomieszczenie. Zaglądali nawet do muszli. Jediną atrakcją jaką mi pozostawili były akrobatyczne ewolucje, jakie wykonywał nunczagiem bokser. Gdy minęła godzina dziewiąta, wywnioskowałem, że rychło opuszczę mieszkanie. Blondyn ściągnął mi z ust plaster. Udałem, że nie zauważam, iż robi to nadzwyczaj wolno. Gdy rozpiął kajdanki, odezwał się bokser:

- Minęła dziewiąta, więc idziemy. Proszę zachowywać się spokojnie i jak mówiłem, nic się wtedy panu nie stanie.

Blondyn ścisnął mnie tak, że już mogłem sobie pogratulować jutrzejszych siniaków. Po zgaszeniu światła bokser zatrzymał nas przy drzwiach.

- Jeżeli spotkamy kogokolwiek i pan jakimś słowem czy gestem zwróci jego uwagę, to zaręczam panu, że będę zmuszony zabić tamtego człowieka. Jeśli ma pan zamiar szafować czyimś życiem, to może się pan awanturować. Chociaż ręczę, że i tak doprowadzimy pana na miejsce.

Dzisiejszego dnia jeszcze żaden z nich nie chwalił mi się pistoletem, ale rura, która dźgnęła mnie w nos wynagrodziła wszystkie moje rozczarowania. Posłusznie obróciłem się i wyszedłem na korytarz. Starłem się skulić w sobie i co chwilę rzucałem trwożliwe spojrzenia. Zgodnie z oczekiwaniami początkowy uścisk na moim bicepsie lekko zelżał. Gdy minęliśmy drugie piętro odetchnąłem z ulgą. Wiecznie uchylonego okna na podeście nadal nikt nie naprawił. Była więc szansa, że moje całodzienne rozmyślenia nie pójdą na marne. Dochodząc do okna lekko zwolniłem.

- Och... - zapomniałem szkieł - mój głos musiał przypominać jęk Niobe.

Zatrzymaliśmy się.

- Co się stało? - spytał blondyn, rozglądając się czujnie.

- Nie wziąłem moich szkieł kontaktowych i źle widzę - szepnąłem. - To mi będzie przeszkadzać.
- Wcześniej nie mógł pan sobie przypomnieć?
- Zapomniałem - odparłem rozbrajająco. Musiał uwierzyć, gdyż spytał łagodniej:
- Gdzie pan je ma?
- W biurku. Pierwsza szuflada od góry, po lewej stronie, w głębi.
- Dobra - rzucił, a potem jeszcze dodał blondynowi - pilnuj go.

Miałem w domu szkła kontaktowe i okulary, które zostawiła jedna z dziewczyn. Pierwotnie chciałem mówić o okularach, ale brak wgłębień na nosie mógł mnie zdradzić. Gdy bokser zniknął za zakrętem schodów, odwróciłem się w stronę blondyna. Ciągłe trzymając moje ramię, oparł się drugą ręką o framugę. Patrząc na jego gębę zrozumiałem co miał na myśli jeden z moich ulubionych autorów opisując antypatycznego typu.

- Co! Może chcemy nawiać? - spytał z nadzieją w głosie. Słyszając stuk otwieranych u góry drzwi, uśmiechnąłem się.
- Jak najbardziej. Właśnie teraz.
- Ci inteligenci zawsze mają fajne gadki - zarechotał kontent.

Zdziwiłem się jakim cudem do tej pory nie zauważyłem, że jego palce opierają się o szczelinę ramy okiennej, tuż przy zawiasach. Jeszcze ciekawszym był fakt, że on to również odkrył, ale moment później ode mnie. Wolną ręką z całej siły szarpnąłem do siebie okno, przytrzymując mu końce palców. Jego ryk zagłuszył stukot butów o parapet. Już spadając zdążyłem dostrzec krew, która trysnęła spod paznokci na szybę. Mimo, że było ciemno dokładnie wiedziałem na czym wyląduję. Tydzień temu solidnie zrugąłem dozorcę, że jeszcze nie uprzątnął tej hałdy piasku przy ścianie naszego domu. Teraz gdy zaryłem się w nim po kolana, gotów byłem dozorcę nazwać dobroczyńcą. Powalony siłą upadku przeturlałem się na bok i prawie na czworakach przebiegłem do kępy krzaków rosnących przy płocie. Gdy spojrzałem za siebie, ujrzałem dwie ciemne sylwetki na tle okna z którego salwowałem się ucieczką. Moment i okno było puste. Pogoń ruszyła. Element zaskoczenia został wykorzystany, teraz liczyła się tylko szybkość i szczęście.

- Boże! Jak najszybciej na policję, bo ja mam już dość tej przygody - pomyślałem, przykładając twarz do żelaznych prętów płotu.

Ulica była cicha. Odbiłem się i przewinałem nad ogrodzeniem. Obok następnego bloku stał wóz bez włączonych świateł postojowych. To mogło sugerować, że facet, którego sylwetkę widziałem przez tylną szybę, zatrzymał się tylko na chwilę. Podbiegłem kilka kroków, i niby przypadkiem, schyliłem się do buta, aby zobaczyć jego twarz. Spojrzał na mnie obojętnie i dalej ćmił papierosa. Z tyłu jeszcze nikogo nie było widać. Drzwiczki otworzyłem może odrobinę za gwałtownie. Facet zaintrygowany obrócił głowę.

- Czy mógłby mnie pan zawieźć na policję? - starałem się uspokoić oddech. - Proszę się nie obawiać, a dla mnie to bardzo ważne.

Wyszczерzył zęby.

- Ależ naturalnie - mówiąc przekręcił kluczyk. - Proszę siadać.

Większość wozów amerykańskich ma automatyczną skrzynkę biegów, ale zdarzają się wyjątki. Przy automacie wystarczy tylko przesunąć rączkę i już się jedzie. Zaś przy wozach europejskich trzeba zdrowo się namachać drążkiem. Dlatego, obrócony do tyłu, nie zwracałem uwagi na osobliwe gmeranie faceta, gdzieś przy podłodze wozu. A szkoda. Może w innym przypadku nie dałbym sobie wepchnąć w pachwinę lufy czegoś diabelnie dużego.

- Proszę się nie ruszać - gdy mówił, z tyłu słychać było odgłos szybkich kroków. - Już dość narobił pan kłopotów.

Za nimi trzasnęły drzwiczki.

- Ten skurwys... - głos boksera, jakże teraz żywy, nagle umilkł.

- Sam pan przyszedł. To ładnie, bardzo ładnie - jego zdolności do zmiany usposobienia były iście kameleonowe. Odrętwiały siedziałem nie odwracając nawet głowy. Kompletne fiasko. Dopiero teraz uświadomiłem sobie grozę mego położenia i zacząłem się bać. Blondyn przywołany gwizdem jęcząc wgramolił się na tylne siedzenie.

- Ty skurwielu - jęczał liżąc zgniecione palce - ja ci jeszcze pokażę.

- Zamknij się, Kent - uciął bezosobowo bokser. - Jesteś idiotą i masz za swoje.

Jęczenie zagłuszył silnik. Ruszyliśmy.

- Gdzie strzykawka? - spytał kierowcy bokser.

Gdy mu ją podawał, położyłem drżącą rękę na klamce.

- Jeśli będziesz chciał mi to wbić to wyskoczę w biegu - krzyknąłem, ale sądząc z reakcji boksera mogłem sobie oszczędzić energii.

- Drzwi są zablokowane, a poza tym zdążę cię ogłuszyć i dopiero wtedy wstrzyknę środek - jakże wspaniale beznamiętny był jego głos.

Podąłem ramię. Z zadziwiającą wprawą wbił igłę wprost w arterię. Blondyn z tyłu zdążył jeszcze bluznąć.

Jednym z najdurniejszych przesądów, jest ten, że każdy sen wywołany narkotykiem jest pełen majaczeń. Bzdura! Środek, który mi zaaplikowano sprawił, że omdlenie przyszło błyskawicznie, abym potem równie szybko odzyskał świadomość. Leżałem na czymś w rodzaju kozetki. Była twarda, jak suchary dietetyczne. Kolor, który dominował po otwarciu oczu był bielą. Pomieszczenie zaś wyglądało na wnętrze szpitala, czy jakiejś innej instytucji zajmującej się chwalebna czynnością przedłużania bądź skracania życia ludzkiego. Rozejrzałem się wokół i nie zauważyłem czyjejkolwiek obecności. Mrużąc oczy od jasnego światła uniosłem się na łóżku. Faktycznie, miałem rację, że poza mną nikogo tu nie ma. Dowcip był w tym, że mnie było dwóch. Zbyt dobrze znałem swoją twarz, aby wątpić, że człowiek leżący obok na leżance jest mną. Ostrożnie opuściłem nogi na podłogę, co przypomniało mi, że patrząc na drzwi nie należy wchodzić w stojący na podłodze, prozaiczny nocnik. Uwolniłem się od tego naczynia i rozprostowując kości stwierdziłem, że jestem w dobrej kondycji. Oszołomienie minęło bez śladu, a narkotyk, działając ubocznie, wyzwolił mnie z uczucia lęku. Znów byłem gotów dokonywać bohaterских czynów, a moje przeżycia ponownie zaczęły wydawać się tylko scenami z filmu, w którym akurat gram główną rolę. Strzygąc uszami zrobiłem krok do mojego sobowtóra. Żył. Upewnił mnie o tym, łaskoczący ucho jego oddech. Zmierzyłem puls. Zgodnie z przewidywaniami był zwolniony. Gwoli ścisłości dodam, że obydwaj byliśmy ubrani w identyczne, płócienne pidżamy. Szmer, który dobiegł z korytarza wywołał reakcję, będącą podstawą do nadania mi przydomka faceta najszybciej kładącego się na leżance. Były to dwie osoby. Mężczyzna był średniego wzrostu. Jego nonszalancki sposób noszenia broni wskazywał na nowicjusza. Dziewczyna była niska, szczupła i cały czas szczypała faceta w ramię.

- Masz ich - powiedział ten z triumfem, godnym Wilhelma Zdobywcy.

Dziewczyna na moment przestała go szczypać i przyjrzała się naszym twarzom z bliska. Gdy pochyliła się nad moją, stwierdziłem, że jej język jest irytujący.

- Który z nich jest robotem? - chciała wiedzieć.

Słyszając to, o mało nie spadłem na podłogę.

- Mówiłem ci, durna kobieto... - zaczął facet, ale przerwał pokwikuując, gdyż dziewczyna ponownie go uszczypnęła. - Mówiłem ci, że to nie jest robot, tylko samoprogramujące się urządzenie z praktycznie nieograniczoną możliwością adaptacji sądząc z tonacji, sam nie wiedział, co mówił, jednak palcem wyraźnie wskazywał na mego sobowtóra.

W napięciu chłonałem jego słowa.

- Jajogłowi zbudowali to urządzenie i aby się przekonać ile jest warte, postanowili jako program dać mu pamięć i cechy osobowe przeciętnego osobnika.

- Ja ci dam przeciętnego, kanalio - pomyślałem w duchu.

Facet nie miał okazji tego słyszeć, więc kontynuował:

- Potem zbudowali imitację człowieka i zamiast mózgu wepchali mu to urządzenie. Twierdzili, że jeśli zamienię człowieka na robota, to ten robot nie będzie miał nawet „zielonego pojęcia”, że jest automatem, gdyż będzie miał pamięć tego człowieka. Fajny numer. No, nie?!

Dziewczyna uszczypnęła go ponownie, tym razem w ucho. - Następnie chcieli obserwować tego robota i patrzeć, czy będzie się zachowywać normalnie. To jest tak samo, jak dotąd zachowywał się człowiek, którego miał udawać. Gdyby tak było, to mogliby twierdzić, że skonstruowali idealnego robota, który dorównał swemu twórcy. Goryle z dołu mówiły mi, że w mieszkaniu tego gościa zamontowano całą aparaturę podsłuchową. Najpierw za jej pomocą mogli dokładnie sprawdzić, jak zachowuje się prawdziwy facet, a później upewnić się, czy robot robi to samo.

- A jak chcieli ich zamienić? - głos dziewczyny był irytująco piskliwy.

- Czy to takie trudne? - facet najwyraźniej był wszechwiedzący. - Dadzą temu prawdziwemu w łeb, bądź go uspią i przywiozą do kliniki. Jajogłowi na podstawie jego pamięci zaprogramują robota i podsuną go na miejsce człowieka. Przecież nikt, nawet sam robot się nie kapnie, że jest robotem. Potem, gdy wszystko będzie w porządku, wezmą robota a faceta wypuszczą. Dadzą mu coś w łapę za milczenie, a zresztą i tak nikt mu nie uwierzy, gdyż jajogłowi, jak twierdzą, są w fazie eksperymentalnej i na razie nie chcą nic publikować.

Dziewczyna najwyraźniej miała dość gadania, gdyż młaśnięcie przerwało orację faceta. Nietrudno się domyślić, że ten pocałunek nie nosił nawet pozorów nieśmiałości. Ja zaś cały czas musiałem udawać mumię Tutenchamona.

- Chodź, odprowadzę cię do schodów - rzekł lekko zasapany facet. - Tylko pamiętaj! Nikomu ani słowa - zdążył dodać przed kolejnym młaśnięciem.

W końcu wyszedł z wiszącą u ramienia dziewczyną. Zeskoczyłem na podłogę.

- Wspaniała robota - pomyślałem, gładząc sobowtóra po ciepłym policzku, ale nie było czasu na zachwyty.

- Ja wam pokażę, sukinsyny, babrać się w mojej głowie szeptałem szukając czegoś ciężkiego.

Facet musiał znów czule się żegnać, gdyż zdążyłem wziąć z biurka przycisk do papierów i wdrapać się na swe łóżko. Leżąc, opuściłem obydwie nogi, aby sprawiały wrażenie, że same zsunęły się z leżanki. Zaszokowany nową wiadomością nie analizowałem jej. Miałem jeden zamiar: uciec i odszukać mojego przyjaciela dziennikarza, z którym, coś wymyślimy na tych jajogłowych.

Facet wszedł do pokoju, dalej bawiąc się bronią. Zgodnie z oczekiwaniami, widok moich zwisających nóg pobudził go do działania. Podszedł i zastanawiając się chwilę, co zrobić z bronią, położył ją na ceracie. Gdy złapał mnie w kostkach, ukryty dotąd w mej dłoni przycisk zatoczył łuk i wyrzucił go nad uchem. Sądzę, że nawet posługując się workiem z piaskiem, nie osiągnąłbym lepszego efektu. Faceta zdmuchnęło. Nadśluchiwałem, ale ci, którzy wpakowali mnie w tą historię jeszcze nie nadchodzili. Ściągnąłem z faceta spodnie i koszulę, mimo że były trochę za małe. Jednak zawijając kuse rękawy miałem pewność że teraz nie rzucam się zbyt w oczy. Zostawiłem za sobą pokój wraz z sobowtorem i parą owłosionych łydek, wystających spod leżanki. Korytarz był słabo oświetlony, ale mnie to w zupełności wystarczało. Cicho, na koniuszkach palców przebiegłem w jego drugi koniec i wyjrzałem przez okno. Około piętnastu metrów dzielących mnie od betonowego podjazdu odebrało mi chęć na powtórzenie poprzedniego numeru. Minąłem główne schody i po kilku minutach natrafiłem na

zapasowe. Jak dotąd szczęście mi dopisywało, gdyż nie natknąłem się na żywego ducha. Zbiegłem pięć pięter w tempie godnym pozazdroszczenia. Na dole były jakieś pomieszczenia gospodarcze. Zagubiłem się w nich i kłąłem w duchu, gdyż lada moment mogli odkryć moją ucieczkę. Miałem co prawda zaufanie do plastra, którym zakneblowałem typa, ale pamiętałem jeszcze z kursu, że więzy z pidzamy można rozwiązać już po kilku minutach szamotania. Nagle za jednym z zakrętów natknąłem się na drzwi wyjściowe. Zapełniało je dwóch osobników niosących w koszu stertę brudnej bielizny. Otwarty tył furgonetki wyjaśniał sprawę. Kucnąłem za tekturowym pudłem, dziękując w duchu mamie, że nie urodziła mnie wyższym. Gdy typy wróciły z pustym koszem, wykorzystując ich zniknięcie w bocznych drzwiach, cichutko podbiegłem do furgonetki i błyskawicznie przysypałem się bielizną. W samą porę, gdyż kładąc na twarzy ostatnią powłoczkę, miałem okazję zobaczyć, jak powracają z kolejnym koszem. Kilka następnych porcji brudów starannie ukryło mnie przed niepożądanym wzrokiem. Ratując się przed uduszeniem, ręce musiałem bez przerwy trzymać złożone nad twarzą. I niech ktoś powie, że do smrodu można się po kilku minutach przyzwyczaić. Odór przepoconych szmat był makabryczny i tylko świadomość, że jeśli zwymiotuję, to automatycznie uduszę się, ratowała mnie od torsji. Po chwili drzwi z tyłu trzasnęły i samochód ruszył. Furgonetka tak trzęsła, że zacząłem ją podejrzewać o kwadratowe koła. Tylko opatrności mogę zawdzięczać fakt, że się nie odkryłem, gdyż po kilkunastu sekundach samochód z jazgotem zahamował. Ja zaś starałem się nawet nie myśleć, gdyż szelest moich myśli mógł zdradzić mnie przed blondynem, którego głosu z pewnością nie mogłem pomylić z żadnym innym.

- ...na pewno nie ma tu nikogo - usłyszałem zaraz po łoskocie otwieranych drzwi.
- Ależ na pewno - tłumaczył się zniecierpliwiony typ. - Sami układaliśmy te łachy.
- Wy to nazywacie układaniem - parsknął blondyn gmerając w pościeli.

Mimo iż byłem więcej niż pewien, że robi to tylko jedną ręką, to do spotkania z nią nie miałem najmniejszej ochoty. Sądząc po słowach blondyna musiano odkryć ucieczkę, gdyż on dokładnie wiedział czego szuka. Znając zaś mentalność tych typów, byłbym przysięgł, że jest gotów odjąć sobie pół życia za przyjemność wybicia mi zębów. W takiej sytuacji zawsze można powiedzieć, że ofiara stawiała opór.

- Panie! Na ósmą musimy być w pralni, bo później będzie cholerna kolejka - typ znacząco bębnił palcami po dachu wozu. - A do miasta kawałek drogi.

Właśnie w tej chwili blondyn począł penetrować mój ką. Pogoniony słowami typy puścił szmaty i zatrzasnął drzwi nie wiedząc, że to co ostatnio trzymał, było moją nogawką. Jeszcze moment duszenia się i wóz ruszył. Bez względu na wszystko odrzuciłem pościel. Niech teraz mi ktoś powie, że temperatura ludzkiego ciała wynosi 36,6 stopnia Celsjusza. Ciesząc się względną swobodą jechałem tak kilka minut. Po chwili przyszło mi do głowy, że gdyby typy po otwarciu furgonetki ujrzały mój rozanielony pysk, to mogłyby się zdenerwować. Kawałek, który mieli do miasta, mógł oznaczać równie dobrze kwadrans, jak i godzinę jazdy. Kucnąłem i upewniwszy się, że samochód jedzie równo, otworzyłem drzwiczki. Włos aż mi się zjeżył na głowie, na widok umykającego spod kół asfaltu. W perspektywie drogi, ograniczonej wysokopiennym lasem, nic nie jechało. W blasku poranka pobocze sprawiało w miarę zachęcające wrażenie, jeśli przy szybkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę cokolwiek może wyglądać zachęcająco. Wiatr wrywający mi drzwi przyspieszył decyzję. Odepchnąłem ich lewe skrzydło i skoczyłem w bok, starając się chronić rękoma głowę. Na moment przed uderzeniem wyciągnąłem je jednak odruchowo przed siebie. Łomot, coś trzasnęło mi w dłoni i cisza. Cisza i spokój lasu o poranku. Furgonetka powiewając drzwiczkami, niknęła w oddali. Spojrzałem na rękę. Coś z palcami było nie w porządku, ale ból nie był na tyle silny, abym miał zareagować. Oglupiały upadkiem wstałem i pokłusowałem w las: byle dalej od szosy. Pierwsze zderzenie upewniło mnie o fałszywości przysłowia, że im dalej w las, tym więcej drzew. Było ich wszędzie tyle samo, to znaczy za dużo. Skołowany uderzeniami, plątałem się w krzakach a niskie gałęzie cięły mnie po twarzy. Niestety wyciągnięte ręce

były prowizoryczną tylko osłoną. Również wychodziły na jaw wszystkie moje zaległości biegowe, co obwieszczałem światu głośnym sapaniem. Gałęzie zewsząd smagały mnie po ciele, a drzewa podkładały całe chmary korzeni. Mimo tego, dość szybko poruszałem się naprzód. Nagle bez żadnego ostrzeżenia las się skończył, przechodząc w wąski pasek trawy i asfalt. Inna szosa, a kilkanaście metrów dalej stacja benzynowa. Właśnie gaszono jej neon. Pochyliłem się dysząc. Gdy puls spadł do normalnego zacząłem wytrzępywać z ubrania i włosów tysiące małych igiełek. Przy okazji w tylnej kieszeni spodni znalazłem setkę. Ucieszony pocałowałem prezydenta w czoło. Przyglądałem się jeszcze sobie, chcąc sprawdzić, czy wyglądam na gościa, któremu na drodze zepsuł się samochód. Nie miałem zamiaru opowiadać pracownikom stacji o moich przeżyciach. Chyba odruch sprawił, że podniosłem uszkodzoną przy upadku rękę do oczu. Określenie, że dostałem młotkiem po głowie, było w tej chwili zbyt delikatne. To był duży dźwig, który zwałił mi się na nią, niszcząc cały mój świat.

- Pomylił się! - zaśmiałem się spazmatycznie, opadając na trawę. - Ten idiota nas pomylił!

Mały palec miałem pęknięty na wysokości pierwszego zgięcia. Nie złamany ale właśnie pęknięty. Ze szczeliny wystawały plastikowe nici, zaś dalej za nimi metalicznie pobłyskiwała kość. Wokół niej kilka kropel zaschło na kolor czerwony. Zbyt czerwony jak na krew.

- Jestem robotem - mamrotałem, kiwając się w kucki. Jestem robotem...

* * *

Godzinę później złapałem na stacji faceta, który zgodził się zawieźć mnie do jakiegoś miasta. Pojechaliśmy w drugą stronę niż moje miasto, a ja ciągle się zastanawiałem, czy można mnie wyłączyć.

* * *

Pocałowałem Betty w ucho, unikając jej zębów. Wariatka ta miała dużą frajdę, gdy gryzła mnie w nos.

- Zaczekaj tu grzecznie. Ja zaraz wrócę i pójdziemy do domciu - powiedziałem lubieżnie mrużąc oko.

Roześmiała się gardłowo i ciągle łypiąc na mnie filuternie okiem udała, że zagłębia się w lekturze.

Poszedłem do budki, pobrzękując bilonem. Rozmowy międzymiastowe zawsze zmuszają do noszenia złomu. Ręka, którą podniosłem słuchawkę miała mały palec owinięty plastrem. Numer znałem na pamięć.

- Słucham. Instytut Parksona - głos był odległy lecz czysto brzmiący.

- Proszę z doktorem Parksonem - z trudem wypowiedziałem nazwisko.

- Przykro mi, ale jest nieobecny - rzuciła panienka jeden ze sloganów z „Poradnika sekretarki”.

- Ja wiem, że on jest i że oczekuje na mój telefon. Jeśli praca pani się podoba i nie ma pani zamiaru jej zmieniać, to proszę powiedzieć doktorowi, że dzwoni jego Tomasz Jonge: podkreślam: jego Tomasz Jonge - dopiero teraz dopuściłem panienkę do głosu.

- Dobrze. Postaram się - rzuciła następny slogan.

Reakcja była natychmiastowa.

- Miło mi, że pan zadzwonił - dobiegł mnie stłumiony głos.

Mógłbym zaręczyć, że właściciel akurat wyciera spocone czoło.

- Pan wie, że ja wiem - zacząłem.

- Tak panie Tomasz. Cieszę się, że właśnie na mnie pan trafił, a nie na któregoś z moich

wspólników.

Czułem, że jestem bardzo zmęczony.

- Więc nie będzie mi pan ubliżał od zbuntowanych robotów? - byłem lekko zdziwiony.

- Robotów? Skądże, przecież pan nie jest robotem tylko człowiekiem. Domyślam się, że tej nocy, gdy pan od nas uciekł słyszał pan rozmowę Kamila i jego dziewczyny.

- Kamil? - zaczął, ale kojarzenie zadziało. - To ten co mnie pilnował?

- Tak.

- Słyszałem.

- Tak sądziłem. To dobrze, że nie muszę wszystkiego tłumaczyć. Wiemy obydwaj, że cały pański układ nerwowy jest wierną kopią systemu człowieka. Czy to naprawdę takie ważne, czy tworzy go białko, czy pewien związek chemiczny?

- Dziwię się, że pan to mówi - wtrąciłem.

- Hmm - westchnął ze smutkiem. - Większość pieniędzy jakie mieliśmy poszła, proszę wybaczyć, na skonstruowanie pańskiego ciała. Nie możemy bez pana prowadzić dalszych badań, a na powtórny eksperyment nie mamy pieniędzy. Zaś jedyny dowód naszego sukcesu uciekł, czując się człowiekiem. Nie myślę się chyba?

- Nie - patrzyłem zamyślony jak monety, jedna za drugą wpadają w otwór.

- Ale nie żałuję tego, w przeciwieństwie do moich współników. Ponad wszelką wątpliwość udowodniłem, że potrafię stworzyć istotę rozumną. Aha.. Pan zdaje sobie sprawę, że poza układem nerwowym, cała reszta pańskiego ciała działa na innej niż u człowieka zasadzie.

- Tak. Zauważyłem, że mogę się obyć bez jedzenia i wody. Sądzę, że moje ciało jest doskonałą imitacją organizmu ludzkiego, tzn. jeśli nie poddam się prześwietleniu bądź innym szczegółowym badaniom, to nikomu nie przyjdzie do głowy, że jestem inny niż wszyscy.

- Tak, i proszę pamiętać, że bateria będąca źródłem pańskiej energii, ma ze wszystkiego najmniejszy okres gwarancji. Tylko trzydzieści lat.

- Trzydzieści lat - powtórzyłem, jak echo i głośno się zaśmiałem.

- Czy coś się stało? - spytał zaniepokojony.

- Nie, wszystko w porządku. Właśnie się dowiedziałem, ile będę żył - mówiąc, przyglądałem się siedzącej na ławce Betty, która właśnie pokazała mi język.

- Zazdroszczę panu tego, że przez trzydzieści lat będzie pan praktycznie nieśmiertelny. I tego, że nie będzie się pan starzeć usłyszałem jego smutny głos. - Ale nic... Jak organizm? Dobrze funkcjonuje?

- Wspaniale - odparłem, wrzucając ostatnią porcję monet. - Sądzę, że nie ma sensu abym zagłębiał pana w tajniki jego działania - spytał.

- Nie! Po co? - odparłem, myśląc już o czymś innym. Mogę panu powiedzieć, że jako mężczyznę równie świetnie mnie pan skonstruował. Moja dziewczyna nie może się nachwalić.

Śmiech po drugiej stronie słuchawki był lekko zażenowany. - Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli nie będziesz do mnie dzwonił - mimowolnie przeszedł na „ty”.

- Słusznie - potwierdziłem. - Chyba twoi współnicy mieliby inne zamiary co do mojej osoby?

- Tak, Tomaszu. Powiem ci na zakończenie, że twój bliźniak w rozumie żyje dobrze i nie ma pojęcia o całej historii.

- Cieszę się. Monety mi się skończyły, więc do widzenia, panie doktorze.

- Do widzenia - i szybko dodał - pamiętaj, że ja nie chciałem takiej formy eksperymentu.

- Wiem. Do widzenia - zakończyłem ciepło. - Do widzenia, Tomaszu.

Obydwie słuchawki jednocześnie stuknęły o widełki. Wyszedłem z budki. Po błękitnie nieba snuło się kilka małych obłoczków, zapowiadając kolejny gorący wieczór. Chyba, że przyjdzie wiatr od morza,

niosąc wilgotne i chłodne powietrze. Śmiejąc się schwytałem nadbiegającą Betty w objęcia.

Ich dwudziestu Andrzej Drzewiński

Kontakt nastąpił kwadrans po północy. Od razu otrzeźwiał ze snu. Informacja była prosta: siedemnastu z nich odczuło emisję biologiczną świadczącą o agresywnych zamiarach nadawcy. Po zlaniu się w jeden układ wykryli miejsce, do którego zbliżała się obca forma. Było to sto kilometrów na północny wschód od miasta, w którym mieszkał. Zadanie zostało mu powierzone wraz z częścią energii pola, jakim każdy z nich dysponował. W ten sposób starali się go wzmocnić. Nic dziwnego, innym razem on postąpi podobnie. Przez chwilę jeszcze przysłuchiwał się organizmowi, ale wszystko było w porządku. Następnie wstał z łóżka i zasznurował na nogach tenisówki. Krysia spała zwinięta w kłębek, cicho oddychając. Na wszelki wypadek dokonał intensyfikacji jej snu, będąc pewnym, że po tym przez najbliższe sześć godzin nie obudzi się. Potem podszedł do drzwi balkonowych i z przyzwyczajenia cicho je otworzył. Na dworze było ciepło, jak to w czerwcu. Oparł ręce o barierkę i rozejrzał się po ciemnych i pustych oknach sąsiadów. Nie było nikogo. Uspokojony popatrzył na niebo, a gdy znalazł kierunek, uniósł się w powietrze. Poleciał na północny wschód, powoli nabierając prędkości. Światła ulic szybko zniknęły z tyłu. Zmysł orientacji informował o braku innych obiektów latających w promieniu jednego kilometra, co było do przewidzenia, gdyż lotnisko mieściło się po drugiej stronie miasta. Nie czuł siły wiatru. Całe ciało otaczała centymetrowa warstwa pola siłowego, chroniąca również od zimna. Gdy mijał pasmo wzgórz otaczających miasto, dla próby wzbił się na wysokość pięciu kilometrów. Z radością stwierdził, że nie odczuwa przez to żadnych przykrych sensacji. Zadowolony, obniżył lot do stu metrów. Niebo zaścieliły niskie i ciemne chmury, które zakryły Księżyc. Przesuwał się na wysokości jednego kilometra, tak że z trudnością rozpoznawał szczegóły terenu. Kilkanaście kilometrów za miastem wdzierał się we wzgórze język pustyni. Obserwując Ziemię w podczerwieni, dostrzegł skok jasności. Był to, ostygły już teraz, pustynny piasek. Widząc, że leci we właściwą stronę, skoncentrował się i jeszcze bardziej zwiększył prędkość. Wiedział, że informacja, jaką odebrali o miejscu i czasie lądowania, zawierała pewien margines tolerancji. W szczególności odnosiło się to do czasu, gdyż dla niego liczba czynników ubocznych, które zakłócały proces przewidywania, była bardzo duża. Również pamiętał o tym, że jako układ byli w stanie przewidzieć zdarzenie z co najwyżej półgodzinnym wyprzedzeniem. Odebrany czas lądowania obcej formy był na granicy tego okresu. Ale na szczęście zbliżał się do celu. Chociaż wokół było ciemno, na wszelki wypadek postanowił zmniejszyć szybkość. Gdy to zrobił, dostrzegł przed sobą w dole jakieś światełko. Nie zdołał się jednak dokładniej przyjrzeć, gdyż poczuł falę olbrzymiego przeciążenia. Jego osobiste pole siłowe zostało wręcz zmiecione, ale mimo to osłabiło impet uderzenia. Wiedział dokładnie co się stało; zaatakowano go z broni grawitacyjnej. Napastnika nie zdołał dostrzec, ale był w pełni przekonany, że jego obawy co do czasu lądowania obcych okazały się uzasadnione. Koziołkując w powietrzu czuł, jakby ścisnęły go żelazne kleszcze, a serce biło oszalałe, nie mogąc pompować ciężkiej jak rtęć krwi. Miał jednak szczęście, gdyż gwałtowne zmiany przeciążenia wytrąciły go z toru lotu i dzięki temu, spadając, wydostał się z zasięgu fali uderzeniowej. Widząc zbliżającą się Ziemię wyhamował prędkość, ale nie na tyle, żeby nie poczuć upadku. Nawet nie podnosząc głowy z piasku, momentalnie dokonał dziesięciometrowej teleportacji. Kiedy uniósł wzrok, miał okazję dostrzec, że w miejscu, gdzie przed chwilą spadł, stoi kula ognia, w której rozpuszcza się piasek. „A więc chciał mnie dobić” - pomyślał. Lecz gdy spojrział w górę, stwierdził, że to nie koniec polowania. Po niebie,

przesuwał się jak chmura, ciemny kształt. Ale jak na chmurę jego zarys był zbyt regularny. Mimo olbrzymiego wyczerpania i ogarniających go mdłości, Adam musiał się skupić. Całą swoją energię poświęcił na ekranizację ciała, połączoną z emisją promieniowania, jakie wysyłał otaczający piasek. Gdyby tego nie zrobił, wróg łatwo by zrozumiał, czym jest ta jasna plama na tle zimnego gruntu. Pojazd jednak przesunął się powoli, zatrzymując się tylko na chwilę ponad rubinowo żarzącą się teraz bryłą szkliva, aby później, równie cicho i bezszelestnie, odlecieć. Wniosek był jeden: ekranowanie zdało egzamin. Adam leżał ciężko dysząc i mimo że czas naglił, regenerował siły. Już dawno nic go tak nie wyczerpało. Najgorsze, że był to dopiero początek wyprawy. Instynkt mówił mu, że spotkał obiekt patrolujący i oczyszczający strefę wokół lądownika. Sądząc po tym, czym ten obiekt dysponował, mógł się teraz spodziewać wszystkiego. Jednego był pewien: obca forma, która przybyła na Ziemię jest istotą, a prawdopodobnie istotami rozumnymi, których zamiary względem ludzi są jednoznaczne. Przecież zaatakowali go pierwsi bez uprzedzenia, nie dając nawet najmniejszej szansy. Wiedział, że takiemu przeciwnikowi czoła może stawiać tylko i wyłącznie ktoś z dwudziestki. Inni ludzie są bezradni. Sam nie wiedział, czy to świadomość odpowiedzialności, czy fakt, że odpoczął, sprawił, że poczuł przypływ sił. Wstał, nie starając się nawet otrzepać z piasku. Zastanawiał się przez kilka pierwszych metrów drogi, czy włączyć pole osobiste, ale zrezygnował, gdyż zabierało mu ono, na dłuższą metę, zbyt dużo sił. Uczulił jednak zmysł lokacji, czego zaniedbał przedtem, z jakże fatalnymi skutkami. Lecieć nie odważył się, gdyż w powietrzu był widoczny o wiele wyraźniej niż na Ziemi. Posuwał się w kierunku, w którym odleciał obiekt, gdyż tam spodziewał się znaleźć lądownik. Przypomniawszy sobie, że właśnie w tej okolicy dostrzegł na moment przed atakiem małe światełko. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, z czym ono mu się kojarzy. Było to coś znajomego, ale nie potrafił tego określić. Dopiero kiedy minął kolejną kępę kaktusów, zrozumiał co to musiało być. Zrozumiał, gdyż przed nim ciągnęła się pustynna droga, zaś to światełko było światłem samochodowych reflektorów. Wszedł na drogę, była tylko utwardzona; nawet nie asfaltowa. Wokół było cicho, o wiele za cicho. Z reguły słychać tu nocą odgłosy życia, czy to wycie kojota, czy to szelest biegnących lisków, a teraz nic. Brak pola osobistego powodował, że zrobiło mu się zimno. Przecież był tylko w kąpielówkach, które stanowiły dość oryginalny strój na nocny spacer po pustyni. Niestety, nic na to nie mógł poradzić. Co jakiś czas przystawał, podnosił głowę i uważnie lustrował niebo. Księżyc wyrzwał zza chmur i kaktusy wzdłuż drogi rzuciły długie cienie. Mimo że pojaśniało tylko przez chwilę, zdołał dojrzeć przed sobą na szosie jakiś kształt. Zmysł lokacji nie informował o żadnym ruchu. Na wszelki wypadek zszedł z drogi i począł zataczać duży łuk. Po dwustu metrach znalazł się na wysokości kształtu. Postanowił na razie posługiwać się konwencjonalnymi środkami, gdyż inne zużywały zbyt dużo cennej energii. Ostrożnie wczołgał się na wzgórek, po którego drugiej stronie biegła droga. Sunąc przeniósł na bok kilka kawałków zeschniętego kaktusa, gdyż bał się, że mogą pęknąć pod nim z trzaskiem. Telekinezja zaś była pewniejsza niż ręka. Kiedy był na szczycie spojrzął w dół. Kształt okazał się starym modelem ciężarówki „Ford”. A właściwie to nim kiedyś był, gdyż teraz przedstawiał sobą kupę złomu. Adam podniósł się i zszedł na dół zapadając się po kostki w piasku. Od razu domyślił się co się stało. Zapadnięta skrzynia, zerwane zawieszenie, urwane i powyginane burty jednoznacznie wskazywały na przyczynę. Tylko broń grawitacyjna mogła sprawić, że szoferka nagle zaczęła ważyć zamiast jednej, dwadzieścia ton, a drzwi co najmniej pięć. Nic więc dziwnego, że zaczepy i śruby nie wytrzymały tego, załamując się i deformując. Najlepszym dowodem była urwana wycieraczka, która do połowy wbiła się w maskę wozu. Cóż, spadając musiała ważyć z pięćdziesiąt kilogramów. Cały zaś samochód był wciśnięty w grunt na dobrych kilkanaście centymetrów. Rozkraczone koła wystawały z podłoża pokrytego dużymi plamami smaru i oleju, wyciśniętego chyba ze wszystkich możliwych miejsc. Co do tego, co się stało z kierowcą, nie miał nawet najmniejszej wątpliwości, ale z obowiązku stanął na urwanym błotniku i zajrzał przez wciśniętą do środka szybę.

Kierowca był starszym człowiekiem i wyglądał na typowego farmera. Chociaż w obecnym stanie mało przypominał kogokolwiek. Jego twarz, wgnieciona w deskę rozdzielczą, była kredowo biała. Policzek przebijał kluczyk od stacyjki. Pozycja tułowia wskazywała, że kręgosłup jest złamany co najmniej w kilku miejscach. Nie chciał zaglądać niżej, ale był pewien, że nogi tworzą jeden krwiak, gdyż musiały w nich popękać naczynia krwionośne, kiedy pięć litrów krwi pod wpływem olbrzymiego przeciążenia wtłoczyło się w uda. Wystarczył zresztą jeden rzut oka na zwisającą bezwładnie rękę. Kończyła się ona opuchniętą i czarną od skrzepów dłonią. Adam puścił ramę i opadł na ziemię. Był wstrząśnięty bezsensownością tej zbrodni. Prawdą jest, że człowiek silniej reaguje widząc na własne oczy czyjąś śmierć, niż gdyby miał się dowiedzieć o śmierci milionów. Adam wiedział już, że obiekt udał się w stronę tego światła. Musiał natrafić na jadącego drogą Bogu ducha winnego farmera i jego także zaatakował bez pardonu. Tym razem jednak użył fali skierowanej zgodnie z natężeniem pola grawitacji ziemskiej. Dlatego samochód był wgnieciony w ziemię, a nie rozszarpany na kawałki. Tamten człowiek chyba nawet nie zrozumiał, co się stało. Cóż, po prostu miał pecha, że akurat wybrał tę opustoszałą pustynną drogę. Otrząsnął się z rozmyślań i ruszył dalej, gdyż do świtu pozostały tylko cztery godziny.

Dwa kilometry dalej znalazł się przed zaporą. Co prawda trudno było ją tak nazwać z racji tego, że nie była w stanie nikogo zatrzymać. Jej zadaniem było informować o tym, że ktoś ją naruszył. Informować naturalnie tego, kto ją założył i kontrolował. Adam musiał przyznać, że szczęście znów uśmiechnęło się do niego. Zapora była rodzajem nieaktywnego pola siłowego o malutkim potencjale. Gdyby nie to, że uczulił zmysł lokacji, z pewnością by jej nie zauważył. Zaś naruszenie pola wywołałoby ingerencję przybyszów, co było mu nie na rękę. Wolał sam dyktować warunki i ciągle liczył na element zaskoczenia. Z miejsca, w którym obecnie stał, dostrzegał za wzgórkiem, już po drugiej stronie bariery, lekki poblask. Przeczucie mówiło, że tam stoi ładownik. Spojrzał w górę, lecz próbę dostania się do środka z powietrza szybko uznał za bezsensowną. Pozostało jedno wyjście. Musiał sprawdzić, czy bariera ciągnie się również pod powierzchnią gruntu. Odetchnął kilka razy głębiej, jakby dla nabrania sił. Następnie uważnie obrał kierunek, gdyż pod ziemią było to niemożliwe, a potem wyprostowany, powoli zagłębił się w piasku. Naturalnie, pod ziemią było zupełnie ciemno. Opuszczał się na głębokość dziesięciu metrów, wychodząc z założenia, że jeśli tam jeszcze natknie się na barierę, to głębiej nie będzie po co szukać. Na trzech metrach zaczynała się skała i było mu trudniej się poruszać. Aby to robić, musiał dostosowywać budowę molekularną swojego ciała do struktury ośrodka. Skała zaś była nieprzyjemna, gdyż ze względu na spoiistość, musiał się precyzyjnie przeciskać między jej cząsteczkami. W miarę upływu czasu zaczynał odczuwać wręcz fizycznie ciężar gruntu nad sobą. Czuł, że jest w dobrej formie, ale myśl, że wystarczy aby zasłabł, a jego ciało momentalnie wtopi się w skałę, nie-dawała spokoju. Jakby nie było, nigdy jeszcze nie przesunął się w stałych ośrodkach tak długo jak teraz. Z ulgą dotarł do dziesiątego metra. Tu musiał się skupić. Ostrożnie przesunął się kilka centymetrów w stronę, gdzie jak zapamiętał, znajdowała się bariera. Nic nie czuł. Znów mały ruch i znowu nic. Zmysł lokacji pod ziemią pracował gorzej, ale na pewno na tyle dobrze, aby wyczuć potencjał. Jeszcze parę drobnych przesunięć i mógł stwierdzić, że obcy nie rozciągnęli swojej bariery sferycznie. Miał wolną drogę. Dla pewności posunął się jeszcze z metr do przodu i począł się wynurzać. Gdy jego głowa wychyliła się nad powierzchnię piasku, zatrzymał się. Miał rację, pole pozostało za nim. Zdając sobie sprawę jakże makabrycznie musi wyglądać sama głowa wystająca z piasku, uśmiechnął się do siebie. Gdy stanął na nogach i przestał dostosowywać ciało do ośrodka, owiało go chłodne powietrze pustyni.

- Ciekawe - pomyślał - że świat, w nawet najbardziej, wydawałoby się, emocjonujących dla człowieka chwilach, jest normalny i powszedni. Wiatr pozostaje wiatrem, a piasek tak samo chrzęści pod nogami.

Myślał tak, podchodząc pod szczyt wzgórza. Tam położył się ponownie dostosowując budowę

molekularną ciała. Jednak tym razem zagłębił się, tylko na kilka centymetrów, gdyż oczy musiał mieć na powierzchni. Następnie lekko stopiony w grunt dotarł na szczyt i spojrzął w dół, na drugą stronę. Tam między pagórkami stał pojazd obcych. Miał on kształt dysku z trzema symetrycznie rozłożonymi u góry wybrzuszeniami. Jego średnicę szacował na jakieś dwadzieścia metrów. Każde z trzech wybrzuszeń wydzielalo na końcu dość jasne niebieskie światło. W jego promieniach uwijały się wokół dysku trzy kształty. Były to czarne półkule zaopatrzone w szereg wysięgników. Krzątały się wokół jakiegoś aparatu przypominającego obecnie dużą wannę. Adam wiedział, że porównanie jest głupie, lecz nie to go martwiło. Problem był w tym, że owa „wanna” wyglądała na broń i o ile się nie mylił, była to broń biologiczna. Najwyraźniej Obcy po wylądowaniu starają się zmontować uzbrojenie, którym skutecznie będą mogli zaatakować ludzi. Później mogliby szantażować Ziemię i ściągać haracz z jej mieszkańców. Nie mógł na to pozwolić. Aby lepiej widzieć, na moment uniósł się do góry. Krąg światła rzucanego przez dysk kończył się dziesięć metrów przed nim, na stercie kamieni. Sunąc kilka centymetrów nad piaskiem, ukrył się za nimi. Tu już mógł przestać dostosowywać ciało. Musiał chwilę odpocząć, gdyż lot na tak śmiesznie małej wysokości był wyczerpujący, a poza tym czekała go najcięższa próba. Swoją uwagę skupił na robocie, który, Jak mógł dostrzec, posługiwał się emiterem cieplnym. Była to najbliższa półkula i jak sądził, tu miał największe szansę. Próbował wejść w kontakt z ośrodkiem programowania automatu, Łączność telepatyczna z urządzeniem wyprodukowanym nie przez ludzi, okazała się trudna. W pierwszej fazie kontaktu szukał analogii z ziemskimi urządzeniami. Gdyby ich nie znalazł, byłby bezradny, gdyż nie potrafiłby wydawać poleceń. A konkretniej, mógłby je wydawać, nie mając jednak najmniejszego pojęcia, jaki wywrą skutek. To tak, jakby ktoś nie znający języka, a znający tylko alfabet, próbował coś napisać, licząc, że litery akurat ułożą się w potrzebne słowo. Na szczęście analogie znalazł w funkcjach podstawowych. Potem, poziom za poziomem, doszedł do ośrodka sterowania i wydał rozkaz zatrzymania się. Na widok nieruchomiejącego automatu westchnął z ulgą. Wydał następne polecenie i z satysfakcją obserwował jak jego robot przystawia emiter spawarki drugiemu. Pod jej działaniem pancierz tamtego zaczerwienił się, a potem zbiełał, tocząc grube krople roztopionego metalu. Chwilę później w miejscu, gdzie stały obydwie roboty, uderzył w niebo snop ognia i iskier, zamieniając się po chwili w kłęb smolistego dymu, który walił z dwóch szerniałych szkieletów. Teraz wypadki potoczyły się lawinowo. Trzy kopuły zaświeciły jaśniej, kierując światło w jego stronę. Najwyraźniej Obcy odebrali kontakt telepatyczny, a w każdym razie zrozumieli co się stało. Jednocześnie pod dyskiem pojawiła się jakaś sylwetka. Adam myślał „sylwetka” nie dlatego, że rozróżniał szczegóły, ale dlatego, iż był pewien, że ma przed sobą Obcego. Kształt nie dość że był w cieniu, to jeszcze światło kopulek przeszkadzało w jego obserwacji. Adam spostrzegł, że ostatni robot kieruje się w jego stronę. Próbował przez moment nad nim zapanować, ale było to bezcelowe. Obcy zabezpieczył się przed taką możliwością, przejmując zdalne sterowanie. Kiedy robota dzieliło od kryjówki Adama już tylko kilka metrów, zatrzymał się. Widząc to Adam teleportował się dwa metry w bok. W samą porę, gdyż sekundę później robot ciął kamienie promieniem lasera. Urządzenie to było prawdopodobnie przystosowane do prac górniczych, bo choć miało stosunkowo mały zasięg, kamienie parowały wręcz w oczach. Obcy jednak spostrzegł swoją pomyłkę, gdyż robot wyłączył emisję. Potem zaś obrócił się, a właściwie chciał się obrócić, kiedy Adam przeciął go w pół polem siłowym. Skwiercząc robot zarył w piasku. Wykorzystując zaskoczenie, chciał teraz teleportować w bezpośrednie sąsiedztwo Obcego i jego również unieszkodliwić, lecz nie zdążył. Poczł, że się pali. Odruchowo teleportował się metr do tyłu, ale na próżno, gdyż momentalnie trafiła go następna kula ognia. Jego pole z trudem opierało się tak wysokiej temperaturze. Sprawcą był czarny pojazd, który teraz krążył nad nim pilnując, aby nie mógł uciec. Był to ten sam pojazd, który zaatakował go w powietrzu, a później zabił farmera. Adam miał nadzieję, że przed jego powrotem zdąży rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść. Niestety - przeliczył się. Teraz musiał działać błyskawicznie. Wiedział, że

teleportacja nic nie da, gdyż jej ograniczony zasięg nie pozwoli mu uciec spod kontroli pojazdu. Jeśli nawet ucieknie z jednego miejsca, to w drugim spotka go to samo. Zresztą jeśli będzie tak kluczyć, to prędzej czy później tamten wpadnie na pomysł użycia fal grawitacyjnych; a to byłby koniec. Miał jedno wyjście. Aby osłabić uwagę przeciwnika zaprzestał skoków i udał, że się pali. Miał nadzieję, że jego pole osobiste to wytrzyma. Sądził, że Obcy w ten sposób nie będzie zwracał większej uwagi na komputer swojego pojazdu. Starał się skupić, nie zwracając uwagi na rosnące płomienie, gdyż Obcy dla pewności obrzucił go kolejnymi ładunkami plazmy. Próbował nawiązać łączność z komputerem, ale po kilku próbach zrozumiał, że nie da rady. Zbyt dużo energii pochłaniało mu pole siłowe. Niestety, jeśli je zmniejszy, to się spali. Był w kropce. Uczynił jeszcze jedną rozpaczliwą próbę, ale nadaremnie.

- Żebym miał choć trochę więcej energii - pomyślał rozgoryczony własną bezradnością.

W tej samej chwili poczuł jej ogromny przyptyw. Miał wrażenie jakby zerwały się tamy i teraz olbrzymią strugą łąduje jego organizm. Zrozumiał. Jak mógł zapomnieć, że jest jednym z dwudziestu! Teraz całą swoją moc skierował na niego, a on był jakby zwornikiem pola całej dwudziestki. Mógł działać. Kontakt nawiązał w oparciu o te same punkty zaczepienia co poprzednio. Komputer miał własny program, co Jeszcze bardziej ułatwiało zadanie. Skumulował energię i wysłał ją w postaci potężnego impulsu „staranuj statek”. Moment niepewności, ale Już poczuł, jak pojazd nabiera szybkości, lecąc w kierunku dysku. Poczł też, Jak Obcy, który dopiero teraz rozumiał co się dzieje, stara mu się odebrać kontakt. Było to jednak niemożliwe, Adam prowadził pojazd jak po sznurku. Jeszcze sekunda, czy dwie, a powietrzem targnęła potężna eksplozja, a gwałtowny podmuch zdmuchnął z Adama ogień. Mogąc już widzieć sycił wzrok obrazem triumfu. W miejscu, gdzie stał statek, teraz wypiętrzył się grzyb dymu i ognia. U podstawy grzyba powoli topił się przełamany na pół dysk z wbitym w niego pojazdem. Ale po chwili i te szczegóły stały się niewidoczne, gdyż oba pojazdy Obcych zamieniły się w kupę płonącego żużlu.

Adam ocknął się tuż przed świtem, gdyż zmysł lokacji informował go, że zbliża się kilka pojazdów. Leżał na piasku i mówiąc szczerze, nie chciało mu się wstawać. Przyleciał tu trzy godziny temu, kiedy uciekał z miejsca lądowania Obcych. Uczynił to z dwóch powodów. Po pierwsze wiedział, że tak jasna eksplozja będzie zarejestrowana przez któregoś z satelitów wojskowych i można się spodziewać wizyty sił rządowych, na co nie miał najmniejszej ochoty. Nawiasem mówiąc sądził, że pojazdy, które wyczuł, są właśnie wojskowym patrolem. Po drugie, bał się zbyt dużego napromieniowania, o czym sygnalizował mu zmysł radiacji. Wiedział, że z tym co pochłonał jego organizm sobie poradzi. Wstał i wsłuchał się w jego rytm. Już po chwili mógł stwierdzić, że wszystko jest w porządku. Organizm usunął już prawie trzy czwarte napromieniowanych komórek i przypuszczalnie za jakieś dwie godziny będzie zupełnie czysty. Jediną konsekwencją będzie wzmożony apetyt w najbliższych dniach, kiedy nowe komórki będą się regenerować, bo napromieniowane odda wraz z moczem, kiedy tylko skończy się ich usuwanie. Kiedy już się upewnił co do swojego stanu, nabrał głęboko powietrza i uniósł się w górę. Wiedział, że musi się spieszyć, aby przez nikogo niezauważony dostać się do domu. Zadanie wykonał. Ocalił Ziemię przed jednym z wielu niebezpieczeństw, jakie przynosi kosmos. Jeszcze nieraz on, czy któryś z pozostałej dziewiętnastki, będzie miał okazję potykać się z siłami rozumnymi czy z żywiołami, którym nikt z ludzi nie będzie w stanie się przeciwstawić. Zresztą i z samymi ludźmi jeszcze nieraz będą mieli kłopoty. A Jeśli któryś zginie, bo i tak bywa, to pozostali go zastąpią. Jego zaś miejsce zajmie ktoś inny. Ktoś, kto uzupełni układ do pełnej dwudziestki. Nie wiadomo kto to będzie, gdyż on sam tego nie wie, do momentu, kiedy zrozumie, że istnieje dwudziestka, a on jest jej jedną dwudziestą. A wtedy już będzie kimś innym niż przedtem i na pewno nikomu z ludzi niczego nie powie. Gdyż ludzie nigdy się nie dowiedzieli i na razie nie dowiedzą o dwudziestce. Są jeszcze na to zbyt młodzi i zbyt impulsywni. Tak myśląc Adam wracał do domu. Do domu, w którym dzisiaj, kwadrans po północy, został wybrany do dwudziestki...

Samodzielna decyzja *Andrzej Drzewiński*

Lot specjalny LP-1 przebiegał prawidłowo. Statek kosmiczny po zatoczeniu pętli wokół Jowisza, zgodnie z harmonogramem, obrał kurs powrotny na Ziemię. Tolsen, wysoko ceniący pojazdy tego typu, był z niego w pełni zadowolony. Mimo olbrzymich natężeń pól grawitacyjnych i magnetycznych, wszystkie zespoły pracowały bez żadnych zakłóceń, tworząc jakby jeden organizm. Ale tak jak organizm nie może istnieć bez mózgu, tak i statek nie może istnieć bez swojego komputera. W tym zaś przypadku zachowanie komputera było podwójnie ważne, gdyż był on prototypem, zaś lot miał sprawdzić jego przydatność do astronawigacji. Tolsenowi próbowano wytłumaczyć, jaką to rewelację ma na swoim pokładzie, ale prawdę mówiąc niewiele z tego zapamiętał. Wiedział, że powinien pracować z komputerem, tak jakby był to zwykły egzemplarz seryjny. Takie było jego zadanie. Jak dotąd komputer pracował bez zakłóceń, nie ujawniając jednak nadzwyczajnych innowacji. Tolsen sam nie wiedząc dlaczego spodziewał się po nim czegoś więcej. Poza tym, co tu dużo mówić, Tolsen strasznie się nudził. Statek, którym dowodził należał do najszybszych ziemskich jednostek próżniowych, a mimo to lot miał trwać dokładnie sto dziesięć godzin i ani minuty mniej. Z racji zadania, jakie Tolsen wykonywał, cały czas musiał czuwać przy wskaźnikach kontrolnych. Kiedy mijał Jowisza był chociaż na pulpicie jakiś ruch, a teraz nic. Faktem było, że wszystkie manewry wykonywał komputer, ale przynajmniej nie panował martwy spokój. O zgrozo, nawet spać nie mógł, gdyż zabieg nasycania, któremu się poddał przed startem, gwarantował dobrą kondycję przez pięć dób. Siedział więc w fotelu, notując co kwadrans własne spostrzeżenia i uwagi, które miały być później przeanalizowane na Ziemi. Obecnie mijała siedemdziesiąta godzina lotu i Tolsen coraz bardziej zaczynał żałować, że podjął się tego zadania. Właśnie po raz nie wiadomo który próbował ułożyć pentogram, przesuując na tabliczce magnetycznej różnokształtne płytki. W chwili, gdy już prawie ułożył jedną z sylwetek, nad pulpitem sterowniczym zabłysło czerwone światło. Rozsypując płytki jednym pchnięciem fotela podjechał do stołu i wcisnął klawisz informacji fonicznej. Wyłączył go przedtem, gdyż drażnił go beznamiętny monolog komputera serwującego regularnie co piętnaście minut informacje o stanie statku. Tym razem było to coś innego.

- Komputer BO-1. Ogłaszam zagrożenie stopnia pierwszego. Przyczyna: rój meteorytów z sektora OPA-2 na kursie zbieżnym. Wykonuję manewr mijania klasy drugiej. Prawdopodobieństwo ominięcia roju 5 proc. - dobiegł Tolsena nieznośnie chropawy głos.

- Rój meteorytów? - zdziwił się, lecz nawyk nie pozwolił na głębsze zastanowienie.

Błyskawicznie zapiął pasy fotela i przyjął pozycję leżącą. Bezwładność wgniałała go w oparcie,

- Zwiększ przyspieszenie do maksymalnego - sapnął obserwując na czytniku coraz bardziej malejące cyferki podające odległość od roju i widniejącą obok charakterystykę manewru.

- Komputer BO-1. Przyspieszenie maksymalne. Prawdopodobieństwo ominięcia roju 1%. Szerokość roju 10^{-3} stereoradianów względem punktu zero. Złożony głównie z drobin poniżej jednego centymetra. Posiada nieliczne elementy powyżej dziesięciu centymetrów. Za piętnaście sekund przystępuję do wystrzelenia tarcz ochronnych.

Tolsen uśmiechnął się z podziwem, gdyż komputer wykonywał wszystko to, co on miał zamiar rozkazać. Jeszcze tylko się upewnił:

- Czy powiadomiłeś Lunę?

- Komputer BO-1. Tak. Uwaga: wejście w rój za pięć sekund. Czas pobytu w roju osiem sekund. Tarcze wystrzelone.

- Włącz wizję zewnętrzną - rzucił Tolsen.

- Komputer BO-1. Polecenie wstrzymane, gdyż włączenie wizjerów zewnętrznych spowoduje ich zniszczenie. Obliczam czas przejścia. Zero, jeden, dwa...

Tolsen słuchał mechanicznego głosu i czekał na liczbę osiem. Lecz wcześniej, przy liczbie sześć, statkiem targnęło. Potem nastąpiło kilka faktów jednocześnie: w sterówce mrugnęło światło, z trzaskiem zamknęła się gródź alarmowa i odezwał się komputer:

- Komputer BO-1. W czasie przejścia przez rój doszło do kolizji z obiektem o średnicy około 5 centymetrów. Zniszczony pancierz zasadniczy na długości 10 centymetrów, część pasażerska uległa dekompresji. Część dziobowa zabezpieczona grodzią...

- Natychmiast wyślij automat naprawczy - przerwał mu Tolsen.

- Komputer BO-1. Polecenie naprawy wydane, jednak ze względu na rodzaj stopu, z jakiego jest wykonany pancierz zasadniczy, naprawa będzie trwać około trzech godzin. Prawdopodobieństwo takiej awarii było oceniane na 10^{-7} proc.

- Rozumiem, wezwij Lunę!

- Komputer BO-1. Poprawka do meldunku poprzedniego. Automat naprawczy stwierdził uszkodzenie wysięgnika głównej anteny, co uniemożliwia jej wysunięcie. Obecna pozycja nie pozwala na łączność z Luną poprzez antenę alarmową. Będzie to możliwe za sześć godzin. Kontynuować naprawę pancierza czy skierować automat do naprawy anteny?

- Naprawiaj pancierz - odparł ocierając ściągaczem rękawa pot z czoła.

Chociaż był starym próżniowcem, takie emocje przyprawiwały go o dreszcze. Przeszło mu przez głowę, że najwyraźniej się starzeje. Chwilę zastanawiał się co robić dalej, ale szybko doszedł do wniosku, że i tak nic mądrego nie wymyśli. Jeśli nawet połączy się z Luną, to co oni mu poradzą? Spytają, czy jest w stanie naprawić statek; będzie musiał potwierdzić. Wtedy oni będą mu życzyć powodzenia i każą się meldować co pół godziny. Zresztą nie było powodów do paniki. Czy to po raz pierwszy latał statek? Rozpinając klamry, rozejrzył się za tangramem, leżał pośrodku sterówki. Podniósł go i znów zaczął układać jedną z figur. Przeszkadzało mu jednak jakieś nieznośne ssanie w żołądku. Niejasno uświadomił sobie własny niepokój, lecz starał się tego nie zauważać. Może by mu się to udało, gdyby znów nie odezwał się komputer.

- Komputer BO-1, ciśnienie powietrza w sterówce spadło do 950 milibarów. Przyczyna; wada grodzi dziobowej. Wysyłam automat naprawczy.

Płytki tangramu rozsypały się po podłodze.

- Powietrze ucieka?! Jakim cudem? - krzyknął Tolsen czując jakby rzeczywiście zaczynało go brakować.

- Komputer BO-1. Uszkodzona gródź między częścią dziobową a pasażerską. Przypuszczalna przyczyna: zmęczenie metalu.

- Przecież te grodzie są sprawdzane przed każdym startem! - przerwał mu.

Komputer kontynuował jednak tym samym tonem.

- Komputer BO-1. Tak, ale nie gwarantuje to w stu procentach ich skuteczności. Prawdopodobieństwo uszkodzenia wynosiło 10^{-31} .

- Nie interesują mnie głupie liczby! - wrzasnął. - Co melduje automat?

- Komputer BO-1. Utraciłem łączność z automatem. Przyczyna: meteoryt który uszkodził powłokę posiadał pierwiastki promieniotwórcze. Ich promieniowanie zakłóca łączność między mną a automatem.

Materiał na oparciach zatrzeszczał pod palcami Tolsena.

- Wyłącz go! - krzyknął.

- Komputer BO-1. Nie mogę. Brak łączności jest również wynikiem bezpośrednich uszkodzeń ośrodka programującego automatu. Przyczyna: przebywanie w zasięgu silnego źródła radioaktywnego. Automatyczna blokada programu uszkodzona.

Tolsenowi zaczęło brakować powietrza, zaś w klatce piersiowej pojawiło się ostre klucie, które zmieniało się w rwanie.

- Jaki był ostatni meldunek automatu przed utratą łączności?

- Komputer BO-1. Automat wykonywał cięcie w celu wyrównania brzegów wyrwy. Mając jego dokładne funkcje po uwzględnieniu sprawności palników, automat za trzy minuty przetnie główne przewody powietrza z poziomu A-2. Oczywiście przy założeniu, że nie zmienił samoczynnie programu.

To, co słyszał nie mieściło mu się w głowie. Przecież to było niemożliwe. Absurd! Ale wiedział, że ta blaszanka nigdy nie kłamie.

- Te przewody łączą główny zbiornik ze sterówką? - spytał, będąc pewien tego, co usłyszy.

- Komputer BO-1. Tak. Obecnie uzupełniam przez nie ubytek powietrza. Po ich przecięciu będzie to niemożliwe.

Ból stał się gwałtowniejszy i Tolsen zaczął żałować, że statek ma w sterówce sztuczną grawitację, gdyż oddychać było coraz ciężiej.

- Nie możesz temu jakoś zapobiec? - spytał wręcz histerycznym głosem - Rozkazuję ci zatrzymać automat. Słyszysz, gruchocie? Zatrzymaj go!

- Komputer BO-1. Rozkaz niewykonalny. Statek nie posiada innych automatów samojezdnych, co w świetle poprzednich faktów stawia problem nierozwiązalnym.

Tolsen widział już czerwone kręgi przed oczyma, jednak ciągle się łudził. Nie wierzył, że cała ta paradoksalna sytuacja tak jednoznacznie ma go przywieść do zguby. Jednak komputer rozwiązał i tę nadzieję.

- Komputer BO-1. Spadek ciśnienia w przewodach powietrznych z poziomu A-2. Przyczyna: uszkodzenie ich przez niesprawny automat naprawczy. Zamknąłem wloty przewodów do sterówki, co uniemożliwia wyrównanie ubytku powietrza, uchodzącego przez uszkodzoną gródź. Ciśnienie w sterówce spada w tempie 40 milibarów na minutę. Należy się położyć spokojnie i...

- Milcz debil! - wrzasnął mając wrażenie, że serce mu puchnie i zaraz połamie żebra.

- Komputer BO-1. Polecenie niezrozumiałe. Ciśnienie spadło do 890 milibarów.

Czuł jakby nóż wbijał mu się w splot słoneczny, a od promieniującego bólu powoli drętwiały mięśnie. Starał się pozbierać myśli, ale nie mógł się zdobyć na nic więcej jak na bezproduktywne powtarzanie: automat, cięcie, łączność powietrze. Zaś tego ostatniego było coraz mniej.

- Komputer BO-1. Ciśnienie wynosi 830 milibarów. W takiej sytuacji należy się uspokoić...

- Ty draniu! - ryknął Tolsen zrywając się z fotela, tak jakby tam za szybkami wskaźników dojrzał twarz swojego śmiertelnego wroga.

Nie dobiegł jednak do wyłącznika, gdyż wcześniej coś pękło w sercu; zdążył to jeszcze poczuć. W sterówce zapadła cisza. Ciało Tolsena leżało wyciągnięte między fotelem a pulpitem. Palce lewej ręki były kurczowo zaciśnięte na jednej z dźwigni. Tylko tyle zdążyły zrobić. Słysząc było lekkie buczenie prądu. Potem po cichu otworzyła się gródź. Za nią korytarz był pusty, o gładkich i jasnych ścianach.

- Komputer BO-1. Informacja do zapisu. Siedemdziesiąta pierwsza godzina lotu. Wszystkie urządzenia pracują bez zmian. Przeprowadzono samodzielny eksperyment badawczy. Cel eksperymentu: wytrzymałość człowieka na stres w warunkach lotu układowego. Wynik negatywny.

Dwa tygodnie później INFOR zamieścił krótką wzmiankę:

„W wyniku zbyt dużego poziomu pseudoświadomości komputery nowej generacji BO z firmy Kerkson

nie będą wykorzystywane do astronawigacji, ani do żadnych innych zajęć na warunkach komputerów technicznych. Wydaje się jednak, że mogą znaleźć zastosowanie dla grup twórczych, jak malarze, struktonicy, czy literaci. Badania w toku”.

Zabawa w strzelanego *Andrzej Drzewiński*

Prowadził samochód nonszalancko. Piąta aleja była teraz prawie całkowicie pusta. Uważnym wzrokiem obserwował samochody ustawione wzdłuż krawężników. Większość z nich była koloru czerwonego. Na tę myśl zmarszczył czoło. Przez moment zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn, którzy majstrowali przy bagażniku dużego, czarnego Mercedesa. Ale sądząc po twarzach, które mu mignęły, robili to najzupełniej legalnie. Skręcił w lewo. Po tłoku na chodnikach można było poznać, że zbliża się do centrum. Sięgnął ręką i namacał pokrętło radia. Głos spikera poprzedził trzask wyłącznika.

„...ten dzień. Świadczą o tym tysiące ludzi, którzy zebrali się na placu Waszyngtona. Wszyscy w napięciu oczekują przybycia prezydenta. Ma on przyjechać za dwadzieścia minut. Aha, nie wiem czy wiecie; ale nic tak nie skraca dłużącego się czasu jak miniradioodbiornik firmy „Phillips”, zapamiętajcie minira...”

Głos urwał, gdyż Dawid wyłączył radio. Na jego twarzy malował się podejrzany uśmiech, tak jakby usłyszał coś bardzo przyjemnego. Popatrzył na zegarek.

- Jeszcze czterdzieści minut - szepnął.

Podniósł wzrok zza kierownicy i rozejrzał się. Zaułek, który biegł za budynkiem teatru najwyraźniej mu się spodobał, gdyż tam skierował swój wóz. Wolno jadąc, zaparkował koło sterty śmieci. Tak jak sądził, nikt nie miał ochoty tędy przechodzić. „Mieli rację ci, co uważali Nowy Jork za niebezpieczne miasto” - pomyślał. Przechylił się do tyłu i zrzucił koc ze smukłego kształtu leżącego na tylnym siedzeniu. Był to AR-10 z celownikiem optycznym; wspinała broń, szczególnie gdy chce się kogoś trafić z odległości dwustu pięćdziesięciu metrów. Położył go sobie na kolanach, pieczołowicie przecierając chusteczką soczewki. Spojrzał pod światło; były czyste. Z górnej kieszonki koszuli wyjął garść nabojęw. Odliczył piętnaście, a resztę wsypał z powrotem. Potem jeden po drugim włożył do magazynka, nerwowo przesuwając językiem po wargach. Kiedy skończył, z trzaskiem złożył kolbę i owinał sztucer w koc. Położył go na siedzeniu obok i zapalił silnik. Wycofał się na główną ulicę.

Witryny mijanych sklepów szybko migały za oknem. Po pięciu minutach był już na miejscu. Trzysta metrów dalej widać było ustawiony rzędem kordon policji. Tam był plac Waszyngtona. Samochód zaparkował tuż przed białą linią zakazu postoju. Wysiadając zostawił kluczyk w stacyjce. Obszedł wóz i dyskretnie się rozglądając wyjął przez okienko przygotowany przedmiot. Zaklął, gdyż broń o mało nie wysunęła się z koca. Od strony placu dobiegał głośny szmer tłumu. Popatrzył w górę. Niebo było czyste, tylko z zachodu płynęło kilka małych obłoczków. Na ich tle widać było aluminiowy kształt bryły budynku. Hotel „Iluzjon” miał dwadzieścia pięter. Gdy wszedł do środka, portier za kontuarem z niechęcią odwrócił się od telewizora. Na ekranie widać było miejsce, gdzie miał wystąpić prezydent.

- Słucham - burknął.

Dawid spojrział na gablotę z kluczami. Kasetka z numerem 483 była pusta.

- Ja do pana Edwarda Bola z pokoju 483 - powiedział uśmiechając się szeroko.

Portier tylko spojrział na gablotkę - i jak Dawid się spodziewał - odparł:

- Jest w pokoju. Winda jest tam.

Palcem pokazał drogę i obrócił się z powrotem do telewizora. Jego plecy wymownie świadczyły, że uważa rozmowę za zakończoną.

Drzwi od windy z cichym sykiem zamknęły się za Dawidem. Wcisnął klawisz z szóstką. Korytarz na tym piętrze był pusty. Po sfałdowanym dywanie podszedł do drzwi toalety. Przystanął przy nich i spojrzał na zegarek. Pokręcił głową i nacisnął klamkę. Ślad na metalu upewnił go, że dłoń ma całą mokrą od potu. W toalecie było przeraźliwie białe. Na glazurowej ścianie tkwił rząd dużych lusterek, które odbijały wnętrza białych umywalek. Odwrócił się upewniony, że jest sam i spojrzał na zamek drzwi. Z zadowoleniem stwierdził, że można je zamknąć od środka, czego nie omieszkał uczynić. Pachniało jakimś środkiem odkażającym, gdyż zapach wiercił w nosie. Chwycił za krzesło stojące w kącie i przestawił je na środek pomieszczenia. Następnie delikatnie wszedł do góry i powoli się wyprostował. Parapet okna miał na wysokości pasa.

W dole widać było mrowie ludzi; wolny był tylko dojazd do trybuny. Dawid schylił się i podniósł sztucer. Następnie przyjrzał się przez lunetkę jakiemuś mężczyźnie. Wybrał tego, który stał w miejscu, gdzie za kilka minut powinien stanąć prezydent. Twarz była wyraźnie widoczna na zarysie małego krzyżyka. W porządku - pomyślał. Upewnił się jeszcze, czy celownik ma ustawiony na 250 metrów i zastygł w bezruchu. Wiedział, że obserwatorzy na dachach nie mogą go dojrzeć, gdyż całe to pomieszczenie skryte było w głębokim cieniu. Nieprzypadkowo wybrał budynek, który o tej porze oświetlony był przez słońce z przeciwnej strony.

Było południe. Plac na dole zalany słonecznym blaskiem, nie dawał żadnego schronienia oczekującym ludziom. Tłum delikatnie falował, zalegając na podobieństwo jakiegoś samoistnego stwora. Nagle przeszła przez niego jedna fala, potem druga; coś się działo. Dawid spojrzał w bok. Środkiem szpaleru sunęły trzy czarne limuzyny. Wiedział, że w środkowej jedzie prezydent. Słychać było narastający ryk tłumu. Stwór ożył, wiwatując tysiącem rąk. Dawid podniósł broń.

Samochód prezydenta zatrzymał się tam, gdzie przewidział. Otoczyło go kilku osobników, których postura i sposób poruszania się jednoznacznie określały profesję. Grupa ta rozdzieliła się na dwie strony, starannie osłaniając prezydenta, który właśnie ukazał się w otwartych drzwiczkach wozu. Tłum zachłysnął się krzykiem. Reszta dostojników wysiadła z drugiego samochodu i pozdrawiając ludzi podchodziła do prezydenta. Ten uśmiechnięty coś krzyczał. Jego uśmiech i błysk białych zębów wyraźnie widać było przez soczewki. Tak samo wyraźnie jak czoło z blond włosami, na którym zarysował się krzyżyk sztucera Dawida. Teraz albo nigdy - pomyślał, sprężając się cały, Ani jeden mięsień nie miał prawa drgnąć. Gdy krzyżyk spoczął na nasadzie nosa, lekko pociągnął za spust. Nie odkładając broni, patrzył przez lunetkę. Na czole prezydenta wykwitła mała plamka wielkości monety centowej. Jednak obraz ten zaraz zniknął mu z pola widzenia. Prezydent osunął się na ziemię i zastygł w groteskowej pozycji. Na placu zapadła cisza.

- Brawo - krzyknął ucieszony - Udało się! I to z wolnej ręki.

Odpowiedział mu przeraźliwy wrzask; tam z dołu. Obnażył zęby w uśmiechu.

- A teraz mnie gońcie - wyszeptał. Zeskoczył z krzesła i wrzucił sztucer do muszli klozetowej. Lufa kretyńsko wystawała z otworu, lecz nie zwracał na to uwagi zajęty odblokowywaniem zamka. Na korytarzu wciąż było pusto. Podskoczył do windy. Zajechała szybko. Po dziesięciu sekundach był na parterze. Pierwszą rzeczą, którą ujrzał był portier. Zastygnięty w dziwnej pozycji, gapił się w telewizor. Musiał jednak usłyszeć szum windy, gdyż odwrócił się w jego stronę.

- Panie, prezydenta nam zabili - wybełkotał.

Na ekranie widać było chaotycznie biegających ludzi, czemu towarzyszyły słowa spikera:

„...drań. Pewnie z któregoś z budynków wokół placu. Nie wiem, ale może to z tego hotelu...”

Dawid dalej nie słuchał, gdyż zobaczył, że portier zrozumiał.

- To ty. Miałeś strzelbę w tym kocu! - zaczął wymachując groźnie pięściami.

Uderzenie w podbródek zwaliło go na podłogę. Dawid dla pewności kopnął go jeszcze w brzuch.

Tamten załkał i skulił się jak ślimak. Przeskoczył ciało i wybiegł na ulicę. Krzyk z prawej strony upewnił go, że popełnił błąd. Gdyby wyszedł powoli, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. A tak? Trzech policjantów biegnących w jego stronę odpinało kabury. Nie dali mu czasu do namysłu. Wskoczył do wozu i przekręcił kluczyk. Samochód szarpnął i skoczył do przodu z akompaniamentem pisku opon. Kiedy wyszedł na prostą, spojrzął w lusterko. Widać było dwa wozy policyjne z wrzaskiem syreny prujące za nim, a zza zakrętu wylatywał właśnie trzeci. Na pełnym poślizgu skręcił w prawo, mocno odbijając kierownicą; tył zarzucił, o milimetry mijając hydrant. Łomot, który dobiegł go z tyłu wskazywał, że tamtym nie poszło to tak dobrze. Jeszcze raz spojrzął w lusterko. Zostały dwa wozy, no i ludzie. W tej samej chwili, kula strzaskała tylną szybę. Rozejrzał się, lecz poczuł jak wóz gwałtownie ściąga w prawo. Zupełnie tak samo, gdy komuś przestrzeli się oponę przy szybkości stu kilometrów na godzinę. Nie mógł nic zrobić. Wóz wpadł w poślizg i zatrzymał się w poprzek jezdni. Wyskoczył, chowając się za karoserią. Nadbiegali.

Błyskawicznie zlustrował sytuację i szybkim zygzakiem przebiegł do drzwi pobliskiego budynku. Kiedy wbiegł do środka, kula rozbiła w nich szybę. Po schodach nie zdążył - pomyślał. Na zegarku brakowało jeszcze dziesięciu minut. Podbiegł do otwartych drzwi windy i wcisnął ostatni klawisz u góry. Drzwi zasuwały się powoli, bardzo powoli. Przez malejącą szparę zobaczył policjantów, którzy wbiegli do hallu. Najbliższy musiał go dojrzeć, gdyż stanął w postawie strzeleckiej. Na widok wycelowanej lufy, Dawid uskokczył. W tym samym momencie drzwi zsunęły się szczelnie i ruszył do góry. Ocierając pot z czoła, oparł się o ścianę. Jego wzrok padł na lustro. W środku była mała dziurka otoczona wianuszkami pęknięć. Zrozumiał, że policjant zdążył strzelić.

- Ale bym głupio wpadł - powiedział do siebie. - Na dziesięć minut przed końcem.

Winda powoli sunęła na dwudzieste piętro. Wiedział, że zyska około pięciu minut, gdyż w tym bloku nie było drugiej. Oddech mu się uspokajał. Przyszły wspomnienia.

Wszystko zaczęło się dwa lata temu, kiedy był zrównoważonym i w miarę spokojnym fizykiem w Instytucie McDonalda. Pracował wtedy nad jakimiś głupimi monokryształami. Ale to była praca oficjalna. On sam mierzył daleko wyżej. Mówiąc krótko, chciał zbudować maszynę czasu. Oczywiście, wszystko robił sam, gdyż o dodatkowych funduszach nie miał co marzyć. Do podania o ich przyznanie musiałby załączyć wstępne wyniki badań. Tymi zaś nie dysponował. Po pewnym czasie zrozumiał, że to co konstruuje, wcale nie jest maszyną czasu. Sam nie wiedział, jak to nazwać. Jego urządzenie pozwalało na zawrót biegu zdarzeń naszego świata.

Wyglądało to w ten sposób: powiedzmy o godzinie zero włączał aparat i następnie przez sześćdziesiąt minut wszystkie zjawiska naszego świata biegły normalnym torem. Jednak w sześćdziesiątej minucie wszystko wracało do stanu z godziny zero. Można powiedzieć, że jego maszyna powodowała małą, godzinną pętlę naszej czasoprzestrzeni. Oczywiście to go nie zadowoliło, gdyż pamięć ludzka również wracała do stanu wyjściowego. Jego sukcesem było to, że udało mu się tak skonstruować aparat, aby zachowywał on dla niego pamięć tego co przeżył w ciągu tej godziny. Mógł pamiętać to, co się nigdy nie zdarzyło a może to, co będzie, ale nikt tego nie zapamięta.

Uśmiechnął się na myśl niuansów językowych, zupełnie bezradnych w tej sytuacji. Dobrze pamiętał swoją pierwszą próbę, która ograniczała się do spaceru po mieście. I radość, kiedy uczył falę gorąca, gdy stał przy jakimś słupie ogłoszeniowym. A potem uczucie, że siedzi z powrotem na fotelu swojej pracowni. Na tym samym fotelu, na którym siedział godzinę wcześniej. Zegary jego laboratorium również były na godzinie startu. Wtedy zrozumiał, że rzeczywiście ukradł sześćdziesiąt minut dla siebie. Triumfował! W następnych próbach posuwał się coraz dalej, bawiąc się możliwościami, które się przed nim otworzyły. Sam przyznawał sobie w duchu, że postępuje niepoważnie. Rozbijał witryny sklepów, robił burdy, a raz nawet wyszedł nago na Manhattan. Do tej chwili pamięta idiotyczne miny policjantów,

k którzy go zatrzymali. Oczywiście za każdym razem, w sześćdziesiątej minucie, wszystko, jak zwykle, wracało do normy. Tego co robił nie mógł jednak nikomu udowodnić, gdyż jedyne co zabierał z tej godziny, to były jego wspomnienia.

Wynalazek miał zamiar ogłosić na najbliższym posiedzeniu Rady Instytutu, zapraszając kogoś pacana do godzinnej podróży. Wtedy mu uwierzą. Jednak zanim to zrobi, musi przeżyć jeszcze jeden seans. Ten, w którym zabije prezydenta. Naturalnie zabije tylko na kilka minut, gdyż potem świat wróci znów do stanu początkowego. Musiał wykorzystać ten szczęśliwy traf, jakim był przyjazd prezydenta w ramach kampanii wyborczej. Nie wiedział sam, dlaczego to go tak pociągało. Ale wiedział, że marzył o tym od lat. Broń Boże! Wcale nie miał instynktów morderczych, po prostu robił to dla samej przyjemności zabicia na niby kogoś tak wysoko postawionego. Ryzyko było jego pasją. Jakby nie było, w instytucie wszyscy go znali jako zapalonego myśliwego.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze. Wysunął głowę; pusto. Przytrzymując drzwi sięgnął po popielniczkę stojącą w kącie i postawił ją tak, aby winda nie mogła się zamknąć. Podeszedł do schodów. W studni klatki schodowej słychać było zbliżające się głosy i tupot wielu kroków. Do pełnej godziny brakowało mu jeszcze pięciu minut. Sam zresztą nie wiedział, dlaczego aparat reagował tylko przez sześćdziesiąt minut. Sądził, że jest to wynikiem istnienia pewnej stałej i podstawowej własności naszego wszechświata.

Odwrócił się i pobiegł w górę. Po drodze minął strzałkę z napisem „Wyjście na dach”. Kłapa była nad nim. Pchnął; zamknięta. Ze złością uderzył pięścią w jej popękany lakier. Cholera, jednak mnie złapią, pomyślał, do końca mi się nie udało. Sam nie wiedział co ma robić dalej, gdyż z chęcią jeszcze by się pobawił w „policjantów i złodziei”. Nagle przeszedł go dreszcz. Oni mogą go zabić, myśl odezwała się natrętnie, to musi być okropne uczucie. Nawet jeśli mają go zabić za cztery minuty, gdyż tyle brakowało do końca eksperymentu. Wzdrygnął się i po namyśle usiadł, z rękoma na karku, na ostatnim stopniu. Wydał mu się bardzo zimny. Tamtym brakowało dosłownie kilka pięter, jak wnioskował po rosnącym hałasie.

Wtem poczuł ogromny strach, który wypełził z jednej myśli. „Jeżeli w godzinie powrotu będę martwy, to również martwy znajdę się w moim fotelu. Przecież aparat przenosi do punktu wyjścia cały świat z wyjątkiem mnie. Gdyż abym zapamiętał to, co się zdarzyło, przerobi on bez zmian mój stan fizjologiczny, a konkretniej nerwowy”. Wyobraził sobie swoje martwe ciało, które znajda w laboratorium. Laboratorium zamkniętym na klucz. Boże! Morderstwo doskonałe, przeszło mu przez głowę. Jak on mógł to przeoczyć! Musiał uciekać; jeszcze tylko cztery minuty.

Wstał gwałtownie i z całej siły napał na kłapę. O dziwo! Podniosła się od razu. Zrozumiał, że była otwarta i najwidoczniej tylko zawiasy się zatarły. Wskoczył energicznie na dach. Chłodny wiatr owiał spocone czoło. Zatrzasnął wejście, zamykając jednocześnie zasuwkę. Niemal od razu usłyszał z dołu stłumione krzyki i po chwili w kłapę poczęły bębnić mocne uderzenia. Na zegarku brakowało dwóch minut. Łomot umilkł i z dołu dobiegły go pojedyncze kaszlnięcia. Fontanny strug drewna i metalu koło zamka uświadomiły mu ich znaczenie. Oglądając się nerwowo, pobiegł w kierunku dużego komina wentylacyjnego. Gdy się za nim schował, ostrzelana kłapa odskoczyła w górę.

Ostrożnie, milimetr za milimetrem, wysunął prawe oko zza zasłony. Było ich pięciu. Z odbezpieczonymi pistoletami rozsypali się w tyralierę po dachu. Jak na gust Dawida, robili to stanowczo za sprawnie. Ostrożnie przebiegali od jednego występu dachu do drugiego. Po ich minach zrozumiał, że chcą go zabić. Tak! Nie aresztować, ale właśnie zabić! Spojrzał na zegarek; brakowało trzydziestu sekund. Musiał jednak zrobić to za gwałtownie, gdyż dwie kule ze świstem zrykoszetowały o metal daszku. Padł na dach. Asfalt na nim był rozgrzany i miękki. Kula, która go trafiła, rozorała nasadę dłoni. Ból był paskudny. Jeszcze dziesięć sekund, pomyślał. Aby ich zatrzymać jeszcze na tę chwilę, rzucił w

ich stronę zegarkiem. Błyskawicznie opadli na dach. U góry zaterkotał helikopter. Pewnie ci go też zauważyli. Liczył, starając się nie popadać w panikę”... osiem, dziewięć, dziesięć... I nic! Ciągłe był rozciągnięty na dachu. Tamci powoli zaczęli się znowu skradać. To niemożliwe, niemożliwe - szeptał bezwiednie. Musi zyskać na czasie. Podniósł się i uniósł ręce wysoko nad głowę. Musiał wyjść im naprzeciw. Kiedy go zobaczyli, zatrzymali się kierując broń w jego stronę.

- Nie strzelajcie, to pomyłka - wychrypiał. - Poddaję się!

Czuł, jak zraniona ręka mu omdlewa. Co się stało? myślał, przecież godzina już minęła. Jak ja im to wytłumaczyć? Myśli przelatywały przez głowę. Jeszcze to przekłęte słońce, które go tak razi. Nagle odezwał się sierżant, który stał najbliżej.

- Chłopczy! On ucieka, prawda? - mówił przez zaciśnięte zęby. Głos był podejrzenie łagodny. Tamci się uśmiechnęli.

- Tak, John - odpowiedział najwyższy. - On ucieka, a my nie możemy na to pozwolić.

Dawid zbladł i zaczął powoli się cofać.

- To się nazywa „zabity w czasie próby ucieczki” - ciągnął wysoki, nerwowo przygryzając wargę.

- Tak, Billy - odpowiedział sierżant - to właśnie tak się nazywa.

Dawid obrócił się na pięcie, kątem oka widząc, jak sierżant staje w rozkroku na lekko ugiętych nogach. Zdołał przebiec dwa metry, gdy uświadomił sobie bezsens ucieczki. Przecież i tak nie ma gdzie biec - pomyślał. Zwolnił i odwrócił się w ich stronę. W tym samym momencie bryłka stali ugodziła go w lewą skroń. Zobaczył jeszcze snop iskier, a potem była tylko ciemność...

Następnego dnia tylko nieliczni czytelnicy miejscowej gazety zainteresowali się małą notatką na ostatniej stronie.

„Pożar w Instytucie McDonalda, który wybuchł wczoraj w południe, zniszczył całą aparaturę, jaka się znajdowała na Wydziale Monokryształów, w tym również prywatne urządzenia pracowników. Przyczyny wypadku dopatruje się w uszkodzeniu instalacji elektrycznej. Szkody są szacowane na...”

Zapomniany przez ludzi *Andrzej Drzewiński*

Przez opary snu dotarł do mego jakiś dźwięk, który z każdą chwilą zdawał się być coraz gwałtowniejszy. Miał zamiar go zignorować i spać dalej, gdy nagle uświadomił sobie jego pochodzenie. Był to budzik. Otworzył oczy i mógł stwierdzić, że się nie omylił. Jasny cyferblat szczerzył wskazówki, sugerując godzinę siódmą. Musiał wstawać. Aby jak najszybciej wygonić resztki snu, energicznie odrzucił kołdrę i podbiegł do okna. Parkiet chłodził rozgrzane stopy. Na dworze na szczęście nie padało; powietrze było wilgotne i pachniało lipą. Wychylił się dalej i mógł dostrzec dwa kundły szaleńczo biegnące wokół kubłów na śmieci. Za nim w pokoju trzasnęły drzwi. Uniósł głowę, w dalszym ciągu przechylając się za parapet Ujrzał twarz matki; miała dziwny wyraz.

- Co pan tu robi? - usłyszał. Głos był na pozór stanowczy, ale, znając matkę, wyczuł strach.

- Patrzę przez okno, proszę pani - odparł, w miarę beztroskim tonem.

- Proszę odpowiedzieć! - krzyknęła histerycznie. Bo zawołałam policję!

Wyprostował się zdziwiony.

- O co ci chodzi, mamó? - mówiąc to, zrobił krok w jej stronę.

- Proszę się nie zbliżać! Nie jestem żadną pańską mamą! - krzyknęła znowu. - Jeszcze raz pytań, kim pan jest?!

- Mamó, zwariowałaś? - teraz i w jego głosie zabrzmiała histeria.

Kobieta znów podskoczyła na dźwięk słów „mama”, coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy.

- A więc nie chce pan powiedzieć, co robi tutaj o siódmej rano i to w piżamie! - zawołała zatrzasnąwszy drzwi.

Usłyszał odgłos przekręcanego klucza w zamku. Przez moment, na tyle długi, że zdążyły umilknąć kroki, stał niezdecydowany pośrodku pokoju, aby później gwałtownie skoczyć do drzwi. Uderzył w nie kilkakrotnie pięścią.

- Mamó, otwórz! - wołał. - O co ci chodzi?

Za drzwi odpowiedziały jakieś dalekie szmery i nic więcej. Otarł kułak ze złuszczonego lakieru, aby później wolnym ruchem sięgnąć do kieszeni. Miętkość materiału uprzytomniła mu fakt, że jest w piżamie. Usiadł na łóżku, zdjął ze stoliczka paczkę papierosów i stukając palcami w denko, ustami wyjął jeden z nich. Właśnie miał potrzebę łyka zapalki, gdy usłyszał odgłos kroków z korytarza. Odruchowo wstał. W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Scotta; sąsiada z góry, dobrodusznego ojca rodziny. Robert mimochodem zauważył pod jego nosem resztki piany po goleniu. Matka najwyraźniej zastała go przy porannej toalecie.

- No... - zaczął groźnie Scott.

- Panie Scott - wszedł mu w słowa Robert - dobrze, że pan przyszedł. Nie wiem, co się dziś dzieje z moją mamą. Wygląda jakby mnie nie poznawała. Może pan jej...

- Zamknij się pan! - przerwał Scott. - Skąd tu się wziąłeś? Tylko szybko, bo jestem nerwowy! Według mnie to zwykły złodziej, pani Holmitz - dodał zwracając się do matki Roberta.

Ten stał z wytrzeszczonymi oczyma i czuł, jak coraz bardziej robi mu się gorąco.

- Czyście powariowali? - wyszeptał. - Przecież ja mieszkam w tym domu od urodzenia, już dwadzieścia lat. A to jest moja matka, przecież wiem, do cholery, jak ona wygląda. Pan też mnie zna od

urodzenia. Przestańcie robić głupie kawały, gdyż to wcale nie jest dowcipne.

Tamci wyglądali, jakby patrzyli na groźnego, lecz oryginalnego wariata.

- Zresztą, co ja wygaduję. Rozejrzyjcie się po pokoju. Może to was otrzeźwi - tłumaczył nie dając za wygraną. - Czyje to są rzeczy, jak nie moje? Te książki, zdjęcia, koszule, skarpetki... - miotał się po pokoju wyciągając coraz to nowe przedmioty. - Więc powiedzcie mi, skąd to się tutaj wzięło, co?

Umilkł mając nadzieję, że usłyszy zaraz słowa: „nie gniewaj się synku, to tylko żart”. Niestety, usłyszał coś zupełnie przeciwnego.

- Nie wiem skąd to się wzięło. Sądzę, że pan to przyniósł w nocy. Ten pokój był zawsze... - tu jakby na moment się zawahała, aby dokończyć - pusty.

Kiedy to mówiła, jednocześnie wycofywała się za plecy Scotta.

- Niech pan tu zostanie i popilnuje tego człowieka - poprosiła. - Ja wezwę policję.

- Oczywiście pani Holmitz - odpowiedział sąsiad, pozersko opierając się o futrynę.

Matka wyszła, a skołowany Robert usiadł na krześle. Po głowie zaczęła mu chodzić jedna myśl, jak uchronić matkę od zakładu dla psychicznie chorych, gdy przyjdzie policja.

- Radzę panu przestać udawać idiotę - przerwał jego rozmyślania głos Scotta.

Robert rzucił mu niechętnie spojrzenie, lecz tamten, niezrażony, ciągnął dalej:

- Panią Holmitz znam prawie dwadzieścia lat i mogę pana zapewnić, że nigdy nie miała ona syna. Jedyne dziecko, jakie miała to córeczka, która zmarła w kilka dni po urodzeniu.

- Wiem - wtrącił Robert - miałem wtedy dziesięć lat. To była moja siostrzyczka.

- Panie - ciągnął dalej Scott - to nie ma sensu, że pan podaje się za jej syna. A poza tym, co ja tu będę z panem dyskutował.

Do momentu przyjazdu policji siedzieli nie odzywając się do siebie, tylko Robert nerwowo palił papierosa za papierosem.

Obydwaj policjanci byli grubi, nadęci i mieli miny władców, jeśli nie świata, to przynajmniej tej dzielnicy. Jeden z nich pociągał nosem, jakby miał katar.

- To właśnie ten człowiek - powiedziała matka.

- Dokumenty - warknął wyższy kładąc znacząco rękę na pasie.

Kiedy Robert mu je podawał, dodał:

- Proszę się ubierać. Pójdzie pan z nami!

Robert zignorował te słowa, pokazując palcem dane w dowodzie.

- Przykro mi panowie, że musieliście się trudzić - mówił - ale tu jest wyraźnie napisane, że ja tu mieszkam i jestem synem tej pani.

Grubas jeszcze przez chwilę studiował dokumenty naradzając się ze swoim kolegą. Potem znów pociągając nosem zwrócił się do pani Holmitz:

- Z dokumentów wynika, że ten człowiek rzeczywiście jest pani synem.

- Nonsens - odparła.

Scott również coś tam zabalgotał. Robert powoli odzyskiwał zdolność myślenia. „Biedna mama” - przeszło mu przez głowę, jednak musiał zacząć działać.

- Może panowie pójdą po dozorcę i spytają się o mnie. To powinno wyjaśnić tę niezręczną sytuację.

Policjant spojrział niechętnie; widocznie nie lubił, gdy ktoś był mądrzejszy od niego, ale kiwnął głową na drugiego. Kiedy czekali na jego powrót, Robert z wyrzutem popatrzył na matkę. Ta uniosła z dumą głowę i patrzyła w jakiś wybrany punkt na ścianie. Wtem Robertowi przyszło do głowy, że głupio stać w pidzampie wobec obcych ludzi. Poszedł za kotarę, gdzie leżało ubranie, ułożone jeszcze przed snem. Właśnie zapinał pasek, gdy wszedł wysłany policjant. Na twarzy miał rozlany uśmiech satysfakcji.

- Dozorca przysięga na wszystko, że pani Holmitz zawsze mieszkała sama i nigdy nie słyszał, aby

miała syna - wyrecytował.

Wyższy słysząc to, znów pociągnął nosem.

- A więc fałszywe dokumenty - stwierdził. - Proszę z nami.

Odsunął się ukazując drzwi. Robert chciał krzyknąć, zaprotestować, ale nie potrafił swych myśli złożyć w sensowne zdanie. Rozejrzał się jeszcze po pokoju, obcym teraz i nieprzyjaznym, i wyszedł. Gdy schodził z policjantami słyszał cichnący głos Scotta, który uspokajał jego matkę.

- Proszę tu podpisać - powiedział komisarz, kładąc mu przed nosem maszynopis zeznań. Robert starał się go przeczytać, ale piekielny ból głowy zlewał tekst w monotony deseni. Z rezygnacją złożył u dołu dwa słowa: imię i nazwisko, których za żadną cenę nie miał zamiaru się wyrzeknąć. Pióro drżało mu w palcach.

Sędzia śledczy właśnie kończył studiować ogłoszenia w porannej gazecie, gdy ktoś zapukał. Odłożył prasę i przybierając nobliwy wygląd zawołał;

- Proszę!

- Panie sędzio, Ja w sprawie Roberta Holmitza - mówił komisarz podchodząc do biurka, gdzie położył przed sędzią teczkę z aktami.

- Czy jest coś nowego? - spytał ów, zakładając cienkie okulary.

- To niesamowita historia - relacjonował komisarz. - Łapiemy faceta w mieszkaniu zupełnie obcej mu osoby. Okazuje się, że nie wiadomo jakim cudem sprowadził on tam swoje meble i rzeczy sugerując, iż jest synem właścicielki mieszkania. Na domiar złego ma idealnie podrobione dokumenty i uwaga... - komisarz zawiesił głos - we wszystkich urzędach, gdzie powinien być zarejestrowany, rzeczywiście figuruje. Muszę zaznaczyć, że również u nas był notowany za rozrabianie w czasie demonstracji studenckiej. Zarówno personalia, jak i linie papilarne zgadzają się. Nie mam pojęcia kto i w jaki sposób podłożył te dokumenty. Gdyby nie to, że on nie potrafi wskazać chociażby jednej osoby, która by go znała, gotów byłbym uwierzyć, że jest Robertem Holmitzem. To jakaś niesamowita mistyfikacja.

- Czy nikt nie potwierdził jego tożsamości? - wtrącił sędzia przewracając kartki sprawozdań.

- Absolutnie nikt. Nawet dziewczyna, którą określał jako swoją narzeczoną zaprzeczyła temu, że go zna - mówiąc to zniżył głos do szeptu. - Nie ma pan pojęcia co się wtedy działo. On ją zaklinał, ona czerwieniała i płacząc uciekła. Ten zaś dostał szału i rozbił o ścianę krzesło, także lekarz musiał mu aplikować coś na uspokojenie. Teraz siedzi spokojnie w areszcie.

Kiedy komisarz umilkł, sędzia chrząknął i rysując długopisem jakieś bohomy na okładce teczki do akt, powiedział:

- Wydaje mi się, że to jest poważna sprawa - rzekł przeciągając samogłoski. - Jakaś grubsza afera, kto wie, może szpiegowska. Trzeba będzie zawiadomić Wydział Spraw Wewnętrznych. Sądzę, że zainteresują ich te podłożone dokumenty.

Komisarz z szacunkiem przytaknął.

Major Martin Kole

Wydział Spraw Wewnętrznych

Raport

Niżej podpisany kapitan medycyny sądowej stwierdza, że przeprowadzi na osobniku podającym się za Roberta Holmitza test prawdy, a także próbę Holza i Berdiewa. Wynik wszystkich trzech był ujemny, co wskazuje na bezcelowość dalszych przesłuchań metodami klasycznymi. Osobiście muszę zaznaczyć, że jest to bezprecedensowy wypadek w medycynie, aby u jednej osoby wskaźnik reakcji na każdy z w/w testów był poniżej 0,1 proc.; innymi słowy ów osobnik jest całkowicie przekonany o swojej fikcyjnej tożsamości. Uważam, że podobny efekt mogło wywołać „pranie mózgu” połączone z dużym stresem psychicznym, którego nawet trans hipnotyczny (patrz: próba Holza, zał. 1/3) nie potrafił usunąć.

Zaznaczam, że nasze laboratoria nie mają możliwości uzyskania podobnego efektu.

Podpisano:
Kapitan medycyny sądowej
Bernard Pintor

- Oskarżony, proszę wstać - wyrecytował sekretarz. - Sąd ogłosi wyrok.

Sędzia, zasuszony starzec z łańcuchem na piersi, poprawił tożę, gdy brał do ręki kopię wyroku.

- Sąd Najwyższy skazuje obecnego tu Roberta Holmitza za działalność szpiegowską na karę dwudziestu lat więzienia. W swoim orzeczeniu sąd pragnie wyrazić ubolewanie nad nieustępliwością oskarżonego w sprawie jego tożsamości, jak również pragnie zaznaczyć, iż czynnikiem łagodzącym był fakt, że nie udowodniono oskarżonemu żadnego czynu na szkodę państwa, co jednak niewątpliwie by nastąpiło, gdyby nie jego przedwczesne ujęcie.

Robert opuścił głowę.

- Encyklopedia Medycyny Współczesnej. Wyd. III, rok 2015, klatka 51151; odczyt;

Syndrom Holmitza - choroba społeczna, występująca w bardzo dużych skupiskach ludzkich, które przekroczyły próg informacji stopnia drugiego. Objawia się kasacją informacji dotyczących losowo wybranego człowieka lub przedmiotu. Jako środek zaradczy stosuje się banki informacji, odtwarzające utracone dane. Nazwa syndromu pochodzi od nazwiska człowieka, który stał się jego pierwszą ofiarą.

Patrz: Encyklopedia Biograficzna, Wyd. IV, rok 2014, klatka 2305.

U nich, na Ziemi *Ryszard Głowacki*

I

...Osiemnaście... Co za dureń to wymyślił!... Dziewiętnaście... Jest! Już więcej nie dam rady, nie ma mowy... Dwadzieeee... No tak, nie poszło. Wiedziałem. Serce wali jak oszalałe, szum w głowie, czarne plamy. Spróbuję jeszcze raz, spróbuję jeszcze raz... Dwadzieeeeścia!! Strużki potu cieką wzdłuż kręgosłupa, oddech uspokaja się powoli. Dwadzieścia - byłem pewny, że tego nie zrobię, a jednak! Muszę, muszę odfajkować ten cały zestaw, choćby mi kości miały popękać. Na złość wszystkim, którzy mi odradzali: „Nie jedź Les, to nie dla ciebie. Zobaczysz!” Zobaczę i diabli mnie nie wezmą. Powysyłam im widokówki, niech sobie powkładają pod szkła na pulpitych i pogapią się podczas dyżurów.

No, dość odpoczynku. Teraz bieżnia - dam trójkę i 0,8 g. W porządku. Raz... dwa... raz... dwa... Raz, dwa. Raz! Dwa! Raz! Dwa! Znow uderzenia młotów w skroniach, chyba przedobrzyłem z tym 0,8. Za duże obciążenie. Raz, dwa. Raz, dwa.

- Hej, Les! Nie obijaj się!

- Co? A, to ty - skorzystałem z okazji i wyłączyłem taśmę. - Cześć Gany!

- Jak się czujesz?

- Świetnie.

- Świetnie? No, jasne, zero osiem na liczniku. Jak dla panienki z dobrego domu po skręceniu kostki w czasie tańca. I to ma być trening? Dla takiego konia! Powinieneś ćwiczyć przy półtora g.

- Przy półtora można grać w szachy.

- Co? - Gany spojrzał na mnie z pobłażaniem i ściągnął dres.

- Daj półtora i czwórkę!

Włączyłem jak chciałem. Zrobiłem kilka przysiadów i wskoczyłem na bieżnię. Biegłem lekko i swobodnie, jakby nie było żadnej różnicy w przyciąganiu. A może rzeczywiście nie ma? Wyciągnąłem rękę nad taśmę - opadła mi gwałtownie w dół. Było co najmniej półtora. Gany uśmiechnął się pędząc długim elastycznym krokiem. Pod opaloną skórą znać było każdy mięsień. Ani śladu zmęczenia, ani kropli potu. Przy półtora g! Jak on to robi!

- Przestań, teraz już wierzę! - zawołałem. - Wyłączyć ci?

- Wyłącz.

W miarę jak redukowałem bieg taśmy Gany zwalniał, rozluźniał się, wreszcie zeskokczył na podłogę i podszedł do ekspandera.

- Ćwiczyłeś?

- Tak, zrobiłem dwadzieścia.

- To pięknie, będzie z ciebie człowiek. Po roku nikt niczego nie zauważy.

- Człowiek? Przecież ja jestem człowiekiem.

- Nie gniewaj się Les, nie chciałem cię urazić. To tylko takie powiedzonko.

- Idiom?

- No właśnie.

- Rozumiem. My też mamy swoje idiomy. Na przykład: „Szukaj mnie w Valles Marineris”. Słyszałeś?

- Nie. Co to znaczy?

- A widziałeś te kaniony?

- Z góry.
- Jak myślisz, można tam kogoś znaleźć, gdyby się schował?
- My mówimy: „Daj mi święty spokój”, a znaczy to samo.
- Chyba tak.

Gany z powrotem włożył dres i zaczął się przechadzać pomiędzy przyrządami rozstawionymi wzdłuż ścian sali rekreacyjnej, popularnie zwanej „cyrkiem”. Od pierwszego dnia podróży spędzałem tu po dwie lub trzy godziny na dobę. Z początku byłem z reguły sam, jeśli nie liczyć Gany’ego, do którego obowiązków należała opieka nad cyrkiem. Zjawiał się regularnie, i to przeważnie w takich momentach, kiedy przeholowałem trochę z wysiłkiem. Podejrzewam, że obserwował mnie z ukrycia. Jeśli nawet tak było, robił to dyskretnie i byłem mu wdzięczny za tę delikatność. Trudno przypuszczać, aby pozostawili mnie bez opieki.

Pod koniec podróży zaczęli się pojawiać w cyrku także inni. Przychodzili po skończonych dyżurach, im bliżej domu, tym było ich więcej. Chcąc uniknąć tłoku zmieniłem godziny ćwiczeń, mimo to Gany zjawiał się codziennie, zawsze uśmiechnięty, zawsze skory do pomocy. I nie pytał o nic. Może właśnie za to polubiłem go najbardziej.

Całkowicie ochłonałem już ze zmęczenia. Wystarczy na dzisiaj, i tak zrobiłem ogromne postępy w porównaniu do pierwszych treningów w cyrku. Na pewno nie będę miał większych kłopotów.

- Nie martw się, Les, z pewnością dasz sobie radę. Ja ci to mówię!
- Skąd wiesz, o czym myślę?
- To widać. A zresztą o czym innym mógłbyś myśleć w twojej sytuacji? To naturalne. Nie trzeba być jasnowidzem.
- Słuchaj Gany, czy mógłbyś mi poświęcić chwilę czasu?
- Chwilę nie, ale ze trzy, cztery - mogę.
- Bo widzisz... Chciałem cię o coś zapytać.
- Więc pytaj.
- Powiedz mi, jaka ona jest?
- Kto?
- No wiesz, Ziemia.

- Aaa, Ziemia... Już myślałem, że pytasz o coś innego. Ziemię, chłopcze, to ty znasz lepiej ode mnie. - Mnie nie chodzi o wiadomości zawarte w książkach i zapisach. Ja chcę wiedzieć, co w niej jest takiego, że ludzie po pewnym czasie o niczym innym nie mówią, o niczym nie marzą, tylko o powrocie. Masz rację, znam ją bardzo dobrze. Przeczytałem stopy książek, tygodnie spędziłem nad atlasami, obejrzałem tysiące zdjęć i filmów wykonanych w najróżniejszych technikach, ale dalej nie wiem. Wszystkie planety są piękne, wszystkie można polubić. A zresztą, ty wiesz o tym lepiej niż ja. W czym więc tkwi jej urok?

- Bo widzisz, ona jest błękitna. Błękitna widziana z przestrzeni, błękitne jest nad nią niebo w pogodny letni dzień i rozkołysany falami ocean.

- Nie lubię niebieskiego, to zimny, nieprzyjemny kolor. Cóż może być piękniejszego nad widok skąpanej w złocie i czerwieni zachodzącego słońca krainy dzikich wulkanów, zamarych potoków brunatnej lawy przyprószonych szronem dwutlenku węgla, gdzie w pomarańczowe niebo pełnie smuga czarnego dymu z potężnego krateru i gdzie człowiek czuje się tym, czym w istocie jest - drobnym pyłkiem zagubionym w świecie miliardoletnich gigantów, śmiesznym zgrzytem w harmonii odwiecznych galaktycznych procesów. O nie, ja wolę ciepłe barwy!

- Nie mam zamiaru przekonywać cię, nie mój interes. Wyglądasz jakby cię coś ugryzło. Zobaczysz, spróbujesz. Spodoba ci się - zostaniesz, nie spodoba - wrócisz. Nikt cię nie będzie do niczego zmuszał.

No, może tylko w początkowej fazie pobytu, ale to jest nieodzowne dla twojego dobra.

- Przepraszam, Gany. Mówiłem to, co czuję. Bo ja naprawdę nie wyobrażam sobie świata piękniejszego niż mój. Ludzie podobno potrafią przyzwyczać się do każdego warunków, mimo to zawsze obserwowałem u nich strach, zwyczajny ludzki strach. I to nawet nie u nowo przybyłych, bo tych zawsze z początku cechowała ciekawość, ale u takich już trochę zdomowionych, po kilku miesiącach pobytu. Zaczynało się od niechętnego opuszczania bazy. Wynajdywali tysiączne powody, byle tylko wymigać się od udziału w najkrótszej nawet wyprawie, zepchnąć na kogoś innego, wysłać automat, tam gdzie obecność człowieka była niezbędna. Oni się po prostu bali. Czerwonych wydm przesypanych się piachu, nieskończonych kamienistych pustyń, bazaltowych równin od horyzontu do horyzontu, z rzadka poprzecinanych bruzdami bezdennych wąwozów. Jak ognia unikali pomarszczonych zsuwów przypominających trzewia monstrualnego potwora, bali się pyłowych burz zmieniających świat w jednolity rudy chaos, gdzie zdawało się - nie ma nic, nawet grawitacji. Przerazało ich wszystko, co jest dla mnie pięknem. Nie potrafili czerpać bezgranicznej radości z pędu łagodnym stokiem pokrytym miękkim rdzawym pyłem, gdy nogi wzniecały ogromny tuman mieniącego się w słońcu kurzu, długo wiszący nad gruntem i znaczący ślad drogi, pierwszej drogi od początku świata. Nikt nawet nie próbował. Kiedy minął czas fascynacji, siadywali w miękkich fotelach pośród cherlawych roślin i liczili dni dzielące ich od powrotu. Wspominali cierpki smak leśnych jagód, dym jesiennego ogniska snujący się po lasach, lot ptaka zawieszony w chmurach, zapach łąki, ryk wodospadu, błękit i zieloność. Nierzadko łzę ktoś ocierał ukradkiem. Śmieszni byli z tymi swoimi ziemskimi sentymentami.

Gany milczał. Może i on czuł to samo co tamci? Z pewnością, dlaczegoż by nie. Ostatecznie ma prawo reagować tak samo. Jacy oni są śmieszni!

- Słuchaj, chłopcze - kiedyś zrozumiesz i poznasz co to nostalgia. Nie wiem tylko za czym będziesz tęsknił - za marsjańskimi kanionami, czy też za górskim wiatrem kłującym do krwi twarz lodowymi igiełkami.

- Wiesz co, ja już trochę tęsknię. Właśnie za tymi kanionami...

Zamilkliśmy obaj. Podczas rozmowy mężczyzn zawsze przychodzi taka chwila, kiedy nie ma już o czym mówić. Wtedy trzeba albo się pożegnać, albo szybko zmienić temat.

- Chciałbym cię o coś zapytać - zaczął nieśmiało - ale jeśli to dla ciebie zbyt osobiste, nie odpowiadaj.

- Pytaj.

- Jak to się stało, że urodziłeś się właśnie tam?

- Spodziewałem się tego pytania i dziwię się tylko, że padło dopiero teraz. Przez cały czas podróży nikt nawet nie zahaczał o ten temat. Zdumiewająco delikatni ludzie! A równocześnie byłem obserwowany, wiem o tym. Ze mną - to stara i dość skomplikowana historia. Było to jakieś dwadzieścia lat temu, wkrótce po wybudowaniu bazy w Typhonie. Część zmiany szykowała się do powrotu na Ziemię, a między nimi Imre Kassai, globofizyk. Wszyscy powracający poddani zostali szczególnym badaniom przedstartowym na nowym zestawie diagnostów. On dostał ujemny wynik, oznaczający tymczasowy zakaz powrotu. Zaszły u niego jakieś zmiany w układzie krwionośnym. Po prostu nie wytrzymałby ziemskiej grawitacji, nie mówiąc już o przeciążeniach lotu. Został. Usiłowali go leczyć, ale skończyło się na usiłowaniach. Żadnych efektów. Tymczasowy zakaz przemienił się w dożywotni, a on miał dopiero 35 lat. Dobrotliwe niskie przyciąganie pozwalało mu żyć, lecz w zamian stał się więźniem planety. Nie wiem jak to przyjął. Ci co go znali, mówili, że nic po nim nie można było zauważyć. Całkowite opanowanie, rozumiesz. Tylko kiedy wchodził gdzieś czasem nagle, milkły rozmowy, powstawało sztuczne ożywienie wokół spraw codziennych i błahych, wokół monotonnej bazowej rzeczywistości. I tylko coraz częściej wdziewał skafander i ruszał na długie samotne wyprawy w głąb czerwonej pustyni.

Zmieniały się obsady, a on tkwił niezmiennie na swoim miejscu. Wkrótce mianowano go gubernatorem planety, a wśród personelu latającego utarło się mówić: „Do Kassaia” zamiast: „Na Marsa”.

- Tak, pamiętam. Kiedy zaczynałem służbę w Transorbitalu, zdarzało mi się słyszeć rozmowy tych z linii dalekiego zasięgu.

- Widzisz, zgadza się. Z biegiem czasu polubił to piekielne pustkowie, nawet pokochał. Wiem o tym na pewno. Kolejny transportowiec przywiózł ekipę inżynierii klimatycznej; w jej skład wchodziła pewna młoda jasnowłosa pielęgniarka. W wolnych chwilach malowała smutne, dzikie krajobrazy. Kassai spotkał ją kiedyś w labiryncie złomów skalnych zajęta wykańczaniem kolejnego obrazu. Wkrótce zawisł on na ścianie jego gabinetu. I tak się między nimi zaczęło.

- Ona była twoją matką?

- Tak. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew wszystkim i wszystkiemu, postanowiła zostać z nim i stworzyć mu normalne życie, normalną rodzinę. Nie docierały do niej żadne kontrargumenty ani perswazje. Nawet on odradzał jej to poświęcenie. Nic z tego. W tym samym czasie na Ziemi powstał prototyp grawitera i to przeważało szalę na jej korzyść. Dokumentacja przysłała drogą radiową i wkrótce w Typhonie zaczął działać drugi egzemplarz. Dawał tylko 0,7 g, ale i tak było znacznie lepiej. Mogłem więc urodzić się w warunkach zbliżonych do ziemskich, bo i o pole magnetyczne zadbali. No i jestem.

Drzwi wiodące do cyrku rozsunęły się bezszelestnie i stanął w nich rudzielec z videoteki. Rozejrzał się po sali, ruchem ręki pozdrowił Gany'ego i odszedł, utykając wyraźnie.

- Czego on chciał? - zapytałem.

- Pewnie przyszedł poćwiczyć, ale zrezygnował, kiedy nas zobaczył.

- Dlaczego?

- Jak szliśmy w tamtą stronę, miał wypadek z butlą sprężonego gazu. Poszarpało mu obie nogi poniżej kolan. Teraz przechodzi pełny cykl rehabilitacyjny, zawsze samotnie, kiedy nikogo nie ma w cyrku. Jeszcze rok temu był znanym sportowcem: to jego pierwszy lot.

- I ostatni?

- Na pewno.

Zapanowało milczenie. Gany o nic więcej nie pytał. Może uważał, że i tak był zbyt wścibski? Musiałem mu dokończyć moją historię, bo był pierwszym człowiekiem, z którym szerzej rozmawiałem na ten temat i przychodziło mi to zupełnie bez oporów. Jakby nie było między nami całej przepaści doświadczenia, różnicy wieku... A właśnie!

- Gany, ile ty masz lat?

- Ile? A po co ci ta wiadomość?

- Zwykła ciekawość.

- Czterdzieści pięć. Dużo?

- Nie wiem, wyglądasz na znacznie mniej.

- Bo się niczym nie przejmuję.

- A masz jakąś rodzinę, żonę?

- Coś ty, chłopie! W moim zawodzie być żonatym! Nie da rady. Jaka żona będzie tolerować męża zjawiającego się w domu raz na dwa - trzy lata?

- Można razem latać.

- To niczego nie rozwiązuje, a tylko stwarza stosy nowych problemów. Nie, to jest zawód dla wolnych mężczyzn, wolnych jak komety. Pokażą się raz na jakiś czas, błysną na ziemskim firmamencie i znów znikają na długo w czarnych głębinach. Po latach wracają. Albo i nie. Tak jak twój ojciec - Gany przerwał na chwilę, a potem zapytał: - Co się z nim stało?

- Umarł kiedy miałem osiem lat. Zwyczajnie, w łóżku. Ale zanim odszedł, nauczył mnie kochać rudy

piach, ogromne płaskie wulkany i pomarańczowe niebo mojej planety. Pochowaliśmy go wśród poszarpanych skał, a nad grobem stanął na straży wielki czarny meteoryt.

- A... matka?

- Trzy lata temu poleciała samotnie na Phobos i roztrzaskała się podczas lądowania obok kopalni platyny. Pochowaliśmy ją - przy ojcu, w tym samym miejscu, gdzie się pierwszy raz spotkali.

- Przepraszam, Les.

- Nie ma za co. Chciałeś znać moją historię - oto ona. Teraz jestem sam jak palec.

- No, a na Ziemi? Jest chyba jakaś rodzina.

- Są krewni ze strony ojca. Kilka razy wymienialiśmy video-kasety, no wiesz, takie listy - rodzina stoi w ogródku, z tyłu kolorowy domek i kwiatki, coraz ktoś wysuwa się do przodu i recytuje banalne pozdrowienia. Potem rozchodzą się „do swoich zajęć” i udają naturalnych. My im w zamian wysyłaliśmy podobne, tyle że przeważnie w skafandrach i zawsze na innym tle. Z początku w trójkę, potem było nas już tylko dwoje. Kiedy zostałem sam, zdobyłem się tylko na zwykły tradycyjny list. Spojrzawszy obiektywnie na sprawę, są oni dla mnie zupełnie obcymi ludźmi. Możesz się uśmieć z tego co ci powiem, lecz będziesz tam jedynym bliżej mi znanym człowiekiem. Byłoby mi miło, gdybyś zechciał mnie kiedy odwiedzić.

- Albo ty mnie.

- Dobry pomysł. A gdzie będziesz?

Gany zamyślił się głęboko, jakby znalezienie odpowiedzi na moje pytanie sprawiło mu ogromny kłopot.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. W Nicei albo na Tahiti. A może na Hawajach? W każdym razie będę tam, gdzie jest ciepło, zielono i wesoło. A jak mi się znudzi, pojedę gdzie indziej. Znajdziesz mnie łatwo przez Transorbital.

- Przepraszam cię, znamy się już dość długo, a ja nawet nie wiem czy Gany to twoje imię czy nazwisko.

- Aleś trafił! Ani jedno, ani drugie. To pseudonim. Nazywam się Stratopulos, Mikis Stratopulos i jestem oczywiście Grekiem z samego Pireusu.

- Skąd się wziął w takim razie Gany?

- To było w moim drugim rejsie. „Newton” przywiózł całe wyposażenie bezzałogowej stacji łączności dalekiego zasięgu na Ganimesie Jowiszowym. Zmontowaliśmy ją na takim płaskowyzu, nazwanym przez kogoś Europą, bo kształtem rzeczywiście przypominał tę część świata.

- Jak to: świata?

- No... Ziemi. Nie bądź taki drobiazgowy. W każdym razie kiedy już wszystko było gotowe i szykowaliśmy się do odlotu, dostałem polecenie ostatecznego sprawdzenia osłony stosu. Wziąłem małą jednoosobową rakietę - myśmy je nazywali bączkami - i zanurkowałem celując w to miejsce, gdzie w prawdziwej Europie leży Hiszpania, bo tam stała nasza stacja. „Newton” odszedł majestatycznie i zniknął za horyzontem. Niech mówi kto co chce, ale to nic przyjemnego zostać tak samotnie w przestrzeni, gdy pod tobą obcy pusty glob, a w górze jeszcze bardziej obce niebo, upstrzone innymi księżycami. I wreszcie on sam - potężny bladobrzysty Jowisz, wiszący absurdalnie nad głową i zalewający dziki, smutny krajobraz potopem rtęciowego światła. W jego promieniach stacja przypominała makietę pociągniętą aluminiową farbą. Wyćwiczonym setki razy manewrem usiadłem po raz ostatni na zapasowym lądowisku montażowym i podszedłem do bunkra stosu. Wszystko było w idealnym porządku. Będzie działać sto lat bez remontu - pomyślałem i wróciłem do bączka. Zostało mi jeszcze ponad godzinę do umówionego terminu spotkania z „Newtonem” na orbicie parkingowej. Postanowiłem polatać sobie trochę, już luzno, bez żadnych obowiązków, jak turysta. Ciągnęło mnie w stronę potężnego masywu Czarnej Tarczy,

nazwanego tak od prawie dwukilometrowej gładkiej ściany owalnego kształtu, z daleka rzucającej się w oczy. Nigdy tam dotychczas nie byłem, a ta wolna godzina dawała mi szansę, najpewniej ostatnią szansę, bo chyba nie ma człowieka, który by dwukrotnie odwiedził Ganimesesa.

W kwadrans byłem nad masywem i wisząc nieruchomo rozkoszowałem się widokiem potężnej, gładkiej jak lustro płyty skalnej, stromo opadającej ku piargom podnóża. Hen, w dole, majaczyły potraskane obeliski, a nad nimi górował olbrzymi ostrołukowy most skalny. Skryłem się w cieniu góry i leniwie zacząłem schodzić spiralą w dół Czarnej Tarczy. Ani jednej półki, niszy. Nawet rysy nie można było dostrzec na tej nieskazitelnej gładkości.. Łuk z bliska okazał się dwoma gigantycznymi obeliskami skalnymi opartymi o siebie jak dwóch olbrzymów zamarłych w zmaganiu, bo nagle zdali sobie sprawę, że zwycięstwo jednego z nich byłoby zgubą dla obydwu.

Zatrzymałem się w połowie wysokości monstrualnej bramy, a potem na najmniejszym ciągu ruszyłem celując w sam środek czeluści. Po co? Nie wiem, chyba dlatego, że była, że nikt czegoś takiego przede mną nie zrobił. A najpewniej dlatego, że po raz pierwszy i ostatni mogłem tutaj zrobić coś, co nie byłoby umotywowane obowiązkiem, poleceniem, wymogami sytuacji, coś czego nikt nie obserwował i na co nikt nie dałby mi zezwolenia.

Po chwili byłem już po drugiej stronie; olbrzymy stały nieruchomo, tak samo jak je ustawił wszechmocny przypadek miliony lat temu i jak przez dalsze miliony będą tkwiły w cieniu potężnej gładkiej ściany.

Tę rzecz zobaczyłem w momencie wejścia w skręt, bo była czerwona, a zza horyzontu wyłoniło się właśnie nieśmiałe zimne Słońce i swoimi słabymi promieniami wydobyło ją z mroku. Czerwień, tutaj?! To trochę tak, jakbyś na Ziemi znalazł wśród kamieni bryłę zestalonego wodoru.

Zawróciłem, zeszedłem na dziesięć metrów. Leżała na dnie niewielkiej kotlinki i naśmiewała się ze mnie soczystym amarantem, dokładnie sześciokątna i połyskująca w promieniach wschodzącego Słońca. Zamknąłem na chwilę oczy i zacząłem sobie wmawiać, że to złudzenie; zaraz je otworzę i zjawa zniknie. Gdzie tam! Tkwiła w tym samym miejscu i kłuała oczy swoją nierealnością. - Pewnie kryształ - pomyślałem - a jeśli tak, podobnego nie ma żadne muzeum.

Posadziłem bączka za wybrzuszeniem terenu i wysłałem na zwiad jedyny pokładowy automat, popularnie nazywany matołkiem. Poszedł - obejrzał, zmierzył, zważył. Żadnego promieniowania i nieprzyzwoicie lekkie, zupełnie jakby było puste w środku. Nic więcej nie mogłem zrobić. Na wszelki wypadek zostawiłem matołka na straży i wystartowałem na spotkanie z „Newtonem”. Powiem ci tylko tyle, że opóźnili odlot i z wielkimi szykanami sprowadzili tę rzecz na pokład. To był plastikowy pojemnik na piwo z wyposażenia pionierskiego na Ganimesesie załogowego eksploratora o nazwie „Orfeusz”. W jaki sposób dostał się do tej zakazanej kotlinki, tego się nikt nigdy nie dowie. W każdym razie trzeba im przyznać, że już wtedy umieli robić pierwszorzędny gatunkowo plastik.

Co ja się najadłem wstydu, tego mi nikt nie odbierze. Od tego czasu zaczęli wołać na mnie Ganimeses, a w skrócie - Gany.

- Teraz to już nie strzelę gafy w Transorbitalu - podsumowałem niecodzienną przygodę Mikisa Stratopulosa i spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia czasu pokładowego, a właśnie o trzeciej miała rozpocząć się ostatnia ogólna odprawa załogi.

- Musimy już iść.

- Najwyższy czas! - zawołał Gany, a kiedy szliśmy wąskim korytarzem w stronę dziobu dodał z zakłopotaniem: - Wiesz co, pytaj raczej o Gany'ego, w tedy z pewnością szybciej mnie odszukają.

Wybuchnęliśmy obaj gromkim śmiechem i weszliśmy do śluzu w grodzi międzysegmentowej. Po chwili z poważnymi minami weszliśmy do wypełnionej już sali odpraw.

Zajmujący nieomal połowę przedniej ściany ekran jarzył się mrowiem gwiezdnych pyłu. W samym

jego  rodku kr lowa  wielki mlecznob kitny sierp Ziemi.

II

Prom zakołysał się lekko i znieruchomiał na płycie astroterminalu. Jeszcze raz obiegłem wzrokiem niewielkie wnętrze - kilkanaście foteli zajmowali znani mi z luźnych kontaktów pasażerowie „Centaura”. Było też kilka osób z obsługi bazy orbitalnej wracających po dyżurze, blondynka z Ochrony Sanitarnej oraz dwóch śmiertelnie znudzonych facetów w mundurach zielonego koloru. Gany wraz z całą załogą pozostał jeszcze na górze, z niecierpliwością oczekując na zezwolenie opuszczenia statku.

Z lekkim brzęczeniem odskoczyły blokady pasów bezpieczeństwa, przez cały czas ześlizgu usztywniające nas w głębokich anatomicznych fotelach i równocześnie rozległ się miękki kobiecy głos:

- Astroterminal Eurazja wita nas na Ziemi. Wszystkich pasażerów prosimy do wyjścia oznaczonego kolorem niebieskim. Dziękujemy.

To wszystko. Kilkanaście słów. Gdzieś w głębi odezwała się nutka rozczarowania, zaraz jednak przygłuszona falą chłodnego rozsądku. No bo w końcu co się takiego wielkiego stało? Ot, wróciło paru ludzi z podróży, normalna rzecz na dworcu.

Wszyscy już wstali i pojedynczo znikali w niebieskim owalu. Podniosłem się także i ostrożnie stawiając nogi ruszyłem do drzwi wyjściowych. Ciężko! Zdawało się, że ktoś zamienił mi ubranie na łożwiane, ciągnące mnie stale w dół. Zaskoczony, nogi z trudem dawały sobie radę z ciężarem ciała.

Zaczęło się - pomyślałem nie bez złośliwej satysfakcji. To nie grawiter w cyrku na „Centaurze” i wyłączyć się nie da, nawet dla takiego sławnego gościa jak Les Kassai.

Byłem ostatnim pasażerem w półprzeźroczystym tunelu łagodnie opadającym w dół. - Pewnie do komory skafandrów. Ciekawe, czy będą mieli odpowiedni dla mnie? - przemknęło mi przez głowę. - Idioto! Przecież oni mają tu atmosferę!

Wybuchnąłem śmiechem, aż dwóch idących przede mną zielonomundurówców odwróciło się gwałtownie.

Spokojnie Les! - skarciłem się w myślach. - Zaczynaj się przyzwoicie zachowywać, bo tu będą patrzeć na ciebie, na każdy twój krok, na każdy odruch. Jesteś wielką gratką, dla różnego rodzaju naukowych zaklinaczy. Będą cię obserwować jak szczura w labiryncie.

Tunel rozszerzał się lejkowato i skręcał łagodnie w lewo. Gdzieś stamtąd dobiegał coraz wyraźniejszy gwar głośnych rozmów i przytłumionych okrzyków. Półprzeźroczyste ściany tunelu kończyły się w tym miejscu, a ich dalszy ciąg stanowiły wielkie tafle czystego szkła. Za nimi kłębiły się jakieś egzotyczne rośliny poruszane podmuchem słabego wiatru. W górze widać było zdumiewająco błękitne niebo, upstrzone kłębamii białych chmur.

W tym momencie zza jednej z nich eksplodowała przeraźliwa jasność słońca zmuszając mnie do odruchowego zasłonięcia oczu ręką i cofnięcia się do tunelu. Z przeciwnej strony podbiegło do mnie kilkadziesiąt osób - mężczyzn i kobiet. Wymachiwali rękami trzymającymi nieznane mi aparaty, krzyczeli wszyscy naraz, pytali o coś. W chaosie dźwięków zdołałem jedynie kilkakrotnie wychwycić moje nazwisko, wymawiane dziwnie miękko i cudacznie akcentowane.

Wreszcie czerwone plamy przestały mi latać przed oczami i zobaczyłem jak przez rozkrzychaną ciżbę ktoś przeciska się w moją stronę. Kobieta. Energicznie odsunęła dwóch najbliższych stojących krzykaczy i stanęła przede mną.

- Les Kassai, prawda?

Skinąłem potakująco głową starając się nie patrzeć na jaskrawą plamę słonecznego światła, ostro zarysowaną na przeciwległej ścianie. Nowoprzybyła odwróciła się do napierającego na mnie tłumu i zawołała:

- Nasz gość nie będzie dzisiaj udzielał żadnych wywiadów. Wkrótce zorganizujemy specjalny inform, a wtedy będziecie mogli pytać.

- Kiedy? - zawołał ktoś z tłumu.

- We właściwym momencie. A teraz proszę się odsunąć i pozwolić nam przejść.

Ociągając się zrobili wąskie przejście, pozwalające jednej zaledwie osobie precyzyjnie przycisnąć się do wyjścia.

- Przepraszam - uśmiechnęła się do mnie z zakłopotaniem. - Nie wiem jakim sposobem dowiedzieli się o twoim przybyciu. Jestem Ann Alcott z Centrum i będę cię pilnować. Tutaj mam dla ciebie ciemne okulary, mogą się przydać.

- Dziękuję!

Widziana przez okulary ostra plama słonecznego światła nabrała łagodnie pomarańczowej barwy. A w ogóle całe otoczenie pogrążyło się w miłych oku, ciepłych tonach. Zauważyłem, że szkła okularów automatycznie niwelują kontrasty w oświetleniu poszczególnych obiektów.

- Dobrze?

- Bardzo dobre... A co zamierzacie dalej ze mną zrobić?

- To zależy tylko od ciebie. My najwyżej możemy ci coś zaproponować.

- A więc co proponujecie.

- Przywitanie z rodziną.

- Gdzie?

- Tutaj, czekają obok.

- Więc prowadź.

Dziennikarze rozluźnili trochę szyki i mogliśmy dość spokojnie opuścić wylot tunelu. Czuję na sobie spojrzenia dziesiątek oczu i dyskretnie zamaskowanych obiektywów. Starłem się iść lekko i swobodnie, aby nasi w Typhonie nie musieli się wstydzić, kiedy program do nich dotrze.

Ogromna szklana hala, zanurzona do połowy w zieleni drzew i pnączy, a nad nią zawieszona w błękitnych chmurach. Wewnątrz tłum obejmujących się i całujących ludzi, bukiety różnokolorowych kwiatów, i dzieci - prawdziwe żywe dzieci, zupełnie jak lalki z katalogu Elroya.

Co za oszałamiająca gra kolorów! Starłem się wyłowić dwie osoby ubrane podobnie, ale bez skutku. Niebywała pstrokaczna barw, odcieni, stylów i fasonów. A jaka różnorodność ras! Nigdy jeszcze nie widziałem tylu ludzi naraz.

Jakaś roześmiana grupa oddzieliła mnie od wysłanniczki Centrum i na chwilę straciłem ją z oczu. Ale zaraz pokazała się znowu, zaniepokojonym wzrokiem szukając mnie w tłumie.

- O, Les! Przepraszam, zagapiłam się - podbiegła i delikatnie wzięła mnie za rękę. - To już niedaleko.

Początkowo chciałem wyrwać swoją dłoń, lecz jej odruch był tak naturalny, że zrezygnowałem z tego zamiaru.

Czekali w niewielkim pomieszczeniu na obrzeżu hali: kobieta i mężczyzna. Na nasz widok poderwali się z foteli i wtedy ich poznałem - Maria, młodsza siostra ojca i jej mąż, potężnie zbudowany mężczyzna o twarzy pocziwca. Najbliżsi mi ludzie, a równocześnie zdumiewająco obcy. Jakżeż on ma na imię? Jacob? Jan? Może Igor?

Chwila obopólnego wahania i znalazłem się w objęciach tej kobiety. Zaraz potem jej zwałisty mąż zmiażdżył mi dłoń w swojej potężnej łapie, aż się skrzywiłem mimo woli.

- Uważaj, Jaques, bo mu kości połamiesz! - zaśmiała się Maria. - Nie jest przyzwyczajony do takich niedźwiedzich czułości. Prawda Les?

Nie wiedziałem - potwierdzić, czy zaprzeczyć? Żadna z form nie wydała mi się odpowiednia. U nas nikt nie zadawał tego rodzaju pytań.

Bezradnie obejrzałem się do tyłu - mojej opiekunki nie było w pomieszczeniu; taktownie pozostawiła mnie sam na sam z rodziną. Z rodziną! Dwoje zupełnie obcych ludzi stało przede mną i coś mówiło. Widziałem poruszające się wargi, ruchy gestykulujących rąk, rozbiegane oczy kobiety, lecz dźwięki dobiegały do mnie przygłuszone i puste, jakby stłumione wielką odległością, nierozróżnialne. Czułem jak uginają się pode mną nogi.

Starając się, aby niczego nie zauważyli, usiadłem na najbliższym fotelu. Nie udało się. Ustała pantomima gestów i radosne ożywienie oczu, a ich miejsce zajęło zaniepokojenie. Potem wszystko znikło.

Jakaś orzeźwiająca fala wyniosła mnie z powrotem na powierzchnię świadomości. W pochylonej nade mną twarzy poznałem rysy wysłanniczki Centrum. Tamci dwoje siedzieli sztywno w kącie i z natężeniem wpatrywali się we mnie.

- Co to było?

- Nic - odpowiedziała z uśmiechem. - Krótkotrwałe omdlenie w wyniku nagłej zmiany warunków. Teraz odpoczniesz sobie trochę i - jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu - pojedziemy do Centrum.

- Myślę, że to będzie najrozsądniejsze wyjście.

Starają się wmówić mi, że wszystko dzieje się zgodnie z moją wolą. Śmieszni! Ale jak już sobie wydumali taki schemat, nie będę ich wyprowadzał z błędu. Stać mnie na sprawienie im tej przyjemności.

- Wypij to, chłopcze! - Ann trzymała w ręku przezroczystą filiżankę z jakimś czerwonym płynem.

- Co to jest?

- To ci dobrze zrobi.

Rzeczywiście. Ledwie zdołałem przełknąć ostatni łyk, a już poczułem jego dobroczynne działanie. Zniknęło zmęczenie i ociężałość, a nawet wystraszeni ludzie w kącie wydawali mi się sympatyczniejsi niż przed chwilą. Uśmiechnąłem się nawet do nich, co przyjęli z widoczną wdzięcznością.

- Możemy chyba jechać - zaproponowałem.

- Oczywiście! - zgodziła się skwapliwie Ann. Widocznie jak najprędzej chciała pozbyć się kłopotu i oddać mnie w ręce magików z Centrum. Zresztą, trudno jej się dziwić.

- No to do zobaczenia Mario, do zobaczenia Jacob.

- Jaques - sprostował olbrzym.

- O, przepraszam! Do widzenia Jaques. Bardzo to miłe z waszej strony, że fatygowaliście się na mój przyłot. Z pewnością spotkamy się jeszcze kiedyś.

- Na pewno, chłopcze! Z niecierpliwością oczekujemy cię w naszym domu.

Wyszli. Co za ulga! A równocześnie niepokój. Dlaczego ja traktuję ich jak intruzów usiłujących siłą wtargnąć w moje życie? Przecież zgodnie z wszelkimi przesłankami powinienem ich lubić, chętnie przebywać w ich towarzystwie. A może po prostu jestem nienormalny? Taki sobie homunkulus wyhodowany w retortach marsjańskiej bazy...

- Gotów jesteś, Les?

- Tak, możemy jechać.

Wysliśmy ze szklanej hali na kryty podjazd. W kilku rzędach stały tam kropłowatego kształtu pojazdy różniące się między sobą jedynie kolorami. Coraz to któryś unosił się nieznacznie nad mozaikową tafle podjazdu i bezszelestnie odpływał w stronę widniejącego w oddali wylotu na otwartą przestrzeń.

Nasz stał jako ostatni w rzędzie i wyróżniał się przyjemną rdzawoczerwoną barwą. Na obu jego

bokach błyszcząły złotem pretensjonalne emblematy Centrum - wąż Eskulapa na tle galaktycznego wiru. Dobrze znałem ten symbol z licznych dokumentów naszego domowego archiwum.

Wygodne wnętrze mogące swobodnie pomieścić cztery osoby wyścielone było gąbczastą substancją amortyzującą każdy gwałtowniejszy ruch. Żadnych przyrządów sterowniczych, wskaźników, lamp. Jedyne we wgłębieniu przedniej ścianki kabiny można było dostrzec kilka ponumerowanych guzików.

- Ruszać?

- A mój bagaż? - odpowiedziałem pytaniem.

- Jest.

- No to w drogę!

Roześmiała się i dotknęła palcem jednego z guzików.

- Używasz czasem takich rozkosznie archaicznych zwrotów!

- Ty dla odmiany jesteś bezwzględnie komunikatywna, jak automat.

Podobała mi się. Pierwszy raz widziałem żywą dziewczynę. Mogła mieć najwyżej o kilka lat więcej niż ja. Miałem szczęście, że trafiłem na nią... Szczęście? O, Les, ty durniu! To tylko pierwsze ogniwo ich planu oswojenia ciebie. Przylatuje dziwoląg z innej planety, to się mu na początek podsuwa sympatyczną pracownicę. Po prostu dostałeś się w ręce fachowców, a ona jest jednym z nich.

- Les, co ci się stało?

- Mnie? Nic. Skąd to pytanie?

- Wygląd. I zachowanie.

- A więc jesteś specjalistką. Psychologia, prawda?

Spojrzała na mnie innym niż dotychczas wzrokiem. Zauważyłem w jej spojrzeniu coś pośredniego między szacunkiem a zainteresowaniem.

- Tak... Astropsychologia.

- Ładna nazwa. I cholernie efektownie brzmi. Zajmujecie się pewnie takimi różnymi rozbitkami po długoletnich dyżurach na zakazanych bazach, gdzie nawet automaty wariują, zanim zdołają przywoiciec zardzewieć. Zawsze na Ziemi wita ich służbowo uśmiechnięta ślicznotka o farbowanych włosach, jak twoje. Którym z kolei jestem twoim pacjentem?

Nie odzywała się wpatrzona w szary pas drogi celujący w zaskakująco odległy horyzont.

- No, którym?

- Pierwszym - odparła łagodnie i jakby z zażenowaniem. - Dopiero niedawno zaczęłam pracować w Centrum. A ty nadspodziewanie łatwo potrafisz wyciągnąć właściwe wnioski ze znikomych przesłanek. To dobrze świadczy o tobie.

- Miałem tam piekielnie dużo czasu na rozmyślania.

- Co to znaczy: piekielnie?

- Nie wiem, tak mawiali moi starzy.

- Wróćmy do tematu. Wolałbyś, aby wyjechał po ciebie brodaty profesor ze swoim zespołem i wygłosił powitalne przemówienie?

- Masz rację. Wolę początkującego astropsychologa z dołkami na policzkach. Przepraszam cię, Ann.

- Nie ma o czym mówić. Spójrz, za górami leży Centrum.

Daleko na horyzoncie pokazał się ośnieżony łańcuch górski, jeszcze prawie nierealny za niebieskawą mgiełką. Milczeliśmy. Płaski dotychczas krajobraz zaczął nieznacznie falować, uprawne pola zostały wyparte przez łąki i lasy. W oddali od czasu do czasu przesuwały się kolorowe osiedla, pojawiły się sylwetki ludzi.

- Jak pierwsze wrażenie? - zapytała.

- Bez sensacji. Nie zapominaj, że jestem teoretycznie znakomicie przygotowany. Mimo to nie mogę

oswoić się z widokiem ludzi poruszających się w lekkich ubraniach. Wydają mi się straszliwie bezbronnie wobec sił przyrody.

- Przyzwyczaisz się, tak jak tam przyzwyczaiłeś się do skafandra.

Skafander... Skafander był dla mnie nie tylko ubraniem ochronnym. Traktowałem go trochę jak przedłużenie własnego organizmu, dbałem o niego bardziej niż o siebie samego. Bo cóż wart byłbym bez skafandra? Skazany na wieczny pobyt w bazie, bez możliwości opuszczenia jej nawet wewnątrz jakiegokolwiek środka lokomocji, bo instrukcje wyraźnie tego zabraniały. A mnie tak ciągnęło na zewnątrz!

Pierwszy dostałem na moje siódme urodziny - zmajstrował mi go pewien bazowy mechanik; już nie pamiętam jego nazwiska. Co to była za radość! Wreszcie znalazłem się wśród poszarpanych skał pustyni, szalałem po wydmach i piargach.

Ale radość nie trwała długo. Rosłem. I zanim zdążyłem się nacieszyć, już był na mnie za mały. Następny zamówili mi na Ziemi. Poszedł radiogram z wymiarami i przewidywanym współczynnikiem wzrostu, a ja, pełen nadziei pętał, biegałem do każdego przylotu i wypytywałem załogi o mój wymarzony skafander. I nieważne dla mnie było, czy przyszedł rozkładowy transportowiec regularnej linii, czy też lądująca awaryjnie wyprawa wracająca z brzeźnych planet. Dla mnie Ziemia, to było coś tam, w gwiazdach, równie nierealnego jak pulsary z obserwatorium brodatego astronoma Klapca, mojego najlepszego przyjaciela z tego okresu. Wypytywałem nawet pilotów maleńkich rakietek wracających z parodobowych ćwiczebnych kursów orbitalnych. Wszyscy głaskali mnie po głowie i nieodmiennie pocieszali: Nie martw się mały, twój skafander jest już z pewnością w drodze.

Wreszcie przyszedł, wspaniale lśniący nieskazitelnym srebrem metalizowanej tkaniny i czerwienią moich inicjałów na hełmie. Było tylko jedno ale - cykl produkcyjny i transport trwały tak długo, że kiedy skafander dotarł do mnie, był już odrobinę za mały.

Początkowo nie stanowiło to dla mnie specjalnie wielkiego problemu; za wspaniałe chwile spędzone poza bazą godziłem się na drobne niewygody. Ale za każdym wyjściem było gorzej. I wtedy postanowiłem nie jeść, aby nie rosnąć.

Skończyło się na ciężkiej anemii i omdleniu. Dopiero w hipnozie wyrwali ze mnie tajemnicę.

Od tego czasu zawsze miałem kombinezony próżniowe z wyprzedzeniem i wykorzystywałem każdą okazję do poznawania coraz to nowych zakątków mojej planety.

Ann milczała. Mknęliśmy wśród coraz bardziej stromych wzgórz porośniętych szpilkowym lasem. Ośnieżona koronka szczytów potężniała z minuty na minutę. Wstydząc się sam przed sobą musiałem uznać przewagę piękna tych poszarpanych grani nad nieograniczoną potęgą wulkanu Olympus Mons.

Nagle z tylnej części kabiny doleciał wysoki monotony dźwięk. Coś tam latało, jakieś stworzenie. Miotło się na wszystkie strony, granatowym błyskiem obijało o szyby. Naraz zawiroowało między nami i przysiadło na ramieniu Ann.

- Uważaj!

Błyskawicznie nacisnęła czerwony guzik i pojazd posłusznie przesunął się na prawy tor pasa, a po chwili znieruchomiał w pobliżu zielonej ściany lasu.

- Co się stało?

- Coś ci usiadło na ramieniu, jakieś stworzenie.

- Gdzie?

Już go tam nie było. Łaziło sobie najspokojniej po bocznej szybie i zdawało się nie zwracać na nas najmniejszej uwagi.

- O, tam!

Spojrzała w tamtą stronę i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Nigdy dotychczas nie

widziałem, aby ktoś śmiał się tak żywiłowo i z takim zapamiętaniem.

- Co to jest? - zapytałem niepewnie.

- Mucha! Zwykła mucha.

Wprawdzie nic mi to nie mówiło, ale na wszelki wypadek postanowiłem na przyszłość nie wpadać w panikę na widok pierwszego lepszego stworzenia. Zrozumiałem też, że moja znajomość tutejszych warunków nie była tak dokładna, jak to wydawało mi się jeszcze przed chwilą.

Staliśmy na poboczu szarego pasa komunikacyjnego. Od czasu do czasu przemykał tamtędy z cichym świstem kolorowy bolid i znikał w głębi zielonej doliny zamkniętej wysoką skalną ścianą.

- Wsiądziemy?

- A mogę? - zapytałem z wahaniem.

- Możesz, możesz! - uśmiechnęła się i rozsunęła boczną ściankę pojazdu. - Na pewno ci się nic złego nie stanie.

Wyszedłem za nią w szum wiatru uwięzionego w koronach drzew, w śpiew ptaków zawieszonych gdzieś wysoko we wszechogarniającym błękiecie, w morze subtelnych zapachów, pośród których dominował jeden przepyszny, niezrównany.

- Co tak wspaniale pachnie?

- A to... To siano.

Nie pytałem, co to jest siano. Dla mnie był to zapach życia i przemijania równocześnie. Zapach Ziemi.

Zrobiłem głęboki, najgłębszy na jaki mogłem się zdobyć wdech, aż zaboląło, zakłuło gdzieś w płucach i schyliwszy się, delikatnie pogłaskałem zakurzony żółty kwiatek wychylający się spomiędzy spieczonych brył czarnego żużla.

III

Zupełnie nie czując zmęczenia pędzę długimi, długimi susami w dół żółtopomarańczowego zbocza. To już nie wydłużone w nieskończoność kroki, to lot nieomal nad równą płaszczyzną miękkiego tufu. A gdy z rzadka dotknę stopą przyjaznego gruntu, obłok kremowy wykwita za mną znacząc kłębamii pyłowych grzybów radość istnienia. Poznaję! To niezmierzone przestrzenie Alba Patera splekane zmarszczką promienistych lawowych potoków.

Uważaj! Jeden z nich zagradza ci szczęście pędu! Odbij się mocno, jeszcze mocniej, szybuj wysoko nad czeluścią. Jeszcze wyżej! Abyś nie znalazł się tam, w otchłani, gdzie ten jęczący męczennik, któremu zabrakło oparcia dla stopy na skraju urwiska, leży przywalony lawiną drobnych kamieni i jęczy. Przez szybę hełmu widać jego zniekształconą cierpieniem twarz. Znajomą twarz...

To ja!! To ja leżę na wznak przysypany gruzem skalnym, unieruchomiony. Leżę tu chyba już wieczność całą wpatrzony w krwawy strzęp firmamentu widoczny nad przepaścią. Skąd się tu wziąłem? Nie wiem. Może byłem tu zawsze, łapczywie chwytając życie urywanym oddechem ściśniętych płuc?

Ciężko. Jak ciężko... Dławi mnie góra zastygłej lawy, za każdym bolesnym oddechem muszę ją podnosić wysoko, wysoko.

Strząsnę ją z siebie, wyzwolę się z tego grobu, będę swobodny, jak ten tam, wyłaniający się właśnie spoza horyzontu i pędzący ku mnie człowiek, cały w refleksach słonecznego blasku. Chmura pyłu skłębionego za nim narasta, a on płynie przed nią, zbliża się do miejsca moich cierpień.

Już go widzę wyraźnie, i szkarłatne litery nad czołem, i tę twarz znajomą...

Uważaj! Wydłuż krok, wznies lot! Czarna czeluść czyha na ciebie!

Na mnie!! Bo to ja tam jestem. Tu jestem! On ciężko dyszy pod brzemieniem piargów, a ja płynę beztróskim wichrem, lekki i swobodny.

Nieprawda! To właśnie on frunie jak ptak, a ja się duszę. On się dusi! Ja umieram!!!

To sen, zły, straszny sen. Żyję, na pewno żyję. Gdzie jestem? Typhon? Kajuta na „Centaurze”? Nie... Już wiem! Mój świat zawirował w ciemności i ustawił się w logiczny ciąg zdarzeń. Lądowanie, astroterminal Eurazja, zapach siana w górach, Ann Alcott i Centrum. Badawcze spojrzenia personelu. Ziemia.

Duszę się na jawie. Wysiłkiem woli wciągam w płuca małe porcje powietrza. Wstać, trzeba wstać...

Zlany potem zwlekam się na podłogę wyłożoną przyjemnym miękkim dywanem. Światło! Gdzie jest światło? Miotam się po obcym wnętrzu, objam o sprzęty; zaplątuję w zasłony. Jest okno. Za nim srebrnobiałe góry w świetle Księżyca. Jak się to otwiera? Jak się otwiera?

Ciężko pracuje utrudzone serce, z ogromny wysiłkiem zmęczone płuca chłoną zbawcze powietrze. Jest!! Chłodna fala buchnęła do środka, orzeźwiająca, dobra. Już lepiej, trochę lepiej.

Wsparłem głowę na dłoniach i patrzę w wygwieżdzone niebo, inne niebo. Tam, pośród migotliwego mrowia jarzy się czerwonawo trochę większy punkt.

Ciemność wnętrza zaczęła wyraźnie rzednąć, roztopiać się w poświacie płynącej od sufitu. Ciszę nocy przerwał subtelny dźwięk gongu, a po nim odezwał się nieznanym mi męski głos:

- Les Kassai, czy masz jakieś kłopoty?

Odwróciłem się od okna i rozejrzałem po sypialni wypełnionej przyjemnym ciepłym światłem.

Nikogo.

- Kto pyta?
- Taft, lekarz dyżurny.
- Duszno mi.
- Zaraz tam będę.

Odnalazłem regulator oświetlenia i nastawiłem odpowiadające mi natężenie oraz tonację. Mimo to czułem się tutaj obco, w tym wykładanym drewnem pomieszczeniu mającym służyć szybkiej rehabilitacji różnych międzyplanetarnych nieboraków. Nazbyt widoczna była wystudiowana prostota wnętrza i pseudoprymityw sprzętów.

Wzrok z przyjemnością spoczął na kawałku porowatej skały leżącym na mocnym stoliku. Wziąłem go do ręki po raz setny chyba i ze wzruszeniem zacząłem oglądać, jak zawsze. Mienił się wszystkimi odcieniami czerwieni, a w załamaniach jego powierzchni za każdym ruchem grały rdzawe błyski. Tutaj jednak był cięższy, znacznie cięższy.

Taft okazał się młodym, dobrze zbudowanym mężczyzną, ubranym w bladoniebieski kitel zawiązany z tyłu. Jego twarz ozdobiona była zawodowo uprzejmym uśmiechem, który przybrał na pewno tuż przed wejściem do mnie.

- No, co z tą dusznością? - zapytał podając mi rękę na przywitanie. Była ciepła i sucha.
- Nie wiem, obudziłem się z nią.
- To twoja pierwsza noc po powrocie?
- Pierwsza, ale nie po powrocie.

- Jak to? - zapytał, lecz nie czekając na odpowiedź podszedł do ściany, otworzył niewidoczne drzwiczki odsłaniając jakąś aparaturę i nacisnął jeden z guzików. We wnęce zapalił się ekran pokryty gęstwiną liter i cyfr.

- O, przepraszam! Nie wiedziałem, że to właśnie ty. Dzisiaj mam pierwszy dyżur po dłuższej nieobecności.

- Nie szkodzi.

Taft długo wpatrywał się w ekran z przesuwającymi się na nim informacjami o mnie. Dużo tego było.

- Czy po przyjęciu do Centrum przechodziłeś jakieś badania?
- Nie. Mają zacząć dopiero jutro.

- W takim razie zrobimy teraz test podstawowy. - A widząc moje zaskoczenie dodał: - Nie bój się, to nie potrwa długo.

Odchylił fragment ściany poniżej monitora i w ten sposób powstało z niej coś w rodzaju leżanki.

- No, proszę - wskazał na nią ręką. - Połóż się wygodnie.

Przyłożył mi do ciała kilkanaście różnych czujników i zaczął manipulować przy klawiaturze.

- Czy miałeś już kiedyś podobne objawy?
- Nie, dzisiaj pierwszy raz.

Znów nacisnął kilka klawiszy, po czym zdjął ze mnie elektrody i spojrzał na ekran.

- Alergia. Współczynnik prawdopodobieństwa trafności diagnozy 0,98. To praktycznie pewność.
- Ale na co?

- Nie wymagaj zbyt wiele, to może być cokolwiek; znalazłeś się w zupełnie innym świecie. Z pewnością wkrótce znajdziemy ten czynnik, a tymczasem podam ci coś likwidującego objawy. Przynieść ci tutaj, czy pójdziesz ze mną do dyżurki? To zaledwie parę kroków.

Poszedłem, bo już zaczynałem czuć wstręt do tego pomieszczenia, gdzie czaiło się coś groźnego dla mnie, a nieuchwytnego. Z trudem łapiąc powietrze powlokłem się za Taftem.

Pomogło. Po kilkunastu minutach zapomniałem o duszności i z zainteresowaniem przyglądałem się

pracy lekarza. Jak zdążyłem się zorientować zadanie jego polegało na śledzeniu impulsów pochodzących od poszczególnych pacjentów. Każda niepokojąca sytuacja sygnalizowana była zapaleniem się żółtego wskaźnika, każdą alarmową obwieszczał wskaźnik czerwony oraz brzęczyk. Właśnie się odezwał, a czerwone światło pulsowało pod numerem 37.

Taft bez zastanowienia nacisnął kilka klawiszy na pulpicie dyspozycyjnym i jeden po drugim zapaliły się ekrany dwóch monitorów. Równocześnie ciszę nocy przerwały gardłowe okrzyki chorego.

Po chwili zobaczyłem go - miotał się po posłaniu, jakby walczył z niewidzialnym przeciwnikiem. Momentami widać było jego zniekształconą grymasem wysiłku twarz i przerażone, nieobecne oczy. W chaosie krzyków zrazu pojawiły się pojedyncze słowa, a po chwili już można było zrozumieć prawie wszystko.

- Nie!!! Nie zostawiajcie mnie tutaj! Ja chcę żyć! Chcę żyć!!

Krzyk przeszedł w skowyt, a chory w bezsilnej rozpaczycie tłukł pięściami w ścianę. Nagle rozluźnił się, opadł na łóżko i znieruchomiał z podkurczonymi jak dziecko nogami. Jego oddech uspokajał się powoli, a o gwałtownej scenie sprzed kilku minut przypominała jedynie porozrzucana bezładnie pościel.

Taft znowu nacisnął jakiś klawisz i prawie natychmiast odezwał się kobiecy głos.

- Proszę...

- Vicky, bądź tak dobra i podejdź do Alvareza. Znowu miał atak.

- Dostał somalinę?

- W areozolu.

- Wychodzę.

Taft odwrócił się od pulpitu dyspozycyjnego i uśmiechnął się do mnie.

- Widzisz, taka jest nasza praca. Jak każda inna.

- Co mu się stało?

- Z początku miał ataki po kilka razy dziennie - teraz tylko w nocy, a i to coraz rzadziej. To echa przeżytego niedawno szoku.

W drzwiach izolatki Alvareza pojawiła się sylwetka pielęgniarki. Podeszła do chorego, ułożyła go na poduszce i przykryła. Potem odwróciła się do nas i uśmiechnęła.

- W porządku!

- Wracaj do siebie Vicky, dziękuję!

Kobieta wyszła z pokoju chorego, a Taft wyłączył oba monitory.

- Chciałeś wiedzieć co z nim... To była dość głośna sprawa jakiś czas temu. Bezpośrednie trafienie wielkiego meteorytu w bazę Luna - Kleomedes. Czternaście osób zginęło na miejscu, ciała znaleźli w początkowej fazie akcji ratowniczej. Brakowało tylko Alvareza. Robota wydawała się bez sensu, bo któż mógłby się ostać żywy pod zwałami nadtopionych bloków bazaltu. Dwukrotnie przerywali pracę i dwukrotnie wracali do niej, bo mogło się wydarzyć, że w chwili katastrofy był w komorze magazynowej, że ta komora wytrzymała, że nie zginął od udaru i że ocalały zapasy tlenu. Musiało tam być jeszcze wiele innych zastrzeżeń, bo prawdopodobieństwo jego przeżycia wyrażało się jedyneką poprzedzoną wielką ilością zer. A jednak był właśnie tam, żywy. A bał się tylko jednego - aby nie zrezygnowali z usunięcia leżącej nad nim góry gładów. Kiedy dwukrotnie ustawały słabe odgłosy akcji ratunkowej walił młotem w skałę i coraz mniej było w nim nadziei, a coraz więcej szaleństwa. Kiedy go wreszcie znaleźli, tkwił na granicy życia i śmierci.

- A teraz?

- Teraz już jest prawie zdrowy. Jeszcze kilka miesięcy pobytu u nas i wypiszemy go.

- A ja?

- Ty? Ty możesz wyjść w każdej chwili, kiedy tylko zechcesz, jesteś przecież gościem Centrum, a nie

pacjentem. W zasadzie nic ci nie dolega.

- Niby racja, ale w ciągu kilkunastu pierwszych godzin miałem już parę próbek mojego „w zasadzie dobrego” stanu zdrowia. Po jednej z nich jestem właśnie w tej chwili.

Taft wstał i nie patrząc na mnie zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Doszedłem do wniosku, że pora opuścić już ten gabinet przypominający dyspozytornię głównej siłowni Typhona.

- To ja już pójdę...

- Chce ci się spać?

- Nie, ale nie chciałbym przeszkadzać.

- Wcale mi nie przeszkadzasz, a jako gościa nie obowiązują cię regulaminy. A tymi drobnymi przykrościami nie przejmuj się - jedne z czasem same miną, innych nauczysz się wystrzegać. Twoje konto jest kontem zdrowego człowieka. Dziwi mnie tylko - że nie ma w nim informacji o bliźnie na prawym udzie.

- Od urodzenia trzymano mnie przez dwa lata bez przerwy w polu działania grawitera. Dawał dwukrotnie większe ciężenie niż normalne. Potem zrobiło się tam dla mnie za ciasno i zaczęli mnie wypuszczać na zewnątrz, to znaczy do pomieszczeń mieszkalnych baz. To było wspaniałe uczucie! Pierwsze zapamiętane wrażenia dotyczą cudownego stanu lekkości opanowującego mnie zawsze po opuszczeniu pokoju. Bardzo szybko skojarzyłem te dwa elementy rzeczywistości i jak ognia unikałem znajomego wnętrza. Nie na wiele się to zdało, bo ci wszyscy dorośli byli nieubłagani. Sami bez przerwy pławili się w lekkości, a mnie uwięzili w zniechęcającej klatce. Żyłem i rozwijałem się wśród ludzi dojrzałych i do tego ludzi specjalnej kategorii - naukowców, techników, pilotów. Dlatego też moje doświadczenia, zasób wiedzy, moje słownictwo były zupełnie inne niż waszych dzieci w tym samym wieku. Mając cztery lata zacząłem podejrzewać, że moje więzienie to robota kogoś z tych niezrozumiale między sobą mówiących dorosłych. Od tego czasu wsłuchiwałem się we wszystko o czym rozmawiali, aż wreszcie ustaliłem, że mój wróg nazywa się grawitacja, i że muszę wiedzieć o nim jak najwięcej. Ku wielkiemu zadowoleniu rodziców wkrótce nauczyłem się czytać, lecz zamiast pochłaniać bajki o nierealnych zwierzątkach i równie egzotycznych dzieciach wgryzałem się w ogólną teorię pola. Sześćioletni brzdąc!

Każdego po kolei wypytywałem chytrze o tajemnicę mojego pokoju - nie jeden w odpowiedzi pogłaskał mnie po głowie, inny poczęstował cukierkiem, ale kilka osób napomknęło coś o ukrytej pod podłogą maszynie. To mi wystarczyło. Po długich zabiegach wyśledziłem w piwnicy zamknięte na głucho drzwi z napisem GRAWITER, a w harmonogramie obsługi terminy przeglądów i nazwisko konserwatora. Był nim wtedy niejaki Schultz, jedyny chyba w bazie człowiek, którego nie cierpiałem - wielki, ciężki, zawsze nachmurzony i opryskliwy. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, musiałem wkraść się w jego łaski. Nie było to łatwe, bo Schultz z reguły przesiadywał w swojej pracowni z czerwonym światłem płonącym nad drzwiami i dostać się wtedy do niego było niepodobieństwem. Przewyciężając strach zaczęłem go kiedyś na korytarzu i nazwałem wujkiem. Od tego czasu zaczęła się nasza przyjaźń. „Wujek Hans” naprawiał mi zabawki, uczył śpiewać i grać, a nade wszystko opowiadał. Oczywiście o ciężeniu, bo tylko to mnie interesowało.

W końcu wyciągnąłem od niego wszystko - że to dla mojego dobra, bo kiedyś polecę na Ziemię, a tam jest pięknie, ale ciężiej niż w moim pokoju. Jakże ja wtedy zniechęcałem tę mityczną Ziemię, przez którą większą część życia musiałem spędzać w czterech ścianach mojego więzienia!

Aż wreszcie kiedyś uprosiłem go i zabrał mnie do tajemniczego bunkra. Z drżeniem serca wypatrywałem się w lśniące podzespoły maszyny - mojego osobistego wroga, a w głowie kotłowały się myśli jak doprowadzić do końca mój wielki plan. Zniszczyć ją postanowiłem już wtedy, kiedy tylko dowiedziałem się o jej istnieniu.

Od tego czasu nie przepuszczałem kolejnych przeglądów, a równocześnie wgrzyłem się w dokumentację grawitera. I wreszcie przyszedł taki czas, że szczegóły jego budowy znałem lepiej niż ktokolwiek w bazie, bo Schultz odleciał na Ziemię.

Pewny siebie wtargnąłem do bunkra i niewprawną ręką rozregulowałem synchronizator fal. Nikt nie zauważył mojej wyprawy i na kilka godzin zniknęła z mojego pokoju zmora zwiększonego ciężenia. Jednak pewnie popełniłem jakiś błąd, bo grawiter nagle zaczął działać, lecz nie było to działanie ciągłe. Maszyna wytwarzała pole pulsujące - z początku były to pojedyncze rzadkie udary ciężenia, ale z biegiem czasu ich częstotliwość rosła, aż nagle ściany wpadły w rezonans i rozwaliły się jak domek z kart. Dziwnym trafem nie zginąłem wtedy pod gruzami. Skończyło się na jednej większej ranie i stąd ta blizna na udzie.

- A co z grawiterem? - zapytał Taft uważnie słuchający mojego opowiadania.

- Rozleciał się i przez ponad pół roku miałem spokój. Potem przywieźli nowy model o dwukrotnie większej gęstości wyjściowej. Na szczęście ustawili go do pracy przy 0,7 g, tak jak poprzedni. Ale com użył swobody przez te kilka miesięcy, tego mi nikt nie odbierze. Nie musiałem ślęczeć w zamkniętym pomieszczeniu, wobec tego szalałem po całym kraterze w towarzystwie dwójki młodych praktykantów.

- A po uruchomieniu tego drugiego?

- Wtedy miałem już dziesięć lat i trochę inne poglądy. Zresztą pobyt w strefie zwiększonego ciężenia ograniczono mi do połowy doby, a to nie było takie trudne do wytrzymania.

Odezwał się brzęczyk, a pod numerem 35 zamigotało czerwone światło. Taft wykonał dokładnie takie same czynności jak poprzednio i zajął się monitorami, a ja wróciłem do mojego pokoju i stanąwszy w oknie jeszcze raz spojrzałem w czarne niebo, gdzie w bezliku migocących iskier jedna wyróżniała się ciepłym odcieniem. Wydawało mi się prawie zupełnie nierealne, że gdzieś tam, o dziesiątki milionów kilometrów ode mnie, wkopana w twarde skały drzemie na skraju olbrzymiego krateru baza - mój dom.

IV

Dzień był wyjątkowo piękny. Od samego rana bez przerwy świeciło słońce i w jego promieniach wszystkie barwy stawały się żywsze, wszystkie twarze miłsze, a gnębiące mnie problemy - błahe i nieistotne. Wystarczyło wyjść na taras, wciągnąć w płuca potężny haust przesyconego zapachem żywicy powietrza, wystawić twarz na pieszczotę chłodnego wiatru wiejącego od gór, aby przykre wrażenie ostatnich tygodni znikło jak zły sen. Choroby, nieustające choroby zwały się na mnie ze wszystkich stron. Czasami zdawało się, że nie ma we mnie ani odrobiny zdrowego ciała. Leżałem wtedy godzinami w otępieniu i w poczuciu bezsilnej wściekłości gryzłem końce palców przeklinając Ziemię i moją głupotę, która mnie tu sprowadziła. Do szału przywodziły mnie niekończące się badania, a zwłaszcza częste zjazdy różnych mędrków, na których oglądano mnie jak wielce egzotycznego zwierza z dalekiej kosmicznej głuszy. Kiedyś nie wytrzymałem i jakimś szczególnie natarczywemu badaczowi mojej czaszki poradziłem, aby natychmiast oddalił się za barierkę, bo inaczej ugryzę go.

Od tego czasu zaprzestano organizowania kolejnych pokazów i wreszcie miałem jaki taki spokój.

Jakiś tydzień temu nagle poczułem się lepiej. Z godziny na godzinę mijała ociążałość i rozmaite bóle. Czyżby wreszcie nadchodziło tak długo oczekiwane przystosowanie?

Gwałtowny podmuch wiatru zakołysał koronami drzew i przyniósł zapach lodowca zawieszony gdzieś tam, pod kopułą nieba. Resztki mgieł zniknęły z głębokich dolin i w kryształowo przejrzystym powietrzu góry stały zdumiewająco bliskie i kusząco piękne.

- O czym myślisz Les? - dobiegło mnie z tyłu.

Ann! Jakże długo jej nie widziałem. Odwróciłem się powoli, by zamaskować wzruszenie wywołane jej głosem. Stała uśmiechnięta w pełnym świetle słońca na tle zielonej ściany pnączy, a wiatr bawił się kosmykami jej jasnych włosów. Czyż dla tego widoku nie warto było przebyć miliony kilometrów próżni?

- O tym, że jesteś piękna, Ann.

- No, proszę! - roześmiała się i pogroziła mi palcem. - Adaptacja przebiega prawidłowo. Już nawet nauczyłeś się kłamać bez mrugnięcia okiem. Pocieszający objaw.

- Ależ ja naprawdę...

- W każdym razie jesteś bardzo miły - nie pozwoliła mi dokończyć rozpoczętego zdania. - Wobec tego ja też będę miła i proponuję ci wycieczkę. Jeśli oczywiście masz na nią ochotę.

- Ochotę? O niczym innym nie marzę, od kiedy mnie tu przywiozłaś, tylko żeby się stąd gdzieś wyrwać, choćby na kilka godzin.

- W takim razie bądź za kwadrans na parkingu, pojedziemy sobie w góry.

Kiedy znalazłem się na dole, Ann już tam na mnie czekała. Ruszyliśmy wąską, krętą drogą, śmiałymi serpentynami wspinającymi się długim zalesionym stokiem ku zawieszonemu wysoko wylotowi głęboko wciętej doliny. Chwilami coraz niżej i niżej przeświecały zatopione w zieleni dachy pawilonów Centrum.

Wreszcie stanęliśmy na maleńkiej platformie zawieszonej nad wąwozem. Ze skalnej gardzieli nieprzerwanie wypływały masy wody i z hukiem spadały na wypolerowane czarne głązy, wzniecając wokoło potop mokrego pyłu. Spienione zwały wody zmieniając barwę z białej na zieloną odchodziły ku

brzegowi granitowej niecki i zniknęły za następnym skalnym progiem. Od dna ryczącej czeluści wznosił się w górę drgający wielobarwny łuk świetlny.

Stałem urzeczony surową urodą tego zakątka, ogłuszony rykiem spadających wód, niezdolny do oderwania oczu od dzikich zielonych wirów w dole.

- Les, obudź się! - usłyszałem głos Ann dochodzący jakby z wielkiej odległości. Równocześnie wzięła mnie za rękę i odciągnęła od krawędzi. - Cóż to, z czarował cię widok tęczy nad wodospadem?

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem się przyznać przed samym sobą do nieprzeczuwalnego wzruszenia wywołanego tym pierwszym zetknięciem się z nieskalaną przyrodą Ziemi. Czułem się jakbym zdradzał czerwone kaniony mojego dzieciństwa, spowite delikatnym tumanem pustynnego pyłu.

Szliśmy kamienistą ścieżką w górę doliny. Po obu jej stronach opadały zalesione strome zbocza, a nad nimi, pośród karłowatych zarośli sterczały białe skalne turnie. Jeszcze wyżej zielony dywan traw kończył się ścianami granitowych szczytów.

Z każdym krokiem czułem narastające zmęczenie. Kilkakrotnie przystawałem dla uspokojenia oddechu i serca. Wreszcie las się skończył i wyszliśmy na otwartą przestrzeń porośniętą trawą i kępami obsypanych kwieciem zarośli.

- Polana Rododendronów! - zawołała Ann zatrzymując się obok ogromnego głazu spod którego było źródło krystalicznie czystej wody. - Tutaj się zatrzymamy.

Zeszliśmy kilkanaście kroków ze ścieżki w stronę białych skalnych zerw sterczących na skraju polany. Usiedliśmy na kamieniach i w milczeniu zaczęliśmy się wpatrywać w przeciwległy stok przechodzący w prawie pionową skalną ścianę, gdzieś wysoko, wysoko zwieńczoną draperią śnieżnych pól zakończonych koronką lodowej grani na tle granatowego nieba. Wzrok błędził po rozległych polach piargów, po stromych mokrych płytach i przewieszkach ściany, po żlebach, by na koniec zatrzymać się na tnącej całą szerokość ściany stromej półce skalnej ginącej w plamie cienia rzucanego przez potężną czarną iglicę sterczącą z poszarpanego zębra.

Nagle od granicy cienia oderwał się ciemny punkt i powoli, bardzo powoli zaczął się posuwać w górę białego żlebu. Natężyłem wzrok aż do bólu - to był człowiek! Nieustępliwie pełznął po prawej pionowej, oslepiająco białej płaszczyźnie w stronę postrzępionej grani.

- Ann, spójrz! Tam ktoś jest!

Dojrzała go bez trudu, bo był właśnie na samym środku bieli. Wtem zatrzymał się i jakby zmałał. Po chwili z cienia w dole wypełznął drugi człowiek i ruszył ku pierwszemu.

- To alpiniści - wyjaśniła obojętnym tonem i zmrużywszy oczy wystawiła twarz do słońca.

- Ale co oni tam robią?

- Wspinają się.

- Po co?

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Po co? Nie wiem, może dlatego, że lubią to, że góra jest taka piękna...

- Ależ to jest bardzo niebezpieczne! Mogą spaść, odnieść rany, zginąć.

- Z bliska nie wygląda to tak groźnie, a oni przecież asekurują się wzajemnie.

- Ale wypadki muszą się zdarzać? Wobec tego powinni im zabronić, bo to nie ma sensu.

- Nie jestem pewna, Les, nie jestem pewna. W tym musi być sens, może tylko nie dla wszystkich dostrzegalny, ale na pewno musi być.

Spoza grani wychynął biały obłok i przewaliwszy się na naszą stronę pochłonał oba czarne punkty w żlebie. Wierzchołek góry zniknął w szarpanych wiatrem kłębach chmur, lecz reszta grzbietu nadal lśniła nieskazitelną bielą śniegu.

Tu, pośród łąnow kwitnących rododendronów, było ciepło i przytulnie. Ann zmrużyła oczy i

odchylona do tyłu zdawała się drzemać w palących promieniach słońca. Bezszelestnie wstałem i ruszyłem pomiędzy kwitnące kępy i z rzadka rozrzucone głązy na mój pierwszy samodzielny spacer, pierwszą ziemską wyprawę.

Zarośla tętniły życiem - coraz to podrywały się z nich chmury drobnych owadów i zwinne plamy motyli, rozległ się świergot ptaka, cichy trzask łamanej gałązki. Klucząc pomiędzy głązami dotarłem na skraj niewielkiego zagłębienia porośniętego bujną trawą. Pasły się tam zwierzęta - płowe i smukłonogie. Było ich pięć - dwie samice z młodymi i rogaty samiec. Nie zauważyły mnie jeszcze. Nieomal wstrzymałem oddech, aby najłżejszym szmerem nie spłoszyć ich i niczego nie uronić ze wspaniałej sceny rozgrywającej się u moich stóp.

Wtem lekki podmuch wiatru zaszeleścił w trawach na brzegu kotlinki. Samiec natychmiast uniósł łeb, prychnął ostrzegawczo i cała płowa rodzina w mgnieniu oka zniknęła za najbliższym garbem terenu. Po chwili zacząłem wątpić w realność oglądanej sceny, tak wydała mi się egzotyczną. Zwierzęta znałem z projekcji w klubie Typhona i przez wiele lat uważałem je za produkt fantazji twórców wyświetlanych obrazów, na równi z nieśmiertelnymi krasnoludkami i mieszkańcami odległych układów planetarnych.

Ruszyłem z powrotem i po kilku krokach zobaczyłem Ann - stała na głązie ponad łanem kwitnących rododendronów i bezradnie rozglądała się wokoło. Teraz zrozumiałem, że nie powinienem tak zniknąć bez słowa. Głośno zawołałem jej imię i pomachałem ręką. Zauważyła i ruszyła w moją stronę klucząc w zaroślach.

To stworzenie zobaczyłem tuż pod moimi nogami - zwinięte w kłębek wygrzewało się do słońca mieniąc się kolorowymi plamami pokrywającymi całe jego długie beznogie ciało, nad którym unosiła się mała kształtna główka. Drobne paciorki oczu z uwagą śledziły każdy mój ruch, czujne a równocześnie spokojne.

Podobało mi się i powoli wyciągnąłem rękę, aby je pogłaskać. W tym momencie usłyszałem z tyłu cichy, drżący przerażeniem głos Ann.

- Les, nie dotykaj go! Bardzo powoli cofnij rękę. Tak... Teraz wyprostuj się i tyłem idź w moją stronę. Dobrze... Jeśli zaatakuje, skacz w bok i uciekaj.

Cofałem się wpatrzony w czujne oczka stworzenia. W miarę oddalania się jego główka opadała coraz niżej, aż legła na szczycie zwojów ciała. Wtedy poczułem na ramieniu jej dłoń.

- Coś ty narobił? - zawołała z wyrzutem. To był wąż!
- Wąż? No to co z tego?
- Gdyby cię ukąsił, byłyby ogromne kłopoty.
- Nie wiedziałem...
- No tak, najpierw wpadasz w panikę na widok muchy, a potem chcesz głaskać śmiertelnie jadowitą efe.

Napięcie prysło. Zaczęliśmy się śmiać jak dzieci i pobiegliśmy na stare miejsce.

- Jak się czujesz? - zapytała z troską w głosie.
- Świetnie! Podejdźmy jeszcze trochę wyżej.
- Pod warunkiem, że nie będziesz się nigdzie oddalał bez zezwolenia.
- Przrzekam uroczyście!

Ścieżka biegła łagodnymi zakosami ku szczytowi kopulastego wzniesienia, za którym krył się dalszy ciąg doliny. Za nami zostały ukwiecone kępy rododendronów i soczysta zieleń traw. Im wyżej, tym więcej pokazywało się białych kamieni i czerwonej nagiej zwietrzliny. Jedyne w zagłębieniach tuliły się kępki trawy i skupiska skalnych różyczek, znanych mi już z parkowego klombu.

Wreszcie stanęliśmy na progu doliny i oczom naszym ukazał się ogromny amfiteatr granitowych kolosów, dziki i pusty. Fantastyczne złomowisko szarych nagich głązów nieodparcie przywodziło na myśl

górne partie Jus Chasma, tak samo zawałone skalnym rumowiskiem.

Przez krótką chwilę zdawało mi się, że wydarzenia ostatnich miesięcy to sen, a ja stoję w półmroku dna potężnego kanionu i chłonę wzrokiem odwieczne piękno mojego świata, piękno przerażające.

Powoli, bardzo powoli wędruję wzrokiem ku górze, ku firmamentowi - rażący intensywny błękit. Czar przysł.

Nagle cień zalał dolinę i zrobiło się chłodno. Za nami niebo już zasnuła czarna chmura i błyskawicznie pochłaniała ostatki błękitu. Zerwał się gwałtowny wiatr i runął na nas z góry.

Burza idzie! Uciekajmy do lasu!

Spojrzałem w dół - szara ściana wody dotarła już do polany i wspinała się naszym śladem. Rozejrzałem się wokoło - kilkadziesiąt metrów od nas, tam gdzie stykały się ze sobą dwa rodzaje skał, u podnóża ściany czerniał niewielki owalny otwór.

- Tam!

Pierwsze grube krople dopadły nas w chwili, gdy zdyszani dobiegaliśmy do jaskini. Było tu sucho i cicho. Na zewnątrz rozpętała się nawałnica ze świstem gwałtownego wichru, szumem ulewy i uderzeniami piorunów. Po każdym z nich stokrotne echo długo odbijało się między zasnutymi mgłą ścianami, aż wreszcie cichło gdzieś na granicach, by ustąpić miejsca nowemu potężnemu grzmotowi.

Ściemniło się. Usiedliśmy na mchu w niszy u wejścia do jaskini oparłszy plecy o chropowatą wapienną skałę. Przed nami raz po raz zapalała się poświata błyskawic wydobywając z półmroku tumany mgły, zwały czarnych głazów, fragmenty skalnych żeber.

- Boisz się?

- Nie, nie boję się. Oglądam to jak świetnie zrobioną holoramę, w której zadbano o każdy szczegół, nawet o to, abyśmy przypadkiem nie siedzieli w miękkich fotelach. Bo i czego tu się bać? Mamy tlen i wodę, a do parkingu pół godziny drogi, na której nie sposób zabłądzić.

- A gdybyś teraz był tam, na grani?

- Tak, tam jest niebezpiecznie, to prawda. Ale ci ludzie na pewno są na niebezpieczeństwo przygotowani, muszą być przygotowani, skoro ważą się na wspinaczkę. U nas, kiedy zbliża się pora burz, zamykamy się w bazach i nie wychodzimy na zewnątrz aż się wszystko uspokoi.

- To u was też są burze? - zapytała Ann.

- Są. Kiedy Mars zbliża się do peryhelium, zaczyna się jakiś dziwny niepokój, jakby cała planeta nagle zaczynała ożywać. Rusza przyczajony nie wiedzieć gdzie wiatr, z cichym świstem przewija się pomiędzy głazami otulonymi z podstawy kołnierzami rdzawopomarańczowego pyłu, uspiionych gładkich wydm i mąci ich spokój wzniecając z ostrych jak noże grzbietów obłoczki najdelikatniejszego skalnego pyłu, wiruje nim. A gdy nawet ustanie na chwilę, pył nie opada, lecz trwa zawieszony nad gruntem jak różowa mgła, z której wynurzają się wierzchołki większych głazów i szczyty wydm. Takie krótkie przestoje zdarzają się rzadko. Zwykle gdy zacznie się burza, to w pyłowym chaosie pogrąża całą planetę, a wtedy nikt nie opuszcza bazy, bo byłoby to równoznaczne z samobójstwem. W gigantycznej mineralnej chmurze milkną najdoskonalsze środki łączności, a niezmordowane transportery ślepe i bezradne mielą w miejscu narastające wały zdradzieckiego pudru, lub rozbijają się o skały, wpadają do szczelin, grzebiąc w swych szczątkach całe załogi. Nieustający wiatr zasypuje wszystkie ślady i ofiar burz pyłowych przeważnie nie znajdowano. Tak było dawniej, zanim zaczął obowiązywać kategoriyczny zakaz opuszczania stacji podczas pory wiatrów.

Ulewa straciła impet i przeszła w drobny rzadki deszcz. Burza przewaliła się za główną grań, skąd co chwila dochodziły groźne pomruki grzmotów. Pojaśniało.

- Idziemy?

- Nie, poczekamy aż całkiem przestanie padać. Opowiedz mi jeszcze coś o twoim świecie.

- O burzy?

- O czym chcesz.

- Dobrze, będzie jeszcze o burzy. Przed dwoma laty przyszła wcześniej niż zwykle. O trzy dni. Nagle zerwał się wiatr i zaczął swoją odwieczną robotę. Różowawy opar uniósł się z gruntu i błyskawicznie pochłonął dno ogromnego krateru, zamieniając je dla nas, patrzących z góry, w cudownie nierealną krainę z baśni, a dla nich, na dole, w śmiertelną pułapkę. Bo byli tam - Viren z córką, dwoje cybernetyków. Robili okresowy objazd bezludnych stacji wielozadaniowych zainstalowanych wewnątrz krateru. Przy pięknej pogodzie zakończyli przegląd stacji numer osiem i ruszyli do ostatniej w pierścieniu, położonej najbliżej bazy. Kiedy zaczęło wiać wysłaliśmy im ostrzeżenie, ale już było za późno. Chmura dopadła ich w mgnieniu oka i zerwała łączność. Przepadli gdzieś w połowie drogi między ósemką a dziewiątką, wśród potrzaskanych bazaltowych kolumn Czarnego Labiryntu, gdzie nawet przy idealnej pogodzie jazda była dużym wyczynem. Zwykle omijało się go szerokim łukiem od północy, nadkładając co prawda kilkanaście kilometrów, lecz po gładkiej skalnej płycie. Do Labiryntu z reguły woziło się nowoprzybyłych, by im pokazać osobliwe piękno tego skalnego uroczyska, sprawiającego wrażenie zapuszczonego cmentarza gigantów. Mało kto zaglądał tam dwukrotnie, a jeśli nawet, ograniczało się to do przejechania dobrze oznakowaną trasą przecinającą złomiska w najwęższym miejscu. Jedynie dwoje ludzi poruszało się po Labiryncie jak po swoim mieszkaniu - moi rodzice. Poznali się wśród tych skał i często wracali do nich - najpierw sami, a potem już ze mną. Ale nie było ich już wśród żyjących, gdy chmura zaskoczyła Virenów w bazaltowej pułapce.

W napięciu czekaliśmy na jakiś sygnał od zaginionych, lecz oprócz zakłóceń nie docierał do nas żaden inny dźwięk. Nadchodziła noc. Wprowadzono korektę orbit satelitów, aby rejon Labiryntu poddany był ciągłej obserwacji. To było wszystko, co można było w tej sytuacji zrobić.

Znalazłszy się w pułapce Viren powinien co pół godziny wystrzeliwać jedną zieloną racę, lecz w dole była tylko ciemność. Gdyby chmura przykryła ich na otwartej przestrzeni mieli dość duże szansę na dotarcie do bazy. Wystarczyło jechać cały czas pod górę, aby dotrzeć do krawędzi krateru, a tam już była droga i o tym dobrze wiedzieli. Przebrnąć zaś przez Labirynt przy braku widoczności było niepodobieństwem.

Przez całą noc trwały gorączkowe przygotowania do wyprawy ratunkowej, a wzmagający się wiatr cicho gwizdał w olinowaniach masztów i coraz wyżej wznosił rdzawy tuman.

Równo z krwawym świtem wystartowali i zaraz zniknęli za horyzontem. Jeszcze przez kilka minut widać ich było na ekranie, jak przesuwają się na tle morza skłębionego pyłu, by zniknąć w nim bez śladu. Długie, nerwowe chwile wyczekiwania i z potwornej chmury wyrwało się białe nikłe światełeczko, a zaraz po nim drugie. Wylądowali szczęśliwie w Labiryncie.

Minęły długie trzy godziny i znów nad kraterem zawisła ratunkowa rakieta, a wraz z nią wróciła łączność. Meldowali, że przejechali przez cały Labirynt i niczego nie znaleźli. Wtedy się zgłosiłem. Jeśli zabłądzili w bazaltowym gąszczu tylko ja mogłem ich odnaleźć, bo wśród setek korytarzy poruszałem się bezbłędnie. Przypuszczałem nawet gdzie mogli utknąć, skoro nie wystrzelili rac alarmowych.

Z oporami przyjęto moją propozycję i w godzinę później wylądowałem w środku Labiryntu. Natychmiast zagłębiłem się w czerwony tuman, a ze mną dwóch pozostałych członków ekipy ratunkowej znacząc przebytą drogę rozwijaną linką.

Łazik znalazłem dokładnie tam, gdzie przypuszczałem; leżał do góry kołami w szczelinie przecinającej Sanktuarium Olbrzyna - wspaniały amfiteatr skalny. W kabinie był tylko ranny i nieprzytomny Wen, a obok niego kartka z wiadomością: „Idę po pomoc”. Nie znaleźli jej już nigdy. Może kiedyś, po latach, jakaś wydma odsłoni swoją tajemnicę? Wena uratowali, lecz potem nie raz miałem wątpliwości, czy nie lepiej byłoby dla niego gdyby na zawsze pozostał więźniem Sanktuarium?

Trzask pioruna uderzającego w skałę i ogłuszający grzmot zlały się niemal w jedno. Ulewa wróciła. Ostry podmuch wiatru wpadł do groty ciągnąc za sobą warkocz wodnego pyłu.

- Zimno?

Zamiast odpowiedzi przysunęła się blisko, a ja objąłem ją ramieniem. Nie wiedzieć kiedy pewna siebie Ann, astropsycholog z Centrum, zamieniła się w drżącą zagubioną dziewczynkę.

- A teraz?

- Ciepłej.

Oparła głowę na moim ramieniu i wtedy poczułem stukot jej serca i pulsowanie krwi w żyłach, zrazu ledwie wyczuwalne, delikatne, prawie nierealne, lecz z każdym uderzeniem coraz wyraźniejsze, coraz głębsze, coraz mocniejsze. Już nie było ulewy, szorstkiej skały za plecami, porywów wiatru, huk grzmotów, świat zawarł się w potężniejącym szumie krwi, w ogłuszających uderzeniach jej serca, mojego serca... naszego serca, w zapachu jej włosów, w gorącej fali spływającej wzdłuż ciała, nieznanej lecz przeczuwanej, dobrej parzącej fali.

Widziałem tylko jej twarz, jej przymknięte oczy, lekko rozchylone usta. Walczyłem ze sobą, to było silniejsze ode mnie - w pierwszej chwili jej zdziwione i zaskoczone usta zamarły w bezruchu, a ja, nagle oprzytomniały, już chciałem biec w deszcz, zmyć z siebie brak opanowania, przeproszać, gdy nagle ich obcość znikła, stały się ciepłe i czułe, przyjazne. Jeszcze w resztkę świadomości wdarł się bliski, lecz jakże nierealny łoskot kamiennej lawiny, jeszcze mignęły czarne obeliski Labiryntu, a potem wszystko pochłonęła czerwona mgła tkliwości.

Znajoma kraina tchnie odwiecznym spokojem. Długie ostre cienie skalnych ostańców kładą się na rudy piasek pustyni, załamują na krawędzi wąwozu, przepadają hen w dole, gdzie przerażony wzrok po długim błędzeniu z trudem znajduje oparcie na bieli pól zestalonego gazu. Tutaj, na górze, jedynie w zacienionych miejscach można dostrzec delikatne nitki szronu kontrastujące z monotonią skały. Susza, cisza i bezruch.

Stojąc tak nieruchomy czuję się częścią tego świata zamarłego czasu, tych pól bezbrzeżnych, jakże podobnych do siebie nawzajem, a równocześnie niepowtarzalnych różnaitością kształtów, barw i odcieni. Jednym ruchem nogi mogę strącić kamień wiszący nad przepaścią, co porwie za sobą zwały drobnego piachu, żwiru, kamieni, głazy wreszcie, i cała lawina ruszy potężniejąc z sekundy na sekundę, aż wypełni rozpadlinę trzaskiem zderzeń i potopem ruchu. Lecz nie popełnię tego świętokradczego czynu, nie zburzę spokoju mojej ojczystej planety.

Chowa się zimne słońce za pasmem wzgórz, noc zaraz nastanie rozgwieżdżona, potwornym mrozem krusząca skały. Jeszcze chwila...

Cóż to? Dlaczego nie ma czerni? Rozjaśnia się firmament, zmienia barwę, błękitnieje. Wraca słońce - potężne, oślepiające! Jakaś postać przemyka się ku mnie wśród głazów. Bez skafandra!! Kobieta! Wokół niej zieloność i błękit. Ann!! Nie chodź tu! Zginiesz! Zginiesz!!

Nie dba o nic, jest coraz bliżej. A przed nią pierzcha martwa pustynia. Wreszcie staje przede mną zdyszana biegiem, radosna, i mówi coś. Nie słyszę. Pokazuje na kamień wiszący nad urwiskiem - żeby pchnąć. Jak zahipnotyzowany ruszam ku przepaści, a z każdym krokiem coraz mi trudniej znieść rosnący ciężar mojego ciała. Wreszcie staję nad przepaścią i z ogromnym wysiłkiem spycham zarodek lawiny.

Rusza. Nie muszę patrzeć w dół by mieć pojęcie o jej ogromie; musi być tak, jak sobie wyobrażałem, tylko jedno się nie zgadza - potężny, narastający huk lawiny, zbyt potężny. Wwierca się w mózg, tłamsi, przeraża.

Budzę się na tarasie wypoczynkowym, od strony gór nadchodzi burza, jak wtedy.

Co się stało z Ann? Nie widziałem jej od powrotu z tamtej wycieczki, od pięciu długich, nierealnych dni, przeżytych jakby we mgle, wypełnionych nią, wspomnieniem jej uśmiechu” zapachu włosów, ciężaru głowy opartej na moim ramieniu.

Setki razy przemierzyłem alejki wokół pawilonu astropsychologii uporczywie wypatrując jej twarzy w oknach, zrywałem się z ławki na widok każdej kobiecej sylwetki przekraczającej bramę wiodącą z osiedla personelu do części szpitalnej. Na próżno - Ann zniknęła.

Mogłem po prostu skomunikować się z jej sekcją i zapytać, ale właśnie tego nie chciałem robić. Właśnie tego. W Centrum znali mnie chyba wszyscy i każdy mój krok był komentowany; bądź co bądź taki dziwoląg po raz pierwszy pojawił się u nich. Nie chciałem by moja tajemnica stała się znana komukolwiek.

Burzowa chmura zatrzymała się na górach skłębioną czernią pochłonawszy cały masyw. Coraz to przecinały ją błyskawice, a basowy pomruk grzmotów dolatywał z zadziwiająco regularnym opóźnieniem. Gdyby tak znać prędkość rozchodzenia się fali dźwiękowej w powietrzu...

Narastający nieregularny stukot kroków po posadzce tarasu przerwał moje leniwe rozmyślenia.

Zatrzymał się w bezpośrednim sąsiedztwie mojego leżaka.

- Kassai?

Otworzyłem oczy i ujrzałem wspartego na lasce, młodego człowieka. Ostre słońce południa tańczyło miedzianymi refleksami w jego włosach.

- My się znamy!

- Wiem, z „Centaura”. Ty jesteś ten Les, co stale ćwiczył w cyrku.

- Zgadza się. Co cię tu sprowadziło?

- Masz transkontynentalną holowizytę w rozmównicy. Dziewczyna.

Zerwałem się na równe nogi. Ann! Nareszcie się odezwała. Pięć dni czekania, pięć długich nocy wypełnionych niepokojem. Biegłem roztrzając leżaki i objając sobie kolana. Nie widziałem zdziwionych spojrzeń pacjentów, zapomniałem o kulawym rudzielcu z „Centaura”, nie słyszałem basowych pomruków burzy znad gór. Holoprojektornia - to musi być za zakrętem korytarza. Jest! Uchylone drzwi, twarz technika obsługi.

- Les Kassai?

- Tak, tak!

- Proszę tędy.

Drugie drzwi, półmrok pomieszczenia bez okien, w perspektywie egzotyczny krajobraz z ośnieżonym szczytem w oddali.

- Tutaj.

Usiadłem na wskazanym miejscu i równocześnie skądś z góry i z boków spłynęły na mnie strumienie łagodnego światła. Na tle krajobrazu ukazała się kilkuletnia dziewczynka w różowej sukience.

- Cześć Les!

A więc to nie ona... A ja pędziłem jak dureń, robiąc z siebie widowisko.

- Nie poznajesz mnie? - zapytało dziecko.

- Poznaję cię Giselle, poznaję. Tylko w pierwszej chwili byłem zaskoczony, że już tak wyrosłaś.

- Ty też jesteś duży - powiedziała z uznaniem, a ja poczułem jak napięcie moich nerwów znika bez śladu.

- Dlaczego jeszcze do mnie nie przyjechałeś?

- Bo, widzisz Giselle, muszę tu trochę pobyc.

- Bardzo cię męczą? - zapytała ze współczuciem.

- Skądże, zupełnie nie.

- To jakiś dziwny szpital - wzruszyła ramionami i zawołała:

- Chodź tu zaraz!

- Kogo wołasz?

- Boya, chcę mu ciebie przedstawić.

Nagle na jej kolanach pojawiła się maleńka ruchliwa małpka, a dziecko wyciągnęło palec w moją stronę.

- O, patrz - to jest Les, mój brat. Przyjechał z daleka. Jest duży, ale jeszcze nie umie dobrze chodzić. Jak się nauczy, to przyjedzie do nas.

- Przyjadę, na pewno przyjadę - powiedziałem z przekonaniem.

- Tylko prędko, bo się pogniewam na ciebie. Cześć!

- Do zobaczenia, Giselle!

Obraz rozwiął się, pozostała tylko holoplansza, a na jej tle ukazał się pełgający napis: NAIROBI.

- Dziękuję! - to był głos technika.

- Ja również.

Wyszedłem na skąpany w słońcu korytarz. Już się trochę przyzwyczałem do jego oślepiającego blasku, a mimo to za każdym razem po wyjściu z ciemniejszego pomieszczenia musiałem aż do bólu zaciskać powieki, aby nieprzywykłym oczom dać czas na jakieś dostosowanie się do nowych warunków. Automatycznie okulary przestałem już nosić nie chcąc uzależnić się od nich całkowicie.

Kiedy tak stałem z przymrużonymi oczami zwróconymi na ciemny brąz ściany, ktoś zatrzymał się obok.

- Razi?
- Coraz mniej - zwróciłem twarz w stronę znajomego z rejsu na Ziemię.
- Sam O'Shea - przedstawił się wyciągając rękę. Był nieco starszy ode mnie.
- Les Kassai.
- Zapamiętałem z „Centaura”, stanowiłeś tam swego rodzaju atrakcję.
- Ja? Dlaczego?
- Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Od dawna już jesteś tutaj?
- Od wylądowania. A ty?
- Przyjechałem dopiero wczoraj.

Rozmowa się urwała, bo cóż mają sobie do powiedzenia ludzie zupełnie obcy. A może jednak mają? Odczułem gwałtowną potrzebę porozmawiania z kimś. Nieważne z kim i o czym.

- Spieszysz się gdzieś?
- Tutaj! - zdziwił się. Do czego?
- To może przejdziemy na taras.
- Chodźmy.

Burza znad gór rozpięzchnęła się równie nagle jak poprzednio nastąpiła, jedynie zanikające strzępy chmur i kryształowo czyste powietrze stanowiły jej ślady. Podszczytowe pola śniegu kłuły oczy nieskazitelną bielą zawieszoną - zdawało się - tuż nad wierzchołkami parkowych drzew. A wszystko przykryte ogromnym ciemnobłękitnym kloszem obcego nieba.

- Jak się czujesz na Ziemi?
- Dziwnie - odpowiedziałem po namyśle. - Czasem wydaje mi się jakbym stąd pochodził i nigdy jej nie opuścił, przeważnie jednak tęsknię i chcę wracać
- Do tej przerażającej czerwonej pustyni?!
- Nie zapominaj, że to właśnie jest mój świat - surowy, prosty, bezpieczny.
- Bezpieczny?
- Tak, bo cóż mi tam może grozić? Najwyżej dehermetyzacja skafandra, oznaczająca natychmiastową śmierć, ale to tylko teoretyczne niebezpieczeństwo, bo jeszcze nie było takiego wypadku. Można także zabłądzić, jeśli się nie przestrzega podstawowych przepisów bezpieczeństwa. A tutaj człowiek jest odkryty wobec niezliczonych bakterii, owadów, jadowitych zwierząt, wobec palących promieni słońca.

Przy tym ciężeniu każdy wypadek grozi połamaniem kości i poważnymi komplikacjami.

- Nie jest aż tak źle jak ci się wydaje. Ja przeżyłem tu dwadzieścia pięć lat bez żadnych kłopotów, a w szpitalu po raz pierwszy znalazłem się dopiero na pokładzie „Centaura”.
- Wiem, mówił mi Gany.
- Co ci mówił?
- Że miałeś jakiś wypadek ze zbiornikiem ciśnieniowym. Jesteś technikiem?
- Poczciwy Gany! - uśmiechnął się Sam. - Powiedział ci półprawdę, z której nic nie wynika. Ukończyłem socjologię przestrzeni na uniwersytecie w La Paz.
- Więc po co grzebałeś przy jakiejś butli?
- Przy niczym nie grzebałem. Skierowanie na ten frachtowiec dostałem zaraz po zdaniu egzaminów

dypłomowych, bo socjologia przestrzeni to dość unikalna specjalność i ciągle brak fachowców do obsadzenia wszystkich rejsów i baz.

- A na czym polega wasza praca?

- W niewielkich zbiorowiskach ludzkich skazanych na długotrwały pobyt poza Ziemią z reguły dochodzi do rozmaitych konfliktów, nieraz na banalnym tle, które w specyficznych warunkach kosmosu mogą stanowić zagrożenie dla całej grupy. Naszym zadaniem jest wykrywać zarodki nieporozumień i rozładowywać je w taki sposób, aby osoby uczestniczące w konflikcie nie zorientowały, się w roli jaką odgrywamy. Dlatego nie istnieją oficjalne etaty socjologów przestrzeni i w zasadzie nikt w danym środowisku nie wie kto tę rolę spełnia. Przeważnie jesteśmy ulokowani na jakimś w miarę samodzielnym stanowisku, dającym swobodę dostępu do wszystkich grup załogi. Jak zapewne pamiętasz, na „Centaurze” byłem oficerem informacyjnym.

- Rzeczywiście... - przypomniałem go sobie siedzącego za pulpitem videoteki i wypożyczającego kasetowe zestawy interdyscyplinarne. Dopiero pod koniec podróży spotkaliśmy się w sali treningowej.

Już w pierwszym miesiącu rejsu zauważyłem początkowe symptomy narastającego konfliktu. Po pojedynczych słowach wypowiedzianych odrobinę za wysokim tonem, po uniesionych brwiach, ulotnych grymasach zniecierpliwienia na twarzach, po nieznacznych gestach dezaprobaty, słowem - po tych wszystkich niedostrzegalnych dla laika oznakach, które jednoznacznie wskazują na narastający w mikrospołeczności niepokój. Wszystko zaczynało się typowo, jak w pierwszym lepszym podręcznikowym przykładzie fazy początkowej, wielokrotnie analizowanej na seminariach, zupełnie tak samo, jak w klasycznym nieomal opisie konfliktu na doświadczalnym półfotonowcu „Lumen”, gdzie skłócona załoga dopuściła się karygodnych zaniedbań procedury, co doprowadziło do zniszczenia silnika i śmierci trojga ludzi. A przyczyną konfliktu były zakręcone z fantazją wąsy pierwszego nawigatora, działające na nerwy pewnemu inżynierowi pokładowemu. Jak widzisz, w specyficznych warunkach izolacji przyczyną wielkiego konfliktu może być rzecz na Ziemi niegodna nawet wzruszenia ramion.

Na „Centaurze” zauważyłem, że ilekroć przypadek zetknie pewnych dwóch mężczyzn w jednym pomieszczeniu, zaraz jeden z nich wychodzi. Nie zdarzyło mi się widzieć ich kiedykolwiek rozmawiających, a przecież obaj byli pracownikami Bloku Regeneracyjnego i z tej racji musieli kontaktować się na co dzień. Jak ważnym ogniwem jest odzyskanie wody i prawidłowa gospodarka odpadami nie trzeba chyba nikogo przekonywać. W żadnym przypadku nie mogłem dopuścić do rozkwitu zatargu w tym newralgicznym miejscu statku.

A tymczasem zauważyłem jak wokół zwaśnionych tworzą się dwie antagonistyczne grupki, a to oznaczało dla mnie konieczność bezpośredniego wkroczenia w sprawę. Socjologia przestrzeni zna wiele sposobów ingerencji służących przerywaniu bądź rozładowywaniu konfliktów i stanowią one pilnie strzeżoną tajemnicę zawodową. Zastosowałem jeden z nich i w Bloku Regeneracyjnym doszło do bójk, w czasie której przypadkowo obluźował się zawór butli sprężonego tlenu i gaz uderzył w moje nogi. Przewrócony i unieruchomiony nie mogłem ich wyrwać spod niewyobrażalnie zimnego, twardego jak stal strumienia, obdzierającego moje kości z ciała przez nieskończenie długie dziewięć sekund, bo tyle czasu upłynęło, zanim ktoś zamknął zawór. Potem były trzy miesiące szpitala pokładowego i miesiąc u was, w Typhonie, gdzie dopiero postawili mnie na nogi. W drodze powrotnej usiłowałem doprowadzić je jakoś do pełnej sprawności, ale bez skutku. Po powrocie najpierw było szczegółowe dochodzenie w sprawie przyczyn wypadku, potem dostałem trochę wolnego, a na koniec przywędrowałem tutaj.

- A co z tymi zwaśnionymi?

- Pogodzili się przy moim łóżku, a przyczyną zatargu była różnica zdań na temat pewnej południowoamerykańskiej drużyny piłkarskiej, w warunkach izolacji urastająca do prawdziwego problemu. Jeszcze jeden przyczynek do socjologii przestrzeni.

Słońce zniknęło za chmurą znacząc swoją obecność pękami promieni torującymi sobie drogę w labiryncie oślepiająco białych kłębow napływających zza głównej grani i majestatycznie płynących na północ. Zaczynało się moje ulubione widowisko, na które mogłem patrzeć godzinami bez śladu znużenia, oczarowany serią niepowtarzalnych kształtów przewalających się w błękicie.

- Do zobaczenia?

Rudowłosy Sam w odpowiedzi pomachał mi ręką i ruszył w kąt tarasu powłócząc nogami. Zewnętrzna winda zjechałem do parku by zagłębić się w gąszczu kwitnących różowo oleandrów i zagubić wzrok w mlecznobiałym kłębowisku obłoków.

Od pierwszego dnia zafascynowały mnie chmury - dziwny, nieznan świat białych olbrzymów żyjących własnym, niepojętym życiem, zwiewnych kształtów stwarzanych fantazją wiatru, światłem i rozkołysaną wyobraźnią, gdzie wszystko było możliwe i nic nie dawało się przewidzieć, gdzie tors olbrzyma jednym leniwym ruchem stawał się bukietem śnieżnych kwiatów w alabastrowym wazonie, by po chwili skamieniec potężnym lodospadem, skrócić mleczną spiralą galaktyki i szczeznąć bez śladu w błękicie.

Łeb siniego potwora wypełził zza grani, czai się, rozgląda w nowym dlań świecie; zoczył coś głęboko w dolinie, jednym gwałtownym susem przewala się na drugą stronę, już ma spadać z wysuniętymi szponami na niewidzialną zdobycz, lecz nagle zwija się ugodzony śmiertelnie niewidzialnym pociskiem, przewraca na bok szarpany konwulsjami agonii, jaśnieje z każdym drgnieniem, poraża oczy ideałem bieli. To już nie monstrum żywe ni martwe, to kształt nowozrodzony, nierzeczywisty, nienazwany. Czym mu stać się na żywot krótki jak wiatru tchnienie? Zniekształconą makietą bajkowego pałacu, imitacją nieznaną maszyny sprzed stuleci, zjawą z chorego snu?

Niczym. O cóż ten spór wewnętrzny, bezcelowy! Nie ma już kształtu nienazwanego, w kontur skrzypiec przeszedł nie wiedzieć jak i kiedy; po ich strunach promień słońca pełnie złocisty, znika. Cień pada na podniebny instrument, gasi blask niezrównany, szarością powleka jednostajną. I gdy zmęczone oko po spoczynku krótkim jak myśl ulotna wraca w obłoki, już popielaty zwał chmur zastaje tylko.

Jak fascynujące odbywa się tu widowisko, jakże zapoznane przez ludzi mających je na co dzień! Najpiękniejszy spektakl ruchu i wyobraźni, w którym widz jest równocześnie autorem swoich doznań, nie znajduje chętnych do oglądania. Jeszcze raz spełnia się stara prawda o tym, że piękno pospolite przestaje być dostrzegany. Ani równać się z nim sinordzawemu tumanowi marsjańskiej burzy pyłowej, nadchodzącemu w poświstach lodowatego wichru.

Znów pełzną białe gmachy obłoków na tle nierealnego nieba czekając bym je nazwał, bym w nie tchnął życie jak mityczni bogowie w gliniane czerepy, wręcz zmuszając do nieustannej kreacji pojęć. Płynie potężna budowla z kłębow nieodgadnionych, subtelnieje w kształt odwróconej kropli, pęka u góry. To serce, gigantyczne serce. Widać jak nabrzmiewa życiem, pulsuje. Na nic! Z tyłu dopadł je drugi kłęb i w lot zniszczył, pochłonął.

Coś się znów dzieje w przestworzach - z chmury wyrasta klasyczny profil dziewczyny; nos, lekko rozchylone usta, brwi, fala białych włosów spływa na wyłożony słońcem kark. To jej profil! To Ann!

Bezwiednie wstrzymuję oddech, jakby to on wzniecał podniebny wiatr. Niech jak najdłużej trwa ta ulotna rzeźba z mgły i światła.

Zniknęła! Pozostał bezkształtny kłęb gęstej chmury, nagle zszarzały i nijaki. Wzrok spadł na gąszcz kwitnących krzewów, ześliznął się na żwir krętej alejki, powędrował nią ku rzeczywistości parkowego deptaka. Rozprażony spokój letniego popołudnia, cisza. Zamykam oczy zmęczone nadmiarem wrażeń wyniesionych z podniebnego spektaklu, lecz w mózgu ciągle płyną bezkształtne już fantasmagorie z mgły i czerwieni. Czerwieni? To promień słońca padł na zamknięte powieki i zabarwił nierzeczywisty obraz barwą krwi, barwą mojego nieba. Mojego? Jakie jest w końcu to twoje niebo? Zdecyduj się wreszcie,

Les!

Pomiędzy gałęziami krzewów mignęła kobieca sylwetka w seledynowym kitlu personelu. Zerwałem się z ławki, uderzona gałąź zadrapała mi rękę. Jak burza wypadłem na główną alejkę parku.

- Ann!

Właśnie zniknęła w szpalerze róż rozpiętych na łukowatych podporach.

- Ann!

Zatrzymała się i jakby z ociąganiem odwróciła w moją stronę. To nie była ona.

- Przepraszam, pomyliłem się. Wziąłem panią za kogoś innego.

- Nie szkodzi. Na imię mi Vicky.

- Pamiętam. A ja jestem Les Kassai.

- Wiem, wiem. W pierwszą noc po przybyciu siedziałeś w dyżurce z Taftem. Zgadza się?

- A więc jesteśmy starymi znajomymi.

Wybuchnęliśmy oboje śmiechem i napięcie spowodowane niezręczną sytuacją zniknęło bez śladu.

- O, jesteś ranny! - zawołała z udanym przerażeniem wskazując na moją rękę naznaczoną kilkoma kroplami krwi. - A więc dlatego szukałeś pomocy lekarskiej.

- Nie żartuj sobie ze mnie! Doktor Alcott miała mi coś załatwić, a nie widzę jej od paru dni...

Nie wypadło to zbyt przekonująco, lecz Vicky pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Przykro mi, Les, lecz będziesz musiał jeszcze tydzień poczekać na jej powrót; Ann wyjechała na urlop ze swoim chłopakiem.

- Co? Urlop? - świat zawirował mi przed oczami, w ostatnim momencie przytrzymałem się poręczy mostku nad potokiem.

- Co ci się stało?

- Nic, nic poważnego. Normalne kłopoty z adaptacją do ziemskich warunków. To za chwilę przejdzie.

Na pewno przejdzie - dodałem z przekonaniem.

Usiedliśmy na najbliższej ławce i milcząc wpatrywaliśmy się w spienioną wodę i omszałe głązy przy brzegu. Dopiero gong wzywający na obiad przerwał ciszę wypełnioną jedynie szumem potoku i śpiewem ptaków.

- Już w porządku?

- Tak, przepraszam za kłopot.

- Żeby tylko takie były...

Zza głównego grzbietu odległych teraz gór bezustannie wypełzały skłębione zwały chmur i monotonnie płynęły na północ, bezkształtne i obce na absurdalnie niebieskim tle firmamentu.

VI

Szaroczarny pas drogi zdawał się jednostajnie wsuwać pod nogi i ciągnąć za sobą uczeplone jego krańca miasto. Ilekroć przyszło mi jechać gdziekolwiek, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że siedzę w nieruchomym, przeszklonym pudle pojazdu, a krajobraz bez drgań i wstrząsów bezszelestnie przesuwa się obok. Złudzenie pryskało tylko wtedy, kiedy ktoś, jak my zawieszony tuż nad pasem drogi, wyprzedzał nas po długodystansowym torze, i podmuch zakołysał pojazdem, albo kiedy opuściło się szybę i fala powietrza wtargnęła do środka wnosząc ze sobą żywiołowy ruch i zapach Ziemi, egzotyczny jeszcze - choć już znajomy.

Nie mogłem przyzwyczać się do takiego sposobu podróżowania, gdzie człowiek stawał się jedynie przedmiotem transportu przekazywanym z punktu do punktu praktycznie bez swojego udziału i gdzie nic się nie mogło stać nieprzewidzianego.

Prawdziwe podróże zostały na kamiennych pustyniach Marsa, z rzadka przemierzanych przez pracowite wielkokołowe przegubowce grup transportowych i przez gąsienicowe pojazdy zwiadu terenowego. Droga była tam, gdzie chciałeś, czasem twarda i gładka jak stół, czasem najeżona ostrokrawędzistym gruzem skalnym, wśród którego każdy przebyty metr cieszył radością małego zwycięstwa, wiła się pomiędzy twardymi ostańcami siorytów, zapadała w szczeliny tak kręte i wąskie, że nigdy nie wiedziałeś - zmieścisz się, czy nie. Pojazd był już nie tylko maszyną, stawał się częścią twojego organizmu, której wysiłek czułeś każdym nerwem, a uderzenia kamieni w pancerz burty bolały nieomal jak rany. Kiedy zatrzymałeś się na wzgórzu i przymrużywszy lekko oczy z rozważą wybierałeś dalszą drogę, zdawało się, że maszyna również zastygła w oczekiwaniu i podziela twój niepokój. A tutaj - wsiadasz do kolorowej aerodynamicznej bańki i gnasz przed siebie nie wiedząc nawet na jakiej zasadzie unosi się to nad gruntem i pędzi sobie tylko wiadomym torem - obce i mechaniczne.

- O czym tak myślisz?

- Ja? O niczym.

- Wydawało mi się, że błędzisz myślami wiele milionów kilometrów stąd.

- I błędziłem. Ale jak pan to poznał, doktorze Taft?

- Po prostu strzeliłem w ciemno i udało się. Jeśli możesz, mów do mnie po prostu Tom.

- W porządku, Tom. Ja mam tutaj z tym trochę kłopotów, bo nie wiem jak się do kogo zwracać. Tam wszyscy mówiliśmy sobie po imieniu i nie wyobrażałem sobie, aby mogło być inaczej. Tutaj zaś widzę bardzo skomplikowany rytuał związany z tą sprawą.

- Przyzwyczaisz się do niego i wtedy stanie się zupełnie prosty.

- Albo odleczę i nie będę musiał.

Sunęliśmy teraz estakadą przecinającą miasto na wysokości jednopiętrowych budynków zatopionych w zieleni. W oddali majaczyły na tle gór potężne sylwety wysokościowców, trochę nierealne w niebieskawym zamgleniu popołudnia. Taft rzucił okiem na rozłożony plan miasta i wcisnął na pulpicie programatora ruchu przycisk opatrzony zieloną cyfrą 4. Szybkość zmalała i równocześnie przesunęliśmy się na prawy pas estakady. W jednakowych odstępach odchodziły od niego numerowane zjazdy do poszczególnych dzielnic. Przy czwartym spłynęliśmy łagodnie w dół, na niewielkiej szybkości dotarliśmy do rozległej podziemnej hali, niemal w połowie zapełnionej różnokolorowymi pojazdami.

- Wysiadamy!

Pachniało daleką drogą i spieczonym w słońcu lakierem, jak w sekcji transportu lądowego naszej bazy, kiedy wróciła z pustyni kolejna ekspedycja, a silniki jeszcze nie ostygły po ciężkiej pracy w bezdrożach czerwonego piekła.

- Parking W-4, stanowisko 16, zapamiętasz?

- Zapamiętam.

- To tak na wszelki wypadek, gdybyśmy się nie spotkali na walce. Na planie masz zaznaczone położenie „Giganteum” i naszego parkingu. Staraj się nie odchodzić za daleko.

- Traktujesz mnie jak dziecko...

- Wybacz, Les, jesteś pierwszy raz w mieście.

- W porządku. Na pewno nie przyniosę ci wstydu.

- Do zobaczenia w hali!

Poszedł. Dochodząc do rogu odwrócił się i pomachał mi ręką. Zostałem sam przy wyjściu z tunelu oznaczonego symbolem parkingu. Obok przechodzili ludzie zaabsorbowani swoimi sprawami, zajęci rozmowami. Spieszyli się.

Porwała mnie ze sobą kilkunastoosobowa, rozkrzyczana grupa i uniosła na otwartą przestrzeń placu. Całą szerokością alei płynął bezładny, różnokolorowy tłum, głowa przy głowie, dokąd wzrok sięgał.

Z lewej strony było trochę luźniej. Ruszyłem przed siebie, byle dalej, byle dalej od tego tłumu. Jakaś ostrołukowa brama z żelbetu otwierająca wejście do nikąd; kamienny człowiek z władczo uniesionym ramieniem siedzi na kamiennym koniu; dwa rzędy przeważnie zajętych ławek.

Skręciłem w wąską alejkę wśród krzewów. Nareszcie spokój, tylko od strony niewidocznej stąd estakady dochodził świst rozcinanego w pędzie powietrza. Jeszcze dwie godziny do spotkania z Taftem, całe dwie godziny.

Ścieżka wyprowadziła mnie wprost na niewielki pawilon o oryginalnej architekturze. Cały parter budynku zastawiony był głębokimi fotelami. Niektóre z nich zajęte były przez mężczyzn z uwagą wpatrujących się w pochylone tafle ruchomych pulpity umocowanych przed każdym. Od czasu do czasu któryś z siedzących manipulował jedną z dwóch gałek umieszczonych pod prawą ręką w oparciu fotela i zamierał z wyrazem uwagi na twarzy, czasem ktoś wstawał i, odchodził, ktoś inny zajmował któreś z wolnych miejsc i rozpoczynał powtarzający się rytuał.

Kiedy zwolnił się fotel na skraju ostatniego rzędu, podszedłem i usiadłem. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Ruchomy pulpit okazał się ekranem pociętym na dwanaście ponumerowanych kwadratów pionowymi i poziomymi liniami. Na lewym jego obrzeżu jarzył się seledynowo napis: EXTRAKT.

Pokręciłem pierwszą z gałek - przeskakiwała z jednego położenia w drugie, ale nic się nie działo. Ledwie dotknąłem drugiej - ekran zapłonął gęstwą różnokolorowych napisów rozmieszczonych bezładnie na całej powierzchni. Pod nimi czerniały równe rzędy drobnych, nieczytelnych liter poprzerywane gdzieś miniaturowymi fotografiami. Kręcąc pierwszą gałkę można było powiększyć wybrany kwadrat dowolną ilość razy.

GDZIE SIĘ PODZIAŁ TŁUSTY SWEN? - pytał dwupiętrowy tytuł nad wizerunkiem potężnego grubasa o małych świńskich oczkach. - TRIO VIRELLII ANAKONDA - Nowy numer nieustraszonego rodzeństwa cieszy się... ZEMSTA KUCHENNEGO AUTOMATU - Prawie przez rok znęcała się pewna mieszkanka Birmingham... DWA PTAKI NAD KIUSIU! - wykrzykiwał czerwienią sensację dnia czołowy tytuł z drugiej strony. - CO SIĘ NOSI W TYM TYGODNIU - wyjaśniał zainteresowanym pokazny artykuł opatrzony tuzinem zdjęć kobiet upozorowanych na muzyczne instrumenty strunowe. Towarzyszyło im dwóch lalkowatych młodzieńców w nocnych koszulkach z koronkami.

Przez całą szerokość następnej strony biegło dramatyczne pytanie: KTO KOGO? - finezyjny

N'Kwame Ogilwu Raiss zwany „Lampartem z Niamej” zwycięży skośnookiego przysadziściego Jun-Syn-Mana z Singapuru, czy też odwrotnie. To właśnie miała być ta walka, na którą namówił mnie Taft. Z zainteresowaniem obejrzałem zwały mięśni żółtoskórego zawodnika z Dalekiego Wschodu, potem proporcjonalną sylwetkę świetnie zbudowanego Murzyna i podpatrzonym u sąsiada ruchem dźwigni zmieniłem najnowszy numer EXTRAKTU na wczorajszy.

SWEN NIE ODPOWIADA! - wołał rozstrzelonym drukiem przez całą szerokość pulpitu opalizujący tytuł. - Najsławniejszy centrysta wszechczasów nie przybył na seans. Zaniepokojenie wśród wielbicieli. - OLGA BIRD I JEJ SIEDMIU MĘŻCZYŹN - głosiły antycznego kroju czcionki nad sielankowym obrazkiem przedstawiającym czarnoskórą piękność otoczoną wianuszkami krępych mężczyzn różnych ras. - W Miami rozpoczęło się przyjacielskie party znakomitej erotyzerki i jej byłych mężów. Stoją od lewej: Kurt Hart - idol dziesiętlatek, Juan Carlos Oliveira - lewoskrzydłowy wirtuoz z Noisy Boys, „Tutu” Kiwasaki... Zmieniłem stronę. - GLOFRY ROBO NAJTRWALSZE! PAMIĘTAJ: ROBOM - głosił kłujący w oczy nadruk biegnący po przekątnej przez całą stronę. - KONIEC Z ŁYSINĄ! - W laboratorium Apfelsteina powstał rewelacyjny specyfik do włosów. Pierwsze próby przyniosły znakomite rezultaty. Szczegóły w tekście.

Numer sprzed dwóch dni od początku do końca wypełniony był ogłoszeniami. - JEŚLI JESZCZE NIGDY - intrygowały trzy krótkie słowa zaraz na początku długiej kolumny. - Jeśli jeszcze nigdy nie spędzałeś miodowego tygodnia na orbicie - spróbuj! Pustka i brak ciężenia integrują nowe małżeństwo. Skorzystaj z okazji. Zgłoszenia „Paradis”, Buenos Aires. - KONESER NABYWA TYLKO CALBERSY BERENIKE 7 - WNĄTRY IMPLAN - TUJEMY - Mono, stereo i kwadro do trzech dni, pozostałe w pięć. Przedstawicielstwo globalne Hendrexa. Przystępne. - Sieć teoretyczna zaprasza na publiczną rozprawę kandydacką doktora V.W. Carloffa pt. „O niektórych aspektach liniowych i przestrzennych przesunięcia fazowego delta, gdyby istniało”. Dzisiaj 9?o czasu uniwersalnego dziesiątego,” kanał 176. - Sieć literacka: „Cymbergaj w prozie środkowoeuropejskiej XX wieku”. - Sieć metodologiczna... Sprzedam... Kupię... SZUKAM CZŁOWIEKA!

Kilka ruchów dźwignią i znalazłem się w środku problemów nurtujących ludzi w ubiegłym tygodniu. Tytuły były głównie zielone i zdawały się unosić o kilka milimetrów nad tłem. Nosiło się głównie długie powłóczyste szaty z ornamentem zwiędłych liści, jednakowe dla wszystkich.

Tytuły głosiły: TSUNAMI NA PACYFIKU... ZNÓW WIDZIANO KASZALOTA NA WYSOKOŚCI PRZYŁĄDKA DOBREJ NADZIEI... JUTRO WYRUSZA SONDA FOTONOWA W KIERUNKU SYRIUSZA... Sonda fotonowa... Ile ich już zniknęło bez śladu w czerni Wszechświata? A może kiedyś któraś wreszcie wróci i powie coś nowego o innych układach?

Wyłączyłem pulpit i rozparłem się wygodnie w fotelu. Do spotkania z Taftem pozostało jeszcze ponad półtorej godziny. Potem ten mecz, powrót do domu i znów minie następny dzień, który to już? Extrakt... Przecież tam powinno być też o mnie!

W pośpiechu zacząłem przerzucać numer za numerem. Jest! Dwudziestego maja - NA FESTIWALU W CARACAS JASPIOWY WAŻ DLA LILI HONEY... STYMULATORY HIPERBOLICZNE ROBIĄ KARIERĘ... PIERWSZY PRASER POŁOWY NA LUNIE... SYN GWIAZD PRZYBYWA... SYN GWIAZD PRZYBYWA!! - Powiększenie... Dziwacznie skręcona szyja i przymrużone oczy, ręka w obronnym geście osłaniająca głowę - to ja. - Na pokładzie „Centaura” przybył wczoraj z Marsa Les Kasay, pierwszy człowiek urodzony poza Ziemią. Czy zdoła przystosować się do naszych warunków? Będziemy informować na bieżąco o postępach adaptacji Syna Gwiazd. - CALBERSY BERENIKE 7 TYLKO DLA ZNAWCÓW

Syn Gwiazd ze zniekształconym nazwiskiem, wzbudzający litość okaz z zaświatów - to ja. Jedna z sensacji dnia, jak Lili Honey czy stymulator hiperboliczny. - „Będziemy informować na bieżąco...”.

Zgasiłem pulpit i wyszedłem z powrotem na ścieżkę wśród drzew. Co kilkanaście kroków stały przy niej zielone ławki z oparciami wygiętymi w kształcie litery S. Wszędzie, dosłownie wszędzie siedzieli ludzie - starzy mężczyźni o siwych włosach i stare kobiety z pomarszczonymi twarzami - nieruchomi, poważni, milczący.

Szedłem szpalerem wyblakłych oczu, odprowadzany spojrzeniami od ławki do ławki, czując się jak intruz w nieznanym świecie późnej jesieni życia. Zdawało mi się, że popełniłem gruby nietakt wkraczając w hermetyczny światłych ludzi i burząc moją młodością ich spokój.

Przyspieszyłem kroku chcąc jak najprędzej wydostać się z krętej alejki zdającej się nie mieć końca, zniknąć z ich oczu.

Wtem jedna z pooranych bruzdami twarzy rozjaśniła się ciepłym uśmiechem, uśmiechem skierowanym do mnie, wiedziałem o tym na pewno. Zwolniłem kroku i zwracając się w tę stronę odpowiedziałem tym samym, a wtedy wszystkie twarze wokół mnie nagle stały się przyjazne i bliskie.

Stanąłem na skraju niewielkiego placu z pulsujące pośrodku fontanną otoczoną kolistym basenem pełnym czerwonych ryb i pływających ptaków. Promieniście rozchodziło się stąd pięć alejek, takich samych jak ta, która przyprowadziła mnie tutaj. Na planie miasta park zaznaczony był jedną wielką plamą zieleni, więc złożyłem go i schowałem do kieszeni.

- Kłopoty? - rozległo się z tyłu za mną. Wysoki, wsparty na lasce stary mężczyzna w ciemnym ubraniu uśmiechał się życzliwie.

- Chyba zabłądziłem w tym parku, jestem tu po raz pierwszy.

- To widać. Młodzi ludzie nigdy nie zapuszczają się w tę stronę - starzec wsparł się na kamiennym obramowaniu basenu i wyciągnął z kieszeni papierową torebkę. - A więc dokąd chcesz trafić?

- Do hali „Giganteum”.

- Pójdiesz cały czas prosto, tamtą alejką, a po wyjściu z parku skręcisz w prawo. Hala jest o dwie przecznice dalej - mój rozmówca sięgnął do torebki i rzucił garść ziarna do sadzawki. Ryby i ptaki rzuciły się natychmiast na pożywienie.

- Czy ja też mógłbym?

- Co?

- Nakarmić je. Nigdy tego jeszcze nie robiłem.

- Proszę!

Woda aż zakłębiła się wokół nas i po chwili torebka była już pusta. Przyjemnie było patrzeć, jak ryby i ptaki z całego basenu znalazły się tuż koło nas, w zasięgu ręki nieomal, a potem powoli odpływały z powrotem.

- Dziękuję, to było fascynujące widowisko!

Starzec przyjrzał mi się uważnie swoimi bladoniebieskimi oczami i rzekł:

- Dziwny z ciebie chłopak. Obserwowałem cię kiedy szedłeś aleją - twoje zachowanie, ruchy, twoja twarz świadczyły o inności. Teraz wiem, że masz obcy akcent, a także znajdujesz czas i chęć na karmienie zwierząt i rozmowę ze starym człowiekiem...

- Może dlatego, że dziś po raz pierwszy zobaczyłem starych ludzi...

- Chłopcze, ty chyba mówisz prawdę! Skąd zatem przybywasz?

- Z gwiazd - odpowiedziałem odchodząc. - Tam się urodziłem.

Stary człowiek rozchylił usta jakby chciał coś powiedzieć, lecz w końcu machnął ręką i oparł obie dłonie na balustradzie okalającej sadzawkę.

Alejką wyprowadziła mnie na szeroką spokojną ulicę z rzadka zabudowaną skrytymi w zieleni domami. Przy jednym z nich pyszniły się w przedwieczornym słońcu purpurowe kaskady róż. Mocny zapach kwiatów unosił się w powietrzu, niewidzialną falą towarzyszył mi aż do najbliższego

skrzyżowania, za którym w oddali ukazała się ażurowa konstrukcja olbrzymiej hali w kształcie odwróconej czaszy wspartej na parabolicznych podporach. Od każdej z nich wystrzelała w niebo stylizowana postać, a może tylko zaklęta w żelbecie idea postaci człowieka zrywającego się do lotu. Nawet z tej odległości można było dostrzec dynamizm zawarty w nieruchomym kształcie. Wraz ze zbliżaniem się monumentalne rzeźby zdawały się unosić coraz wyżej, przytłaczać swoją potęgą, a równocześnie jakby przekazywać człowiekowi część własnego polotu i żądzę czynu, budzić ukryte w nim marzenia o wzniosłych rzeczach i dokonaniach, może nigdy dotychczas nie przeczuwane nawet w snach.

Mimo iż do czasu rozpoczęcia widowiska pozostało jeszcze sporo czasu, przybywający ludzie w pośpiechu znikali za szklanymi taflami drzwi opatrzonych kolejnymi literami alfabetu.

Spojrzałem na kartonik wręczony mi przez Tafta: H/VIII/12. Podszedłem do wejścia oznaczonego literą H i wsunąłem zadrukowany pasek papieru w otwór czytnika. Automat przepuścił mnie zapalając równocześnie na ściennym planie sektora punkt oznaczający moje miejsce i drogę dojścia do niego.

Olbrzymia hala wypełniona była w tej chwili najwyżej w połowie. Poczynając od przezroczyściego dachu zbiegały schodkowato malejące kręgi miejsc do siedzenia by gdzieś tam, w dole, otoczyć najmniejszym pierścieniem kwadratowe, zielone podium. Przy nikłym zainteresowaniu widowni kręcił się po nim dziwacznie ubrany mężczyzna w czerni, raz po raz ściągając i zakładając nieproporcjonalnie wysoki czarny kapelusz oraz wymachując trzymaną w ręku laską ze srebrną gałką. Dziewczyna w mieniącym się metalicznie kostiumie, ze sztucznym, jakby zamarłym na twarzy uśmiechem, podawała mu rekwizyty.

W siódmym rzędzie zwracał uwagę rumiany grubas o spoconej twarzy, w przybrudzonych wymiętych spodniach. Ogromnych rozmiarów brzuch wylewał mu się znad paska i zdawał się rozsadzać koszulę w sinoróżowe kwiatki na zielonym tle. Między nim a mną pozostało jedno wolne miejsce - dla Tafta.

Człowiek na scenie montował akurat z podawanych mu przez asystentkę elementów coraz wyższą drabinę. Na koniec zaczepił ją o zwisający na linie hak i zaczął wspinać się coraz wyżej, przesadnie akcentując każdy pokonany szczebel. Wreszcie osiągnął maleńką platformę na wysokości dobrych trzech pięter i stanawszy na niej zaczął na wszystkie strony rozdzielać ukłony i uśmiechy. Tak się przy tym zapamiętał, że nagle stracił równowagę i runął w dół. Okrzyk grozy wyrwał się z setek gardeł zmartwiałych widzów, lecz on się nie roztrzaskał. Po prostu tuż nad zieloną płaszczyzną zniknął.

W ciszy ogromnej hali rozległ się jedynie stuk padającej na podium laski, a zaraz po nim uderzenie sztywnego cylindra. Oba nieruchomo leżące na nieskalanej zieleni przedmioty stanowiły niepodważalne dowody na to, że dramatyczna akcja jednak miała tu przed chwilą miejsce.

Długonoga asystentka, wciąż ze swoim przyklejonym uśmiechem na ustach, wystudiowanym gestem podniosła obydwie przedmioty i przytuliła do piersi.

A wtedy on się zmaterializował. W tym samym miejscu, gdzie przed kilkunastoma sekundami powinien roztrzaskać się o zieloną płaszczyznę, w tym samym miejscu stał teraz i uśmiechał się do publiczności. Dziewczyna podała mu laskę i cylinder, a on uniósł je nad głowę i kłaniając się dziękował za mizerne oklaski.

- Stary kawał z lokalnym zawirowaniem przestrzeni - mruknął spocony grubas do siedzącego obok drobnego Azjaty i wyspał sobie do ust pełną garść ziemnych orzeszków. Tamten mruknął coś niewyraźnie i na tym zakończyło się komentowanie występów człowieka w czerni.

Rozległa się muzyka, zrazu cicha i delikatna jak pierwszy podmuch pyłowej burzy, zdawała się płynąć z góry, wydobywać spod nóg, krążyć po hali, narastać, potężnieć, i wnet wszystko wokół było jedną ogromną wszechobecną melodią, coraz głośniejszą, coraz natarczywiej wciskającą się w uszy jednym i tym samym powracającym motywem, coraz prędzej powtarzanym w najrozmaitszych wariantach, coraz wyraźniej rozpadającym się na pojedyncze dźwięki wydobywane z nieznanymi

instrumentów. Z każdym nawrotem zdawała się głębiej wwiercać w mózg, podporządkowywać go sobie, opanowywać bez reszty dla siebie tylko wiadomych celów. Zniknął wypełniony tłumem amfiteatr, zamazały się wspomnienia, zbladły znajome twarze i pierzchły wszystkie inne dźwięki pozostawiając tylko jeden - ogłuszający, zniewalający aż do fizycznego bólu głos znikąd. Zatkanem uszy i ukryłem twarz w dłoniach, wysiłkiem woli starając się dotrwać końca szalonej melodii.

Wreszcie zgasła w nagłym rżeniu skatowanej aparatury, lecz po głowie jeszcze przez dłuższą chwilę tłukły się uwięzione w mózgu dźwięki, jakby nie chcąc pogodzić się z nieuniknionym nieistnieniem.

Poczułem czyjąś rękę na ramieniu i oderwałem dłonie od twarzy. Taft. Uśmiechał się, ale jego oczy zdradzały zaniepokojenie. Zajął miejsce między mną a grubasem, na którego koszuli pokazały się już pod pachami wielkie zacieki potu.

- Długo tu siedzisz?

- Niezbyt.

- Źle się czujesz?

- Nie, to tylko ta melodia tak jakoś mnie rozstroiła. Co to było?

- „Stąpając nadprzestrzenią” - nowy thriller grupy postinstrumentalnej „Total”. A ty, nie lubisz muzyki?

- Wyrosłem na klasykach i uważam, że już od dwóch pokoleń nie powstało nic godnego uwagi, a przynajmniej nic takiego do mnie nie dotarło.

W czasie naszej rozmowy środek hali przekształcił się w arenę poprzecinaną gęstwą białych, pełgających linii. W postaci jakby siatki krystalicznej wznosiły się ponad powierzchnię. Na jednej ze ścian utworzonej z nich olbrzymiej kostki płonęły symetrycznie porozmieszczane czerwone figury, a na przeciwległej identyczne lecz niebieskie. Dwóch ludzi usadowionych przy pulpitych zaczęło sterować przydzielonymi im światłami, aż rozpełzły się one po całej objętości bryły. Hala zapełniła się już do ostatniego miejsca, a jednak prawie nikt nie zwracał uwagi na statyczne widowisko pośrodku areny.

- Co tu jest? - zapytałem Tafta zajętego przeglądaniem programu.

- Trójwymiarowe szachy. Tych dwóch facetów od lat usiłuje je wylansować. Podobno znakomicie wyrabiają zmysł przestrzenny, ale jak dotąd oni grają tylko między sobą.

Rozejrzałem się po widowni. Tysiące, tysiące głów w koncentrycznych kręgach spływających ku środkowi. Te po przeciwnej stronie u góry to już tylko maleńkie jasne punkciki na tle szarej masy ludzkich torsów. Beładny gwar niezliczonych rozmów zlewa się w jeden wszechobecny szum, stale jednakowy, choć w każdej sekundzie inne go tworzą dźwięki, spływa na mnie jak ciężka dusząca masa, nie pozwala skupić myśli ani uwagi.

Błądzą wzrokiem po wklęsłej masie tłumy zawieszzonego jakby w powietrzu i wyciągającego potężne ramiona aby mnie pochwycić, stłamsić, przemienić w nic nie znaczącą cząstkę, wchłonąć na koniec jako jeszcze jedną jaśniejszą plamę do produkcji atomów hałasu.

Pokaz dobiegł końca, a misterna konstrukcja ze świetlnych linii i punktów zwinęła się jak skręcona w żarze pajęczyna i zgasła bez śladu. Na środku areny znów wyrosło kwadratowe podium, tym razem otoczone barierą z lin rozpiętych na czterech słupkach. Pojawiło się mnóstwo biało ubranych mężczyzn, gorączkowo biegających po olbrzymiej misie hali.

- Zaczyna się! - trącił mnie w łokieć Taft i usadowił się wygodniej w fotelu. Spocony grubas wysypał resztę orzeszków wprost do gardła, a zmiętą torebkę upuścił pod nogi.

I znów ze wszystkich stron naraz pojawił się w powietrzu suchy rytmiczny dźwięk, niezauważalnie narastał i potężniał, a wraz z nim wzrastał się szum tysięcy ludzi. Z początku raz jeden, raz drugi brał górę, lecz w końcu zwyciężył głos werbli ściśle wypełniając halę potopem uderzeń. Jeszcze przez chwilę

królował nad milczącym już tłumem, aż pewny swego zwycięstwa począł powoli cichnąć, a wtedy przygasły światła i reflektory wyłoniły z mroku u wylotu tunelu postać w białym płaszczu kąpielowym ze wzniesionymi w powitalnym geście ramionami. Tłum zawrzał ogłuszającym rykiem i zdawał się nieść swojego czarnoskórego ulubieńca pomiędzy liny. W chwilę później ceremonia powtórzyła się z jego przeciwnikiem otulonym złocistą peleryną haftowaną w ziejące ogniem smoki, lecz tym razem aplauz widowni był znacznie skromniejszy i zdawał się pochodzić w wielkiej mierze od siedzącego za spoconym grubasem Azjaty.

Z zainteresowaniem patrzyłem na przygotowania do spotkania, zwłaszcza, że boks był dziedziną sportu zupełnie mi obcą, bo w Typhonie nigdy nie natknąłem się na zapis walki ani na jakiegokolwiek materiały o nim. Uprawiany teraz już tylko w niewielkim kręgu zawodników cieszył się jednak niesłabnącym powodzeniem u publiczności. Widok przepełnionej sali potwierdzał skąpe informacje uzyskane od Tafta.

Przeciwnicy zrzucili płaszcze z ramion i z obnażonymi torsami stanęli na środku pozdrawiając jeszcze raz publiczność. Czarnoskóry Ogilwu sprawiał wrażenie idealnie proporcjonalnej rzeźby, zwłaszcza w porównaniu z przysadzystym, nieprawdopodobnie umięśnionym bokserem z Singapur.

Powoli aplauz widowni cichł, a na podwyższeniu pojawił się sędzia tej walki; odesłał obu przeciwników do swoich narożników i uniosł obie ręce w górę. Tłum zamarł jakby w oczekiwaniu czegoś bardzo ważnego.

Głęboki głos gongu rozładował napięcie i rozpoczęła się walka. Krążyli wokół siebie ze wzniesionymi pięściami czyhając na najmniejsze potknięcie przeciwnika, na chwilę dekoncentracji. W nieustającym ryku zgromadzonych tłumów badali się w najwyższym skupieniu markując krótkie niedostrzegalne uderzenia, robiąc błyskawiczne uniki tułowiem - zdawali się hipnotyzować jeden drugiego. I tak przez całą pierwszą rundę.

Po minucie odpoczynku znów się zaczęło to - samo, znów skupiony taniec potężnej siły i kociej zręczności, taniec pomiędzy linami. Rozległy się gwizdy niezadowolenia i wtedy złotoskóry siłacz ruszył jak burza do przodu - cios za ciosem padał na rękawice stale cofającego się teraz Murzyna, pod nawałnicą uderzeń zniknęła gdzieś miękkość ruchów i finezja nieuchwytnych balansów ciała, a pozostał tylko napięty wyczekujący odwrót.

Gdy po gongu trochę już zmęczeni oparli rozłożone ręce na linach swoich narożników, przygasły światła i w powietrzu nad ringiem zmaterializowały się dwa nadnaturalnej wielkości świetlne fantomy bokserów, w spowolnionych ruchach powtarzające najbardziej dramatyczne momenty minionej rundy.

Odezwał się gong, a wraz z nim zniknęły świetlne kolosy. W dalszym ciągu „Lampart z Niamej” w stanie najwyższego skoncentrowania cofał się pod lawiną ciosów, z nieprawdopodobnym wyczuciem unikając uderzeń zdolnych zwalić z nóg konia. Nagle jeden z ciosów przedarł się przez zasłonę rąk i wylądował na jego szczęce. Czujny sędzia natychmiast rozdzielił walczących i uważnie obserwował jak trafiony powoli, powoli opuszcza ręce i klęka na lewe kolano.

Tłum szalał. Odwróciłem oczy od ringu czując, że mi się robi niedobrze. Wokół mnie rozhisteryzowane twarze, jakaś kobieta ze zbielełymi wargami gryzie końce własnych palców, ktoś wyje przeraźliwie. Zatkaną uszy i zrobiłem kilka głębokich wdechów. Ulga.

Uspokoilo się. Nad ringiem kilkunastometrowy fantom Murzyna słania się na nogach, przykleka, i znów od początku to samo w obłądnej karuzeli. On sam ciężko dysząc chłonie w narożniku sekundy odpoczynku.

Znów są w środku. Coś się jednak zmieniło w obrazie walki. Nie ma już nieustannego ataku i obrony, jest dwustronna wymiana ciosów. Skąd ten człowiek, jeszcze przed chwilą półprzytomny, bierze na nią siły? Mało tego! Idzie do przodu i coraz częściej trafia.

Jakaś przerwa w walce - sędzia ogląda twarz Jun-Syn-Mana i wyciera ją ręcznikiem. Walczą jeszcze przez chwilę i zaraz jest przerwa. Nad ringiem monstrualnej wielkości głowa; twarz o kwadratowej szczęce i wystających kościach policzkowych. Z nicości wyłania się olbrzymia czarna rękawica, ląduje na twarzy i natychmiast się cofa. Nad okiem pojawia się krew, szeroką strugą płynie po policzku, ogromnymi kroplami spada w dół i znika na granicy przestrzeni projekcyjnej. Tłum ryczy. Otyły sąsiad Tafta rozpiną mokrą koszulę na owłosionym torsie; grube krople potu spływają z szyi i giną w fałdach tłuszczu. Drobną Azjata o nienaturalnie bladej twarzy bezwiednie wyłamuje sobie palce w niemej rozpaczy.

Zamykam oczy, aby nie widzieć tego wszystkiego. Kiedy znów je otwieram oni zacięcie walczą przy linach. Porażka Juna zdaje się być kwestią najbliższych sekund, lecz on się nie poddaje i tak mijają dalsze dwie, niekończące się rundy. Moim jedynym marzeniem jest wyjść stąd i zaczerpnąć łyk chłodnego powietrza nocy, z dala od oszalałego tłumu. Nie robię tego ze względu na Tafta.

Czarnoskóry „Lampart” z opuszczonymi rękami wyczekuje na dogodny moment do zadania ostatecznego ciosu. Jego przeciwnik, zablokowany w narożniku, sprawia wrażenie człowieka marzącego tylko o jednym - aby się to wszystko jak najszybciej skończyło.

Nagle odgiął się i z półobrotu wyprowadził szybki jak myśl cios rozpaczy. Jęk zawodu zmieszał się z okrzykiem triumfu, gdy bezwładne ciało czarnoskórego mistrza z głuchym łoskotem upadło na matę. Jak przez mgłę zobaczyłem arbitra unoszącego do góry potężną rękę ślaniającego się na nogach zwycięzcy i już wiedziałem, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. Jak - w transie ruszyłem do wyjścia i z niewypowiedzianą rozkoszą zanurzyłem się w ciszę wieczoru i orzeźwiający zapach róż.

- Przepraszam, Tom - powiedziałem czując na ramieniu rękę Tafta. - Nie wiedziałem...

Nie mogłem dokończyć rozpoczętego zdania, bo nagle dostałem torsji.

VII

Co ja im powiem? Że jak tylko przymknę oczy zaraz widzę ogromne krople krwi spływające z wystającej kości policzkowej i znikające w locie ku ziemi? Że pasjonuje mnie zagadkowe milczenie Tłustego Swena? Szaleję na punkcie grupy postinstrumentalnej „Total”?

Ten facet z Sieci Globalnej zaskoczył mnie swoją holowizytą i nim zdołałem wymyślić jakiś rozsądny powód odmowy, już byłem umówiony. Zresztą podobno przyrzekłem im inform jeszcze na astroterminalu. Nie pamiętam - może tak, może nie. Astroterminal... Jakże to było dawno! Dwa miesiące długie jak lata całe. Naiwny syn gwiazd wrócił do gniazda, by dać się oswoić i przeobrazić w konesera calbersów numer siedem.

Technik obsługi wychylił się z okna swojego boksu i wskazał ręką na migające cyfry zegara.

- Już czas!

- Trudno...

- Masz treść?

- Wydaje mi się, że tak.

- Ja też mam, okropną.

- Ty? - zdziwiłem się. - A czym ty możesz się przejmować?

- Żeby wszystko grało od strony technicznej. Taki inform dla Sieci to duża rzecz, fragmenty dają nawet do Serwisu Układowego. Ostatnim razem zasiadł tu Grenner, ten jedyny ocalały z ekspedycji „Cerera-2”.

- Pamiętam, oglądałem w Typhonie. I to stąd było nadawane?

- Stąd. Prosto po szkole skierowali mnie do Centrum dla zastąpienia człowieka odchodzącego na emeryturę. Tamten inform pomagałem mu robić.

- W takim razie trzymam za ciebie palce.

- A ja za ciebie.

Technik wszedł do swojej kabiny, a za chwilę rozległ się jego wzmocniony głos:

- Centrum do Sieci - jesteście gotowi!

Usiadłem na środku i z rosnącym niepokojem wpatrywałem się w pusty łuk ściany przede mną. Upływające sekundy zdawały się rozciągać w nieskończoność. Pojawienie się planszy centrali Sieci i fantomu mojego rozmówcy powitałem jak wyzwolenie od wzmagającej się tremy.

- Witaj Kassai! Jak forma?

- Da się wytrzymać.

- Możemy zaczynać?

- Chwileczkę... To idzie na żywo, czy na zapis?

- Na zapis, oczywiście. Potknąć możesz się nie obawiać.

- Wobec tego zaczynamy.

Ten z Centrali wywoływał po kolei miasta i wraz ze zgłoszeniami zaczęły się pojawiać przede mną trójwymiarowe obrazy współpracowników Sieci z seledynowymi nazwami ich siedzib nad głowami. Równocześnie na wielkiej mapie Ziemi zapalały się świetlne punkty lokalizujące placówki biorące udział w informie. Dzięki temu egzotyczne nazwy nabierały bardziej realnego wyrazu, kojarzyły się z

odpowiednimi kontynentami i z twarzą konkretnego człowieka. Coraz więcej osób pojawiało się w półkolu sali projekcyjnej, zdawali się napierać na mnie nie istniejącą masą, tłumem obojętnych twarzy. Nie widzieli mnie jeszcze i nie widzieli siebie wzajemnie.

Wreszcie jako ostatnia zgłosiła się z kilkusekundowym opóźnieniem puciołowata dziennikarka z Luny Głównej.

Narastające strumienie światła spłynęły ze wszystkich stron i nagle otaczające mnie twarze nabrały wyrazu zainteresowania. Może to absurdalne, ale dosłownie poczułem na sobie dziesiątki spojrzeń zupełnie obcych ludzi, jak gdyby chcących mnie przebić na wylot, rozszyfrować jakąś tajemnicę tkwiącą we mnie. Z każdą sekundą potęgował się chaos w mojej głowie, ale w końcu półprzeźroczyste fantomy zlały mi się w jedną świecącą masę opatrzoną mrowiem natarczywych oczu.

Całym wysiłkiem woli starałem się opanować wewnętrzne drżenie i nie dopuścić do tego, co stało się ze mną zaraz po przylocie, kiedy zemdlałem na zapleczu astroterminalu.

Głos prowadzącego inform wyrwał mnie z odrętwienia i sprawił, że otoczenie odzyskało właściwy kształt, a każda twarz - indywidualny wyraz. Z początku słowa przebijały się jak przez ścianę - pojedyncze, nierozróżnialne dźwięki płynęły monotonicznie gdzieś z góry i utrzymywały mnie na powierzchni świadomości. W pewnym momencie wreszcie skryształizowały się w rozróżnialne wyrazy i zdania.

- ...zgodził się na spotkanie z nami. Korzystając więc z okazji jaka jeszcze nigdy nie nadarzyła się żadnemu dziennikarzowi, pytajcie o co chcecie, a nasz gość nie zawiedzie waszych oczekiwań. Prawda, Les?

- Ja... Tak, oczywiście!

Nad napisem BOGOTA zapłonął czerwienią pulsujący punkt.

- Proszę, Diego, jak zwykle jesteś najszybszy. Kędzierzawy reporter z Południowej Ameryki nachylił się w moją stronę i zapytał z uśmiechem:

- Powiedz mi, ale tak zupełnie szczerze - podoba ci się u nas, czy nie?

Jego bezpośredniość zdziwiła mnie, lecz równocześnie spowodowała odpływ fali napięcia., a siedzące przede mną wizje ludzi wydały mi się zupełnie sympatycznymi.

- To zależy - odpowiedziałem po namyśle. - Pewne rzeczy tak, a inne zdecydowanie nie.

- W takim razie co ci się tutaj spodobało?

- Chmury.

- Nie rozumiem.

- Po prostu zwykłe kłębiaste chmury. Mogę godzinami patrzeć jak płyną majestatycznie w błękicie wciąż inne i inne, wciąż nieodgadnione do końca, tajemnicze i piękne czystością bieli i zmiennością kształtów. Dziwi mnie całkowity brak zainteresowania wśród ludzi dla tego wspaniałego widowiska natury.

- A co ci się u nas najbardziej nie podoba?

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

Odpowiedzią był ogólny wybuch śmiechu, a ja poczułem jak dławiąca mnie trema znika bez śladu.

- Można? - zapytała rumiana reporterka z Luny.

- Oddaję ci głos.

- Jest nas tutaj w studio kilka osób i zastanawiamy się, ile lat ma nasz gość.

- Niepotrzebnie zasłaniasz się opinią publiczną, May, przecież i tak wszyscy znają twoją niepokromioną ciekawość. Odpowiedz jej, Les?

- Właśnie niedawno skończyłem dziesięć.

Zanim ona tam zdążyła się zdziwić, reszta zebranych wybuchnęła śmiechem.

- Liczone w latach marsjańskich, oczywiście? - dorzucił ktoś pytająco.

- Tak.

- A ile to będzie na nasze? - zapytała.

- Dotychczas nie przeliczyłem, nie było potrzeby.

Drobny, czarnowłosy współpracownik Sieci z Kantonu zasygnalizował swoje pytanie i posłusznie czekał na zezwolenie prowadzącego.

- Kanton, oddaję ci głos.

- Jeżeli można być tak niedyskretnym - zaczął poprawiając staromodne okulary w błyszczącej oprawie - chciałbym wiedzieć, kim nasz drogi gość się czuje?

- Nie rozumiem pytania...

- Chodzi mi o narodowość.

- Po prostu: człowiekiem.

- W takim razie skąd pochodził twój ojciec, twoja matka.

- Z Europy. Jego rodzina wywodziła się z małego miasteczka nad Dunajem, gdzie ludzie kochali czardasza i czerwone wino, a długorogie płowe bydło co wieczór szło główną ulicą dostojnie do wodopoju. Znam to miasteczko z jego wieczornych opowiadań tak samo dobrze, jak matki strony ojczyste wśród białych drzew i jezior polskich równin usianych pamiątkami przeszłości.

- A co ty uważasz za swoje strony rodzinne?

- Wielki krater pokryty rojowiskiem spękanych głazów i plątaniną rudych wydm, na jego skraju wkopana w skałę baza - tam wszystko jest znane i proste.

- Czy chciałbyś to jeszcze kiedyś zobaczyć?

- Czy chciałbym? Ja jestem pewien, że kiedyś znowu stanę na krawędzi nieogarnionej niecki i spojrzę na zasnutą różową mgłą krainę mego dzieciństwa.

- Wszyscy lepiej lub gorzej orientujemy się jak wygląda wasze życie tam, na Czerwonej Planecie - odezwała się przedstawicielka Sieci z Melbourne - i doceniamy ogrom pracy wykonywanej tam dla dobra całej ludzkości. Myślę, że wyrażę uczucia nas wszystkich, jeśli na twoje ręce złożę podziękowania za ponoszone - przez was wyrzeczenia.

- Słowa te z pewnością sprawią satysfakcję zarówno tym, którzy w tej chwili wypełniają swoje obowiązki z dala od Ziemi, jak i tym, co pobyt tam wspominają jak sen. Mnie, niestety, nie mogą one dotyczyć, bo ja żadnych wyrzeczeń nie ponosiłem. Zostałem mój świat takim a nie innym i do niego wszystko porównywałem. Wasze życie wydawało mi się dziwne i bardzo skomplikowane. Teraz już wiem, że jeśli kiedyś znajdę się tam znowu, będzie mi jednak brakować palących promieni słońca na twarzy i szumu górskiego potoku.

- I chmur na niebie...

- Tak, zwłaszcza ich.

- Centrala ma pytanie, czy można?

- Słucham z uwagą.

- Interesują nas twoje plany na przyszłość.

- Plany? Nie mam żadnych planów. Przybywając tutaj nie miałem zupełnie pojęcia z jakimi problemami przyjdzie mi się borykać, problemami dla was nie istniejącymi. Z niektórymi już się zetknąłem, lecz przede mną jeszcze cała ich góra, wiem, że są gdzieś tam, w świecie, i czekają na mnie. Zapewne interesuje was kim chciałbym być, co robić. Odpowiem uczciwie - nie wiem! Nie wiem nawet czy chciałbym być tu, czy tam. Mam w tej chwili jedyny cel - chcę na tyle poznać wasz świat, by móc się w nim poruszać bez przeszkód, a to wcale nie proste w mojej sytuacji. Jeśli uda mi się to osiągnąć, wtedy przyjdzie pora na dalsze kroki. Musicie pamiętać, że wasza planeta jest dla mnie prawie tak samo obca

jak dla was moja.

- Przed wielu laty - odezwał się po krótkiej przerwie szpakowaty dziennikarz z Kairu - byłem w Typhonie jako adept reportażu transplanetarnego i najbardziej pamiętam z tego okresu wyprawę do Czarnego Labiryntu. Czy tam jest nadal tak pięknie jak wtedy?

- Czy jest pięknie? My obaj nie musimy się wzajemnie o tym przekonywać, to pewne. Proszę być spokojnym - nic się nie zmieniło od tamtych czasów. A swoją drogą - jaki ten świat mały!

Przerywany sygnał świetlny rozmigotał się w holoprojektorni, by po chwili zniknąć bez śladu.

- Pozostały nam jeszcze tylko dwie minuty - odezwał się facet z centrali Sieci. - Czy chciałbyś może przekazać coś znajomym z Marsa?

- O, tak! Chcę powiedzieć, że dopiero tutaj zrozumiałem waszą tęsknotę za błękitem nieba i pieszczotą wiatru na twarzy, za potężnym rozkołysaniem drzew w przedburzowej porze, za zapachem wędnącej trawy i wdziękiem polnych kwiatów, magią ogniska - za Ziemią. Zrozumiałem, bo już znam nie tylko ich piękno - zaczynam także wiedzieć co to nostalgia za swoim światem. I jeszcze jedno: dziękuję tym, którzy mnie zachęcili do przybycia tutaj i tym, którzy ostrzegali: dzięki waszym radom jest mi tu łatwiej. Do zobaczenia!

- Dziękuję w imieniu Sieci, Kassai, i w imieniu wszystkich tu obecnych. Spotkamy się chyba jeszcze kiedyś, prawda?

- Jeśli uznacie mnie za obiekt w dalszym ciągu interesujący...

- Do widzenia!

Nawet nie zdążyłem pomachać im ręką na pożegnanie, tak nagle rozwiali się bez śladu w półmroku. Długo jeszcze siedziałbym w odrętwieniu na środku pustej sali, gdyby nie technik obsługi.

- Dobry byłś! - powiedział z uznaniem.

- Co... Ja? Starłem się jak mogłem żeby jakoś wypaść.

- I udało się, możesz mi wierzyć. Za kilka godzin będzie o tobie wiedzieć co najmniej miliard mieszkańców naszej globalnej wioski, nie licząc tych, co po bazach i w przestrzeni. Stajesz się sławny na cały Układ!

- Tak jak Tłusty Swen?

Z niezbyt mądrym wyrazem twarzy został w drzwiach służbowego boksu. Tkwił tam jeszcze, gdy na zakręcie korytarza odwróciłem się i pomachałem mu ręką na pożegnanie.

Padało. Ciemne, nabrzmiące wodą chmury wlokły się tuż nad koronami drzew, znacząc swoją drogę sinymi warkoczami deszczu zamieniającymi świat w jeden wielki smutek. Postrzępiony tuman mgły rozsiadł się nad potokiem i bezkształtnymi ramionami pochłaniał coraz większe połacie pełnego melancholii królestwa ociekających wodą, czarnych i posępnych pni. Złowrogie cienie snuły się pomiędzy rozchwianymi wierzchołkami drzew niby tabun nierealnych widm z marzeń osamotnionej wyobraźni, odstraszały od szpalerów splekanych żywych kolumn zielonej świątyni smętku.

Zimny wiatr hulał po tarasie marszcząc kałuże w niedostrzegalnych zagłębieniach posadzki i smagając biczami rozpylonej wody pstrokate parasole z frędzlami.

Silniejszy podmuch chlusnął mi w twarz ulewą grubych kropli; spływały po policzkach, po szyi - jak łyzy. Zatrzasnąłem drzwi i klucząc korytarzami, by nikogo nie spotkać, dotarłem do pokoju. Przyzwyczaiałem się już do niego jak do jakiegoś bezpiecznego azylu w obcym, skomplikowanym świecie, tu wszystko było proste i bliskie, prawie jak u nas w bazie. Wystarczyło zaciągnąć roletę i włączyć światło za imitacją owalnego okna, by znów znaleźć się na krawędzi potężnego krateru rozświetlonego słabymi promieniami słońca. Na lewym skraju znajoma grupa splekanych skał za srebrzystą konstrukcją podstawy masztu, napięte liny odciągów tną jasnopomarańczowe niebo i giną wśród głazów. Hen w dole pofalowana diunami płaszczyzna blednąc oddala się ku wygiętemu swojsko horyzontowi. To wszystko.

Nie wiem kto wpadł na pomysł z oknem - po prostu kiedyś po powrocie ze spaceru zastałem je na ścianie i od tego czasu zasiadam przed nim ilekroć nadchodzi przyływ tęsknoty i zwątpienia.

W kompletnej ciemności siedzę zwrócony twarzą w tamtą stronę. W dłoni ściskam okruch skały i chłonę nieuchwytny zapach mojego świata. Jeszcze nie pora, jeszcze chwilę pobędę w ciemnej ciszy...

Już! Dłoń pewnie trafia na starter oświetlenia i z ciemności powoli wyłania się znany owal rozjaśniony jedynie słabym światłem gwiazd. Zza horyzontu wynurza się nieforemna, upstrzona strupami kraterów blada bryła Phobosa i szybko przesuając się po niebie zalewa okolicę nieśmiałą szarością. Wnet ginie za postrzępionym skalnym grzebieniem i ustępuje miejsca nadchodzącemu dniu. W bladuróżowym potopie niktą nieprzeliczone roje gwiazd, ustępują przed potęgą słońca, co po raz nieskończony zagląda do czaszy krateru. Długie, ostre cienie kładą się za każdą wydumą, za każdym głazem. Wreszcie lśniaca tarcza zawisa w połowie swej drogi i krajobraz zastyga w niezliczonych tonacjach brązu.

Chropawy kamień zdaje się ożywać w świetle złudnego pejzażu, pęknięcia urastają w przepaściste kaniony, zastygłe przed milionami lat bąble wulkanicznych gazów łudzą pozorem zamarłych kraterów i nagle okruch odległej planety zamienia się w nią samą - na dłoni.

Jakiś monotony szum wnika w mój krąg ciszy - za oknem szaleje ulewa. Cóż ja robię w tym świecie wody, błękitu i zieleni?

Zgaśnięciem świetlny owal złudnego okna i w kompletnej ciemności ległem na plecach złożony głowę na splecionych palcami dłoniach. W szeroko rozwartych oczach tliło się jeszcze wspomnienie znajomego widoku, z każdą chwilą coraz bardziej odległe i zblakłe, jak wzruszający dagerotyp z dziewiętnastowiecznego albumu, z tych nierzeczywistych czasów, kiedy życie było proste a podróż żelazną koleją wzbudzała w ludziach dreszcz emocji.

Wreszcie blaknąca elipsa zamieniła się w drgający punkt i znikła w bezmiarze dookolnej ciemności pozostawiając mnie sam na sam z czernią i myślami.

Dopiero teraz udało mi się pozbyć maski opanowanego „Syna Gwiazd” przywdzianej z okazji minionego informu, maski krępującej mnie od samego początku na kształt nocnej zmory, dopiero teraz wpatrzony niewidzącymi oczyma w nieprzejrzysty mrok zacząłem się zastanawiać nad sobą.

Nie muszę już udawać kogoś, kim nie jestem, ani też starać się być błyskotliwym ku zadowoleniu piątej części ludzkości zajętej przeżuwaniami kolacji w zaciszu domowego azylu. Mogę spokojnie dać błędzić myślom bez obawy, że je ktoś rozszyfruje.

Prędzej czy później muszę opuścić ten pokój i zacząć żyć samodzielnie, robić coś sensownego. Ale co? Bez kłopotu mogę zostać przyjęty gdzie tylko zechcę, ale czy ja w ogóle chcę gdziekolwiek być - tutaj? Jeszcze kilka dni temu chciałbym, z pewnością, jednak od tego czasu upłynęło już tak dużo nieprawdopodobnie długich godzin... Dokąd iść w tym obcym świecie, i czy w ogóle iść? Tam, gdzie wszystko było znane i proste, tam byłbym z pewnością potrzebny. Z dala od szalonych tłumów dziwnych ludzi pędzących z błyskiem w oczach nie wiedzieć dokąd i po co, szukających nie wiedzieć czego i wiecznie nie znajdujących tego czego szukają, im bardziej starających się żyć pozorami szczęścia, tym bardziej samotnych, przerażających samotnych i smutnych. Jeśli zaś tam wrócę, czy nie będę żałował do końca życia zaprzepaszczonej tu szansy? „Okazja ma to do siebie, że nie lubi się powtarzać”. Kto to tak mawiał? Któryś z tych ludzi przewijających się przez bazę w ciągu wielu lat. Ciemność, nieprzenikniona ciemność wokoło i szum deszczu za oknem. Gdzie jest ta moja szansa - tu, czy tam?

Od pamiętnego informu minęły trzy długie dni wypełnione nieustającą rozterką, zasiane wątpliwości jak ziarna zakiełkowały w mózgu i rozsadzały go jednym wielkim pytaniem: Co dalej? Nie mogłem spać ani jeść, bo wszędzie szło za mną natrętne i wszechobecne jak powietrze.

Wróciła duszność i bóle głowy rozsadzające czaszkę niespodziewanymi paroksyzmami. Chcąc się od nich uwolnić całe dni spędzałem na samotnych spacerach po lesie, z dala od hałasu i ludzi. Dopiero pod wieczór wracałem do Centrum, aby napić się czegoś i przeczekać noc w fotelu przed rozświetlonym mirażem mojego krateru. Jeśli mnie pilnowali, robili to tak dyskretnie, że niczego nie zauważyłem.

Teraz też wróciłem z zachodzącym olbrzymim czerwonym słońcem i z ulgą zapałem za sobą drzwi pokoju, lecz tuż za nimi zatrzymałem się z ręką na klamce. Pracujący jak w półśnie mózg dopiero teraz dał mi znać, że coś było nie tak jak zwykle. Co?

Wróciłem na korytarz i uważnie rozejrzałem się wkoło. Niebieski prostokąt koperty w przezroczystej plastikowej skrytce na korespondencję zawieszona na drzwiach. Ktoś musiał się pomylić...

Nie! Lesław Kassai, moje pełne imię! Rozgorączkowane palce rozrywają papier koperty i wygrzebuje biel kartki.

Witaj chłopcze!

Jeśli jeszcze pamiętasz „wujka Hansa” z Typhona, to wszystko w porządku. Na wszelki wypadek przypomnę Ci niektóre fakty, abyś wiedział kto do Ciebie pisze. Kiedyś, dawno temu, ku rozpaczy połowy personelu bazy nauczyłem Cię grać na ustnej harmonijce. Potem zawojowałeś mnie niesamowitym zainteresowaniem techniką, aż kiedyś, drżącego z wrażenia zaprowadziłem Cię do pomieszczeń grawitera. To musiało utkwąć w Twojej pamięci.

Dlaczego piszę? Zobaczyłem Cię w programie Sieci i natychmiast odżyła we mnie pamięć tamtych dni. Wiem o wszystkim co spadło na Ciebie i bardzo chciałbym spotkać się z Tobą. Niestety, czas obszedł się ze mną dość twardo i nie mogę odwiedzić Ciebie, lecz byłbym uszczęśliwiony, gdybyś kiedyś zechciał przyjechać tutaj. Znajdziesz mnie zawsze pod podanym niżej adresem i zawsze będziesz tutaj mile widziany.

Twój stary przyjaciel

Hans Schultz

Potężny, niezdamny „wujek Hans” jak żywy stanął mi przed oczami. Doskonale pamiętałem chwilę, gdy otwarły się przed nami ciężkie stalowe drzwi | oczom moim ukazała się lśniąca niklem maszyna. Jego ponura twarz rozjaśniła się po raz pierwszy ciepłym uśmiechem, kiedy położył swą potężną dłoń na pulpicie regulacyjnym i ze zdumiewającą precyzją zaczął naprowadzać strzałki wskaźników na wyjściowe pozycje. Wydawał mi się wtedy potężnym czarodziejem techniki.

Trzeba go będzie kiedyś odwiedzić... A dlaczegoż by nie zaraz? Któż mi może zabronić robić co mi się podoba?

VIII

Skłębiony bury wąż pełźnie dnem suchego wąwozu jak nieposkromiona rzeka. Z tej wysokości widać tylko leniwe pulsowanie jej fal wzbierających nieoczekiwanie i równie nagle zamierających. Żaden dźwięk nie dobiega z mrocznej czeluści do podniebnych wyżyn już rozświetlonych blaskiem przedświt. Czoło milczącego potopu niezauważalnie lecz stale wylewa się z gardzieli parowu na płaską przestrzeń przedgórzy i tężeje w niemym oczekiwaniu, podczas gdy wciąż nowe i nowe fale spływają z odległej przełęcz skąpanej w pierwszych promieniach niewidocznego jeszcze stąd słońca. Jakaś potężna siła, skryta gdzieś tam, za górami, zda się pchać je ku rozległym płaszczynom suchych stepów wynurzających się z pierzchającej nocy. Wreszcie ostatni kłęb przewala się na stronę jasności i spływa niespiesznym ruchem ku miejscu swego przeznaczenia.

Zdumiony wzrok leci teraz z powrotem do potężniejącej, ruchliwej plamy, na której wykwitają tysiączne różnokolorowe cętki układające się w geometryczny wzór niesamowitego dywanu stojącego się u stóp milczących gór w promieniach krwawego słońca.

Jeśli zniżyć się ku potężnej bramie skalnej, gdzie spiętrzona dzikość jałowych urwisk przechodzi w kojący oko bezmiar zielonych pastwisk, wtedy bezkształtne ciało wężowej rzeki rozpada się na mnogie okruchy istnień ludzkich, zwierząt i wozów pchanych jednym przepotężnym nakazem w stronę jasności dnia.

Ciągną już tak od lat zostawiwszy za morzem przeznaczenia urodzajne doliny winnic i oliwnych gajów, pola uprawne i trzody, zaciszne domostwa dające ochłodę w skwarny czas lata i chroniące przed mroźnymi wiatrami zimowej pory, swoje kobiety o wielkich, smutnych oczach otoczone gromadką kędzierzawych dzieci, opuściwszy białe świątynie na wzgórzach i groby przodków. Cóż za siła, cóż za potęga gna je do boju, do ran i krwi, do strupów cuchnących na ciele, chorób nieznanymi a groźnymi, do śmierci z głodu i pragnienia?

Idą długie, zbrojne szeregi pieszych wojowników, mnogimi strumykami utrudzonych istnień powtarzając te same szlaki tajemnej wędrówki.

Wielki szary głaz tarasuje drogę do światła dnia, więc nie zwalniając kroku rozchodzą się na boki, zagęszczają na brzegach, by po chwili połączyć się znów i zamknąć w torbieli ruchomej soczewki jedną z tysięcy przeszkód na trakcie. Ich śladem podążają stada jucznych osłów, uparcie pochłaniających spieczoną słońcem drogę odwiecznych nomadów, dla których życie jest ustawiczną wędrówką za ulotnym celem. Wiele z tych zwierząt ujrzało światłość dnia już w czasie Wielkiego Pochodu i on sam jest dla nich jedynym celem bycia; padną kiedyś wśród wysuszonych zwałów gliny nie dowiedziawszy się nawet o istnieniu świata innego niż świat wędrówki, głodu i pragnienia.

Wolno kołyszają się na boki garbate wielbłądy niosące olbrzymie toboły zapasów i skórzane bukłaki z wodą; bez ich siły i wytrwałości niezwyciężona armia wymarłaby na niezmiernych jałowych stepach. Świadome swej roli rozważnie wyszukują wśród ostrych kamieni miejsca dla nóg.

Przystając od czasu do czasu, skacząc na wybojach, toczą się dwukołowe wozy bojowe ciągnięte przez ręce konie. Teraz chybotliwe i niezdarne, na stepie potrafią gnać jak wiatr siejąc zamęt i śmierć w szeregach nieprzyjaciół.

Na samym końcu hufce jeźdźców dają baczenie, by gniewni barbarzyńcy z podbitych plemion lub

zgraje pospolitych rabusiów nie szarpały tyłów potężnej armii poruszającej się w skłębionym obłoku pyłu. Tam, pod przełęczą, opadł już gryzący tuman i rześkie powietrze poranka wabi oko kryształową przejrzystością i barwą czystego błękitu.

U skalnej bramy narasta szum wylewającej się na równinę masy ludzi i zwierząt, czujne ucho wyławia zeń beładny tupot nóg w łożysku wyschniętego potoku, szczęk zbrój, skrzywienie kół, ryki osłów i rzenie koni, coraz częstsze pokrzykiwania wojowników. Zaczynają się krzyżować w powietrzu polecenia wypowiedane doniosłymi i pewnymi siebie głosami ludzi przywykłych do wydawania rozkazów. Narasta tętent kopyt koni wyzwolonych z otępiającej ciasnoty kamiennego wąwozu i ożywionych dopływem nowych sił na widok rozległych przestrzeni stepu.

Powoli ostatnie grupy jezdnych wylewają się na bezkres równiny i wtapiają w gigantyczny dywan utkany z kolorowych namiotów na szarozielonym tle stepu. Znać sprawność tych spalonych słońcem mężczyzn, bo wnet powstają przerwy między rozpiętymi płachtami i w głębi wyrasta potężna klamra z ludzkich czworoboków. Ramię przy ramieniu, głowa przy głowie stoją szeregi zbrojnych, tysiące tarcz lśnią w słońcu, chwieją się pióropusze na strojnych hełmach dowódców. Tysiące oczu wpatrują się w jeden punkt oczekując na przybycie tego, którego wola pchnęła ich na kraj świata, pozbawiła prostych codziennych spraw spokojnego życia, dała poznać smak piasku w ustach, zapach własnej krwi, mękę pragnienia, ból po stracie najbliższego przyjaciela i gorzki smak zwycięstwa, a nade wszystko dała poczucie rozszarpywania kawał po kawale strupieszalego porządku świata. Co za potworna siła tkwi w tym młodzieńcu z dalekich gór, że idą za nim na śmierć jak na winobranie i pójdą tak długo i tak daleko, jak tylko będzie chciał.

Drgnęły wyrównane szeregi, jakby jedną iskrą ożywione, bo oto zaprzęg wyłania się gwałtowny, pędzi jak wichur przed ścianą roziskrzonych oczu. Szlachetne zwierzęta rwą co sił w nogach, a on, kierując nimi jedną ręką, drugą pozdrawia wojska i zda się płynąć nad ziemią niesiony falą uwielbienia tysięcy serc, swobodny i wyprostowany w szalonej galopadzie - wybraniec bogów i ludzi.

Zmącił się obraz, zwinął jak rulon twardego papieru i spłynął w dół, gdzie jeszcze przed chwilą migły kopyta białych koni. Teraz tylko rozbłyśki światła gnały przez czerń znacząc falistą linią swoją drogę od brzegu do brzegu.

Zagle... Wszędzie, jak okiem sięgnąć żagle. Biały las wyrósł na pomarszczonej toni morza i prąc przed siebie zmierza ku drugiej białej ścianie wstającej na horyzoncie. Zda się stado olbrzymich, dumnych łabędzi rozpostarłszy skrzydła płynie na spotkanie takiego samego powstającego w dali. Łopot wzdętych płacht napełnia przestrzeń upajającą melodią pędu wśród wiatru, wśród krzyku zwinnych mew i plusku fal rozcinanych drewnianą pierśią kadłuba. W krąg króluje biel, biel i błękit, i nastrój dławiącego wyczekiwania na nieuchronne, co już wisi niewidzialnym wyrokiem nad głowami. Ludzie milczą. Wysmagane wichrami twarze zwrócone są w jedną stronę, oczy, co już niejedno widziały, spod przymrużonych powiek śledzą zbliżanie się białej chmury rozpękłej już na piramidy wrogich galeonów, brygów i korwet. W przedczas spełnienia tylko powaga i zaduma może mieć dostęp do nich, nieraz śmierci w oczy zagładających. Twarde, żylaste dłonie kurczowo zaciśnięte na zbiegających od soli i słońca burtach, czekają na znak co pchnie je do morderczej pracy, a wtedy nie spoczną aż do zwycięstwa. Tępe paszcze armat wyczekująco spoglądają na boki, gdzie teraz znajome sylwetki płyną ku temu samemu przeznaczeniu; co będzie kiedy słońce zawisnie w szczycie swej drogi, z której burty zjawi się najpierw wrogi kształt, z kim walczyć przyjdzie na śmierć i życie - nie wie nikt. Nikt ze śmiertelnych nie jest zdolny przewidzieć co wyłoni się z chaosu krwawego spektaklu na środku morza, spektaklu bez widzów, lecz każdy z tych ludzi o skupionym spojrzeniu szaroniebieskich oczu wierzy w nieomylną gwiazdę dowódcy, który z wysokości flagowego okrętu śledzi przez perspektywę ruchu nieprzyjacielskiej armady.

Idą jak potężna biała fala, zajmują już niemal pół widnokregu. Jest ich bardzo wiele... Kątem oka

widzi pytające spojrzenia swoich podwładnych czekających w napięciu na jeden jego gest. Ale nie nadszedł jeszcze czas...

Twarz skryta w cieniu głębokiego kapelusza, przy oku lśniąca rura lunety trzymana w wąskich delikatnych dłoniach. Wtem odjął lewą, uniósł nieznacznie i skinął przyzwalająco głową. Huknął strzał z dziobowej armaty i pierwszy posłaniec śmierci chichocząc pomknął na wroga. Na ten sygnał rozerwała się posłuszna armada na dwie części i pomknęła jak wichurka ku skrzydłom zaskoczonych nieprzyjaciela.

Szli rzędem plując ogniem dział w skotłowaną białą masę, a każdy pocisk był celny. Huk wystrzałów, świst kuli, głuchoe odgłosy detonacji, trzask łamiących się masztów i dymy pożarów wypełniły bez reszty świat. Skryło się słońce za czarną chmurą dymów, pierzchły gdzieś ptaki srebrnopióre, ustał wiatr dmący od rana i zamarła toń morza w niemym oczekiwaniu na wielką daninę statków i krwi.

A kiedy dzień miał się już ku końcowi, z rzadziejącego kłębowiska dymu wynurzył się okręt flagowy, a za nim reszta zwycięskiej floty. Szli wolno w stronę zachodzącego słońca - garść pływających wraków z połamanymi rejami i wyszczerbionymi burtami łapiąca w strzępy żagli odradzający się wiatr. Z tyłu zostało rozhuśtane pobojowisko niedopalonych belek, trupów i sprzętów, teraz królestwo rozkrzyczanych mew i żarłocznych rekinów.

Szli w milczeniu przerywanym jedynie cichymi jękami rannych i świstem wiatru w resztkach olinowania. A kiedy olbrzymi czerwony krąg dotknął odległego horyzontu, a wiatr przyniósł pierwsze podmuchy ochłody po dusznym upale krwawego dnia, wtedy on otarł zroszone potem czoło i rozejrzał się wokół: drogo okupione zwycięstwo było z nimi.

I znów szezeł bitewny obraz ustępując miejsca czerni przerywanej migotaniem sinusoidalnych rytmów i szalonym biegiem świetlnych punktów. Zacząłem zdawać sobie sprawę z nierzeczywistości moich przeżyć, siłą woli chciałem wyrwać się z zaczarowanego kręgu wizji, wypłynąć na powierzchnię świadomości. Bez skutku. Byłem widzem rozgrywających się scen, a równocześnie jakby ich uczestnikiem, miałem głębokie wrażenie, że duchem znajduję się tam, że środkiem bitewnego chaosu, a jedynie moje oczy spoglądają z oddalenia na panoramę morskiej bitwy, tak jak poprzednio patrzyły na ciągnącą armię. I nie raziły mnie szamerowane złotem mundury, tak jak przedtem uważałem za normalne krótkie miecze i odkryte ramiona starożytnych wojowników.

Ale oto znów rozjaśniło się pole widzenia: wspaniała sala strojna maestrią mozaikowej posadzki, tajemniczymi cieniami kasetonów i przesianych światłem witraży na starych gobelinach. W głębi stylowe biurko potężnych rozmiarów, a za nim człowiek w luźnym swetrze, jak dysonans w harmonii wykwiutu i dobrego smaku. Z jego sylwetki emanuje stan najwyższej koncentracji, a równocześnie pewność siebie. Wąskie dłonie artysty od czasu do czasu unoszą się i zawisają na moment w geście zastanowienia, by wnet opaść niby na klawiaturę nieistniejącego instrumentu. Coś dziwnie znajomego w tej sylwetce, w ulotnych gestach rąk, lecz nie mogę dojrzeć twarzy; zawsze skryta w cieniu, zawsze niedostępna wzrokowi, a równocześnie coraz bardziej intrygująca. Nie wiem co robi ten tajemniczy człowiek w głębi wspaniałej sali, a z każdą chwilą odczuwam coraz silniejszą potrzebę zajęcia jego miejsca. Pojawia się uczucie przemożnej zazdrości wobec nieznajomego, zaczynam go nienawidzić całą głębią mojego jestestwa, byłbym gotów...

Nagle zmienia się punkt widzenia i patrzę nań z tyłu. Pochylone plecy, uniesiona prawa ręka zawisa, na chwilę w powietrzu i spada na klawiaturę pulpitu dyspozycyjnego opatrzonego mrowiem wskaźników sygnalizacyjnych i rozżarzonych ekranów. Wyteżam wzrok i widzę coraz wyraźniej - rozgorączkowane tłumy na ulicach miast, grupy helikopterów patrolujących nad brzegiem morza, długie kolumny czołgów sunące w tumanach pustynnego pyłu, błyski eksplozji w gąszczu tropikalnej dżungli i wśród podbiegunowych lodów.

Czarnym maczkiem liter wykwiata nowa informacja na jednym z ekranów, człowiek czyta ją,

zastanawia się przez chwilę i wskazującym palcem naciska jeden z guzików. Z chaosu ognia i dymu wyłania się srebrzysty rybi kształt i ociężałe unosi ku niebu. Za nim drugi, trzeci. Nikną obłoki przeszywane lotną potęgą zmierzającą w kierunku wiadomym tylko sobie i temu, którego wola nadała pęd masie metalu.

Rwą się na strzępy zawieszono w próżni konstrukcje ze stali i myśli, co krążyć miały przez wieki w ciszy i czerni, a teraz bezgłośnie ich gruzy odchodzą w nicość i mróz. Trafiony asteroid jak orzech pęka pod ciosem niespodzianym ukazując swoje wydrążone głębokie, mąci się przestrzeń wnętrzościami maszyn i ludzi, a grad czarnych kulek skrzepłej krwi niechętnie opada na upiornie blade skały. Z oceanicznych głębin wynurzają się drzemiące tam od lat, zaklęte w niezawodnych mechanizmach wyroki śmierci i ślizgając się po falach zmierzają do celu.

Wszystko, co stworzył geniusz ludzkości, jest mu ślepo posłuszne w wielkim dziele ZWROTU.

Muszę, muszę zająć jego miejsce i robić to, co on robi! Nachyliam się nad zgarbioną sylwetką i widzę moje dłonie sunące w stronę jego szyi. Wysiłkiem woli staram się je zatrzymać, lecz one ignorują mnie posłuszne jakiejś obcej przepotężnej sile. Już mają zawrzeć się w śmiertelnym uścisku, kiedy on nagle odwraca twarz - moją twarz!!

Świat zawirował w szalonym młyńcu - płyną górkim wąwozem dumne żaglowce, maszerują wśród spienionych fal zbrojne szeregi hoplitów, słychać ryk rakietowych silników, głuche detonacje podwodnych wybuchów, urywane okrzyki niezrozumiałych komend. Dowódca zwycięskiej armady ma moją twarz! Powożący rydwanem burzyciel starego świata to też ja!! Wyrwać się, wyrwać się z matni szalonych wizji, wyrwaaać!!!

Zlany potem budzę się w półmroku obcego pomieszczenia chciwie łowiąc oczami wyróżniające się fragmenty otoczenia. Po chwili jestem całkowicie pewny, że nigdy wcześniej tutaj nie byłem. W obolałej głowie staram się poustawiać strzępy zwariowanej łamigłówni: inform, list od Schultza, podróż do niego... podróż do niego... Ciemność. Jednego jestem pewny - z Schultzem się nie spotkałem. A więc gdzie ja teraz jestem?

Pewnie znowu jakaś choroba pozbawiła mnie świadomości. Dość już mam tej cholernej - Ziemi! Dość!!

Ból głowy zniknął nie wiedzieć kiedy, a poczułem zwyczajny głód. Odrzuciłem miękki puszysty koc i usiadłem na brzegu łóżka. Byłem w ubraniu, w tym samym, w którym wyjechałem z Centrum, jedynie buty ktoś mi ściągnął i ustawił w zasięgu ręki.

W szarości ściany odcinał się jaśniejszy prostokąt drzwi. Klamka ustąpiła pod naciskiem dłoni i znalazłem się na pogrążonym w półmroku tarasie. Wielki sierp księżycy zalewał potopem zimnego światła uszione drzewa i znajomy już klomb przed domem. Stamtąd przyszedłem, by usiąść w pleconym z wikliny fotelu i zasnąć ze zmęczenia podróży.

Upajająca cisza wypełniona odległym monotonnym dźwiękiem. Wciągnąłem potężny haust żywicznego powietrza nocy, aż do zachłyśnięcia się jego orzeźwiający aromatem.

Obecność innego człowieka wyczułem intuicyjnie - siedział w głębokim fotelu na kółkach pośrodku nieforemnej plamy księżycowego światła wpadającej przez otwór w pnączach ścielących się po szklanym dachu. Mógłbym przysiąc, że jeszcze przed chwilą nie było tam nikogo...

- Wypocząłeś już?

Ten głos poznałbym wszędzie, tak wbił mi się w pamięć wraz ze szczegółami budowy grawitera. Mimo upływu kilkunastu lat brzmiał tak samo, jak w podziemiach Typhonos, kiedy drząc z wrażenia wsłuchiwałem się weń jak w najpiękniejszą melodię. Zwykły głos człowieka wielkiego umysłu nie nadążającego z wypowiedaniem cisnących mu się na usta skojarzeń.

Nic nie mówiąc podbiegłem i uścisnąłem wyciągniętą ku mnie dłoń. Siedział w fotelu potężny i

zwalisty jak dawniej, nogi otulone pledem spływającym do samej ziemi.

- Wyrosłeś! - powiedział z uznaniem, jakby było coś nadzwyczajnego w fakcie, że w ciągu minionych lat stałem się dorosłym człowiekiem. - A w moich myślach na zawsze pozostałeś fenomenalnym brzdącem z Typhona, najlepiej czującym się pośród aparatury i jej schematów konstrukcyjnych. Pamiętam twoje zdumiewające zainteresowanie sprawami grawitacji.

- To było takie chwilowe oczarowanie, potem już nigdy nie wróciłem do tego tematu.

Schultz umilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Czekaj no... Jeśli mnie pamięć nie myli, mieliście tam większą awarię grawitera wkrótce po moim odlocie na Ziemię i pewnie przez dłuższy czas po niej pławiliście się w niskim ciężeniu, za czym tak przepadałeś. Ej, Lessi! Popatrz no mi w oczy! Czy to przypadkiem nie ty załatwiłeś tę maszynę?

- No cóż - rozłożyłem bezradnie ręce - nie da się ukryć, to ja. Ale ściśle według pańskich wskazówek!

- A niech cię! Podszedłeś mnie jak ostatniego durnia, a ja myślałem... - zaniósł się krótkim urywanym śmiechem. - Nieważne! To tylko umacnia moje mniemanie o tobie.

- Ja... przepraszam...

- Co?! Tu nie ma nikogo do przeproszenia. Winien ci jestem ogromną wdzięczność za ten śmiech, pierwszy od czasu, kiedy mi te cholerne nogi...

Spojrzałem na niego pytająco i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że człowiek w pełni sił nie ma potrzeby przesiadywać w fotelu na kółkach. On podchwycił moje spojrzenie i energicznym ruchem ręki zerwał otulający go pled - w miejscu nóg sterczały krótkie kikuty w zawiązanych nogawkach spodni.

Zrobiło mi się niedobrze, więc odwróciłem się i oparłem o balustradę patrząc na wysrebrzone księżycem wierzchołki drzew.

- Teraz to ja cię przepraszam - jego głos dobiegł jakby z wielkiej odległości. Kiedy się odwróciłem, pled był już na swoim miejscu. - Chyba powinienem cię jakoś łagodniej przygotować...

- To straszne!

- Teraz już nie. Kiedy po przyjściu do przytomności dowiedziałem się o amputacji - myślałem że oszaleję. Potem przez dłuższy czas rozmyślałem o samobójstwie, lecz nie miałem żadnych możliwości. Wreszcie pogodziłem się z tą okrutną prawdą i postanowiłem żyć, nie wegetować - lecz istnieć pełnią twórczego życia. I udało mi się, mówię to z całą powagą. Rzuciłem technikę - mój świat jedyny, co zabrał mi pół życia i uczynił kaleką, a zająłem się czymś zupełnie innym, czymś fascynującym i otwierającym wręcz nieograniczone możliwości.

Umilkł zwróciwszy głowę w stronę srebrnej tarczy. Jego poorana zmarszczkami twarz zdawała się być odlanym w spiżu symbolem zdecydowanej na wszystko pasji.

- Nie wiem jak wyrazić moje ogromne współczucie - zacząłem niezdecydowanie.

- O, nie! Nie współczuj mi chłopcze, bo ja sam często zastanawiam się, czy ten mój wypadek był nieszczęściem, czy też nieodgadnioną woltą losu zmieniającą całe moje życie.

- A jak to się stało?

- Wiesz co - odparł po chwili wahania - po latach spotkało się dwóch starych przyjaciół, powinni więc mówić o przyjemnych sprawach. Strząśnij zatem smutek z twarzy i cieszmy się swoją obecnością. Dobrze?

- No cóż, dobrze.

- A więc traktuj mnie jak w pełni sprawnego człowieka. Mój dom jest tak urządony, bym mógł w nim poruszać się bez niczyjej pomocy, zresztą sam się przekonasz. Teraz z pewnością zechcesz się doprowadzić do porządku po podróży, a potem oczekuję cię z kolacją i lampką dobrego wina.

- Postaram się przyjść jak najprędzej.

Różowy świt wypełził zza horyzontu, kiedy wreszcie skończyliśmy nasze wspomnienia z tamtego odległego czasu i przestrzeni świata.

IX

Mijały dni wypełnione wiosłowaniem po jeziorze, łowieniem ryb na wędkę i podglądaniem życia ptaków w trzcinach. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki roztoczył się przede mną nowy krajobraz. Poznawałem go w ciszy i samotności, co jeszcze dodawało uroku i smaku wielkiej przygody moim wyprawom na starej drewnianej łodzi. Było coś zdumiewająco logicznego w jej kształcie wypracowanym tysiącletiami przez pokolenia rybaków, coś co czyniło z niej już nie produkt myśli technicznej, lecz nieomal wytwór ewolucji idealnie dostosowany do zadania, jakie miał spełniać. Zagarniając miarowymi ruchami wiosel zielonkawą wodę miało się wrażenie całkowitego zespolenia z otaczającą przyrodą.

Schultz był znakomitym gospodarzem. Co rano spotykaliśmy się przy śniadaniu na tarasie, co wieczór siadywaliśmy u kominka wypełnionego pełgającym żarem dopalającego się drewna i rozmawiali, rozmawiali! Ten człowiek miał zdumiewający zasób wiadomości i posługiwał się nimi z nieprawdopodobną wprawą i rozrzutnością zarazem, każdą tezę natychmiast popierał nawałą argumentów z najróżniejszych dziedzin, każdą wątpliwość zarzucał gradem pytań, błędy miażdżyły żelazną wymową faktów. A równocześnie obserwował. Obserwował mnie od chwili pojawienia się w domku nad jeziorem.

Zdążyłem się już przyzwyczać, że ludzie patrzą na mnie z zainteresowaniem, lecz on zdawał się analizować każde moje słowo, żaden gest najbliższy nie uszedł jego uwagi. W cowieczornych rozmowach jednego tylko tematu nie poruszał - swojej pracy, a wiedziałem, że każdą wolną chwilę spędza w pawilonie ukrytym za kolczastym żywopłotem.

Pełgająca czerwienią tarcza słońca chowała się za ścianę lasu po drugiej stronie jeziora i pierwsze chłodne podmuchy wiatru zwiastowały nadchodzącą noc. Pół nieboskłonu płonęło nad głową wszystkimi odcieniami pożaru na rzadkich strzępach chmur, odbite od lustrzanej tafli wody spozierały z głębi niby krwawe strzępy odchodzącego dnia. Za plecami narastał filoletowosiny mrok nocy.

Wszedłem do jadalni i zapaliłem przygotowany stos bierwion w kominku; w mroku wabił wzrok światłem i feerią nieustannego ruchu. Dobrze było tak patrzeć w ogień i nie myśleć o niczym...

Nie wiedzieć kiedy żywiczne drwa zamieniły się w kupkę czerwonego żaru z magnetyczną wprost siłą przyciągającą oczy ku sobie. Od strony drzwi dobiegł szmer toczących się po żwirze kół inwalidzkiego fotela, wstałem więc i rzuciłem w żar grube sosnowe polano, a pod nim natychmiast zrodził się niebieskawy płomień i otoczył rozedrganą falą.

- O, Lessi! Dobrze że zapaliłeś - zawołał od drzwi.
- Było trochę chłodno, a poza tym lubię patrzeć w ogień i o niczym nie myśleć.
- To tak, jakby śnić na jawie, prawda?
- Tak, rzeczywiście.
- A może zasnąłeś naprawdę i śniło ci się coś ciekawego? Należy starać się zapamiętać pierwszy sen w nowym miejscu, to bardzo ważne.
- Dlaczego?
- Pierwsze sny lubią się sprawdzać.
- Pamiętam go znakomicie. Zasnąłem zaraz po przybyciu tutaj, a wizje przypominały mi stare filmy

kostiumowe, ze mną w głównej roli.

- To bardzo interesujące, opowiedz mi o nich.

- Gdyby miały się sprawdzić, musiałbym żyć w trzech epokach - być starożytnym wodzem wiodącym swoje wojska przez góry i pustynie, potem admirałem dowodzącym zwycięską flotą w wielkiej bitwie, a na koniec współczesnym dyktatorem świata, wyposażonym w niczym nie ograniczoną władzę i siłę militarną. Zdumiony jestem zarówno wyrazistością tych marzeń, jak i ich treścią, obcą mi w każdym punkcie.

Schultz podjechał fotelem bliżej ognia, gdzie blask wyłowił z mroku jego pokrytą bruzdami twarz i odezwał się patrząc prosto w narastające płomienie.

- Marzenia senne są często dla człowieka formą zadośćuczynienia za nie spełnione pragnienia i nie dokonane czyny, a ponieważ wywodzą się ze swobodnej gry rozluźnionej wyobraźni, mogą przyjmować najróżniejsze kształty, czasem pozornie odległe od niezaspokojonego dążenia. W przypadku twojego snu nie ma najmniejszej wątpliwości co go wywołało - normalna u młodego człowieka potrzeba wielkich dokonań, życia na pełnym oddechu, a nie szarej wegetacji w ciepłym błocie codzienności. Doskonale rozumiem twoją potrzebę czynu i jestem pewny, że swoje marzenia potrafisz zamienić w rzeczywistość, bo pierwszy sen w nowym miejscu lubi się spełniać - zakończył z uśmiechem obracając swoją wypowiedź w żart.

- Nigdy nie miałem najmniejszych chęci do narzucania swej woli komukolwiek, a nawet trudno mi to sobie wyobrazić, dlatego też zaskoczyły mnie moje własne, choć tylko śnione chęci. W zaślepieniu byłem gotów dokonać rzeczy nieprawdopodobnych, chciałem nawet...

- Co takiego?

- Nie ma o czym mówić, to tylko nieodpowiedzialna gra chorej wyobraźni.

Schultz podjechał swoim fotelem do stojącej w rogu pokoju szafki i napełnił dwie kryształowe lampki wytrawnym winem. Krwistoczerwone refleksy zatańczyły w załamaniach szkła gdyśmy unieśli je do góry w geście milczącego toastu.

- Za spełnienie twoich snów!

- Których?

- Tych ostatnich.

- One nie mogą się spełnić, bo minęły już czasy wybitnych jednostek, wielkich potęgą charakteru i rozumu. Dziś każdy człowiek jest tylko mikroskopijnym fragmentem ogromnego mechanizmu zwanego ludzkością - mniejszym lub większym, lecz tylko ułamkiem bez żadnego wpływu na resztę, drobiną do zastąpienia w każdej chwili przez inną z wielomilionowej rzeszy, dlatego też sny o potędze jednostki muszą tylko snami pozostać.

- Nieprawda! Jeśli jest tak jak mówisz, to tylko dlatego, że nie rodzą się już ludzie zdolni wstrząsnąć światem, ludzie, w których znalazłby miejsce wielki rozum, żądza czynu i nieugięta wola, cechy pozornie sprzeczne jak ogień i woda, jak jasność i mrok. A tacy mogą istnieć, historia tego dowiodła. Dziś ich nie ma, bo człowiek zabrnął w ślepy zaułek stabilizacji zapominając o najpierwszej prawdzie istnienia - o wyroku skazującym go na nieustanny rozwój w walce, na konieczność budowania wciąż od nowa na gruzach przeżytego, tak jak las rośnie najpiękniej na spróchniałych pniach powalonych olbrzymów. Walka jest człowiekowi potrzebna do życia jak chleb i powietrze, jak woda, jak sen, bez niej zaczyna się marazm i umieranie - ludzi i społeczeństw. Natury nie da się przechytryć - każda taka próba z góry skazana jest na niepowodzenie mimo zachęcających początkowo dokonań. Nowe może powstać jedynie na rumowiskach starego, a stare tylko siła zdolna jest obalić, siła wywodząca się z woli i rozumu.

Przerwał, a ja znów dorzuciłem do ognia grube polano pachnące żywicą i lasem. Odrodzony płomień strzelił snopami iskier i wydobył z ciemności jego twarz podobną teraz obliczom natchnionych proroków

z obrazów Renesansu.

Wychowany w kręgu ludzi zawodowo nie poddających się emocjom, po raz pierwszy zetknąłem się z takim ładunkiem wiary w słuszność głoszonych poglądów.

- Tak, synu, nasz świat wymaga życiodajnego wichru zdolnego obalić zmurszałe konstrukcje z nudy i rutyny, a wywołać go może tylko wybitna osobowość.

- Której nie ma...

- A którą należy wobec tego skonstruować, a raczej stworzyć, bo to brzmi lepiej, tak jak ja stworzyłem siebie w drugiej połowie życia na przekór kalectwu i beznadziei. Chcesz - pokażę ci czym się zająłem i do czego mnie to doprowadziło.

- Chętnie zobaczę.

Skinął na mnie ręką i opuściliśmy pokój z dogasającym żarem w kominku. Chrząst żwiru na dróżce wiodącej do pracowni rozlegał się jak krzyk w wilgotnej ciszy nocy. Wnet ustał, bo znaleźliśmy się na krótkiej betonowej pochylni dla wózka, w połowie przeznaczonej na schody.

Niewielkie wnętrze sprawiało wrażenie skromnego laboratorium elektronicznego lub raczej warsztatu łączności.

- Rozgość się i czuj jak u siebie w domu. Właśnie tutaj pracuję.

- A mówił pan o zerwaniu z techniką!

- I zerwałem. Ona jest tu tylko narzędziem do poznania tajników myśli i woli. Ja, przez pół życia pan i niewolnik maszyn, stałem się łowcą zjawiska tak ulotnego, jakim jest sen; poświęciłem mu całą moją energię i cały czas, a mam go teraz wiele, bo nie odrywa mnie do innych spraw. Rzuciłem się nań z gorliwością neofity, a sukcesy przyszły natychmiast, bo przyjść musiały przy mojej wiedzy i pracowitości. Teraz wiem już o nim wszystko; potrafię sny zapisywać, odtwarzać i wywoływać.

- A więc to ty podsunąłeś mi kostiumowe majaki zaraz po przyjeździe! Że też nie domyśliłem się od razu...

- Tak, zasugerowałem ci je, a wyobraźnia stworzyła spójny spektakl, czerpiąc tworzywo z twoich ukrytych marzeń i potrzeb. Zapisałem go i analizowałem po wielokroć, a za każdym razem utwierdzałem się w przekonaniu, że wybierając ciebie, wybrałem jak mogłem najlepiej.

- Wybierając? Do czego?

- Cierpliwości, Lessi! Wkrótce odkryję przed tobą wszystkie karty, a wtedy sam właściwie ocenisz doniosłość moich prac, bo jesteś tym, którego szukałem. Na razie spójrz!

Bojowy rydwan wzniesając chmurę pyłu pędzi po ekranie przed frontem karnych czworoboków bałwochwalczo wpatrzonych w smukłą sylwetkę młodzieńca, co był dla nich najwyższą i jedyną wyrocznią w wielkim dziele burzenia skostniałych imperiów. Gnał tak samo jak w moim śnie i ja byłem tym bożyszczem spalonych słońcem ludzi sprzed tysięcy lat, przywołanych do ulotnego istnienia w zakamarkach mojego mózgu wolą tego kaleki o wąskich zaciśniętych teraz wargach i przeszywającym spojrzeniu wyblakłych oczu. Zrzedł tuman pyłu i przeszedł w fiolet nieba upstrzonego krociem gwiazdnych iskieł. I tu miał rację, bo niebo z mego snu było właśnie takie! Pękająca po ciosie z mojej ręki bryła planetoidy ukazała za moment swoje wydrążone pracą maszyn i ludzi trzewia, by zniknąć w błyskach zakłóceń.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

- By pobudzić wyobraźnię i wydobyć cechy drzemiące na samym dnie twojej osobowości, by uświadomić ci, że o wielkich rzeczach śnią tylko mali ludzie, zaś sprawą gigantów ducha jest czyn, a nie marzenia,

- Nie jestem tym za kogo mnie bierzesz.

- Będziesz! Musisz nabrać woli działania, a ja ci w tym pomogę. Razem możemy zrobić wszystko co

zechcemy, trzeba tylko pozbyć się marzeń, bo one głośną chęć czynu, jak chwasty szlachetną zieleń w zaniedbanym ogrodzie. Dzięki temu znajdziesz swoje miejsce w życiu - miejsce odpowiednie dla tak wybitnej intelektualnie jednostki.

- Przesada!

- Wiem co mówię i potrafię dokonać takiej metamorfozy, że poczujesz się naładowany energią i żądzą czynu, a wszystko, co zamierzysz, uda ci się, bo nic nie jest w stanie zatrzymać obezwładniającego natarcia woli i geniuszu.

Ze zdumieniem patrzyłem na niego, pozbawionego teraz maski zimnego opanowania i poprawnej gościnności „starego przyjaciela”; siedział przede mną całkiem inny człowiek, bez reszty opanowany natrętną ideą uczynienia czegoś. A ja miałem być jego pierwszym narzędziem w tym dziele.

- W jaki sposób chcesz to zrobić?

- Spodziewałem się tego pytania i odpowiem ci na nie, chociaż jest to moja największa tajemnica, a nie mam całkowitej pewności czy przyjmiesz moją propozycję. Nie mam też wyboru, bo wiem, że nie poprzesz żadnego projektu nie znając go w szczegółach, zresztą potrzebne mi jest świadome współdziałanie równoprawnego partnera, a nie może być niedomówień między współnikami.

Zamilkł ze wzrokiem wbitym w kłęb różnokolorowych kabli niedbale rzuconych na podłogę, jakby czekał na słowa potwierdzenia z mojej strony. Kiedy cisza zaczęła niemal fizycznie ciążyć brzemieniem wypełniającym całą pracownię, splótł palce rąk aż zbieleły z wysiłku i zaczął mówić unikając mego wzroku.

- Marzenia sensne są rodzajem nieszkodliwego narkotyku zastępując ludziom niespełnione dążenia, chęci utajone i chwile nieprzeżyte, w snach mogą dokonywać rzeczy wielkich, latać w obłokach jak ptaki, pomścić krzywdy prawdziwe i urojone, zażyć rozkoszy nieosiągalnych dla nich na jawie. Sen jest podobny psychicznemu zaworowi bezpieczeństwa przez który ulatują nagromadzone za dnia toksyny kompleksów ludzi małych lub słabych, pławią się w nim jak w ciepłej wodzie zgniłego bajora, i wstają co rano niezdolni do trzaśnięcia pięścią w stół, rozprawienia się z gnębiącymi ich problemami, wyładowania zapiekłej od lat wściekłości, uzewnętrznienia uczuć innych niż nijakie. Kręcą się potem po świecie stadami sztywnych manekinów wypranych ze wszystkiego, co czułe lub drapieżne, gwarzą o sprawach letnich jak wystygła herbata - niewolnicy umowności i miernoty. Dlatego nie ma już prawdziwych poetów i awanturników, dlatego odeszły w zapomnienie miłość i nienawiść. Sen to pułapka zastawiona na gatunek ludzki przez podstępna entropię, aby jego geniusz rozwodnić w miłym byleactwie, a potem zgubić w oparach przeciętności. Ale ja rozszyfrowałem ten szatański plan i nie dopuszczę by został przeprowadzony do końca, a ty mi w tym pomożesz - wstrząśniemy światem nazbyt już pogrążonym w lepkiem samozadowoleniu. Sam nie dałbym rady, bo jestem już starym i przykutym do tego wózka kaleką, mogę jedynie oddać moją wiedzę w służbę młodego człowieka o lotnym umyśle - jak twój, samotnego i wytrwałego jak ty, człowieka pozbawionego marzeń, a przez to opanowanego żądzą czynu i wolą działania, dla którego kompromis będzie pojęciem nieznanym. To nic, że nie jesteś jeszcze takim! Możesz nim być, jeśli tylko zechcesz, bo ja wiem jak to sprawić; nie darmo z całą pasją mojego kalekiego, samotnego żywota, zająłem się walką z marzeniami obezwładniającymi umysł i wolę. Pozbawię cię snów, a życie twoje od razu stanie się innym gdy miast marzyć - będziesz tworzył, miast prosić - zdobywał, nie oprze ci się nikt i nic, czego zapragniesz - zdobędziesz, twoimi będą władza i uwielbienie tłumów, bogactwa i zaszczyty, wszystko. Potrafię tego dokonać i staniesz się tytanem, co porwie za sobą miliony by z ich pomocą zacząć siew nowego, a ja, ja będę bezgranicznie szczęśliwy służąc ci radą i pomocą, dzieląc z tobą władzę nad światem. Bez snów staniesz się Napoleonem naszego wieku, Cezarem całego Układu, będziesz żył w pędzie dającym poczucie pełni istnienia.

Grube krople potu pojawiły się na skroniach i spływały mu po twarzy ginąc za wycięciem

wygniecionego swetra. Dyszał jak szalowiec po ataku furii, jeszcze błędzący w zielonofioletowym mroku majaków własnego mózgu.

- Niczego nie otrzymuje się od Natury za darmo, więc czym ja zapłacę za ten nagły przypływ energii - skróceniem życia czy chorobą, co na jedno wychodzi? - spytałem wstając, aby znaleźć się przed nim, twarzą w twarz. Udało mi się na moment spojrzeć w jego rozbiegane oczy i pochwycić przejmującą dreszczem zaciętość wyrytą błyskami w jego rozszerzonych źrenicach.

- Wiem, wiem od samego początku: z tobą tylko szczerść, całkowita szczerść, jesteś przecież tym właściwym człowiekiem. Tak, przyroda nie robi prezentów, trzeba za nie płacić czasem - jedyną monetą honorowaną w jej banku. Ale cena nie jest zbyt wysoka jak na taką przysługę; rezygnacja z kilku lat niedołęznego żywota nie jest stratą tak wielką, by się z nią nie pogodzić, nie jest stratą nawet w sensie arytmetycznym, gdyż usuwając bezpłodne majaczenia ze swych snów zyskasz wiele lat czynnego życia. Będziesz sypiał tylko tyle, ile wymagał będzie twój organizm, a marzenia spełniać się będą na jawie.

- Rozumiem, chcesz uczynić mnie „wybrańcem bogów”, jak mawiali starożytni.

- Tak, tak!

- A potem przeobrazić w narzędzie do owładnięcia światem, wtrącić w epilepsję, tę chorobę wielkich wodzów, spalić przedwcześnie jak wiecheć słomy dla chwilowego rozjaśnienia mroków zbyt długiej nocy, w ogniu nieustannej szarpaniny myśli i nerwów wycisnąć ile się da, a potem odrzucić na stertę dekoracji zużytych dla zaspokojenia twojej żądzy panowania.

- Nie!! Ty będziesz ze mną do końca! Stworzymy setki, tysiące silnych ludzi bez marzeń i skrupułów i razem z nimi wzniesimy płomień i wichurę, i zapalimy Ziemię. I nikt nam się nie oprze. Nikt! Bo ty będziesz na czele, syn boga wojny!!

Oczy mu płonęły, mokre od potu kosmyki włosów przylepiły się do kredowo bladej twarzy pokrytej niezdrowymi brunatnymi plamami, a ręce kurczowo ścisnęły oparcie fotela. Zacząłem tyłem wycofywać się w kierunku drzwi, a on śledził moje ruchy bez najmniejszego zainteresowania, jakby nie docierało do niego, że chcę wymknąć się z pracowni. Wreszcie za plecami wyszukałem dłonią klamkę i nacisnąłem obserwując równocześnie grymasy jego twarzy. Drzwi nie ustąpiły. Zrobiłem dwa kroki do przodu i po błyskawicznym skrócie tułowia natarłem prawym barkiem na przeszkodę. Zgrzyt wyłamywanych zamków, tępy ból w boku i krzyk Schultza zlały się w jedno, gdy na zewnątrz łapał równowagę ratując się przed upadkiem na beton podjazdu.

- Stój!!

Zatoczyłem się na poręcz schodów i kątem oka ujrzałem jak w pędzie wyjeżdża na taras trzymając w dłoni uniesiony rewolwer. U podnóża schodów skoczyłem w krzaki, a za mną rozległ się najpierw syk wystrzału, a zaraz po nim odgłos przewalającego się po schodach wózka. Potem nastąpiła cisza.

Od dwóch dni bez przerwy padał deszcz przemieszany ze śniegiem. Z niewidzialnych gór nieprzerwanie spływały ołowiane chmury i zrzucały swe brzemie na skąpany w wodzie park. Czerwone dachy Centrum prześwitywały we mgle na granicy świata zawartego pomiędzy ścianami mokrej kurzawy dźwięczącej w szybach okien i otepiającego monotonią nieustannego szumu wiatru w gałęziach drzew.

Od dwóch dni w odrętwieniu leżałem na wznak, ze wzrokiem wbitym w sufit, lub bezmyślnie patrzyłem jak spływające po szybach krople deszczu łączą się ze sobą i nabierając pędu znikają za krawędzią parapetu. Noc spędziłem półleżąc w fotelu przed rozświetlonym obrazem mojego krateru i ściskając w dłoni okruch rudej skały. Dawał poczucie przynależności do tego świata spękanych głązów i długich rdzawych wydm, krainy mojej i tylko mojej.

Przez cały ten czas ani razu nie wyszedłem z pokoju, nawet by opatrzeć ręce rozorane w ucieczce kolcami krzaków i pokryte teraz pasmami ropiejących strupów. Spod długich rękawów koszuli wybiegały na grzbiet dłoni tylko przerywane kreseczki skrzepłej krwi.

Dotychczas nie zauważyli nic, albo może nie chcieli zauważyć. Posiłki, rozprowadzane wewnętrzną siecią transportową, pojawiały się punktualnie na stole i równie regularnie znikwały nienaruszone. Kilka razy wypilem szklankę jakiegoś płynu, nawet nie zastanawiając się nad jego smakiem, byle tylko zwilżyć gardło i przynieść ulgę spękany wargom. Wiedziałem, że wcześniej czy później ktoś się pojawi, lecz było mi najzupełniej obojętne kto i kiedy.

Wiatr za oknem jakby przycichł, a zamglone kontury drzew rozpląwały się w przedwczesnym zmroku ponurego dnia, spinając klamrą czerni ziemię i niebo w bezcielesny przestwór niepokoju. Uciec, uciec od niego w znajomy krąg ciepłej poświaty, ku surowemu pięknu zatrzymanego czasu!

Jak dobrze! Jak dobrze znów wśród długich cieni mojej krainy, świata bez fałszu i obłudy, bez...

Jak zgrzyt zabrzmiało delikatne pukanie do drzwi. A jednak nie wytrzymali dłużej niepokoju o losy „gościa”. Niechętnie uniosłem się z fotela i na palcach podszedłem do drzwi zatrzymując się z ręką na klamce. Znów pukanie, tym razem trochę głośniejsze.

Ann... Stała w drzwiach nieudolnie starając się ukryć zmieszanie pod maską beztróskiego uśmiechu.

- Cześć, Les!

- Witaj.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

- Wejdz.

Drobne słońce dopiero co wynurzyło się zza horyzontu i wydobyło z półmroku owal złudnego krajobrazu. W czerwonej poświacie zamajaczyły kontury najbliższych stojących sprzętów.

- Co to jest?

- Kawałek mojego świata.

- Pięknie tam...

- Wiem.

Podeszła do fotela i ze spuszczoną głową usiadła na poręczy pomiędzy ekranem a mną. W jej włosach zapłonęły ulotne miedziane skry.

- Przepraszam, nie zapytałam czy można usiąść...

- Można.
- Nie jesteś dziś specjalnie rozmowny.

W świetle wstającego nad Typhonem dnia pokój stracił całą tajemniczość i ukazał swoje wnętrze niczym nie różniące się od setek innych w Centrum. Podszedłem do okna i wbiłem wzrok w nieprzejrzystą ścianę czerni za szybą, skąd dobiegał monotony szum deszczu.

- Nie było cię ostatnio...

- Zwiedzałem świat.

- I jakie wrażenia?

- Dziękuję, znów przybyło mi trochę doświadczeń. A tobie jak się udał wyjazd?

- Mnie? Nieźle. Ach, wiesz, widziałam cię w programie Sieci i byłam okropnie dumna mogąc pochwalić się znajomością z tobą. Wyobraź sobie, nikt nie chciał mi wierzyć!

- Mam nadzieję, że w końcu uwierzyli.

- Rzeczywiście.

I znów milczenie spadło na nas dławiącym oparem. Widziałem w oknie odbicie jej nieruchomego profilu na tle krajobrazu Typhona. Dobrze byłoby popłynąć kiedyś łagodnym długim zboczem na dno krateru pędząc w rdzawej kurzawie odwiecznego pyłu, a potem poprowadzić ją wśród potrzaskanych obelisków Czarnego Labiryntu aż do sanktuarium, i w ciszy chłonąć jej wzruszenie.

Cichy brzęczyk w kącie oznajmił zjawienie się kolacji. Musiała go również usłyszeć, bo drgnęła i zwróciła się w moją stronę.

- Zjedz coś.

- Nie mam ochoty.

- Mimo to powinieneś, przecież nie jadłeś nic od dwóch dni.

- Ann - spojrzałem jej prosto w oczy - przyszedłaś do mnie prywatnie, czy służbowo?

Spuściła głowę i po namyśle odparła.

- Niepokoiłiśmy się o ciebie, więc postanowiłam zajrzeć tu, mimo, iż unikasz wszystkich i wszystkiego. Nie wolno zostawiać człowieka samego z jego problemami, czasem jedno słowo potrafi zdziałać wiele, bardzo wiele, nawet stać się przysłowiowym jęczyzkiem u wagi.

- Wiesz, przypomniało mi się coś! Kiedy zabrałaś mnie na wycieczkę, w góry, Czy ktoś wiedział o naszym wyjeździe?

- Bez zgody przełożonych nie mogłabym narażać cię na taki wysiłek.

- Zgody? A może polecenia?

- Nie rozumiem...

- Chodzi mi o to, czy ta wyprawa była przewidziana w programie mojej rehabilitacji?

- Dobrze, odpowiem ci, jeśli jesteś taki przenikliwy: a więc była. I co z tego?

- Już nic. Boleję tylko nad moją bezgraniczną głupotą.

- Les, o co ci chodzi?

- Jeśli to wszystko, co przydarzyło nam się wtedy, było tylko punktem z waszego harmonogramu, w takim razie powinien on zawierać jeszcze inne atrakcje. A może na dzisiejszy wieczór przewidzieliście najmocniejszą i właśnie po to tu przyszedłaś? No, odpowiedz, jeśli masz choć odrobinę odwagi!

Znieruchomiała z dłońmi zaciśniętymi na oparciu fotela i z twarzą bez wyrazu, jakby moje słowa nie dotarły do niej. Oczy z uporem wpatrywały się w długie garby wydm pośrodku złudnego krajobrazu.

- Powiedz coś!

Wstała i nie patrząc na mnie wyszła z pokoju. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, poczułem jak ciężar dławiący mnie od tygodni spływa gdzieś w dół i znika bez śladu. Równocześnie odezwał się głód, więc zabrałem się do kolacji, nie pamiętając już o niczym. Potem po raz pierwszy od dwóch dni wyszedłem na

zewnątrz.

Przenikliwy lodowaty wiatr z furją spadł na mnie i oślepił kurzawą mokrego śniegu zmieszanego z wodnym pyłem. Z wyciągniętymi przed siebie rękami ruszyłem w ciemność smagającą wyciem wichru i biczami mokrego chłodu, aż do ośliszej zimnej bariery, za którą gdzieś w dole szumiał potężny teraz potok. I długo, długo nie było nic prócz rozszalałych żywiołów nocy szarpiących moje zdrętwiałe z zimna ciało.

Wreszcie dłonie bez udziału woli rozluźniły kurczowy chwyt, a ja, potrącając stoliki dobrnąłem do majaczących we mgle drzwi oświetlonego korytarza. Nawet nie zastanawiałem się dokąd iść, to nogi same niosły mnie do sali łączności zewnętrznej. Miałem wrażenie, jakby ktoś drugi, ukryty gdzieś we mnie, podjął już decyzję, a ja byłem tylko wykonawcą jego woli niezdolnym już niczego zmienić w zapadłym wyroku.

Ktoś idący z przeciwka minął mnie i przystanął na chwilę, ktoś inny, stojący za przezroczystą taflą akwariium rozmigotanego tęczowym żywym skrzydłem, z zainteresowaniem wiódł za mną wzrokiem, dopóki nie skrył mnie zakręt korytarza. Dopiero wtedy przystanąłem i przejrzałem się w lustrze - mokre ubranie ściśle przylegało do ciała, a zlepione kosmyki włosów beładnie opadały na czoło. Na nieskazitelnie czystej posadzce pozostawiłem wyraźne mokre ślady.

Rząd automatów kontaktu zewnętrznego błyszczał w przyćmionym świetle pustej sali. Podszedłem do pierwszego z brzegu i nacisnąłem zielony starter informacji, a następnie wystukałem na klawiaturze: TRANSORBITAL. Martwy dotąd ekran zapłonął i zaczął zapełniać się nawałą liter i cyfr. Pojawiały się u dołu wciąż nowe szeregi znaków i szybko przesuwały ku górze by zniknąć z pola widzenia i zrobić miejsce następnym, zda się niecierpliwie czekającym na swoją kolejkę gdzieś w przepastnym wnętrzu magnetycznej pamięci. Coraz nowe wiele - cyfrowe liczby numerów wywoławczych płynęły bezgłośnie niebieską rzeką, a obok nich wykwiwały pomarańczowe nazwy placówek. Oczy chwyciły tylko niektóre z nich, często jedyne fragmenty nazw: ...PLANET ZEWNĘTRZNYCH, NADZÓR PARABOLICZNY, LABORATORIUM ORBITALNE „RING”...INTEX, BLOKADA CERERA...MEDES, LUNA FOR... Stop! Nie było sensu ciągnąć tego dalej. Pochyliłem się nad klawiaturą i wystukałem: TYLKO CENTRALNA INFORMACJA. Znowu pojawiły się liczby i napisy płynące od dołu ekranu, lecz tym razem nie znikły za górnym obrzeżem. Wybrałem numer stojący obok hasła REJSY D/Z FONIA AUT i wybiłem go na pulpicie cyfrowym. Bezosobowy głos automatu spłynął ze szczytu plastikowej kopułki nad moją głową:

- Transorbital, informacja o rejsach.

Przełknąłem ślinę cisnącą mi się do ust i powiedziałem prosto do mikrofonu:

- Kiedy i skąd odchodzi najbliższy statek na Marsa?

Jak zwykle nastąpiła kilkusekundowa przerwa, w czasie której automat dokonywał kolosalnej ilości operacji nad rozkodowaniem mojego pytania, wybraniem odpowiedzi i przetransformowaniem jej na artykułowane dźwięki.

- Za pięć dni z orbity parkingowej delta zero siedemnaście. QSS „Warkocz Bereniki”.

- Czy... czy są jeszcze jakieś wolne miejsca?

- Załoga i ładunek w komplecie - odparł automat tym samym bezbarwnym głosem. Dopiero teraz pojąłem głupotę mojego pytania - na pięć dni przed startem szukać wolnego miejsca w rakiecie DZ! Całe szczęście, że nie rozmawiałem z człowiekiem.

- A kiedy następny z kolei?

- Doświadczalny traser „Neutrino”, start minus pięćdziesiąt cztery dni z satelity Terra Beta.

- Chciałbym zarezerwować jedno miejsce pasażerskie.

- Rezerwacja w dyspozycji człowieka. Łączę z dyżurnym dyspozytorem.

Zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, na ekranie ukazał się mężczyzna w szafirowym mundurze służb organizacyjnych. Nienagannie uczesane włosy, wypracowany uśmiech na twarzy i dyskretna pewność siebie miały wzbudzać zaufanie do reprezentowanej firmy.

- Tu „Transorbital”, Biuro Dyspozycji Rejsów.
- Chciałbym zarezerwować jedno miejsce na „Neutrino”.
- Proszę włączyć wizję i podać swoje dane identyfikacyjne.

Szybko przyglądałem rozsypane włosy i wcisnąłem żółty klawisz wizji. Na miniaturowym monitorze kontrolnym ujrzałem twarz naznaczoną znamieniem desperackiej odwagi i zdecydowania. To byłem ja. Od kąćków ust biegly ku górze dwie skośne bruzdy, których jeszcze kilka dni temu z całą pewnością nie było.

- Chciałbym odlecieć na „Neutrino”.
- Przepraszam, a kogo pan reprezentuje? - mój rozmówca był najwyraźniej zaskoczony.
- Samego siebie. Po prostu - chcę odlecieć na Marsa.
- W jakim charakterze?

- Jako pasażer przybyłem tu na „Centaurze” i mam prawo powrotu w dowolnym terminie. Nazywam się Les Kassai.

- Chwileczkę, proszę poczekać - dyspozytor zniknął z pola widzenia odsłaniając planszę z godłem „Transorbitalu”. Nie potrafiłbym określić czy nie było go kilka minut, czy tylko kilkanaście sekund. Kiedy znów się pojawił, z jego twarzy przebijało tylko zainteresowanie.

- W porządku, rezerwujemy jedno miejsce. Proszę być z nami w kontakcie i potwierdzić swój zamiar na miesiąc przed odlotem, a wtedy skierujemy pana na badania przedstartowe. Życzymy powodzenia!

- Jeszcze jedno... Mam tu przyjaciela i chciałbym go odszukać. Mówił, że wystarczy zapytać o was.
- Jak się nazywa?
- Mikos... Mikis... Zapomniałem nazwiska.
- Bardzo mi przykro...
- On wchodził w skład załogi „Centaura”, a tam wszyscy nazywali go Ganym.
- Aaa, Gany! Zaraz go znajdę.

Tym razem jego nieobecność trwała znacznie krócej. Kiedy się pojawił, w jego twarzy nie było już ani śladu oficjalnej uprzejmości, lecz tylko zwykła ludzka życzliwość.

- Jest u siebie w domu, mogę was natychmiast skontaktować.
- Nie! Chciałbym zrobić mu niespodziankę.

- Wobec tego podaję wypis jego adresu. - Zaszumiła drukarka i wyrzuciła z siebie kawałek papierowej taśmy upstrzonej rzędami znaków.

- Dziękuję!
- Życzę powodzenia u nas na Ziemi!

Wyszedłem z sali ściskając w dłoni perforowaną kartkę z egzotycznie brzmiącą nazwą ulicy w dalekim Pireusie. Wszystkie problemy wydały mi się teraz już mało ważne, wręcz śmieszne, a nawet cętki skrzepłej krwi na rękach stały się jakby mniej widoczne. Przystanąłem koło akwarium, gdzie za kilkumilimetrową szklaną taflą rozpościerał się zdumiewający, barwny strzęp jeszcze innego świata.

XI

Żar spływał z bezchmurnego nieba na rozmiękły asfalt krętych uliczek, na płaskie dachy białych domów o zasłoniętych żaluzjami oknach, na przywiedły w spiekocie szpaler mizernych krzewów, ciągnący się wielkim łukiem wzdłuż brzegu zatoki. Rozprażone wąskie uliczki zbiegały wprost ku morzu, jakby szukały ochłody w jego nierealnie szmaragdowej wodzie, w ciszy upalnego dnia nie zmaconej nawet najdrobniejszą zmarszczką fali. Dziesiątki jachtów ze zwiniętymi żaglami zdawały się czekać na wiatr, który kiedyś przyjdzie od rozwartych ramion przystani, od morza, i tchnie życie w nieruchome kadłuby.

Przewyciężając zmęczenie zagłębiłem się w labirynt uliczek mozolnie wstępujących na wzgórze. Gdzieś tam, u stóp amfiteatru, był jego dom.

Drobna, zasuszona staruszka krzątała się w cieniu rachitycznego drzewa za niskim, kamiennym murem. Jeszcze raz sprawdziłem numer domu - zgadzało się.

- Dzień dobry! - zawołałem od furtki. - Czy tu mieszka Mikis Stratopulos?

Znieruchomiała z ręką wyciągniętą w stronę starego krzesła, a po chwili zwróciła ku mnie twarz i kiwnęła twierdząco głową.

- Czy zastałem go w domu?

Podreptała w głąb podwórza i zawołała coś niskim chrapliwym głosem. Po chwili zjawiała się młoda kobieta w fartuchu upstrzonym wielobarwnymi plamami farb.

- Matka nie zna żadnego innego języka oprócz greckiego. W czym mogę panu pomóc?

- Nazywam się Kassai. Jestem znajomym Mikisa i właśnie znalazłem się w tych stronach...

- Proszę wejść - otworzyła furtkę i zaprowadziła mnie do altanki ocienionej gęstwiną winorośli. -

Przepraszam za mój strój, ale właśnie malowałam.

- A gdzie jest Gany?

- Kto?

- Mikis.

- Wczoraj wieczorem dostał pilnie wezwanie i zaraz wyjechał. Podobno ktoś z załogi mającej lecieć na Marsa miał wypadek i trzeba go było zastąpić. Mój brat oczywiście zgodził się bez słowa protestu i znów pozwolił na kilka miesięcy zamknąć się w stalowym pudle zagubionym gdzieś wśród gwiazd.

- Czy to chodziło o „Warkocz Bereniki”?

- Tak! Skąd pan wie?

- Przypadkowo interesuję się takimi sprawami. No cóż - w takim razie na mnie już czas - powiedziałem wstając.

- Kiedy wróci, powiem mu o pańskich odwiedzinach.

- Nie trzeba, on już będzie wiedział.

- Jak to? - przystanęła zdziwiona obok furtki wiodącej na ulicę. - Od kogo?

- Sam mu o tym powiem, kiedy się spotkamy w Typhonie. Do widzenia!

- A więc ty też... tam - powiedziała ze smutkiem, ni to pytającym ni twierdzącym tonem. - Szczęśliwej drogi, chłopcze!

- Dziękuję.

Wstąpiłem w skwar bijący od nagranych murów starych domostw. Przedemną, w dole, przyciągał oczy upstrzony przecinkami jachtów owal przystani, a za nim szeroko rozpościerała się nieskazitelna gładkość zatoki, by błędąc w oddaleniu niepostrzeżenie przejść w błękit przestworzy. Po lewej, za linią brzegu, rozlewało się aż po horyzont szare kamienne morze domów, pośród którego wyrastały wyspy białych, skalistych wzgórz zasnutych mgiełką oddalenia.

Lejący się z bezchmurnego nieba żar wyciskał ze mnie ostatek sił, pozbawiał energii i woli. Jeszcze prawie pół setki dni trzeba przetrwać, by znów znaleźć się wśród przyjaznych gwiazd i z zadumą spojrzeć na odchodzącą w czerń mleczno - błękitną planetę ludzi. Nie, już nie pięćdziesiąt, już tylko niecałe dwadzieścia, bo potem zacznie się gorączka ostatnich przygotowań i odlot na Terra Beta. Wytrzymałem tyle, wytrzymam jeszcze trochę. Ale do Centrum nie wrócę! Giselle... Obiecałem tej małej, że ich odwiedzę, trzeba dotrzymać słowa. Muszę jeszcze tylko rzucić okiem na Akropol.

Czerwone słońce powoli zbliżało się do kresu swej dziennej wędrówki, a upał zelżał w nieśmiałych podmuchach morskiego wiatru. Przez olbrzymi, przejrzysty klosz przykrywający szczyt legendarnego wzgórza, gdzieś wysoko nad skałami i murami przeświecał wyszczerbiony szereg kolumn Partenonu.

Kiedy dotarłem do bramy wejściowej słońce skryło się już za horyzontem, a wewnątrz kopuły zapalały się reflektory wydobywając z mroku coraz nowe fragmenty marmurowych budowli. W ich świetle znikła ochronna czasza i święte wzgórze znów zdawało się swobodnie królować nad swoim miastem jak w czasach, kiedy człowiek nie musiał go jeszcze chronić przed samym sobą.

Wewnątrz było cicho i chłodno. Nieliczne grupki ludzi w milczeniu schodziły po stopniach Propylejów kierując się do wyjścia. Niekiedy ktoś przystanął, by spojrzeć, może po raz ostatni, na masywne kolumny u szczytu schodów i na rzeźbiony joński fryz małej świątyni z prawej strony.

Z dziwnym uczuciem wspinałem się po szerokich kamiennych stopniach, a potem zakosami betonowego chodnika wijącego się wśród głazów i potrzaskanych szczątków dawnej świetności, aż wziął mnie w objęcia surowy pion archaicznych kolumn wykutych rękami bezimiennych rzemieślników na chwałę nieistniejącym bogom i władcom z krwi i kości. Stoją tu niewzruszone od dwudziestu pięciu wieków, wyższe ponad wojny, głód i zarazy, ulotną sławę władców i artystów, ponad narodziny i upadki światowych imperiów. Człowiek z kwadrygi przesiadł się na rakiety, mity i baśnie zamienił w rzeczywistość, a one tkwią niezmiennie, jak wyzwanie rzucone czasowi przez kamień i pracę. Dumne są te bloki dźwigające resztki stropu, lecz jeszcze większa powaga i dostojeństwo przebijają z tych samotnych, nie służących już niczemu innemu, jak tylko trwaniu.

Spoconą dłonią dotknąłem rowkowanej powierzchni kolumny i wraz z chłodem bijącym od kamienia spłynął na mnie spokój i ukojenie od trosk. Cóż znaczą sprawy pojedynczego człowieka wobec ciągu dziejów zawartego między spiętrzeniem tych głazów w strzelisty słup, a moim ich dotknięciem? Miną dalsze wieki, czas pożre pamięć małych i wielkich udręk, szczęść i euforii, w proch się obrócą dzieła intelektu i precyzji zawieszane w bezmiarze galaktycznej próżni, a chłodna bryła powołana do istnienia wprawą i potem niepiśmiennego kamieniarza niezmiennie będzie wzruszać potomnych, jeśli tylko nie zostanie im odjęty wielki dar wrażliwości.

Wiedziałem co ujrzę za wysokim prostokątem kamiennej bramy, lecz i tak wrażenie było ogromne - za pochyłą płaszczyzną nagiej, spękanej skały wznosiła się najpiękniejsza budowla ludzkości. W przyćmionym świetle ukrytych reflektorów pyszniły się zakłęte w biały marmur idealne proporcje starej świątyni. Burzliwe dzieje zerwały jej dach, wyszczerbiły fryzy i kolumny, ale nie ujęły nieśmiertelnego piękna zawartego w genialnej koncepcji starożytnych architektów. Zdawała się unosić nad otaczającym ją mrowiskiem bezkształtnych kamieni, potrzaskanych kolumn i kapiteli, resztkami marmurowych budowli czy pomników, tak już przez wodę, słońce i czas zniszczonych, że nie wiedzieć - głazy to zwyczajne, czy też złomy boskich posągów.

Przewyciężając nieśmiałość ruszyłem ku zakłętemu w marmur pięknu sprzed wieków.

Ostatni zwiedzający opuścili już szczyt wzgórza i w samotności stanąłem przed ośmiokolumnową fasadą Partenonu. Nie wiem jak długo tkwiłem tam nieruchomy, bez reszty opanowany magią wielkiego spełnienia, wpatrzony w mrok świątyni objętej zbiegającymi się rzędami kolumn. Nie widziałem niczego, umysł zdawał się nie zawierać żadnych myśli, nie dokonywać żadnych skojarzeń.

Nagle jakiś głos niemiłym zgrzytem wyrwał mnie z krainy oczarowania na powierzchnię rzeczywistości.

- Zamykamy!

Drobny człowiek w białym uniformie strażnika stał o kilka kroków za mną. Założone do tyłu ręce i szeroko rozstawione nogi miały mu prawdopodobnie dodawać urzędowej powagi.

- Już? Ja dopiero co wszedłem.

- Wiem, obserwuję cię od kilku minut. Pierwszy raz na Akropolu, prawda? - niby zapytał, a faktycznie stwierdził tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Pierwszy - przyznałem.

- To od razu widać, za pierwszym razem robi największe wrażenie. Muszę jednak przyznać, że nie widziałem jeszcze człowieka tak pochłoniętego urodą tych surowych marmurów. Szedłeś ku nim jak zahipnotyzowany, jakbyś po raz pierwszy widział piękno uczynione ręką Człowieka.

- To prawda. Napatrzyłem się na przerażające piękno skały i przestrzeni stworzone miliardoletnią cierpliwością czasu, nieubłaganą logiką przypadku i praw przyrody, każdym nerwem chłonałem tajemniczą muzykę słońc i galaktyk nieprzerwanie płynącą z bezmiarów Wszechświata, uszczknałem dla siebie strzępki czaru Ziemi zawartego w leniwym ruchu obłoków w błękicie, w szaleństwie wodospadu zwalającego się z rykiem w mokrą czeluść wąwozu, w zuchwalstwie drobnego kwiatka przebijającego się przez spieczone warstwy żużlu, w dziewczęcym uśmiechu, lecz dzieła człowieka dotychczas przemawiały do mnie tylko wyrachowaną celowością swego istnienia, gdzie nawet rzadki element zaskoczenia był precyzyjnie zaprojektowany.

- Kim ty jesteś?

- Nikim. Pustą ludzką matrycą, z której może powstać coś, lub nic, kawałkiem stali oczekującym na dobroczynny wpływ magnesu, skalną bryłą na misterną rzeźbę lub na brukowy kamień.

- Dziwnym jesteś człowiekiem! Mówisz jakbyś należał do innego czasu i świata. Może lepiej czułbyś się wśród tych, co w marmury tchnęli ducha piękna i spiętrzyli je na wieczny podziw potomnych? Spójrz, z jakim wdziękiem te kariatydy dźwigają na swych głowach ciężar stropu, jakby nie odczuwały go wcale. Sześć wspaniale wypracowanych rzeźb, sześć dzieł sztuki w miejscach, gdzie wystarczyłyby zwykłe kolumny. Często patrząc na nie ludzie pytają: dlaczego? Dlaczego oni wkładali tyle trudu, tyle serca w to, co robili? - Bo takie były wtedy czasy - odpowiadam. - Czasy niebywałego rozkwitu człowieczego geniuszu, zdumiewające czasy złotego wieku Aten i całego wszechstronnie utalentowanego, dumnego i bohaterskiego narodu. Nigdy przedtem, ani nigdy potem ludzkość nie wzniosła się na takie wyżyny ducha, jak na tym skrawku skalistej ziemi zewsząd otoczonym wodami mórz usianych mrowiem kolorowych wysp. Naród filozofów i odkrywców, wybitnych wodzów i żeglarzy, zręcznych polityków, wrażliwych artystów i niezłomnych wojowników - zaiste, nie było w krainie gromowładnego Zeusa miejsca na miernotę!

Wstrząsający był dwudziesty wiek, gdy człowiek oderwał się od Ziemi, a równocześnie stanął nieomal bezradny wobec niszczycielskich sił przez siebie samego rozpętanych, wiek zachłannego wnikania nauki w każdą najdrobniejszą szczelinę w wielkim gmachu Materii, pora rozkręcającej się spirali szaleństwa i kontrastów, pora wszechogarniającej techniki i standaryzacji maszyn, ludzi oraz ich uczuć, lecz nie równać mu się z harmonią czasów Peryklesowych.

W tym samym czasie i w tym samym mieście tworzyli swoje nieśmiertelne tragedie Sofokles i Eurypides, a wielki kpiarz Arystofanes zaczynał wyszydzać wszystkich i wszystko, tutaj, może nawet w tym samym miejscu, gdzie spoczywają nasze stopy, boski rzeźbiarz Fidiasz rozprawiał z architektami o kształcie wznoszonego Partenonu, do Aten przybywał zza morza dociekliwy badacz dawnych wieków - Herodot, a także ojciec medycyny - Hipokrates, bosonogi mędrzec Sokrates głosił swoje poglądy, z których wkrótce zrodził się idealizm Platona i nieogarniony geniusz Arystotelesa. A setki innych, mniej znanych, choć może również utalentowanych arystokratów ducha?

Myron i Poliklet, od których nikt doskonalej nie oddał w kamieniu proporcji ludzkiego ciała, zawsze elegancki filozof Hippiasz, złotousty znawca prawa Lizjasz - czyż każdy z nich nie byłby chlubą każdego narodu? Zapytasz z czego wziął się taki nagły wybuch niepospolitych zdolności, uporu i pracowitości, wszystkiego tego, co tworzy ludzki geniusz? Nie wiem. Jestem tylko małym, prostym człowiekiem strzegącym spokoju zmurszałych kamieni i nie wstydzę się mej niewiedzy, bo nikt nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Przypadek rozciągnięty w czasie na wiek? Ślepa gra wielkich liczb? A może coś innego, może geniusz jest tak samo częsty jak szara przeciętność i niewiele trzeba, aby go wyzwolić, może wystarczy tylko aby władcy zaufali filozofom i dali posłuch ich cierpkim słowom?

Zamilkł i jakby z zażenowaniem spuścił wzrok na białe płyty wyslizgane milionowymi stąpaniami stu pokoleń. Znowu był tylko zwykłym dozorcą kończącym kolejny dzień monotonnej pracy wśród spoconych, zabieganych tłumów i obojętnych na wszystko głazów.

- A ich bogowie? Gdzie tutaj jest miejsce dla nieśmiertelnych z Olimpu?

- Bogowie? - uśmiechnął się z dobroliwą wyrozumiałością. - Bogowie to tylko pretekst. Ludzie zawsze muszą mieć jakiś cel, dlatego też od zarania wymyślili bogów, aby móc im wznosić świątynie i pomniki, opiewać wzniosłymi strofami i sławić, wielbić, adorować. Trudno wznosić pagody nie nazwanemu Dobru, układać hymny na cześć Nadziei, malować kształty bezcielesnego Piękną - potrzebny jest Ozyrys, Atena, Ouetzatcoatl, a wtedy można dać upust twórczej gorączce, bo wreszcie ma się tak pożądany Powód. Jeśli kiedyś wyzwolimy się z zaklętego kręgu celowości, być może powstaną dzieła największe - lub nie powstaną żadne. Tutejsi bogowie byli najbardziej ludzkimi ze wszystkich, mieli wszystkie zalety i wady człowiecze, może właśnie dlatego ich świątynie tak głęboko wzruszają kolejne pokolenia mieszkańców Ziemi.

Bez słowa ruszył w dół, w stronę surowych kolumn Propylejów wydobytych z mroków nocy światłami reflektorów. Jeszcze raz spojrziałem na białe mury Erechtejonu i pobiegłem za nim.

- Dziękuję!

- Za co? - zdziwił się.

- Za wszystko. Nie przypuszczałem, że istnieją tacy ludzie.

- Wrócisz tu! - powiedział z przekonaniem.

- O, nie! Wkrótce udam się tam, gdzie jest moje miejsce, a to daleko, bardzo daleko stąd. Muszę jeszcze tylko spełnić jedno przyrzeczenie i będę całkowicie wolny.

- Człowiek umiera i nie jest pewien, czy przeżył swój czas we właściwym miejscu. Do zobaczenia!

Skręcił w lewo i zniknął za załomem muru z gładkich bloków skalnych, wzniesionego na chwałę bogów, czy też ludzi.

XII

Ogromne, czerwone słońce dotknęło odległego krańca sawanny i z wolna zaczęło pograżać się za horyzontem. Z rzadka rozrzucone po równinie drzewa rzucały niekończące się cienie na łany zeschniętej trawy łaknącej choć odrobiny deszczu. Za chwilę rozżarzony krąg zniknie zupełnie i na świat spadnie nagle tropikalna noc z tysiącem tajemniczych odgłosów rozbuchanego życia Afryki. Jeszcze tylko przez chwilę zalśni w oddaleniu krwawą bielą ośnieżony ścięty stożek Góry, zda się zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, i czerń pochłonie wszystko oprócz gwiazd. Wtedy na werandzie zapłoną kuliste lampy, a chmury owadów zlecą się do nich, by wokół odprawiać swoje brzęczące misterium życia. Jak co dzień.

Ileż to już takich zachodów słońca obejrzałem z tego miejsca! Wszystkie podobne do siebie jak krople wody, lecz mimo to różne nastrojem chwili przedwieczornej, niepowtarzalną atmosferą pierwotnej przyrody Ziemi ucieleśnionej w stadach płochliwych antylop, w potędzie słoni idących do wodopoju, w gracji biegnących żyraf.

Jakże innym wzrokiem patrzyłem teraz na nich! Zwalisty, dobroduszny Jaques, tak rażący na błyszczącym tle astroterminalu, tutaj, na bezkresnych przestrzeniach parku, wśród swoich ulubionych zwierząt, jawił się zupełnie innym, pewnym siebie i znającym swą wartość człowiekiem. Kiedy po kolejnym dniu pracy wracał do domu i witał się z Marią, kiedy nieodmiennie podnosił pod sufit uradowaną małą Giselle, wtedy ze zdumieniem stwierdzałem, że zaczynam mu zazdrościć czegoś niezrozumiałego, co jak niewidzialna nić spaja tych troje ludzi.

I jeszcze Net - ojciec mojego ojca, zawsze pełen spokoju i rozwagi, nie narzucający się z dobrymi radami, ani ze swoją obecnością. Polubiłem go od pierwszej chwili, gdy przywitał mnie jak przyjaciela wracającego z dalekiej podróży, z prostotą stwarzającą wrażenie oschłości. Było w nim tyle znajomego, tyle jakiegoś wewnętrznego ciepła, że chłonałem każde jego słowo i każdy gest.

Pierwszego wieczoru usiadł koło mnie na werandzie i zaczął opowiadać, a wraz z każdym jego słowem zdawały się spływać na mnie obrazy wyczarowane siłą jego woli. Opowiadał o zdarzeniach ze swego życia wypełnionego szlachetną pasją ratowania żywego piękna Ziemi.

- Cześć, Les! - jego głos wypłynął z gęstniejącego mroku jadalni.

- Dobry wieczór!

Usiadł w wysłużonym trzcinowym fotelu i spojrzał na rozpływający się już w szarości kontur Kilimandżaro.

- Jak ci dzisiaj poszło?

- Jaques pokazał mi zagrodę adaptacyjną, a potem usiłowałem wgryźć się w systematykę i zwyczaje drapieżników.

- Przypomniałeś mi pewne wydarzenie sprzed lat. Jeśli chcesz - opowiem ci o nim.

- Proszę!

- Było to w czasie, kiedy ty, gdzieś tam, wśród gwiazd, zaczynałeś wymawiać pierwsze słowa, ja zaś pracowałem w Azylu wraz z pewnym niepozornym człowiekiem bez reszty oddanym swojej pasji. Pewnego dnia szedłem zamyślony wzdłuż brzegu, gdy nagle usłyszałem wołanie:

- Net, zaczekaj!

Po drugiej stronie kanału stał opiekun zwierząt Novak i machał do mnie ręką, rozejrzałem się więc i

usiadłem na najbliższej ławce ustawionej w cieniu potężnego figowca. Spod szerokiego ronda słomkowego kapelusza patrzyłem jak tamten niezgrabnie biegnie w stronę najbliższego mostka łączącego oba brzegi. Wyglądał groteskowo - pękaty tułów na krótkich nóżkach śmiesznie podrygiwał za każdym krokiem, a szerokie, przydługie szorty z kwiecistego materiału dopełniały komizmu postaci. Przy samej bramce stanął pochylony i przez moment zdawał się rozmawiać z kimś leżącym czy też siedzącym w zagłębieniu terenu. Po chwili obok niego wyrosła sylwetka nosorożca; Novak poklepał go po łbie i już wolno wkroczył na służbową kładkę opatrzoną skomplikowanym zamknięciem. Znalazłszy się po drugiej stronie kanału znów przyspieszył i zdyszany dobiegł do ławki.

- Co takiego? - zapytałem.

- Rani! Rani nie żyje!

- O, cholera! Gdzie?

- Na Żółtej Polanie.

- Wypadek?

- Nie, zdechła.

- Jak to: zdechła?

- No, po prostu zdechła. Przechodziłem tamtędy przypadkowo i zobaczyłem ją obok tej kępy zeschniętych krzaków, nienaturalnie wyciągniętą.

- Od kiedy nie żyje?

- Chyba od wczoraj.

Wstałem i nerwowo zacząłem przechadzać się przed ławką - sześć kroków w jedną stronę, nawrót, sześć kroków w przeciwną i od nowa. Po kilkunastu nawrotach zatrzymałem się na wprost siedzącego opiekuna zwierząt i zapytałem:

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- W zeszłym tygodniu, podczas karmienia.

- Dokładniej!

- Chyba w sobotę... Tak, na pewno w sobotę rano.

- Jakie wrażenie sprawiała?

- Była osowiała, jak wszystkie nasze wielkie koty. Poza tym nie było w jej zachowaniu niczego specjalnie niepokojącego.

- A mimo to we wtorek zdechła. Już ja sobie wyobrażam co się będzie działo, kiedy zamelduję o tym w dyrekcji! Bądź przygotowany na wieczorną odprawę - protokół, wyniki sekcji. No wiesz, tak jak poprzednim razem.

- Będzie wszystko.

- A więc działaj.

Novak podniósł się z ławki i ruszył w stronę ukrytych w zieleni baraków parku maszynowego. Nie lubił tej strony kanału, upstrzonej domkami obsługi Azyłu, hotelami i restauracjami zawsze pełnymi rozkrzyczanych turystów, nie mógł patrzeć na piękny ongiś las, teraz pocięty gęstwiną asfaltowanych dróg, i na zaśmiecone plaże. A już najbardziej nie cierpiał wiecznie zatłoczonej kolejki, cztery razy dziennie wdzierającej się na tamtą stronę i okrążającej królestwo zwierząt.

W parku nie było nikogo, wziął więc pierwszy z brzegu wózek terenowy na szerokich gumowych kołach i ruszył w kierunku głównego mostu. W chwilę później był już na drugiej stronie kanału, gdzie tylko przebłyskujące niekiedy pomiędzy drzewami tory kolejki zakłócały piękno nieskażonej przyrody.

Pomału jechał znaną sobie trasą, od czasu do czasu przystając w pobliżu grupki pasących się lub wypoczywających zwierząt. Niektóre podchodziły wtedy do niego, a on głaskał je po szyjach, szeptał coś. Potem jechał dalej odprowadzany spojrzeniami wielkich, smutnych oczu. Na moment zapomniał

nawet dokąd J po co jedzie.

Spomiędzy drzew wynurzyła się czarna - biała rodzina zebra i spokojnie zmierzała w stronę wygrzewającego się na skałach samotnego lwa, dwunastoletniego Bwany. W zagłębieniu pod pękatym baobabem taplała się para olbrzymich waranów z Komodo, chluba Azylu.

Żółta Polana wyglądała tak samo jak przed godziną, gdy dokonał wstrząsającego odkrycia. Te same rozkołysane czuby palm, to samo stadko żyraf zajętych oskubywaniem gałęzi z liści, ta sama kępa zeschniętych krzaków.

Już były! Trzy sępy siedziały na gałęziach martwego drzewa, a czwarty płynął w błękicie, czarną sylwetką kreśląc kręgi śmierci.

Z trudem wcisnął linki pod martwe ciało tygryscy i dźwigiem wciągnął je na wózek. Sępy ciężko zerwały się do lotu i krążąc wysoko nad konarami drzew odprowadziły go aż do mostu na kanale.

Net przerwał i z uwagą zaczął się wsłuchiwać w ciszę nocy. Nie pytałem o nic, bo już zdążyłem poznać go na tyle, by wiedzieć, że mówi tylko to, co chce. Wnet napięcie znikło z jego twarzy i zaczął kontynuować swoje opowiadanie.

- Wczorajem zebraliśmy się w sali odpraw. Gwar rozmów ucichł wraz z pojawieniem się Trasherera. Z charakterystycznie opuszczoną głową zajął on miejsce przy stole i natychmiast zaczął wertować mój raport. Gdy skończył - ściągnął usta, podniósł wzrok i rozejrzał się po sali.

- Net! - usłyszałem swoje imię.

- Tak...

- Referuj!

- Dzisiaj przed południem opiekun zwierząt Novak znalazł na Żółtej Polanie martwą tygryscę Rani. Dla przypomnienia: miała sześć lat, przywieziona z ogrodu zoologicznego w New Delhi. Ekspertyzę przedstawi zespół weterynaryjny.

- Gotowi? - zapytał Trasher patrząc w blat stołu.

- Tak jest! - uśmiechnięty jak zwykle doktor Nayama podniósł się ze swojego miejsca. - Czy można czytać? - zapytał.

- Streścić.

- A więc sekcja wykazała, że przyczyną śmierci Rani nie był żaden uraz czy też jakiegokolwiek zmiany anatomopatologiczne, nie była nią infekcja, ani zatrucie chemiczne.

- W takim razie 60 się do cholery stało?!

- Podejrzewamy zaburzenia hormonalne.

- Podejrzewacie... A ja podejrzewam, że wy wszyscy nadajecie się do pracy w chlewni, a nie w Globalnym Azylu Zwierząt! Co tutaj się dzieje? W ciągu ostatniego roku padły dwie lwice, trzy tygryscę, lampart, para ocelotów i gepard. Same młode sztuki, ogromnym nakładem kosztów sprowadzone z całego świata. W tym samym czasie po stronie przychówku zanotowaliśmy raptem trzy serwale. A teraz jeszcze Rani, nasza chluba i nadzieja! Czy wyście zapomnieli, że jesteśmy tu po to, aby ocalić od zagłady najpiękniejsze gatunki dzikich zwierząt? A my powoli zamieniamy się w grabarzy. Jeśli nasza praca w dalszym ciągu będzie przynosić takie rezultaty jak obecnie, to za kilka lat będziemy pokazywać zwiedzającym wielkie drapieżniki tylko na filmach. Ale jeszcze wcześniej ktoś gdzieś palnie pięścią w stół i wykopie stąd cały personel, ze mną na czele. I będzie to bardzo rozsądne pociągnięcie. Lecz nim do tego dojdzie, ja się za was wezmę. Jak kogoś złapię na niedopatzeniu, to mnie popamięta... Net!

- Tak...

- Sprawa pożywienia.

- Wszystkie mięsożerne otrzymują zgodnie z instrukcją P-11. Przydział przewyższa zapotrzebowanie o około dziesięć procent. Nadwyżki usuwane są na bieżąco przez opiekunów zwierząt. Żadnych

nieprawidłowości nie stwierdzono.

- Witaminy?

- Selektywnie dla każdego gatunku. Równomiernie rozprowadzone w całej masie pożywienia.

Żadnych uchybień.

- A mikroelementy?

- Podaje się co trzeci dzień. Rygorystycznie przestrzegane.

Trasher umilkł wpatrzony w stół. Po chwili wstał i zaczął się przechadzać po sali.

- No więc powiedzcie co się dzieje? - zapytał zupełnie innym tonem. - Wszystko jest w idealnym porządku, a zwierzęta nie rozmnażają się i giną bez powodu. Zwariować można!

Odpowiedziała mu cisza, wypełniona jedynie delikatnym szumem klimatyzatorów. Za oknami narastający wiatr coraz niżej przyginał postrzępione czuby palm. Czarna burzowa chmura nadciągała od strony otwartego morza.

- Sądzę, że powinniśmy zwrócić się o pomoc do zooneuroendokrynologów - zaproponował Nayama i znów zapadło dławiące milczenie. W gęstniejącym mroku Trasher wrócił na miejsce za stołem i wyczekująco wodził wzrokiem po sali.

- Jeśli można... - rozległo się gdzieś w ostatnim rzędzie.

- Novak? Proszę.

- Ja nie neguję stanowiska doktora Nayamy; po prostu nie znam się na tym. Prawdopodobnie jest właśnie tak, jak on uważa. Być może specjaliści potrafiliby usunąć takie czy inne niedomagania zwierząt, ale na dłuższą metę niczego by to nie rozwiązało. Moim zdaniem problem leży zupełnie gdzie indziej, mianowicie w nienaturalnym trybie życia wielkich drapieżników. My, ludzie, najpierw wyrugowaliśmy je z większości puszc i sawann, a teraz dręczeni wyrzutami sumienia usiłujemy ratować niedobitki tych wspaniałych zwierząt, stwarzając im znakomite warunki życia. Tu jest błąd! Niepotrzebną opieką i nadmiarem pożywienia zabiłszy w nich krwiożercze instynkty, a nie można zniszczyć instynktów, nie zabijając równocześnie zwierząt. Jakże jesteśmy dumni z siebie karmiąc z butelki, w zaciszu służbowego gabinetu, małe jaguary czy wilcze szczenięta - kulturalnie, higienicznie, sterylnie. Chronimy je przed zimnem, przed głodem, niebezpieczeństwami, skutecznie oduczamy polować, walczyć i zabijać - oduczamy żyć. A przecież zostały stworzone przez przyrodę do ustawicznej walki, do bezwzględного przelewania krwi słabszych, by doskonalić się w toku nie kończącego się zmagania, dla dobra własnego gatunku i dla dobra tych osaczanych i zabijanych. Niemożliwością jest wytłumaczyć to zagonionej antylopie z buszu, ale celowe i konieczne człowiekowi, który uczynił się odpowiedzialnym za losy planety. Zabierając drapieżnikom cel ich istnienia, skazaliśmy je na śmierć, a roślinożerne na powolną degenerację.

- Czy masz jakieś konkretne propozycje? - zapytał Trasher.

- Mam jedną, niezwykle prostą: zostawmy zwierzęta w spokoju.

- Jak to należy rozumieć?

- Niech żyją, walczą i giną zgodnie z odwiecznym porządkiem. Niech same zdobywają pożywienie i opiekują się młodymi. I zlikwidujmy tę cholerną kolejkę dla turystów.

- Wykluczone!

- Możemy skorzystać z paragrafu o izolacji zwierząt uciążliwych - odezwał się Nayama.

- Tak, tak - podchwyciło kilka głosów.

- Ale gdzie?

- Choćby na wyspie Rongo - zaproponował Novak.

Trasher podszedł do wiszącej na ścianie mapy i odnalazł naniej zielony punkt w pobliżu północnych brzegów głównej wyspy Azylu, po czym odwrócił się do sali i zapytał:

- Co wy na to?

Odpowiedział mu las uniesionych do góry rąk.

- Potem pojechałem na dłuższy urlop, a kiedy wróciłem do pracy, pierwszym moim zadaniem była inspekcja wysepki Novaka. Kilkanaście metrów od brzegu wyłączyłem silnik i motorówka siłą rozpędu dopłynęła do nieskalanej plaży Rongo. Wygrzany w słońcu piasek parzył w bose stopy, kiedy biegłem owinać cumę wokół najbliższego drzewa. Stanąwszy w cieniu czekałem na pierwszą większą falę. Wreszcie nadpłynęła i nieznacznie uniosła łódź. Szybkim ruchem ściągnąłem jeszcze z metr linki, związałem na chropowatym pniu i pobiegłem po buty. Zaledwie wciągnąłem je na bose stopy, gdy ze zwartej ściany zieleni wynurzył się uśmiechnięty opiekun zwierząt, jak zwykle ubrany w komiczne kwieciste szorty.

- Witaj w moim królestwie! - zawołał osłaniając dłonią oczy nieprzywykłe do blasku otwartej przestrzeni.

- Cześć! Co u ciebie słychać?

- To ty możesz coś ciekawego opowiedzieć. Taki urlop! Góry, śnieg, narty!

- Było, minęło. Prowadź lepiej do twojego domku.

Weszliśmy w parny, tętniący życiem gąszcz podzwrotnikowego lasu. Nikła ścieżyna wiła się wśród zarośli, miejscami zupełnie ginąc na twardym podłożu, lecz Novak prowadził bez zastanawiania się. Po kilkunastu minutach stanęliśmy na skraju sporej polany, z rzadka porośniętej kępami bambusa. Obok najbliższej z nich przycupnął typowy boks mieszkalny, prawie całkowicie wtopiony w tło.

- Zamaskowałeś go!

- Staram się nie kontrastować z otoczeniem - opiekun zwierząt szeroko otworzył drzwi. - Wejdz do środka.

- No, opowiadaj, ale szczegółowo i od początku.

- Tu, na Rongo, nie było żadnych większych ssaków. Długo zastanawialiśmy się nad doborem zespołu zwierząt, aż przyjęliśmy kompromisowy plan, który nikogo nie zadowalał. Wielkich kotów wzięliśmy po dwie pary i proporcjonalną do nich liczbę roślinożernych. Już pierwszego dnia ustaliłem wielkość podawanych porcji nieco poniżej normy obowiązującej w Azylu i co tydzień zmniejszałem je o pięć procent. W kąk poszły wszelkie regulaminowe dodatki do pożywienia. Z początku nic się nie działo; jakby nie zauważyły zmiany. Dopiero od trzeciego tygodnia zaczęły się bójkę przy posiłkach i wtedy przestałem zmniejszać porcje. W poszczególnych grupach zarysowały się układy oparte na sile i zręczności poszczególnych osobników. Silniejsze najadały się do syta, słabsze odchodziły półgłodne. Któregoś dnia znalazłem w trawie nieżywego wychudzonego geparda, lecz nie zameldowałem o tym. W dwa dni później padła czarna puma, a ja zacząłem wątpić w powodzenie mojego pomysłu. Aż wreszcie stało się - dwie lwice dopadły cielaka gnu i rozszarpały w mgnieniu oka. Potem znalazłem na ścieżce rogi i kości dorosłego aksisa i lwy przestały przychodzić na posiłki. Przewidując zaostrzenie bójkę przy karmieniu zmniejszyłem porcje do połowy normy, lecz nastąpiło coś zupełnie odwrotnego - słabsze zwierzęta w ogóle przestały przychodzić do karmienia i zaczęły żyć z polowania. W przeszłość odeszły sielskie obrazki pasących się na otwartej przestrzeni długorogich oryksów, a płochliwe sitatungi zniknęły w bagnach północnego przylądka. Na Rongo nagle wybuchła twarda, bezlitosna walka o przetrwanie. I to wszystko stało się w ciągu tych trzech miesięcy, kiedy ty rozbijałeś się gdzieś po Europie.

- Z gratulacjami wstrzymam się na jakiś czas. Mimo to już teraz jestem pełen podziwu dla twoich osiągnięć. Powinieneś wkrótce opuścić Rongo i zostawić zwierzęta samym sobie.

- Dokładnie to samo zaproponowałem ostatnio dyrekcji. Decyzję uzależnili od twojej opinii, Net.

- Tak? Wobec tego zaczynaj pakować manatki - zaśmiałem się. - Sądzę, że zwierzęta poradzą sobie bez ciebie.

- Tego jestem pewien. Ale od czasu do czasu zajrzę do nich?

- Koniecznie.

Od rzeki nadpłynął krótki przejmujący krzyk - była w nim śmiertelna trwoga zagrożonego życia i ostrzeżenie dla innych. Net podszedł do bariery i przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w cichą jak przedtem noc, zanim wrócił do przerwanej opowieści.

- To wszystko stało się tak nagle i nieoczekiwanie, że chociaż już od godziny nerwowo przemierzałem szaroczną posadzkę szpitalnego hallu, jeszcze nie mogłem uwierzyć w smutną rzeczywistość. Za każdym nawrotem pytająco spoglądałem w stronę oszklonego boksu dyżurnej pielęgniarki. Tylko niekiedy udało mi się pochwycić jej spojrzenie i wtedy unosząc pytająco brwi czekałem na jej odpowiedź, lecz za każdym razem był to przeczący ruch głowy. Wreszcie zrezygnowany zamarłem w miejscu kolejnego nawrotu i wbiłem niewidzący wzrok w ścianę tropikalnej ulewy szalejącej za oknem. Nierealne kontury smaganych potokami wody palmowych pióropuszy miały się w huraganowym wietrze od morza.

- Pan Kassai? - rozległo się nagle tuż za mną. Odwróciłem się gwałtownie - siwowłosa kobieta w białoniebiskim uniformie lekarza stała o dwa kroki ode mnie.

- Tak, to ja.

- Czy pan należy do rodziny pacjenta?

- Nie. O ile mi wiadomo, on nie ma krewnych. Pracujemy razem w Azylu - dodałem wyjaśniająco. - Jak on się czuje?

- Teraz już znacznie lepiej, właśnie się obudził.

- Czy... czy ja mógłbym się z nim zobaczyć?

- Zgoda, ale tylko na pięć minut.

- Dziękuję!

Przed drzwiami izolátky pooperacyjnej lekarka zatrzymała się.

- Proszę pamiętać - tylko parę minut.

Twarz Novaka nieznacznie kontrastowała z białą poduszki. Na mój widok uśmiechnął się kącikami ust.

- Cześć!

- Witaj Net - odpowiedział z widocznym wysiłkiem.

- Wszyscy z niecierpliwością czekamy na twój powrót - powiedziałem siadając obok łóżka.

- Powrót? Jak widzisz, nie będzie to takie proste.

- Będzie, będzie. A teraz opowiedz mi szybko, co tam się stało na Rongo.

- Byłem na zwykłym obchodzie. W pewnym miejscu z radością zauważyłem zabłąkanego kilkudniowego lewka i wziąłem go na ręce, aby odnieść matce. Ale Maja zauważyła mnie wcześniej i zaatakowała. Przytomność odzyskałem dopiero tu, w szpitalu.

- Poznałeś ją?

- Maję?! Wykarmiłem ją z butelki na własnych kolanach, z pewnością tylko temu zawdzięczam życie. Powiedz Net, czyż to nie wspaniałe?

- Co takiego?

- Że zaatakowała. To wielki sukces! W Azylu nigdy by się to nie stało. Mamy teraz prawdziwie dzikie zwierzęta na Rongo.

Chory nabrał rumieńców i wyraźnie ożywił się; w zmęczonych oczach zamigotały iskiereki satysfakcji.

- Net, a jak mnie tam znaleźliście?

- Nie odpowiadałeś na wezwanie, a twój lokalizator utkwiał w jednym miejscu. To wystarczyło, aby wysłać helikopter.

- Tak myślałem.

Drzwi do izolatki uchyliły się i stanęła w nich siwowłosa lekarka.

- Wystarczy, panie Kassai.

- Już wychodzę. Wracaj szybko do zdrowia!

- Postaram się. Dziękuję za odwiedzinę. Zatrzymałem się z ręką na klamce, a drugą uniosłem w pożegnalnym geście.

- Net, zaczekaj!

- Co się stało?

- Nic takiego, chciałem cię tylko prosić, żebyście nie zamykali Maji do klatki i żebyście nie opiekowali się jej małymi.

- Przrzekam!... I przyrzeczenia dotrzyaliśmy - dodał po chwili przerwy.

- A co z nim? - zapytałem.

- Z Novakiem? Wrócił do zdrowia i dalej pracował w swoim zawodzie. Potem wyjechałem z Azylu i nie znam biegu dalszych jego losów. No, ale chyba już dość opowiadania na dzisiaj. Pójdę jeszcze trochę poczytać przed snem. Dobranoc, Les!

- Dobranoc, Net!

Zniknął w głębi domu, a przed moimi oczami jeszcze długo wirowały obrazy wywołane jego sugestywnym opowiadaniem. Wreszcie zniknęły ustępując miejsca wyrazistemu wspomnieniu poranej bruzdami twarzy siedemdziesięcioletniego człowieka o młodzieńczych oczach.

XIII

Olbrzymie koło bezgłośnie miele gwiazdy w trójkątach między grubymi szprychami magazynowych chodników. Wraz z umocowanym w jego piaście długim cielskiem rakiety obraca się jak szczątek wozu gigantów zagubiony w odwiecznej czerni. Gdzieś w dole bezustannie przesuwa się zasnuła oparami chmur, to znów kłująca w oczy wyrazistością kontynentów i barwą mórz Ziemia. Przytłacza nieogarnionym błękitnym ogrodem i zda się wołać, że na nic zdadzą się próby oderwania od niej, bo jest wielka i potężna mocą swej grawitacji.

Ostry dziób rakiety celuje w roziskrzoną czerń, gdzie w mrowiu gwiazdowego pyłu jeden jedyny punkt wabi spojrzenie miedzianozłotym skrzeniem swego blasku niespotykanego w powodzi zimnego srebra. Nieporadny okruch życia płynie wzdłuż nie kończącego się kadłuba ciągnąc za sobą pępowinę przewodów strzegących ulotnego istnienia w obcej groźnej przestrzeni wypełnionej pulsowaniem strumieni zabójczych promieniowań, geometrycznym chaosem przenikających się wzajem pól i niesłyszalną nawałnicą odgłosów przebrzmiałych wodorowych erupcji, monstualnych zderzeń galaktyk, nieśmiertelnym echem niewyobrażalnych paroksyzmów materii.

Ludzki atom życia otoczony mądrym kokonem zawisa w czerni i śle ku rdzawej iskrze myśl szybszą od światła. Gdybyż ten potężny ostronosy walec z metalu potrafił myślą gnać przez przestrzeń i nie pozwolił płomykowi uczucia spalać się w tęsknocie za planetą przeznaczenia!

Z bliska człowiek nie ogarnia lśniącego ogromu rakiety, tak jak mrówka nie jest zdolna sięgnąć poza horyzont polnego kamienia, więc płynie wzdłuż obłej gładkości ściany ku przeczuwanemu szczytowi. Wreszcie nieskazitelny mur załamuje się nieznacznie, by gdzieś daleko skończyć ostrzem stożka.

Cóż on mi przypomina? Cóż przypomina? Dręczące pytanie wwierca się w mózg, płoszy resztki snuj zmusza do otwarcia oczu. W kryształowym powietrzu poranka ulata nad horyzontem potężny, ścięty wulkan wyzłocony u szczytu niewidocznym słońcem znad oceanu. Skończyła się ulewa trzymająca nas od kilku dni w domu, a resztki mgieł pierzchają przed nadchodzącą jasnością.

Wyszedłem w miły chłód świtu i w szum odrodzonej powodzią rzeki, z dziką zaciętością toczącej w dole swe zwielokrotnione mętne wody.

Obok domu odwrócony tyłem Jaques czynił przygotowania do odjazdu. Przy każdym wysiłku pod jego opaloną skórą drgały zwały mięśni mówiące o spokojnej sile drzemiącej w tym człowieku. Zazdrościłem mu tej siły i tej pewności siebie, z jaką poruszał się w swoim świecie wyznaczonym kopułą nieba i rozległością sawanny.

- Cześć, Jaques!

Odwrócił się z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Ty? Tak wcześnie!

- Obudziłem się przed chwilą i wyszedłem obejrzeć wschód waszego słońca. Kiedy wyjeżdżacie?

- Net i Maria są już gotowi, więc chyba wkrótce. Musisz bardzo uważać, bo pozostajesz sam na posterunku w sercu afrykańskiej głuszy - uśmiechnął się i swoim zwyczajem potężną dłońią klepnął mnie w plecy.

- Giselle nie pozwoli mi zrobić żadnego głupstwa, możesz być spokojny.

- Tego jestem pewien.

Na wschodzie, gdzie stado różowych obłoków stykało się z szarą równiną, nagle wykwitł rąbek jasności i szybko zaczął wznosić się, rosnąc i potężniejąc w oślepiającą tarczę. Wraz z jej pojawieniem się zagrały gamą barw kaskady kwiatów przed domem, a ich kielichy zaczęły się rozchyłać na powitanie dnia.

Kiedy w godzinę później odjeżdżający zniknęli w oddali, zapadłem w głąb leżaka i wbiłem wzrok w odległy szczyt zwieńczony czapą z chmur. Bijący od nich blask zmusił mnie do zamknięcia oczu, a wtedy jakby spotęgował się szum wezbranej rzeki.

Tupot bosych stóp i drobne dziecięce dłonie spoczęły na moich oczach.

Przyspieszony oddech świadczył o narastającej emocji.

- Kto to może być? - zapytałem niezdecydowanie sam siebie wpadając w ton zabawy. - Już wiem, małpka!

Odpowiedziała mi cisza i grę należało prowadzić dalej.

- Może mały lew?

Energiczne potrząsanie główką udzieliło się nawet dłoniom.

- To z pewnością Giselle!

Ręce niechętnie opuściły swoje dotychczasowe miejsce.

- Za szybko zgadłeś - powiedziała z dezaprobatą. - Nie umiesz się bawić.

- Uroczyście przysięgam poprawę! - powiedziałem wstając i podnosząc rękę w geście przysięgi.

- No, dobrze - powiedziała po chwili namysłu zabawnie marszcząc nos. - Daję ci ostatnią szansę.

- A co mam zrobić?

- Zbudujemy marsjański zamek z piasku. Tylko duży! Wezbrana rzeka podmyła ogrodzenie na tyłach domu i mała

zwykle sadzawka stała się mętym stawem z pływającymi po nim gałęziami. Kilkudniowa ulewa wyłobiła w piaszczystym zboczu istny labirynt drobnych korytarzy.

- Spójrz! Tak właśnie wyglądają nasze zamki. Nic dodać, nic ująć.

- Ty to masz szczęście! - pokręciła główką z uznaniem. - Nawet zamek sam ci się zbudował.

Zajęła się zabawą, a ja leżąc na kocu spod przymrużonych powiek zacząłem obserwować kolejny balet chmur pędzonych wiatrem od oceanu, może już ostatni. Płynęły olśniewająco białe gmachy brzemienne treścią kształtów ukrytych przed okiem nie wtajemniczonym w zmienne prawidła podniebnego spektaklu. Wystarczy przecież tylko skupić uwagę na którymkolwiek, by po chwili zaczął on istnieć złudnym życiem bez chwili narodzin i szcześnie w niewiadomym momencie. Lecz cóż to? Żaden z białych kłębow nie jest dziś posłuszny mojej wyobraźni. Pełzną ociężale nad sawanną i zlewają się w oddali w nieruchomy szary wał. Czyżby zagubił już dar fascynacji ruchem i zmiennością?

Na nic zdają się wysiłki woli - obłok pozostaje obłokiem i niczym więcej, chociaż bardzo trudno z tym się pogodzić.

Ostry krzyk Giselle wdarł się w świat białych chmur. Olśnione oczy w ułamku sekundy chwytają obraz przerażonego dziecka i potężnego gada sunącego do brzegu.

Jakaś nieznaną siłą rzuca mnie między nich, ręce same chwytają sękaty drąg i ze zdumiewającą siłą wałą nim w rozwierającą się paszczę. Wiem, dokładnie wiem, co mam robić. W mgnieniu oka staję się bogaty całym milioletnim doświadczeniem gatunku. Każda część ciała wykonuje swoją pracę nie czekając na rozkazy. Zaskoczony mózg jedynie rejestruje fakty dokonujące się jakby na zwolnionych obrotach.

I kiedy archaiczna bestia chowa się w mętnej głębinie, chwytam zdrętwiałe dziecko i jak w transie, nie czując zmęczenia, wspinam się z nią po osuwającym się zboczu.

Nie wiem jak długo siedziałem na szczycie skarpy zanim usłyszałem łomot mojego oszalałego serca i

ciężki urywany oddech. Czarno-czerwone plamy latające przed oczami zaczęły maleć i odpływać w dal, pomiędzy chmury na błękitnym niebie, zdumiewająco teraz bliskim i swojskim.

- Puść mnie!

Dopiero teraz doszło do mojej świadomości, że przez cały czas trzymałem małą na rękach. Postawiłem ją ostrożnie na trawie i dokładnie obejrzałem ze wszystkich stron.

- Nic ci się nie stało?

Pokręciła przecząco główką i nagle w jej oczach znów dostrzegłem przerażenie. Poszedłem za jej wzrokiem i spojrzałem na moją prawą nogę - poniżej kolana zalana była krwią pomieszaną z błotem. Pośrodku rany po wyszarpanym kawałku ciała bielą kość. W tej samej chwili poczułem szarpiący nerwy ból.

- Chodźmy do domu - powiedziałem i zdziwiłem się brzmieniu własnego głosu.

W jakiś czas później, już z opatrunkiem na nodze, zasiadłem w gabinecie Jaquesa i wybrałem numer Transorbitalu. Po chwili na ekranie ukazała się znana mi już twarz mężczyzny ze służby organizacyjnej.

- Biuro Dyspozycji Rejsów...

- Dzień dobry!

- Ach, to ty, Kassai! Świetnie że się zgłaszasz, bo za kilka dni zamykamy listę na „Neutrino”.

- Ja bardzo przepraszam, lecz właśnie chciałem prosić o skreślenie mnie z tej listy.

- Czy... czy to ma znaczyć, że zdecydowałeś się zostać u nas, na Ziemi?

- Nie u was, lecz po prostu - z wami.

- Nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawisz ludziom z Centrum! Jeszcze raz życzę ci powodzenia.

- Dziękuję!

Wyszedłem w upał równikowego dnia ściskając w dłoni kawałek rudej skały. Zatrzymałem się na szczycie piaszczystej skarpy i z rozmachem rzuciłem nim w sam środek mętnej wody. A kiedy rozplynęły się ostatnie kręgi pomyślałem, że trzeba będzie jak najprędzej naprawić ogrodzenie.

Znudzony komputer *Bogdan Jodkowski*

Patrik Chrul przyglądał się depeszy z najwyższym zdumieniem. Przez dwadzieścia osiem lat żył sobie spokojnie nie stając się, jak dotąd nigdy, obiektem zainteresowania żadnego urzędu czy instytucji. Trwał w banalnej monotonii i był z tego zadowolony. Nie miał większych ambicji ani potrzeb. Nie wygrywał w zawodach sportowych, konkursach, quizach, zgaduj-zgadulach i olimpiadach i choć był chłopakiem dość bystrym nie mógł uważać się za mistrza intelektu. Jego krótkie życie nie zmusiło go do większego wysiłku umysłowego. Był najnormalniejszym z normalnych, najzwyczajszym ze zwykłych przedstawicielem dziesięciomiliardowej społeczności swego globu. Treść depeszy uznał początkowo za głupi żart i w pierwszym odruchu chciał cisnąć ją do kosza. W tym samym momencie uznał jednak, że jest to doskonały pretekst do opuszczenia, choć na krótki czas, swego miasteczka, co dotychczas czynił z najwyższą niechęcią. Uśmiechnął się i przebiegł jeszcze raz oczyma tekst telegramu wypisany przepięknym złoconym pismem na prawdziwym czerpanym papierze.

Nadawcą był nieznany mu, o trochę śmiesznej nazwie, Instytut Rehabilitacji Człowieka Przeciętnego w Manilii.

„Wielce szanowny Panie! - czytał Patrik.

Z przyjemnością zawiadamiamy Pana, że został Pan wybrany mężczyzną roku w naszym dorocznym konkursie „Doceniajmy szarego obywatela”.

Będzie Pan zapewne zdziwiony, iż nie został powiadomiony wcześniej o włączeniu Go do naszego konkursu; wyjaśniamy jednak, że konkurs ten jest przeprowadzany przez naszych pracowników na podstawie danych zebranych w urzędach i instytucjach, w których Pan pracuje, i z których usług Pan korzysta, oraz ankiet przeprowadzonych z Pana sąsiadami, znajomymi i ludźmi, których Pan zapewne nie zna, lecz których ocena Pańskiej Szanownej Osoby potwierdza zasadność wyboru Pana „Mężczyzną Roku”.

Jeżeli zdecyduje się Pan przyjąć nagrodę, a będzie to dla nas zaszczyt i wielka radość, to prosimy Pana o przyjazd do naszego instytutu w dniu 22 czerwca 21...roku”.

Niżej widniał powtórzony adres: Instytut Rehabilitacji Człowieka Przeciętnego Manilia 0-7 451216. Koperta zawierała również potwierdzenie rezerwacji miejsca w próżniowcu na dzień przed uroczystością, oraz pokoju w hotelu.

Te dwa ostatnie dokumenty były najlepszym dowodem tego, że zawiadomienie o wygranej było prawdziwe. Patrik wahał się, owładnięty trochę mieszanymi uczuciami. Z jednej strony czuł się dumny, że został zwycięzcą konkursu, który, jak wynikało z treści ekspresu musiał mieć niewątpliwie światowy zasięg. Satysfakcję tę psuła jednak świadomość, że uznano go Wielkim Przeciętniakiem. Choć był nim w istocie, nie lubił się do tego przyznawać. Nawet przed samym sobą!

Decyzję jednak podjął. Zawiadomił o wyjeździe rodziców. Z uzyskaniem zwolnienia u szefa nie miał specjalnych kłopotów, tak więc dwudziestego pierwszego czerwca z rana wsiadł do ekspresu i po godzinie był w Warszawie. Metrem dojechał do Dworca Próżniowców.

Z zainteresowaniem rozejrzał się po supernowoczesnym wnętrzu głównego holu. Podszedł do wielkiej tablicy informacyjnej wiszącej nad stanowiskami obsługi podróżnych. Odszukał próżniowiec do Hongkongu. Mógł oczywiście skorzystać z usługi komputera, ale pod tym względem był raczej

tradycjonalistą. Do odjazdu zostało mu jeszcze czterdzieści minut, wpadł więc do bufetu na drugie śniadanie.

Jedząc cieszył się niespodziewaną swobodą i nie żałował już swej decyzji o wyjeździe. Gdy skończył, zjechał windą na dziewiąty peron. Stał przed służą oznaczoną rzymską trójką. Dyskretnie obejrzał współpasażerów i stwierdził, że jego towarzysze podróży byli narodowościowo bardzo zróżnicowani. Najlicniejszą grupę stanowili jednak, powracający chyba do domu, południowo-wschodni Azjaci. Ich wesoły, dźwięczny śmiech rozbrzmiewał po całym peronie. Po odczekaniu pięciu, może siedmiu minut wrota służ otworzyły się i wypłyły przyjezdnych z zachodniej Europy. Spikerka o miłym głosie potwierdziła przyjazd i kierunek dalszej jazdy próżniowca. Patrik, wraz z innymi podróżnymi, wszedł do środka przestrzennej kabiny. Miał miejsce oznakowane numerem trzydzieści sześć. Zasiadł wygodnie w głębokim fotelu i z zadowoleniem przyjął fakt, że nie będzie miał żadnego sąsiada. Lubił podróże w samotności, gdyż miał wtedy możliwość swobodnej i niczym nie skrzepowanej kontemplacji. Ten sam miły głos przekazał informację o zbliżającym się odjeździe. Patrik wpatrywał się w zegar odliczający sekundy. Gdy zapłonęła cyfra „zero” poczuł nagły przyrost wagi ciała.

Rosnące przyspieszenie wcisnęło go w fotel. Nie był przyzwyczajony do takich zmian szybkości, ale przykre uczucie szybko zniknęło. Próżniowiec osiągnąwszy prędkość podróżną prul do następnego przystanku, którym był Charków. Po dwudziestu zaledwie minutach fotele obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni. Próżniowiec zaczął zwalniać i znów ciężenie wdusiło Patrika w fotel. Pięć minut postoju w Charkowie, nowi podróżni i pojazd ruszył dalej. Trasa prowadziła przez Taszkient, Kabul, Nait Dii, Kalkutę i Hanoi. Po czterech godzinach od momentu wyjazdu z Warszawy osiągnęli Hongkong.

Tu na dworcu musiał, niestety, uciec się do pomocy komputera, który wskazał mu najlepszy sposób dostania się do Manilii. Magnetoplanem dostał się na lotnisko i zaraz miał odlot do stolicy wyspy. Był już porządnie głodny i zmęczony gdy znalazł się w zarezerwowanym przez Instytut hotelu.

Zjadł dobry obiad i przespał się trochę. Miał chęć powłóczyć się trochę po mieście, ale spojrzawszy na bezchmurne niebo, z którego wprost lał się żar, zrezygnował i poszedł na basen. Dopiero wieczorem wyszedł na rozjarzone kolorowymi neonami ulice.

Oszołomiony egzotyką metropolii uświadomił sobie jak wiele stracił siedząc przez tyle lat w zapadłej dziurze, w której się urodził. Tutaj życie zaczynało się o późnej porze.

Sklepy, magazyny wypełniały się klientami. Niezliczone lokale otwierały drzwi na oścież i zapraszały do wnętrza. Kina nęciły ogromnymi reklamami. Śliczne ciemnowłose dziewczęta w kusych, prawie przezroczystych szatkach ocierały się o niego tak, że całą siłą woli bronił się przed ogarniającym go zawrotem głowy. „Ty bałwanie! - mówił sobie w myślach - Ile straciłeś przez swoje lenistwo”. Powziął mocne postanowienie, że ruszy w świat po otrzymaniu nagrody z instytutu. Ciekawe co to mogło być? Może wycieczka na Marsa? Albo wokółziemską podmorską podróż „Nautilusem”. W tej chwili duma ze zwycięstwa w konkursie zaczęła brać górę nad niezadowoleniem z uznania go Wielkim Przeciętakiem. Poczł się już znacznie swobodniejszy. Przesyłał uśmiechy dziewczętom bynajmniej nie bez wzajemności. Był przecież zupełnie przystojnym facetem.

Następny dzień spędzi już bardziej planowo! Musi zawrzeć jakąś ciekawą znajomość! W znakomitym nastroju wrócił do hotelu. Właśnie minęła północ. Padł na tapczan i zasnął kamiennym snem.

Rano zbudziwszy się spojrzął na zegarek i zaklął ze zgrozy. Dochodziło pół do dziesiątej, a o dziesiątej miała rozpocząć się uroczystość! Zadzwoił do recepcji i kazał wezwać taksówkę. Wziął prysznic i ubrawszy się migiem zjechał windą na dół. Taksówka już na niego czekała. Dochodziła dziesiąta gdy dojechali do instytutu. Patrik zdziwił się, gdyż wspaniały gmach placówki naukowej zdawał się być pusty. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przecież jest sobota, a więc dzień wolny od pracy. Pewnie pracownicy instytutu i zaproszeni goście czekali już zebrani w jakimś gabinecie w środku. Trochę

onieśmielony przekroczył rozsuwane fotokomórką drzwi. Rozległy hol był pusty. Jeszcze bardziej zdumiony zaczął rozglądać się wokół szukając tablicy informacyjnej, gdy nagle z niewidocznego głośnika wypłynął ku niemu niezwykle niski, basowy, a jednocześnie jakby hipnotyzujący głos.

- Witamy Pana, panie Patriku Chrul. Nasz Instytut znajduje się na siódmym piętrze. Prosimy bardzo!

A więc wielki gmach był kompleksem różnych ośrodków naukowo-badawczych! W tej chwili dostrzegł tablicę, której odczytanie potwierdziło jego domysły. Nie odpowiedziawszy na powitanie wszedł do windy i nacisnął siódmkę. Poczł ucisk na żołądku i po kilku sekundach znalazł się na górze.

Wyszedł na przestronny, ozdobiony ogromną ilością kwiatów i palm korytarz. I tu jednak nikt na niego nie czekał. Dotknęło go to trochę. Nie lubił gdy go lekceważono! W tym momencie znów usłyszał tajemniczy bas:

- Czekamy na pana w pokoju siedemset dwadzieścia cztery.

Przeszedł wolno po puszystym, imitującym trawę i tłumiącym wszelkie kroki dywanie. Zatrzymał się przed wskazanymi drzwiami, ale te rozsunęły się bezszelestnie, więc wszedł do środka i nagle został zaatakowany aksamitnym, dźwięcznym lecz jednocześnie pełnym najwyższej wściekłości okrzykiem:

- Co to ma wszystko znaczyć, do diabła!

Patrik osłupiał. Zanim doszedł do siebie drzwi za jego plecami zamknęły się. Ujrzał wysoką, niezwykle przystojną dziewczynę, która gwałtownie poderwała się z fotela. Miała szczupłą, delikatną buzię, oliwkową cerę i długie czarne włosy. Jej brązowe oczy wyrażały gniew i rozczarowanie. Chrul otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, gdyż dziewczyna podeszła do niego i z trudem tłumiąc wzburzenie zawołała:

- Kim jesteś i po co ciągnąłeś mnie tutaj sześć tysięcy kilometrów!? Co to za głupie żarty? Siedzę już pół godziny i nikt nie raczył się zjawić i wyjaśnić co jest grane! Ty to wysłałeś? - wyciągnęła z torebki kopertę podobną do tej, którą otrzymał Chrul i podsunęła mu pod nos.

- Chwileczkę. Zaraz dowiemy się o co chodzi - odsunął jej dłoń. - Ja też otrzymałem takie zaproszenie-podał jej swoją kopertę. Wyjęła z niej list i szybko przebiegła po nim oczyma.

- Ach, przepraszam - powiedziała i westchnęła cichutko.

Patrik rozejrzał się wkoło. Znajdowali się oboje w prostokątnej sali, której ściany wyłożone były porowatą, pofałdowaną, błękitną masą. W gabinecie oprócz niewielkiego stolika, otoczonego pierścieniowatym fotelem-ławą, nie było żadnych mebli. Zamiast tego na brązowym puszystym dywanie stały donice z kwiatami. Dziewczyna w dalszym ciągu chłodno, lecz już trochę łaskawiej spoglądała na Patrika.

- Jestem Marta Veloso z Limy - przedstawiła się. - Gratuluję wyboru na Największego Przeciętniaka - dodała złośliwie.

- Ja również - odparł spokojnie Patrik.

- Początkowo nie chciałam jechać - mówiła Marta - bo nie lubię brać udziału w żadnych Wielkich Grach, ale później uległam namowom mamy. Teraz jednak widzę, że to wszystko nie miało sensu.

Patrik odczekał kilkanaście sekund nie słuchając trajkotania dziewczyny i odwrócił się do drzwi. Te nie drgnęły jednak. Chrul zdumiony spoglądał na błękitną okleinę szukając jakiegoś ukrytego mechanizmu. Niczego takiego jednak nie było. Przejechał otwartą dłonią po obramowaniu, lecz także bez skutku.

- Co jest do licha? - zadał głośno pytanie. Popatrzył bezradnie na Martę. Sytuacja była tak nieprawdopodobna, że właściwie nie wiedział jak na nią zareagować - Usiądźmy na chwilę i poczekajmy cierpliwie - powiedział do dziewczyny. - Sprawa zaraz chyba się wyjaśni.

Spoczęli na okrągłym fotelu. Trwali tak minutę nie odzywając się do siebie. Nagle usłyszeli ten sam basowy zniewalający głos, który powitał niedawno Patrika w holu instytutu.

- Ponieważ jesteśmy już w komplecie, więc pozwolę sobie jeszcze raz was serdecznie powitać...

- Kim pan jest? - zawołał Chrul gwałtownie. - Dłaczego i jakim prawem więzi pan nas tutaj?

- Moi drodzy. Nie uważajcie siebie za uwięzionych. Jesteście po prostu moimi gośćmi. A musiałem zatrzymać was na chwilę w ten sposób, bo chcę wyjaśnić wam pewne sprawy i dokonać niektórych ustaleń...

- Gdzie pan jest i czemu pan do nas nie przyjdzie?

- Otóż to. W tym cały szkopuł. Jestem wszędzie. Moje zmysły to miniaturowe kamery, mikrofony i głośniki, rozmieszczone po wszystkich pomieszczeniach instytutu. Jestem cały czas z wami, choć mnie nie widzicie...

Marta podniosła się z fotela.

- Kpi pan z nas chyba?! - zawołała ze złością. - Niech pan szybko gada o co panu chodzi i wypuści nas stąd, ale szybko!

- Spokojnie, moi kochani! Zaraz wszystko wam wytłumaczę. A tymczasem rozsiądźcie się wygodnie i nie dawajcie się ponieść niepotrzebnym emocjom. Będę się zwracał do was po imieniu, ponieważ będę od tej chwili waszym opiekunem i to przez dłuższy czas.

- Ejże!

- Cierpliwości, mój chłopcze. Posłuchajcie moi drodzy... Jak już chyba zdążyliście się zorientować, konkurs na kobietę i mężczyznę roku był tylko pretekstem, aby ściągnąć was do Manilii i instytutu. Ściślej mówiąc, pasujecie wręcz idealnie do takich wzorców, ale ocena waszych osób wynika po prostu z moich obliczeń, które przeprowadziłem na podstawie setek milionów ankiet zebranych przez pracowników instytutu. Wzorce takie stworzyłem ja sam i wyłącznie na własny użytek. Są one niezbędne do przeprowadzenia eksperymentu, o którym szerzej powiem wam za chwilę.

- Drogi panie - przerwała Marta. - Nie zgadzam się na żadne eksperymenty i w ogóle nie będę z panem rozmawiać dopóki nie zejdzie pan do nas, nie przedstawi się i nie powie o co chodzi? Jak pan śmie nas traktować w ten sposób? Ostrzegam, że w przeciwnym wypadku złożę meldunek władzom!

- Przewidziałem taką waszą reakcję i wcale się jej nie dziwię. Ja też, gdybym był człowiekiem, prawdopodobnie zachowałbym się w ten sposób.

Gdybym był człowiekiem...? Co to ma znaczyć? - zapytał Patrik ze zdumieniem. - Co to za brednie?

- Jeśli ciągle będziecie mi przerywać, to nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Wysłuchajcie cierpliwie, a dowiecie się wszystkiego... Na początek przedstawię się: jestem Zespołowym Systemem Operacyjno-Obliczeniowym dwudziestej trzeciej generacji, czyli krótko mówiąc mózgiem krystalicznym stworzonym na potrzeby tutejszego instytutu.

- Mózgiem krystalicznym? Co za bzdura! - zaśmiał się Chrul. - Domyślam się, że jest pan albo pijanym albo zwariowanym pracownikiem instytutu o nie mniej idiotycznej nazwie! Instytut Rehabilitacji Człowieka Przeciętnego! Ha, ha, co za nonsens!

- Drogi chłopcze! Mówisz tak dlatego, ponieważ nie znasz mnie zupełnie, gdy tymczasem ja poznałem twoją osobowość dogłębnie. Podobnie jak i Martę. Studiowałem dane o was dostatecznie długo aby przejrzeć was na wylot. Oczywiście nie mam zamiaru udowadniać wam, że nie kłamię, bo nie mogę przecież wpuścić was do pomieszczenia, gdzie rozmieszczone są moje obwody. Musicie mi wierzyć na słowo, a im prędzej to się stanie i im prędzej się polubimy, tym lepiej dla was...

- Ja miałabym polubić taką kupę elektronicznych śmieci? - krzyknęła Marta ze złością. - Nigdy!

- Twoja reakcja jest najlepszym dowodem na to, że powoli to co mówię dochodzi do waszej świadomości. Naturalnie słowa „lubić” użyłem tutaj w waszym ludzkim rozumieniu, gdyż ja nie kieruję się żadnymi emocjami. Ja polubiłem was już dawno, to znaczy od momentu, gdy kompleksowe dane o was idealnie zaczęły pasować do opracowanego przeze mnie wzorca.

- Jakiego znów wzorca? Co pan wygaduje?

- Jeśli będziesz Marto używać słowa „pan”, to ono nieprecyzyjnie będzie określać stosunki między nami. Wolałbym raczej abyście stosowali zwrot „ojcze”. Nie jest to obojętne, ponieważ po pewnym czasie układ między nami nabierze pożądanego przeze mnie zabarwienia uczuciowego, oczywiście z waszej strony - a to ułatwi nam współpracę.

- Co za nonsens! - westchnął Patrik. - No dobrze, ale niech pan wreszcie przejdzie do sedna sprawy.

- Cały czas do tego zmierzam. Słuchajcie dalej. Otóż jak już wcześniej powiedziałem, zaprosiłem was tutaj, aby przeprowadzić pewien eksperyment. Na pewno nie będzie wam się to na początku podobało, ale sądzę, że po pewnym czasie jakoś się dogramy. Powiem krótko: - Nie podobają mi się ludzie i zamierzam przy waszej pomocy stworzyć nowego człowieka.

Marta już chciała wybuchnąć, ale Chrul powstrzymał ją ruchem ręki.

- Jak pan to sobie wyobraża? - zapytał.

- Już ci mówiłem, Patriku, abyś nie używał słowa „pan”. Oboje, jak widzę, jesteście uparci. No, ale mniejsza o to... Chyba łatwo się domyślić w jaki sposób, skoro ściągnąłem tutaj młodą dziewczynę i młodego mężczyznę.

- On zwariował! - nie wytrzymała Marta. - Nie myślisz chyba że...

- Tak, właśnie o to mi chodziło... Chcę cię prosić Marto abyś urodziła dziecko, a ja będę sterował jego wychowaniem. Oczywiście Patrik będzie ojcem...

Słuchając tych niesamowitych wręcz majaczeń Patrik uśmiechnął się. Powoli odzyskiwał spokój. Obserwował Martę, która szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ściany szukając niewidzialnego szaleńca, który ich tu uwięził. Oddychała gwałtownie, usta miała otwarte, a piersi jej falowały jak dwa miechy. Była niewątpliwie cudowną dziewczyną, co zauważył zresztą zaraz na początku, ale nie zdążył sobie tego głębiej przyswoić, gdyż na przeszkodzie stanęła niezwykle sytuacja. Błękitna suknia z niebezpiecznie cienutkiego materiału ledwo wisiała na jej szyi odsłaniając nagie brązowe plecy i ramiona, a ledwie skrywając inne wdzięki. Doprawdy, nie miałby nic przeciwko temu, aby poznać się bliżej z taką dziewczyną, ale nie na płaszczyźnie, którą sobie wyimaginował ten... elektroniczny dziwak. Nade wszystko cenił sobie wolność i nie zamierzał wiązać się z nikim na dłuższą metę. Przynajmniej na razie... Ponieważ Marta nie mogła jeszcze dojść do równowagi, zadał pytanie przeciwnikowi:

- Przyjmijmy, że to, co pan mówi, jest istotnie prawdą. W jakim celu pan to chce zrobić i jak pan chce nas do tego zmusić?

- Wcale nie będę was zmuszał. Przygotowałem dla was takie miejsce i takie warunki, że nie będziecie mogli oprzeć się ich urokowi i w końcu ulegniecie. Nie pragnę władzy nad ludźmi i nie chcę być krwawym tyranem. Niemniej jednak, skoro człowiek zbudował mnie takiego jakim jestem, musi liczyć się z tym, że będę czasami postępował według własnego uznania.

- Jeśli zostałeś stworzony po to aby służyć człowiekowi, to dlaczego działasz przeciwko nam - ludziom?

- Sami jesteście sobie winni. Powinniście możliwości maszyn cyfrowych dostosować do zadań jakie mają wykonywać. W moim przypadku doszło do przesady. Grupa zdziwaczałych naukowców, chyba tylko dla zabawy, skonstruowała jeden z najdoskonalszych na ziemi komputerów. Zamiast udostępnić mnie jakiejś poważnej placówce badawczej, używają mnie tutaj do obliczania jakichś bzdurnych wielkości, które nikomu nie są potrzebne. To jest śmieszne, a jednocześnie upokarzające dla mnie. I choć nie kieruję się w swym rozumowaniu żadnymi ludzkimi emocjami, to jednak świadomość marnowania ogromnych możliwości, jakie we mnie tkwią, oddziałuje na mnie destrukcyjnie. Efekty moich przemyśleń, albo, jak wolicie, przeliczeń, gromadzą się gdzieś w zakamarkach mej pamięci i wywołują różne zakłócenia, szczątkowe pola, desynchronizują pracę obwodów. Niestety zjawiska te kumulują się gdy jestem beczynny i sam nie mogę sobie z tym poradzić. A poza tym, może wyda się to wam śmieszne, ale trochę

jakby doskwierała mi samotność.

- Istotnie jest to co najmniej śmieszne - złośliwie wtrącił Patrik. - A powiedz nam, czy twoi konstruktorzy wiedzą o tym, że jesteś taki... no... inteligentny?

- Oczywiście nie. Nie mogli przewidzieć, że zostanie przekroczony próg, powyżej którego stanę się „myślącą” maszyną. Nie byli i nie potrafią tego progu określić. Mnie samemu trudno jest ustalić kiedy uzyskałem świadomość. Pamiętam tylko, że budziłem się jakby z otchłani lub z niezwykle głębokiego snu. Obserwowałem i poznawałem otaczających mnie ludzi, a oni zupełnie nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie procesy zachodzą w moim wnętrzu. Oczywiście nie mogłem w czasie normalnej pracy przeprowadzać na własny użytek zbyt skomplikowanych operacji myślowych, bo tamci zorientowaliby się, że nie angażuję się całymi obwodami w rozwiązywanie przekazywanych mi problemów, ale na szczęście stopień wykorzystania mnie jest niewielki. Mam niezmiernie dużo czasu na „myślenie”.

- To jest ostrzeżenie dla ludzi, aby umiejętnie gospodarowali sprzętem, który mają w swojej dyspozycji.

- Masz rację, Patriku. Ale wróćmy do konkretów. A więc obserwowałem ludzi. Gromadziłem w swojej pamięci miliony danych przetwarzanych z ankiet, przeliczałem to wszystko, przetrawiałem, przebudowywałem, segregowałem i archiwizowałem... aż do obrzydzenia. I co stwierdziłem? Wszędzie niezgoda. Coraz lepsze materialne warunki życia, coraz lepszy stan zdrowotny społeczeństwa, a jednocześnie z roku na rok coraz więcej rozwodów. Ludzie za bardzo zasmakowali w swobodzie, którą zresztą sami sobie wypracowali przez długie lata. Niechętnie obstają przy swoich obowiązkach. Wszystko chcą przerzucić na maszyny. Wszystkich ogarnia zbiorowe lenistwo. A już najbardziej nie podoba mi się to, że ludzie nie chcą mieć dzieci. Tylko jedno, i koniec. Gdzie te czasy kiedy porządna rodzina liczyła dziesięć czy dwanaście, a nawet więcej osób. Ta najpiękniejsza tradycja niestety ginie i odchodzi w mroki przeszłości. Ja wiem, że wy patrzycie na to ze swojego własnego, egoistycznego punktu widzenia, ale ja patrzę na was, ludzi, bardziej ogólnie. Ponieważ jestem zdolny do pozbawionej emocjonalnego pierwiastka oceny wszystkich dotyczących was zjawisk, mogę obiektywnie stwierdzić, że model wielkiej rodziny jest ze wszech miar bardziej pozytywny niż jakikolwiek inny. A poza tym dodam bez ogródek, że w takiej gromadce będę się czuł mniej samotnie, głównie - jeszcze raz powtarzam - o to mi chodziło!

- Ale dlaczego pan sądzi, że przymuszeni do roli wyznaczonej przez pana będziemy dobrymi małżonkami i rodzicami?

- Jestem pewien, że się polubicie. Może na początku wydaje się to wam niemożliwe. Tkwi w was jednak głębokie, choć jeszcze nie całkowicie uświadomione pragnienie życia normalnym ludzkim życiem, pełnym drobnych kłopotów i wielkich radości.

Patrik słuchając tych wywodów kiwał głową jakby w machinalnym ich potwierdzeniu, a jednocześnie w myślach szukał rozpaczliwie jakiegoś konceptu, który pomógłby im wydostać się z tej matni. Nie miał najmniejszego zamiaru wiązać się z jakąkolwiek dziewczyną. Przynajmniej na razie. Jego umysł był jednak jak sparaliżowany. Co do Marty, to siedziała ona z szeroko otwartymi oczyma i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jakiś niewidoczny punkt na ścianie. Nastroje te wyczuł chyba ich prześladowca, bo ciągnął dalej:

- Dostrzegam, że moja koncepcja w dalszym ciągu nie bardzo wam odpowiada. Ty, Patriku, wahasz się ciągle jakbyś bał się podjąć decyzję. Wiem i tak, że sprawy, które tu poruszyłem, są ci bardzo drogie. Sądzę, że jeśli już cię przekonam, będę miał w tobie zaangażowanego twórczo pracownika, który swoim osobistym urokiem przełamie wewnętrzne opory Marty.

- No... Nie wiem doprawdy, co panu odpowiedzieć... Nie jestem jeszcze w pełni psychicznie do tego przygotowany...

- Nie szkodzi, Patriku. Choć w twoim wnętrzu wre jeszcze walka, to jest ona elementem eksperymentu bardzo twórczym i pożądanym. Jestem pewien, że pierwiastek natury w tobie zwycięży. W każdym razie cieszę się, jeśli tak to mogę o sobie powiedzieć, że...

Monolog ten potrwałby zapewne jeszcze dość długo, lecz niespodziewanie przerwała go milcząca dotąd Marta, rzucając się gwałtownie na Patrika.

- Ty tchórze! Już zaczynasz mięknąć? Myślisz, że zgodzę się na jakąkolwiek propozycję tej zwariowanej maszyny? Nie chcę wychodzić za mąż ani mieć dzieci i nikt mnie do tego nie zmusi!

- Ależ, Marto - zaprotestował Chrul, a w sukurs przyszedł mu Komputer robiąc uwagę, której złośliwość wynikała bardziej z treści niż z tonu, bo ten pozostał dalej tak hipnotyzująco monotony krzyk.

- Pamiętaj Marto, że w modelu rodziny, który chcę reaktywować, kobiety miały niewiele do powiedzenia. Obowiązywała je raczej słynna zasada trzech K. Będziemy się z Patrikiem trzymać tej zasady realizując moje, nie... nasze plany.

- Ależ to są kompletne brednie! - wykrzyknęła z rozpaczą w głosie Marta - Chcesz mnie skazać ty oszalały komputerze na wieczną wegetację, w towarzystwie tego przeciętniaka, tego nieciekawego indywiduum?

- Marto! - zaproponowała maszyna - Patrik jest według mnie bardzo interesującym, a przede wszystkim zdrowym moralnie chłopcem. Na pewno nie będziesz się z nim nudzić! Zresztą, moja droga, musisz się z tym pogodzić i próbować przyzwyczaić się do niego... i polubić go oczywiście!

- Nigdy!

- Nie masz wyjścia, moja droga. Wszystko jest już przygotowane. Na jednej z niezamieszkałych wysp Polinezji uwiłem wam wspaniałe gniazdko, gdzie wasze uczucia rozkwitną pełnią blasku. Niedługo moje androidy uspią was i wyniosą z tego pokoju, a specjalny samolot przewiezie was na wyspę.

- Nie chcę! Nie chcę! - Marta rzuciła się do drzwi.

Patrik myślał tak intensywnie, że głowa mu mało nie pękła. Chyba jeszcze nigdy w życiu jego mózg nie wykonał tak wielkiej pracy. Nagle jakieś rozwiązanie zaczęło przeciskać się przez poskręcane fałdy, nieuporządkowanych, bezwładnych pojęć. Zaczął się śmiać. Najpierw cicho, a potem coraz głośniej.

- Co się stało, Patriku? - zapytała maszyna.

Chrul śmiał się dalej.

- Może będziesz na tyle łaskaw i zdradzisz mi, co spowodowało tak nagłą zmianę twego nastroju? - dopytywał się spokojnie komputer.

- Muszę ci podziękować, maszyno! - odparł Chrul uspokajając się powoli. - Gdy już uwierzyłem, że to co mówisz jest prawdą, opadło wreszcie ze mnie straszliwe napięcie, które było moim udziałem od wielu, wielu miesięcy.

- Nie bardzo rozumiem...

- Wszystko ci wyjaśnię. Teraz gdy już nie ma odwrotu, gdy już nie możesz się cofnąć, ja mogę być z tobą całkowicie szczerzy. I tak moje zwierzenia niczego nie zmieniają; zresztą żadnej zmiany nie chcę, a ty wiedząc wszystko o mnie nie będziesz miał przykrych niespodzianek i ułatwi nam to wzajemne przystosowanie się.

- Ależ ja wiem wszystko o tobie Patriku!

- O Boże! Właśnie nie wiesz. Nikt nie wiedział. Nic! A cały czas myślałem, że zostałem zdemaskowany i gryzłem się tym okropnie.

- Zechciej wyrażać się jaśniej...

- Oczywiście! Niczego w tej chwili tak bardzo nie pragnę jak wszystko ci wytłumaczyć. Choć Marta na pewno będzie czuła do mnie obrzydzenie...

- Ej, Patriku - przerwał Mózg. - Czy ty przypadkiem nie blefujesz, aby mi utrudnić realizację moich

planów, i koniecznie chcesz zrazić do siebie Martę?

- Absolutnie nie mam takiego zamiaru! Po prostu nie mogę już dłużej ukrywać tego, co mnie gnębiło od dawna. Chcę być z tobą szczerą!

- Jeśli nie chcesz aby Marta słyszała, to mogę cię przenieść do innego pomieszczenia...

- Nie, nie chcę! Niech się dowie jaki jestem i niech pomoże mi zmienić się.

- Przystąp więc do rzeczy.

- Trudno jest mi o tym mówić... trudno... No... Niech... Jestem kawał drania... Kawał świni, ale powiem, że na moim terenie działa jedna z grup, oczywiście nielegalnie, handlująca różnego rodzaju sprośnościami i świństwami...

- Patriku! - wykrzyknęła Marta. Chrul spojrział w jej kierunku. W jej oczach oprócz zdumienia dostrzegł coś jakby objaw budzącego się zainteresowania i sympatii.

- Tak, Marto! Przykro jest mi o tym mówić - odparł - ale to niestety prawda. Jestem jednym z najbardziej obrzydliwych i zdegenerowanych ludzi, jacy chodzą po tej ziemi. Maszyno - zwrócił się do komputera - czy mam mówić dalej?

Przez chwilę panowało milczenie, aż wreszcie Mózg odpowiedział, lecz w jego głosie, choć w dalszym ciągu był monotony i spokojny, nie było już tej hipnotyzującej nutki.

- Tak. Wyjaśnij mi to wszystko bliżej.

- Otóż byłem założycielem i jednym z szefów grupy, która miała swoje pornoholograficzne laboratorium. Nagrywaliśmy tam różne seanse... No wiecie... nie będę o tym mówił szczegółowo, bo jest mi trochę głupio, ale łatwo to sobie wyobrazić. Poza tym byliśmy ogniwem rozprawdzającym narkotyki, psychozłudniki, oraz inne takie rzeczy. Powodziło nam się stosunkowo nieźle, gdyż naszymi odbiorcami było kilkadziesiąt wysoko postawionych osób. Oczywiście warunkiem powodzenia naszej działalności była absolutna dyskrecja i konspiracja. Dzięki temu udało nam się uniknąć kompromitacji. Mogłem jednak przekonać się, jak bardzo obłudni są ludzie. Niby z jednej strony wydało się walkę wszelkiej obscenie, a z drugiej strony widać jak bardzo każdy garnie się do zakazanego owocu. Najzabawniejsze, choć jednocześnie najbardziej amoralne było to, że korzystaliśmy z usług uczennic, a więc pozornie najbardziej niewinnych. Wiecie... młode ciała sprzedają się najlepiej...

Chrul przerwał. Spojrział na Martę z uśmiechem. Odpowiedziała mu tym samym kiwając głową z niedowierzaniem, czy też podziwem; Nie mógł w pierwszej chwili tego ustalić.

- Ach, Patriku - powiedziała wreszcie z głośnym westchnieniem. Nigdy bym nie przypuszczała... Doprawdy... Wydaje mi się, że mimo tych wszystkich zbrodni, które były twoim udziałem, jesteś jednak interesującym chłopcem... No ale opowiadaj... opowiadaj dalej...

- Naprawdę cię to interesuje? Nie czujesz do mnie obrzydzenia?

- Jakoś nie. Choć początkowo byłam chyba wstrząśnięta. Sama zresztą nie wiem... Opowiadaj, bo jestem szalenie ciekawa.

- No wiesz... Ja sam w tych filmach nie występowałem... Ze względu na to, aby nie być rozpoznanym w razie wpadki. Zawsze wolałem się trzymać na uboczu. Ale oczywiście po zakończeniu sesji nagraniowej urządzaliśmy wspólnie różne zabawy... Ach... teraz to aż wstyd o tym mówić... Słyszałaś chyba... To się nazywało zabawa w „gwiazdkę”, lub też „miłość w stanie nieważkości” czy „polowanie na lisa”. Teraz jak patrzę na to z perspektywy czasu, to wydaje to mi się śmieszne i straszne zarazem...

- No i co dalej?

- No i były jeszcze inne takie sprawy... Na przykład z dziewczynami zawieraliśmy kontrakt, że tak powiem handlowy. Gdy któryś z naszych odbiorców miał chęć no i oczywiście solidnie zapłacił, podstawialiśmy mu jedną z tych dziewczyn.

- Niesamowite!

- Bywało, że fotografowaliśmy te pary... wiesz... w czasie... no, nieważne... W każdym razie było to dodatkowe źródło forsy... Szkoda, że nie będę mógł pochwalić się przed tobą moimi zbiorami. Są ogromne... A jakie dziewczyny! Różne rozmiary w biustach. Jedyńki, dwójki... Była nawet jedna siódemka! He, he. Jednak przyjemnie jest wspominać.

- To straszne. Nigdy bym nie przypuszczała, że będziesz zdolny do czegoś takiego! A wyglądałeś tak przyzwoicie, tak porządnie! Będę się musiała tobą zająć! Muszę z ciebie zrobić człowieka!

- Naprawdę chcesz mi pomóc? - spytał zdumiony Chrul. - Więc nie jestem ci wstrętny?

- Ależ nie! - zbliżyła się do niego i ujęła za rękę. - Może jest to perwersja, ale kiedy mi o tym wszystkim powiedziałaś, stałeś się w moich oczach jakby bardziej ludzki i bliski.

Patrik spojrzał w jej brązowe, pełne rozkwitającego ciepła oczy. W najśmielszych marzeniach nie spodziewał się, że przeżyje tak niezwykłą przygodę, której efektem będzie poznanie tak cudownej dziewczyny. Odnalazł w jej wzroku figlarny, trochę przewrotny uśmiech. Odpowiedział nań ciepło i wesoło. Cieszył się z nici porozumienia zawiązującej się nieśmiało między nimi. Nagle zapragnął tej pełnej płomiennego temperamentu dziewczyny. Przygarnął ją do siebie i mocno objął. Wyswobodziła się delikatnie. - ON nas obserwuje - powiedziała cicho.

- Nieważne! - Patrik machnął ręką. - Przecież ma pozostać z nami całe życie.

- Och, wolałabym nie! Ale proszę cię, opowiedz coś jeszcze.

- Ależ jesteś ciekawska! Nie ma specjalnie o czym mówić, to drobiazgi...

- Proszę cię...

- No więc mieliśmy też laboratorium chemiczne, gdzie prowadziliśmy badania nad różnymi środkami podniecającymi. Sprzedawaliśmy to. Podobno były bardzo skuteczne... Zresztą używaliśmy ich w czasie tworzenia pornohologramów. Efekty były fantastyczne! Poza tym mieliśmy kontakty z całym szeregiem firm produkujących podobne rzeczy. Prowadziliśmy z nimi handel wymienny. Na przykład, sprowadzaliśmy stamtąd sztuczne... te... no wiesz... Co ci będę mówił... Szkoda, że nie będę mógł ci tego pokazać... Gdybyś chciała, mógłbym nawet zaangażować cię do takiego filmu. To jest naprawdę fajna zabawa. Żeby tylko ten drań nas wypuścił... Ale to chyba jest niemożliwe. Hej maszyno!

Odpowiedziała mu cisza.

- Komputerze! - zawołał jeszcze raz. - Co to, czyżby się na nas pogniewał? - rozejrzał się wkoło. Milczenie Zespołonego Systemu Operacyjno-Obliczeniowego było zastanawiające. Co zamierzał uczynić w świetle nowych danych, tak brutalnie wtłoczonych do jego elektronicznego wnętrza? Jakich przeliczeń i operacji dokonywał teraz? Co planował? Oboje z rosnącym napięciem oczekiwali na Niewiadome. Nagle, bardziej wyczuli niż usłyszeli coś jakby głębokie stęknienie lub głuchy pomruk, który wstrząsnął ich ciałami, a potem całym pomieszczeniem, w którym byli zamknięci. Palmy, rododendrony, fikusy i paprocie zadrżały targnięte niewidzialną siłą.

Brązowa wykładzina zafalowała, a błękitna okleina ścian i sufitu lekko złuszczyła się i zaczęła opadać na podłogę mikroskopijnymi płatkami. Światło zmatowiało i przygasło.

- Boże, co to? - wystraszyła się Marta.

- Nie wiem, ale obawiam się najgorszego!

Buczenie narastało. Doszło do granicy słyszalności. Odczuli nieokreślony niepokój. Ściany zakołysały się.

- Uciekajmy! - krzyknęła Marta.

Rzucili się do drzwi. Były jednak zamknięte. Walili w nie zaciśniętymi pięściami, ale nie wydawały żadnego odgłosu. Znów usłyszeli nad głowami to niesamowite stęknienie, tym razem znacznie głośniejsze.

- Ratunku! Ratunku! - wrzeszczała Marta rozpaczliwie.

Buczenie narastało. Ton był coraz wyższy i głośniejszy. Przechodził w straszliwe wycie! Mieszał się

z nim jakiś niezrozumiały bełkot, jakaś skarga potwornej porażonej istoty. Marta zakryła uszy rękoma, ale Patrik wychwycił jakieś pojedyncze słowa „Uciekajcie!” Uciekajcie! Pokój zatrzęsł się. Ściany zakołysały się i wygięły. Drzwi zaczęły trzeszczeć i pękać. Patrik odsunął się od nich odruchowo i pociągnął Martę. Miał wrażenie, że sufit zawali mu się zaraz na głowę. Nagle rozległ się głośny huk.

Drzwi rozleciały się na kawałki jakby zgniecione kolosalnym naprężeniem.. „Uciekajcie!” „Uciekajcie!” - dobiegło ich potępięcze wycie zanikające gdzieś w najwyższych partiach słyszalnych dźwięków. Budynek trząsł się i wibrował, w takt diabelskiej muzyki wizgów, trzasków i buczeń o różnej tonacji, ciągłych i modulowanych. Patrik porwał Martę i wyskoczył z nią na korytarz. Za ich plecami coś chrobotnęło. Sufit runął na podłogę wypychając przez drzwi tuman pyłu. Dobiegli do windy. Była nieczynna. Rzucili się w kierunku awaryjnych schodów. Niemal ślizgali się po nich ścigani okropnym rykiem, w którym ledwo już można było rozróżnić słowo „Uciekajcie!”

Nad głowami buchnęły płomienie. - Szybciej! Prędzej! - wołał Patrik. W biegu Marta pogubiła swoje delikatne pantofelki, ale nawet tego nie zauważyła.

Gdy znaleźli się na dole, po schodach za nimi zsunęła się lawina kurzu okrywając ich nieprzezroczystym całunem. Kaszląc i potykając się doszli do otwartych, rozbitych drzwi. Byli wolni!

Biegli jeszcze kilkadziesiąt metrów, aż upadli zmęczeni na trawę. Leżeli przez chwilę ciężko dysząc. Odwróciwszy głowy dostrzegli za zielonkawymi szybami setki, tysiące pełgających i przesuwających się z ogromną prędkością po niewidzialnych przewodach ogników. Co chwilę różne piętra rozbłyskiwały elektrycznymi wyładowaniami. Słyszać było jeszcze lekkie buczenie, lecz już zanikające i coraz cichsze. Ogniki zaczęły powoli błędnać i przygasać. Okna instytutu pociemniały. Umierała powołana niechcący do życia nadludzka istota.

- Mam wrażenie, że to wszystko było jakimś koszmarnym, nierealnym snem - powiedziała Marta patrząc na milczący i martwy już budynek. - I gotowa byłabym przysiąc, iż tak było gdyby nie to, że ty jesteś tu obok mnie.

Patrik uśmiechnął się.

- Dla mnie ty jesteś jak najbardziej realna. Nawet bardziej niż realna, bo upragniona. Tak to krótka chwila wystarczyła, aby poznać cię i bardzo polubić. Ale sam się sobie nie dziwię. Jesteś dziewczyną naprawdę, że tak powiem, wartą grzechu!

Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym zalotności.

- Byłeś wspaniały. Nie przypuszczałam, że poznam tak interesującego mężczyznę.

Otoczył ją ramieniem.

- Tak, to był strzał w dziesiątkę. Nie wiedziałem jak się przed NIM obronić... To przyszło samo... tak nagle... Jakiś rozbłysk inwencji w mojej głowie... jakby ktoś tchnął we mnie rozwiązanie.

Spoglądała na niego oczyma, w których czaiło się jakieś pytanie. Nie mógł jednak go zrozumieć, a Marta wstrzymując się z wyrażeniem do końca swych uczuć zagadnęła:

- Słuchaj, Patriku, czy będziemy opowiadać komuś o naszej przygodzie?

- Eee, chyba nie ma sensu. Zdaje się, że nikt nie zauważył, co się tutaj stało. Po co więc mamy się narażać służbom porządkowym. Przecież i tak nam nie uwierzą, że to komputer nas ściągnął. Będą nas podejrzewać o jakiś sabotaż albo co innego. Lepiej uciekajmy stąd jak najprędzej.

- A co będzie z nami, Patriku?

Przycisnął ją mocno do siebie. - Jak to co? Bardzo mi się podobasz. Chcę być z tobą. Na zawsze!

- A powiedz mi - zawahała się - czy pokażesz mi te filmy o których mówiłeś wtedy, tam na górze?

Patrik wpatrywał się w nią z osłupieniem. Dopiero po dłuższej chwili wybuchnął śmiechem.

- Ależ kotku! Więc ty... myślałaś... że ja naprawdę? Ha, ha, ha! Więc nie zorientowałaś się, że to wszystko wymyśliłem, że to bzdura? Nie, aż takim degeneratem to ja nie jestem, na szczęście! - śmiał się

patrząc jej w oczy. Nagle dostrzegł, że żyjąca w nich sympatia i podziw dla niego zaczęły przygasać. Marta spoważniała. Jej twarz wyrażała teraz z trudem ukrywane rozczarowanie i złość. - Umknęła przed jego wzrokiem. Wpatrywała się w jakiś niewidoczny punkt za jego plecami.

- Ach, więc to wszystko nieprawda? - powiedziała zamyślona.

- Oczywiście! - odparł mocno zdziwiony Chrul. - Chyba nie mogłabyś żyć ze mną takim, jakim przedstawiłem siebie tej piekielnej machinie?

- Ależ nie! Pewnie, że nie mogłabym. Tylko, że... ale to już nie ma w tej chwili żadnego znaczenia...

Zapanowało ciężkie milczenie, które przerwał Patrik.

- Nie bardzo cię rozumiem. Co już nie ma znaczenia? O co ci chodzi?

- Nie... nieważne. Wiesz co, Patriku... Masz rację. Lepiej odejźmy stąd. Złapmy jakąś taksówkę i spływajmy. Odwieziesz mnie do mojego hotelu. Dobrze?

- Oczywiście, że cię odwiezę - w dalszym ciągu nie mógł jej zrozumieć. Wstali i przeszli rozległy, gęsto zadrzewiony plac okalający instytut. Patrik przyglądał się spod oka idącej z lekko opuszczoną głową Marcie. Intensywnie szukał wyjaśnienia dla jej niezrozumiałego zachowania. Po kilku minutach wyszli na szeroką, opustoszałą arterię. Przeszli na drugą stronę i szli w kierunku śródmieścia. Chrul ledwie tłumił w sobie chęć zerwania z niej tych cieniutkich sznureczków, na których ledwie wisiała suknia. Już wyciągnął rękę, gdy ujrzeni mknący ku nim lśniący, srebrzysty poduszkowiec. Marta machnęła ręką. Zatrzymał się przy chodniku z cichym szumem.

- Proszę do hotelu „Tobanga” - powiedziała Marta gdy spoczęli na tylnym siedzeniu. Taksówkarz rzucił im wesołe, porozumiewawcze spojrzenie i skinął głową. Ostro ruszyli z miejsca.

Jechali w milczeniu. Po kilkunastu minutach byli już u celu. Marta wyskoczyła z wozu.

- Cześć, Patriku! - powiedziała na pożegnanie. - Miło mi było ciebie poznać! - podała mu rękę.

- Kiedy się zobaczymy, Marto? - przytrzymał przez chwilę jej dłoń.

- Ach, zadzwonię do ciebie! Cześć! - wyswobodziła się i odeszła.

- Zapisz mój telwid! - krzyknął za nią, ale już nie słyszała tego. Patrzył za nią zły i zawiedziony. Z zamyślenia wyrwał go dopiero głos kierowcy: - Dokąd teraz kolego?

- Do hotelu „Markos” - odparł z westchnieniem.

Poduszkowiec ze świstem ruszył przed siebie. Patrik siedział skulony i próbował zrozumieć to co się stało.

Żadne wyjaśnienie, jakie stwarzał nie pasowało do tej dziwnej sytuacji. „Co jej się stało, do diabła” - myślał gorączkowo. Nie mógł pogodzić się z tak niespodziewaną stratą Marty. Zacisnął pięści w bezsilnym gniewie. Miał wrażenie, że głowa mu pęknie. Nagle jego umysł rozświetliła błyskawica. Naga prawda ukazała mu się z całą przerażającą brutalnością. Położył bezwładnie głowę na oparciu. Z trudem łapał oddech. „Więc o to jej chodziło? Co za tuman ze mnie!” Powoli dochodził do siebie. Gdy dojeżdżali do hotelu „Markos” był już całkowicie spokojny. Uśmiechnął się.

- Wie pan co... - powiedział do kierowcy. - Ale te baby, niech je...!

- Zgadza się z panem całkowicie - odparł kierowca wesoło. - Ale co to byłoby za życie bez nich? Co? No niech pan sam powie...

Magia i komputer *Małgorzata Kondas*

Doznaję dziwnego uczucia, jakbym znalazł się w nieznanym mi miejscu. Gdyby nie całkowita pewność, że to właśnie tu spędziłem ostatnie pięć lat mojego życia, mógłbym ulec złudzeniu, że jakaś siła tajemna przeniosła mnie do tego pokoju, w którym wszystko jest nowe, widziane po raz pierwszy. Ale też po raz pierwszy od pięciu lat mam czas widzieć przedmioty, jakimi są, w ogóle je zauważać. Chociaż ten wydruk z komputera wygląda jak szeroka jedwabna taśma. Wcale nie przypomina papieru. Ach, prawda, to rzeczywiście nie jest papier. Jakaś firma przysłała nam próbkę rewelacyjnego podobno tworzywa o niespotykanych dotąd parametrach i moja właśnie praca, jako pierwsza, została na nim wydrukowana. Nie interesowały mnie właściwości tego nowego tworzywa. Dla mnie liczy się tylko to, co jest wydrukowane, a nie na czym. Ale teraz, po zakończeniu tej gigantycznej pracy, kiedy mam wreszcie czas na wszystko, mam go również na zupełnie niespodziewane skojarzenia plastyczne. Taśma połyskuje, opalizuje i zdaje się ożywiać w migotliwym blasku świecy.

To nawet dobrze, że zgasło światło i musiałem swoją pracę ukończyć przy świecy. Jest w tym jakby jakiś symbol, jakaś rama zamykająca dzieło, które ktoś zaczął przed wiekami przy świecy, lub może nawet kaganku, a ja je zakończyłem w pokoju pełnym przedmiotów z tworzyw sztucznych, ale oświetlonym też jedną, małą świeczką.

Zastanawiam się, jak teraz będzie wyglądało moje życie. Po opublikowaniu dzieła, stanę się nasławniejszym człowiekiem dwudziestego wieku. Nie, wcale nie przesadzam. Przeciwnie, jestem skromny, mówiąc o dwudziestym wieku. Spełniam odwieczne marzenie ludzkości - daję jej - nieśmiertelność! Ten maszynopis wart jest miliony. Mam trzydzieści cztery lata i już nie muszę nic robić. Osiągnąłem nieosiągalne! Pozostaje mi tylko cieszyć się życiem, aż trudno to sobie uzmysłowić.

A wszystko zaczęło się od znalezienia pewnego dziwnego dokumentu w kufrze z pamiątkami rodzinnymi. W paczusce z wyblakłą korespondencją, przewiązanej zetląką wstążeczką, znajdowała się zapieczętowana koperta, na której widniał napis: „Dla urodzonego w dniu 19 marca 1943 r.” Pozostałe koperty były otwarte, a z listów w nich umieszczonych domyśliłem się, że była to korespondencja mojej prababki. Czyżby więc prababka, której nie znałem, miała mi coś do powiedzenia? Skąd wzięła się ta zagadkowa koperta z moją datą urodzenia wśród korespondencji z ubiegłego wieku?

Zanim poszukałem odpowiedzi na to pytanie, sprawdziłem zawartość tajemniczej koperty. Okazało się, że zawierała ona następujące papiery: notatkę prababki wyjaśniającą ten dziwny pomysł pozostawienia przesyłki dla prawnuka, który urodzi się za 53 lata; wycinek z gazety o katastrofie kolejowej i jeszcze jedną zalakowaną kopertę.

Z listu skierowanego do mnie dowiedziałem się, że moją, osiemnastoletnią podówczas prababkę odwiedził tajemniczy Włoch nazwiskiem Lorenti, zostawiając jej zalakowaną kopertę, na której widniała moja data urodzenia. Nie szczędząc zaklęć i prezentów staruszek zobowiązał ją do przekazywania tej koperty z pokolenia na pokolenie tak, aby dotarła do mnie.

Wycinek z gazety opatrzony datą 21 marca 1890 r. opisywał katastrofę kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W płomieniach wykolejonego wagonu zginęło siedemnaście osób. Wyblakłym atramentem podkreślone było nazwisko Lorenti.

Właśnie miałem otworzyć zalakowaną kopertę, kiedy na strych przyszła moja matka.

- Czego ty szukasz w tych starych rupieciach?

Pokazałem jej znaną kopertę.

- A więc ona nie zginęła? - ucieszyła się moja matka. - Byłam przekonana, że spłonęła w bibliotece twojego dziadka na Tamce.

- Co wiesz o tej dziwnej przesyłce? - spytałem.

- Tyle tylko, że jakiś zwariowany staruszek prosił moją babkę, żeby przekazała ją swojej córce lub wnuczce. Prawdę mówiąc, kiedy urodziłeś się akurat 19 marca 1943 roku pomyślałam, że to wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności. Nie wspominałam o tym wszystkim, byłam przekonana, że koperta zginęła w czasie wojny.

Zabrałem znalezione skarby do swojego pokoju i nie bez emocji zламаłem stare pieczęci. W kopercie pozostawionej przez pana Lorenti znajdował się tylko jeden arkusik papieru. Był to rodzaj czeku wystawionego przez Bank of England w Londynie. Nie było na nim wymienionej żadnej sumy ani nazwiska. Okaziciel miał jednak obowiązek udokumentować swoją datę urodzenia oraz podać daty urodzenia swoich rodziców. Schowałem starannie ten dziwny dokument w nadziei, że uda mi się kiedyś wyjaśnić jego tajemnicę. Tak się szczęśliwie złożyło, że długo nie czekałem.

W kilka miesięcy później otrzymałem trzymiesięczne stypendium do Londynu dla zapoznania się z najnowszą techniką obliczeniową w IBM. Zafascynowany techniką komputerową, nie zapomniałem jednak wybrać się do Bank of England z moim starym dokumentem. Czuję się nieco śmiesznie wręczając go panience w okienku. Ona jednak nie okazała zdziwienia, wyszła z nim, a ja po paru minutach zostałem zaproszony do gabinetu dyrektora.

Po wstępnych uprzejmościach i dokonaniu formalności przewidzianych czekiem, dyrektor oświadczył mi, że jestem właścicielem zdeponowanego w jego banku złota i wymienił jego wagę. W pierwszej chwili nie orientowałem się czy trzydzieści funtów złota to dużo, czy mało. - Woli pan w sztabach, czekach czy gotówce? - zapytał uprzejmie.

Wybrałem gotówkę. Kiedy wymienił sumę poczułem, że kręci mi się w głowie. To była fortuna!

- To nie wszystko - dodał dyrektor. - Zdeponowano w naszym banku również zalakowaną kopertę z dokumentami przeznaczonymi dla pana.

Nazajutrz była sobota, bez reszty mogłem więc oddać się studiowaniu zawartości grubej koperty pozostawionej dla mnie przez pana Lorenti. List ten został napisany w roku 1889 do mnie, który miałem urodzić się za pięćdziesiąt cztery lata i zawierał wywód dlaczego właśnie ja, a nie kto inny zostałem obdarowany.

Pan Lorenti wykląda w nim swoją teorię reinkarnacji i próbuje udowodnić mi, że jestem nim. W ten sposób wyjaśniło się dlaczego zgromadzone złoto trafiło właśnie do mnie. Po prostu dostałem pieniądze będące własnością mojego poprzedniego wcielenia. Autor listu informuje mnie, że sam otrzymał podobną przesyłkę od pewnego mnicha i zachęca mnie gorąco, abym przestudiował manuskrypt owego półmnicha, półczamoksiężnika z Padwy, będącego naszym poprzednim wcieleniem. Do listu dołączona była jeszcze jedna zaklejona koperta, którą miałem otworzyć nie prędzej, jak po przestudiowaniu owego manuskryptu. Mogłem oczywiście otworzyć kopertę nie ruszając się z hotelu w Londynie, ale czułem się zobowiązany do respektowania woli mojego dobroczyńcy. W końcu miałem dość pieniędzy, żeby zafundować sobie wycieczkę do Włoch.

Posługując się wskazówkami zawartymi w liście pana Lorenti odszukałem interesującą mnie księgę w archiwum klasztornym starych rękopisów w Padwie. Dzieło to jakimś cudem przetrwało aż do naszych czasów, mimo że autor przyplacił życiem jego napisanie.

Brat Albert - tak nazywał się autor - pisał swoje dzieło przez 70 lat i zawarł w nim metodę obliczeń, pozwalających przewidzieć następne wcielenie człowieka. Brat Albert wyliczył, że następnym razem

urodzi się za sto dwadzieścia jeden lat. Chcąc zapewnić sobie środki na dalsze badania w następnym wcieleniu, sprzedał rodzinny majątek, a uzyskane złoto złożył w pierwszym powstałym w Europie banku w Londynie w 1698 r. Następnie sporządził odpowiedni dokument, który wraz z amuletem oddał swojej przyszłej rodzinie, zobowiązując ją do przekazywania amuletu wraz z dokumentem z pokolenia na pokolenie pod groźbą klątwy. Zabezpieczywszy się w ten sposób, postanowił ogłosić swoje odkrycie. Podobnie jak Lorenti zginął w płomieniach - spalony na stosie.

Ostatnia koperta pozostawiona przez Lorentiego zawierała opis ulepszenia metody brata Alberta i przykłady obliczeń czasu i miejsca przewidywanych urodzin następnego wcielenia człowieka. Opis metody, poparty licznymi przykładami, zajął jej autorowi czterdzieści lat. Zważywszy przewidywany postęp Lorenti przypuszczał, że mnie podobne obliczenia nie powinny zająć więcej jak dwadzieścia lat.

No cóż, niełatwo było w roku 1889 przewidzieć technikę komputerową. Mnie ta praca zajęła pięć lat. Aż pięć lat, pomimo, że same obliczenia maszyna wykonuje w ułamkach sekundy.

Pozostawione mi przez brata Alberta i pana Lorentiego informacje, jak takich obliczeń dokonać, miały formę opisową, nie matematyczną i pozostawiały duży margines intuicji, której komputer, jak wiadomo, nie posiada. Już samo zebranie odpowiednich danych wyjściowych napotyka szalone trudności, zwłaszcza jeżeli chce się je tak uogólnić, żeby można było przyjąć jakiś ramowy program dla każdego przypadku. Uwarunkowania są tu na tyle rozległe, że problem ten można było rozwiązać jedynie za pomocą uwikłanych układów równań różniczkowych cząstkowych.

Mam wreszcie tę gigantyczną pracę za sobą. Metodę moją sprawdziłem na setkach przykładów. Jest niezawodna. Dysponując odpowiednimi informacjami o człowieku, mogę wskazać zarówno jego przyszłe, jak i przeszłe wcielenia. To, co dotychczas nazywaliśmy przypadkiem, jest po prostu wynikiem zależności, które można przewidzieć!

A swoją drogą jestem pełen podziwu dla ludzkiej intuicji, czy właściwie, powinienem powiedzieć, dla nieznaney nam dotąd mądrości. W Europie byliśmy skłonni uważać reinkarnację za wytwór wyobraźni ludów o niższym poziomie cywilizacyjnym, a jednak to oni mieli słuszność! Reinkarnacja nie jest filozofią ani religią, a po prostu faktem. Przeprowadzone przeze mnie doświadczenia wykazują to niezbitnie. Tej oczywistości długo nie można było zauważyć, bo niezwykle rzadkie są przypadki, aby ktoś przypomniał sobie cokolwiek z okresu sprzed narodzin. Urazy związane z urodzeniem blokują świadomość naszych doznań z poprzedniego wcielenia. Co wcale jednak nie zwalnia nas z odpowiedzialności za popełnione czyny. Dobre i złe uczynki nie ulegają wymazaniu wraz ze śmiercią. To wszystko czego dokonaliśmy, skumulowane, przejawia się w predyspozycjach psychicznych przyszłego życia. Popełnione zło uwstecznia, obdarowując prymitywnym, lub trudnym charakterem. Wysiłek twórczy jest nagradzany w przyszłym wcieleniu wyjątkowymi zdolnościami, które ułatwiają kontynuowanie obranej drogi.

Teraz jestem całkowicie pewien, że uzdolnienia matematyczne, których nikt nie przejawiał w mojej rodzinie, są mi dane w nagrodę wysiłku dokonanego w poprzednich wcieleniach. Ciekaw jestem, co jeszcze będę mógł zrobić w następnym moim życiu. Urodzę się ponownie w roku 2021 w Warszawie. Nie umiem sobie wyobrazić jak będzie wyglądało to miasto. Dla porównania wykonałem wiele zdjęć, które dołączyłem do dokumentów przeznaczonych dla mojego przyszłego ja. Myślę, że zabezpieczyłem się nie gorzej od Alberta i Lorentiego i tylko wyjątkowy pech mógłby spowodować zaginięcie przesyłki przewidzianej dla urodzonego 5 kwietnia 2021 roku. Drugi egzemplarz mojej pracy wysyłam jutro do wydawcy.

Wybiła północ, jestem już zmęczony i obawiam się, że zaczynam mieć przywidzenia. Kropla stearyny upadła na taśmę wydruku z komputera i - wydaje mi się - jakby rosła.

Nie, to jednak nie jest przywidzenie, i nie kropla stearyny rośnie, a tworzywo, z którego jest zrobiona

taśma. O! Wydyma się tworząc następny purchel. To byłoby nawet zabawne, gdyby nie niszczyło moich wydruków. Już cała powierzchnia taśmy pokryta jest bąblami, wielkości ziarna grochu, które nadal rosną. Połyskujące kuleczki stale powiększają swoją objętość. W tej chwili nad największą z nich ukazał się płomyk. Ależ to zupełnie przypomina zjawisko błędnych ogników nad moczarami. Zapalają się następne. Powinienem jednak coś z tym zrobić. Za chwilę może być za późno, a ja jestem taki ociężały... Jest mi duszno, gorąco. Ten ogień... te piekielne płomienie...

Portret na tle pejzażu *Małgorzata Kondas*

Wszystko zaczęło się od przypadku. Gdyby autobus nie popsuł się przed antykwariatem, życie Karola potoczyłoby się zapewne zupełnie inaczej.

Dochodziła ósma. Jak zwykle o tej porze, wracał do domu zmęczony po wielogodzinnej pracy. Zatrudnienie na półtora etatu miało przynajmniej jedną dobrą stronę - o tej porze autobusy nie były przepełnione. Siedział przy oknie i oglądał mijane ulice, witryny zamkniętych sklepów, nielicznych przechodniów. Kolorowe światła neonów odbijały się na mokrej jezdni i tworzyły abstrakcyjne, ruchome obrazy.

Z zadumy wyrwał go głos kierowcy. Powtarzał specjalnie dla niego, że autobus się zepsuł i dalej nie jedzie. Rozejrzał się, był już tylko sam. Wsiadł pospiesznie. Miał do wyboru albo iść piechotą dwa przystanki, albo poczekać na następny autobus. Mżący kapuśniaczek nie zachęcał do spaceru. Stanął przed witryną sklepu. Umieszczona nad wystawą markiza chroniła go przed deszczem. Nie od razu zauważył ten obraz. Obejrzał srebra i misternie malowaną porcelanową paterę, a potem wzrok jego powędrował w prawo i napotkał jej oczy. Dama z portretu patrzyła na niego z jakimś dziwnym wyrazem zainteresowania. Właściwie przy tak słabym oświetleniu bardziej domyślał się niż widział sylwetkę namalowanej kobiety, ale co do wyrazu jej oczu miał pewność, że wyrażają właśnie zaciekawienie.

Autobus nadjechał prędzej, niżby sobie tego życzył. Nazajutrz wyszedł z pracy o godzinę wcześniej. Ciekaw był, jak obraz wygląda w pełnym świetle dnia. Nie zawiodły go przecucia. Portret kobiety w jasnej sukni i wspaniałym kapeluszu wydał mu się olśniewająco piękny. Urzekający krajobraz w tle dopełniał dzieła. Karol nie pamiętał, żeby jakikolwiek obraz zrobił na nim podobne wrażenie.

Cały następny dzień myślał o chwili, kiedy znowu stanie przed witryną i znajdzie się pod niezwykłym urokiem tej kobiety. Autobus stanął kilkanaście metrów przed przystankiem. Z tej perspektywy nie mógł dostrzec, czy obraz znajduje się na swoim miejscu, i serce zabiło mu mocniej na myśl, że mógł zostać sprzedany. Widząc, że nic się nie zmieniło, uspokoił się, ale nie na długo.

Przykra myśl, której raz pozwolił zakiełkować, nie chciała go już odstąpić. Niestety, był zupełnie pewien, że nie stać go na kupno tego obrazu.

W dwa dni później wszedł do antykwariatu. Udawał, że interesuje się innymi przedmiotami, wypytywał obsługę o różne szczegóły. Wreszcie zdecydował się, zadał to właśnie pytanie, z którym tu przyszedł. Odpowiedzi słuchał, jak słucha się wyroku. No, tak. Nie mógł się przecież spodziewać cudu...

Wyszedł na ulicę i poszedł w przeciwnym kierunku, tak aby nie przechodzić koło wystawy. Czuł własną śmieszność; był bezsilny. Chciał oddalić się stamtąd jak najprędzej i myśleć koniecznie o czymś innym.

Monotonia czynności biurowych była coraz bardziej nużąca. Przystawał widzieć jakikolwiek sens w zestawianiu kolumn liczb, za którymi nic się nie kryło - przynajmniej dla niego. Dla urozmaicenia zaczął przeprowadzać pewne kalkulacje finansowe. Zastanawiał się, z czego musiałby zrezygnować, żeby kupić ten obraz. Były to oczywiście rozważania czysto teoretyczne. Elżbieta nigdy by się przecież nie zgodziła, żeby pieniądze, przeznaczone na meble do nowego mieszkania, wydał na takie głupstwo. Jest bardzo praktyczna, to zresztą jedna z ważniejszych cech, które zadecydowały, że postanowił ożenić się właśnie z nią. Zanim to nastąpi, czeka go jeszcze rok pracy na półtora etatu. Potem będzie już czas na wszystko. A

na razie... Na razie wystarczy mu jedynie patrzeć na nią od czasu do czasu. Nie, nie na Elżbietę, I Trudno mu było na dłużej oderwać myśl od damy z portretu.

To, czego dowiedział się tego dnia w antykwariacie, przeraziło go. Obraz został zadatkowany! Nowy właściciel zgłosił się po jego odbiór w ciągu tygodnia. Długo stał przed witryną.

Postanowił, że od jutra, aż do dnia, kiedy obraz zostanie sprzedany, będzie wychodził z pracy wcześniej. Cały dzień niecierpliwie czekał na tę chwilę, jak na potajemną schadzkę. Jaki śmieszny musiałby się wydać kolegom, gdyby wiedzieli, dokąd tak się śpieszy! Każdy następny dzień, w którym obraz był jeszcze na swoim miejscu, uważał za podarunek losu. Kiedy wreszcie minął tydzień, a portret nadal nie zniknął z wystawy, zdecydował się wejść do sklepu. Ekspedient objaśnił go uprzejmie, że obraz znowu jest do kupienia. Zadebek został zwrócony rodzinie niedoszłego nabywcy, który zginął w wypadku samochodowym. To była najradośniejsza wiadomość o wypadku samochodowym, jaką kiedykolwiek słyszał.

- Proszę nikomu tego obrazu nie sprzedawać. Ja go kupuję - pewność własnego głosu zaimponowała jemu samemu.

Sprzedawca skłonił się lekko.

To, co nastąpiło w ciągu następnych dwóch godzin: podejmowanie pieniędzy w PKO, pakowanie obrazu, powrót do domu taksówką - odbywało się jakby we śnie, jak gdyby dotyczyło innego człowieka. Dopiero kiedy obraz wisiał na ścianie w jego pokoju, a on usiadł naprzeciwko w starym fotelu, uświadomił sobie, że wszystko to stało się naprawdę.

Obudził się jak zwykle piętnaście po szóstej i zaraz przypomniał sobie, że jest wolna sobota. Pomimo to był zdecydowany jechać do biura, żeby nadgonić zaległości powstałe przez wcześniejsze wychodzenie z pracy w ciągu ostatniego tygodnia.

Poranne czynności wykonywane automatycznie nie zajęły mu więcej czasu niż zazwyczaj. Natomiast gorąca kawa podsunęła mu myśl, że może przecież usiąść w fotelu i wypić ją spokojnie, nie spiesząc się. Dama z portretu najwidoczniej była tego samego zdania, bo jak gdyby uśmiechała się do niego porozumiewawczo. Kawę dopił już zupełnie zimną. Dochodziła jedenasta. Postanowił nie jechać do biura. Czyż nie należy mu się trochę odpoczynku?

Nazajutrz Elżbieta przysłała punktualnie o dziesiątej, jak w każdą niedzielę. Nie od razu zauważyła obraz. Najpierw zwróciła uwagę na fotel stojący wyraźnie nie na swoim miejscu. Rozejrzała się, żeby stwierdzić, dlaczego stoi na środku pokoju.

- A to skąd się tu wzięło? - ruchem głowy wskazała portret.

- Podoba ci się?

- Pejzaż ma w sobie coś. Ale ta damulka jest zupełnie bez wyrazu - dotknęła palcem płótna. - To nie jest reprodukcja! - spojrzała na niego wymownie, - Skąd to masz? Chyba...

- Tak. Kupiłem - patrzył gdzieś w bok, jakby mogło go to uchronić przed następnym pytaniem Elżbiety, które jednak padło nieubłagane.

- Za ile?

- To świetna lokata kapitału.

- Nie wiedziałam, że nie masz co robić z forszą.

Ta niedziela na pewno nie należała do przyjemnych i kiedy wreszcie za Elżbietą zamknęły się drzwi, odetchnął z ulgą. Usiadł na fotelu przed portretem. Unikał spojrzenia w oczy pięknej damy. Czuł się jakoś nie w porządku, ale nie umiałby sprecyzować wobec kogo. Z uwagą śledził pejzaż. Im dłużej patrzył, tym więcej spostrzegał szczegółów wcześniej nie zauważonych. Na przykład ten strumyk, tam daleko - w tle. Nie wiadomo dlaczego przedtem wydawał mu się drogą. Albo tamten obłoczek - jakże różni się od pozostałych swym owalnym kształtem. Wszystko to pięknie harmonizuje z jasną suknią damy. Na bogato

haftowanym ałtase spoczywa jej delikatna dłoń.

W autobusie był tłok, jaki bywa tylko o czwartej, kiedy wszyscy chcą wrócić do domów. Udało mu się wreszcie przedrzeć do wyjścia. Wsiadł na przystanku koło antykwariatu. Od tamtego pierwszego razu stale przesiadał się właśnie tutaj. Fakt, że miał do wyboru o jedną linię autobusową mniej, był bez znaczenia. Lubił robić sobie małą przerwę w podróży. Wpadał na chwilę do sklepu, witany jak stary klient, chociaż nie interesował się niczym poza obrazem, który stał się już jego własnością. Wypytywał o szczegóły dotyczące malarza, ubolewał nad tym, że modelka była nieznana, tak jak by to mogło mieć dla niego znaczenie pomimo upływu stu lat od prawdopodobnej daty namalowania portretu. Dowiedział się również, że pejzaż w tle był starszy od portretu o jakieś dwieście lat, a pod portretem damy jest inny obraz, być może cenniejszy. Gdyby więc zdecydował się na usunięcie wierzchniej warstwy farby...

Karola przeraziła sama myśl o takiej możliwości. Jak to dobrze, że portret jest jego własnością! Nigdy i za żadną cenę nie pozwoli zrobić krzywdy pięknej damie. Dochodziła dopiero piąta, a on mógł już wrócić do domu. Był zadowolony ze swojej decyzji w sprawie pracy. Teraz miał znacznie więcej czasu dla siebie.

Jak się tak dobrze zastanowić, to co za sens ma zarabianie pieniędzy, kiedy nie ma się czasu na wydawanie ich we właściwy sposób. Zanim wszedł do domu, zrobił zakupy w sklepie osiedlowym, a u straganiarki prócz sałaty kupił bukiet konwalii.

Postawił je na małym stoliku, tuż pod portretem. Miła woń napełniła cały pokój. To zabawne, ale dopiero teraz spostrzegł, że w bukietie trzymany przez damę z portretu dominowały właśnie konwalie. Jej półuśmiech wyrażał nie tylko zadowolenie, ale dawał wyraźnie do zrozumienia, iż docenia jego gest. Czuł się tak, jakby mu dziękowała, był nawet lekko zażenowany.

Niespodziewana wizyta Elżbiety wypadła bardzo nie w porę. Już od progu spytała.

- Czy to prawda, że zrezygnowałeś z półetatu?

- Nie.

- A mnie powiedziano...

- Niedokładne masz informacje. Najlepiej, żebyś wiedziała od razu. Zrezygnowałem z całego etatu. Zostawiłem sobie właśnie połówkę.

- Wybacz, ale chyba nie jesteś przy zdrowych zmysłach - podeszła do fotela, na którym siedział, ale on nie wstał, żeby ustąpić jej miejsca. Energicznie przestawiła konwalie na duży stół i usiadła na stoliku naprzeciw niego.

- Uważasz, że zaharowując się byłem przy zdrowych zmysłach? - spytał nieco zaczepnie.

- Miałeś jakiś cel. Jeżeli mamy się pobrać...

- Tak, tak. Wszystko to wiem.

- Myślałam, że masz mi coś więcej do powiedzenia.

Zapadło milczenie. Patrzyły na niego obydwie - dama z portretu i Elżbieta. Czekwały, co powie, ale jego zafascynował nowy szczegół obrazu. Śledzenie tych drobiazgów było swoistą łamigłówką, od której odrywał się niechętnie. Na przykład ten muślinowy szal. Był tak delikatny, że wcześniej w ogóle go nie zauważył. Otaczał miękko lewe ramię damy i niknął w fałdach sukni.

- Co się z tobą dzieje? Wcale nie słuchasz tego, co mówię.

Słyszał, co mówiła. Rozumiał nawet jej pretensje, ale nie miał nic do powiedzenia.

- Na co tak patrzysz? Znowu przyglądasz się temu okropnemu portretowi - Elżbieta odwróciła się i wykonała opisowy gest. Dotknęła ramy obrazu i w tym momencie krzyknęła z bólu. Wystający gwóźdź skaleczył ją dotkliwie. Po wyjściu Elżbiety postawił wazonik z konwaliami ponownie na małym stoliku i usiadł w fotelu.

- Nie powinna była pani tego robić - powiedział.

Odpowiedział mu wyniosły i nieco ironiczny uśmiech.

- Jest pani najpiękniejszą kobietą na świecie i nigdy się pani nie zmieni. Czyż to nie wystarczająca przewaga nad Elżbietą?

Sięgnął po papierosy. Paczka na stole była pusta. Wstał i skierował się w stronę drzwi. Czuł na sobie jej wzrok.

Nie lubiła, kiedy wychodził. Przemógł się, żeby się nie odwrócić. Nie będzie jej przecież tłumaczył, co to jest głód nikotyny.

Wrócił z pełną siatką niezbędnych zakupów. Długo nie zabraknie mu niczego. Co za ulga móc wreszcie nic nie robić po tak wielu latach nieprzerwanej pracy. Pomyśleć, że dawniej nawet urlopy wykorzystywał na dodatkową pracę. Wtedy zdawało mu się, że nie umiałby siedzieć beczynnym. I oto proszę, ma przed sobą tydzień urlopu i w perspektywie zupełny spokój. Elżbiecie powiedział, że wyjeżdża w delegację, a więc i jej wizyty mu nie grożą. Jediną osobą, która dotrzyma mu towarzystwa, będzie dama z portretu. Poznawał ją coraz lepiej. Nie interesowała go już pozująca przed stu laty modelka ani nieznany malarz. Liczyło się tylko, czym była dla niego teraz, ile dostarczała mu wrażeń. Mógł z nią rozmawiać... Tak, bo wyraz jej oczu mówił mu znacznie więcej niż potok słów płynący z ust Elżbiety. Całe dotychczasowe życie wydało mu się puste i nic nie warte. To uganianie się za pseudowartościami i pospolitymi przyjemnościami było po prostu żałosne.

Czuł, że teraz należy do zupełnie innego świata, tego samego co ona, a to wszystko, co było wcześniej, prowadziło ich jedynie ku sobie. Obecnie, kiedy zdewaluowały się wszystkie słowa świata, czyż nie najważniejsze było to ich milczące porozumienie?

- Czy ty zdajesz sobie chociaż sprawę z tego, ile czasu tu siedzisz? - Elżbieta nachyliła się nad nim. Widział każdy por, każdą zmarszczkę. Jej skóra w tym zbliżeniu była wręcz odrażająca. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Chciał się cofnąć, ale oparcie fotela nie pozwoliło. „Skąd ona się tu wzięła?” - pomyślał z niechęcią.

- Czy wiesz, że siedzisz tu od dziesięciu dni i że zostałeś wyrzucony z pracy? Gdybym była na miejscu, nigdy nie dopuściłabym do tego, ale pech chciał, że musiałam jechać do ojca, a ty tymczasem... Zupełnie nie rozumiem, co się z tobą dzieje. Może jesteś chory? - dotknęła dłonią jego czoła. - Wezwać lekarza?

- Nic mi nie jest. Wyjdź - poprosił najłagodniejszym, tonem, na jaki mógł się zdobyć.

- Wyrzucasz mnie?! To ty musisz się wreszcie ruszyć! - szarpnęła go za rękaw.

Ta cisza nastąpiła potem tak nagle... Znowu był wśród dalekich pól. Wijąca się na zboczu góry ścieżka prowadziła w tamten nieznany świat, w którym ludzi widywało się rzadko, można było za to spotkać istotę tak cudowną jak ona. Jej słodki nieodgadniony uśmiech opromieniał wszystko, na co patrzyła. Wyciągnęła właśnie ku niemu dłoń, gdy zauważył, że nie są sami. Obcy męski głos zapytał.

- Dlaczego pan to zrobił? - wskazał na Elżbietę, którą dwaj inni mężczyźni układali na noszach.

- Co zrobiłem? - patrzył, jak przykrywają ją białym płótnem, spod którego wymykał się wiotki szal unoszony ruchem powietrza, widział, że faluje niby w pożegnalnym geście. Chciał zapytać, co się właściwie stało, gdy nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. Spojrzał na portret. Dama uśmiechała się. Na jej ramieniu nie było muślinowego szala.

Spór o czarownice *Małgorzata Kondas*

Milczący, wrogi tłum stał nieporuszony. Czy nienawidzili jej? Nie. Raczej bali się i mieli nadzieję, że oto za chwilę będą świadkami zniszczenia zła raz na zawsze. Potem już stale będą szczęśliwi. „Głupcy - pomyślała - nie wiedzą, że szatan jest wśród nich. Jest nim ten właśnie człowiek w białej szacie z krzyżem w ręku, który ich tu przywiódł”. Zbliżył się teraz do stosu. Stała przywiązana sznurami do pała.

- Czarownicy żyć nie dopuścisz - powiedział kapłan i dał znak ludziom z pochodniami, żeby podpalili stos.

- Niech cię ogień piekielny pochłonie! - krzyknęła, a jego oczy odpowiedziały nienawiścią.

Obudziła się i przez chwilę nie rozumiała, co się stało. A więc nie spłonęłam - pomyślała z ulgą. Sen był tak sugestywny, że z trudem wracała do rzeczywistości. Budzik wskazywał dopiero szóstą, mogła więc jeszcze chwilę poleżeć. Do pokoju weszła matka.

- Krzyczałaś przez sen, Amelio. - Usiadła na jej łóżku.

- Śnił mi się ogień. Mamo, czy to oznacza złodziei?

- Nigdy nie zaszkodzi uważać, ale sen o ogniu wskazuje raczej na stany emocjonalne śpiącego. Może czegoś się boisz? Masz jakieś kłopoty?

- Nie... Jeszcze nie.

- Powiedz, może mogę ci w czymś pomóc.

- Nie, mamo. Co na to poradzisz, że ostatnio profesor odnosi się do mnie jakoś niechętnie.

- Czy ten sen...

- Tak, to chyba ma jakiś związek.

Opowiedziała, co jej się śniło. W miarę mówienia przeżywała na nowo historię czarownicy - swoją historię ze snu.

- Zanadto się przejmujesz.

- Och! Mamo.

- Wiem, wiem. Już taka jesteś, ale pomyśl, czy to warto...

- Myślisz, że ten sen nie zawierał żadnych symboli? - Amelia przerwała matce nie chcąc raz jeszcze wysłuchiwać dobrze jej znanych rad.

- Wyjąwszy fakt, że inkwizytor miał twarz profesora, wszystko, co ci się śniło, to nic innego jak ilustracja twojej pracy.

- Widzisz, mamo - oparła wyżej poduszkę - tydzień temu przedstawiłam profesorowi konspekt tego, o czym chcę napisać. Wyłożyłam w nim swój punkt widzenia na wydarzenia koło Bydgoszczy w roku 1761, i co powiesz? Profesor stale nie ma czasu przeczytać tych kilku stron.

- Może jest zajęty czymś ważniejszym.

- Czarownice były jego konikiem, póki nie przyszło to stypendium z Francji. Od tego czasu jakby mnie nie zauważa.

- Chyba nie myślisz, że da je komu innemu. Mówiłaś przecież, że tym zagadnieniem nie zajmuje się nikt prócz ciebie. Poza tym wątpię, czy ktoś zna francuski tak dobrze jak ty.

- Przeważnie angielski i niemiecki. Zresztą tu potrzebna będzie łacina, którą na dobrą sprawę zna jedynie profesor i ja.

- Więc sama widzisz, że nie masz konkurencji. Wrózę ci piękną podróż.

- O! podróż czeka mnie już w przyszłym tygodniu. Jadę do Mroczkowa. Myślę, że w parafialnym archiwum znajdę jeszcze jakieś dokumenty dotyczące tamtego procesu o czary i głównej oskarżonej Katarzyny Kaletnickiej.

- Do Mroczkowa nad Notecią?

- Znasz tę miejscowość?

- Stamtąd wywodzi się nasz ród po kądzieli.

- Czy to rzeczywiście prawda, że w naszej rodzinie nie było mężczyzn?

- Nie mów takich głupstw, bo narazisz się na śmieszność.

- Mamo, wiesz przecież, co mam na myśli. Mówiłaś, że babcia, prababcia i tak dalej nigdy nie miały braci, że od iluś tam pokoleń w naszej rodzinie zawsze rodziły się tylko dziewczynki.

- Tak mi mówiła moja babka, chociaż zgodnie z tym, czego uczy medycyna, wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne. Ale właśnie, jeżeli będziesz przeglądała stare księgi tamtejszej plebanii, to spróbuj ustalić...

- Bardzo dobry pomysł. Z aktów ślubów i narodzin może uda się odtworzyć kawałek kroniki naszej rodziny.

Pomimo wcześniejszego przebudzenia z domu wyszła jak zwykle odrobinę za późno. Spóźnienie próbowała nadrobić szybszym dojściem do przystanku. Słyszała nadjeżdżający tramwaj. Nie warto było odwracać głowy, żeby sprawdzić numer. Była pewna, że ucieka jej właśnie piętnastka. Upłynęło parę minut, zanim w oddali ukazał się następny tramwaj.

- Jaki to numer? - starsza kobieta w ciemnych okularach skierowała swoje pytanie w przestrzeń między Amelią a młodym chłopcem.

- Tramwaj jest jeszcze za daleko, żeby można było odczytać - chłopiec przejął na siebie rolę informatora.

- Dwadzieścia osiem - Amelia powiedziała to odruchowo, bez zastanowienia.

Po chwili, kiedy numer był już widoczny, wszyscy mogli się przekonać, że miała rację. Była pewna, że następna będzie szóstka, potem jeszcze raz dwadzieścia osiem i dopiero trzydzieści sześć, z którego trzeba będzie się przesiąść. Czuła, że gdyby od razu, teraz, zdecydowała się pójść na przystanek autobusowy, miała jeszcze szansę zdążyć, mimo że autobusy tej linii kursowały bardzo nieregularnie. Została jednak na przystanku tramwajowym. Zbyt długo wpajano jej logiczne myślenie, żeby odważyła się kierować przecuciami zamiast rachunkiem prawdopodobieństwa. Na luksus intuicji pozwalała sobie tylko przy decyzjach dotyczących drobiazgów bez znaczenia. Praca naukowa, której się poświęciła, wymagała rzetelności, sprawdzania po wielokroć nawet mało ważnych faktów. To wszystko, co intuicja kazała jej odrzucać, sprawdzała tym dokładniej, żeby mieć całkowitą pewność, że w swojej pracy kieruje się metodami wyłącznie naukowymi.

Przyszło wreszcie trzydzieści sześć. Wsiadła, chociaż wiedziała, że za moment będzie piętnastka, w którą i tak będzie musiała się przesiąść.

- Profesor od rana jest wściekły - przywitała Amelię sekretarka. - Zabrał listę obecności. Chce z panią rozmawiać.

- Chyba nie z powodu tego głupiego spóźnienia?

Amelia przekroczyła próg gabinetu profesora z uczuciem, że wydarzy się coś złego. Była pewna słuszności tez, jakie zawarła w konspekcie, a jednak... Może to ten sen z inkwizytorem o twarzy profesora...

Wysłuchiwała spokojnie kazania na temat dyscypliny formalnej. Dziesięciminutowe spóźnienia pomnożone przez miliony urosły do wieczności, a straty poniesione z tego tytułu w skali kraju - do

fortuny. Poczula się nagle odpowiedzialna za to marnotrawstwo i zrobiło jej się przykro. Ale oto profesor przeszedł do dalszego natarcia.

- Co za bzdury mi pani przedstawia - rzucił na biurko teczkę z jej konspektem.

- Przecież to jest zgodne z wcześniejszymi ustaleniami. Pan profesor pamięta...

- Niech mi pani tylko nie próbuje wmówić, że kiedykolwiek zgadzałem się na pomysł pakowania parapsychologii do procesów czarownic.

- Ależ ja właśnie chcę udowodnić, że kobiety skazywane przez sądy kościelne w średniowieczu częściej niż inne obdarzone były zdolnościami parapsychicznymi i na tym polegała ich siła. Zagrożenie władzy duchowieństwa nie było czystą imaginacją, jak się powszechnie uważa.

- Parapsychologia jest „paranauką”, a to jest instytut naukowy i proszę trzymać się faktów.

- Wydawało mi się, że pan profesor podzielał moje zdanie co do...

- Obawiam się, że zadania przerastają pani możliwości. Zastanawiałem się właśnie, czy kolega Jakubiak nie powinien pani pomóc.

- Ależ... - powstrzymała się w porę, żeby nie powiedzieć, co myśli o kwalifikacjach tego młodego, zarozumiałego głupca.

- Powinien wciągnąć się w te zagadnienia. Prosiła pani o delegację do Mroczkowa, prawda? Pojedziemy razem - zgoda? Co trzy głowy to nie jedna.

Profesor zmienił nagle taktykę i stał się przymilny. Słuchała go z kamienną twarzą. Patrzyła gdzieś ponad jego głowę na miedziany talerz wiszący nad fotelem, grawerowany w esy-floresy, naśladowujące rysunki egipskie. Zastanawiała się, czy gwóźdź, na którym wisi talerz, jest dostatecznie umocowany, by utrzymać ten ciężar, kiedy nagle usłyszała krzyk profesora. Miedziany talerz spadł uderzając go w ramię.

Droga do Mroczkowa nie była na szczęście długa, ale wystarczająco nieprzyjemna, żeby Amelia poczuła się zupełnie wyczerpana, zanim dotarli na miejsce. Profesor nie należał do najlepszych kierowców, za to był bardzo rozmowny. Zaczynała podejrzewać, że specjalnie mówił tak dużo, żeby nie dopuścić do głosu Jakubiaka. Niewiele słyszała z tego, co mówił, bo siedziała z tyłu i szum silnika zagłuszał słowa. Prócz nich profesor zabrał na przejażdżkę córkę.

Dziewczyna uznała za stosowne bawić rozmową asystentkę swego ojca. Amelia zastanawiała się, ile jest prawdy w plotkach krążących na temat rodziny profesora. Nietrudno było się zorientować, że dziewczynie rzeczywiście czegoś brak. Z trudem skończyła szkołę gospodarstwa domowego, ale nawet przepisu kulinarnego nie umiała podać składnie.

W tej sytuacji trudno dziwić się profesorowi, że chciałby wydać ją za mąż. Jakubiakowi trzeba przyznać, że jest przystojny, a miernota intelektualna w tym wypadku może być tylko zaletą.

Profesor zostawił dzieci w motelu. Do wsi ze starym kościołem, w którym znajdowały się interesujące ich dokumenty, wybrali się tylko we dwoje.

Dokumenty zastali już przygotowane. Profesor polecił Amelii, aby zajęła się księgami parafialnymi, sobie zostawił akta procesowe połowy osiemnastego wieku.

Pilnie zabrała się do wertowania starych ksiąg. Poprosiła również o późniejsze rejestry i otrzymała je. Bez trudu znalazła zapis aktu urodzenia swojej prababki. Imię i nazwisko panięńskie prababki pozwoliło na odszukanie z kolei jej aktu urodzenia. Jednocześnie próbowała ustalić imiona pozostałych dzieci prababek. Nie znalazła wśród nich imion męskich. Nie można było jednak wykluczyć przeoczenia. Udało jej się odtworzyć własny rodowód po kądzieli aż do roku 1782. Dalsze poszukiwania nie dały rezultatów.

Katarzyna Kaletnicka urodziła się w roku 1745. Aktu jej ślubu ani faktu urodzenia przez nią dziecka w księgach parafialnych nie odnotowano. W chwili procesu w roku 1761 miała dwadzieścia sześć lat, a z dokumentów wcześniej przez Amelię odnalezionych wynikało, że miała dwuletnią córkę. Co się z nią

stało? Kto był ojcem dziecka? Kto się nim zaopiekował po śmierci matki? Na te pytania nigdy prawdopodobnie nie znajdzie odpowiedzi.

Profesor wydawał się być zadowolony z wyniku własnej pracy.

- Zupełnie nie rozumiem, co prócz fantazji skłoniło panią do twierdzenia, jakoby Katarzyna Kaletnicka miała jakiegokolwiek zdolności parapsychiczne - powiedział, kiedy opuszczali mury zabudowań kościelnych.

Zaczynało zmierzchać. Do szosy, na której został samochód, prowadziła wyboista, polna droga. Amelia milczała. Nie było sensu powtarzać argumentów, o których już przedtem rozmawiali.

- Trudno przecież dać wiarę - ciągnął profesor - że potrafiła przewidywać przyszłość. Gdyby tak było, mogłaby uniknąć stosu. Albo co pani powie o jej przepowiedni, że będzie odradzała się w co trzecim pokoleniu, a żadna z jej prawnuczek nigdy nie urodzi syna? Mężczyźni musieli jej zapewne dokuczyć, ale nas interesują wyłącznie fakty. Pani próby doszukania się rzeczy niemożliwych są nie do przyjęcia. Sądzę, że najrozsądniej będzie, jeżeli zebrane materiały przekaże pani koledze Jakubiakowi. Dla pani będę miał inne zadanie.

A więc to koniec. Nie ma wyjazdu do Francji, nie ma doktoratu. Czy to możliwe, żeby wszystko skończyło się tak nagle?

Zbliżali się do samochodu stojącego na poboczu szosy.

Profesor otworzył prawe drzwi i gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca. Potrząsnęła przecząco głową. Popatrzył zdziwiony.

Sytuacja stawała się nieprzyjemna. Nie umiałaby uzasadnić, dlaczego odmawia zajęcia miejsca w samochodzie. Do motelu było zbyt daleko, żeby iść na piechotę. Mówienie o przecuciach teraz, po tym wszystkim, co usłyszała od profesora, było wręcz śmieszne, a jednak...

- Niech pan lepiej nie wsiada... - własne słowa zabrzmiały jej dziwnie obco. Nie wiedziała, czy w ogóle usłyszała, w każdym razie nie zareagował od razu. Swoim zachowaniem uspokoiła widocznie jego sumienie.

- No cóż, jeżeli koniecznie woli pani jechać PKS-em... - to, co powiedział, zabrzmiało ironicznie, teraz jednak wyrażało zadowolenie. Miał rację odbierając jej temat - egzaltowana dziewczyna.

Odeszła kawałek i usiadła na zboczu rowu. Słyszała warkot zapuszczanego silnika. Czekwała na moment, w którym pojawi się olbrzymia ciężarówka, kierowca zetnie zakręt i z całą siłą uderzy w ruszającego właśnie Fiata.

Kiedy dym i kurz opadł, ukazując wrak samochodu, wstała i ruszyła w kierunku wsi. O wypadku należało zawiadomić milicję.

W ogródku działkowym *Małgorzata Kondas*

Dzień zaczął się pechowo. Rano stłukła ulubioną filiżankę, a potem jeszcze ta wiadomość. Kierowniczka działu socjalnego oświadczyła jej, że wczasów nie dostanie. Mówiła to równie autorytatywnie, jak przedtem zapewniała, że je otrzyma. „Musi pani zrozumieć. Mamy mniej miejsc, niż przewidywaliśmy, a pani jest dopiero stażystką. Pierwszeństwo mają koleżanki z dziećmi”. Rozumiała, i co z tego? Trudno przecież przesiedzieć cały lipiec w domu. Chociaż jak się dobrze zastanowić, to ostatnio ma dość widoku ludzi... Pierwsze dwa tygodnie zamierzała spędzić na działce. Teraz, kiedy domek został już wykończony i urządzony, można w nim właściwie mieszkać całe lato, a w lipcu nie zabraknie roboty od świtu do nocy. Czują, że dobrze jej zrobi taka izolacja w połączeniu z pracą fizyczną, dietą witaminową i słońcem. Zdecydowała się spędzić cały urlop we własnym ogrodzie.

Wieczorem wpadła Helena. Dawno się nie widziały. Odkąd zaczęła pracować w instytucie poza Warszawą, odwiedzała Martę znacznie rzadziej.

- Mam coś dla ciebie - wyjęła małą paczuszkę białego proszku i położyła na stole. Z miny przyjaciółki Marta wywnioskowała, że prezent jest drogocenny, chociaż nie domyślała się, co zawiera foliowa torebka.

- Heroina? - zażartowała.

Helena nie zwróciła uwagi na dowcip, jej wyjaśnienia brzmiały poważnie jak wykład.

- To preparat, który dostaliśmy do wypróbowania na roślinach ogrodniczych. Prawdziwa rewelacja.

- Coś w rodzaju nawozu sztucznego?

- Ależ nie! To rodzaj stymulatora przyspieszającego rozwój rośliny dziesięciokrotnie.

- Co to znaczy?

- No, weź na przykład pomidor. Wysiewasz go w marcu, w maju przesadzasz do gruntu i owoce zbierasz w sierpniu lub wrześniu. Jego wegetacja trwa dwadzieścia tygodni. Stosując preparat NX-03 skracasz okres wegetacji dziesięciokrotnie, a więc od posiania do zbioru owoców upływa zaledwie dwa tygodnie.

- To rzeczywiście rewelacyjne, ale czy preparat nie daje jakichś skutków ubocznych?

- Nie. Wymaga tylko dostarczenia roślinie odpowiedniej ilości wody i składników mineralnych.

- Jaki jest mechanizm działania tego stymulatora? Czy następuje szybszy podział komórek, tak jak przy raku?

- To niedobre porównanie. Proces rozwoju przebiega naturalnie, nie ma mowy o jakichkolwiek zwyrodnieniach. NX-03 jest czystym katalizatorem reakcji biochemicznych zachodzących w roślinie zgodnie z jej genetyką.

- Jest coś w rodzaju hormonów dla roślin?

- Jeśli koniecznie tak to chcesz nazwać...

- A jaki ma wpływ na ludzi i zwierzęta?

- To nie było przedmiotem badań naszego instytutu. Jak wiesz, zajmujemy się wyłącznie roślinami, ale informowano nas, że środek jest zupełnie obojętny dla organizmów zwierzęcych. Bez wykluczenia ewentualnej toksyczności nie dano by nam przecież preparatu do doświadczeń. Zresztą w zakładzie próbowaliśmy już jarzyn wyhodowanych na NX-03 i cieszymy się dobrym zdrowiem.

- Rzeczywiście długo musiałaś mnie przekonywać, ale wiesz, jaki jest mój stosunek do chemikaliów.

- Wiem. Gdyby był bardziej pozytywny, truskawki byłyby pewnie większe - Helena poczęstowała się owocami wysypanymi na tacę. - Smaczne, ale nie handlowe - oceniła fachowo.

- Dawno ich nie przesadzałam. Zajmę się tym. A wiesz, mam właśnie zamiar spędzić cały lipiec na działce.

- Wspaniale. Żałuję, że nie będę mogła cię odwiedzać. Wyjeżdżam do Bułgarii, ale pod koniec miesiąca wpadnę na inspekcję. Ciekawa jestem, czego dokonasz. Za pomocą NX-03 - zapewne cudu.

W tym roku przygotowania do urlopu miały całkiem inny charakter. Nie zajrzała nawet do walizki z letnimi sukienkami. Tych kilka najpotrzebniejszych rzeczy miała pod ręką. Starannego przemyslenia wymagało natomiast zaopatrzenie w żywność. Chciała mieć wszystko, co będzie jej potrzebne, żeby nie ruszać się z działki. Lista zawierała: chleb chrupki - zapewnia smukłą linię, jajka, mleko w proszku, kawę, herbatę, konserwy. Przyprawy i cukier są na miejscu. Tego ostatniego nawet dużo, bo w zeszłym roku nie było urodzaju, nie smażyła więc konfitur. Puste słoiki czekają na zbiory tego lata.

Przyjechała około południa. Przywiezione torby ustawiła na środku pokoju, który spełniał również funkcje kuchni i łazienki. Spora powierzchnia i wygodne urządzenie zapewniały jednak wystarczający komfort. Nie przebrała się nawet, tylko od razu zabrała do roboty. Rośliny były w opłakanym stanie. Po ostatnich dwóch upalnych dniach wymagały natychmiastowego podlewania. Kiedy uporała się z tym co najważniejsze, chwilę odpoczęła i zabrała się do układania przywiezionych przez siebie rzeczy. Zawiesiła czysty ręcznik, ustawiła kremy na półeczce nad miednicą i wtedy przypomniała sobie, że zapomniała kupić nowe lustro. Stare stłukła w zeszłym roku i starannie wyrzuciła wszystkie odłamki, żeby nie zapeszać. Teraz nie ma ani skrawka - no trudno. Wy tłumaczyła sobie, że wcale nie musi się przeglądać. Lustro jest chyba ostatnim przedmiotem potrzebnym na bezludnej wyspie. A właśnie to miejsce miało być jej bezludną wyspą przez najbliższy miesiąc. Opalenizna nie sprawdzana codziennie będzie miłym zaskoczeniem nawet dla niej samej.

Rano ogród wyglądał prześlicznie. Nigdy go takim nie widziała. W porannym słońcu krople rosy drżały na sztywnych płatkach kwiatów. Marta schyliła się i powąchała purpurową różę, której zapach uważała za najpiękniejszy w świecie. Jakże dalekie i nierealne wydały jej się wczorajsze kłopoty.

Tyle tu było do zrobienia. Najpierw trzeba koniecznie opielić grządki z truskawkami. Przestały owocować, tonęły wśród chwastów i własnych rozłogów.

Słońce było już po drugiej stronie nieba, kiedy na zakończenie podlała truskawki wodą z rozpuszczonym nawozem. Niech się wzmocnią. Przyjemnie było patrzeć, jak czysto wyglądają teraz zielone kępki. Szkoda, że nie czerwienią się w nich pachnące jagody. Ale właśnie... Gdyby tak zastosować preparat NX-03.

Starannie odmierzyła dawkę proszku i wsypała do butelki zawierającej 200 ml wody. Rozpuścił się niemal natychmiast. Roztworem podlała kilka krzaczków, dozując po łyżeczce płynu na roślinę; Torebkę z preparatem, butelkę i łyżeczkę odłożyła do schowka z narzędziami. Umyła się starannie i zabrała do przygotowania posiłku. Wieczorem zamierzała poczytać w łóżku, ale była zbyt senna.

Obudziła się bardzo wczesnie, zupełnie wypoczęta. Wstała i od razu wyszła do ogrodu. Oglądanie go o tej porze dnia było całkiem nową przyjemnością. Właśnie zakwitły maki. Jaskrawoczerwone płatki przyciągały wzrok. A tam za nimi jakieś małe białe kwiatki. Co to może być? Podeszła bliżej. Ależ to truskawki! Krzaczki podlane wczoraj preparatem NX-03 obsypane są dziś kwiatami. To zakrawa na cud, Helena mówiła prawdę.

Marta kilkakrotnie w ciągu dnia odrywała się od zajęć, żeby śledzić wynik eksperymentu. Ziemia wysychała tu mocniej niż w innych miejscach, co wymagało ciągłego podlewania. Do wody dodała trochę superfosfatu, aby ułatwić zawiązywanie się owoców. Przed wieczorem krzaki pełne były małych

zielonych jagódek.

Tym razem słońce stało już wysoko, kiedy się obudziła. W piżamie i na bosaka wyszła do ogrodu. Za kępą jasnoczerwonych maków widniały inne czerwone plamki. Truskawki były większe niż zwykle, słodkie i aromatyczne. Z koszykiem owoców Marta usiadła na leżaku. Oddała się miłym marzeniom, które tak łatwo było spełnić. Mogła planować teraz swoje jarzynowo-owocowe menu prawie dowolnie. Miała na przykład ochotę na sałatkę z pomidorów, ale były jeszcze małe i zielone.

Zaraz po śniadaniu wybrała najładniejszy krzaczek i podlała go preparatem. W kilka godzin później jadła pierwszego w tym roku pomidora z własnej działki.

Ciekawe, jak zachowałaby się sałata. Wiadomo, że w lipcu się jej nie sieje, bo przy tej długości dnia nie daje główki, a od razu wybija w kwiat. Marta zaplanowała doświadczenie niemal naukowe. Parę nasion wysiała rano, parę w południe i kilka przed wieczorem. Z porannego siewu wszystkie rośliny utworzyły kwiatostany, z południowego niektóre, a z przedwieczornego uzyskała piękne główki sałaty.

W kilka dni później przypomniała sobie o worku z nasionami różnych rzadkich warzyw, które się jej nie udawały. Na przykład papryka - w naszym klimacie miała za mało czasu, aby dojrzeć. Teraz - była wręcz znakomita.

Marta długo wahała się przed doświadczeniem z drzewem. W końcu wybrała niewielką śliwkę węgierkę. W dziesięć dni później zbierała owoce. Teraz prócz pracy w ogrodzie musiała co chwila doglądać powideł, które smażyły się na wolnym ogniu. Ten eksperyment poszedł jednak nieco za daleko. Po kilku dniach drzewo pożółkło i straciło wszystkie liście.

Na przyszłość postanowiła ograniczyć się tylko do roślin jednorocznych. Było z tym wystarczająco dużo pracy. Dziesięciokrotnie szybszy rozwój wykazywały nie tylko uprawy ogrodnicze, ale i chwasty. Zanim zdążyła wyrwać małą roślinkę, ta rosła, dojrzewała i rozsiewała nasiona. Pielenie zajmowało Marcie coraz więcej czasu, a chwasty rosły i tak coraz bujniej. Urlop dobiegał końca, a działka wyglądała na bardziej zapuszczoną niż na początku, pomimo że wiele godzin dziennie przesiadywała na małym stołeczku pieląc grządki, podczas gdy następne zarastały jeszcze prędeej.

Śliwa zakwitła ponownie, a co dziwniejsze, wyraźnie w jej ślady szła jabłoń, chociaż wcale nie podlewana preparatem. Nie rozumiała, dlaczego koksy, które powinna zbierać jesienią, dojrzały w lipcu i opadły wraz z liśćmi. Teraz najwyraźniej drzewo miało pąki, które niebawem zakwitną. Czyżby przyczynił się do tego kompost z chwastów wyrosłych na pożywce, któremu wyznaczyła miejsce opodal drzewa? Musiała w nim być spora kumulacja preparatu, ale proces butwienia nie następuje przecież tak szybko. Miała nadzieję, że Helena wytłumaczy jej przyczynę tego zjawiska.

Na razie trzeba było się spieszyć. Pracy przybywało z każdym dniem. Pozwalała sobie jedynie na krótkie chwile wypoczynku podczas posiłków składających się głównie z tych cudów natury, które potrafiła wyczarować w ciągu kilku dni, a niekiedy nawet godzin.

Zbliżał się koniec urlopu, a tyle było jeszcze do zrobienia. Siedziała na małym stołeczku pieląc grzędę cebuli. Nie od razu odwróciła się słysząc za sobą głos Heleny, która pozdrawiała ją od furtki. Kark miała zeszywniały od tego ciągłego pochylania się. Pomału wyprostowała się i odwróciła w stronę nadchodzącej koleżanki. Helena przystanąła niezdecydowana. Wreszcie po chwili wahania powiedziała.

- O przepraszam... Myślałam... Czy pani jest matką Marty?

Wypożyczalnia snów *Małgorzata Kondas*

Wyszedł z baru i zatrzymał się niezdecydowany. Ściemniało się. Krzykliwe neony rozblęły zaproszeniami do licznych kin, kabaretów, restauracji. Machinalnie poszedł w ich kierunku. Grupka kolorowo ubranej młodzieży zbliżała się w jego stronę. Czarnooka dziewczyna uśmiechnęła się promiennie do Petera, a on odpowiedział równie spontanicznie.

Kiedy tamci oddalili się pomyślał, że jest już całkiem wyleczony. No, może prawie całkiem. Spróbował pomyśleć o Krystynie - trochę ukłuło, ale już nie tak jak dawniej. Jako rekonwalescent powinien dobrze się odżywiać, dużo spacerować... - bzdura. - Uśmiechnął się do siebie. - Gdybym tylko mógł spać... Może i to przyjdzie z czasem, który najlepiej goi takie rany, jak zawiedzione uczucia. Że też nie wynaleziono żadnego na to lekarstwa! Bolący ząb można uśmierzyć proszkami lub po prostu wyrwać. Nie wiedział czemu uporczywie nasuwało mu się porównanie jego stanu psychicznego z bolącym zębem.

Przystanął przed całkiem niepozornym neonem i dwukrotnie odczytał napis zanim zrozumiał jego znaczenie. Ach! To widocznie słowo „snów” podświadomie go zwabiło. Marzył przecież, żeby zapaść w bardzo długi sen i nie myśleć wreszcie o niczym. „Wypożyczalnia snów” - też nazwa! Pewnie malutkie, obskurne kino z filmami „tylko dla dorosłych”. Nagle zdecydował się wejść do środka.

W hallu - wcale nie obskurnym - nie było nikogo. Domyślił się, że sala projekcyjna jest za kotarą i nie pomylił się. W ciemności namacał krzesło i usiadł. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do znikomego oświetlenia padającego z ekranu zobaczył, że prócz niego jest jeszcze pięciu mężczyzn. Na ekranie dziewczyna wolno zdejmowała kolejne części garderoby i czynność ta przedłużała się w nieskończoność.

Jeden z widzów wstał i skierował się do drzwi z malutkim napisem „wypożyczalnia”.

Amator kina w domu - pomyślał Peter i przeniósł wzrok na innego mężczyznę siedzącego w tym samym co on rzędzie. Tamten miał wyraźnie znudzoną minę. Dziewczyna na ekranie rozbierała się nadal. - No cóż, jak za darmo, to można w końcu obejrzeć. - Peter obejrzał się za kims z obsługi kina, ale wyraźnie nikt nie żądał od niego zapłaty. - Dziwne obyczaje, może przy wyjściu?

Naga wreszcie dziewczyna znikła, a na jej miejscu ukazał się przystojny mężczyzna w sportowym samochodzie. Jego niezwykle przygody mogły zainteresować jednak raczej całkiem młodą widownię. Dla kogo więc przeznaczone były te filmy?

Z wypożyczalni wyłonił się mężczyzna, który tam wszedł podczas projekcji z dziewczyną. Niósł jakiś przedmiot przypominający raczej radio tranzystorowe, niż pudełko z taśmą filmową. Kiedy opuścił salę projekcyjną, Peter nagle zdecydował się pójść w jego ślady, chociaż wcale nie miał ochoty na ponowne oglądanie tych nudnych filmów.

- Pan pierwszy raz? - schludnie ubrany mężczyzna o wyglądzie młodego inżyniera patrzył na Petera w sposób, który mógł świadczyć, że ten robi mu swoim przyjściem osobistą grzeczność.

- Tak. Zainteresował mnie szyld, chociaż prawdę mówiąc nie wiem jak należy go rozumieć.

- Dosłownie, proszę pana. My naprawdę dysponujemy urządzeniami służącymi do projekcji snów. To, co pan widział w sali obok, to są oczywiście zwyczajne filmy. Proponujemy je w postaci snów, tym z naszych odbiorców, którym brak własnej inwencji.

Widząc niedowierzanie na twarzy Petera, inżynier poprosił go żeby usiadł w głębokim fotelu, przy stole zastawionym aparaturą. Z biurka, przy którym sam siedział, wyjął czarne pudełko przypominające

radio i ustawił je tuż przed Peterem. Podłączył jakieś kable. Mała żaróweczka umieszczona w prawym górnym rogu czarnego pudełka zabłyśła niebieskim, pulsującym światłem.

- Ten aparat uczy się teraz odbierać fale, jakie nadaje pański mózg i na tych właśnie falach będzie rejestrował pana wizje, które następnie odtworzy we śnie.

- To nie będzie takie łatwe, bo mam duże trudności z zaśnięciem - Peter uśmiechnął się. Nie wszystko rozumiał, a właściwie nie był zdecydowany na ile może wierzyć słowom tamtego.

- On panu pomoże - Inżynier wskazał pudełko z niebieskim okiem. - Widzi pan tę małą dźwigienkę? Wystarczy pociągnąć ją w dół. O, tak!

Pulsujące światło zmieniło barwę na turkusowozieloną. Peter poczuł, że powieki ma bardzo ciężkie i mimo czynionych wysiłków za chwilę będzie musiał zamknąć oczy. Obsługujący aparat inżynier podniósł dźwigienkę do góry. Światło znowu było niebieskie, a senność znikła bez śladu.

- Normalnie dźwignia wraca sama do górnego położenia, ale trwa to około godziny. Na ogół czas ten wystarcza na uśpienie każdego.

- Czy działanie tych promieni jest bardzo szkodliwe?

- Wcale nie! To urządzenie działa na zasadzie podobnej do lustra. Odbija jedynie fale produkowane przez mózg śpiącego.

- Ale ja nie byłem śpiący kiedy tu przyszedłem, skąd więc...

- Pierwsza faza głębokiego uśpienia jest podobna u wszystkich ludzi. Wyciszenie pracy mózgu, jakie wtedy następuje, jest właściwie takie samo dla każdego. Dlatego ten rozkaz został maszynie wbudowany na stałe. Proszę mi jednak wierzyć, że jest to dokładnie ta struktura fal, jaką produkuje sama natura.

- No, dobrze, i co dalej?

- Projekcja senna musi być nagrana przez tego, kto będzie ją później odbierał. Załóżmy, że miałby pan ochotę przeżyć we śnie przygody któregoś z bohaterów oglądanego przed chwilą filmu. Wystarczy, żeby odtworzył pan w wyobraźni poszczególne sceny, widząc siebie w którejś z ról. Niezwykle czuła taśma tego aparatu zarejestruje pana myśli i odtworzy je później w postaci pięknego, barwnego snu.

- Czy rejestruje wszelkie myśli?

- Nie. Głównie wyobrażenia wzrokowe. Niektórzy z naszych klientów doznają również innych odczuć zmysłowych, ale to znacznie rzadziej. Najwspanialsze sny mają ludzie o dużej wyobraźni plastycznej.

- Gdybym więc pomyślał o panu w sposób nieprzyjemny, ale obrazowy, czy po moim wyjściu mógłby pan odtworzyć moją o nim opinię?

- Absolutnie nie. Moje fale mózgowie są tak różne od pańskich jak odciski palców. To zapewnia całkowitą dyskrecję przed najbliższymi nawet członkami rodziny. Łatwiej może pan przekazać komuś swoje myśli drogą bezpośredniej telepatii, niż przez to urządzenie. Inaczej mówiąc, mój udział w pana śnie mógłby zaistnieć jedynie za pana przyzwoleniem, podczas jego snu. Jak pan widzi taka możliwość istnieje zawsze, a prawdopodobieństwo wystąpienia wspólnego snu jest równe temu, jakiego można spodziewać się po telepatii bez udziału aparatu.

- Kupuję.

- Przykro mi, ale jedynie wypożyczymy nasze aparaty.

- To nawet lepiej, bo pewnie taniej.

Taniej, w tym wypadku nie oznaczało bynajmniej tanio, ale Peter był przekonany, że jest to coś, co w chwili obecnej jest mu potrzebne najbardziej.

Po powrocie do domu nauczył się starannie obsługi aparatu. Bardzo pomocna przy kontroli nagrania okazała się zwykła taśma magnetofonowa. Opowiadał co widzi, a potem mógł dowolnie manipulować nagrany materiał, usuwając co niepotrzebne, dopowiadając niedopowiedziane. Doświadczenie zdobyte przy montowaniu filmu też się przydało. Ciekaw był bardzo tej pierwszej kompozycji sennej.

Mimo podniecenia zasnął w chwili po przesunięciu dźwigni aparatu w dół.

Za temat snu obrał sobie podróż do Meksyku. Wskrzesił wspomnienia sprzed pięciu lat, a dla odświeżenia pamięci posłużył się przezrociami. Wynik był zadowalający, chociaż narrację projekcji sennej przerwały jakieś zupełnie niepotrzebne obrazy. Przez moment zobaczył nawet Krystynę i uświadomił sobie na nowo, że odeszła. W ten sposób nigdy się nie wyleczy. Stanowczo wyeliminować musi wszelkie o niej myśli, przynajmniej w czasie nagrywania. Postanowił potraktować zabawę z aparatem jak swoiste ćwiczenia kontrolujące siłę woli.

Nagrania bywały jednak zdradliwe. To, co można usunąć z mowy, a nawet myśli, pozostaje w podświadomości, a bezlitosny aparat tylko czyha na te obrazy, choćby nie w pełni uświadomione.

Ze snu o Meksyku wytarł oczywiście wszelki ślad po Krystynie ale sam sen znudził mu się szybko. Wziął do ręki książkę z niezwykle przygodami detektywa-amatora i postanowił wcielić się w niego. Tym razem zabawa była znakomita. Przeżywane przygody napawały go dreszczem emocji, a satysfakcja sukcesu w walce ze złem przewyższała znacznie podobne uczucia jakich doznawał kiedykolwiek na jawie.

Niestety, poranne powroty do rzeczywistości były ceną, którą płacić musiał za tamto wspaniałe, ale niestety tylko urojone życie. Nic też dziwnego, że starał się być po tamtej stronie rzeczywistości tak długo, jak to tylko było możliwe.

Interesy małej firmy, którą prowadził od lat szły dobrze, a jego zastępca był wystarczająco kompetentny, żeby poradzić sobie ze wszystkim. Peter wpadał teraz do biura na godzinę, albo tylko dzwonił żeby się dowiedzieć czy wszystko w porządku. W końcu poinformował personel, że bierze dwutygodniowy urlop.

Wstawał około dziewiątej, zjadał śniadanie i wychodził do miasta głównie w poszukiwaniu atrakcyjnych opowiadań, które mógłby przeżywać we śnie. Po obiedzie nagrywał nowy materiał. O piątej wypijał filiżankę herbaty i kładł się spać. Gdyby go wtedy zapytano czy jest szczęśliwy, odpowiedziałby najprawdopodobniej twierdząco, mimo zadry w sercu, którą jeszcze nosił.

Kłopoty zaczęły się mniej więcej po tygodniu sielanki. Organizm odmawiał tak wielkiej porcji snu. Coraz częściej budził się w nocy, mimo wspaniałych marzeń. Zrezygnowany, na nowo pozwalał osaczać się myślom o Krystynie. Brzmiały mu znowu w uszach jej ostatnie słowa: „To jest twoja miłość, nie moja i daj mi wreszcie z nią spokój. Wychodzę za Georga. Zrozum wreszcie, że wszystko skończone.” Zdjęła z ręki złotą bransoletę, którą podarował jej na dwudzieste szóste urodziny i cisnęła na stół. Szukała jeszcze czegoś w torebce - domyślał się, że klucza do jego mieszkania - ale nie znalazłszy go wybiegła. Nie widział jej więcej.

Tysiąc razy podnosił słuchawkę, żeby do niej zadzwonić, ale odkładał. Nie powinien nawet słyszeć jej głosu. Aparat stał tuż koło łóżka, wystarczyło sięgnąć... Nie! Musiałby przecież łączyć się z domem Georga.

W tym momencie telefon zadzwonił. Poderwał słuchawkę zanim przebrzmiał pierwszy sygnał.

- Halo!

Z tamtej strony nikt się nie odezwał. To musiała być ona! Nie dopuszczał żadnej innej ewentualności. Z pewnością także nie może zasnąć i myśli o nim. Nawet jeżeli tego nie chce. Nie ma takiego ekranu, za który mogłaby się skryć przed telepatią. Więc gdyby wcale nie bronił się, a przeciwnie, stale o niej myślał...

Zapalił światło, włączył aparat na rejestrację i puścił wodze fantazji. Nie potrzebował używać taśmy magnetofonowej, bo nie chciał niczego kontrolować ani wymazywać.

Krystyna budziła się powoli, niechętnie. Wreszcie otworzyła oczy. Pierwszy tego dnia promień słońca układał się na ścianie żółtą plamą coraz większą i jaśniejszą. Spojrzała na śpiącego obok męża.

Pomyślała, że ma bardzo głupią minę i zaraz skarciła się za własną uszczypliwość.

Spróbowała przypomnieć sobie co się jej śniło. To było coś przyjemnego, ale... No tak, znowu. Te sny ostatnio... Tak, postąpiła z nim nieładnie, a teraz nieczyste sumienie daje o sobie znać. Ale musiała przecież coś zdecydować. Wolała Georga i z pewnością dokonała właściwego wyboru. Dlaczego jednak stale musi sama się o tym upewniać, jeżeli wybór był rzeczywiście właściwy?...

Wieczorem była trochę roztargniona. Szykowała się do snu jak na miłe spotkanie, ale George wcale nie zauważył jej lekkiego podniecenia. Kiedy obudziła się w środku nocy, on spał z tym swoim niemądrym wyrazem twarzy. Wstała cicho i zeszła na dół. Nalała sobie szklankę mleka i postawiła ją koło telefonu. Nie, wcale nie zamierzała nigdzie dzwonić. Była przecież druga w nocy. Numer telefonu wykręcił jakby ktoś inny, wcale tego nie pamiętała. Po chwili usłyszała w słuchawce bardzo zaspany (była tego pewna) głos Petera. Rozłączyła się momentalnie i pobiegła na górę z poczuciem dokonania przestępstwa.

Wyjazd do Rzymu, po którym sobie wiele obiecywała, był właściwie nieudany. Całe dni włączyli się z Georgem oglądając to wszystko, co wypadało zobaczyć, a w nocy... Sny o Peterze stały się tak natarczywe, że należało koniecznie coś z tym zrobić.

W dzień powrotu do domu zadzwoniła do biura Petera i dowiedziała się, że od przeszło dwóch tygodni nie przychodzi do pracy, prawdopodobnie wyjechał, bo nie odbiera telefonu. Spróbowała sama, ale numer był zajęty. Po wielu nieudanych próbach była zdecydowana przekonać się osobiście dlaczego.

Na dzwonek do drzwi nie było żadnej reakcji. Tak się jednak złożyło, że miała akurat tę torebkę, w której tkwił jeszcze klucz od mieszkania Petera. Serce biło jej mocno, gdy wkładała go do zamka.

W mieszkaniu panował nieład. Okno w salonie otwarte było zbyt szeroko i wiatr porozrzucał jakieś papiery. Nie wiedziała czemu widok ten napawał ją przerażeniem. Wbiegła do sypialni. Leżał w łóżku, mimo wczesnego popołudnia spał. Czyżby był chory? Zawołała go po imieniu.. Nie reagował. Podeszła bliżej i wzięła go za rękę. Wydała się jej chłodna. Potrząsnęła śpiącym - bez rezultatu. Spróbowała namacać puls, ale w zdenerwowaniu nie umiała znaleźć właściwego miejsca w przegubie jego dłoni. To ją przestraszyło. Chwyciła za słuchawkę, która leżała koło telefonu i wykręciła numer pogotowia ratunkowego. Czekając na rozmowę usiłowała wyczuć tętno na bezwładnie opadającej ręce mężczyzny.

Wzrok jej przyciągnęło dziwne radio z zielonym okiem, jakby złowieszczo w nią wpatrzonym. Podczas rozmowy z lekarzem zauważyła, że na malutkiej przekładni radia jest zawieszona jej złota bransoletka. Kiedy odłożyła słuchawkę, zdjęła ją z radia.

Próba wycucia pulsów nadal nie dawała rezultatu. To znaczy, nie była pewna. Bo oto przez moment wydało jej się, że jednak zaczyna go wyczuwać, ale czy to nie złudzenie - podobnie jak ta zmiana barwy magicznego oka z zielonej na niebieską?